

SPRAWY INSPEKTORA BRAUNA

Piotr Schmandt



PRUSKA ZAGADKA

Oficynka

SPRAWY INSPEKTORA BRAUNA

Piotr Schmandt

PRUSKA ZAGADKA



Copyright © Oficynka & Piotr Schmandt, Gdańsk 2014

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie trzecie w języku polskim, Gdańsk 2014

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Skład: Piotr Geisler

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz | www.damasiewicz.idesigner.pl

Zdjęcia na okładce © Narodowe Archiwum Cyfrowe

© Thinkstockphotos.com

ISBN 978-83-64307-30-0



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Konwersja do formatu EPUB/MOBI:



Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku JamaNiamy

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

- 1 Podróż inspektora Brauna
- 2 Niespokojne miasto
- 3 Przewodnicy
- 4 Piekarz i jego żona
- 5 Anna
- 6 Lewe udo
- 7 Akta policyjne i to, czego w nich nie było
- 8 Oskarżenie i kontroskarżenie
- 9 Sklep mięsny Augusta Richtera
- 10 Wrzenie
- 11 Niedziela palmowa
- 12 Odezwa
- 13 W ogrodzie
- 14 Głowa
- 15 Gimnazjum i jego dyrektor.
- 16 Lekcja języka niemieckiego
- 17 Mała pocztówka i wielki cesarz
- 18 Z wizytą u hrabiego
- 19 Konkurencja.
- 20 Przygotowania do świąt
- 21 Pamiątka ostatniej wieczerzy.

- 22 Pani Irmgarda
- 23 Świat widziany z drugiej strony
- 24 Droga krzyżowa
- 25 Wyznanie murarza
- 26 Czas paschalny
- 27 Na spacerze i u cioci
- 28 Kontrasty Wielkanocnego Poniedziałku
- 29 Młyn
- 30 Gospodarstwo Heinricha Berga
- 31 Dzień pogrzebu
- 32 Asesor
- 33 Pouczająca rozmowa z zaniechwaną żoną
- 34 Cafe Putzig
- 35 Wieczór, noc i poranek
- 36 Pamiętnik
- 37 Uczciwi obywatele
- 38 Nóż i tępe narzędzie
- 39 Dwa dni do odjazdu
- 40 W bukowym lesie
- 41 Drzewo, które nie wydało dobrego owocu
- 42 Pożegnanie

Mojej Mamie Janinie



Podróż inspektora Brauna

Inspektor Ignaz Braun przetarł miękką chusteczką okrągłe szkiełka okularów. Bez nich czuł się jak bez ręki.

Szybkim ruchem nałożył na nos cudowny wynalazek, dzięki któremu najważniejszy ze zmysłów mógł z całą ostrością rejestrować i oceniać błahe z pozoru elementy układanki tworzącej rzeczywistość. Pociąg miarowo turkotał, rytmiczne odgłosy toczących się kół wprawiały inspektora w doskonały nastrój. Wprawdzie Ignaz Braun najlepiej czuł się w swojej przytulnej berlińskiej garsonierze przy Dürenergasse, jednak i on od czasu do czasu odczuwał właściwą młodemu jeszcze człowiekowi potrzebę wyrwania się w świat, chociażby miało ono oznaczać chwilowe zaszyście się na prowincji.

W przedziale drugiej klasy oprócz inspektora siedziało troje ludzi. Starszy pan o kościstej twarzy i siwym wąsiku czytał z namaszczeniem gazetę, której nie wypuścił z rąk od chwili wejścia do pociągu na stacji w Szczecinie.

„Urzędnik podatkowy średniej rangi, może powiatowy inspektor szkolny, luteranin, przykładny ojciec kilkorga dzieci, głosuje na prawicę od co najmniej trzydziestu lat i kocha cesarza jak siebie samego. Nie miewa ekstrawagancji i nie chodzi do kabaretu” – ocenił inspektor towarzysza

podróży. Znacznie częściej wzrok Ignaza Brauna wędrował w stronę eleganckiej młodej kobiety siedzącej naprzeciwko i trzymającej na krągłych kolanach wiercącą się dwuletnią dziewczynkę.

Inspektor należał do tych mężczyzn, którzy nie przejawiają wyzywającej śmiałości w kontaktach z kobietami.

Lubił wzbudzać zainteresowanie u szykownych dam, schlebiało mu, jeżeli zostawał obdarowany czarownym uśmiechem lub dyskretnym gestem świadczącym o życzliwości rozmówczyni. Za nic w świecie inspektor Braun nie odważyłby się jednak na zalecanie się do kobiet; nie leżało w jego naturze wdziękowanie przejawiające się przybieraniem póz widywanych w trakcie spaceru po ogrodzie zoologicznym w okolicach klatek z makakami czy pawianami.

Tego dnia policjant mógł bez obawy narażenia się na podejrzenia ponętnej kobiety kierować w jej stronę aksamitne spojrzenia, udając, że przypatruje się z życzliwością jedynie żywotnemu maleństwu.

Zwięźle oceniwszy nudnego urzędnika podatkowego, Braun z zapalem chłonał każdą cząstkę aury roztaczanej przez młodą damę. Subtelny kapelusz z jasnożółtymi czereśniami okrywał czarne włosy wychylające się niekiedy na policzki zaróżowione lekko od wysiłku, nieuniknionego przy opiece nad dzieckiem ciekawym świata. Wyszukana i skromna elegancja pasażerki nie uszła uwadze Ignaza.

Kobieta nie należała do osób przesadnie szczupłych, jej kształty uśmiechały się do młodego policjanta każdym ruchem, oszczędnym i kontrolowanym. Dama niekiedy karciała dziecko i sadowiła je na kolanach z takim wdziękiem, jakby sięgała po czekoladkę firmy Sarotti albo filiżankę kawy ze śmietanką. Uroku towarzysze podróży inspektora dodawały rzadko przez kobiety używane okulary, przedmiot łączący Ignaza z nieznaną. Braun wiedział, że gdyby ujrzał damę na ulicy, byłaby ona

dumna i wyniosła, może nawet sprawiałaby wrażenie obrażonej na cały świat.

Starczył drobny gest, ciepłe słowo, zainteresowanie okazane dziecku, i znikła gdzieś jej rezerwa i chłód.

Policjant zdawał sobie sprawę, że nie zamieni z kobietą ani jednego znaczącego słowa, że najpóźniej u celu własnej podróży ostatni raz spojrzy na jej postać, ale starał się o tym nie myśleć. Chwytał zachłannie każdą okazję i spoglądał naprzeciwko pogodnie, ciesząc się z tak miłych okoliczności podróży. Ignaz Braun nie oczekiwał od życia wiele i należał do rzadkiej kategorii ludzi radujących się promykiem słońca pośród ciemności świata, z którymi miał do czynienia na co dzień.

Niski i przyjemny głos kobiety nie zdziwił inspektora.

Uderzająca była jedynie melancholijna nuta przebijająca się w każdym słowie damy, do dziecka mówiącej po polsku. Starszy pan nie wychylał nosa spoza swojej gazety, Braun natomiast kilka razy odezwał się do towarzyszkii podróży i był przez nią pytany o rozmaite błahostki.

Niestety, nie wypadało biednemu inspektorowi wpatrywać się nieustannie w świeże oblicze powabnej istoty.

Ignaz Braun, jako człowiek interesujący się wieloma dziedzinami życia i obarczony zawodową niejako ciekawością, tak potrzebną w stołecznym Wydziale Zabójstw, uważnie analizował mijane krajobrazy. Pociąg odjechał przed chwilą ze stacji Słupsk i spiesznie podążał na wschód ku dalszym celom. Słotny marcowy dzień widać zatrzymywał ludzi w ciepłych domach, skoro w przedziale inspektora nie zaszła żadna zmiana. Podróżowali jedynie ci, których zmuszały do tego okoliczności. Monotonny krajobraz pełen nagich jeszcze drzew i szarych, umęczonych długą zimą płaskich pól pozwalał Ignazowi skupić się na celu podróży. Brunatne punkciki widocznych w oddali zabudowań tylko na moment rozpraszały policjanta.

Bardziej zajmowały go ciemne oczy sąsiadki, ale ich blask inspektor w umiejętny sposób potrafił umieścić w myślach obok układanki obrazującej zadziwiające wydarzenia, których miał stać się kolejnym uczestnikiem.

Ignaz oparł wygodnie plecy o pluszową tkaninę miękkiego fotela i raz jeszcze pogрузił się w myślach dotyczących najmroczniejszych zakamarków ludzkiej duszy.

O wszystkim dowiedział się z prasy. „Berliner Beobachter” szeroko rozpisywał się na temat wydarzenia, które wstrząsnęło mieszkańcami spokojnego miasteczka w Prusach Zachodnich należącego do regencji gdańskiej. Śladem gazety na miejsce podążyli dziennikarze konkurencyjnych tytułów, ale tamten pierwszy artykuł zrobił na Ignazu największe wrażenie. Krótkie zdania jak cięcia lancetu rzeźbiły kształty kolejnych faktów i domysłów. „Jakież ona ma piękne policzki...” – po raz kolejny zauważył inspektor Braun i wrócił pamięcią do rzędów drobnych gotyckich literek pochłanianych chciwie przed miesiącem.

Kiedyś, dawno temu, policjant przejazdem gościł w Wejherowie. Niewiele pamiętał z tamtego czasu. Pochodził z okolic Poznania i takich miasteczek w całej monarchii widział wiele. Teraz wiedza inspektora, uzupełniona lekturą, zaczynała przekładać się na obrazy pojawiające się uporczywie i z fotograficzną ostrością.

W połowie lutego 1901 roku mieszkańcy Prus cieszyli się niemal wiosenną pogodą. Krótkie dni zimowe napełniały okolicę jaskrawym słońcem, ciemności nadchodziły coraz później, śnieg zdawał się nie tak zimny i nawet starsi, poważni ludzie uśmiechali się częściej niż wypadało.

Od kilku dni tę aurę nadchodzącego przedwiośnia zakłócał Johannes Wenders. Rozsądny i stateczny piekarz zupełnie stracił głowę, chociaż wszyscy przyznawali, że na jego miejscu zachowywaliby się tak samo. Kiedy dzieci ślizgały się na łyżwach po kruszejącym lodzie, gospodynie

robiły codzienne zakupy, a z kominów ulatywał do nieba gryzący dym, pan Wenders z kilkoma pomocnikami dzień i noc przetrząsał każdy zakątek miasta. Pukał do drzwi, prosił o pokazanie podwórek, chlewików i drewnutni, zajrzał do wszystkich kalwaryjskich kapliczek. Poszukiwania nie przynosiły rezultatów. Syn Johannes, osiemnastoletni gimnazjalista Johann, we wtorek 15 lutego jakby zapadł się pod ziemię. Piekarz, jak donosiły gazety, zachodził w głowę, co takiego mogło spowodować zniknięcie jedynaka. Johann nie miał zatargów z rówieśnikami, należał do kilku kółek szkolnych, pomagał słabszym uczniom. Był lubiany przez nauczycieli i sąsiadów. Z wolna całe miasto zaczynało huczeć od plotek i domysłów, ale nie brakowało też przejawów życzliwości w stosunku do zrozpaczonego ojca i jego żony Irmgardy, kobiety słusznej postawy i statecznych obyczajów. Pana Wendersa nie odstępował na krok największy konkurent, piekarz Werner Lange. Obchodził z Johannesem wszystkie ciemne zaułki i miejsca, w których ojciec spodziewał się znaleźć jakikolwiek trop.

Lange pocieszał rywala jak mógł, pewnego dnia o późnej porze wyznał nawet, że jego pieczywo nie może równać się z wypiekami firmy „Wenders Backerei” Stary Johannes musiał dziwić się, że dopiero tak dramatyczne okoliczności potrafią wydobyć z człowieka jego prawdziwe oblicze, i zarazem cieszył się z nagłej poprawy stosunków ze śmiertelnym dotąd wrogiem.

Po czterech dniach poszukiwań, kiedy nieszczęśliwy ojciec razem z kilkoma pomocnikami przeniósł się na leśne obrzeża miasta, Werner Lange odkrył coś, co każdy z poszukujących odsuwał dotąd w najciemniejszy kąt wyobraźni.

Młyn nad rzeczką Cedron, stojący nad płytkim rozlewiskiem, a należący do rodziny Biangów, miał stać się kolejnym miejscem

drobiazgowo przeszukanym przez mężczyzn.

Lange zmęczonym krokiem przyczłapał w okolice młyna, spojrzął na rozlewisko i jego wzrok spoczął na bezkształtnej szarej bryle wystającej kilka centymetrów ponad powierzchnię wody, w miejscu ukrytym przed mniej uważnym obserwatorem.

Piekarz pobiegł po brodzącego nieopodał w śniegu Johannesesa. Obaj mężczyźni, zaopatrzeni w bosaki i otoczeni wianuszkami pracowników młyna, wchodzili do lodowatej wody. Johannes z bijącym mocno sercem przybliżał się do celu. Kilka metrów dzieliło go od zamkniętego papieru starannie owiniętego mocnym sznurkiem. Każdy krok stawał się coraz krótszy. W końcu obłany lodowatym potem Wenders doszedł do paczki. Przystanął. Wtedy dobiegł do niego Lange z dwoma pomocnikami. Spróbowali podnieść pakunek. Piekarz śledził błędnym wzrokiem czynności trzech mężczyzn, podążał za wlokącymi ciemnoszary ciężar w stronę brzegu. Tragarze znaleźli się wreszcie na zaśnieżonym skrawku ziemi. Werner Lange szybko przeciął ostrym jak brzytwa nożykiem sznurek i rozchylił rwące się miękkie warstwy grubego papieru. On pierwszy ujrzał górną część męskiego torsu pozbawioną głowy i rąk.

Nie wszyscy z obecnych odważyli się zajrzeć w głąb otwartego pakunku.

Nadludzkim wysiłkiem Johannes Wenders obejrzał fragment ciała i, mimo zniekształceń właściwych wstępnym stadiom rozkładu, rozpoznał po charakterystycznej bliźnie biegnącej poniżej lewej piersi tors syna.

Skąpe resztki ubrania należały do gimnazjalisty. Nie mogło być wątpliwości. Ojciec osunął się miękko na śnieg i dopiero łyk mocnej wódki przywrócił mu świadomość.

Więść o znalezieniu części ciała młodego Wendersa lotem błyskawicy rozeszła się po mieście. Kiedy przy użyciu bosaków szukano pozostałych

szczątków, nad rozlewisko nieustannie nadbiegały tłumy ludzi ciekawych makabrycznego znaleziska. Po dwóch kwadransach wyłowiono drugi pakunek. Tym razem Werner Lange nie znalazł dość siły, aby powtórzyć swój heroiczny czyn, i odsunął się na bok. W zamkniętym papierze pakowym ukryta była dolna część korpusu. Bez nóg. Przybyły na miejsce doktor Leo Gessler beznamiętnym głosem i kilkoma szybkimi gestami wykazał fachowość cięcia. „Chirurg lub rzeźnik” – zawyrokował.

„Nawet w Berlinie była to sensacja” – refleksyjnie podsumował lutowe wydarzenia inspektor Braun i na dłuższy moment zatrzymał wzrok na towarzysze podróży podającej dziewczynce ciasteczko migdałowe (wcześniej obie zjadły po jajku na twardo i maślanej bułeczce z serem). Mała ochoczo sięgnęła po smakołyk i dopiero wtedy Ignaz zauważył, że karmiąca dziewczynkę dama nie ma na palcu obrączki. Ożywił się na moment, ale zaraz uświadomił sobie, że wcale nie musiało oznaczać to wolnego stanu kobiety.

Wejherowem wstrząsnął monstualnych rozmiarów zbiorowy dreszcz przerażenia. Zgroza mieszała się w umysłach mieszkańców miasteczka z rozkoszą płynącą z poczucia odmiany sennego do tej pory życia. Domysły i plotki przetaczały się przez ulice i domostwa szeroką falą i jak kapryśne strumyki zmieniały nurt, doznawały metamorfoz, drażyły nowe koleiny. Miejskowa policja wszczęła śledztwo, szukano pozostałych części ciała osiemnastolatka.

Kilka dni po pierwszych znaleziskach gromadka dzieci lepiących bałwana natknęła się na lewe ramię Wendersa. Z zachowanym rękawem szarej marynarki i pokrytej runatnymi zaciekami koszuli leżało tuż za bramą cmentarza ewangelickiego na świeżo spadłym śniegu. Znowu fachowe cięcie. Dlaczego podrzucono ramię dopiero wtedy, w miejscu tak widocznym? Inspektorowi Braunowi pytanie to zadał nadkomisarz Arnold

von Marburg, bardzo ważna figura w stołecznym Wydziale Zabójstw. Berlin domyślał się, że wykrycie sprawcy przerasta możliwości wejherowskiej policji i potrzebna będzie interwencja fachowych sił z centrali.

Ignaz Braun zakończył właśnie sprawę handlującego końmi porywacza dzieci z północnej Turyngii i w chwale wytrawnego detektywa pojawił się w olbrzymim i surowym gmachu siedziby policji, witany przez znajomych z największą atencją. Zapukał do drzwi gabinetu von Marburga, spodziewając się decyzji o przyznaniu zasłużonego urlopu, tymczasem olbrzymi mężczyzna z sumiastym wąsem i łysą czaszką bez słowa podał inspektorowi artykuł o zbrodni w Wejherowie. Ignaz znał już treść i w sekundę odgadł, że czeka go podróż do Prus Zachodnich. Niejednokrotnie komplementowany był mianem wschodzącej gwiazdy cesarskiej policji i liczył się z kosztami takiej opinii.

Przyznawał w duszy, że pochlebiało mu zainteresowanie prasy i cieszył podziw okazywany przez przełożonych.

Ojciec Ignaza Brauna był Polakiem i inspektor mówił po polsku jak mieszkaniec Warszawy lub Wilna. W warunkach Prus Zachodnich umiejętność ta mogła się okazać bezcenna przy pozyskaniu zaufania miejscowej ludności.

Von Marburg był czcicielem kanclerza Bismarcka, ale należał do ludzi inteligentnych i potrafiących szerzej niż jego autorytet patrzeć na skomplikowane sprawy narodowościowe. Już dawno pogodził się z faktem, że nie wszyscy poddani Najjaśniejszego Pana są Niemcami z dziada pradziada i z radością, chociaż okazywaną na sposób pruski, dostrzegał w siedzącym naprzeciwko młodym człowieku dojrzewającego z każdym dniem rasowego detektywa.

Służba nie zna sentymentów i słabości. Inspektor Braun zapakował do walizki parę koszul i zapas kołnierzyków, trzy krawaty, koszulę nocną i na stacji Tiergarten wsiadł do pociągu kolei żelaznej. W walizce Ignaza nie zabrakło też kilku prac naukowych z zakresu geografii i historii Prus Zachodnich. Publikacje wydawały się policjantowi nieodzowne w teoretycznym przygotowaniu do prowadzenia śledztwa; na przykład taki Karl Perlin w swojej pracy

„Wanderungen durch die Sogen” w plastyczny sposób odmalował wszystko, co mogło być przydatne dla osoby przyjeżdżającej do Wejherowa. Wiedza humanistyczna zawsze przynosiła Braunowi wymierne korzyści.

Zbrodnia w Wejherowie szerokim echem odbiła się po całych Niemczech, chociaż sprawa podniesiona przez żurnalistów zgasła dla ogółu dość szybko. Wydarzeniem żyli nadal mieszkańcy miasteczka i najbliższych okolic. Policjanci kryminalni fascynowali się makabrycznym znaleziskiem, analizowali fragmentaryczne informacje, nad kufelkiem złocistego piwa i talerzem dymiących parówek dyskutowali, snując najrozmaitsze przypuszczenia. Centrala w Berlinie, dbając o prestiż praworządnego państwa, nie mogła pozwolić sobie na bezsilność i przegraną. Efektem narady w gronie bardzo ważnych osób była konkretna decyzja, w wyniku której Ignaz Braun dojeżdżał właśnie do Lęborka.

Cel podróży miał się ukazać oczom inspektora za niespełna trzy kwadransy.

Policjant wrażliwy na kobiece wdzięki doznał zawodu. Spodziewał się, a raczej miał nadzieję, że piękna nieznajoma będzie towarzyszyć mu do samego Wejherowa, tymczasem los zamierzał ukraść mężczyźnie kilkadziesiąt minut rozkosznej kontemplacji. Dama poprawiła dziewczynce zsuwające się od nieustannego wiercenia pantalon, zapięła na ruchliwym

ciałku bordowy paltocik, opatulila główkę perkalowym czepkiem i przez dziecięce ramię przełożyła szydełkowaną portmonetkę; sama sięgnęła po błękitnoszary płaszcz, ale w tym momencie inspektor nadludzkim wysiłkiem woli przełamał nieśmiałość, poderwał się i po sekundzie tulił w dłoniach miękką, ciepłą wełnę, w którą otulała się nieznajoma.

– Bardzo pan miły, łaskawy panie – szepnęła z uśmiechem kobieta.

– To nic takiego, moim obowiązkiem i przyjemnością będzie zapytać szanowną panią, czy nie zechciałaby wyświadczyć mi łaski i pozwolić wynieść jej bagaże z pociągu? – wyrzucił z siebie jednym tchem policjant.

– Zechciałby pan... Doprawdy?

– Ależ łaskawa pani! – Braun doświadczył ponownie przypływu odwagi.

Wzajemnym uprzejmościom nie było końca. Urzędnik podatkowy ze Szczecina, odziany w czarny surdut o niemodnym kroju, na moment podniósł głowę znad gazety i nieco zdziwiony niepotrzebnym zamieszaniem powrócił zaraz do zajmującej lektury. Zaledwie kilka osób wysiadało w Lęborku. Ignaz dość swobodnie przecisnął się do wyjścia z olbrzymią skórzaną walizką i pudłem na kapelusze.

Jeszcze chwila i straci z oczu kobietę, która zaintrygowała go jak nikt dotąd. Nieznajoma musiała wreszcie dostrzec uporczywe spojrzenia Brauna i spuściła oczy. Wybawienie z niezręcznej sytuacji przyniosło zatrzymanie się pociągu.

Inspektor otworzył drzwi, przepuścił damę i dziewczynkę, potem zaś, niosąc przed sobą bagaż, wytoczył się na zewnątrz.

Trzymając dziecko za rękę, błękitnoszara istota podeszła szybkim krokiem do dwóch kobiet, starszej i młodej.

Inspektor nieśmiało przy dreptał do witającej się gromadki, postawił obok kobiet walizkę i pudło na kapelusze, skłonił grzecznie głowę i

zamierzał się oddalić. Nagle nieznajoma wyciągnęła w jego stronę dłoń. Mimo że cienka jedwabna rękawiczka dzieliła Ignaza od szczęścia, gorąco przywar! ustami do mgiełki materii.

Sygnał z lokomotywy, krótka zapowiedź odjazdu pociągu i oczarowany mężczyzna pobiegł do swojego wagonu. Przytulił się do okiennej szyby i odprowadzał tęsknym wzrokiem kobietę.

Miał żal do siebie, że nie odważył się zadać nieznajomej kilku istotnych pytań. Gdyby to była jedna z podejrzanych! Podstępne i zawile pytania rodziły się wtedy w głowie inspektora jak gdyby pod wpływem szczególnego rodzaju natchnienia. Albo pytania krótkie i wymagające natychmiastowej odpowiedzi, demaskujące misterny plan ukrycia przestępstwa... Tutaj nieznajoma była władczynią, Ignaz natomiast pokornym sługą gotowym dać się poćwiartować dla jednego spojrzenia. Na myśl o ćwiartowaniu Braunowi przypomniawszy się cel podróży i policjant porzucił marzenie o tak szczególnym rodzaju oddania.

Nie znał nawet imienia tajemniczej damy, nie wiedział o niej nic i miał tylko nadzieję, że tęsknota po niespodziewanym zauroczeniu nie zakłóci trzeźwego myślenia, a ono w najbliższych dniach miało być najważniejsze. Policjant wpadł całym ciężarem ciała w fotel, czym wystraszył szczecińskiego urzędnika podatkowego pragnącego spokoju, i wpatrywał się w budynek dworca, w którego wnętrzu właśnie znikła postać kobiety.

Brauna nie interesowały teraz widoki wzgórz i nagich jeszcze konarów drzew, rdzawożółtych pól i małych domków. Zapomniał nawet o Johannie Wendersie. W nastroju smutku i zniechęcenia oddał się dręczącym, ale i słodkim wspomnieniom sprzed godziny, kiedy wydawało się, że ulotne szczęście będzie trwało wiecznie.

Kiedy pociąg dojeżdżał punktualnie do Wejherowa, Ignaz stał ponownie przed drzwiczkami wyjściowymi.

Szczeciński urzędnik z wyraźną ulgą przyjął fakt opuszczenia przedziału przez współpasażera i ziewnął przeciągle, na co nie chciał pozwolić sobie w towarzystwie. Inspektor natomiast wychodził z pociągu wyprostowany, starannie ważąc każdy ruch i starając się nie wzbudzić sobą zainteresowania przechodniów. Dworzec wejherowski, schludny i niepozobawiony małomiasteczkowego uroku, zrobił na policjancie wrażliwym na estetykę architektury dobre wrażenie. Braun opanował już emocje, kamienna twarz wyrażała obojętną uprzejmość dla całego świata. Nieznajoma musiała ustąpić przed zbrodnią. Obowiązkiem cesarskiego policjanta miało być całkowite oddanie się przywróceniu społeczeństwu wiary w praworządne państwo i Ignaz Braun miał świadomość wagi swojej misji. Nie honor Rzeszy interesował go jednak najbardziej. Myśliwy pragnął znaleźć trop zwierzyny. Czuł, że zbrodniarz jest blisko, że może przechodzić właśnie obok brukowaną drogą albo stać przed sklepową witryną. Inspektor berlińskiej policji wciągnął całą piersią rześkie powietrze i przyspieszył kroku.



Niespokojne miasto

Siedziba szefa policji wejherowskiej mieściła się w dolnej części budynku ratusza przy Rynku. Inspektor stanął przed frontem ratusza, spojrzał na kolumny strzegące wejścia do siedziby władz miejskich i pomyślał, że za jakiś czas właśnie tutaj będzie musiał zdać pierwszą oficjalną relację z wyników śledztwa. Wyobraził sobie burmistrza, który z wyrazem twarzy Bardzo Ważnej Osoby będzie się wsłuchiwał w końcowe konkluzje. Braun porzucił jednak szybko żartobliwe myśli i w postawie właściwej swojej funkcji przekroczył próg ratusza.

– Witam, witam uniżenie gościa z Berlina! – wykrzyknął niski szpakowaty mężczyzna o twarzy zapaśnika. – Jakże się cieszę, że pan inspektor przybył do naszego zacnego miasta! Szczęśliwy ten wtorek!

– Mam nadzieję, że jeszcze bardziej ucieszy się pan z mojego wyjazdu.

– Dlaczegoż to, jeśli wolno zapytać? – szepnął zbity z tropu komisarz Rudiger Rensch, szef wejherowskiej policji.

– Ponieważ będzie to znaczyło, że zbrodniarz został ujęty... – ze szczerą prostotą odpowiedział Braun i usiadł we wskazanym sobie fotelu.

– Widzi pan – zaczął nieco uspokojony komisarz – tutaj rzeczy mają się coraz gorzej. Interwencję z Berlina, powiem panu szczerze, traktowalibyśmy w każdym innym wypadku jako brak zaufania oraz dowód

pewnej bezradności z naszej strony. Tak. Ale miasto wrze. Mnożą się donosy, posądzenia, ludzie patrzą na siebie wzajemnie jak na morderców, kobiety starają się nie wychodzić po zmroku z domu. Wie pan, świat stanął na głowie.

Rensch wstał z fotela, oparł dłonie na blacie ciężkiego dębowego biurka i zaczął stukać palcami w drewno. Przybyły jednym spojrzeniem spowodował cofnięcie rozbieganych dłoni urzędnika.

– Ależ nie chciałem panu przeszkadzać w koncercie – przeprasząco zauważył Braun. – Wyznam, że Wydział Zabójstw w Berlinie szczególnie zajęła ta historia z nieszczęsnym Wendersem, która, z punktu, proszę mnie źle nie zrozumieć, zawodowego, stanowi atrakcyjny przykład przestępstwa. Czuję się wyróżniony i ze swej strony postaram się zrobić wszystko, aby morderca nie uciekł przed prawem.

– Heinz! Dwie kawy i koniak! – wykrzyknął w stronę zamkniętych drzwi gabinetu komisarz Rensch i już po chwili w drzwiach pojawił się umundurowany otyły blondyn w średnim wieku z posrebrzaną tacą. – Niech pan uwierzy – kontynuował policjant po wyjściu Heinza – że staraliśmy się zrobić wiele. Nakłady na policję w tak spokojnym mieście nie są zbyt duże. Tak. Robimy, co możemy, ale muszę pracować z takim Heinzem i innymi.

Oni dobrze parzą kawę, potrafią jeździć bicyklem, ale...

– Wenders? – krótko rzucił berliński inspektor.

– Ach tak, słusznie, przystępuję do rzeczy – Rensch wygodnie usadowił się w fotelu i zaczął starannie ważyć słowa. – W małym skupisku ludzkim znajduje się potencjalnie mniej kandydatów na morderców. Ale to tylko jedna strona medalu. Tak. Ludzie są tutaj zamknięci. Mało wylewności, wzajemna lojalność posunięta do przesady, pan rozumie... Mur milczenia, a jeśli ktoś mówi, to niezbyt mądrze. Wiele donosów, pochopnych sądów, bajek. Czy pan uwierzy, że kilka dni temu na policję zgłosiła się

sześćioletnia dziewczynka i powiedziała, że Wendersa zabił jej rodzony ojciec, a potem cała rodzina zjadła ciało na obiad.

Tak. Pieczeń, marchewka, ziemniaki... Kilkadziesiąt dobrowolnych zeznań, wiele z nich sprawdziliśmy, jedno bardziej nedorzeczne od drugiego. Ci, którzy mogliby coś wyjaśnić, milczą jak zakłęci.

Inspektor postanowił przerwać wywód Renscha. Wstał, podszedł do biurka i z uprzejmym uśmiechem zwrócił się do gospodarza.

– Jeśli dobrze pojąłem pańskie słowa, mamy do czynienia z psychozą strachu powiązaną z obawą przed odpowiedzialnością za własne słowa. Z kolei ta niewyszukana rozrywka polegająca na wymyślaniu i przekazywaniu niestworzonych historii...

– Genialna synteza, panie inspektorze! Trudna sprawa. Kiedy dowiedziałem się o pana przyjeździe, odetchnąłem z ulgą. Tak. Nie żebym bał się ciężaru śledztwa, ale... sytuacja jest trudna. Prowincjonalni policjanci, zdeterminowany przestępca, może jeszcze kawy?

– Raczej koniaku, potwornie zmarzłem po wyjściu z pociągu. Tutejszy klimat jest stanowczo zbyt surowy – wzdrygnął się Braun.

Długo jeszcze inspektor bawił w gabinecie komisarza Renscha. Po dwóch koniakach krew zaczęła żywiej płynąć w ciele wrażliwego na chłód policjanta. Umysł Ignaza z wolna zaczynał segregować informacje uzyskane od życzliwego i zakłopotanego funkcjonariusza. Piętra i pokoiki mózgu zapełniały się faktami, lektura stenogramów zeznań i relacji z miejsc istotnych dla sprawy dostarczała berlińskiemu policjantowi dreszczy emocji. Wiedział już, że morderca jest oryginałem. Braun zatęsknił za pozostałymi częściami ciała ofiary. Miał to być priorytet i równoległy do przesłuchań wątek śledztwa. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że dokumentacja jawi się bardziej uporządkowana niż wskazywałyby słowa sympatycznego człowieka siedzącego za olbrzymim biurkiem.

– Pozostaje mi wyrazić nadzieję, że fachowość stołecznego Wydziału Zabójstw uosobiona w łaskawym panu inspektorze wniesie do śledztwa ożywczy powiew – wyczerpany długą relacją Rüdiger Rensch zakończył, jak mógł najlepiej, i padł w przepastny fotel.

– Ależ drogi panie, bez pańskiej pomocy nie dokonam wiele... – Braun jednym pochlebnym wyznaniem potrafił zdobyć życzliwość i zaufanie niejednego urzędnika średniego szczebla.

– Dla pana wszystko! – wykrzyknął zadowolony Rensch. – Tak. O każdej porze dnia i nocy będę gotów ująć w pana towarzystwie sprawcę nieszczęścia. Koniaczku?

Ignaz, wiedząc, że komisarz wypił już pięć koniaczków, kategorycznie odmówił. Sam uraczył się dwoma kieliszkami, stanowczo nie potrzebował więcej. Odkąd pamiętał, alkohol napawał go zabobonnym lękiem i rozsądny młody człowiek nigdy nie pozwolił sobie na wprowadzenie się w stan określany mianem rauszu.

– Oczywiście władze miasta zobowiązane są do udzielenia szanownemu panu inspektorowi pełnej pomocy. Czy mogę zapytać o najbliższe plany?

– Pana już przesłuchałem – kostyczny uśmiech przebiegł po twarzy Brauna – czas na rodzinę Wendersa, przyjaciół, znajomych, może wrogów. Niewielkie miasto, prawda, ale zaręczam panu, że w Berlinie kolejka delikwentów do przesłuchania nie byłaby dłuższa.

– Tak. Pracy nam nie zabraknie – filozoficznie zauważył Rensch. – A teraz coś przyjemniejszego, drogi inspektorze. Mam honor zakomunikować, że pozwoliłem sobie dokonać wyboru lokum na czas pańskiego pobytu w Wejherowie. Hotel nazywa się Kóniglicher Hof. Ulica Gdańska. Właścicielem jest pan Alsleben, bardzo przyzwoity obywatel. Tak. Obfita kuchnia, dobre trunki, grzeczna i dyskretna obsługa. Pan komisarz trafi?

– Pan żartuje...

– Przepraszam. Od jutra do pańskiej dyspozycji, oprócz mojej skromnej osoby, będzie najlepszy z moich posterunkowych. Stosunki w mieście, ludzie, zdarzenia, konkrety, wszystko będzie potrzebne – Rensch wyczekująco zawiesił głos.

– Jestem niewymownie wdzięczny panu komisarzowi i chętnie poznam jego człowieka – Braun podniósł się z fotela i podał dłoń komisarzowi. – Dziękuję za życzliwe przyjęcie. Przybędę do łaskawego pana wkrótce.

Inspektor został odprowadzony przez zażywnego policjanta aż do drzwi frontowych. Rensch przywiązywał dużą wagę do relacji z ludźmi, od których mogły zależeć jego dalsze losy. Czuł się zagubiony przy młodym inspektorze przybyłym ze stolicy, o którym po długiej rozmowie nie mógł powiedzieć niczego konkretnego. Gość źle reagował na zimno i nie należał do szczególnych miłośników alkoholu. To wszystko. Słabe strony inspektora, jeśli istniały, były starannie maskowane. Uprzejmość, zjadliwy humor, nieśmiałe gesty, wszystko to mogły być zawodowe środki konieczne w pracy śledczej. Ridiger Rensch odprowadzał uważnym wzrokiem postać berlińskiego policjanta oglądającego kamieniczki i szukał w myślach sposobu pozyskania człowieka, od którego wiele miało zależeć.

Popołudnie przyniosło znacznie lepszą pogodę. Posterunkowy oddelegowany przez Renscha miał zgłosić się do Königlicher Hof dopiero następnego ranka. Kości inspektora mającego do dyspozycji kilkanaście wolnych godzin domagały się rozprostowania. Od najmłodszych lat Ignaz należał do wielkich zwolenników ćwiczeń gimnastycznych, tymczasem w pociągu kolei żelaznej i później, u komisarza, bezruch dał mu się mocno we znaki. Rozejrzawszy się po Rynku, młody policjant szybkim krokiem podążył w kierunku hotelu. Tam zameldował się tylko, oddał walizkę, przemył twarz w recepcyjnej toalecie i wyruszył na miasto.

Rynek przykryła już zasłona mroku. Jeden po drugim znikali przechodnie. Ignaz zauważył, że ludzie przemykali pod murami domów szybkim krokiem, kłaniali się nieznacznym dotknięciem dłonią kapelusza czy czapki, oglądali się, słysząc za sobą szybsze kroki. Nie tylko przejmujący chłód był przyczyną takiego zachowania. „Więc tak wygląda pruskie miasto przejęte strachem...” – skonstatował przybysz i zadziwił się swoim banalnym spostrzeżeniem.

Braunowi zdarzało się prowadzić śledztwa na prowincji. Przybywał wtedy szybko i zaraz zabierał się do pracy.

Gniew obywateli dominował nad przerażeniem, wstyd za zdarzenie zaistniałe w rodzinnej miejscowości wprawiał dzielnych mieszkańców w furję. Gotowi byli do amatorskich poszukiwań na własną rękę, ale też pomagali policji, na ile tylko potrafili.

Wejherowo zdawało się inne. Dziwaczność zbrodni przytłoczyła miasteczko. Bezradna policja przestała wzbudzać szacunek i zaufanie. Potem sprawy potoczyły się szybko. Gniew zamienił się w strach, rosło przeświadczenie, że szalenciec może zaatakować raz jeszcze. Absurdalne podejrzania były konsekwencją bezsilności. Ludzie zaczęli zamykać się w swoich domach, nie wierzyli już sąsiadom i znajomym.

Spacer po opustoszałym Rynku oraz ulicach Lęborskiej i Gdańskiej nie przyniósł szczególnie istotnych spostrzeżeń.

Zamknięte sklepy, martwe jeszcze drzewa, okna świecące nikłym blaskiem lamp naftowych przywitały policjanta chłodem. Młody człowiek miał jednak rzadką w swoim pokoleniu cechę. Umiał czekać. Wiedział, że rankiem miasto zatętni życiem. Stukot końskich kopyt wyznaczy rytm dnia budzącemu się światu urzędników, kupców i rzemieślników. Wystawy sklepowe zaczną kusić wszystkimi kolorami tęczy, kościelne dzwony

oznajmią miastu, że życie toczy się dalej, szkoły zaroją się od falujących ławic uczniów.

Za kilka godzin Cesarstwo obudzi kolejny świt przedwiośnia. Przed inspektorem Braunem miały się wtedy otworzyć nieograniczone możliwości. Policjant założył koszulę nocną i nie zapomniawszy o kilku ćwiczeniach gimnastycznych, z lubością wpadł pod puchową kołdrę. Należał do ludzi zdyscyplinowanych, uporządkowanych i dbających o higienę psychiczną, postanowił więc zasnąć niezwłocznie. Tak też uczynił.



Przewodnicy

Ignaz obudził się przed szóstą. Spojrzał na zegarek i postanowił spędzić w ciepłym łóżku jeszcze kwadrans. Siedem godzin snu przyniosło inspektorowi dobry nastrój. Zamierzał od samego rana rozpocząć śledztwo i kiedy przez ciężkie kotary przebił się promyk jasności, Braun rozpoczął ćwiczenia gimnastyczne.

Wstawał słoneczny dzień. Ranek pachniał przyjemnie.

Gdzieś niedaleko zaszczekał pies, niski głos uciszał zwierzę, konie rozmaitych maści kroczyły po bruku, dźwigając ciężary. Ignaz lubił miejski świt. Z wielkim zajęciem obserwował ludzi spieszących do codziennych obowiązków, cieszyła go rześka niewinność rozpoczynającego się dopiero dnia.

Z hotelowego okna dojrzał rzeczkę płynącą wartkim nurtem. Pod ulicą woda przepływała niewidoczna dla oka, wypływając po drugiej stronie w niezmiennym kształcie.

„Rzeka nie doznaje metamorfozy w ukryciu, człowiekowi to się zdarza” – pomyślał Ignaz, który uwielbiał wymyślać aforyzmy.

Widok staruszka na wozie pełnym baniek z mlekiem wzbudził w inspektorze dojmujące uczucie głodu. Uświadomił sobie, że ostatni posiłek

zjadł w południe dnia poprzedniego w wagonie restauracyjnym pociągu kolei żelaznej.

Miska z wodą na mosiężnym stojaku, brzytwa, proszek do mycia zębów, świeży ręcznik, i berliński policjant gotów był do ukazania się w hotelowej restauracji.

Okna lokalu wychodziły na ulicę Gdańską stykającą się po kilkunastu metrach ze wschodnią pierzeją Rynku.

Ignaz, zaprowadzony do swojego stolika przez dystyngowanego kelnera o oszczędnych, arystokratycznych ruchach, z zadowoleniem usiadł przy szerokim oknie. Nie minęło wiele czasu, gdy przed wygłodniałym policjantem pojawiło się jajko na miękko, zapachniały świeże bułeczki i żółciutkie masło. Aromat kawy ze śmietanką przypomniał inspektorowi wizyty u babci mieszkającej w Wielkopolsce.

Berlińska śmietanka nie miała tego posmaku nieskalanej ambrozji. Bliskość wiejskich gospodarstw dawała w tej dziedzinie przewagę małym miastom.

Ignaz starał się jeść w sposób właściwy gościowi eleganckiego hotelu. Kiedy posypywał solą i pieprzem ostatni kawałek jajka, niemal płynąc w powietrzu, przybliżył się do jego stolika wytwornie ubrany młody mężczyzna z monoklem na nieco wylupiastym oku.

– Inspektor Braun... Zaszczyt to dla tak skromnego hoteliku, zaszczyt niepomierne. Pozwoli pan, Alsleben, właściciel. Komisarz Rensch o wszystkim poinformował, o wszystkim – hotelarz wyprężył dumnie pierś i oczekiwał na powitanie ze strony policjanta.

– Czy poinformował też łaskawego pana, kto zabił i poćwiartował Johanna Wendersa? Byłbym zobowiązany... – wesoło odpowiedział Ignaz.

– Znakomite, doprawdy znakomite! – zaśmiał się gospodarz. – Od razu poznać, że przybył pan ze stolicy! Cóż za dowcip! Mogę się przy sięść?

Gość wstał i szybkim ruchem odsunął krzesło. Alsleben, zaskoczony manierami inspektora, usiadł. Z racji profesji uważał się za wytrawnego przedstawiciela nauk psychologicznych. Rozmówca po kilku minutach konwersacji wydał się gospodarzowi typem człowieka zjadliwego i przenikliwego, choć niepozabawionego polotu towarzyskiego. „Stary Rensch miał rację” – przyznał w duchu hotelarz, który poprzedniego wieczoru odwiedził komisarza z pękatą butelką anyżówki.

– Znam tu w zasadzie wszystkich. Moi rodzice przeprowadzili się do Wejherowa z Nadrenii, kiedy miałem sześć lat. Podwórka, sklepy, ludzie, towary, niewiele się przede mną ukryje. Taki zawód. Pochlebiam sobie, że mogę stanowić dla pana inspektora znakomite źródło informacji. Jestem porządnym obywatelem, płacę uczciwie niemałe podatki na rzecz miasta i kraju, mam chyba prawo być blisko tej sprawy, bo wiem wiele. Pomogę panu inspektorowi – wyraz twarzy Alslebena świadczył o jego nieposkromionej ciekawości.

– Marnuje się pan jako, znakomity co prawda, hotelarz – szeroko otwarte oczy inspektora wyrażały udawany podziw. – Pańska osoba powinna być protegowana w berlińskim Wydziale Zabójstw!

– Doprawdy?! – Alsleben boleśnie odczuł ironię w głosie policjanta. Uświadomił sobie, że zbyt nachalnie usiłował zaznaczyć rolę swojej osoby.

– A mówiąc poważnie, rzeczywiście będę miał do pana kilka pytań. Odpowiedzi mogą okazać się ważne, kto wie... W swoim czasie spotkamy się na pewno.

– Tymczasem cały hotel zostawiam do dyspozycji pana inspektora. Służba na zawołanie, napiwki zbędne, wyborna kolekcja cygar i trunków z całej Europy. Czy łaskawy pan będzie miał jakieś specjalne życzenia?

– Nie, nie sędzę. Chociaż... Widzi pan, bardzo lubię ciepło. Gdyby w moim pokoju, z którego jestem niepomiernie zadowolony, mogło być

jeszcze ciepłej...

– Dzisiaj, co ja mówię, za chwilę stanie się wedle pańskiego życzenia – hotelarz uznał, że podczas tej rozmowy nie wyciągnie już z inspektora żadnych informacji i niechętnie wstał od stolika.

Ledwie dostrzegalny uśmiech przebiegł po twarzy Ignaza. Inspektor tylko przez moment odprowadzał wzrokiem hotelarza, potem zaś zagłębił łyżeczkę w kawałku świeżej szarlotki na gorąco, wdzięczącej się na talerzyku z cienkiej porcelany. Alsleben był nuworyszem, ale potrafił dbać o najdrobniejsze elementy mogące świadczyć o prestiżu hotelu. Wykwintna kuchnia, elegancka zastawa, wystrój pomyślany ze smakiem.

Kilkanaście minut pozostało do spotkania z policjantem oddelegowanym z komisariatu, inspektor pozwolił więc sobie na słodką chwilę nieróbstwa. Raczył się ciastkiem; wróciła w myślach nieznajoma z pociągu. Kim była? Jakie było jej imię i jaki był cel podróży do Lęborka?

Może po prostu tam mieszkała? Nie mógł poradzić sobie z powtarzającymi się natrętnie pytaniami. W sferze prywatności Ignaz Braun zamykał się w skorupie ślimaka, paraliżował go strach przed odrzuceniem. Z tym większym zapałem tropił przestępców, ingerował brutalnie w świat małych i większych grzeszków i tajemnic, okazywał swoją siłę pyszałkom i bufonom.

Ze słodkich myśli, poświęconych damie w gustownym kapeluszu z czereśniami, wyrwał Ignaza przyjemny, niski głos.

– Pan inspektor pozwoli. Posterunkowy Anton Myszk.

Do dyspozycji pana inspektora.

– Czekałem. Bardzo się cieszę, że będziemy razem pracować. Może kawy?

– Nie śmiałym... – spieszył się Myszk.

– Proszę zapamiętać: niech pan nigdy w mojej obecności nie używa takich słów. Mamy razem odnaleźć waszego domorosłego rzeźnika i musimy wyzbyć się tych...

(Braun o mało nie powiedział „pruskich”) hierarchicznych nawyków. Kawa dla pana i szarlotka! Nie, dwie szarlotki!

Rozmowa inspektora z posterunkowym była owocna.

Myszk przekonał się, że policjant z Berlina jest człowiekiem z krwi i kości, nie okazuje wyższości niższemu stopniem i potrafi słuchać. Braun z kolei zrewidował w myślach pogląd komisarza. Narzekanie na kwalifikacje wejherowskich funkcjonariuszy okazało się przesadzone. Mimo stosunkowo młodego wieku posterunkowy zdawał się człowiekiem spostrzegawczym i niepozbawionym krytycyzmu w odniesieniu do świata, w którym przyszło mu żyć.

– Właściwie znam osoby, które ta sprawa dotknęła.

Tacy niby zwyczajni ludzie, a każdy ma swoje tajemnice.

Co prawda to prawda, ja też je mam, może nawet pan inspektor je ma – Myszk, wyraźnie już ośmielony, wywołał swoim przypuszczeniem uśmiech na twarzy Brauna. – Ci ludzie boją się powiedzieć o wszystkim. Wiedzą jeden o drugim niemało. Ale to tak, jak z kostkami domina. Zawali się jeden element, pan inspektor pamięta, runą następne. Aż do końca.

– A co pan właściwie wie o Wendersach?

– Tyle co wszyscy. Mają, to znaczy mieli syna jedynaka. Piekarz ma jeszcze córkę z pierwszego małżeństwa, ale nie utrzymuje z nią kontaktów. Nie, żeby nie chciał, ale ona jest klauzurową zakonnica. Johannes i Irmgarda prowadzą dość zwyczajny tryb życia. On świata nie widzi poza piekarnią, czasami bractwo kurkowe... Żadnych słabości chyba nie mają. Pani Irmgarda, osoba lubiąca znajdować się w centrum zainteresowania,

należy, bo to luteranie, proszę pana, do Towarzystwa Biblijnego w Wejherowie.

Pomagają ubogim, wspierają oświatę, no i nie lubią Żydów. Zresztą ładna kobieta. Wenders zdaje się nie ma wrogów, nie licząc piekarza Langego, ale ten ofiarnie pomagał konkurentowi w ostatnich tygodniach. Wszyscy podziwialiśmy poświęcenie starego Wenera, zwłaszcza Johannes.

– Muszę widzieć Wendersów. To chyba najważniejsze – inspektor Braun nie myślał już o pochłoniętym przed chwilą deserze.

Anton wyprężył dumnie pierś i szczerząc zęby do berlińskiego policjanta, powiedział z dumą:

– Pomyślałem o tym wczoraj, na wieść o pańskim przybyciu. Johannes i jego żona czekają na pana inspektora o dziesiątej w swoim domu. Tu niedaleko, nad piekarnią.

– Anton, pan zasłużył na dodatkową szarlotkę – ucieszył się Braun.

Bez pomocy posterunkowego Ignaz zapewne również spotkałby się tego przedpołudnia z rodzicami poćwiartowanego gimnazjalisty, ale intuicja i szybkość działania wejherowskiego policjanta dobrze wróżyły na przyszłość.

Rynek w blasku słonecznego poranka zrobił na inspektorze znacznie korzystniejsze, niż poprzedniego wieczoru, wrażenie. Na środku obszernego placu stał, ogrodzony kunsztownie zdobionym mosiężnym ogrodzeniem, pomnik Wilhelma II. Cesarz z dumą właściwą pomazańcowi Bożemu i spokojem typowym dla postaci z brązu stał odwrocony plecami do ratusza, jakby w porozumieniu z władzami miasta miał sprawować pieczę nad mieszkańcami grodu. Nad Rynkiem unosił się zapach przedwiośnia, świeżego pieczywa i mocnej kawy. Miasta najpiękniej pachniały rankiem. Braun wciągnął głęboko powietrze i wsłuchał się uważnie w słowa swojego przewodnika.

Długą chwilę trwało barwne opowiadanie o mijanych sklepach i ich właścicielach. Precyzyjne spostrzeżenia kontrastowały z anegdotami sypanymi jak z rękawa.

Braun zazdrościł posterunkowemu otwartości i optymizmu, ale też polubił go od razu. Zdawał sobie sprawę, jak cennym znaleziskiem, pośród wszystkich lisów, niedźwiedzi i nietoperzy świata, jest ten szczerzy i prosty chłopak.

Wejherowo nie było zbyt starym miastem. W całych Prusach Zachodnich roiło się od grodów lokowanych jeszcze w czasach panowania krzyżackiego, a swoim rodowodem sięgających głęboko w zaranie państwa Piastów.

Tymczasem rodzinne miasto Antona założono „na pniu” dopiero w połowie siedemnastego stulecia. Wojewoda Jakub Wejher w swoich dobrach założył miasto i z pierwszą, a po jej śmierci z drugą żoną fundował pierwsze kaplice kalwarii. Sprowadził franciszkanów, dał przywileje osadnikom.

Był urodzonym gospodarzem, ale i żołnierzem. Jako poddany królów polskich walczył z Moskwą, Kozakami i Szwedami. Za zasługi dla Polski został nawet mianowany senatorem. Zmarł, zdaniem Antona, stanowczo za wcześnie, a teraz spokojnie oczekiwał na zmartwychwstanie w krypcie pofranciszkańskiego kościoła pod wezwaniem św. Anny.

Obaj policjanci obeszli wkoło Rynek. Do dziesiątej brakowało jeszcze kilku minut, a funkcjonariusza stołecznego Wydziału Zabójstw, podobnie jak pociągi cesarskiej kolei żelaznej, musiała cechować najwyższej próby punktualność.

Dla inspektora miłym odkryciem był fakt, że tutejsze sklepy zbytnio nie odbiegały asortymentem i poziomem wystroju od składów berlińskich. Markizy nad szerokimi wystawami przypominały Ignazowi Unter den

Linden albo Ku'damm. Brakowało olbrzymich domów towarowych i szerokich ulic, ale nastrój budzącego się dnia był podobny.

Wiedza posterunkowego przedstawiała się imponująco. Wiedział, w którym roku powstała jedna z pierwszych w obrębie kilku okolicznych powiatów apteka, znajdująca się u zbiegu ulic Puckiej i Gdańskiej. Opowiedział o niedawnych perypetiach finansowych właścicieli wytwornego domu towarowego Modę Basar Bliimel & Selbiger przy wschodniej pierzei Rynku. Skład A. Kuhnkego przytulony do ściany ratusza czy Maksa Wolffa po przeciwnej stronie Rynku, znane i szanowane przez tutejszą społeczność, dopełniły korzystnego obrazu miasta.

– Długo by opowiadać, bo każdy z nich ma jakieś słabostki, tyle że niezbyt szkodliwe. Wenders na przykład nie boi się żony, chociaż ona o tym nie wie.

– Nietypowe zjawisko. A ten kościół okolony drzewami? – zainteresował się Ignaz.

– To nasz kościół farny św. Trójcy. Wendersowie raczej tu nie bywają, bo to kościół katolicki. Czy pan inspektor życzyłby sobie zajrzeć do środka?

– Później. Chciałbym być punktualny...

Rozumiem, a, z przeproszeniem pana inspektora, Pan inspektor katolik czy luteranin? – nieśmiało zapytał Posterunkowy Mysz.

Katolik, jeśli to ma dla pana jakieś znaczenie.

– A to dobrze, bo pokażę panu inspektorowi w wolnej chwili kalwarię. Dwieście pięćdziesiąt lat historii, no i ładne są te nasze kapliczki. Z rodziną można sobie w niedzielę wyruszyć na spacer albo majówkę. Pan inspektor ma rodzinę?

– I kto tu ma prowadzić przesłuchania! – półgębkiem zaśmiał się Braun.

– Nie, jeszcze nie mam, ale kiedy będę miał zamiar się ożenić, nie

omieszkać o tym zameldować panu posterunkowemu.

Tak oto w pogodnym nastroju dwaj policjanci weszli z Rynku w ulicę Lęborską. Niemal wielkomiejski charakter tego rejonu miasta przypomniał Ignazowi berlińską Frankfurterstrasse, na której w renomowanym składzie księgarskim pracowała pewna rumiana blondyneczka o imieniu Elizabeth.

Nie czas był jednak na wspomnienia. Braun z uwagą przyglądał się przechodniom. Na równym bruku stało obok siebie trzech żywo gestykulujących mężczyzn w jednakowych czapkach. Ubrany na czarno urzędnik w średnim wieku prowadził rower. Turkotały wozy. Dwie panie w jasnych kapeluszach uśmiechały się do młodego człowieka wdzięczącego się na ich widok. Starszy mężczyzna z laską o rzeźbionej misternie główce stał przed wystawą cukierni prezentującą ciastka z olbrzymią zawartością bitej śmietany i różnokolorowych kremów. Jakże przyjemnie było przyglądać się ludziom całkiem prywatnie, chociaż Ignaz dałby sobie uciąć rękę, że robił to wyłącznie z zawodowego punktu widzenia. Nie wiedział może, że rasowemu policjantowi trudno oddzielić własne upodobania od nawyków wyniesionych ze stołecznego Wydziału Zabójstw.

Wreszcie posterunkowy Myszak zwolnił kroku. Po przeciwnej stronie urzędu pocztowego, w sąsiedztwie składu z szyldem Drogerie – Farben, należącego do Davida Riesego, bił w oczy napis, który wzbudził w Braunie dreszcz emocji. Wenders Backerei.



Piekarz i jego żona

Wnętrze piekarni lśniło czystością. Białe, kremowe i seledynowe kafelki ogrzewał niemal poetyczny widok chlebów o najrozmaitszych kształtach, kajzerek i rogalików. Drożdżówki oblane lukrem i zdobione kandyzowanymi owocami dystansowały się od pospolitych na pierwszy rzut oka słonych wypieków, ale nie miały racji. Chleby, rumiane i uformowane w kształty o idealnych proporcjach, kusily oko każdego, kto przekraczał próg owego ziemskiego rajy. Za szklaną przegrodą na zgłodniałych klientów i ich dzieci czekały gotowe kanapki z serem lub szerokimi plastrami salami. Obok stały słoje z kruchymi ciasteczkami upiękuszonymi marmoladową plamką.

Inspektor dał się ponieść co najmniej dwóm zmysłom – wzrokowi i węchowi – w niedostępne jeszcze przed momentem obszary odczuć i marzeń.

Obfite śniadanie zjedzone w Königlicher Hof zdawało się należeć do zamierzchłej przeszłości.

W sklepie znajdowała się tylko jedna klientka, starsza kobieta o wesołej twarzy. Za ladą stały dwie młodziutkie sprzedawczynie, podobne do siebie jak dwie krople wody.

Ich niebieskie fartuszki przyjemnie kontrastowały z białymi koronkowymi bluzkami zapiętymi wysoko pod szyją.

Obaj mężczyźni odruchowo spojrzeli się na siebie i porozumiewawczo uśmiechnęli. Dziewczęta stanowiły największą ozdobę piekarni.

Widząc posterunkowego w towarzystwie nieznanego mężczyzny, jedna ze sprzedawczyń wyszła dyskretnie na zaplecze, skąd po chwili wyszedł zwalisty mężczyzna w średnim wieku. Od czarnego surduta odbijała się blada twarz o grubo ciosanych rysach. Wielka głowa Johanna Wendersa mogła być wymarzonym modelem dla adeptów rzeźbiarstwa. Bruzdy, zagłębienia, głęboko osadzone oczy patrzące władczo na otoczenie, siwe włosy zaczesane do tyłu, wszystko to sprawiało, że twarzy nieszczęśliwego ojca nie sposób było zapomnieć. Właściciel piekarni musiał stanowić nieczęsty przykład człowieka, w którym porywczosć łączy się w przedziwny sposób z chłodem i wyniosłością, a namiętności walczą o władzę nad duszą z potrzebą ascezy.

Przenikliwe spojrzenia inspektora i piekarza spotkały się i krzyżowały sekundę dłużej niż należało. Braun odgadł, że w rozmowach z Wendersem nie będzie mógł pozwolić sobie na żadną złośliwą uwagę. Wykluczył też przywoływanie świadka do porządku krótkimi, ostrymi poleceniami, które opanował jeszcze w Recklinghausen na letnim obozie szkoły policyjnej.

Powitanie, ograniczone do kilku zdawkowych zwrotów, nie odbiegało od wyobrażeń o poprawnym zachowaniu się wobec nowo poznanych osób. Wenders wymownie spojrzął na dwie sprzedawczynie i zdecydowanym gestem dłoni zaprosił policjantów na zaplecze. Minąwszy pomieszczenie zawierające półki z gotowymi już wypiekami, trzej mężczyźni wspięli się po wąskich schodach na pierwsze piętro. Nagle znaleźli się w innym świecie.

Tutaj nie dochodził zapach świeżego chleba. Delikatna woń lawendy przesycała powietrze, zdając się jego częścią, a nie jedynie pozostałością wody toaletowej rozpylonej dookoła. Korytarz obity tapetą w ciężkich barwach prowadził do czterech pokoi. Wszystkie były zamknięte.

Wenders podszedł do drzwi pomieszczenia wychodzącego na ulicę i zapukał. Słaby głos zaprosił do środka.

Z fotela obitego adamaszkiem wstała niespiesznie kobieta w czerni. Każdy jej ruch zdawał się płynięciem w gęstym powietrzu. Z gracją podała do ucałowania dłoń inspektorowi, zaszczyciła ledwie dostrzegalnym uśmiechem posterunkowego i usiadła. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się pokojówka w białym fartuszkach z tacą pełną miśnieńskiej porcelany. Aromatyczny zapach i smak kawy dobrze zrobił Braunowi przytłoczonemu duszną atmosferą damskiego saloniku. Pyszniące się dookoła okien zakrytych firanami grube zasłony z brokatu czyniły wnętrze, według utrzymującej się mody, ciemnym i nieco przeładowanym. W rogu stał szykowny parawan obrazujący egzotyczną kobietę na tle wyrafinowanych motywów roślinnych; na okrągłym stoliku zdziwiony Ignaz kątem oka dojrzał dopiero co odłożony najświeższy numer „Die Modenwelt”

– Jakże mi przykro, że w takich okolicznościach mam zaszczyt poznać czcigodną panią i szanownego pana – jak najuprzejmiej zaczął inspektor. – Państwa pomoc będzie kluczowa dla wyjaśnienia tego, co zaszło. Jeśli państwo pozwolą...

– Zrobię dla pana wszystko, żeby pomóc w złapaniu mordercy! – Wenders wyrzucił z siebie w jednym zdaniu emocje, które targały nim od chwili, kiedy dowiedział się o przyjeździe policjanta z Berlina.

– Ależ Johannesie, opanuj się, twoje serce... Przecież pan inspektor wie, że może na nas liczyć. Prawda, panie inspektorze?

Pani Irmgarda obdarzyła Brauna ciepłym spojrzeniem, a obfita pierś ukryta pod koronkową bluzką zafalowała szybciej. Policjant postanowił unikać badawczych spojrzeń piekarszowej.

Muszę mówić z państwem o wszystkim, co wzbudza moje zainteresowanie, a dotyczy Johanna. Nie będzie to łatwe dla zbolełych rodziców, z góry przepraszam...

Szybki, potakujący ruch głowy Wendersa. Żona spojrzała na niego, przez moment zawahała się, wreszcie nieśmiało powiedziała „tak”.

Co państwo tak naprawdę myślą o tej zbrodni?

Na pewno mają państwo jakieś podejrzenia; nie twierdę, że muszą się sprawdzić, ale tak już jest, że czasami drobiazg może wyjaśnić wiele.

– Może ja zacznę, mąż taki porywczy – zaproponowała piekarszowa. Płynne dotąd ruchy ramion i dłoni nabrały ostrości, pani Irmgarda cała oddała się opowieści.

– Widzi pan, inspektorze, Johann był naszą największą radością. Mąż z pierwszego małżeństwa ma córkę, ale ona... Jej matka była katoliczką, ona zaś wstąpiła do klasztoru. To smutne. W każdym razie został nam tylko Johann i Bóg zabrał go właśnie teraz, kiedy chłopiec rozpoczynał życie. Nawet chrześcijańskiego pogrzebu nie możemy jeszcze wyprawić! Pan inspektor też miał kiedyś osiemnaście lat...

Braun skłonił grzecznie głowę.

– Nie mogliśmy mieć więcej dzieci. Przywiązywałam, tak jak i mąż, wielką wagę do wychowania syna. Wiedzieliśmy o każdym problemie, jaki miał Johann. Był z nami bardzo mocno zżyty. Szybko zauważyłam, że ma szczególne uzdolnienia. Nauki ścisłe, tak to się nazywa, Johann opanowywał zawsze z dużym wyprzedzeniem.

– Czy syn uczył się prywatnie?

– Tak, ale tylko z początku. Potem już w Królewskim

Gimnazjum – pani Irmgarda podniosła dumnie krągły podbródek. – Był bardzo koleżeńskim chłopcem... Pomagał słabszym uczniom, ich rodzeństwu.

Zachodził do naszego sąsiada, pana Augusta Richtera, udzielał jego córce

Annie lekcji niemieckiego. To prości ludzie, rozumie pan, rzeźnik, dziewczynka miała kłopoty z poprawną wymową, a Johann na dodatek pisał pięknie wiersze.

– Irmgardo, co mają do rzeczy jakieś wierszyki – obruszył się Wenders.

– Przeciwnie, przeciwnie. Czy łaskawa pani ma jakieś ślady twórczości syna? – niespodziewanie ożywił się policjant, a posterunkowy Myszczk spojrzał na niego zdezorientowany.

Pani Irmgarda z nieskrywaną sympatią pogłaskała

Ignaza miękkim wzrokiem, podeszła do inkrustowanego sekretarzyka, chwilę poszperała w papierach i wreszcie jej twarz rozjaśniła się smutnym uśmiechem. Usiadła wygodnie w fotelu, rozłożyła granatową oprawę zeszytu i zaczęła czytać:

W bukowym lesie.

Chodzę po lesie, a wokół jest mrok.

Stąpam i ludzi nie słyszę.

Na stare korzenie nadepnę co krok,

Chłonę cudowną tę ciszę.

Godziny nie mają tutaj znaczenia,

Czas poza lasem pulsuje.

Las nie ma serca, nie ma sumienia.

I czasem w duszy coś kluje.

W mieście nie ujrzę nic złowrogiego.

Las mnie napęlnia marzeniem.

Brunatnego i cienia białego,

Ślad kusi nieba spełnieniem.

Westchnęła. Myszki nie spuszczał z oczu kobiety, w której wnętrzu napięcie sięgnęło zenitu. Odczekawszy chwilę, Ignaz podszedł do pani Irmgardy i, poprosiwszy gestem o zgodę, delikatnie wyjął z jej białej, pulchnej dłoni kartkę.

Regularne, pozbawione przesadnych zaokrągleń i ozdobników pismo Johanna mogło się podobać. Gdyby żył, syn piekarza może zostałby kiedyś urzędnikiem państwowym, może policjantem. Na tę ostatnią myśl inspektor uśmiechnął się w duszy. Był pod wyraźnym wrażeniem wiersza.

Przelatywał wzrokiem kolejne wersy, w jednym z nich znalazł o jedną nadto sylabę, ale nie to było ważne. Młody

Wenders miał osobliwe zamiłowania poetyckie. Przed oczami inspektora stanęła, znana z rycin, ponura Puszcza Mannheimska, w której grasowało krzyczące widmo. Ludzie mieszkający na skraju puszczy opowiadali niestworzone historie o dziwacznych zdarzeniach wśród tamtejszych buków, dębów i grabów. Tak, wiersz Johanna przywodził na myśl tamten las.

Nie spodziewałem się czegoś takiego. Bardzo osouwy wiersz. Jeśli łaskawej pani sprawiło przyjemność przeczytanie nam dzieła syna i nie jest to żadna tajemnica, czy mógłbym zobaczyć następne poezje?

Będę niewymownie szczęśliwa – pani Irmgarda spojrzała na policjanta z jeszcze większą niż poprzednio atencją i, mimo łez tańczących w błękitnych oczach, szybko wróciła do sekretarzyka.

Braun uważnie przeglądał karty zapisane piórem Johanna; już same tytuły świadczyły o tematyce poezji gimnazjalisty. „Noc”, „Spóźnione spełnienie”, „Konary i korzenie”, „Lęk”, „Ślady na błocie”. Nie każdy osiemnastolatek pisywał wiersze, a niewielu pisało takie wiersze. Padła prośba o wypożyczenie na krótki czas poezji gimnazjalisty. Stary Johannes nadal okazywał zdziwienie, jego żona widziała w zachowaniu policjanta zainteresowanie artystyczną duszą zamordowanego. Pani Irmgarda, kobieta z ambicjami salonowymi, przywiązywała duże znaczenie do wszystkiego, co mogło jej i rodzinie przynieść splendor wykraczający poza ściany Wenders Backerei.

– Czy mają państwo jakieś przypuszczenia dotyczące sprawcy morderstwa? – inspektor wrócił do pytania zadanego na samym początku.

– Nie mamy pojęcia, jak mogło dojść do takiej potworności. Niestety, nie możemy panu powiedzieć niczego o kłopotach Johanna, bo takich chyba nie było, przynajmniej do ostatnich dni, wtedy stał się smutny i jakby bezradny.

Grzeczny uczeń, sumienny chłopiec. Dopiero niedawno doszły do nas głosy, że w sprawę mogą być zamieszani Żydzi.

– Komisarz Rensch wspominał mi o pogłoskach krążących po mieście – szepnął skupiony Ignaz.

– No właśnie. Widzi pan, z dnia na dzień narasta nieufność do Żydów. Ludzie wiążą fakty, przypominają sobie różne rzeczy. Wiele w tym plotek i przesady, ale słucham tego z ciekawością i... zaczynam się skłaniać do zdania większości – pani Irmgarda zawstydziała się lekko. – Czy pan uwierzy, że oni podobno nadal porywają ludzi dla krwi?

Ignaz powstrzymał się od uwagi, że to raczej jej syn, sądząc po wierszach, mógłby porywać ludzi „dla krwi”

Wyraził tylko lekkie zdziwienie.

– Tak, tak, drogi panie, dla krwi – Johannes przy słowach żony zacisnął pięści. – Rytuły żydowskie wymagają jedzenia macy. To takie niekwaszone pieczywo, placki jedzone mniej więcej w okresie naszej Wielkanocy.

– A krew?

Dodają do macy ludzką krew, koniecznie z niewinnego dziecka. Nasza rodzina z nikim nie miała zatargów, Johann był za młody, żeby się komuś narazić. Może więc ci Żydzi? – piekarczowa przyłożyła do oczu jedwabną chusteczkę.

– Dowody?

Jest ich niemało, przynajmniej ludzie tak mówią.

I coraz więcej osób wierzy, że... – usprawiedliwiała się pani Irmgarda. – Podobno aptekarz Wolf Konitzer dwa dni po zaginięciu naszego syna był widziany, jak niósł jakiś pakunek w stronę młyna. Pan Richter podejrzewa swojego sąsiada, Josepha Lewinsky’ego, też rzeźnika. Zresztą pan inspektor sam z nim porozmawia.

Było do przewidzenia, że problem Żydów zostanie poruszony prędzej czy później. To także była jedna z przyczyn, dla których Berlin uznał za nieodzowny nadzór śledztwa przez osobę z zewnątrz, potrafiącą wzbudzić respekt w miejscowych elitach i tłumach. „Społeczeństwo Wejherowa uważa, że był to mord rytualny” – napisał przewodniczący Rady Miasta Wejherowa, dyrektor miejsco-wego szpitala psychiatrycznego i radca sanitarny w jednej osobie, doktor Gustav Rabbes, w liście do samego ministra prowincji.

Dalsze przesłuchania Wendersów były nieodzowne, ale musiały być przeprowadzone osobno. Pan Johannes nie należał do osób, które mówią, co im ślina na język przyniesie, chociaż, jak przypuszczał Braun, w

pewnych sytuacjach mógł się otworzyć. Natomiast jego żona potrafiła powiedzieć wiele, niekoniecznie zresztą świadomie.

Podczas pierwszej rozmowy zbyt uważnie pielęgnowała obraz syna; później, kto wie?

Państwa zeznania znajdują się w archiwach policyjnych. Nie przewiduję, żebym potrzebował powtarzać

Pytania tam zawarte. Jednak nie wykluczam, że będę jeszcze zmuszony niepokoić pogrążonych w bólu rodziców – gnaz rozłożył ręce i skinął na posterunkowego.

Obaj wstali.

Jesteśmy panu inspektorowi wdzięczni – niespoziwanie odezwał się piekarz. – Sam Berlin zajął się naszym synem. Może wreszcie coś się wyjaśni. Żyjemy nadzieją na sprawiedliwość.

Żelazny uścisk niemal zmiażdżył dłoń inspektora. Pani Irmgarda za przykładem męża podała gościowi rękę.

Obolała dłoń nie mogła docenić walorów muśnięcia miękkich palców piekarskiej.

Braun, mając obok siebie posterunkowego, stał przed piekarnią. Mimo pilnego wpatrywania się w twarz inspektora, Anton nie mógł wyczytać z niej niczego interesującego.

– Ja już uczestniczyłem w podobnym przesłuchaniu.

Wenders zachował się identycznie, jego żona też, chociaż w stosunku do komisarza Renscha nie była tak miła... – leciutki uśmiech przebiegł po twarzy Myszka, ale Ignaz zdawał się nie słyszeć słów towarzysza.

– Dziwne wiersze, prawda? One dużo mówią o Johannie. W jego wieku nie pisze się takich rzeczy. A jak już się pisze, o czym to świadczy?

– Nie wiem, ale na pewno trzeba przesłuchać jeszcze raz znajomych Wendersa – podsumował posterunkowy tonem, jakim wypowiedziałby

sentencję filozoficzną. – Richter?

– Przede wszystkim. Jego córka, jego teoria o winie Żydów, jego profesja.



Anna

Sklep i cała kamieniczka należąca do Augusta Richtera znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt metrów od domu Wendersów. Droga od piekarni do sklepu rzeźnickiego zajmowała idącemu w stronę Rynku niecałą minutę. Dwaj policjanci, nieumówieni z masarzem, dowiedzieli się, że wróci on z Gdańska, dokąd pojechał w sprawach zawodowych, dopiero wieczorem. Bardzo uprzejmy i konkretny pracownik stojący za ladą zapytał, czy ma zaanonsować gości panie Richter. Już po chwili na zaplecze sklepu zeszła dziewiętnastoletnia panienka.

Była szczupła i blada, jej jasne, starannie upięte włosy dopełniały wizerunku istoty z obrazów i oleodruków przedstawiających ulotne anioły na tle rajskiej przyrody. „Inaczej wyobrażałem sobie córkę rzeźnika” – pomyślał Ignaz.

– Ojca nie ma w domu, ale cieszę się, że mogę panów przywitać – dziewczyna słabym głosem wypowiedziała grzecznościową formułę – jestem Anna Richter.

– Jakże mi miło – Braun skłonił się z galanterią.

Starając się nie podnosić głosu (bał się, że przestraszy ulotną istotę), zapytał, czy panna, jako osoba znająca Joanna, chciałaby dopomóc w prowadzonym śledztwie.

Nie wiem, czy będę w stanie usatysfakcjonować pana inspektora. Ojciec wie na pewno więcej, ale jeśli mogłbym się na coś przydać... Mam tylko prośbę, choć mogą

Ją panowie odczytać jako afront lub zwykły brak grzeczności. Jestem chora na astmę i doktor zalecił mi częste oddychanie świeżym powietrzem. Właśnie jest piękna, jak na połowę marca, pogoda i szykowałam się do przedpołudniowego spaceru.

– Czy mógłbym wobec tego...?

– Ależ właśnie chciałam to panu inspektorowi zaproponować – uprzedziła słowa policjanta Anna. – Widzi pan, ja muszę dwa razy w ciągu dnia wychodzić na powietrze.

Po chwili młoda dama, ubrana ciepło, lecz nie bez elegancji, była gotowa do wyjścia. Inspektor raz jeszcze miał okazję obejść wejherowski Rynek. Później dał się prowadzić pannie tam, gdzie ona uznała za stosowne. Dwojgu ludzi towarzyszył cień posterunkowego, idącego o pół kroku za nimi i dyskretnie łowiącego uchem wszystko, o czym mógłby potem rozmawiać z berlińskim policjantem.

Panna Anna poprowadziła Ignaza ulicą Lęborską na wysokość Alei Wilhelma. Dalej ich kroki skierowały się w stronę wzgórz, na których rozciągnięta była kalwaria.

Jak na astmatyczkę, córka rzeźnika miała nienajgorszą kondycję fizyczną. Kiedy minęli okazałe domy przy Alei

Wilhelma, panienska dość szybkim krokiem zaczęła wspinać się ścieżkami wytyczonymi wśród bukowego lasu.

Ignaz w czasach nauki w szkole policyjnej przywykł do szybkich marszów, podobnie Myszk, człowiek ruchliwy, nie obrażał się, ilekroć w grę wchodził spacer. Cała trójka chłoneła rześkie powietrze nadchodzącej wiosny. Świat na moment wydał się piękniejszy niż zazwyczaj.

– W czym właściwie mogłabym panu pomóc? – bardzo poważnym tonem zapytała panna Anna, kiedy znaleźli się na wzniesieniu, z którego można było dostrzec całe miasto.

– Znała pani Johanna. Uczył panią. Jaki on był? Nie tylko jako nauczyciel.

– Widzi pan? To kaplica świętej Weroniki. My nie jesteśmy katolikami, ale Johann lubił tu przychodzić. Interesował się dziejami chusty, tej z naznaczonym wizerunkiem

Chrystusa. Ja natomiast od dziecka lubiałam oglądać pielgrzymki. Kolorowe tłumy, marszałkowie z bębнами, czapki z krzyżem, białe komże. Johann nie cierpiał tłumów, ale kalwarię uwielbiał.

– Był pobożny? – zainteresował się inspektor.

Nie, nie o to chodzi – zaśmiała się smutno Anna. – On lubił mroczne obrazy i dziwne opowieści. Wracając do chusty, interesowała go medyczna, ale i –jak mówił – egzystencjalna strona zagadnienia. Twarz odbita na płótnie rodzaje mąk, wyczerpanie organizmu na skutek biczowania, rany na twarzy. Ludzkie doświadczenie, poznanie cierpienia, zanurzenie się w bólu. Mówię o tym spokojnie, bo Johann przyzwyczał mnie do poruszania dziwnych tematów.

Wzrok dziewczyny powędrował ku niebu. Przez dłuższą chwilę wspomnienia nie pozwalały na kontynuowanie opowieści. Wreszcie Anna zebrała myśli.

– Panie inspektorze, to był dziwny człowiek. Nie znam zbyt wielu mężczyzn w jego wieku – spuściła lekko głowę – ale jego zachowanie... Z początku nie zauważałam niczego.

– Ale z czasem?

– Johann nic wychodził poza pewien konwenans towarzyski, za co jestem mu wdzięczna. Byłam szczęśliwa, że jest ktoś, kto w chorobie

towarzyszy mi co kilka dni.

Może nawet stał się moim przyjacielem? Chociaż mama, kiedy jeszcze żyła, mówiła mi, żebym dobrze zastanowiła się, nim nazwę kogokolwiek przyjacielem.

– Za pozwoleniem, pani mama miała rację. Z uwagi na wykonywaną profesję, domyśla się pani, mam wyostrzone poczucie ostrożności i dlatego sądzę, że opinia mamy zasługuje na szczególne podkreślenie. Ale wróćmy do naszego nieboszczyka, to znaczy Johanna – poprawił się policjant i spojrzawszy na szarobordową panoramę Wejherowa z dalekimi wzgórzami leśnymi za horyzontem, zacisnął w dłoni nadziewaną czekoladkę podaną przez posterunkowego.

– Bóg dał mi cudowne dzieciństwo – Anna uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Kiedy jednak miałam dwanaście lat, mama umarła. Nagle. Kłopoty z sercem, Palpitacje. Idąc za trumną, wspominałam wszystkie świąteczne dni, choinkę, spacer, świniobicie. Rozumie pan, dom rzeźnika. Ojciec jest bardzo porywczy, wszystkim się

Przejmuje, zaniemógł na serce, jak mama, ale szczęściem musi mieć silniejsze niż ona zdrowie. Natomiast ja...

Braun spojrział na pannę Annę z sympatią. Jak dobrze było siedzieć na drewnianej ławeczce obok młodej kobiety, która nie wzbudzała żywszego bicia serca. Ileż rozterek zostało dzięki temu zaoszczędzonych! Życzliwość policjanta była tym większa, że panienka nie starała się kokietować nieśmiałego mężczyzny. Widziała w nim kogoś, z kim mogła porozmawiać. „Ona musi być straszliwie samotna” – pomyślał. Z poznanym godzinę wcześniej człowiekiem gotowa była rozmawiać niemal o wszystkim. Ignaz nie byłby policjantem i jednocześnie nie miałby serca, gdyby nie czuł się uradowany takim obrotem sprawy.

– Bardzo lubiłam szkołę, ale astma była bezlitosna.

Z początku bałam się nowych koleżanek, pedagogów.

Jeszcze za życia mamy rodzice postanowili, że pójdę do prywatnej Wyższej Szkoły dla Dziewcząt. Przedtem miałam dochodzących nauczycieli. Kiedy miałam kilka lat, powstał budynek szkoły przy ulicy Lęborskiej. Pani

Klara Quandt, kierowniczka szkoły, jest bardzo szanowaną w mieście osobą. Nie najmłodszą już, ale dobrze rządzi całością. Z początku miałam 22 godziny lekcji tygodniowo – rozmarzyła się niegdysiejsza uczennica – potem, na stopniu średnim i wyższym, nawet 28 i 30. Za to latem mieliśmy wolne soboty; czekało się na nie już od czwartku.

– Choroba była dla pani dramatem, prawda?

– Astma? Tak. Nie ukończyłam szkoły, regulamin był bezlitosny. Ojciec wynajmował nauczycieli do najróżniejszych przedmiotów, ale ja załamalam się, straciłam chęć do nauki. Koleżanki zapomniały o mnie, a może zwyczajnie miały swoje sprawy i nie starczało im czasu na odwiedzanie chorej panienki znajdującej się pod opieką surowego ojca. Choroba nie dawała o sobie zapomnieć. Dzięki przyszpitalnej fundacji „Augusta Krankenhaus in Neustadt” miałam dobrą opiekę, wysłano mnie dwa razy do wód, ale wracałam zniechęcona małymi postępami w leczeniu.

W chwilowym przypływie energii zaczęłam myśleć o kuracjach wodnych księdza Kneippa. „Meine Wasser-Kur”, słyszał pan zapewne, ale lekarze stanowczo zabronili takich metod.

Ignaz zamyślił się. Jak młodemu Wendersowi udało się wyrwać chorą i zrozpaczoną pannę z letargu? Pytająco spojrzął na dziewczynę.

Zastanawia się pan, jak Johann w jakimś sensie przywrócił mi chęć do życia? – zapytała Anna, a policjant wiedział już, że ma do czynienia z osobą bystrą i przenikliwą.

Właściwie wystarczyło niewiele. Może pan nie uwierzy, ale on był jedyną osobą, która chciała do mnie przychodzić. Nie liczę corocznej wizyty przedstawiciela towarzystwa ubezpieczeniowego Borussia... Dla jednych byłam zbyt chora, dla innych zbyt... – dziewczyna zaczerwieniła się – inteligentna. Moi rodzice pochodzą z Bremy, nie mamy tu żadnej rodziny. Z początku nie mogłam uwierzyć, że ktoś chce poświęcić mi bezinteresownie swój czas.

– Chodziło o korepetycje z niemieckiego, prawda?

Pani Wenders wspominała...

– Tak. Gramatykę miałam opanowaną właściwie na początkującym poziomie akademickim, mam umysł matematyczny, ale z literaturą było już gorzej.

Słowa panny przeciął gwałtowny kaszel. Nie mogła zauważyć skrzyżowania spojrzeń inspektora i posterunkowego. Obaj mieli w pamięci, co na temat poziomu umysłowego Richterów mówiła pani Irmgarda.

– Johann był znakomity w przedmiotach ścisłych, znacznie lepszy ode mnie. Ale był też odcytany, imponował mi znajomością naszych romantyków. Potrafił interpretować jak profesor, a deklamował...

– Swoje utwory również? – ożywił się inspektor.

– Nie od razu. Najpierw pokochałam Goethego...

Deklamowała melancholijnie. Ignaz zasłuchał się w zaimprovizowany na poczekaniu spektakl poetycki i przypomniał sobie straszne czasy, kiedy musiał uczyć się na pamięć wierszy uznanych poetów. Teraz zaś odkrywał

Je w jakże odmiennych okolicznościach. Natomiast Anton sprawiał wrażenie, jakby oczekiwał już na zbliżającą się porę obiadu. Ziewnął i

spojrzał w dół, gdzie nad domami eJherowa z kominów unosiły się gęste dymy.

– Zaczął pisać mniej więcej rok temu. Zapamiętałam ten dzień. Przyszedł ożywiony, niemal rozgorączkowany.

Był początek marca, bodajże piątek, pogoda jak dzisiaj.

Odwiedzał mnie popołudniami, tym razem przybiegł, gdy niemal miały się ku końcowi lekcje w jego gimnazjum.

– Z pani słów wynika, że niekoniecznie musiał być tamtego dnia w szkole?

– Nie, nie wiem. Może rzeczywiście opuścił zajęcia, ale niewykluczone, że wypadła jakaś godzina. W każdym razie od pierwszej chwili zachowywał się inaczej niż zwykle. Zawsze był opanowany, imponował mi umiejętnością zachowania się stosownego do okoliczności.

– Takiego jak wtedy nie widziała go pani nigdy przedtem? – wtrącił inspektor.

– Nie, i nawet później, chociaż zmienił się od tamtego popołudnia. Przybiegł zarumieniony, oczy błyszczały mu nienaturalnie, ale starał się zachować jak dawniej. Jednak to było silniejsze od niego. Radość i cierpienie połączone w jedno, takie właśnie odniosłam wrażenie. Może coś zobaczył, może upadł i dostał pomieszania zmysłów?

Nie wiem. Przeczytałam wiersz, Johann bardzo chciał, żebym go przeczytała.

Ignaz wstał z ławki, wyprostował się i odwrócił plecami do miasta leżącego u jego stóp. Patrzył na Annę ulatującą wspomnieniem w marcowe popołudnie.

– Jaki to był wiersz?

–”W bukowym lesie” Wiem to na pewno, bo odpisałam sobie tekst.

– Czyli mogło to być jego pierwsze dokonanie. Albo pierwsze tak znaczące. A wrażenia? – Braun uchwycił zdziwione spojrzenie posterunkowego.

– Wrażenia? Nie wiem. To znaczy nie wiedziałam, co o tym myśleć. Spokojnie przyjąłabym wiersz sławiący naszego cesarza albo opisujący zawody sportowe. A te mroki, tajemnice, niepokój unoszący się nad każdym wersem?

Brunatny i biały cień. Co to miało znaczyć? Cały czas uczę się rozumienia poezji, ale niekiedy ma się do czynienia z czymś tak niezwykłym...

– Czy Wenders od tamtego dnia regularnie pisywał poezje? Zdarzały mu się wiersze... naturalniejsze dla gimnazjalisty?

Anna była pewna. Z jej wspomnień nie wyłonił się żaden wiersz Johanna, który nie nawiązywałby do pierwszej próbki literackich uzdolnień. Opowiadała Ignazowi o coraz bardziej zamykającym się Wendersie. Ostatni raz emanował życiową siłą w dzień, kiedy przyniósł jej wiersz.

Potem coraz częściej zamyślał się, bywał roztargniony, chociaż nadal, coraz bardziej nieudolnie, starał się konsekwentnie trzymać roli zdyscyplinowanego i pogodnego gimnazjalisty.

Kiedyś Anna wyszła daleko poza zakres swoich dotychczasowych umiejętności. Uradowany Johann uścisnął jej dłoń. Zobaczyła, jak krótki, lecz mocny dreszcz przeszył jego ciało. Uniósł do góry oczy, jakby owładnęło nim jakieś szaleństwo. Szybko otrzeźwiał, zbladł i zmieszał się. Próbował potem żartować i śmiać się, ale Anna nie potrafiła wymazać z pamięci tamtej chwili.

– Czy panią... proszę mi darować, łączyło coś z Wendersem? – zapytał cicho Ignaz. Anna na moment skuliła się. Zaraz jednak odzyskała spokój.

– Nie kochałam go. On też mnie nie kochał. Czy w ogóle mógł kochać kogokolwiek? Dziwi się pan, dlaczego tak sądzę... Nie mogę myśleć, że skoro nie kochał mnie, miłość była dla niego czymś obcym. To nie tak. Ale przedtem był, przy swojej inteligencji, zbyt niedojrzały. Kiedy przydarzyła się ta historia (to moje przypuszczenie) zakończona wierszem, Johann zamknął się w sobie. Kontrolował każdy swój gest, wstydził się nawet naturalnej życzliwości, kiedy uczennica, to znaczy ja, spełniała z nawiązką jego oczekiwania. Skąpił pochwał. Z początku zaczęłam się do niego przywiązywać, ale... dojrzywał jeszcze. Potem sprawiał wrażenie przedwcześnie postarzałego. Kolega, przyjaciel, oto właściwe określenia. W ostatnim czasie był już niedostępny.

– Co pani pomyślała, kiedy zaginął? – spytał inspektor i zacisnął lekko palce na kolejnej czekoladce podanej mu przez posterunkowego.

Wiedziałam, że stało się coś złego, Johann w ciągu ostatnich dni był jeszcze bardziej skryty niż dotychczas, zamyślony i jakby nieobecny. Kiedy wyłowili go, to znaczy jego szczątki, poszłam w okolice młyna. Po odkryciu nie było już śladu, a ja stałam na brzegu rozlewiska i z otępieniem wpatrywałam się w wodę. Woda widziała i drzewa widziały, widziały wszystko.

– Niewątpliwie. Czy podejrzewa pani Żydów?

– Niech pan nie żartuje, inspektorze. Nie podzielam zdania większości.

Anna zaznaczyła, że mało wie o świecie. Słyszała jednak o krwi toczonej do „użyźniania” macy. Jej ojciec wierzył święcie w wersję podtrzymywaną przez ogół. August Richter jawił się jako typowy przedstawiciel elity niewielkiego pruskiego miasteczka. Nieufny wobec każdego, kto nie był Niemcem od dwóch pokoleń i ewangelikiem. Władczy w domu rodzinnym, surowy wobec służby i uniżony wobec urzędników

państwowych. Uczciwy w każdym calu, prędzej dopuściłby się rękoczynu niż ukraść cokolwiek.

Dbął o świeży towar, szanował klienta zostawiającego w sklepie chociażby kilka fenigów. Godzinami ślęczał nad rachunkami; nie zniósłby myśli, że mógł nawet niechcący oszukać swoje państwo lub najbiedniejszego z klientów.

Kochał szczerze cesarza i jego rodzinę, wierzył monarsze bezgranicznie, a sąsiadów Niemiec, może z wyjątkiem Austro–Węgier, traktował nieufnie i z wielką dozą nieskrywanej wyższości.

Dziewczyna mówiła o ojcu z szacunkiem. Przez jej słowa przewijał się jednak żal o jego nadmierną surowość.

Nie był człowiekiem, który potrafił pogłaskać po głowie i pocieszyć. Niezastąpiony w trudnych chwilach, dawał bliskim oparcie i materialne bezpieczeństwo. Nie dawał ciepła. Anna nie musiała tego mówić, barwa jej głosu świadczyła o wszystkim.

Ostrożny inspektor zaniechał nawiązania do zeznań, z których wynikało, że August Richter brany był pod uwagę jako jeden z potencjalnych podejrzanych. Dwie osoby oskarżały go o zabicie młodego Wendersa i przedstawiały dość spójną teorię. Według niej Johann uwiódł nieszczęśliwą Annę, a rozwścieczony ojciec, odkrywszy parę w jednoznacznej sytuacji, zabił winowajcę. Profesja Richtera uprawdopodobniała te przypuszczenia. O nich jednak Ignaz chciał porozmawiać z samym rzeźnikiem.

Posterunkowy Myszk ponownie szedł kilka kroków za inspektorem towarzyszącym opatulonej w ciepły płaszcz pannie. Przesłuchanie z pozoru dobiegło końca. Rozmowa przebiegała teraz w swobodnym nastroju. Ze słów Anny, mimo słabego głosu, nie można było domyślić się większego śladu nieśmiałości właściwej osobie pozostającej całymi dniami w domu,

rzędzonej przez apodyktycznego ojca i pozbawionej kontaktu z rówieśnikami. Dla inspektora rozmowa była doświadczeniem zastanawiającym, chociaż już na szkoleniu psychologicznym dla policjantów w Karlsruhe uczono młodego adepta sztuki śledczej, że osoby osamotnione i chorowite rzucają się niekiedy w objęcia, oczywiście symbolicznie, osób niedawno poznanych, odnoszących się do nieszczęśników z życzliwością. A może zachowanie córki rzeźnika stanowiło jedynie emanację pozy przyjętej na samym początku? Prawdopodobieństwo takiej możliwości zdawało się jednak niewielkie.

Ładny uśmiech Anny rozjaśnił pożegnanie, Ignaz z gracją rzadko spotykaną u berlińskich policjantów schylił się do podanej mu dłoni i leciutko musnął ją ustami. Pomyślał o wczorajszym pożegnaniu z nieznaną damą i uśmiechnął się do własnych myśli.

– Panno Anno, mam nadzieję, że spacer w moim towarzystwie nie okazał się dla pani zbyt wyczerpujący. Tematy, które poruszałem, Johann, niedawne zdarzenia...

– Nie jestem taka słaba, jak pan sądzi, inspektorze.

Bywam smutna, czasem boję się uciążliwości życia, ale nieraz potrafię wykrzesać z siebie wiele siły. W końcu jestem córką Augusta Richtera – figlarny uśmiech przeszedł krótkim refleksem po niemal dziecięcej twarzy.

– W takim razie pozostawia mnie pani wysoce uszczęśliwionego. Jeśli można, polecam się łaskawej pamięci.

Do widzenia pani.

Do widzenia – Anna skłoniła głowę i niespiesznie weszła do wnętrza kamieniczki, której właścicielem był jej ojciec.

Kiedy smukła postać dziewczyny znikła w przepastnych czeluściach ukrytych za ciężkimi drzwiami, Braun odwrócił się w stronę posterunkowego.

– Drogi kolego, jakie korzyści wyniosłeś z uroczego spaceru?

– Po prawdzie, niewielkie. Panienska, na mój skromny nos, jest sprytna. Umie się przypodobać i wzbudzić współczucie. Ja tam zaczynam wierzyć, że to jej ojciec jest zamieszany w całą sprawę. Może przejrzałby pan inspektor raz jeszcze zeznania dotyczące Richtera?

– Nie ma takiej potrzeby. Od wczorajszego popołudnia nie zdążyłem zapomnieć ani jednego słowa. Córka

Augusta rzeczywiście jest osobką frapującą. Ale na razie wina jej i starego rzeźnika jest taka sama, jak Żydów piekących macę. Zeznania opierają się na domysłach i spostrzeżeniach trudnych do udowodnienia.

– Panie posterunkowy – kontynuował Braun z udaną powagą – ja tu jestem dopiero od wczoraj. Za wcześnie na wyrok. Muszę wszystkiego dotknąć, spotkać kilka osób. Nie zapominaj o reszcie ciała. Przecież mamy tylko trzy fragmenty naszego przyjaciela gimnazjalisty.

– Kogo więc teraz przesłuchamy? – zapytał Myszk, przytakując słowom inspektora.

Ignaz nie zdążył odpowiedzieć. Do policjantów podszedł elegancki starszy mężczyzna i grzecznie zapytał o godzinę. Wytłumaczył pospiesznie, że zapomniał zabrać z domu zegarek, przeprosił przy tym za kłopot uczyniony przechodniom.

– A ja już myślałem, że zechce pan opowiedzieć nam o pewnym wierszu dotyczącym bukowego lasu...

– Słucham? – zapytał zdumiony mężczyzna; nie mniejsze było zaskoczenie posterunkowego.

– Nie, nie, żartowałem tylko, proszę o wybaczenie. 14.31 – odrzekł ze szczerym uśmiechem berliński policjant.

Po odejściu przechodnia Myszk spojrzał w oczy Ignaza. Ten zaś znowu uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem:

– Jak ci się wydaje, dlaczego pozwoliłem sobie na ten żarcik? Czy nie zastanawia cię, że w przeciągu trzech godzin dwie osoby znające dobrze Wendersa skierowały nas w stronę bukowego lasu uwieńczonego dla potomności w tym samym wierszu? Moja pomoc była symboliczna.

Obie panie, świadomie lub nie, po prostu chciały powiedzieć o tym, co jest dla nich ważne. Nie wiem jeszcze, w czym tkwi siła „bukowego lasu”, ale sądzę, że trafiliśmy na ważny ślad.

A mnie nudziły te rozmowy o wierszach... Myślałem, że wszystko przez prywatne zainteresowania pana inspektora. Wyklucza pan przypadek?

– Za wcześnie na kategorię osądy. Ale nie mogę takiego tropu bagatelizować. Chciałem przesłuchać Richtera, ale dzisiaj to niemożliwe. Muszę teraz odwiedzić komisarza Renscha i przejrzeć akta policyjne dotyczące... zresztą zobaczysz na miejscu. Najpierw jednak zapraszam cię na obiad. Spacer na świeżym powietrzu nieprzyzwoicie zaostrza apetyt!



Lewe udo

Anton należał do ludzi, którzy z prostej, zdawałoby się, czynności jedzenia potrafili czerpać wiele radości. W hotelu Königlicher Hof karmiono dobrze i obficie. Obyczaje kulinarne posterunkowego nie wykaczały zazwyczaj poza hołdowanie tradycyjnym potrawom prostej kaszubskiej kuchni, ciekawy życia Myszk potrafił jednak w owej chwili docenić wspaniałości wykwintnej sztuki kulinarnej nawiązującej do najlepszych wielkomijskich tradycji Berlina czy Monachium. Pana Alslebena prawdopodobnie nie było na miejscu, w przeciwnym bowiem razie nie omieszkałby zaszczyścić śledczych swoją obecnością.

Eskalopki poprzedzone zupą cebulową wprawiły policjantów w dobry nastrój. Suflet rozpływał się w ustach, a mocna czarna kawa w malutkich filiżankach dopełniła reszty. Anton był mistrzem w czerpaniu radości z przyjemnych, choć ulotnych chwil. Siedział cichutko i rozkoszował się deserem, natomiast Ignaz, tak jak podczas śniadania, przypatrywał się przechodniom.

Kiedy czas przeznaczony na posiłek i krótki poobiedni odpoczynek Braun uznał za nieznacznie przekroczony, policjanci niespiesznym krokiem skierowali się w stronę ratusza. Na środku Rynku, pod pomnikiem cesarza Wilhelma, młoda kobieta tłumaczyła coś kilkuletniemu chłopczykowi.

Poczuwający się do roli przewodnika po najbliższej okolicy Anton wyjaśnił przybyszowi, że postać monarchy darzona była przez praworządnych obywateli miasta wielką czcią – Był to pierwszy pomnik Wilhelma w Prusach Zachodnich, a jego odsłonięcie stało się kilka lat wcześniej powodem do wielkiego świętowania; natomiast nie brakowało i takich, którym marzyły się inne rządy.

A ty i twoja rodzina, panie posterunkowy?

Trzymamy się od polityki z daleka. Ja służę w policji, żona opiekuje się domem, a cesarz panuje – Myszk nie miał ochoty na wypowiedanie się w istotnej kwestii racji stanu. Dla inspektora była to wiele mówiąca wskazówka.

– Zobaczmy więc człowieka, dla którego służba Najjaśniejszemu Panu jest niekłamanym zaszczytem – Braun przyjaźnie poklepał po plecach zaniepokojonego przez chwilę posterunkowego i obaj przekroczyli próg siedziby wejherowskiej policji.

Komisarz Rensch znajdował się w gabinecie. Lubił swoje ciężkie biurko, osobiście odkurzał każdego dnia portret cesarza, kolekcja ozdobnych piór pyszniąca się przed oczami policyjnego urzędnika dodawała mu sił do wytężonej pracy.

Na widok inspektora Rensch podniósł się z fotela. Nie spodziewał się jego wizyty. Niepokój walczył teraz w sercu komisarza z zadowoleniem spowodowanym znalezieniem się w centrum wydarzeń.

– Cóż za zaszczyt dla skromnego funkcjonariusza!

Tak. Pan jest dla mnie stanowczo zbyt łaskawy. Jak spodobało się stołecznym siłom nasze miasto?

– Urokliwe, urokliwe. Tutejsze damy szykowne i rozmowne, panowie posiadają nienaganne maniery, a kuchnia... – rozmarzył się Ignaz.

Cieszę się niewymownie. Czy przesłuchał pan Wendersów i Richtera?

Tylko Wendersów. No i pannę Annę, ponieważ jej Papa znajduje się poza miastem. Oczywiście podzielę się z panem komisarzem moimi spostrzeżeniami, najpierw jednak ośmielę się przedstawić maleńką prośbę.

Rensch wyprężył się majestatycznie.

Zawsze do usług kochanego inspektora.

Widzi pan, obie rozmowy naprowadziły mnie na pewien ślad, raczej przypuszczenie, jakby cień.

Chciałbym przejrzeć akta policyjne dotyczące lutego i marca zeszłego roku. Dopiero wtedy będę mógł podzielić się z panem pewnymi konkretnymi, o ile oczywiście moja teza potwierdzi się chociaż w części.

– O, z tym nie będzie najmniejszego problemu – komisarz ze wszystkich sił musiał powstrzymać się przed zadaniem kilku pytań, chociaż jego ciekawość sięgała zenitu.

– Tak. Zawołam Heinza. Heinz przygotuje wszystko.

Wszystko. Mamy porządek w aktach. Czy... pan inspektor życzy sobie zabrania dokumentacji do hotelu?

– To nielegalne – zimno wycedził Braun. Rensch skurczył się i podniósł wzrok ponad drzwi wejściowe.

– Stokrotnie przepraszam. Myślałem, że pan inspektor, że będzie panu wygodniej...

– Praca w stołecznym Wydziale Zabójstw nie upoważnia mnie do łamania prawa – obruszył się gość, ale zaraz się uspokoił. – Dobrze, zapomnijmy o tym.

Dalsza rozmowa nie potrwała długo. Uprzejmy i dobrze zorganizowany biuralista, jakim był Heinz, szybko uporał się z zadaniem i już w pięć minut po incydencie z komisarzem Ignaz zasiadł nad dwoma opasłymi tomami zawierającymi wszelkie informacje zebrane przez wejherowską policję w ciągu całego roku 1900. Znajdowały się tam stenogramy przesłuchań, opisy

znalezionych i zebranych dowodów, relacje świadków, donosy, opisy wydarzeń.

Zanim Ignaz zagłębił się w interesującą lekturę, uściskiem dłoni i uśmiechem pożegnał posterunkowego.

Myszk kończył służbę i spieszył się do żony i trojga dzieci.

W domu czekała już pani Anastazja z obiadem, nie wiedząc jeszcze, że jej mąż jadł w towarzystwie inspektora.

Dla Antona wchłonięcie kolejnego obiadu nie stanowiło jednak najmniejszego problemu.

Ponad trzy godziny Ignaz ślęczał nad policyjnymi aktami. Nabrał przy tym przekonania, że Wejherowo pod względem przestępczości nie różniło się w niczym od innych miast podobnej wielkości. Jednakże opuszczając siedzibę policji, mimo zmęczenia, unosił się w stronę Königlicher Hof lekki jak piórko. Jego przypuszczenia odnoszące się do jednego z aspektów całego zdarzenia zamieniły się niemal w pewność. Jak każdy policjant, lubił to uczucia

Cieszył się na myśl o porannej rozmowie z Renschem i posterunkowym, konstruował w myślach plany następnych (choć nie lubił tego słowa) przesłuchań.

Kiedy następnego ranka Ignaz podnosił w kierunku szyi śnieżnobiały kołnierzyk, od strony drzwi rozległo się ciche pukanie. Szczęściem przypinanie kołnierzyka stanowiło ostatni etap toalety policjanta. Podeszedł szybko do drzwi i otworzył je. Obok odzianego w niebieski uniform chłopca hotelowego stał podekscytowany Anton.

Mamy coś! Panie inspektorze, mamy!

– Chodź do środka – Braun stanowczym spojrzeniem nakazał posterunkowemu milczenie, dopóki chłopiec nie opuści pokoju.

– Jest część nogi! Sfatygowana, ma się rozumieć, ale prawdziwa i ludzka – powtarzał posterunkowy z uśmiechem od ucha do ucha, kiedy policjanci zostali sami.

Konieczne pytania Ignaz postanowił zadać na schodach i później, w drodze do znaleziska Nie musiał jednak o nic pytać. Anton rozpoczął nad wyraz obrazową opowieść.

Wstał, jak zawsze, przed świtem. Razem z żoną musiał zająć się zwierzętami. Nie była to jakaś duża hodowla. Parę świń, kury, trochę królików. W Wejherowie na tyłach kamieniczek nie brakowało chlewików, kurników i komórek, w których hodowano żywy inwentarz. Anton zjadł zupę mleczną, naostrzył brzytwę, ogolił się, ucałował dzieci i spokojnie wyszedł do pracy.

Przed gabinetem komisarza panowało zamieszanie.

Oto kilkunastoletnia zapłakana panienska ze łzami w oczach opowiadała o czymś Renschowi. Nie mogła się uspokoić.

Anton zbliżył się, przywitał z posterunkowym Kandzorą i zasłuchał w urywany monolog dziewczynki. Jak zawsze rano, szła do pracowni krawieckiej, gdzie doszywała paski, wstążeczki, kokardki i koronki do strojów eleganckich dam. Idąc od strony torów kolejowych i rzeźni, kierowała się w stronę ulicy Gdańskiej. Szła na skróty, wzdłuż rzeki Cedron. Rzeczka miała w tym miejscu wartki nurt i musiała widocznie wyrzucić z siebie to, co jakiś czas zalegało na dnie.

Panienska oniemiała. Na środku Cedronu ukośnie sterczał siny fragment nogi. W innych okolicznościach dziewczyna pomyślałaby, że to odpad z pobliskiej rzeźni, ale teraz ludzie myśleli tylko o jednym. Po dwudziestu minutach komisarz, który do pracy lubił przychodzić na długo przed swoimi podwładnymi, rozmawiał już z przerażoną pomocnicą krawiecką.

Minęło następne dwadzieścia minut i do drzwi, za którymi inspektor przypinał właśnie do koszuli świeży kołnierzyk, zapukał chłopiec hotelowy.

Policjanci nie mieli daleko do zakola rzeki. Ledwo posterunkowy zdążył w swoim opowiadaniu dojść do chwili wciągnięcia go przez Ignaza do wnętrza pokoju, dotarli na miejsce.

Przygniecione do niedawna przez ciężkie śniegi resztki bujnej nadrzecznej roślinności leżały jak umarłe po obu stronach Cedronu. Rdzawe, szare, brudne, nie mogły się podnieść z zimowej klęski i czekały teraz ze spokojem, aż na ich miejscu rozwinie się świeża, soczysta zieleń, nieświadoma losu swojej poprzedniczki, zapatrzona we własne piękno i w błękitne niebo.

Teraz jednak otoczenie rzeki wyglądało ponuro. Mgiełka unosiła się jeszcze nad wodą. Przy brzegu od strony zachodniej stało kilku mężczyzn. Na widok Brauna nadchodzącego w towarzystwie posterunkowego cała grupa podniosła głowy znad ziemi. Do Ignaza podszedł komisarz Rensch.

– Drogi, kochany inspektorze! Pan przyniósł nam szczęście! Trzeci dzień pańskiej obecności i mamy udko jak malowane. Tak. Dzielna dziewczyna, gdyby tak każdy obywatel... Ale niech pan podejdzie bliżej – komisarz zapraszającym gestem wskazał Braunowi grupę mężczyzn.

– Oto doktor Gessler, nasza sława medyczna, jego asystent Maksymilian Paschinski i posterunkowy Kandzorra. Ci natomiast ludzie – lekceważąco wskazał na dwóch barczystych mężczyzn – to okoliczni stróżowie.

Tak. Pomogli wydobyć udo.

– Niezmiernie mi miło, choć okoliczności... – Ignaz z melancholijnym uśmiechem skłonił się towarzystwu stojącemu nad częścią kończyny. – A więc, co my tu mamy?

– Oczywiście lewe udo, panie inspektorze – zaczął doktor Gessler. – Pobieżna analiza nie pozwala na dokładne określenie czasu odcięcia, wieku zamordowanego i innych podstawowych faktów. Woda niszczy szczątki organiczne, pan rozumie. Ale razem z Maksymilianem zabierzemy okaz do pracowni i w przeciągu godziny, może dwóch, wszystko będzie jasne. Jednak najpierw będę musiał napić się ziołowego naparu i zjeść coś lekkostrawnego. Niech pan inspektor sobie wyobrazi, mam problem z sokami żołądkowymi i muszę dbać o regularne odżywianie.

– Rozumiem, że mamy zgłosić się do pana około południa? – zapytał Ignaz.

– Nie, nawet wcześniej – odparł doktor Gessler. – A może... Jeśli pan inspektor chciałby jak najszybciej poznać wyniki ekspertyzy, zapraszam do siebie na śniadanie. Od razu po posiłku podwinę rękawy i zabiorę się do roboty. Moja żona przyrządza świetną kawę, proszę nie odmawiać – nalegał Gessler.

– W takim razie... jestem panu doktorowi nieopisanie zobowiązany. Mimo znaleziska i okoliczności mu towarzyszących muszę przyznać, że zaczynam odczuwać głód.

Dziękuję raz jeszcze.

Dwaj stróżowie odeszli w swoją stronę. Rensch i posterunkowi mieli wrócić do komisariatu. Konieczne było wstępne przygotowanie protokołu. Policjanci zapowiedzieli swoją obecność u doktora na 11.30.

Państwo Gesslerowie mieszkali na ulicy Pętkowickiej, niedaleko siedziby sióstr szarytek prowadzących szpital, ochronkę i szkołę. Gabinet przyjęć i pracownia doktora mieściły się na parterze. Piętro zajmowali doktorostwo i ich dwunastoletni syn. Na poddaszu, oprócz dwóch pokoi Maksymiliana Paschńskiego, znajdowało się mieszkanko pokojówki i kucharki w jednym, panny Trudchen.

Doktor szczegółowo opisał gościowi wszelkie możliwe zakamarki swojego domu. W czasie, kiedy asystent odnosił do pracowni udo opakowane w impregnowane płótno, do jadalni weszła pani Gesslerowa. Miała twarz jakich wiele, emanowało z niej ukochanie dni zwyczajnych i spójnych, kobieta musiała być całkowicie oddana opiece nad mężem i synem. W odróżnieniu od większości dam w średnim wieku, pani Gesslerowa była osobą małomówną. Mężczyzna stanowił jej przeciwieństwo. Niski, ruchliwy, łysiejący, z czarnym sterczącym wąsem (prawdopodobnie farbowanym), mówił wiele i upajał się możliwością dyskusowania oraz wymiany doświadczeń. Ciekawy wszystkiego, nie żałował też innym wiedzy, którą sam posiadał.

Śniadanie przygotowane przez pannę Trudchen podane zostało w mig. Kawą jednak, zgodnie z zapowiedzią doktora, zajęła się sama pani domu. Gessler wyjaśnił, że kilka lat wcześniej wraz z żoną przebywał w niemieckiej Tanganice, gdzie na zlecenie władz wojskowych opiekował się kolonistami narażonymi na nie do końca rozpoznane choroby tropikalne. Stamtąd pani doktorowa przywiozła niezwykle skomplikowany sposób parzenia kawy, nieznaną w warunkach europejskich. Aromat unoszący się z cienkiej porcelany rzeczywiście nie miał sobie równych. Mistrzynie nie chciała jednak zdradzić swojego sekretu, natomiast w ramach rekompensaty naląła inspektorowi drugą filiżankę.

Doktor Gessler rzeczywiście dbał o swój żołądek. Napar rumiankowo-miętowy popijał ostrożnie, małymi łyżkami wprowadzając płyn do przewodu pokarmowego.

Przy stole dwa razy pojawiła się panna Trudchen, dopytując, czy państwu i gościowi smakują konfitury, czy twarożek nie jest zbyt słodki, czy jajka dostatecznie miękkie, a szynka nie za chuda. Dieta doktora nie była szczególnie dziwaczna, tyle że nieszczęśnik jadł dwa razy mniej niż

gospodyni i inspektor, a trzy razy mniej niż wyglądający na zagłodzonego Maksymilian. Wysoki brunet z gęstą brodą oddał się całej czynności, którą kochał, inni rozmawiali przy stole, a prym wodził sam gospodarz.

– Czy pojmuje pan – mówił do Ignaza, kiedy trzech mężczyzn wprost z jadalni skierowali się po schodach na parter, gdzie mieściła się pracownia – że tutejsza ludność bardziej wierzy w uzdrawiającą moc ziół i zaklęć niż w efekty fachowej opieki medycznej? Nie dalej jak wczoraj widziałem chorą na reumatyzm kobietę, która wcierała w ciało zasuszone i sproszkowane żaby.

– A przecież każdy wie, że sproszkowane żaby stosuje się przy przewlekłych zapaleniach krtani... – zdumiał się Braun.

– Pan żartuje, a ja na co dzień dotykam takich widm średniowiecznej przeszłości! Oni dotychczas nieufnie patrzą na lekarza. Babka, urok, jak najbardziej, ale proszki, operacje, od tego jak najdalej. Wiele szkody czynią funkcjonariusze kościelni obu wyznań. Modlitwa ma niekiedy zastąpić naukowe podstawy medycyny! Ci ludzie, podtrzymywani w nieświadomości przez kler, wierzą na przykład, że msza może zatrzymać gradobicie. A przecież już Hegel... Ale co ja panu będę tłumaczyć, jako policjant styka się pan z takimi samymi przypadkami.

– Tyle, że wysnuwam odmienne wnioski. Ja staram się obserwować i określać zastaną rzeczywistość, pan chciałby, żeby kobieta sprzedająca na targu ziemniaki czytywała w niedzielę „Krytykę czystego rozumu” albo negowała poznawalność „rzeczy samych w sobie”. A później, dla odmiany, skłoniłaby się ochoczo do konsekwentnego agnostycyzmu.

– A chciałbym! Widzi pan, jestem bardzo niecierpliwym i stanowczym człowiekiem. Lubię systematyzować, analizować i układać schematy zachowań społecznych. To znaczy tworzyć w myślach schematy idealne. Struktura, układ, model geometryczny, wzajemne wiązania ludzkich

cząsteczek. Nie znoszę niepewności i chaosu! Przewidywalność i dotykalność, oparcie się na sprawdzonych podstawach.

Owszem, są pewne pozytywne elementy wynikające z działań ciemnych sił, na przykład znajdujący się tuż obok szpital Najświętszej Maryi Panny. Rozumie pan: szarytki, poświęcenie, miłosierdzie, wszystko pięknie. Jak gdyby koleżanki po fachu. Ale zarządza tym biskup, który co tydzień głosi z ambony bajki. Nawet i oni zaczynają jednak ufać medycynie, a biskup kiedyś odejdzie z tego świata. Biologia robi swoje. Postęp musi odnieść ostateczne zwycięstwo, taka jest konieczność dziejowa. Znikną przesady, znikną choroby, zamknie się cmentarze choleryczne i psychiatryczne, jak ten nasz w Wejherowie, z rozwojem postępu naukowego zaniknie nieświadomość i przesąd. Nie kusi pana taka perspektywa, szanowny przedstawicielu warstwy świadomej?

Inspektor zamyślił się. Nie miał niestety czasu na pogłębioną analizę oświeceniowego credo doktora, jego oczom ukazała się bowiem pracownia rozmówcy, uznanego patologa, lekarza szpitala ewangelickiego i konsultanta nie tylko wejherowskiej policji. Drzwi zabezpieczone trzema zamkami otworzyły się przed momentem i oto trzech mężczyzn weszli do środka.

Przywitał ich wysoki szkielet stojący w kącie naprzeciwko drzwi i uśmiechający się życzliwie. Doktor, jak sam mówił, zaprzyjaźniony był z owym wysokim i smukłym osobnikiem, nazywał go „Erykiem”, a ich przyjaźń trwała już kilkanaście lat. Szkielet przywędrował z doktorostwem aż z Getyngi, gdzie Gessler praktykował przed przyjazdem do Wejherowa, i chociaż pani doktorowa nie darzyła „kupy kości” sympatią, musiała zaakceptować ich obecność w pracowni męża.

Paschinski już wcześniej przyniósł lewe udo do pracowni i położył je na szerokim metalowym stole. Garnitury mężczyzn zostały zasłonięte białymi

kitlami. Gość przyjrzał się regałom wypełnionym literaturą fachową wdzięczącą się do czytelnika złożonymi grzbietami, zdążył zauważyć słoiki z preparatami koniecznymi do przeróżnych analiz, dotknął wzrokiem menzurek i buteleczek, wreszcie dojrzał komplet narzędzi chirurgicznych lśniących zimnym blaskiem.

– Zawsze lubiłem takie wnętrza, a jednak nie chciałem znaleźć się na pańskim stole, doktorze – nikły uśmiech przebiegł po wargach Ignaza.

– Rozumiem. Może pan być spokojny – roześmiał się Gessler. – Maksymilianie, przygotuj narzędzia.

– Tak jest, panie doktorze – flegmatycznie odparł Paschinski.

Pochylili się nad sinym fragmentem nogi. Zmiękczonej struktura atomów narażona uprzednio na przebywanie w wodzie poddawała się posłusznie zabiegom medyków.

Doktor Gessler znalazł się w swoim żywiole. Nie pamiętał już o kłopotach żołądkowych, nie myślał o żonie i synu, jego umysł pochłonięty był okazem krojonym i badanym niemalże z miłością.

Ignazowi stanął przed oczami obraz Rembrandta „Lekcja anatomii doktora Tulpa” znajdujący się w Mauritshuis w Hadze. Płótno zrobiło na inspektorze duże wrażenie, kiedy to podczas zjazdu młodych policjantów, zorganizowanego pod patronatem króla Niderlandów, kilku kolegów z Hagi wyciągnęło przybysza z Berlina do galerii.

Przywołani w wyobraźni medycy ubrani w czarne szaty z szerokimi, białymi kołnierzami musieli ustąpić miejsca spowitym w kitle reprezentantom nowoczesnej sztuki lekarskiej. Nie zmieniła się jednak gra światłocienia; pozostała też ta sama, dziecięca niemal, ciekawość świata w każdym jego przejawie.

– Fachowiec. Ha! Na pierwszy rzut oka widać, że delikwentem zajął się fachowiec. Widziałem to już nad Cedronem, ale teraz nabrałem

empirycznej pewności. Niech pan łaskawie spojrzy, drogi kolego, jeśli mogę się tak do pana zwracać.

– Narzędzie? – skrót myślowy w słowach Ignaza zdradzał silne napięcie.

– O, to mógł być skalpel chirurgiczny, chociaż korci mnie, żeby stanąć w obronie mojej korporacji... Rzeźnik.

Tak, to też jest prawdopodobne. Praktyka uczy, że nikt przypadkowy nie zrobiłby tego w sposób równie bezinwazyjny i łagodny dla poszczególnych części ciała. Równe cięcia, pewna ręka, to widać mimo reakcji z wodą. Ale... mógłbym przysiąc, że nasze udko znajdowało się w wodzie mniej więcej tydzień. Tolerancja może wynosić ledwie dwa do trzech dni. Proszę spojrzeć na gnijącą część. Woda?

Mróz? Nie, nie. Suche i zimne pomieszczenie. Tak jak w rzeźni lub domowej spiżarni. Zastanawiające, prawda?

– Czy jest prawdopodobne, że udo należało do Wendersa?

– Maksymilianie, podaj mi dokumentację Johanna!

Asystent podszedł do regału z segregatorami, chwilę poszperał w papierach, przyniósł doktorowi kilka kartek.

Twarze mistrza i ucznia rozjaśniły się jednocześnie. Nie ulegało wątpliwości, że udo pod każdym względem pasowało do dolnej części korpusu. Dokładne rysunki poprzedniego znaleziska wskazywały jednoznacznie na tożsamość właściciela siniego fragmentu ciała leżącego na stole. Dziecięca układanka z klocków tworzących obrazek – takie skojarzenie nasunęło się inspektorowi, kiedy Gessler ukazywał nachodzenie na siebie obu fragmentów przeciętych na wysokości pachwiny. Grubość i struktura kości również nie pozostawiały wątpliwości.



Akta policyjne i to, czego w nich nie było

Ciało Johanna Wendersa miało być odwiezione do Gdańska, gdzie w tamtejszej siedzibie policji przechowywano znalezione wcześniej trzy fragmenty ciała. Operacją miał zająć się jeden z wejherowskich funkcjonariuszy.

Komisarz Rensch i inspektor Braun w towarzystwie posterunkowego Myszka siedzieli w gospodzie Deutsches Haus. Szef miejscowej policji sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Wyraził nadzieję, że odnalezienie lewego uda zapoczątkować może przełom w śledztwie; pojawią się nowi świadkowie, mieszkańcom miasta przypomną się ważne fakty, przybędzie poszlak, może dowodów. Istotne i niezwykle było przechowywanie uda przez trzy tygodnie po dokonaniu morderstwa. Za przyczyną Ignaza rozmowa skierowana jednak została na zupełnie inne tory.

– Spacer z panną Richter i słowa wtedy wypowiedziane naprowadziły mnie na ślad, o którym muszę pana poinformować – inspektor wsypał do filiżanki z gorącą czekoladą dwie łyżki cukru i opowiedział Renschowi o wierszu oraz nietypowym zachowaniu Johanna. – Wiedziałem, że coś musiało się zdarzyć tamtego marcowego przedpołudnia.

– Dlatego prosił pan wczoraj o nasze akta... – uśmiechnął się komisarz.

– Właśnie. Znalazłem przy okazji parę pouczających informacji dotyczących drobnej przestępczości w Wejherowie. Wie pan, policjanta ciekawią takie historie. Nade wszystko jednak odkryłem fakty mogące pośrednio lub nawet bezpośrednio nawiązywać do słów rezolutnej panienki.

Komisarz wygodniej usadowił się na krześle i poczęstował inspektora oraz posterunkowego papierosem.

– Okazało się, że 2 marca 1900 roku na posterunek wejherowskiej policji zgłosiły się cztery osoby.

– To statystycznie prawdopodobne.

– Tak. Bednarz, któremu ukradziono nowy pugilares zawierający dwadzieścia siedem marek i osiem fenigów, pani lekkich obyczajów uderzona przez klienta parasolem i kupiec, któremu jakiś pijany przechodzień wybił szybę w sklepie z konfekcją damską. Dzień jak co dzień. Czwarty przypadek był znacznie ciekawszy. Niejaki pan Hoffman w towarzystwie małoletniej córki przyszedł złożyć doniesienie w sprawie zaginięcia swojej bratanicy. Dziewczynka, mająca wtedy lat czternaście, przyjechała z Sopotu do krewnych mieszkających w Wejherowie. Wszyscy mieli uczestniczyć w drodze krzyżowej na kalwarii, był to bowiem piątek. Obie panienki poszły na dróżki kalwajskie jeszcze do południa.

– Przypominam sobie tę sprawę! Tak, mała Hoffmanówna. Znalazła się następnego dnia. Była wyziębiona.

Drobne ślady zadrapań. Żadnych dowodów zgwałcenia. Tak.

Szczyśliwe zakończenie – komisarz sprawiał wrażenie zadowolonego z możliwości wykazania się dobrą pamięcią.

– Szczyśliwe zakończenie. No tak. Dziewczynka znalazła się. A przecież nie chciała powiedzieć, co działo się przez dwadzieścia godzin, bo tyle czasu zajęło jej, jeśli można to tak określić, zniknięcie.

Komisarz zasmucił się. Tłumaczył nieśmiało, że dziecko po takiej przygodzie blokuje w swoim umyśle wszelkie fakty związane z lękiem i cierpieniem. Kto wie, może zresztą Hoffmanówna zbłądziła w lesie i wstydziła się przyznać do swojej bezradności?

– Zdarza się i tak, z całą pewnością. Ja jednak pozwoliłem sobie zatelefonować wczoraj wieczorem do sopockiego komisariatu. Bardzo mili urzędnicy. Niestety, sami w” niczego nowego nie wniesli do sprawy. Bezcenna pomoc polegała na czymś innym – Ignaz wypił ostatni łyk mocno słodzonej czekolady. – Otrzymałem numer telefonu ojca zaginionej, Arnolda Hoffmana.

– To bogaty człowiek, prawda? – zapytał posterunkowy.

– Przypuszczalnie. Aparat telefoniczny rzeczywiście nie znajduje się w każdym domu. Nie zważając na późną porę, zatelefonowałem z hotelu do pana Hoffmana. Rozmawialiśmy jakieś pół godziny. Panowie pozwolą, że zrelacjonuję im przebieg konwersacji.

Ignaz skłonił lekko głowę, a komisarz i posterunkowy wlepili w niego wzrok wyrażający napięcie.

Wbrew obawom Brauna ojciec dziewczynki okazał się bardzo rozmownym człowiekiem. Już w pierwszym zdaniu posypały się gromy na pracę wejherowskiej i sopockiej policji. Mężczyzna pragnął wyrzucić z siebie żal do bezradnych i leniwych (jego słowa) funkcjonariuszy, którzy po odnalezieniu się panienki nie mieli ochoty (znowu jego słowa) na dalsze prowadzenie śledztwa.

Owszem, poszukiwania z udziałem kilku funkcjonariuszy prowadzono od południa do późnych godzin wieczornych. Policjanci z mopsami sprowadzonymi z jednostek całego starostwa chodzili bez rezultatu po drózkach kalwaryjskich, wołali i klaskali w zgrabiałe dłonie. Następnego dnia Elza Hoffmanówna znalazła się. Od tej chwili, poza dwoma krótkimi i

zakończonymi niepowodzeniem przesłuchaniami w Wejherowie i Sopocie, nie zrobiono nic, aby wyjaśnić tajemnicze zdarzenie.

Elza milczała jak zaklęta. Rodzice cieszyli się z jej odnalezienia i faktu, że nie została zgwałcona. Sen z powiek spędzała im obawa o zdrowie psychiczne dziewczynki. Bawiła się lalkami, które odrzuciła dwa lata wcześniej, całymi dniami stała przed lustrem milcząca i nieruchoma.

Pewnego dnia dwaj stolarze przyszli do domu Hoffmanów wymienić kilkanaście klepek parkietowych. W pewnym momencie jeden z nich zwrócił się do drugiego po imieniu.

– I pewnie ten drugi był Johann? – wtrącił posterunkowy.

– Wybornie, drogi Antonie. Wiecie panowie, co zrobiła nasza zaginiona?

– Uciekła na strych – odparł szybko komisarz.

– To byłoby logiczne i pozwoliłoby nam na wysnucie jednoznacznych wniosków. Niestety, nie wszystko jest takie proste. Jak zahipnotyzowana zaczęła podchodzić wolno do pomocnika stolarskiego. Ten, pochylony nad parkietem, nie zauważył nadchodzącej dziewczynki. Nagle poczuł na swojej szyi delikatny dotyk dłoni. Przestraszył się.

Elza, zrażona jego reakcją, uciekła szybko do swojego pokoju. Ostatnim elementem tej sprawy była wizyta jakiegoś starszego mężczyzny, który opowiedział Hoffmanom o Johannie. Niestety, mężczyzna zaprzysiągł pana Hoffmana do zachowania swojego nazwiska w tajemnicy. Ojciec Elzy, jako człowiek honoru...

Na czole komisarza pojawiły się zmarszczki świadczące o intensywnym procesie myślowym. Wreszcie Rensch, wypiwszy pół szklanki „selterki”, wody sodowej będącej dumą Wejherowa, i zapaliwszy cygaro, postanowił zabrać głos.

– Na moje oko ta mała po prostu spotkała się z naszym półwiartowanym przyjacielem. Tak. Rozmawiali, rozmawiali, może on udawał, że ją goni, ona udawała, że ucieka, stąd zadrapania. Nudne życie panienci z dobrego domu i nagle romantyczna randka. Potem chyba zabłądziła. To był Wenders, poszlaki są mocne. Tak. Ale czy możemy przypuszczać, że tamto zdarzenie ma związek z naszym morderstwem? Intrygująca sprawa!

– Noc spędzona przez Elżę w lesie nie jest błahym wydarzeniem. A wiersze godne hrabiego Draculi? – zauważył Braun.

– Rzeczywiście. Panienska z dobrego domu zawsze wraca na noc pod rodzicielski dach. Może oni gdzieś się ukryli? Szopa, jakiś strych. Wendersowie oczywiście nie będą pamiętali, czy ich syn spędził noc w domu. Tak. Rok minął od tamtej pory, a dla nich piątek 2 marca zapewne niczym nie różnił się od innych piątków. Nasz przyjaciel mógł się przecież wymknąć, kiedy wszyscy już spali.

– Zajmę się tym wątkiem równoległe do sprawy Richtera i Żydów. Trzeba i ich przesłuchać. Opinii ogółu nie należy ulegać, ale aby ją okiełznać lub potwierdzić, należy zrobić to, co do policji należy.

– Więc do pracy, kochany panie inspektorze. Tak. I ja mam napięty harmonogram dnia. Cóż robić, praca policjanta jest szczególnie absorbująca. Niech pan... nie zważa na słowa tego rozgoryczonego ojca dotyczące naszej pracy. Staramy się i bardzo bym się martwił, gdyby władze wyrobiły sobie pochopną opinię na nasz temat – błagalne spojrzenie zafrasowanego komisarza wbiło się w postać berlińskiego inspektora.

Ignaz uśmiechnął się do zakłopotanego Renscha.

– Tak doświadczony funkcjonariusz nie powinien obawiać się o swoją pozycję. Po owocach ich poznać...

A na owoce zaczekamy. Na pewno będą słodkie, jeśli wolno mi wyrazić nadzieję.

– Tak. Dziękuję. Zapewne będzie pan chciał porozmawiać z tą małą Hoffmanówną?

– Bez wątpienia. Wybieram się do Sopotu już jutro.

Nie wiem, czy uda mi się wyrwać Elżę z kręgu zwidów i przemilczeń, ale miałbym do siebie wielki żal, gdybym nie spróbował.

– Słusznie, słusznie, a dzisiaj...? – komisarz zawiesił głos, oczekując na odpowiedź.

– Mamy dopiero godzinę piętnastą. Do końca dnia jeszcze dużo czasu. Wydaje się, że koniecznie trzeba porozmawiać z panem Josephem Lewinskym. Wisi nad nim imienny donos i nie od rzeczy będzie poznanie opinii samego zainteresowanego. Czy posterunkowy Myszk dzisiejszego popołudnia również oddelegowany jest do mojej dyspozycji?

– Naturalnie. Anton wie, gdzie szukać naszego starozakonnego rzeźnika. Pan też musiał zauważyć jego sklep.

Tak. Kamieniczka Richtera, dwie inne i od razu sklep Lewinsky’ego. Ciekawy człowiek, ciekawy.



Oskarżenie i kontroskarżenie

Dwaj policjanci znaleźli się w pokoju pełnym starych i ciężkich mebli. Zanurzyli się w wielkich krzesłach obitych niemal czarną skórą. Za masywnym biurkiem do złudzenia przypominającym biurko komisarza Renscha siedział równie masywny mężczyzna z siwą brodą godną proroka Melchizedecha. Przed inspektorem i posterunkowym zgrabna pokojówka postawiła półmisek z firmowymi wędlinami. Kabanosy, szynka wołowa, salami uśmiechały się do gości. Uśmiechała się również pokojówka. Podobnie zachowywał się Joseph Lewinsky. Myszk pierwszy sięgnął po cudownie pachnący poczęstunek.

– Panowie się nie krępują. Panowie wybaczą, że nie ma tu wieprzowinki. W sklepie owszem, ale w żydowskim domu należy zachować zasady...

– Nie szkodzi, wszystko jest bardzo smaczne – odparł Anton między jednym a drugim kęsem.

– Dziękuję za uznanie. Pan posterunkowy za rzadko odwiedza moje skromne progi. Tak samo małżonka drogiego pana posterunkowego. Rozumiem, że to sprawa

Wendersa – zwrócił się do inspektora – skłoniła tak znakomitego przedstawiciela policji do odwiedzenia skromnego rzeźnika?

Ignaz nie spuszczał wzroku z brody Lewinsky'ego. Delikatnym ruchem dłoni sięgnął po kawałek kabanosa i niespiesznie smakował cudo sztuki kulinarnej.

– Posterunkowy miał rację. Wyborny smak. Delikatny, ale niepozbawiony nutki ostrości podrażniającej zmysły. Rzeczywiście, właśnie Johann zaprowadził nas do gabinetu szanownego pana. Podejrzenia pewnej części opinii społecznej kierują się w pana stronę. Niektórzy określają pana jako sprawcę nieszczęścia, a moim obowiązkiem jest, miejmy nadzieję pozytywne dla szanowanego obywatela, zasłużonego dla miejskiej struktury handlowej, wyjaśnienie tragicznej historii – tu Ignaz skłonił się siwemu prorokowi siedzącemu na bogato rzeźbionym krześle gdańskim.

– Słyszałem o tych okrutnych potwarzach. Richter i jeszcze większa kreatura, Masslof! Jak mogli?! Czy Żyd, czy w szczególności ja mógłbym kogokolwiek zabić? To nie morderstwo. To zbiorowa rzeź! Zabity został nie tylko biedny Johanek, ale zabici zostali ci wszyscy do dziesiątego pokolenia, którzy byliby powołani do życia przez niego i jego potomków. Dziesiątki, może setki ludzi... Piekarze, urzędnicy, przemysłowcy, finansiści. Może jakiś skrzypek albo adwokat? Obrzydliwa zbrodnia – rzeźnik nie mógł się uspokoić. – Prawdziwi zabójcy zrzucają na innych swoje okropne winy!

– Co pan ma na myśli? – Braun szybko nałożył okulary, które swoim zwyczajem często czyścił.

Lewinsky stopniował napięcie. Umoczył usta w zawartości filiżanki, otarł je haftowaną chusteczką i rozpoczął perorę.

Mówił o trwającej kilkanaście lat walce handlowej z Richterem, której ofiarą był on i jego liczna rodzina, a pośrednio cała gmina żydowska. Zaniżone ceny, pomówienia o brak zasad higieny w sklepie starozakonnego i na całym zapleczu, wyrażane w prasie i przy każdej okazji poglądy

antysemickie, namawianie klientów do kupowania tylko w uczciwym, ewangelickim sklepie. Cech rzeźnicki, jeśli nawet oficjalnie nie akceptował takich opinii, nie odcinał się od Richtera, co bardzo bolało starego Żyda. A gdyby tak mieszkańcy miasta zaczęli bojkotować sklep? Z obrotów uzyskanych ze sprzedaży artykułów mięsnych samym wejherowskim Żydom trudno byłoby wyżyć, w mieście było tylko stu pięćdziesięciu starozakonnych.

Inspektor słuchał z uwagą skarg rzeźnika, nie przerywał jego wypowiedzi, a nawet co jakiś czas grzecznościowo potakiwał. Dla Lewinsky'ego był to dobry znak; postanowił przejść do najważniejszego punktu swojego przemówienia.

– Jak się panu inspektorowi zdaje, po co miałbym zabijać tego biednego Johannka? Nie miałem żadnego motywu, żadnej przyczyny. Ja nie. Oczywiście poza krwią do macy. Patriarchowie i prorocy! Do naszej świętej macy! Wierzy pan w te barbarzyńskie przesady?

– Kto w takim razie... – Braun zignorował pytanie rzeźnika.

– Ten mianowicie, komu chłopaczek zalazł za skórę!

Przystojny gimnazjalista, bez dwóch zdań. Nie dziw, że córka Richtera dała mu się bałamucić bez końca. Anna jest w tym wszystkim najmniej winna, po prostu zaimponował jej biedny Johannek. Ładny kawałek amanta! Co prawda, w przyzwoitym mojżeszowym domu taka rzecz nie mogłaby się zdarzyć. Sześć moich córek dobrze wydałem za mąż i rękę za każdą z nich, że ofiarowała swoją niewinność mężowi.

– Sugeruje pan romans albo przynajmniej uwiedzenie? – zdumiał się Ignaz.

– Ja nic nie sugeruję, ja mówię o faktach. Całe miasto wiedziało, że Anna została kochanką Wendersa. Służąca Richterów roznosiła po całym

mieście wiadomości o romansie, a ona chyba najlepiej wiedziała, co się działo w tym porządnym ewangelickim domu...

Uśmiech pobłażania i nuta zgorszenia jednocześnie przebiegły po twarzy rzeźnika.

– Niech pan kontynuuje – Ignaz zwrócił się do Lewinsky’ego.

– Rozpacz ojca jedynaczki musiała być wielka. Ten Johannek, według słów panny Himiltrudy, to znaczy służącej Richterów, nie marnował czasu. Niby to uczył panienkę niemieckiego i innych potrzebnych rzeczy, a w rzeczywistości wykorzystywał jej naiwność i brak życiowego doświadczenia. Choroba drążyła ją, brak kontaktów z otoczeniem smucił, fascynacja inteligentnym gimnazjalistą musiała się przytrafić, nie ma dwóch zdań. Tak, tak, historia zna takie przypadki...

I pana konkurent odkrył prawdę.

Odkrył? Ja nie mówię, że on odkrył prawdę, ja mówię, że on ją zobaczył! Jak dwa razy dwa jest cztery! Wrócił wcześniej ze sklepu i nakrył swoją córkę w objęciach biednego Johannka. Niech Bóg nie sądzi surowo starego Augusta, ja może zrobiłbym tak samo.

– W pana przekonaniu Richter zabił w afekcie Johanna Wendersa. Czy dobrze pojmuję?

Gospodarz, usłyszawszy ostatnie pytanie, uspokoił się.

Poczuł ulgę. Pochylił się w stronę inspektora i wolno, wyraźnie odpowiedział:

– Jak najzupełniej. Takie jest nie tylko moje zdanie.

Nie ma innego logicznego wytłumaczenia.

– Czy poza wiadomościami od panny Himiltrudy i wynikającym z nich tokiem rozumowania istnieją, pana zdaniem, jakieś dowody?

– Czy istnieją dowody! – obruszył się Lewinsky. – Fachowe cięcia, tak pisano w gazetach. Romans naprawdę miał miejsce. To mało? Czy ja jestem

policjantem? Ja nie jestem policjantem. Ja jestem uczciwym kupcem i drobnym przedsiębiorcą. Ja nie mam żadnych pretensji do bycia mądrym i bogatym, ja chciałbym już czekać na Mesjasza, leżąc sobie spokojnie na kirkucie w Bolszewie. Praktyka wyniesiona z sądu mojej gminy, którego jestem członkiem, uczy, że należy dokładnie przeszukać dom podejrzanego, czyli Richtera. Czy ja mam szanownym panom podpowiadać? Badajcie, pytajcie, wyciągajcie wnioski.

Rzeźnik zdenerwował się. Miał już nadzieję, że jego opinia zostanie przyjęta bez zastrzeżeń. Najmniejsza wątpliwość wyrażona przez inspektora wystarczyła, aby zasmucić siwobrodego proroka. Załamał ręce i zaczął od nowa wyrzekać na ojca Anny, który rzucał oszczerstwa właśnie na niego, a przedtem tyle razy próbował zaszkodzić konkurencyjnej firmie.

Ignaz wiedział już, że tego dnia nie wydobędzie od starozakonnego niczego, co mogłoby stanowić najdrobniejszy nawet ślad prowadzący do ewentualnego udziału Lewinskyego w zabójstwie Wendersa. W tamtej chwili berliński policjant miał za mało danych. Donosy na Richtera i na starozakonnego składane były przez osoby postronne i zawierały niewiele konkretów. Należało natomiast zapytać o wspomnianego przez Lewinsky'ego niejakiego Herberta Masslofa, pomocnika masarskiego pracującego dorywczo w najrozmaitszych zawodach.

Ożywienie na twarzy rzeźnika było aż nazbyt widoczne. Masslof budził wśród mieszkańców miasta mieszane uczucia. We wczesnej młodości hulaka i uczestnik każdej awantury odbywającej się w Wejherowie. Posiadał gwałtowny charakter, nieraz sądzony był za pobicia. Kiedy jednak proszony był o jakąkolwiek przysługę, rzucał wszystko i biegł do potrzebującego. Odnowił upadający płot, odebrał poród od cielącej się krowy czy kłaczy, oprawił świnie, zebrał z pola ziemniaki. Za drobniejsze prace nie chciał wynagrodzenia.

Człowiek ten mieszkał na obrzeżach miasta w małym domku, który kiedyś otaczały pola należące do gospodarstwa. Małżeństwo Masslofów sprzedało kilka hektarów ziemi, sobie zostawiając jedynie ogród z kilkunastoma drzewami owocowymi i grządkami pełnymi warzyw. Małe gospodarstwa, poletka i sady posiadała większość mieszkańców miasta. Jako rzemieślnicy lub robotnicy, niekiedy nawet urzędnicy niższej rangi, wejherowianie pracowicie zajmowali się swoją wiejską własnością. Herbert i jego żona nie mieli dzieci, umarli też dawno lub wyjechali do większych miast wszyscy ich krewni. Wszyscy oprócz teściowej Masslofa, mieszkającej z córką i zięciem.

Od kilku miesięcy pomocnik masarski pracował u Richtera. Według słów starozakonnego obaj dobrali się jak w korcu maku. Złośliwy intrygant (na dodatek zabójca) i jego towarzysz, awanturnik o podejrzanym reputacji. Lewinsky był pewien, że Masslof jako pierwszy rzucił na niego podejrzenie. Zły Żyd, krew potrzebna na macę, jednoznaczne oskarżenia, wszystko to miało być dziełem Masslofa podjudzanego przez Augusta Richtera.

Joseph Lewinsky zakończył swoje zeznania wskazaniem Masslofa jako współodpowiedzialnego za zbrodnię i rozsiewanie kłamliwych potwarzy. Uścisnął wylewnie dłonie obu policjantów, zapewnił o nieustającym szacunku dla prawa i jego przedstawicieli, nade wszystko zaś dla cesarza i jego rodziny, na koniec podtrzymał gotowość złożenia zeznań o każdej porze dnia i nocy.

– Dlaczego on to zrobił, panie inspektorze?! – zapytał wzburzony Anton, kiedy funkcjonariusze znaleźli się na świeżym powietrzu. – Dlaczego oskarżył człowieka, nie mając żadnych dowodów? W dodatku ta Anna... Wierzę jej.

– Czy was nie uczyli podstaw psychologii, Antonie? – zdziwił się Braun.

–Nie.

– No właśnie – ożywił się Ignaz, wracając do zadanego mu pytania. – Ruch wyprzedzający. Biedaczek mógł przypuszczać, że przyszliśmy go zaaresztować. Czuje na sobie narastające ciśnienie opinii ogółu, prawdopodobnie zmniejszyły się obroty w sklepie. Wie, że spora grupa ludzi podejrzewa właśnie jego. Nie miał innego wyjścia, musiał skierować podejrzenia na osobę, która jego z kolei oskarża, a miała poważniejszy powód, żeby zamordować „biednego Johannka” Przynajmniej tak przedstawił to sam Lewinsky. Pamiętasz, że kobieta sprzątająca u Lewinsky’ego znalazła w praniu pracodawcy chusteczkę z monogramem „J. W.”?

– Jest takie zeznanie w protokole. I była to teściowa

Masslofa! Pani Irmgarda nie potrafiła zidentyfikować chusteczki jako należącej do syna, ale kto wie? Więc kiedyś stosunki między Lewinsky’em a rodziną Masslofa były dobre. Skoro dał jej pracę... Dopiero po śmierci Johanna...

Skąd ta chusteczka? – Anton złapał się za głowę. – Ale dlaczego nie zapytał pan o nią starozakonnego?

– Na razie nie musiałem. Zresztą odpowiedziałyby, że ktoś mu podrzucił.

Widzisz więc: Lewinsky zrobił dokładnie to samo, co Richter i jego pomocnik podczas pierwszego zeznania. Gdzie leży prawda? Jeszcze nie wiem.

– Jutro pan inspektor sam pojedzie do Sopotu? – upewnił się posterunkowy.

– Tak. Natomiast po południu zmuszony będę poprosić cię o towarzyszenie mi na drózkach kalwaryjskich.

– Pan inspektor chciałby...? Dobrze się składa. Jutro ostatni piątek przed Wielkim Tygodniem. Z przeproszeniem pana inspektora, chciałbym, skoro będzie okazja, przedstawić panu moją żonę i dzieci. Opowiadałem im o pana osobie – Anton zawstydził się – byliby bardzo zaszczytzeni...

– I ja poznam chętnie twoją rodzinę. Widzisz, chciałbym połączyć przyjemne z pożytecznym. Nigdy nie byłem na żadnej kalwarii. Mówiąc ściślej, nie byłem na żadnych uroczystościach kalwaryjskich. Przy tym z praktyki śledczej wiem, że dobrze czasem wsłuchać się w rozmowy anonimowych ludzi znajdujących się w tłumie. Niekiedy przynosi to więcej pożytku niż wielogodzinne przesłuchania.

Posterunkowy był wielce zadowolony. Jego dzieci od poprzedniego dnia domagały się opowieści o berlińskim policjancie. Żona była dumna, że to właśnie Anton został oddelegowany do asystowania inspektorowi i nie omieszkała poinformować o tym krewnych, powinowatych i sąsiadek. Całą rodzinę ciekawił ten niepozorny człowiek o wnikliwym umyśle.

Dwaj policjanci rozstali się w dobrych humorach, wiele obiecując sobie po wydarzeniach dnia następnego.

Komisarz lękał się nieco przybysza, Anton kilka razy przekonał się o specyficznym humorze Brauna. Te i inne opinie szły w świat, zaczynały żyć własnym życiem i przybierały kształty, o jakich nie śniło się ludziom, którzy inspektora poznali. Tak oto niechcący Ignaz stawał się bohaterem Wejherowa, zanim jeszcze na dobre się tam rozgościł. Mówił o nim hotelarz Alsleben, mówiła pani Irmgarda swoim licznym przyjaciółkom i pewnemu młodziutkiemu asesorowi notarialnemu zatrudnionemu w kancelarii pana Nowoczyna, mówił Joseph Lewinsky podczas zgromadzenia w wejherowskiej synagodze. Służba szła w ślady państwa i przy garnkach oraz na targu omawiała szczegółowo domniemane i

rzeczywiste postępowanie Ignaza. Ratusz, starostwo i nawet pałac nie pozostały obojętne na sposób prowadzenia śledztwa.

Już w dzień po znalezieniu lewego uda całe miasto wierzyło święcie, że sukces był dziełem dzielnego inspektora. Podobnie zachowywano się, gdy prowadził śledztwa w sprawie trucicielki z Dureń czy „Krwawego Adalberta” z Mannheim.

Dzień miał się ku końcowi. Za oknem cichły wszystkie hałasy. Przybysz z Berlina leżał w swoim łóżku i medytował na temat jutrzejszej podróży do Sopotu. Myśl o niedalekim już wejściu do pociągu przywołała wspomnienie kobiety spotkanej dwa dni wcześniej. Czarne, gęste włosy przykryte gustownym kapelusikiem z czereśniami, pełna lecz delikatna twarz ozdobiona drucianymi okularami złotej barwy, elegancja widoczna w każdym ruchu i niespodziewany uśmiech, wszystko wydawało się teraz czymś nierzeczywistym i przeniesionym z pięknej bajki. Ignaz z fotograficzną pamięcią odtwarzał każdy szczegół z tamtych kilku godzin, analizując najdrobniejsze gesty nieznajomej. Zasnął, myśląc o szczęściu pojawiającym się na wyciągnięcie ręki i znikającym tak szybko...



Sklep mięsny Augusta Richtera

Drugi już raz Ignaz wychodził z wejherowskiego dworca. Wyciągnął zegarek, otworzył go, spojrzął na tarczę i przyspieszył kroku. Ulica Dworcowa, której przyglądał się poprzednim razem, mimo urody obszernych willi, niemalże pałacyków, teraz nie zaprzętała jego skoncentrowanej na czymś innym uwagi. Żałował jedynie, że nie będzie mógł razem z posterunkowym nawiedzić tego dnia kalwaryjskich wzgórz. Po niecałym kwadransie był już w ratuszu.

Anton tylko przez chwilę czuł się zawiedziony, że jego rodzina w piątkowe popołudnie nie pozna inspektora Brauna. Kiedy dowiedział się o przyczynie zmiany planów Ignaza, nie wahał się ani minuty. Poprosił wychodzącego do domu Heinza o powiadomienie żony o swojej nieobecności na drodze krzyżowej. Zaraz też dwaj policjanci ruszyli przez Rynek do domu Augusta Richtera.

Rzeźnik był jeszcze w sklepie. Nie okazał zdziwienia na widok inspektora; córka musiała opowiedzieć mu o rozmowie z Ignazem.

– Spodziewałem się pańskiej wizyty – długa koścista dłoń oplotła na moment rękę Brauna. – Słyszałem wiele dobrego o pana podejściu do przesłuchiwanym. Pojmuje pan, to nieczęste u ludzi takiej profesji.

– Podobno jestem oryginałem w swoim fachu... – skromnie przyznał Ignaz.

– Właśnie. Tym bardziej miło mi powitać przyzwoitego policjanta – odparł Richter.

Wysoki, chudy rzeźnik należał do ludzi, którzy od pierwszego spotkania głęboko zapadają w pamięć. Burza siwych, niesforne rozrzuconych włosów osobiwie uzupełniała ascetyczną twarz. Żółta skóra powlekająca prostokątną szczękę oraz wystające kości policzkowe przypominały Ignazowi podobne cechy faraona Totmesa XII oglądanego w zmumifikowanej postaci podczas wycieczki do berlińskiego muzeum. Duże oczy patrzące bez sympatii dodawały Richterowi swoistej urody zapożyczonej z gotyckich powieści.

Gospodarz nie zaprosił policjantów do mieszkania.

Posadził ich na zapleczu sklepu w towarzystwie tusz wieprzowych, świńskich łbów i mis z surowymi jeszcze kiełbasami. Na środku pomieszczenia wisiał krępulec do rozbierania mięsa, który, mimo że pusty, wzbudził mieszane uczucia w przyzwyczajonych przecież do niejednego funkcjonariuszach. Gospodarz łagodnie wyprosił pomocnika, który z ociąganiem zdjął zakrwawiony fartuch i niespiesznie poczłapał do drzwi prowadzących na podwórze.

„Taki twardy człowiek, a chyba nie ma wystarczającego autorytetu u podwładnego. Może tamten to Masslof?” – pomyślał inspektor i zwrócił się do Richtera:

– Ładne zaplecze. Na przykład ten oto prosiaczek. Ma pysk, który wiele wyraża. Ironię, smutek, odrobinę nostalgii za straconą bezpowrotnie młodością.

– Marnuje się pan inspektor. Rzeźnictwo było pańskim przeznaczeniem – odparł Richter, nie wiedząc, czy Ignaz mówi poważnie.

– Eee, brzydzą się krwią. Co innego oprawione, gotowe do opakowania w papier kawałki. Albo szyneczka. Takie na przykład ćwiartowanie należy zostawić fachowcom, łaskawy panie.

– No dobrze, pozostajmy przy swoich zajęciach – odparł nieco ogłuszony słowami Brauna August Richter. – W czym mógłbym pomóc naszej policji?

Odpowiedź nie padła od razu. Twarz inspektora na moment stężała, wzrok zawisł na pętach kabanosów wiszących nad półką zawaloną wędzonymi żeberkami. Lubił ten sposób rozdrażniania przesłuchiwanego. Czas płynął wtedy wolniej, niepewność ofiary wzrastała w geometrycznym tempie. Policjant nie mógł sobie pozwolić na słabość w stosunku do rzeźnika.

– Czy zabił pan Johanna Wendersa?

– Kogo? – wybełkotał Richter tak, jakby innych mordował codziennie, a tylko gimnazjalisty, z niewiadomych przyczyn, nie mógłby zabić.

– Johanna Wendersa. Gimnazjalistę, lat osiemnaście, syna Johannes a i Irmgardy Wendersów. Znajdowanego fragmentarycznie w ciągu ostatnich paru tygodni w postaci nadającej się do sprzedaży w sklepie mięsny dla ludożerców gwinejskich.

– A co ja, u licha, mam z tym wspólnego?! – wykrzyknął Richter.

– To mianowicie, drogi panie, że zeznania świadka mówią nam o pańskich pogroźkach pod adresem Wendersa i usiłowaniu zamordowania go jeszcze w drugiej połowie zimy ubiegłego roku.

– O czym pan mówi?! – rzeźnik podniósł się z krzesła i nachylił nad pytającym.

– Śledził pan Johanna. Pamięta pan? Był ładny dzień.

Widział pan, jak Wenders i pewna dziewczynka idą obok siebie, rozmawiają. On chwyta jej rękę. Pan podbiega do tych dwojga.

Richter skurczył się. Zdawał się ogłuszony. Teraz jego twarz zdawała się jeszcze bardziej żółta. Oczy płonęły jak przedtem, ale głos stał się spokojniejszy.

– Rozmawiał pan z tą małą? Ona była wpatrzona w niego jak w tęczę. Widziałem niemal codziennie, jak ten łajdak zastawia sieci na moją Annę. Tak, z przyjemnością bym go zaszlachtował, ale niestety nie zrobiłem tego. On nie miał uczciwych zamiarów. Zadawał się z kobietami, które należałoby oblać smołą i obsypać pierzem, a potem wyrzucić z miasta. Chodził też za dorastającymi panienkami i kobietami w średnim wieku. Anna bawiła go, cieszył się jej naiwnością. A ja nie mogłem zabronić mu tych przeklętych wizyt, bo były jedyną radością biedaczki. Moja chora córeczka!

– Co pan zrobił wtedy, na leśnej dróżce? – cicho zapytał inspektor.

– Dopadłem go – zaczął zapalczywie rzeźnik. – Pchnąłem na skraj drogi, przewrócił się i chyba bał się podnieść. Uklęknąłem, uderzyłem go kilka razy w twarz.

Z jego ust wypłynęła krew. Dziewczyna krzyknęła, myślała, że to napad rabunkowy. Nie знаła mnie przecież, tak jak ja nie znałem jej. A może miała mnie za wariata? Dość, że wykrzyczałem do niej, że zadaje się z degeneratem. On cały czas leżał na ziemi. Wiedział, że stary August mógłby pokonać niejednego młodszego od siebie. Ja biłem się z Francuzami jeszcze za kanclerza, biłem się pod Belfortem i zostałem odznaczony, potrafię przemówić ludziom do rozsądku. Potwierdzi to każdy z moich druhów w Zachodniopruskim Towarzystwie Weteranów. No i Johann słuchał niepewny swego, a ja mówiłem.

Dziewczyna dowiedziała się o jego romansach, o tym, że dokuczał służącym i w ogóle ludziom niższej kondycji.

– Czy pan powiedział, że zabije Wendersa?

– Oczywiście. Miałem ochotę skończyć z tym szczeniakiem. Ostrzegłem go, że jeśli nadal będzie zawracał głowę Annie, źle na tym wyjdzie. Nie chciałem, żeby córka do końca mnie znienawidziła. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym zabronił jej widywania się z Johannem, nie wybaczyłaby mi nigdy. Ona jest słaba, ale potrafi zaciąć się w sobie. Zresztą jest osobą dorosłą, mogła uprzeć się i postawić na swoim. Wołałem, żeby on zerwał znajomość.

– Śledził go pan od...? – zapytał Ignaz.

– Mniej więcej półtora roku. I co z tego... Od śledzenia się nie umiera. Potem kilka razy udało mi się uchronić naiwne dziewczęta od nieszczęścia. Tej małej z Sopotu nie uratowałem, bo pewnie zamknął ją gdzieś i wykorzystywał przez całą noc. Nie posłuchała mnie. Wiem z prasy, że szukano jakiejś dziewczyny. Rysopis pasował do panny, którą wtedy ostrzegłem.

– Wenders jeszcze tego samego dnia odwiedził pańską córkę...

– Nie pamiętam. Możliwe. Pan przecież wie, że jestem człowiekiem interesu. Mam oddziały sklepu w Bolszewie i Chyloni. Prowadzę trzy sklepy, małą masarnię, dostarczam towar w różne miejsca, z różnych miejsc go przywożę. Wiele czasu przeznaczyłem na śledzenie Johanna, potem musiałem załatwiać swoje sprawy. W domu pojawiłem się dopiero wieczorem.

– Potem nie zmieniła się częstotliwość odwiedzin Johanna?

– Niestety. Anna czasami umiała postawić na swoim.

Tyle, że zaglądałem do jej pokoju co kilkanaście minut, obrzucałem Wendersa znaczącym spojrzeniem, wychodziłem i po chwili zaczynałem wszystko od nowa.

– Czy nie sądzi pan, że może być uznanym za głównego podejrzanego? Cięcia godne rzeźnika, niewątpliwy motyw; zwłaszcza że plotki roznoszone

po mieście mówią o... proszę mi wybaczyć, romansie pańskiej córki z Johannem.

Pogróżki, które były słyszane nie tylko przez małą Hoffmanównę...

– Powtarzam panu, z przyjemnością bym to zrobił, ale nie chciałem, żeby Anna została zupełnie sama. Musiałbym przecież liczyć się z możliwością pójścia do więzienia lub nawet kary śmierci. Nie powiem, ucieszyłem się z zaginięcia Johanna jak nikt inny w tym mieście. Moim zdaniem winnego nie trzeba długo szukać. Jest tutaj obcy element. Odbiera nam handel i bogactwa, nie pasuje do niemieckiej kultury, choć się do niej przyznaje. Chce pan wiedzieć, kto zabił naszego gagatka? Żydzi. Mieli powód!

Żydzi... A przecież to piękne miasto, czyste i niemieckie.

Czy pan wie, że w Wejherowie osiadają rentierzy i ludzie wpływowi, aby tutaj dokonać w spokoju żywota? To dobrze o nas świadczy. O władzach i mieszkańcach. Tylko ci Żydzi mogli sobie dalej mieszkać w Bolszewie, jak dawniej.

– I to oni zamordowali Wendersa – dokończył Ignaz.

– Jasne. Mówiłem już, że kilku zaniepokojonych obywateli miało prawo do zabicia gagatka. Ale właściwie nie w naszym guście jest takie morderstwo. Pojedynek, oddanie sprawy do sądu, w ostateczności pistolet, strzał w afekcie.

Poćwiartowania nikt nie brałby pod uwagę. Wejherowo jest inne. Tymczasem oni... Na dodatek naprawdę potrzebują ludzkiej krwi do macy.

– Niektórzy z nich są pana konkurentami...

Richter zaperzył się. Od lat nie chciał przyjąć do wiadomości, że interes, jaki prowadził Lewinsky, można było nazwać sklepem rzeźnickim. Zawiść kazała ojcu Anny nie zauważać oficjalnie istnienia konkurenta. Funkcjonowanie żydowskiego sklepu tej samej branży w bezpośrednim

sąsiedztwie stanowiło jednak dla Augusta Richtera problem, z którym jego niemiecka dusza nie mogła sobie poradzić. Wypalał się, myśląc o konkurencie i często dawał wyraz swojej idealistycznej i patriotycznej niechęci do Żydów, nie zauważając, że ma ona również bardzo przyziemną przyczynę.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak zaprosić pana na jutrzejszy dzień do komisariatu. W sytuacji, kiedy oskarżenia są tak jawnie formułowane... Z drugiej strony pańska nienawiść do Johanna i groźby pod jego adresem dają wiele do myślenia. Potrzebny jest oficjalny protokół, stenogram.

– Wiedziałem, że zaproponuje mi pan ponowną rozmowę – z przekąsem odparł Richter.

– Tym lepiej, nie jest pan zdziwiony. Oczekujemy pana o dziewiątej.

Żegnam.

Ledwie dostrzegalnym ruchem inspektor skłonił się rzeźnikowi, spojrział pogodnie na Antona i obaj policjanci, nie odprowadzani przez gospodarza, przez sklep ruszyli do wyjścia.

– Jak udało się panu wydobyć cokolwiek z tej małej

Hoffmanówny?! – posterunkowy nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał na pół godziny przed zakończoną właśnie rozmową.

– Ależ nie wyobrażaj sobie, że Elza powiedziała mi o wszystkim, czego doświadczyła tamtego dnia. Mam wrażenie, że najważniejsze fakty zachowała dla siebie. Dobrze i to, czego się dowiedziałem. Po prostu nikomu nie przyszła do głowy oczywista prawda, że czas leczy rany.

W przypadku młodego organizmu i młodej psychiki rok jest bardzo długim okresem.

– Wiem, wiem, patrzę codziennie na swoje dzieci – potwierdził Anton.

– Właśnie. Panienska twierdzi, że szła na spacer z kuzynką i jakimś przygodnie spotkanym Johannem. Rysopis się zgadzał. Kuzynka, czując się

lekceważona, wkrótce opuściła naszą parę. Elza sama nawiązała do bójki z Richterm i zrelacjonowała ją dokładnie, zapamiętała nawet jego nazwisko. Skorzystałem o tyle, że przekonałem się o prawdomówności Richtera w tej właśnie sprawie. Resztę okrywa zasłona niewiedzy, jakby powiedział pewien nadinspektor z Wydziału Zabójstw znany z miłości do ezoteryki. W Elzie jest coś tajemniczego, jakieś piętno, którego nie sposób wymazać. Widziałem ją, może to największa korzyść z mojej podróży do Sopotu?

Ignaz nie zaplanował na piątkowy wieczór żadnych przesłuchań. Miał przecież uczestniczyć w nabożeństwie drogi krzyżowej. Odprowadził Antona kilkaset metrów w stronę domu stojącego przy spokojnej ulicy Nanickiej, a potem udał się do komisariatu. Posterunkowy Kandzorra, który miał nocny dyżur, liczył na krótką pogawędkę z berlińskim inspektorem i nie zawiódł się. Późnym wieczorem, przejrząwszy już akta sprzed kilku lat dotyczące pewnego rodzaju konfliktów międzyludzkich, Ignaz przyszedł do pokoju posterunkowego, wyjął z kieszeni marynarki pudełko zawierające kilka wonnych cygaretek i usiadł na twardym krześle służącym zazwyczaj osobom przesłuchiwanym.



Wrzenie

August Richter pojawił się w budynku ratusza punktualnie o dziewiątej. Ubrany był w czarny surdut pozbawiony wszelkich niegodnych mężczyzny dodatków.

Wyszukana elegancja ograniczała się do złotej dewizki zegarka. Sztywny, kostyczny tego dnia rzeźnik zapukał dwa razy do drzwi komisariatu i po chwili siedział już przed Rüdigerem Renschem i inspektorem Braunem.

Po wczorajszej napastliwości nie pozostał najmniejszy ślad. Świadek odpowiadał krótko, rzeczowo, logicznie.

Wiele kosztowało go zachowanie niezgodne z temperamentem i impulsywnością okazywanymi na co dzień, ale zdawał sobie sprawę, że zapalczywość może go jedynie pogрузić w oczach przedstawicieli prawa.

Policjanci długo pytali o alibi. W dniu zaginięcia Wendersa August nie zajmował się niczym, co warte byłoby szczególnej uwagi. Wtorek, jak każdy dzień powszedni, zaczynał się dla Richtera wcześnie. Przed świtem robił codzienny obchód zaplecza i sklepu. Zaglądał do swojej małej masami rozpoczynającej pracę o godzinie szóstej. Czasami jechał do Bolszewa lub Chyloni, żeby dopilnować rozmaitych szczegółów związanych z

funkcjonowaniem firmy noszącej jego nazwisko. Pojawił się jeszcze w niewielkiej fundacji dobroczynnej, której działalność nadzorował.

Późnym rankiem Richter jadał w domu skromne śniadanie w towarzystwie Anny. Wypijał filiżankę gorącej kawy, czytał stołeczną „Staatsbuergerzeitung”, wypalał cygaro i po upływie godziny wypełnionej takimi przyjemnościami wracał do sklepu. Nie mógł oczywiście wytłumaczyć się z każdej minuty. Nie siedział przecież cały dzień na krześle pośród świńskich łbów i ogonów. Bywał raz na dwa, trzy dni w banku, zaglądał do restauracji lub kawiarni, spotykał się z wejherowskimi sklepikarzami, kupcami, przedsiębiorcami. Ożywione życie towarzyskie w jego fachu jawiło się jako konieczność.

Rzeźnik konsekwentnie powtarzał, że nienawidził gimnazjalisty i chętnie udusiłby go przy pierwszej lepszej okazji, nie zrobił jednak tego przez wzgląd na córkę. Wspomniał, jak dnia poprzedniego, o śladach prowadzących do Lewinsky’ego. Chusteczka znaleziona przez teściową Masslofa i motyw mordu rytualnego wydawały się rzeźnikowi dostatecznymi dowodami winy.

Dochodziła godzina dwunasta. Przesłuchanie trwało nieprzerwanie od trzech godzin. Trzej mężczyźni znajdujący się w gabinecie Renscha nie czuli jednak zmęczenia.

Komisarz ukradkiem wypił dwa kieliszki koniaczku, zdjął marynarkę, co raz obcierał rękawem koszuli zroszone potem czoło, ale czuł się wyśmienicie. Zapomniał o dręczącym go reumatyzmie, pamięć przywołała sukcesy śledcze sprzed lat, kiedy jeszcze bystrość umysłu nie była przytępiona dolegliwościami zdrowotnymi i drobnymi kłopotami w życiu osobistym. Zadawał podchwytliwe pytania, z odpowiedzi Richtera wyciągał trafne wnioski, umiał w całej pełni docenić nieco odmienny sposób prowadzenia przesłuchania prezentowany przez Brauna.

Dla Ignaza ów stan euforii, obserwowany u komisarza, nie był niczym nowym. W swojej niedługiej, choć już bogatej, karierze policyjnej spotykał się z przypadkami nagłego ożywienia funkcjonariuszy szykujących się z wolna do przejścia na emeryturę. Nagły impuls, mobilizacja spowodowana przykładem młodego i ambitnego współpracownika, odszukanie w pamięci dawnych sukcesów, wszystko to mogło spowodować niespodziewany zwrot w zachowaniu osowiałego dotąd policjanta.

Inspektor zachowywał się spokojnie. Starał się wyprowadzić z równowagi Richtera, co nie było etyczne, często jednak w odniesieniu do przesłuchiwanym przynosiło zaskakująco pomyślne rezultaty.

Kiedy przed rzeźnikiem położono gotowy stenogram przesłuchania, rozbiegane oczy mężczyzny badały każdą kartkę; najbardziej błahe słowo musiało być sprawdzone.

Wreszcie po godzinie czternastej August Richter opuścił gęsty od dymu tytoniowego gabinet. Po otwarciu drzwi frontowych wychodzących na Rynek ujrzał stojących przed ratuszem kilkunastu mężczyzn i kilka nobliwych dam. Na widok rzeźnika zgromadzenie popłynęło w jego stronę. Ciekawi zbiegowiska przechodnie podchodzili pod ratusz i tak w ciągu kilkunastu sekund wokół Richtera zrobiło się tłoczno.

- Niech żyje August!
- Niewinny, niewinny!
- Nie damy cię zaaresztować!
- Złapiemy winowajcę!
- Zrobimy w mieście porządek!

Takie i inne okrzyki wznoszone na cześć męczennika napęliły południową pierzeję Rynku. Richter zdawał się oszołomiony powitaniem, jakie okazali mu przyjaciele, znajomi i zwyczajni przechodnie, mający ugruntowane zdanie na temat sprawców zabójstwa. Zgromadzonym

przewodził Herbert Masslof, krzyczący i wiwatujący najgłośniej ze wszystkich.

Do poklepywanego po plecach i bezlitośnie tarmoszonego rzeźnika przedarł się młody mężczyzna w grubych binoklach. Jego kruczoczarne włosy lały się po dwóch stronach przedziałka aż na górną część oliwkowych policzków.

– Najmocniej przepraszam, że zakłócam odbieranie należnego szacunku ze strony przyjaciół! – krzyknął przybysz do ucha Richtera. – Pan pozwoli, że się przedstawię.

Paul Bruhn z gdańskiego oddziału „Staatsbuergerzeitung”.

Dowiedziałem się o poprzednich atakach na pana osobę.

Nie wahałem się ani sekundy. Dobrze, że przyjechałem!

– No i? – odparł niezbyt mądrze rzeźnik, rozkojarzony jeszcze przykrym śledztwem i entuzjazmem wiwatującego tłumu.

– Nasza redakcja zajmie się bacznią obserwacją metod, jakie stosuje się w walce z praworządymi niemieckimi obywatelami! – krzyczał Bruhn. – Zatrzymałem się w hotelu pana Wodtke i chciałbym z panem porozmawiać.

Zamierzam, w imieniu prawdziwych Niemców, zająć się tą sprawą!

– Można jeszcze raz usłyszeć nazwisko?! – Richter otrzeźwiał już. Docenił okazję do umocnienia swojej pozycji.

– Paul Bruhn. Redaktor Paul Bruhn! Mogę dzisiaj odwiedzić szanownego pana?!

– Proszę bardzo. Wieczorem będę w domu!

Dziennikarz „Staatsbuergerzeitung” skłonił się Richterowi, czego ten już nie zauważył. Tłum prowadził coraz pewniejszego siebie rzeźnika na przeciwległą stronę Rynku. Z okna na pierwszym piętrze, uchyliwszy firankę, patrzyła na całe zajście Anna. Jej beznamienne spojrzenie utkwione

było w szaroczanym, ciasno skupionym zbiorowisku toczącym się, jak najedzona stonoga, w stronę domu.

Nieruchoma twarz, doskonale obojętna i nieprzenikniona, ściągała nikłe promienie gasnącego słońca. Pięknie i lodowato wyglądała córka rzeźnika.

Anna odeszła od okna dopiero wtedy, gdy na dole rozległ się hałas. Drzwi frontowe otworzyły się z łoskotem i dziewczyna usłyszała niezwykajny w tym domu gwar.

Po chwili do drzwi jej pokoju zapukała panna Himiltruda. Roztrzęsiona oznajmiła, że kilkunastu panów weszło z panem Augustem do salonu i należałoby przyjąć ich godnie, a ona sama nie będzie mogła dać sobie rady. Młoda gospodyni zeszła ze służącą na dół. Swoim przybyciem wywołała długie owacje przyjaciół ojca. Kiedy razem z panną Himiltrudą podawała kawę ze śmietanką i kruche ciasteczka, słyszała pod swoim adresem wiele ciepłych słów. Przyjmowała je ze stosowną wdzięcznością.

Wieczór dla mieszkańców Wejherowa zaczął się zwyczajnie. Wenders siedział w sklepie, jego żona uczestniczyła w spotkaniu pań z towarzystwa dobroczynnego.

Hotelarz Alsleben ucinał partyjkę skata z komisarzem Renschem, a doktor Gessler przyjmował rodziców chłopca chorego na przewlekły katar żołądka.

Inaczej rzecz się miała w domu rzeźnika. Dopiero późnym wieczorem obszerny gabinet Augusta Richtera opustoszał. Goście jeden po drugim wracali do swoich spraw.

Anna zlitowała się nad panną Himiltrudą i pomagała jej zmywać naczynia. Ojciec wszedł do zarzuconej mokrymi naczyniami kuchni i poinformował córkę, że wychodzi i nie wie, kiedy wróci. Nakazał, aby nie czekano na niego z kolacją. Anna nie miała nawet okazji zapytać

ożywionego ojca, dokąd się wybiera. Odwrócił się na pięcie i sprężystym krokiem opuścił kuchenne pobojowisko.

Szyby okazały się bezbronne. Kamienie i cegły pofrunęły w stronę okien dwóch kamienic. Głośne kroki uciekających i krzyki dobywające się zza uszkodzonych okien obudziły połowę miasta. Hałas narastał. Ci, którzy z początku twardo spali, budzili się i wyglądali na Rynek wypełniający się ludźmi.

Zza resztek szyby na pierwszym piętrze swojej kamienicy wynurzył się sam Joseph Lewinsky. Łamał ręce, podnosił głos, przemawiał jak z trybuny, obcierał chusteczką zapłakane oczy. Wyglądał jak Noe stojący na dziobie swojej arki. Wokół niego zgromadziła się cała rodzina. Dwie córki z mężami oraz ich dzieci i żona Josepha, Hanna, wszyscy stali po obu stronach żalącego się rzeźnika.

– Czego ja dożyłem! Tyle lat pracy w moim kochanym mieście i życia w moim kochanym mieście. Nikomu nie zrobiłem krzywdy i taka mnie spotyka nagroda! Za co to wszystko? Za lojalność wobec Najjaśniejszego Pana i za miłość do ludzi!

– Za miłość do pieniędzy! – odezwał się ktoś, a śmiech towarzyszył jego słowom.

– Za Wendersa! – zabrzmiał mocny kobiecy głos.

Stojący obok mężczyzna kazał zażywnej damie się zamknąć i między obojgiem zrodziła się sprzeczka.

– Za Wendersa?! – podchwycił Lewinsky. – A po co ja miałbym zabić biednego Johannka... Patrzcie na tych, co mieli powody!

Zamęt wśród okazałej grupy zgromadzonych pod domem rzeźnika gapiów pogłębiał się. Ktoś przyniósł wiadomość, że szyby wybito również w domu Wolfa Konitzera, bliskiego znajomego Lewinskych, mieszkającego

nieopodal otwartej przed dwoma laty miejskiej rzeźni. Ci, którzy podejrzewali o zbrodnię Żydów, łączyli oba nazwiska. Całość zdarzeń zaczęła uświadamiać gapiom, że być może zaczynał się nowy etap walki. Część tłumu znajdowała w nocnych zajściach dobrą zabawę albo powód do dania upustu agresji, inni z utęsknieniem wyglądali przybycia stróżów prawa.

Kiedy policjanci pojawili się przed domem rzeźnika, tłum podzielony był na dwie równe części. Jedni zdawali się akceptować to, co przydarzyło się Lewinsky'emu i domagali się aresztowania Żyda, na początek za oszczerstwa kierowane pod adresem uczciwego obywatela, drudzy ganili ich, mówiąc o odwracaniu uwagi od prawdziwego sprawcy nieszczęścia, jakie stało się udziałem do niedawna spokojnego miasta.

Uciszenie tłumu nie sprawiło policjantom zbytniego kłopotu. Ludzie rozstępowali się posłusznie przed pięcioma uzbrojonymi funkcjonariuszami i młodym mężczyzną w pospiesznie zarzuconym na plecy płaszczu. Okno z resztkami stłuczonej szyby opustoszało. Po chwili drzwi wejściowe uchyliły się i zajaśniała w nich olbrzymia siwa broda Lewinsky'ego. Trzech policjantów zostało na zewnątrz, dwóch w towarzystwie mężczyzny w płaszczu weszło do środka.

Tłum zaczął się przeredzać. Tylko okna z resztkami stłuczonych szyb, rozświetlone nikłym blaskiem zapalonej gdzieś w głębi korytarza lampy naftowej, świadczyły o tym, co zdarzyło się w Rynku. Inspektor Braun po raz drugi w ciągu ostatnich dni przesłuchiwał starozakonnego rzeźnika. Dwaj policjanci zabezpieczyli trzy cegły i cztery kamienie; poszkodowany nie szczędził gorzkich słów sprawcom i tym spośród wejherowian, którzy żądni byli krwi niewinnej rodziny. Dla wielu ludzi tamta noc okazała się bezsenna.



Niedziela palmowa

Ranek zaczął się niespokojnie. Ludzie nie mogli spać, budzili się przed świtem i wsłuchiwali w wycie wiatru szalejącego nad miastem. Słońce świeciło jasno, ciemne chmury fantastycznymi kłębami przewalały się nad okolicznymi wzgórzami, przez kilka minut ukośnie pokropił ostrymi kroplami zimny deszczyk.

Ignaz z ciepłego wnętrza hotelowej restauracji obserwował to, co działo się na dworze. Grupki ludzi przemykały w stronę kościoła albo z niego wracały. Dla jedzącego właśnie jajko na miękko inspektora rozpoczął się przyjemny dzień; od najmłodszych lat lubił wietrzną pogodę. Odmiana i ruch należały do tych aspektów życia, które napełniały Brauna optymizmem i witalnością.

Niedziela miała być dniem spokojnym. Zgodnie z wieczornym postanowieniem Ignaz miał spędzić całe popołudnie nad swoimi notatkami. Zawsze, kiedy prowadził podobne śledztwa, pewnego dnia zanurzał się w ciepły koc, stawiał na stoliku obok szezlonga filiżankę z gorącą herbatą i zapalał aromatyczne cygaro. Nie było go wtedy dla nikogo. Cieszył się więc i teraz na długie godziny skupienia i wypoczynku.

Kelner postawił na stole rumiane rogaliki z powidłami śliwkowymi. Pozostało uśmiechnąć się na widok smacznego deseru i nie pozwolić

rogalikom na zbyt długi żywot.

Jedzącego apetycznie policjanta zza ciężkiej kotary obserwował zadowolony pan Alsleben.

Południowa suma zawsze gromadziła najwięcej wiernych. Wyszędłszy z hotelu, Ignaz zobaczył żywe wstążki utkane czernią, szarościami i z rzadka bielą, ciągnące się w stronę farnego kościoła Św. Trójcy. Za nagimi drzewami szarzała barokowa bryła świątyni. Policyjne obowiązki na chwilę umknęły z umysłu inspektora. Bezsenna w połowie noc i natłok wydarzeń ją poprzedzających wryły się głęboko w pamięć Ignaza, ale skurczyły się teraz wyparte przez obraz tłumu zmierzającego w stronę fary. Gdyby nie porywisty wicher, widok przedstawiałby się sielsko i łagodnie. Tymczasem fałdy płaszczy i kapelusze fruwały w powietrzu, z głów zlatywały czapki, delikatne parasolki wypadały z kobiecych dłoni.

Braun przystanął pod chórem. Wyłączając okoliczności, w których prowadził śledztwa, należał do osób skromnych i spokojnych. Odruchowo obserwował wchodzących do kościoła, modlił się i czekał pokornie na rozpoczęcie mszy.

Widok barwnych palemek przynoszonych do świątyni przypomniał Ignazowi czasy dzieciństwa, kiedy to w podpoznańskim miasteczku babcia prowadziła go w Niedzielę

Palmową na jedno z najważniejszych w roku kościelnym nabożeństw. Od dawna nie było wśród żywych ukochanej babci, w malutkim miasteczku berliński policjant nie był od lat. Nieoczekiwanie właśnie tutaj, kilkanaście godzin po wydarzeniach ubiegłej nocy, wkroczył w inny, własny przed laty, świat. Skupienie, cisza przesycona nienazwanym napięciem i nutka stęchlizny obecna w starych kościołach, którą tak uwielbiał, pozwoliły na zanurzenie się w rzeczywistość, jakiej nie spodziewał się już odnaleźć.

Zagrały organy. Z góry spłynęły na głowy wiernych dumne i pełne dostojeństwa tony. Ludzie podchwycili zaintonowany przez organistę hymn.

*Chrystus Wodzem,
Chrystus Królem,
Chrystus, Chrystus,
Władcą nam.*

Ignaz nie wierzył własnym uszom. Śpiewano po polsku! Tego nie przewidział żaden przewodnik dostępny w berlińskich księgarniach. Zakładano wprawdzie istnienie nielicznej grupy spolonizowanych Kaszubów, będących gałęzią szlchetnego, rozłożystego niemieckiego drzewa, ale żeby suma w kościele famym zaczynała się po polsku?!

Zadziwienie nie pozwoliło Ignazowi na włączenie się do chóru mocnych głosów śpiewających wyznanie wiary w potęgę Bożą. Ściśnięte gardło wykonywało jakieś nikłe ruchy, za to serce śpiewało z całej mocy hymn zapomniany przez lata pobytu w Berlinie.

Ksiądz w szkarłatnym ornacie, podzielone na role czytanie ewangeliczne opisujące Mękę Pańską, wszystko to przenosiło Ignaza w czasy dzieciństwa. Za oknem hulał wiatr. Zdawało się, że zasłona w świątyni rozdarła się przed chwilą, że ziemia zatrzęsa się, jak niegdyś w Jerozolimie po śmierci Chrystusa.

Kiedy lud zgromadzony w świątyni śpiewał „Ludu mój ludu”, Ignazowi zdało się, że kilka metrów przed ołtarzem stoi nieznajoma z pociągu kolei żelaznej. Spostrzeżenie wyrwało go na moment z modlitewnego kręgu. Co urokliwa dama mogła robić w Wejherowie? Wysiadła na stacji w Lęborku, ale przecież to nic nie znaczyło. Oba miasta nie są zbytnio oddalone od

siebie. Msza kończyła się i już po chwili obraz, czy też może zwid, rozpląnął się wśród tłumu kierującego się do wyjścia z kościoła.

– Panie inspektorze, panie inspektorze! – radosny głos rozległ się za plecami Ignaza tuż po zakończeniu nabożeństwa.

– Anton? – zapytał zamyślony Braun na widok towarzysza stojącego przy wejściu do świątyni.

– Niech pan inspektor pozwoli, że przedstawię go żonie i dzieciom – posterunkowy wskazał na otaczającą go gromadkę. – Moja żona Anastazja i dzieci, Anton, Klara, Eliza i Marta.

Ignaz, ochłonawszy już nieco z wrażeń wyniesionych z kościoła, z galanterią ucałował dłoń pani Myszkowej.

Szczupła, wysoka blondynka uważnym wzrokiem zlustrowała inspektora i lekko popchnęła w jego stronę pierwsze z dzieci, potem kolejno następne. Białe główki śmiało podnosiły się na wysokość twarzy nachylonego do nich nieznajomego. Cała czwórka z wielką ciekawością przypatrywała się Ignazowi, o którym ojciec opowiadał jej każdego wieczora.

– Nie będę owijała w bawełnę – zaczęła energicznie pani Myszkowa. – Skoro Opatrzność postawiła nas dzisiaj na drodze pana inspektora, zapraszamy z całego serca na skromny obiad.

– Czuję się nieopisanie zobowiązany wobec łaskawej pani; ale doprawdy nie wiem, czy stosownie byłoby burzyć państwa świąteczny spokój... – odpowiedział zakłopotany

Ignaz, ciągle jeszcze wypatrując wśród ludzi stojących pod kościołem gustownego kapelusza z czereśniami.

– Ależ drogi inspektorze! – energicznie zaoponował

Anton. – Będziemy uszczęśliwieni. Wspominałem panu, że moja rodzina gorąco pragnie pana poznać... Proszę mi wierzyć. To niedaleko,

nasza ulica to jakby przedłużenie ulicy Szemudzkiej.

Nie wypadało odmawiać. Dalsze obstawanie przy swoim mogłoby zostać uznane za objaw grubiaństwa lub nieżyczliwości. Zwłaszcza że perspektywa domowego obiadu w gronie życzliwych osób kusila Ignaza niepomiernie.

Po upływie pół godziny w domku przy ulicy Nanickiej solidny dębowy stół zapełnił się talerzami, do których z dymiącej wazy pani Myszkowa nalewała gorący rosół z kluseczkami i wielkimi tłustymi oczkami.

– To z naszej kury, wczoraj ucięłam jej łeb i jeszcze wieczorem oskubałam z piór. Świeżutkie mięso, proszę jeść.

O moje kury dopytuje się nawet mieszkający niedaleko pan Schultz, dyrektor Miejskiej Kasy Oszczędnościowej – pochwaliła się żona Antona.

– Jak dawno nie jadłem domowego rosółu! Proszę sobie wyobrazić, że od kilku lat stołuję się w restauracji

Wydziału Zabójstw i mimo że smacznie podają, brak w tamtejszym jedzeniu duszy – Ignaz rozplęwał się nad kruchutkim mięsem, mając przed sobą napełniony drugi już raz głęboki talerz.

Mimo że talerze były bardzo głębokie, a ich zawartość mogłaby zadowolić najwybredniejszego smakosza, twarz w inspektora rozjaśnił szczyry uśmiech, gdy na stole pojawiły się pieczone kurczęta z ziemniaczkami oblanymi świeżym masłem.

Nieopisany gwar panował w pokoju stołowym posterunkowego i jego żony. Dzieci szybko oswoiły się z obecnością gościa i zadawały mu dziesiątki nie zawsze najmądrzejszych pytań. Ignaz cierpliwie odpowiadał na niektóre z nich, starając się co jakiś czas kontynuować konwersację z gospodarzami.

Bezwiednie rozglądał się po pokoju i dostrzegł, mimo skromnego wystroju wnętrza, podziwu godną czystość i dbałość o namiastkę luksusu

obecnego w bogatszych domach. Na ciężkim kredensie, poustawiane na serwetach i serwetkach, pyszniły się mosiężne bibeloty obrazujące postacie mitologiczne. Stojąca lampa o wyrafinowanych wzorach roślinnych musiała kosztować, jak na dochody skromnego policjanta, fortunę. Z takim to wielkoświatowym szykiem kontrastowały dwa olbrzymich rozmiarów obrazy oleodrukowe wiszące za szkłem na honorowym miejscu ściany. Na jednym z nich Najświętsze Serce jakby pulsowało z piersi Jezusa, na drugim Matka Boska trzymała w rękach pulchne i wesołe Dzieciątko z sandałkiem opadającym z różowej nóżki. Z obrazów biły wyraziste kolory, w oglądającego uderzały czerwień, zieleń i złoto. Nawet w domach berlińskich katolików Ignaz rzadko widywał takie obrazy. Na zachodzie lub katolickim południu Niemiec częściej widywało się oleodruki.

Nie był to jedyny religijny akcent w domu Myszków.

Na kredensie leżała wielka złotopurpurowa księga; Ignaz pochylił się nad nią i jego oczom ukazał się napis „Przewodnik chrześcijanina rzymskokatolickiego”. Łakomy wszelkich ksiąg policjant przewrócił okładkę i odczytał na głos: „Książka pouczająca, przeznaczona dla wszystkich warstw społeczeństwa polskiego. Z licznymi obrazkami kolorowymi i czarnymi. Opracował ksiądz Teofil Gapczyński”.

– Państwo czują się Polakami, prawda? – zapytał niespodziewanie dla samego siebie.

– Tak – odważnym głosem odpowiedziała pani Anastazja, zanim jej mąż zdołał sklecić jakieś ostrożne zdanie.

– Staramy się być lojalnymi obywatelami Rzeszy, ale duszy nie można zmienić. Mówimy w domu po kaszubsku, w kościele po polsku i nie potrafilibyśmy się tego wyrzec.

Moi rodzice tak żyli i ja tak żyję. Słyszał pan o Towarzystwie Czytelni Ludowych? Należę do niego i jestem z tego dumna.

– Ależ ja nie pytam jako przedstawiciel państwa. Widzi pani, jestem w połowie Polakiem i często miewam z tego powodu rozterki. Sam nie wiem, kim właściwie powinienem być. W moim domu rodzinnym mówiło się po polsku i po niemiecku, a kłótni o język było co nie miara. Potem los rzucił mnie do Berlina. Ale i tam nie brakuje Polaków.

Często są to robotnicy, ale też inżynierowie i handlowcy.

Nie mówię o swoich rozterkach głośno, bo przecież w stołecznym Wydziale Zabójstw nie wypada być Polakiem. Co prawda przełożeni wykorzystują niekiedy moją znajomość języka polskiego... Tak jak przy okazji zbrodni w państwa mieście – uśmiechnął się Ignaz.

Anton do tej pory milczał jak zakłęty. Kilkanaście lat pracy w policji nauczyło go ostrożności. Teraz i on otworzył się nieco, zaczął rozmawiać z gościem o sprawach, których na co dzień należało unikać.

– Nie muszą państwo obawiać się mojej osoby – dokończył gość. – Mam własne zdanie na temat niektórych poczynań naszych władz. Nie namawiam jednak do szczególnych zwierzeń, żeby nie być posądzonym o nadmierną wścibskość.

– Jesteśmy panu zobowiązani – odpowiedziała gospodyni. – Cieszymy się, że taki człowiek okazał się prawie rodakiem. Niestety, nie umiem pomóc panu inspektorowi w sprawie tego młodego Wendersa, ale w każdej chwili mój mąż i ja służymy pomocą w bardziej zwyczajnych drobiazgach.

Rozmowa skierowała się w stronę dzieci, codziennych kłopotów i radości, zdrowia i chorób. Dumą posterunkowego była podłączona właśnie w domu instalacja biegnąca z nowo otwartej gazowni miejskiej, za to kłopot obojgu rodzicom sprawiała, co prawda ustępująca pod wpływem kuracji lekowej, choroba serca najmłodszej córeczki, Marty.

Dopiero po godzinie dwudziestej Ignaz opuścił gościnny dom. Szarlotka z bitą śmietaną, którą na deser podała gospodyni, stanowiła wymarzone

zwieńczenie uczy. Nastrój z upływem czasu nabierał cech rodzinnego spotkania i tylko dobre wychowanie kazało gościowi opuścić wreszcie dom posterunkowego. Syty i zadowolony z wizyty inspektor boleśnie odczuł ciszę swojego pokoju hotelowego. Stykając się w pracy ze zbrodnią i jej sprawcami, tęsknił do rodzinnego ciepła, którego był pozbawiony od wczesnych lat młodzieńczych. Będąc już w łóżku, starał się udoskonalić plan przesłuchań zaplanowanych na początek tygodnia, ale niepoddające się zwykłemu reżimowi myśli krążyły wciąż nad domem szczerych i gościnnych ludzi.



Odezwa

Jedząc śniadanie w hotelowej restauracji, Ignaz spostrzegł zbliżającego się szybkim krokiem pana Alslebena. Nie dostrzegł w tym niczego nadzwyczajnego, gdyż hotelarz zawsze chodził energicznie, w dodatku lubił wypytywać inspektora o najnowsze wyniki śledztwa. Nie otrzymywał wprawdzie nigdy satysfakcjonujących odpowiedzi, nie rezygnował jednak i już po kilkunastu godzinach z tym samym entuzjazmem pojawiał się przy stoliku jedzącego kolację policjanta.

Tym razem twarz pana Alslebena wyrażała wzburzenie. Zdziwiony Braun nie musiał prosić hotelarza o zajęcie stolika obok siebie, mężczyzna nieproszony siadł ciężko naprzeciw zjadającego się sardynkami gościa.

– Czy pan może sobie wystawić, co ja tu mam? – Alsleben zaczął wymachiwać kartką trzymaną w mocnej, śniadej dłoni. Wyłupiaste oczy hotelarza stały się jeszcze większe.

– Według mojej orientacji łaskawy pan trzyma w ręku kartkę papieru formatu stenograficznego, zadrukowaną z jednej strony. Tak się składa, że patrzę na tę kartkę od czystej strony i nie jestem w stanie odgadnąć, co znajduje się przed oczami łaskawego pana. Proszę mówić.

– Może lepiej niech pan sam przeczyta – zaczął, nie zważając na żartobliwe słowa gościa, Alsleben. – Od świtu takie ulotki rozwieszane są

na murach i rozdawane przechodniom.

Do mieszkańców miasta Wejherowa

W sobotę w naszym pięknym i szacunku godnym mieście doszło do wydarzenia zaiste haniebnego. Wcześniej już obywatele wstrząśnięci zostali okrutną zbrodnią, jaka popełniona została na synu wielkiego niemieckiego patrioty, człowieka zasłużonego dla ogółu społeczności, pana Johannes Wendersa. Jedyną pociecha jego życia, syn Johann, padł ofiarą niespotykanego w dziejach miasta gwałtu. Szczegóły zbrodni są przecież znane wszystkim świadomym.

My, mieszkańcy miasta, wyrazamy swoje najgłębsze potępienie dla sprawców. Ufamy, że godna najwyższego szacunku policja dojdzie do prawdy. Z tym większym oburzeniem i zdziwieniem przyjęliśmy uporczywe próby posądzania o dokonanie obrzydliwego czynu szanowanego obywatela, prawego luteranina, człowieka o nieposzlakowanej opinii, dzielnego weterana i obrońcy ojczyzny, pana Augusta Richtera.

Sobota okazała się czarnym dniem dla wszystkich przyzwoitych i moralnych wejherowian miłujących prawdę. Pan August Richter, po długim i bezlitosnym przesłuchaniu, najprawdopodobniej został przez organa państwowe posądzony o dokonanie okrutnego i niemieszczącego się w żadnej niemieckiej głowie czynu.

Szanowany obywatel jeszcze nie został aresztowany.

Jeszcze nie. Ale bezprawie może uderzyć! Obce elementy w osobie niejakiego Josepha Lewinsky'ego, jego znajomka Wolfa Konitzera i innych kopią dołki pod naszą społecznością. Przybyły

z Berlina inspektor, mieszkający obecnie w hotelu Königlicher Hof, nie jest zorientowany w problemach miasta. Być może pełen dobrej woli, nie jest w stanie zastąpić zbiorowej mądrości opinii społecznej.

Nie dajmy się zgnieść. Powstał komitet, który prowadzić będzie własne, obiektywne i wnikliwe śledztwo. Zgromadziliśmy w swoich szeregach obywateli prawych i moralnych, a naszym przywódcą został znany i ceniony w szerokich kręgach publicysta piszący w prasie gdańskiej i berlińskiej, pan Paul Bruhn. Nasza siedziba mieści się w hotelu pana Wodtke przy ulicy Lęborskiej. Zapraszamy do naszej siedziby wszystkich, którzy wiedzą cokolwiek na temat śmierci

Johanna Wendersa!

Wejherowianie! Odwagi! Czas sprawiedliwości nadchodzi!

Komitet Obrony Wejherowa.

– Przypuszczałem, że tak to się skończy – pokiwał głową Ignaz i wziął do ust kawałek rogalika posmarowanego masłem.

– Niesłychane – dziwił się Alsleben. – Ci zbrodniarze występują przeciwko panu!

– Tyle, że dotknęli również pana. Przecież Bruhn mieszka w konkurencyjnym hotelu. Pan niechący stał się, według ich logiki, stronnikiem Lewinsky’ego i tych, którzy chcą „zakłamać” rzeczywistość...

– Ale to właśnie pan jest wymieniony w ulotce. Nie z nazwiska, a jednak wyraźnie – Alsleben bronił się rozpaczliwie przed strachem ogarniającym go coraz bardziej.

– W hotelu może zamieszkać każdy. Nie każdy natomiast jest inspektorem stołecznej policji.

– Myli się pan, drogi gospodarzu – uśmiechnął się Ignaz. – Bruhn zrobił ze mnie prostaczka i nieudacznika.

O takim prezencie może pomarzyć każdy funkcjonariusz śledczy. Sprawca będzie się teraz czuł bezpieczniej. Czyż to nie piękne? Ulotka jest głupia i niebezpieczna; powstaną problemy, ale korzyści mogą być znacznie większe. Pan niestety, całkiem niesłusznie, będzie kojarzony z ludźmi pragnącymi pogrążyć szanowanego obywatela i luteranina. Mam nadzieję, że ma pan wystarczająco dużo silnej woli i determinacji, żeby razem z nami poradzić sobie z taką działalnością. Głowa do góry.

Rozmówca inspektora skurczył się. Wiedział, że przynajmniej na razie można zrobić niewiele, aby powstrzymać samozwańczy komitet. Podstawy prawne do tak drastycznych czynów nie istniały – policja nie została przecież oskarżona o złą wolę. Zapewne komisarz Rensch będzie próbował wyperswadować gościowi z Gdańska i jego poplecchnikom godzące w spokój społeczny działania.

To wszystko.

Braun zauważył smutek malujący się na twarzy hotelarza.

– Niech się pan nie martwi. Nie dopuszczę do bezprawia. Zresztą pana hotel jest z pewnością najlepszy w mieście.

Roztrzęsiony jeszcze Alsleben w niczym nie przypominał pewnego siebie nuworysza, jakim był na co dzień.

Mocno uściskał dłoń inspektora i wolnym krokiem odszedł w stronę hotelowej kuchni.

Po godzinie zaaferowany posterunkowy Myszk spotkał się pod pomnikiem Wilhelma II z inspektorem Braunem.

Wymiana zdań nieco uspokoiła Antona, który w imieniu komisarza zaprosił Ignaza na popołudniową rozmowę.

Dwaj mężczyźni weszli do sklepu Richtera, aby po kilku minutach skierować się ulicą Lęborską w stronę Zakładu dla Obłąkanych i dalej w kierunku Bolszewa. Długi spacer w deszczu zakończyli przed małym domkiem z czerwonej cegły otoczonym niewysokimi drzewami i regularnie zarysowanym ogródkiem. Całość mogła liczyć nie więcej niż morgę i sześćdziesiąt prętów pruskich. Policjantów powitało ujadanie olbrzymiego wilczura przywiązanego do budy.

– Edwin, bądź cicho! – krzyknął rosły mężczyzna, wybiegając z domu.

Pies zamilkł. Do przybyszów podszedł Herbert Masslof.

– O co chodzi? – zapytał, patrząc policjantom prosto w oczy.

– Inspektor Braun ze stołecznego Wydziału Zabójstw.

Miło mi będzie porozmawiać z panem na temat zabójstwa

Johanna Wendersa – ze szczerym uśmiechem przedstawił się Ignaz.

– Aaa, pan Richter opowiadał mi już o rozmowie z szanownym panem, zapraszam, zapraszam – Masslof szerokim gestem okazał gościnność obu mężczyznom.

Sprawiał wrażenie, jakby od co najmniej kilku miesięcy czekał na wielkie szczęście, jakie spotkało go właśnie teraz, w poniedziałkowe przedpołudnie.

Ignaz i posterunkowy Myszk zasiedli przy zgrabnym stoliku przykrytym ażurową serwetą. Do pokoju weszła zbyt szczupła szatynka o ostrych rysach twarzy i została przedstawiona gościom przez Masslofa. Żona pomocnika rzeźnickiego uśmiechnęła się na powitanie i poszła zaparzyć herbatę.

– Mam nieodparte wrażenie, że w odpowiednim czasie znalazłem się w pana domu – powiedział inspektor, ale odpowiedziało mu tylko głośnie tykanie wielkiego ściennego zegara i pytające spojrzenie niebieskich oczu gospodarza.

– Wyjawię to panu z niekłamana radością. Otóż jeszcze kilka dni temu pytałbym pana, nie wykluczam, że podstępnie i dociekliwie, jedynie o zabójstwo Johanna. Po wydarzeniach sobotnich i po uważnej lekturze pewnego apelu muszę zapytać o coś jeszcze. I pozwoli pan, że zacznę właśnie od tego.

– Słucham. Chętnie odpowiem na każde pytanie pana inspektora. Zbyt wiele się w przeszłości nagrzeszyło, żeby nie nabrać szacunku dla prawa – Masslof uśmiechnął się porozumiewawczo, a jego ogorzała twarz była jasnością promieniującą z duszy.

W tym momencie pani Edeltraut wniosła do pokoju tacę. Z dymiącego dzbanka rozniósł się aż pod sufit zapach mocnej, niewyszukanej gatunkowo kawy. Gospodyni z uśmiechem postawiła przed gośćmi i mężem filiżanki i napełniła je czarnym jak smoła napojem. Wychodząc, nie zaniknęła za sobą drzwi.

–”Prawo”, tak. Piękne słowo – rozmarzył się Ignaz.

– Widzi pan, czasami rzeczy dozwolone przez prawo nie są dozwolone przez ogólnie przyjęte zasady moralne. Mam na myśli oczernianie obywatela w celu ochrony własnych interesów – zakończył inspektor, patrząc znacząco na gospodarza.

– Najzupełniej się z panem zgadzam. Te plotki roznoszone przez Żydów są obrzydliwe!

– Ależ ja miałem na myśli to, co robi Paul Bruhn – powiedział Ignaz i spokojnie nasypał do filiżanki dwie czubate łyżeczki kandyzowanego cukru.

Masslof tylko na moment stracił rezon. Spojrzał głęboko w oczy inspektorowi i odpowiedział:

– Spójrzmy jednak na przyczynę. Jakże niecny jest czyn tamtych, że prości i spokojni ludzie muszą uciekać się do opieki ze strony dziennikarzy

i do opinii ogółu obywateli – twarz udręczonego bezprawiem człowieka mogła obudzić litość każdego, kto miał w sercu chociaż odrobinę ludzkich uczuć.

– A przecież wy prowadzicie akcję wyprzedzającą – odparł Braun. – Pan musi wiedzieć, że tumult wisi na włosku. Wasze nieodpowiedzialne działania mogą najbardziej zaszkodzić Augustowi Richterowi.

– Prawda, zagrożony jest niewinny człowiek, ale z czyjej winy? Całym sercem jestem z panem Brułmem, pomagałem przy druku ulotek. Nie ukrywam tego, w końcu panowie dowiedzie się o wszystkim. Ale Żydów i tak się podejrzewa, a my nie napisaliśmy przecież, że oni zabili

Johanna. Zauważył pan chyba, że niczego tak nie pragnę, jak współpracować z policją przy wyjaśnieniu tej afery – Masslof uśmiechnął się i nalał do filiżanek śmietankę.

W drzwiach ukazała się starsza kobieta w czarnej sukni. Ukłoniła się lekko gościom i bez słowa rozsiadła się w fotelu stojącym pod oknem. Skonsternowani policjanci spojrzeli na siebie, tymczasem Masslof łagodnym głosem przedstawił gościom teściową. Pani Helena z kamienną twarzą powtórnie skłoniła głowę i w milczeniu obserwowała rozwój sytuacji.

– Moja teściowa jest, o czym przecież kochani Stróże prawa wiedzą, kluczowym świadkiem. Mamusia znalazła tę chusteczkę w domu Lewinsky’ego. Mówiłem jej tyle razy, żeby nie pracowała u tych ludzi. Nie słuchała. Może ma więcej wyrozumiałości niż ja? Koniec końców postawiła na swoim. Dzięki niej jest dowód...

– Pozwoli pan, że wartość dowodów oceniać będziemy w gronie fachowców. Tymczasem znaleźliśmy się w kłopotliwej sytuacji. Zamierzałem teraz rozmawiać z panem, natomiast z pana godną szacunku teściową pomówię niebawem. Proszę o nieco łaskawej cierpliwości.

Kobieta z wolna podniosła się z fotela. Jej zięć znalazł się między młotem a kowadłem. Nad uchem Ignaza zabrzmiały słowa wypowiedziane silnym, niskim głosem:

– Młody człowieku, ja nie dam się wyprosić z tych oto czterech ścian, w których przeżyłam z górą siedemdziesiąt lat.

– Ależ łaskawa pani – odparł Braun. – Ja nie mam zamiaru wypraszać pani z żadnych czterech ścian. Proszę tylko o możliwość swobodnej rozmowy z pani zięciem.

– Rozmawiaj pan sobie, ile dusza zapagnie. Czyja wam zabraniam?

– To dlaczego usiłuje pani przeszkadzać w rozmowie?

– Nie każę przecież Herbertowi trzymać języka za zębami.

Inspektor wiedział, że nie może sobie pozwolić na uleganie fanaberiom starszej pani. Stanowczym tonem zwrócił się do Masslofa:

– W zaistniałej sytuacji muszę prosić szanownego pana o rozmowę w ogrodzie.

– Mamusia będzie niepokieszona... – słabo zaoponował gospodarz.

– Jest mi to obojętne – uciął Ignaz.



W ogrodzie

Dzień zrzucił już z siebie poranne mgły. Dojmujący chłód, spotęgowany wiejącym wciąż porywistym wiatrem, przenikał trzech mężczyzn stojących pod nagą gruszą. Masslof zużył kilka zapalek, zanim udało mu się zapalić papierosa. Gęsty dym spowił jego twarz. Nad posterunkowym także unosiły się aromatyczne opary; jedynie Brauna, amatora cygar, nie skusił magiczny rytuał zapalania papierosa. Cygar nie paliło się przecież w ogrodzie, na papierosa inspektor nie zawsze miał ochotę.

Zmiana miejsca przesłuchania nie podobała się Masslofowi, ale ze wszystkich sił starał się tego nie okazać. Policjantom, chociaż z innych przyczyn, także nie było łatwo.

W ciepłym domu zostały na stole filiżanki z niedopitą kawą. Dokuczliwe zimno dawało się coraz bardziej we znaki. Ignaz przypomniał sobie, jak to podczas poszukiwania „Łowcy głów z Immenstadt” spędził całą noc na siarczystym mrozie w otoczeniu kozic i półdzikich pasterzy o drapieżnym spojrzeniu.

– W końcu zawsze mogłoby być jeszcze zimniej... – stwierdził sentencjonalnie. – Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego pańska teściowa tak bardzo chciała być obecna przy naszej rozmowie.

– Panie inspektorze, to starsza kobieta – Masslof zdawał się odzyskiwać spokój ducha i uśmiechnął się z wyrozumiałością godną nobliwego mędrca.
– Zaangażowała się w całą tę sprawę. Często widywała Johanna. Z licznymi znajomymi, paniami w jej wieku, rozmawiała o morderstwie, wreszcie pracowała u człowieka, który jest, w jej i moim przekonaniu, zamieszany w zaginięcie chłopca.

Rozumie pan, chusteczka. Na dodatek mamusia ma niełatwy charakter, lubi sobie porządzić, ot i wszystko.

– Wie pan zapewne – inspektor postanowił wrócić do zasadniczego tematu rozmowy – o oskarżeniach związanych z pana osobą. Cóż, nie wszyscy w mieście należą do sympatyków pana Richtera. Plotki o romansie jego córki z Johannem... U rzeźnika pracuje pewien człowiek, którego nie wszyscy darzą sympatią...

– Panie inspektorze, nie mam może najłatwiejszego charakteru, ale zabić nie mógłbym nawet muchy. Bywało, że dałem komuś w zęby, mogę zająć się w rzeźni prosiakiem czy krową, ale to wszystko. Zawsze uśmiecham się do ludzi. Jeżeli mnie zdenerwują i podniosę głos, zawsze potem bardzo żałuję swojego postępowania. Mam wyrobione sumienie.

– No tak. Czy w dniu zaginięcia Wendersa oparował pan świnie albo krowy?

– Słucham? – zdumiał się Masslof, nie zapomniał jednak o szczerym uśmiechu.

– Przepraszam – równie sympatycznym uśmiechem obdarzył rozmówcę Ignaz. – Chodzi mi o to, czy wtedy, gdy ostatni raz widziano Johanna, czyli po ostatniej lekcji w gimnazjum, około godziny czternastej, pracował pan na zapleczu sklepu Augusta Richtera?

– Oczywiście. Byłem już przesłuchiwany i pytany o wszystko, co do minuty. Dużo i chętnie pracuję. Pan inspektor rozumie, jestem bardzo

wdzięczny panu Richterowi za pracę i szanuję ją. Jak trzeba dłużej zostać i rozebrać jakąś dodatkową tuzzkę, ja zawsze do usług.

Ignaz skulił się pod wpływem mroźnego podmuchu wiatru. Niewiele się namyślając, Masslof zdjął z siebie krótki płaszcz z czarnej wełny i okrył nim inspektora, zanim ten zdążył zaprotestować.

– Pan wybaczy poufałość, ale stróż prawa nie może się zaziębić. Kto wtedy zatrzymałby sprawców, o których muszę opowiedzieć...

– Co pan ma na myśli? – odezwał się Braun, który szybko doszedł do przekonania, że użyczenie płaszcza można w ostateczności potraktować tak samo, jak poczęstowanie kawą czy smakowitym kabanosem.

– A to mam na myśli – uśmiechnął się Masslof porozumiewawczo – że, w porównaniu z poprzednim zeznaniem, zdecydowałem się poinformować policję, w osobie pana inspektora, o czymś, czego byłem świadkiem w noc po zaginięciu tego chłopaczka. Przedtem milczałem, bo bałem się zostać posądzonym o intrygantwo lub wiarę w zwidy powstałe pod wpływem kilku kufli piwa, teraz sytuacja dojrzała do wyświetlenia prawdy.

– Zdziwiał mnie pan. Ale policja uwielbia nowe informacje... – Ignaz puścił oko do Antona, który usiłował właśnie zapalić drugiego papierosa.

Radość malująca się na twarzy świadka zanikła z wolna. Masslof, skupiony i ważący każde słowo, zaczął opowiadać. Nie był już życzliwym i przyjaźnie nastawionym do bliźnich prostaczkiem, gotowym nieba przychylić wszystkim, którzy potrzebują wsparcia. Cicho płynące słowa, wypowiedane z aktorskim zacięciem, sączyły się w umysły słuchających, a nastrój tamtego lutowego wieczoru powrócił w biały dzień pośród bezbronnych drzew owocowych targanych upartym wiatrem.

– Późno skończyłem pracę u pana Richtera. Na tyłach Rynku, w stronę ulicy Gdańskiej, jest mała piwiarnia.

Poszedłem tam po pracy z kolegą. Taki jeden, mieszka na ulicy Wniebowstąpienia. Należało mi się trochę rozrywki, bo dzień był męczący. Rano pokłóciłem się z żoną, teściowa wzięła jej stronę. Mamusia jest groźna, zwłaszcza kiedy myśli, że zlekceważyłem jej zdanie. Siedzę więc w piwiarni, wypilem dwa piwa, ale nie więcej, bo przed świtem znowu trzeba wstać. Na dworze ciemno, pada deszcz ze śniegiem, ale w końcu trzeba wrócić do domu. Kiedy idzie się z piwiarni w stronę mojego domu, nie oplaca się wchodzić z powrotem na Rynek. Człapię sobie ulicą Wałową, wokół żywego ducha, ciemne okna, tylko dymy ulatują z kominów. Nagle patrzę, na tyłach jakiegoś domu stojącego przy Rynku od podwórza bije światło. To znaczy, w piwnicy światło. Odwróciłem głowę, ale naraz myślę, że coś dziwnego zobaczyłem w tym oknie. Cień zza zasłony. Taki cień, jaki widuję codziennie w rzeźni, kiedy ćwiartuje się tuszę. W rzeźni jest kotara, która oddziela jatki od umywalni. Jeżeli w jatkach pali się światło, a ktoś pracuje, widać taki sam obrazek.

– I postanowił pan sprawdzić, co się tam dzieje...

Przez twarz Masslofa przeszedł cień. Mężczyzna wzdrygnął się i z pewnym wysiłkiem wrócił do opowiadania.

– Śnieg uciszał moje kroki. Podszedłem wolno do okna i przyczaiłem się.

– Kotara zasłaniała postacie? – przerwał Ignaz.

– Tak. Nie widziałem tych ludzi. Tylko dwa cienie. Patrzyłem jak zahipnotyzowany. Oni cięli coś. Metodycznie, po kawałku. Pracowali szybko i w milczeniu. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to piwnica Lewinsky’ego. Rozbierają jakąś tuszę – przemknęło mi przez myśl, ale zaraz przypomniałem sobie, że sklep Żyda ma jatkę na parterze, a w piwnicy nigdy nie ćwiartowano mięsa. Wiedziałem już, że stało się coś dziwnego i że muszę zostać przy okienku do końca. Trwało to jeszcze jakiś

kwadrans, pod koniec zaczęli pakować TO w jakiś papier, słyszałem szelest szarego papieru. Zmarzłem strasznie, zimne piwo dawało się we znaki, ale trwałem cierpliwie.

Wreszcie drzwi, takie tylne, wąskie drzwi od podwórza, otworzyły się. Miałem rację. Poznałem Lewinsky'ego, chociaż ciemności były nielicze. Bo oni, wychodząc, zgasili światło w piwnicy. Broda, ta postura, no, znam go od moich najmłodszych lat. Drugi chyba był Wolf Konitzer, ale nie mogę przysiąc. W ciemnościach nie wygląda na Żyda.

Nie ma brody, ubiera się zwyczajnie, trudno mi powiedzieć. Ale tamtego poznałem. Obaj mieli w rękach paczki.

„Ten szeleszczący papier” – pomyślałem. Postawili paczki, bo było ich dwie, na ziemi i Lewinsky zamknął drzwiczki na klucz. Obaj rozglądnęli się uważnie i poszli z paczkami, okrążając Rynek od wschodniej pierzei, w stronę pałacu hrabiego Keyserlingka.

– Nie zauważyli pana? – odezwał się posterunkowy.

– Kiedy w piwnicy gasło światło, wiedziałem już, że skończyli robotę. Ukrycie się za rogiem nie było trudne.

Wystarczyło tylko trochę uważać. Oni bali się ludzi, oglądali za siebie, ale mimo wszystko byli okropnie zdenerwowani i nie zauważyli kilku błędów, które zrobiłem. Ktoś o czystym sumieniu, gdyby szedł spokojnie, pewnie by się zorientował, że jest śledzony. Kiedy zachodziła potrzeba, skradali się ulicami, ale raz próbowali przejść przez jakieś podwórze. Pies strasznie wył, uciekli na ulicę. Przeszli obok parku pałacowego, ja za nimi. Miałem coraz gorsze przeczucia, bo kto po nocy chodzi do lasu z paczkami?

– Mordercy – odpowiedział szeptem Ignaz.

– A właśnie – zgodził się Masslof. – Ja też tak pomyślałem. Ukrywanie się po nocy, no i miejsce, w którym porzucili ciężar. Bo poszli, jak pan

inspektor się domyśla, w stronę młyna. Biangowie mają piękny młyn, byłem tam kiedyś, jak potrzebowali zreperować dach, a ja trochę się na tym znam. Tak, piękny młyn... Było mi coraz trudniej.

W mieście łatwiej kogoś śledzić, w lesie śnieg staje się wrogiem, skrzypi i łatwiej się przewrócić. Ale drzewa mi pomogły. Oni musieli być bardzo zdenerwowani. Już widzę prawie czarny zarys młyna i domyślam się zaraz, co zrobią z pakunkami. Mróz chwycił dopiero dzień wcześniej, rozlewisko nie zdążyło całe skuć się lodem. Wzięli najpierw jedną paczkę, rozkołysali i rzucili daleko do wody.

Potem to samo z następną paczką. Popatrzyli jeszcze, czy wszystko zatoneło i pobiegli z powrotem. Odczekałem kwadrans, może trochę dłużej, i podbiegłem nad wodę.

Nic nie zobaczyłem. Paczki musiały być płytko pod wodą, ale nie zdołałem ich wypatrzeć. Mogły się przemieścić, tam jest nurt od strony Cedronu.

– Nie próbował pan następnego dnia?

– Mówiłem panu inspektorowi, ten prąd, a zresztą mamusia i żona w srodę nie pozwoliły mi na żadne wyjście po pracy. Przyszły obie do sklepu pana Richtera i musiałem iść z nimi na większe zakupy. Żona miała mieć za dwa dni urodziny. Rozumie pan, drobne przyjęcie dla krewnych. A potem już pojawiły się symptomy grypy i lekarz położył mnie do łóżka.

Ignaz zamyślił się nad usłyszaną opowieścią i zapytał wstrząśniętego jeszcze Masslofa:

– O zaginięciu Johanna dowiedział się pan już złożony chorobą?

– No tak. Wenders chodził od domu do domu, pytał każdego, trafił i do nas. Rozmawiałem z nim przez chwilę, ale przecież nie mogłem go martwić. Może to nie jego syn był wynoszony przez Żydów? Tak wtedy myślałem, nie miałem żadnych dowodów. A później znaleziono ten korpus,

lewe ramię i teraz lewe udo. Nabieram pewności, że to Lewinsky z Konitzerem, dlatego mówię panu inspektorowi o wszystkim jak na katolickiej spowiedzi. Tamtej nocy miałem jeszcze wątpliwości. Kiedy oni szli z pakunkami, pomyślałem, że to może jakiś niepożądany żydowski noworodek, ale szybko poszedłem po rozum do głowy. Przecież paczki były za duże, a zresztą mimo wszystko pochowałiby dziecko na żydowskim cmentarzu w Bolszewie, chociażby w tajemnicy. Oni są czuli na punkcie pochówków swoich ziomków.

– Wie pan jednak równie dobrze jak ja, że Richter może uchodzić za podejrzanego – zauważył Ignaz.

– Oczywiście. I dlatego potrzebne jest świadectwo.

Nie mogłem dłużej milczeć. Pan August czuł się zagrożony ze strony tego rozpustnego młodzieńca, miał powody, żeby go nienawidzić. Wykorzystuje to Lewinsky. My, obywatele, musimy przeciwdziałać takiej przewrotności.

Zaczął padać lekki deszczyk, ale ledwie inspektor rozciągnął nad posterunkowym i sobą masywny, czarny parasol, wiatr przegnał chmurę na zachód. Ignaz uznał, że

Masslof powiedział już wszystko, czym zapragnął podzielić się z policją. Nie uszło uwadze Brauna, że pani Helena przez cały czas przyglądała się rozmowie przez okno.

Nadeszła pora na przesłuchanie energicznej kobiety.

W grzecznych słowach Ignaz podziękował Masslofowi i, chcąc wystawić jego teściową, nawet swoim kosztem, na próbę wiatru i wody, poprosił odchodzącego o niezwłoczne przywołanie niewiasty spragnionej rozmów z przedstawicielem berlińskiej policji.

Starsza pani nie dała długo na siebie czekać. Ledwie

Masslof znikł w drzwiach domku, oczom funkcjonariuszy ukazała się czarna suknia kobiety.

A jednak – triumfowała teściowa – pan komisarz przypomniał sobie o mnie! Lepiej późno niż wcale.

Jakże mogłoby być inaczej – zmarznięty Ignaz wytarł elegancką chusteczką czerwony nos. – Za pozwoleniem: inspektor. Jestem inspektorem.

– Inspektor. No dobrze. Ma pan chusteczkę bardzo podobną do tej, jaką znalazłam w praniu Lewinsky’ego.

Bardzo ładna.

– Cóż, okazała pani wybitnie śledczy umysł, wykradając ten niewątpliwy dowód zbrodni – uśmiechnął się Braun. – Czy jednak zna pani inne osoby o takich inicjałach, które mogły znać Lewinsky’ego? Chciałbym wykluczyć możliwość pomyłki.

Kobieta zamyśliła się na moment, ale jej odpowiedź była zdecydowana.

– Pan komisarz pomyśli o wszystkim. Ale nie. Był jeden handlarz drewnem, nazywał się Jakob Wurst, ale umarł rok temu. On nie był Żydem. Chciałby pan komisarz zapytać o dom Lewinsky’ch i jego samego?

– Inspektor – jęknął Ignaz. – Niemniej ma pani celną trafność i czyta w moich myślach...

Ożywienie na twarzy kobiety było natychmiastowe. Teściowej Masslofa nie przeszkadzał lodowaty wicher, który do szpiku kości przeszywał funkcjonariuszy. Ignaz zaczął żałować swojego pomysłu dokończenia przesłuchania w ogrodzie, ale na zmianę decyzji nie pozwalał mu honor cesarskiego urzędnika państwowego. „Policjant nie ma prawa marznąć” – powtarzał sobie w duchu.

– No więc panie policjancie, to było tak. Mój zięć nie potrafi długo utrzymać się na jednej posadzie. Rozumie pan, dzisiejsza młodzież... On ma

złote ręce, pomoże każdemu, ale szybko się denerwuje, łatwo go rozgniewać.

A pracodawcy bywają różni, nie zawsze jeden z drugim uszanuje uczciwą pracę. Herbert właśnie przestał pracować u pana Berga. Pan Berg miał jakieś kłopoty finansowe. No i ciężko nam było, pieniądze za sprzedaną ziemię rozeszły się szybko. Byłam kiedyś miejską akuszerką, potem szyłam maki, bratki i porzeczeki z jedwabiu i aksamitu do eleganckich strojów, ale dopadł mnie artretyzm.

Było coraz gorzej, musiałam zrezygnować z fachu. Zaczęłam pytać o pracę, ale każdy uczciwy Niemiec, który chciał mieć w domu pomoc, od dawna ją miał. Licho nadało tego Lewinsky'ego! Szukałam już trzy miesiące, to była ostatnia deska ratunku. Pracować u Żyda, tego jeszcze w mojej rodzinie nie było. Ale córka lubi się dobrze ubrać, zięć je za dwóch, pali za trzech, a i ja czasami sprawię sobie jakąś przyjemność. Dzieci nie rozpieszczają mnie, bo też chcą użyć, więc samemu trzeba zadbać o swoje. Przemogłam się i poszłam na rozmowę. Nawet uprzejmie mnie przyjął i długo się o zapłatę nie targował.

– Była pani zadowolona z pracy? – wtrącił „komisarz”.

– Dlaczego bym miała nie być? Bałam się, że Lewinsky nie będzie mi płacił, że będzie złośliwy i surowy, ale nic z tych rzeczy. Napracowałam się, bo rodzina, jak to u Żydów, duża, no i hałasu robili wiele. Ale płacił jak Pan

Bóg przykazał, płacił co tydzień i w niedziele nie musiałam przychodzić, chociaż dla nich to żadne święto.

A na Wielkanoc i Boże Narodzenie jeszcze mięso i kielbasy dostawałam. Przy mnie pokazywali się jako dobra rodzina, chociaż nie chrześcijanie. A dla mnie ważna jest wiara. Przez pewien czas należałam do Towarzystwa Biblijnego w Wejherowie. Synod naszej wejherowskiej diecezji niechętnie patrzy na Żydów, ale musiałam się przemóc.

Praca to praca. Jak tam było, u Lewinskych, kiedy wychodziłam do domu, to już nie wiem. Kilka razy przychodził do nich ten cały Konitzer. To było gdzieś w styczniu, na początku lutego. Zawsze wieczorem. Zamykali się obaj w pokoju stołowym, dwa razy dochodził do nich Abraham. Abraham to jeden z synów Lewinsky'ego, mieszkał do niedawna z rodziną u ojca. W pierwszej dekadzie lutego przeniósł się do Gdańska. Wiedziałam o ich spotkaniach, boja nie miałam ustalonych godzin pracy. Jak było potrzeba, zostawałam do wieczora, a potem miałam wyższą zapłatę.

Ignaz ożywił się.

– Miała pani okazję, proszę mi wybaczyć, podsłuchania którejś z rozmów?

Co też pan opowiada, panie komisarzu! Chociaż, niech mi Bóg odpuści, bardzo mnie to interesowało. Ale Lewinsky ma swoje interesy, działa w tej ich gminie, podejrzliwa za bardzo nie byłam. Dopiero dzisiaj, kiedy Herbert opowiedział mi rano, że zobaczył tych ludzi z paczkami i ich rozpoznał, pomyślałam, że oni musieli się nad zbrodnią naradzać. Wymówiłam pracę, kiedy na dodatek zobaczyłam chusteczkę. „J. W.” było na niej napisane. Znalazłam ją w sypialni Lewinskych w dwa dni po wyłowieniu korpusu Johanna. Zabrałam chusteczkę i zaniiosłam na policję.

Zeznania też złożyłam, a jakże.

– Czy Lewinsky zachowywał się w sposób dla niego nietypowy? Myślę o dniach począwszy od zaginięcia Johanna.

– Będę sprawiedliwa. Nic z tych rzeczy. Mówili w domu o młynie i tym, co obok niego znaleziono, ale nie byli zdenerwowani. Ciekawiło ich to, ale tak samo, jak na przykład przyjazd cesarza do Gdańska albo śmierć, co nie daj Boże, naszego kochanego superintendenta. Oni są trochę poza resztą mieszkańców Wejherowa. No i niech pan znajdzie dom, gdzie nie mówiło się o młodym Wendersie. Dopiero zięć otworzył mi oczy, doradził,

żebym odeszła z takiego domu. A teraz już nie widuję Lewińskich, chociaż dostałam, nie można powiedzieć, godną odprawę.

Dwaj policjanci, zziębnięci do granic ludzkich możliwości, pożegnali panią Helenę, która dopiero zaczynała rozgrzewać się zajmującą rozmową. Z niedosytem wypisanym na twarzy kobieta odeszła w stronę domku, tymczasem Ignaz i Anton, kryjąc się pod olbrzymim parasolem, poszli w kierunku centrum miasta.



Głowa

S podobała się Panu Inspektorowi teściowa Masslofa? A on sam? – zainteresował się posterunkowy, kiedy już w pokoju hotelowym drżącymi dłońmi objął filiżankę pełną gorącej herbaty z mlekiem.

– Ci ludzie się marnują. Pomocnik rzeźnika, teściowa rezydentka... Cóż za pożałowania godny brak ambicji przy takich zdolnościach! – Ignaz załamywał ręce. – Przecież to urodzeni aktorzy. Ja oczywiście nie wykluczam, że Masslof widział mężczyzn niosących fragmenty Johanna. Czy zauważyłeś jednak, z jaką zatroskaną twarzą nasz rozmówca relacjonował nam swoją przygodę? Jak stopniował napięcie i zmieniał intonację głosu? Starannie przemyślana taktyka. Domyślał się moich odwiedzin, przygotował się do nich. On siedzi w tym po uszy, z tym że wcale nie musi być sprawcą, jak tego życzyłby sobie nasz Lewinsky – zauważył Ignaz i zapalił lampę naftową. Mimo południa czarne chmury przynosiły coraz głębsze ciemności.

Myszk refleksyjnie pokiwał głową i zapytał o panią Helenę.

– Ona również jest sprytna. Oskarżyła Lewinsky’ego, chwając go za wszystko, czego od niego doznała. Bezstronna i sprawiedliwa... – dokończył Ignaz z sarkastycznym uśmiechem.

– Nie spodziewałem się po niej niczego innego – zauważył posterunkowy. – To osoba znana w Wejherowie.

Zdarzało się jej intrygować, obmawiała nie tylko tych, z którymi miała na pieńku. Nigdy nie robiła nikomu awantur, zawsze na początku pochwaliła, zanim włożyła szpilę prosto w serce. A chusteczka? Znowu pytam o nią, intryguje mnie bardzo.

– Jest w zaplombowanej szafie obok gabinetu komisarza Renscha – wymijająco odpowiedział Ignaz. – Wiem niewiele więcej ponad to, co wynika z zeznań starszej pani.

W godzinę później inspektor w towarzystwie komisarza przeglądał raz jeszcze poprzednie zeznania pani Heleny. Jej relacja spisana trzy tygodnie wcześniej w niczym nie różniła się od tego, co dwaj policjanci usłyszeli w ogrodzie targanym porywistym wiatrem. Heinz, który wniósł do gabinetu tacę z dwiema filiżankami gorącej kawy przyprawionej cynamonem, po chwili ponownie pojawił się przed zwierzchnikiem.

– Głowa, panie komisarzu, głowa! – wybełkotał.

– Jaka głowa?! – zdenerwował się Rensch, chociaż przyzwyczajony był do skrótów myślowych wychodzących z ust podwładnego.

– No, chyba Wendersa. Przy Domu Strzeleckim! Ogrodnik przeprowadzał jakieś wiosenne prace, sadił kwiatki albo coś w tym rodzaju.

Obaj oficerowie w tym samym momencie poderwali się na równe nogi. Spojrzeli na siebie i już po chwili w towarzystwie dwóch posterunkowych pędzili Lęborską w stronę ulicy Strzeleckiej. Widok czterech mężczyzn, spośród których przynajmniej trzech powszechnie rozpoznawano, wzbudzał zainteresowanie przechodniów. Ponieważ o sprawie Wendersa, na skutek znalezienia lewego uda i powstania komitetu mającego za zadanie obronę Richtera, rozmawiano przy każdej okazji, mieszkańcy miasta, widząc

biegnących funkcjonariuszy, bez namysłu kojarzyli niecodzienny widok z tym, czym żyli każdego dnia.

Oczom Ignaza ukazał się otoczony założeniem parkowym i usadowiony na lekkim wzniesieniu urokliwy budynek siedziby Neustadter Schiitzengilde. Weranda i altanka, które już za miesiąc, na wiosnę, miały stać się miejscem odpoczynku wejherowian, tęskniły do gwaru rozmów i śpiewu ptaków. Pawilon muzyczny i strzelnica z witrażowymi oknami świadczyły o zamożności tutejszego bractwa strzeleckiego. Kamienne i drewniane kolumnienki podtrzymywały dachy i daszki poszczególnych części budynku. Mimo szachulcowej konstrukcji Dom Strzelecki sprawiał wrażenie lekkiego, a wieżyczka nad jedną z werand dodawała całości charakteru podmiejskiego pałacyku. Inspektor nie miał jednak czasu na podziwianie architektury godnej modnego kurortu. Stojący przy drodze pętrowickiej Dom Strzelecki okalały bukowe połącze leśne, smutne jeszcze i nagie. Pogoda znacznie się jednak poprawiła. Zamilkł wiatr, przez zachmurzone niebo prześwitywały plamy nieśmiałego błękitu. Obok budynku przycupnęły już ozdobne ławy i stoliki, które od wczesnej wiosny zapełniały się towarzystwem spragnionym wytchnienia po całym tygodniu pracy.

Niedaleko od owych ław stało kilku mężczyzn. Pochyleni nad znaleziskiem, przypomnieli Braunowi ludzi klęczących niedawno nad lewym udem Johanna Wendersa.

Czterech policjantów podbiegło do miejsca, w którym znaleziono głowę. Komisarz miał zamiar przedstawić Ignazowi trzech wpływowych przedstawicieli bractwa strzeleckiego, Johanna Schneidera, Eduarda Weikusata, wieloletniego sekretarza bractwa i członka sądu honorowego, z którym niejednokrotnie biesiadował ochoczo w hotelu pana Alslebena, a nade wszystko prezesa bractwa, pana Aloysa Fischera, ale widok, który

ukazał się jego oczom, nie pozwalał na dochowanie wierności podstawowym kanonom towarzyskim.

Między dwoma pniami rozłożystych buków, na ściółce zmaltretowanej stopniałym niedawno śniegiem, leżała poślizgnięta i wygnieciona gazeta. „Neustadter Kreis-Zeitung”, jak zauważył inspektor. Znad gazety na pochylonych mężczyzn patrzyły z oczodołów sine błonki będące kiedyś ściankami oczu. Głowa, zamrożona przez jakiś czas, od kilku dni musiała być narażona na powolne tajanie. Gdyby nie nocne przygruntowe przymrozki, zaatakowałyby ją szybki rozkład. Mimo zniekształceń właściwych procesom organicznym komisarz i posterunkowi nie mieli wątpliwości. Dla berlińskiego policjanta jeszcze przez sekundę miała to być jedynie głowa jakiegoś anonimowego nieszczęśnika, chociaż wyraz twarzy wejherowskich funkcjonariuszy nie pozwalał na żadne wątpliwości.

– Czy to jest głowa Johanna Wendersa? – cichym głosem zapytał Ignaz.

– Ponad wszelką wątpliwość – odpowiedział komisarz Rensch.

– Niech ktoś wezwie doktora Gesslera.

Czekający na przybycie medyka wpatrywali się jak zahipnotyzowani w znalezisko leżące na gazecie. Sinożółta skóra, nieco pomarszczona, pozwalała na stosunkowo dokładne rozpoznanie rysów twarzy. Najważniejsza część ciała zamordowanego emanowała obojętnością. Głowy nie interesowali mężczyźni odziani w czarne i szare płaszcze, nie interesowało wreszcie to, że za godzinę lub dwie ci mężczyźni, wsparci przedtem fachową pomocą doktora Gesslera, wyślą ją do gdańskiego szpitala, gdzie po badaniach spocznie na kilka dni obok podobnych sobie dowodów zbrodniczości rodzaju ludzkiego.

Członkowie bractwa strzeleckiego w towarzystwie ogrodnika odeszli wreszcie do swoich zajęć. Ci praworządni obywatele, od najmłodszych lat wychowywani do lojalnej służby państwu i traktujący zbrodnię także, a

może przede wszystkim, jako występki przeciwko Cesarstwu, nie byli w stanie dłużej znieść widoku burzącego poczucie ich pruskiej estetyki. Mogli celować do zająca, mogli uderzyć nieposłuszną żonę, zbić trzcinką rozbrykane i swawolne dziecko, a wreszcie w czasie bitwy zastrzelić francuskiego żołnierza. Dotykalne zetknięcie ze skutkiem zbrodni przerosło wytrzymałość statecznych mieszczan.

Odcięcie głowy Wendersowi burzyło porządek, na którego podstawach zbudowano pomyślność Cesarstwa.

Wiedzieli o tym szanowani obywatele miasta, kupcy i przedsiębiorcy; widok urągający wszystkiemu, w co wierzyli i co budowali przez całe swoje pracowite życie, wstrząsnął nimi do głębi.

Przy głowie zostali ci, w których pracy zdarzały się i takie przypadki. Ignaz widział kiedyś głowę odłączoną od reszty ciała, chociaż okoliczności tamtej sprawy jawiły się zgoła odmiennie. „Kot z Erfurtu”, złapany na gorącym uczynku przez ludność miasta, poddany został natychmiastowemu samosądowi. Rozszarpano go, ale przedtem odcięto olbrzymią, łysą czaszkę, pod którą przez długie lata dojrzewał j rozwijał się umysł psychopatycznego mordercy.

Doktor Gessler przybył, jak zawsze, szybko. Jadł właśnie obiad, kiedy przejęty posterunkowy Kandzorra zaczął walić pięścią w drzwi wejściowe. Wystraszona panna

Trudchen pobiegła po pana domu i już po chwili doktor, poświęcając na ołtarzu nauki niewielką porcję możliwie najchudszej pieczeni wieprzowej z kapustą obficie przyprawioną kminkiem (panna Trudchen pochodziła z Turynii), biegł prowadzony przez posterunkowego w stronę lasu.

– Dawno się nie widzieliśmy, młody człowieku – mruknął Gessler, spojrzawszy na głowę. – Panowie pozwolą – zwrócił się do obecnych – że przywitam się z naszym zmarłym przyjacielem.

– Pozwolą – bezwiednie odpowiedział Ignaz nieco zaskoczony familiarnym stosunkiem doktora do znaleźnika.

– Co my tu mamy... Hibernacja częściowa, słoneczko trochę przygrzało i zniekształcać zaczęło, ale to nic, wszystko przebadamy... O! A co to jest?!

Dłoń doktora powleczona gumową rękawiczką wyciągnęła spod potylicy kawałek pożółkłego materiału, na którym widniały rdzawobrunatne plamy. Gessler wyprostował zgniecione płótno, rozwinął je i oczom policjantów ukazała się chusteczka.

Funkcjonariusze jak na komendę przyskoczyli do doktora. Na atlasie, całkiem w rogu, widniała wyszyta ozdobnie litera „A”. Komisarz Rensch gwizdnął z podziwu, a Braun zabrał się do czyszczenia okularów i po chwili jeszcze raz przyjrzał się chusteczce. Jedno imię przeszło przez myśl każdego, kto stał obok Gesslera trzymającego na lekkim wietrze kawałek atlasu, wyglądający jak sfatygowana chorągiewka z dziecięcych zabaw.

– Panowie – oznajmił uroczyście Leo Gessler – zabieram naszego zmarłego do swojego gabinetu. Oczywiście będę musiał odesłać go do Gdańska, przedtem jednak zobowiązany jestem do sporządzenia stosownej dokumentacji. Posterunkowy, pomóżcie mi zapakować głowę, tylko proszę delikatnie!

Gabinet doktora Gesslera ponownie gościł doczesne szczątki młodego Wendersa. Głowie towarzyszyli, niczym asysta honorowa, komisarz Rensch, inspektor Braun i posterunkowy Myszk. Doktor przy pomocy asystenta położył znaleźnika na prostokątnym stole, który przez lata obecności w tak szczególnym domu dźwigał już niejedną potworność. Charakterystyczne mlaśnięcie nakładanych na dłonie gumowych rękawiczek przeszło powietrze, odpędzając pełną napięcia ciszę panującą dotychczas.

– No proszę – zaczął Gessler – kolejny element układanki. Ufam, że może teraz łatwiej będzie odsłonić tajemnicę zbrodni. To jak kolejny akt interesującego przedstawienia teatralnego... Mamy scenę i wszelkie konieczne rekwizyty, za chwilę pojawią się aktorzy w kostiumach, przedtem na sali zapadnie cisza...

– Niech pan zaczyna – szepnął komisarz, znający skłonności doktora do złożonych rozważań rozmaitej natury.

– Oczywiście. Maksymilianie, proszę o narzędzia.

Chudy asystent precyzyjnymi i pewnymi mchami podawał swojemu mistrzowi kolejne instrumenty. Delikatność doktora zadziwiła Ignaza. Człowiek wypowiadający stanowcze sądy na każdy temat zmienił się teraz nie do poznania. Delikatnie dotykał każdego centymetra głowy, przekładał ją tak, jakby nie chciał sprawić przykrości zamordowanemu gimnazjaliście. Dopiero po kwadransie doktor zabrał głos.

– Jego gardło zostało podcięte. Bardzo dokładnie podcięte niezwykle ostrym narzędziem, chociaż widać pewne nierówności na skórze.

– I to była przyczyna śmierci? – wyrwało się podekscytowanemu Antonowi.

– Największe natężenie pracy krwioobiegu znajduje się, zaraz po sercu, na szyi. Upływ krwi jest nie do opanowania dla lekarza, a co dopiero, gdy ktoś nie chce pomóc swojej ofierze. Bo chyba Wendersowi nie poderżnięto gardła z miłości... – doktor zdawał się wracać do zwykłego sobie poczucia humoru. – Takiej śmierci nie można nazwać lekką. Trochę boli, ale sama świadomość, że ma się podcięte gardło, jest chyba najgorsza. Nieuchronność końca i bezbronność obezwładnia bez reszty. Wyobrażałem sobie kiedyś taką śmierć i sądzę, że gorsze byłoby chyba tylko utopienie.

– Długo się męczył? – zapytał posterunkowy.

– Czas jest wartością względną. Zasypiał sobie biedaczek, powoli tracił świadomość, chociaż na pewno nie był zadowolony ze swojego położenia. Zachował trzeźwość umysłu przez dwie do trzech minut. Musiał widzieć oprawcę, może oprawców. Z każdą sekundą siły go opuszczały, potem obrazy stawały się zamglone, nierzeczywiste. Dzięki wpływowi krwi, abstrahując od mrozów, głowa zachowała się w niezłym stanie. Sprawdźmy jeszcze zawartość jamy ustnej...

Doktor niklowanymi szczypczykami doprowadził do rozwarcia brunatnych warg. Uważny wzrok biegał po wnętrzu; bezskutecznie. Nie znalazłszy nic interesującego, Gessler zamknął usta i uznał za stosowne zakomunikować:

– Nie będę w niezgodzie ze sztuką medyczną, jeżeli powiem, że nasz młody przyjaciel został zamordowany mniej więcej w dniach zaginięcia. Tolerancja wynosi kilka dni, mógł więc być przetrzymywany w jakimś ukryciu. To już jednak jest dziedzina, w którą nie śmiem wkraczać moim umysłem, że tak powiem, profana kryminalistycznego.

Niewątpliwy jest fakt podcięcia gardła. Ono stanowi przyczynę zgonu. Wykluczam pierwotne otrucie, zasztyletowanie, zastrzelenie i inne emanacje ludzkich pragnień skierowanych na niewłaściwe tory. Cięcia poprowadzone są bowiem w taki sposób, aby zabić; nie mogły zaistnieć dopiero przy odcinaniu głowy. Podczas dokonywania tej ostatniej czynności morderca chwilami drżał, był roztrzęsiony, drobne nierówności, o których wspominałem wcześniej, świadczą wybornie o słuszności mojej opinii. Natomiast wtedy, kiedy wracała mu zimna krew, ciął fachowo. Tego musiał dokonać profesjonalista. Analogicznie do cięć na korpusie czy kończynach.

– Czy chusteczka mogła mieć jakiś „medyczny” związek ze stanem głowy lub, jeszcze przed odcięciem, stanem jej właściciela? – zainteresował się inspektor. Gessler powątpiewająco pokręcił głową.

– Nie, nie wydaje mi się. Jeśli wolno mi wkroczyć w kompetencje łaskawych panów, sądzę, że być może jest to podrzucenie fałszywego dowodu winy. Chęć nakierowania na ślad osoby, która miałyby stać się ofiarą posądzeń...

– Eee – skrzywił się Ignaz. – W takim razie zbrodni musiałyby dokonać wyjątkowy imbecyl, skoro zastosowałyby tak prymitywny sposób rzucenia na kogoś podejrzenia.

Chyba że imię lub nazwisko mordercy zaczyna się rzeczywiście na literę „A” i w ten sposób stara się on uniewinnić swoją osobę, pozostawiając dowód zbyt oczywisty, a więc pozornie fałszywy. Rozumie pan, nie może być winny ktoś, na kogo w tak nachalny sposób wskazuje się chusteczką, bo przecież tylko wariat zostawiłby przy głowie bezdyskusyjny dowód swojej winy.

– Oczywiście – zgodził się doktor. – Ktoś jednak tę chusteczkę podrzucił i miał w tym cel. Zadanie do rozwiązania zostawiam łaskawym panom. Ja ze swej strony mogę dodać, że plamy na chusteczce pochodzą oczywiście od krwi, chociaż w Gdańsku moi koledzy przeprowadzą jeszcze dodatkowe analizy mikroskopowe. Chusteczka nie była używana do tamowania krwi wyciekającej z głowy, w przeciwnym razie byłaby bardziej zmięta i przede wszystkim zakrzepła krew rozmieściłaby się na całej powierzchni materii.

– Oczywiście chusteczkę najpierw zabieramy na komisariat – uciął spekulacje doktora Rüdiger Rensch – koniecznie musimy pokazać ją panie Annie Richter.

– Mogę coś dodać? – doktor podniósł wzrok znad stołu. – Jeżeli głowa zawinięta była w gazetę, jej stan powinien być gorszy niż obecnie. Zawilgocenie, mimo wcześniejszych mrozów, musiało przecież dać się

głowie o wiele bardziej we znaki. Inna sprawa, że w naturze zdarzają się niespodziewane przypadki. Zadziwiające...

Pobieżna analiza zdawała się zakończona. Komisarz, spojrzawszy na zegarek, oznajmił, że lada chwila należy spodziewać się Johanna i Irmgardy Wendersów, którzy urzędowo zobligowani zostali do identyfikacji głowy. Obecni w gabinecie pomyśleli naraz o wraźniu, jakie sprawi na rodzicach widok odciętej głowy syna. Konsternacja na twarzach policjantów nie uszła uwadze Gesslera.

– Panowie się nie przejmują. Maksymilian i ja wiemy, jak sobie poradzić.

Porozumiewawcze spojrzenie lekarzy zapoczątkowało spektakl.

Paschinski delikatnie przeniósł głowę na niewielki stolik w połowie wypełniony używanymi wcześniej narzędziami chirurgicznymi, doktor natomiast podszedł do szkieletu stojącego w rogu gabinetu (Ignaz przypomniał sobie, że szkielet nosił wdzięczne imię Eryk) i wprawnym ruchem przekręcił kręgi szyjne. Coś na kształt szczeknięcia wyrwało się z górnej partii szkieletu i czaszka powędrowała do szafki stojącej przy zasłoniętym ciężką kotarą oknie. Gessler i jego asystent ostrożnie przenieśli Eryka na stół.

Przez cały czas operacji stuki i szelesty spowodowane chybotaniem się kości wpadały zwielokrotnione do rozmiarów burzy w uszy oniemiałych fikcyj onariuszy.

Wymiana spojrzeń między doktorem a Paschinskim zdecydowała o następnych czynnościach. W ruch poszły kawałki tafty, krempliny i wełny, pocięte sztuki wytartego koca, przydała się nawet mała poduszczyca ze złożonymi fędzelkami. Dwa razy cicha uwaga asystenta pomogła Gesslerowi w bardziej realistycznym dopasowaniu szczegółów nadzienia szkieletu. Warstwa grubego białego materiału jak całun pokryła Eryka od

stóp aż do kręgów szyjnych. Doktor założył nowe rękawiczki, podszedł do stolika i podniósł głowę Johanna. Uśmiechnął się i przeniósł ją do czekającego już szkieletu. Przez chwilę dopasowywał obie części, aż wreszcie odetchnął głęboko, przyglądał całun i przymocował jego górną część do stołu tak, aby przy identyfikacji można było odchylić płótno tylko do połowy szyi.

Maksymilian nie pytany przytaknął z aprobatą. Policjanci nie mogli jeszcze dojść do siebie, chociaż Ignaz przypomniał sobie, że doktor von Stitz, który przeprowadzał w swoim czasie dla studentów szkoły policyjnej pokazowe sekcje zwłok, nie takie rzeczy potrafił wymyślić.

Pierwsze wrażenie minęło. Zebrani, choć bali się przyznać sami przed sobą, uznali pomysł Gesslera za jedyne wyjście z przykrej i kłopotliwej sytuacji. Głowa, której nagle przybyła cała reszta, nie wyglądała już tak makabrycznie.

Całość wyglądała niezwykle przekonująco. Gospodarz, artysta w swojej dziedzinie, triumfalnie przebiegł wzrokiem po zebranych. Ich milczenie oznaczało względną akceptację, jedynie Anton ścierał pot z lodowatego czoła.

Po kwadransie drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich Johannes Wenders. Za nim nieśmiało weszła pani Irmgarda. Mąż delikatnie przytrzymał jej ramię. Doktor Gessler, który zdjął uprzednio z dłoni gumowe rękawiczki, przywitał się z rodzicami ofiary. Podprowadził ich do stołu i, zanim zdążył odsłonić twarz Johanna, zauważył zdziwienie na twarzach nieszczęśników. Policjanci, nie chcąc oglądać tej sceny, odwrócili się dyskretnie. Nie padło ani jedno słowo, piekarz objął żonę i oboje zdawali się pragnąć jak najszybciej ujrzeć głowę.

Maksymilian odsłonił to, co należało do Johanna. Stłumiony krzyk wyrwał się z ust pani Irmgardy. Miękkim ruchem kobieta osunęła się na

podłogę. Jednym krokiem doskoczył do niej Gessler i uniósł głowę zemdlonej do góry. Wydał krótkie polecenie Paschinskiemu i ten podał zaraz krople trzeźwiące. Tymczasem Wenders z zaciśniętymi pięściami wyrastającymi z barczystych ramion stał jak wryty, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w twarz nieistniejącego już syna.

Krople potu leciały po jego policzkach i spływały na płaszcz.

Trupia bladość sprawiała, że patrzący na niego Ignaz miał ochotę posadzić nieszczęśnika na jakimś krześle. W gabinecie nie było krzesła.

Olbrzymia postać Wendersa nie pochyliła się skruszona nieszczęściem; emanowała mocą. Inspektor, bacznie przyjrząwszy się mężczyźnie, pomyślał, że piekarz musiał poczuć coś w rodzaju ulgi. Nie było już żadnej tajemnicy, żadnej niepewności. Świadomość, ograniczona dotychczas dojmującym brakiem pewności, naraz przepełniona została bolesną iluminacją. Rozpoczął się nowy, naturalny rodzaj cierpienia, z którym rodzice poradzą sobie z upływem lat. Zamkną w sercu tajemnicę utraty dziecka i będą z nią żyli na tyle spokojnie, na ile będzie to możliwe. Rezygnacja zastąpi wyczerpującą niepewność, gorszą od bólu i samej śmierci.

Krople trzeźwiące ocuciły panią Irmgardę. Przez moment nie wiedziała, co się dookoła niej działo, zaraz jednak, zerknąwszy na obecnych, przypomniała sobie wszystko.

Z pomocą doktora podniosła się i raz jeszcze spojrzała na głowę wystającą spod białego całunu. Wyciągnęła rękę w stronę stołu, ale Paschinski zdecydowanym gestem powstrzymał odruch matki. Zdezorientowana kobieta nie nalegała więcej.

– To mój syn – powiedziała cicho, a były to pierwsze słowa, jakie padły od chwili, gdy Wendersowie przekroczyli progi gabinetu.

– Tak, nasz syn – zawtórował żonie Johannes.

Do wpatrzonych w głowę rodziców nachylił się komisarz Rensch.

– Proszę przyjąć ode mnie, a także od całej policji cesarskiej, wyrazy najszczęśliwszego współczucia.

– Słucham? – wyrwał się z zamyślenia piekarz.

– Składam wyrazy szczerego współczucia – ponownie szepnął komisarz. – Państwo wybaczą, pozostał jeszcze smutny obowiązek podpisania protokołu stwierdzającego tożsamość ofiary.

– Tak. Oczywiście – mocnym głosem odpowiedział Wenders. – Poprosimy o ten protokół.

Piekarz zdecydowanym ruchem podpisał dokument.

Tak samo uczyniła podtrzymywana przez męża i Paschinskiego pani Irmgarda.



Gimnazjum i jego dyrektor.

Jeszcze tej samej nocy z poniedziałku na wtorek zaalarmowani policjanci wyruszyli na ulicę Pucką. Chwilę wcześniej przybiegł na posterunek zaafierowany Wolf Konitzer z doniesieniem o próbie podpalenia synagogi.

Trzech funkcjonariuszy na miejscu zorientowało się, że ogień nie miał na celu spalenia świątyni. Sprawcy chodziło jedynie o nastraszenie starozakonnych. Ślady łatwopalnej substancji widoczne były w odległości metra od ściany frontowej, która pod wpływem ognia została osmalona.

Inspektor Braun, sprowadzony na miejsce przez posterunkowego Myszka, wpatrywał się zamyślony w policjantów przeprowadzających oględziny. Nie było dla niego niespodzianką, że ktoś pragnął w tak znaczący sposób nastraszyć gminę żydowską. To była logiczna konsekwencja powstania Komitetu Obrony Wejherowa. Wątpliwe było, aby na oficjalnym zebraniu ludzi broniących Richtera zalecono podpalenie synagogi. Może mówiono o tym po cichu, może ktoś krewki samowolnie postanowił wziąć sprawy we własne ręce, aby załęknieni Żydzi nie przystąpili do ofensywy. Zastraszenie, wiedział to absolwent renomowanej szkoły policyjnej, bywa metodą niezwykle skuteczną.

Dla Wolfa Konitzera próba podpalenia synagogi była prawdziwym dramatem. Wokół niego zgromadziło się kilkunastu Żydów. Jedni załamywali ręce i pomstowali na barbarzyńców kryjących się pod płaszczkiem komitetu, inni zdawali się obezwładnieni strachem i nerwowo rozglądali się na wszystkie strony.

Jedynym wyjściem zdawało się spisanie stosownego protokołu i postawienie przed synagogą straży złożonej z trzech policjantów. Po godzinie drugiej w nocy zebrani rozeszli się do domów. W stronę nowej rzeźni wolnym krokiem szło dwóch mężczyzn. Ich spacer przedłużył się znacznie. Dopiero o trzeciej nad ranem przejęty podpaleniem i zmęczony przesłuchaniem pan Konitzer przekroczył próg własnej posesji, a inspektor Braun ruszył do hotelu.

Wtorkowy poranek rozpoczął się dla Ignaza, jak zwykle, bardzo wcześnie. Porcja gimnastyki sprawiła, że krew w organizmie zaczęła krążyć żywiej, dotlenienie mózgu pozwalało na osiągnięcie optymalnej sprawności umysłowej, a mięśnie kończyn stawały się gotowe do cichego i sprężystego przemieszczania się po pruskim mieście.

Ignaz obserwował w lustrze swoją twarz okoloną białą warstwą mydła do golenia. Mimo niewyspania policjanta nie opuszczał dobry nastrój. Od poprzedniego dnia zdawał się znajdować nieco bliżej wyjaśnienia ponurej zagadki. Pruskiej zagadki, jak nazywał ją w myślach. Po przebudzeniu naostrzył brzytwę, która teraz pewnymi, precyzyjnymi ruchami gładziła skórę twarzy. Znikał całodobowy zarost, który dla miłującego ład i czystość inspektora był wybrykiem natury. Należało go jak najprędzej usunąć.

„Czyja mógłbym się jej podobać?” – zastanowił się Ignaz na wspomnienie nieznanym damy. Rozmyślał teraz, czy to naprawdę ją widział w kościele św. Trójcy na mszy w Niedzielę Palmową.

– Najprościej byłoby, gdybyś sam ją zapytał o gusta – odpowiedział głośno, patrząc w oczy mężczyzny z brzytwą, tkwiącego w lustrze.

Tamten roześmiał się półgębkiem.

Ledwie skończyła się poranna toaleta, do drzwi zakołatał Anton. Pukał zawsze tak samo, trzy razy w niewielkim odstępie czasu. Ignaz poderwał się z krzesła, chcąc jak najszybciej otworzyć drzwi posterunkowemu. Ciekaw był, czy reszta nocy upłynęła w spokoju.

Relacja posterunkowego uspokoiła inspektora. Żadnych awantur, żadnych następnych podpaleń. Zatrzymano jedynie niejakiego Edmunda L., śpiewającego na Rynku nieprzyzwoite piosenki. Stan upojenia delikwenta tłumaczył wiele. W sprawie osmalonej synagogi komisarz Rensch zarządził kilkanaście przesłuchań, do których wyznaczeni mieli zostać doświadczeni posterunkowi.

Anton poczęstował ogolonego i ubranego już w garnitur Ignaza czekoladką migdałową. Kiedy inspektor smakował z lubością słodczy, posterunkowy badawczym wzrokiem wpatrywał się w niego, pragnąc jak najszybciej poznać plany śledcze przewidziane na przedpołudnie.

– Nie będę dłużej wystawiać twojej ciekawości na próbę. Czas powrócić do naszego Johanna. Mówiąc konkretnie, do jego życia. Widzisz, bardzo pragnąłbym porozmawiać z panią Irmgardą, ale dzisiaj, w dzień po identyfikacji, nie byłoby to wskazane.

– Aha. Rozumiem. Dzisiaj ma niepokładane myśli, no i mogłaby nam mieć za złe brak delikatności. Zraziłaby się i trudniej byłoby z niej coś wyciągnąć.

– Wyraziłeś się w sposób dosadny, ale niezwykle przenikliwy – niedbale uśmiechnął się Ignaz. – Myślę o gimnazjum, do którego uczęszczał Johann.

Szeroko pojęta szkoła zwraca uwagę na zupełnie inne sprawy niż robią to matka, ojciec lub przyjaciółka. Obraz Johanna nie jest jeszcze kompletny, co utrudnia mi upewnienie się co do motywu. Motyw, jak mawiał profesor Kokanyi z akademii w Budapeszcie, to klucz do szczęścia każdego przyzwoitego policjanta.

Przy ulicy Lęborskiej stał od niemal pięćdziesięciu lat dumny budynek Królewskiego Gimnazjum. Tuż za nim znajdował się, nieco mniejszy, gmach sądu. Jakże mądra i dydaktyczna była decyzja lokalizacyjna władz pruskich!

Oto sąsiadowały ze sobą dwa fundamenty oświeconego państwa. Uzupełniały się znakomicie. Uczniowie od najmłodszych lat świadomego, obywatelskiego życia wzrastali w cieniu cesarskiej sprawiedliwości i władzy. Ci obywatele miasta i jego okolic, którym przyszło w niezbyt przyjemnych okolicznościach zetknąć się z prokuratorem i składem sędziowskim, patrząc na szlachetną siedzibę gimnazjum, mogli żałować, że nauka, o ile w ogóle mieli z nią kiedykolwiek styczność, mimo starań wytrawnych pedagogów nie przyniosła im moralnego pożytku. Tym większa wina głuchych na moralne oddziaływanie szkoły niegdysiejszych uczniów! Ludzie pozbawieni wykształcenia mogli natomiast żałować, że brak szerszych horyzontów umysłowych, obywatelskich i etycznych spowodował terazniejsze kłopoty z prawem.

Posterunkowy nie przeszkadzał inspektorowi w dokładnej obserwacji imponującego gmachu zbudowanego z czerwonej cegły. Po chwili obaj przeszli przez uchyloną furtkę wmurowaną obok szerokiej bramy i znaleźli się na terenie szkoły.

Funkcja, jaką od kilku dni sprawował śledczy z Berlina, w mgnieniu oka otwierała mu drogę do najbardziej szanowanych obywateli miasta. Atencja, z jaką zawsze traktowano rzadkich w mieście przybyszy ze stolicy,

spotęgowana była rolą, jaką miał odegrać Ignaz Braun w wyjaśnieniu tajemnicy śmierci Johanna Wendersa. Dyrektor gimnazjum, gdy tylko dowiedział się od swojego sekretarza o przybyciu inspektora, przerwał niezwykle ważną naradę z kilkoma nauczycielami. Wysłał woźnego po wychowawcę Johanna, pana Wilhelma Märza. Ten zaś, nauczyciel języka niemieckiego, zdziwiony był niepomiernie oderwaniem od zwykłych obowiązków (rozkładał właśnie na jedną z lekcji olbrzymią mapę obrazującą dialekty występujące w obrębie jakże rozległego cesarstwa), wykonał jednak posłusznie polecenie przełożonego.

Całość działań została przeprowadzona tak szybko, że Ignaz, spacerujący na parterze budynku po szkolnym korytarzu, nie miał nawet okazji dokładniejszego przypatrzenia się dydaktycznym i nade wszystko patriotycznym obrazom i obrazkom porozwieszanym na ścianach. Dostrzegł jedynie olbrzymich rozmiarów portret Najjaśniejszego Pana, oprawione w ramy i wiszące rzędem w okolicach gabinetu dyrektora fotografie dostojników państwowych oraz tutejszych nauczycieli, wreszcie kilka wypisanych na usztywnionym papierze łacińskich sentencji mówiących o miłości ojczyzny i potrzebie wyteżonej nauki i pracy dla dobra ogółu.

Gość o specjalnym znaczeniu mógł oczywiście zaczekać w przedsionku gabinetu na dyrektora szkoły porządkującego w pośpiechu stosiki papierów, pragnął jednak poczuć atmosferę gmachu, którego progi jeszcze nie tak dawno przekraczał codziennie Johann. W salach lekcyjnych trwał wyteżony proces dydaktyczny i inspektor w ciągu kilku minut oczekiwania ujrzał tylko jednego ucznia w ciemnym mundurze przemykającego szybkim krokiem od jednych drzwi do następnych. „Tak, tak, zabrakło kredy...” – pomyślał Ignaz, wspominając czasy, kiedy i on spędzał ponad pół dnia w murach szkolnych. Po chwili sekretarz dyrektora wyszedł na korytarz,

uśmiechnął się półgębkiem i usłużnie wprowadził obu policjantów do wnętrza gabinetu.

Zza biurka na poły z godnością, na poły z szacunkiem wyszedł na powitanie gości dyrektor Max Koenigsbeck.

Był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, elegancki i dystyngowany. Pociągła, starannie wygolona twarz wydawała się całkiem beznamiętna. Nad czołem po obu stronach mocno zaznaczonego przedziałka leżały jasne, pedantycznie przyczesane włosy. Wąsik podniesiony na końcach ku górze dopełniał całości. Przed Braunem stał okaz wzorowego urzędnika szkolnego, na którego garniturze nie miał prawa pojawić się nawet najdrobniejszy pyłek. Królewskie Gimnazjum posiadało gospodarza odpowiadającego wszelkim kanonom wzorca osobowego zalecanym przez ministerstwo oświaty.

– Mam niekłamany zaszczyt powitać w naszych skromnych szkolnych progach personifikację sprawiedliwości – nienagannie skłonił się pan Koenigsbeck i uścisnął dłoń inspektora nie za mocno, nie za lekko, akurat tak jak należało, po czym skinął lekko w stronę posterunkowego czującego się nieswojo w tak dostojnym wnętrzu.

– Ja zaś pragnę wyrazić radość, że dane mi jest, chociaż w tak szczególnych okolicznościach, poznać dyrektora jakże zacnej placówki – równie dwornie odpowiedział Braun.

– Panowie pozwolą, że przedstawię im wychowawcę nieodżałowanej pamięci Johanna. Pan Wilhelm März, zasłużony pedagog, nauczyciel języka ojczystego.

Zza pleców dyrektora wyskoczył niewielki człowieczek. Ubrany był w czarny, nieco pognieciony garnitur.

Na ruchliwej twarzy malował się uśmiech sugerujący jakoby jego właściciel zjadł przed momentem dorodną cytrynę. Obaj policjanci w

jednym momencie zwrócili uwagę na zmierzwiony wianuszek czarnych włosów ciągnący się od ucha do ucha wzdłuż ciemienia nauczyciela. W centrum wianuszka błyszcząca goła czaszka, wypolerowana i prawdopodobnie namaszczona jakąś balsamiczną substancją. Żywa mimika twarzy germanisty jaskrawo kontrastowała z dostojnością, które było z całej postaci stojącego tuż obok pana Koenigsbecka. Niewielkie druczane okulary i lekko wysunięte górne zęby dopełniały kolorystyki postaci pedagoga.

– Niech wolno mi będzie prosić panów, aby zechcieli spocząć – dyrektor precyzyjnym gestem wskazał policjantom miejsce w rogu gabinetu, gdzie stały gustowne, obite skórą fotele.

Sam zaczekał, aż goście usiądą, dopiero wtedy delikatnie zanurzył się w krześle stojącym przy biurku. Profesor März przycupnął na wąskim krzesełku obok blatu solidnego dębowego mebla.

– Panowie – zaczął Braun – nie ukrywam, że pomoc tak znakomitych obywateli może mieć dla dalszego toku śledztwa decydujące znaczenie.

Dyrektor Koenigsbeck chciwie nadstawił uszu, natomiast wychowawca Johanna zaczął się kręcić na swoim krzesełku.

– Albowiem jedynie trzy osoby mogły wiedzieć o Johannie więcej niż wychowawca i szanowny pan dyrektor.

– Z pewnością rodzice – podchwycił Koenigsbeck – i panna Richter, której ojciec jest przez podejrzane kręgi oskarżany o zbrodnię...

– Sami panowie rozumieją, że relacje tamtych osób, skądinąd fundamentalne, obarczone są pewną ułomnością wynikającą z braku koniecznego obiektywizmu. Jako wytrawni pedagodzy, wiedzą też panowie, że osiemnastolatek nie o wszystkich swoich sprawach mówi rodzicom i ładnej panience, z którą relacje są nie do końca przejrzyste.

W szkole różne sprawy mogą wyjść na jaw mimochodem.

– Jesteśmy do usług – energicznie przytaknął dyrektor. – Poznanie uczniowskich charakterów jest jednym z naszych priorytetów. Jakże to pomaga w programie dydaktyczno–wychowawczym!

– Tak – po raz pierwszy odezwał się wysokim głosem profesor März. – Lubię pracować z uczniami, poznawać ich indywidualne cechy. Pan dyrektor kładzie nacisk na ten aspekt stosunków interpersonalnych i nasz Johann nie był pod tym względem wyjątkiem. Interesowaliśmy się nim. Miał ciekawą osobowość, pełną sprzeczności i, na swój sposób, wybitną.

– Do czasu, kiedy zginął... – pokiwał głową inspektor. – Czy mógłbym wobec tego, na samym początku, dowiedzieć się czegoś o szkole i funkcjonowaniu w jej murach ucznia Wendersa?

Dyrektor wyprostował się na krześle i już miał zacząć przemowę, gdy do gabinetu weszła skromnie ubrana starsza kobieta, niosąc tacę zapełnioną filiżankami z kawą.

Postawiła tacę na biurku i cichutko wyszła, a zebrani sięgnęli do filiżanek.

– Nasza placówka jest wielkim błogosławieństwem dla całego powiatu, rejencji i, szerzej, Prus Zachodnich. Szesnaście lat temu zostałem powołany do Wejherowa (pochodzę z Brodnicy), aby kontynuować wielkie dzieło mojego poprzednika i jestem z tego dumny. Szkoła rozwija się ciągle. Baza... mamy doskonałą bazę techniczną. Ale może nie chce pan inspektor słuchać o takich sprawach?

– Przeciwnie, niech pan kontynuuje – grzecznie poprosił Braun, swoim zainteresowaniem działalnością szkoły wywołując błogi uśmiech na twarzy dyrektora Koenigsbecka.

– Infrastruktura, ekonomika, drogi panie, oto klucz do sukcesów dydaktycznych. W dzisiejszych czasach, kiedy, dzięki Bogu, nasza umiłowana ojczyzna rozkwita, tym bardziej potrzeba Najjaśniejszemu Panu

ludzi wykształconych i świątłych. Baza dydaktyczna może zdecydować o powodzeniu. Baza znajduje się w kręgu moich najżywotniejszych zainteresowań. Finanse szkoły należy prowadzić tak, aby w konsekwencji uatrakcyjnić, metodą zwiększenia infrastruktury, satysfakcję czerpaną z nauki. Ma to miejsce w naszej placówce. Posiadamy osiem sal szkolnych ze stosownym wyposażeniem, dwie pracownie, biologiczną i fizyczną, nowoczesny gabinet przyrodniczy.

Uczniowie korzystają z dwóch sal bibliotecznych, pracowni śpiewu i rysunku. Dumą szkoły jest aula i, daruje pan inspektor, któregoś dnia nie ominie pana przyjemny obowiązek ujrzenia jej.

– Z wielką ochotą – zgodził się Ignaz.

– Mamy centralne ogrzewanie i oświetlenie gazowe – pochwalił się dyrektor – a poza szkołą jest jeszcze stadion ze strzelnicą na górze parkowej. Ja natomiast mieszkam na parterze szkoły, niedaleko tego oto gabinetu, sekretariatu i sali konferencyjnej. Poprzednio rezydował tu pierwszy dyrektor gimnazjum, pan Johannes Seemann.

– Ilu uczniów kształci się w pana szkole?

– Około stu pięćdziesięciu. Gdyby pan inspektor pragnął zapoznać się z dokładnym spisem osobowym, służę naszymi corocznymi sprawozdaniami. To duma placówki...

W sprawozdaniach znajduje się nie tylko ewidencja nauczycieli i uczniów. Publikujemy tam prace naukowe naszych profesorów, niekiedy również uczniów, umieszczamy biografie osób związanych ze szkołą i powiatem. Czy zdaje pan sobie sprawę, że nasz profesor, Otto Herweg, którego przyjaźnią się cieszę, jako pierwszy opisał florę powiatów wejherowskiego i puckiego?

– Fascynujące! – ożywił się Braun, który lubił obcować z florą.

– Właśnie. Publikacja cieszyła się w świecie naukowym olbrzymim rozgłosem.

Dyrektor, uznając, że w największym skrócie opowiedział gościowi o wszystkim, co stanowiło powód do dumy, postanowił wreszcie przejść do drugiej kwestii.

– Pytał pan inspektor o losy Johanna w naszej szkole...

– Może najpierw opowie mi pan dyrektor, jaka jest struktura społeczna uczniów. Przyjechałem przecież aż z Berlina i ciekawi mnie wszystko, co mogło mieć wpływ na zaistniałą sytuację.

– No cóż, mamy w swoich murach kwiat tutejszej młodzieży – wyprężył się Koenigsbeck. – Synowie ziemian, jak Ernst von Krockow, urzędników, szanowanych kupców. Ot, chociażby nieodżałowanej pamięci Johann, syn wielkiego patrioty i wzorowego obywatela. Niemniej pragnę pochwalić tutejsze społeczeństwo i różne czynniki pozamiejskie, dzięki którym chłopcy z biedniejszych rodzin nie są pozbawieni szansy na naukę. A w murach gimnazjum przebywają przecież całe dziewięć lat. Fundusze stypendialne dla ubogich, tak... Znakomita szansa na jeszcze większy udział całego społeczeństwa w budowaniu potęgi umiłowanej ojczyzny. Mamy fundację im. Dyrektora Seemanna, pomaga profesor Herweg i Kuria Biskupia z Pelplina, dużo korzyści przynosi nam współpraca z fundacją szkolną z Chełmna. Indywidualne datki też nie są rzadkością. Wszystko to jest nieocenione, ale i tak muszę nieustannie podnosić chesne. Baza kosztuje... – westchnął dyrektor.

– Proszę jeszcze powiedzieć, szanowny panie, jakie sukcesy na niwie umacniania niemieckości udało się panu osiągnąć?

Koenigsbeck nie usłyszał lekkiej nutki ironii przebijającej się przez spokojny i życzliwy głos inspektora. Skupił się, przez moment szukał odpowiednich słów, wreszcie uroczystym głosem powiedział:

– Najjaśniejszy Pan mógłby być ze mnie dumny. Widzi pan, drogi mieszkańcu szczęśliwego Berlina, tutaj trwa nieustanna walka o cywilizację. Mój poprzednik, dyrektor Seemann, wielki pedagog i oddany obywatel, chociaż starokatolik, pozwolił na tolerowanie nadmiernego rozpasania separatystycznego. Był tu nauczyciel języka polskiego, Stanisław Maroński. Zakładał bibliotekę uczniowską.

Do dzisiaj są w niej takie pozycje, które budzą przerażenie.

Jest jeszcze Anastazy Karabas, ale niedługo tego dobrego.

Dopiero ja zwolniłem niejakiego doktora Józefa Łęgowskiego, który „uczył” języka polskiego, historii i geografii.

Domyśla się szanowny pan, w jaki sposób to robił? Jeszcze kilka lat i mielibyśmy w powiecie cały zastęp wykształconych młodych ludzi sympatyzujących ze wszystkim, co zagraża postępowi i niemczyźnie. Albo takie tajne koło kształceniowe „Wiec”. Jak oni sami siebie nazywali? A! Filomaci! Trzydzieści lat mija od tamtych dni. Ten Maroński i jeszcze Jakowicki, poloniści, sekundowali spiskowi. Pomysłodawcą był niejaki Antoni Muchowski, bardzo podejrzane indywiduum – filomata chojnicki, brał udział w ruchawce 1863 roku. Samo to świadczy najlepiej o jego kondycji moralnej. Zesłany na Syberię; niestety, niepoprawny i niezniechęcający się tak łatwo. Samokształcenie funkcjonowało na stacjach, w klasztorze, nawet w pobliskim lesie – typowe znamiona antypaństwowego spisku.

Od trzech, czterech lat ta zaraza zaczyna się odradzać, ale trzymamy rękę na pulsie. W samą porę pojawiłem się w szkole... – otrząsnął się dyrektor przerażony myślą o skutkach dalszego tolerowania wywrotowców i ich duchowych spadkobierców ziejących nienawiścią do Rzeszy.

– Rzeczywiście, niesłychana potworność. A sprawy wyznaniowe?

– Większość to oczywiście katolicy – zasepił się Koenigsbeck. – Powoli dochodzimy jednak do równowagi.

Kilku Żydów. Już ponad jedna trzecia to ewangelicy. Złoci chłopcy, cała nasza nadzieja. Niektórzy z katolików, chociaż nie mógłbym przysiąc, nie przywiązują odpowiedniej wagi do problemów państwa. Polskie książki, jakieś wierszydła, pokątne szeptki, rozumie pan. Wydawało się, że kiedy raz na zawsze usunie się stąd tych zakonników, wszystko samo się ułoży. Dwadzieścia sześć lat minęło i ludzie wciąż pamiętają. Wiele złego zrobił na przykład taki ojczulek Ambroży Lewalski. Nie słyszał pan pewnie o nim?

Zbudował sobie domek w Swarzewie i pragnął uchodzić za żywy wyrzut sumienia. Miał liczne kontakty z tutejszymi katolikami i Polakami. Nie będę już jednak narzekał.

Kiedy podejmowałem się przed szesnastu laty tej trudnej misji, sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej. Mówiąc krótko – jestem optymistą.

Nastąpiła chwila milczenia. Wyraz skupionego oczekiwania pojawił się na twarzy Koenigsbecka, który wyrzucił z siebie wszystkie żale i obawy, pochwalił się osiągnięciami, a teraz czekał na reakcję urzędnika państwowego przybyłego z samego Berlina.

– Pięknie, pięknie – powiedział Ignaz. – Skoro już dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy dotyczących szkoły, pora, jeśli pan dyrektor pozwoli, zająć się Johannem. Nie tylko jego ostatnimi dniami.

– Oczywiście. Sądzę, że największą pomocą służyć panom może profesor März, któremu niedługo oddam głos. Moje wrażenia są tutaj mniej ważne.

Dwaj pedagogzy skłonili się sobie nawzajem. Koenigsbeck mówił dalej:

– Wybijający się chłopiec, bez dwóch zdań. Kiedy po raz pierwszy przyszedł do szkoły, wielkimi oczami obserwował wszystko, co było dla

niego nowością. A prawdopodobnie nic, co znał przedtem, nie przypominało atmosfery naszej placówki. Spokojna piekarnia, kościół i podwórko – oto był cały świat kupieckiego dziecka. Nagle otwarły się przed nim wrota wiedzy i wysokiej kultury. Umundurowani uczniowie, dostojnie kroczący po korytarzach profesorowie, arkana wiedzy i postępu przechowywane w umysłach pedagogów i tysiącach tomów zawierających skarby niemieckiej kultury. Sam tak kiedyś patrzyłem na szkołę i w oczach Johanna znalazłem podobny błysk, o którym opowiadał mi mój świętej pamięci ojciec. Dostrzegł go on, kiedy po raz pierwszy wróciłem z gimnazjum w naszej rodzinnej Brodnicy. Panowie wybaczą, wzruszyłem się...

Oczy Koenigsbecka zaszły wilgocią.

– To był dobry uczeń – kontynuował. – Do pewnego momentu nie było jednak wiadomo, jakie przedmioty lubi najbardziej. W lot pojmował sens doświadczeń chemicznych, krytycznie wypowiadał się o prawie Archimedesesa i nawet dyskutował o spłaszczeniu aspektu transcendentalnego w systemie filozoficznym Hegla. Nie zaniedbywał biologii, szczególnie interesowało go nasiennictwo. Pytał profesora o sadzonki drzew, przycinanie krzewów i komórki wielojądrowe plech zielenic.

– A literatura? – zapytał inspektor. – Wiem, że zwłaszcza w ostatnim czasie stała się jego pasją.

– Zmierzałem do niej. O tym opowie już panu profesor März. Mogę jedynie dodać od siebie, że Johann uczestniczył we wszystkich szkolnych inscenizacjach. Chciał otrzymywać główne role i dostawał je, ponieważ miał niemały talent. Gdyby panowie widzieli, jak na przedstawieniu charytatywnym, z którego dochód miał być przeznaczony na pomoc dla szkół w naszych afrykańskich koloniach, zagrał wielkiego mistrza Wenera

von Orseln! Wszyscy żałowali, że nie urodził się pięćset lat wcześniej! Z drugiej strony... taka tragiczna postać... No i proszę, Johanna również zamordowano! Ostatnimi czasy działo się coś zadziwiającego. Chłopiec coraz rzadziej rozmawiał w czasie przerw z kolegami. Nigdy nie miał żadnego przyjaciela, ale w ostatnich tygodniach jego zachowanie stało się jeszcze dziwniejsze. Stawał z książką przy oknie i czytał. Podnosił niekiedy wzrok w stronę południa, tak jakby chciał przedrzeć się duchem w stronę kalwarii. Pałace przestrzeń oczy, nieruchoma twarz... Pod koniec jego krótkiego życia każda przerwa wyglądała podobnie.

– Działo się tak mniej więcej od roku, a w ciągu półtora miesiąca apatia pogłębiała się lawinowo, prawda? – odpowiedział ściszym głosem inspektor.

– Tak – odezwał się milczący dotąd profesor. – Skąd pan wie? – Ignaz obrzucił März znaczącym spojrzeniem.

– Przepraszam. Nie powinienem... – nauczyciel spuścił głowę.

– Muszę też przyznać – kontynuował dyrektor – że Johann zaczął opuszczać się w nauce. Mówiąc ściślej, skoncentrował się na twórczości literackiej. Pisał, pisał, a na dodatek pochłaniał olbrzymie masy tomów dotyczących historii i literatury. Może jedynie greka i łacina, poza niemieckim oczywiście, potrafiły wyzwolić w nim odrobinę zainteresowania. O tym i innych rzeczach opowie profesor März. Rodzice byli zaniepokojeni, bo syn oddalał się coraz bardziej od rzeczywistości. Pani Irmgarda, przemiła osoba o niezwykle żywej osobowości i ujmującym charakterze, mówiła o fragmentarycznej apatii syna ze mną i pedagogami; ojciec, człowiek stanowczy, obiecywał sobie poważną rozmowę z Johannem. Ja również zamierzałem to uczynić. No cóż, teraz wszystko skończone. Tyle mogę powiedzieć na temat naszego drogiego zmarłego.



Lekcja języka niemieckiego

Sala lekcyjna, do której zaprowadził inspektora i posterunkowego profesor Wilhelm März, prezentowała się imponująco. Nad czarną tablicą, wiszącą pośrodku ściany frontowej, pysznił się obraz olejny przedstawiający Najjaśniejszego Pana. Niezwykły był to konterfekt, bo też Wilhelm II uwieczniony został na nim w sytuacji nietypowej.

Przepasany szarfą, umundurowany cesarz, często siedzący na karym rumaku, spoglądał na swoich poddanych ze wszystkich portretów porozwieszanych w urzędach państwowych i publicznych, sklepach i domach prywatnych. Taki też był portret w gabinecie wielkiego patrioty, dyrektora Koenigsbecka.

Profesor März miał natomiast to niezwykle szczęście, że w jego klasie zagościł cesarz napawający się pięknem Niemczyzny. Władca, siedząc w otwartym oknie, patrzył na rozległą płaszczynę roztaczającą się poza komnatą, w której przebywał. Złociste pola, za nimi przepastny las, na lewo średniowieczna twierdza. W dłoni monarchy księga. Tłumaczenie Biblii autorstwa Marcina Lutra. Obok Wilhelma znajdował się stolik, na którym spoczął cesarski hełm.

Kolory płótna żywe, tchnące optymizmem i wolą życia.

Niewielkich rozmiarów krzyż powieszony był w taki sposób, aby płótno w złożonych ramach górowało nad dwiema przybitymi do siebie brunatnymi deszczułkami.

Na bocznych ścianach wisieli, zamknięci w rycinach, luminarze niemieckiej literatury. Oswald von Wolkenstein, Walter von der Vogelweide, Marcin Luter, Filip Melanchton, Gottfried Lessing, Goethe, Schiller i wielu innych było codziennymi świadkami wzmożonej nauki przyszłych elit narodu i państwa. Jedyne jasnozielona lamperia, ciągnąca się od parkietu aż po zasłonięte szkłem ryciny, musiała nieco rozpraszać nabożne skupienie, z jakim każdy przyzwoity Niemiec powinien oglądać wewnątrz pełne tak doniosłych symboli.

W lewym rogu znajdowała się katedra nauczycielska z biurkiem, w prawym natomiast, tuż obok drzwi, na metalowym stojaku wisiała mapa przedstawiająca Rzeszę

Niemiecką. Liczne i rozległe były ziemie, którym Bóg dał za władcę Wilhelma II. Od Alzacji i Lotaryngii po Kłajpedę i rzekę Widawę zielonymi, żółtymi, pomarańczowymi i czerwonymi plamami pyszniło się dziedzictwo Karolów, Ottonów i Henryków, Fryderyków i Wilhelmów, słońce cywilizacji świecące nad starą Europą i ziemiami dzikich ludów zamieszkujących gorące kraje Afryki i południowego

Pacyfiku.

Ignaz skonstatował, że od czasu, kiedy on sam kończył gimnazjum, duch imperialny nabrał jeszcze większej mocy. „Ciekawe, czy sala spodobałaby się posterunkowemu”

– pomyślał inspektor.

Myszk w służbówce ulokowanej na parterze rozmawiał akurat z woźnym i nie mógł napawać się potęgą uobecnionej tutaj tak wyraziście Germanii.

– Widzę po pańskich oczach, że sala spodobała się bardzo? – zapytał profesor, nie przypuszczając nawet, że mógłby usłyszeć cokolwiek oprócz żywego potwierdzenia.

– Niewiarygodnie dumne! Ten duch szlachetnej Północy, mocny i pierwotny, a jednocześnie samoograniczający się ramami najsubtelniejszej cywilizacji i wysokiej kultury! O... profesorze!

Gość z euforią wymawiał te i podobne słowa, a profesor März potężniał z każdą chwilą, prężył się i puchł z dumy i radości.

– Miałem ostrożną nadzieję, że ktoś, kto przybył ze stolicy, doceni moją skromną pracę na rzecz szkoły i tej właśnie klasy – cieszył się germanista, ocierając chusteczką pot z czerwonej twarzy – ale takie pochwały... Chociaż tyle jest jeszcze do zrobienia! Pan dyrektor Koenigsbeck zawsze powtarza, że baza naukowa jest podstawą do budowy wykształconego i patriotycznego społeczeństwa. A mapy, na przykład, wcale nie należą do tanich. Mamy na zapleczu kilkanaście map poglądowych i tematycznych, ale nie są to najnowsze egzemplarze. Biblioteka natomiast! Tysiące tomów, cała nasza tysiącletnia kultura mieści się tuż obok tej sali. I, nie chwaląc się, do obecnej objętości księgozbioru ja także nieco się przyczyniłem.

– Bóg dał nam wielkich pedagogów – powiedział uroczyście inspektor.

– Dziękuję! – odparł uradowany März. – My tu sobie rozmawiamy, a pan inspektor pewnie chciałby usiąść...

– Ignaz gwałtownie zaprzeczył.

– Wolałbym raczej pospacerować sobie po tej pięknej sali; zaiste, jest co podziwiać. Stąd zmuszony jestem prosić pana o towarzyszenie mi w tejże kameralnej przechadzce...

– Z największą chęcią – nauczyciel ponownie wytarł zroszone gorącym potem czoło i, stanąwszy przed inspektorem, spojrzął w jego oczy, czekając na pierwsze pytanie.

– Zanim wysłucham pańskiej opinii na temat samego Johanna, chciałbym wiedzieć, co działo się z chłopcem w dniu zaginięcia. Z pewnością zapamiętał pan coś, co może mieć znaczenie dla śledztwa.

Głowa profesora wykonała kilka szybkich, potwierdzających ruchów. Jej właściciel powiedział zdecydowanie:

– Ależ ja mam doskonałą pamięć i nawet najzwyczajniejszy dzień potrafiłbym rozebrać na poszczególne godziny i obrazy. Nie będę mówił długo o dniach poprzedzających nieszczęście, ponieważ sprawę zasygnalizował już pan dyrektor Koenigsbeck. Stopniowe oddalanie się, ucieczka w nierzeczywisty, mimo wszystko, świat literatury, wszystko to prawda. Tęskne wyglądanie przez okno, tak; nie tylko podczas przerw, na lekcjach było analogicznie. Próbowałem rozmawiać z Johannem, ale grzecznie odpowiadał, że nie stało się nic złego. Właśnie tak odpowiadał: „nie stało się nic złego, niech pan profesor się nie niepokoi”. Może bał się mojej troski? Może bał się otworzyć? Jak zmusić go do szczerości?! To był grzeczny chłopiec, garnał się przez całe lata do nauki, nie miałem powodu, aby nie uszanować jego gorszych dni, chociaż pan dyrektor nie uznaje, zapewne jak najzupełniej słusznie, takiego typu pobłażliwości.

– Przejdźmy do ostatnich godzin – szepnął Ignaz, a przesłuchiwany stuknął się palcem w czoło i skinieniem głowy przyznał rację gościowi.

Skupiony teraz i nieco zakłopotany profesor drżącą ręką sięgnął do szuflady swojego biurka i wyjął z niej płaską buteleczkę. Spojrzał na kamienną postać inspektora i zaczął tłumaczyć swoje postępowanie.

– Niech pan nie sądzi pochopnie. To krople na spirytusie, jak najzupełniej legalnie przepisane przez mojego lekarza. Kłopoty z sercem, ciśnieniem, zagrożenie miażdżycą... Zawsze, ilekroć opowiadam o ostatnich godzinach Johanna, puls staje się nieregularny.

– Ależ ja nie zamierzam skarżyć na pana dyrektorowi – obruszył się Braun. – Pan pije krople, ja prowadzę śledztwo, i na tym koniec.

– To dobrze, to bardzo dobrze... – powiedział pewniejszym już głosem profesor i pociągnął spory haust leczniczej mikstury. Cudowny lek pokrzepił go. Opowieść o ostatnich chwilach kariery szkolnej gimnazjalisty potoczyła się wartkim nurtem.

– Pamiętam jak dziś, zimny dzień. Śnieg z deszczem, w ciągu poprzedniej doby było tak samo. Luty, chociaż daje nam dłuższe niż styczeń dni, przynosi też ostatni podmuch srogiej zimy. Ranek nie zwiastował tego, co miało się zdarzyć. Dzień jak co dzień. Para leciała przechodniom z ust, nad brunatnymi w ciemnościach domami unosiły się pierwsze dymy. W oknach gdzieniegdzie światełka. Jeszcze przed świtem przydreptałem do szkoły z mojej garsoniery na Lęborskiej, a mieszkam obok poczty, porozmawiałem chwilę z woźnym i pospiesznie zacząłem przygotowywać pomoce lekcyjne. Podkleiłem kilka niewielkich mapek (jak pan inspektor zauważył, cenę mapy jako doskonałą pomoc dydaktyczną) i spojrzałem na zegarek. Była godzina siódma pięćdziesiąt pięć. Znakomicie, pomyślałem, za pięć minut pojawią się uczniowie. Staram się zawsze dbać o punktualność.

– Johann uczestniczył w lekcji, prawda?

– Jak zawsze – potwierdził profesor. – Młody Wenders znany był z sumiennego podejścia do obowiązków szkolnych. Absencja byłaby dla niego czymś niewyobrażalnym. Dwie pierwsze lekcje tamtego dnia prowadziłem właśnie ze swoją klasą. Nic szczególnego nie działo się z Johannem, to znaczy nic szczególnego w porównaniu z ostatnim okresem. Był zamyślony, nieobecny, ale jednocześnie przygotowany do zajęć. Mówiłem przecież, i mówił pan dyrektor, że język niemiecki do końca pozostał pasją zamordowanego.

– Czy zadawał jakieś pytania? Chociażby najmniej istotne i nie dotyczące w żadnej mierze tematu lekcji?

Pot wystąpił na twarz profesora, górne zęby jeszcze bardziej wysunęły się do przodu. Odpowiedział bez namysłu:

– Mówiłem panu inspektorowi, że mogę odtworzyć praktycznie wszystko, co zdarzyło się w mojej obecności.

Otóż Johann zapytał o dwie rzeczy. Jedną z nich było prawidłowe akcentowanie przy przejściu na liczbę mnogą, pojmuje pan.

– Ależ oczywiście – potwierdził Ignaz.

– Natomiast drugie pytanie zdziwiło mnie nieco. Mówiłem moim uczniom o dziewiętnastowiecznej literaturze katolickiej. Johann poruszył sprawę przynależności niektórych nauczycieli gimnazjum do grupy starokatolików.

Zdziwiłem się, ponieważ pytanie mogło być jedynie pośrednio sprowokowane tematem lekcji. Ja, nie ukrywam tego, w swoim czasie sympatyzowałem ze starokatolikami. Mierził nas dogmat o nieomyślności papieża i uważaliśmy Piusa IX niemal za wcielenie szatana. Ostatni sobór oceniałem jako klęskę całego Kościoła. W takim miasteczku jak nasze działalność niewielkiej grupy wyznaniowej była skazana na niepowodzenie, chociaż wtedy mieliśmy wielkie ambicje. Pragnęliśmy przywrócenia chrześcijaństwu czystości doktryny. Realia nas zwyciężyły... Proboszcz Rook dopilnował, żebyśmy nie pociągnęli za sobą tłumów. Niestety, zabobon i antydemokratyczne tendencje Watykanu (tak wtedy patrzyłem na całą sprawę) wzięły górę. Światli katolicy zostali wyparci przez grupy w rodzaju Towarzystwa Czeladników albo Towarzystwa Młodzieży.

Brakowało tylko bractwa różańcowego! Właśnie o tamte czasy zapytał Johann. Zapytał o rzeczy, które działy się kilkanaście lat wcześniej... i dotyczyły wspólnoty, z którą, jako luteranin, nie był związany. Musiał coś

przeczytać, coś usłyszeć. Miał wtedy chrapliwy, nieprzyjemny głos. Prawdę mówiąc, byłem bardzo zaskoczony, ale nie widziałem powodu, aby ukrywać stare historie. Było, minęło, bunt młodości, można powspominać od czasu do czasu. Johann sprawiał wrażenie zadowolonego z odpowiedzi.

– Po dwóch lekcjach niemieckiego nie widział już pan Wendersa?

Profesor März przechylił buteleczkę i otarł usta chusteczką. W jego oczach pojawiły się łzy.

– Nie, nie rozmawiałem z nim bezpośrednio. Tyle że po zakończeniu zajęć, czyli po czternastej piętnaście, Johann mignął mi przed oczami. Otwierał frontowe drzwi.

Obejrzał się za siebie i zobaczył, że przyglądam mu się z troską. Uśmiechnąłem się, a on szybko wyszedł. Martwiłem się o Johanna. Gdybym wiedział, że nie usłyszę już nigdy jego pytań i odpowiedzi, nie przeczytam nowych wierszy... Potem, po zajęciach, dłuższy czas siedziałem w księgami pana Gehrmana przy Lęborskiej. Przeglądałem nowe podręczniki do nauki niemieckiego i zapomniałem o bożym świecie. Rozumie pan inspektor, przypadłość zawodowa.

– Wiersze młodego Wendersa niewątpliwie na wszystkich robiły duże wrażenie? – zapytał Ignaz.

– O tak – zamyślony profesor podszedł do okna. – Da pan wiarę, że ponad połowa uczniów w jego wieku pisze poezje? Nikt nie traktuje większości tych dziełek poważnie. Uczniowie piszą o nieszczęśliwej miłości do panienki z dobrego domu, niektórzy doznają ekstaz mistycznych i piszą naiwne wiersze religijne. Jeszcze inni, co szczególnie raduje serce szanownego dyrektora Koenigsbecka, tworzą poezje patriotyczne, często okazjonalne, na przykład z okazji urodzin Najmiłościwszej Cesarzowej Małżonki.

Braun podszedł do okna i spojrzął na widoczny w nieznaczej odległości fragment zabudowy ulicy Lęborskiej.

Stojący obok März szukał odpowiednich słów na określenie poezji Johanna. Został w pewnej mierze wyręczony.

– W przypadku pańskiego ucznia mamy do czynienia z czymś zupełnie odmiennym. Czy zgodzi się pan z moją tezą, że wiersze Wendersa są wierszami starszego, doświadczonego życiem człowieka?

– To znaczy, że według pana inspektora pisał je ktoś inny?! – dobrodusznie zdumiał się profesor.

– Nie, skądże! Szukam tylko odpowiedzi na pytanie, jak doszło do tego, że Wenders ujawniał cechy właściwe człowiekowi kilkudziesięcioletniemu. Pewien rodzaj zblazowania, przerost refleksji nad impulsem, uporczywe trzymanie się jednego tematu. Widzi pan, może popełniam błąd, doszukując się wszędzie niezwykłych sytuacji, ale przychodzi mi na myśl odwrotny proces, kiedy niezwykle groźny „Lalkarz z Miluzy” w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat pisał rymy godne dziesięciolatka. W jego życiu zaszło coś niezwykłego, co zmieniło psychikę nie do poznania.

Takie rzeczy zdarzają się rzadko, ale jednak. Johann stawał się innym człowiekiem, a jego poezje były emanacją umysłu.

– Może ma pan rację. Szukałem odpowiedniego określenia, a najprostsze chowało się tuż za rogiem! Pan inspektor musi interesować się literaturą...

– On wszystko widział, wszystko wie, męczy go świat i jego zgiełk – ciągnął Ignaz z aktorskim zacięciem. – Znajduje odpowiednie wyrazy na określenie stanu swojej duszy. Precyzja i piękno. Precyzyjnie określa to, co ma do powiedzenia, piękno ukochał na swój sposób; jest posępne, rodem z Walhalii albo szkockich romansów historycznych. Walter Scott albo Byron miasta Wejherowa – uśmiechnął się do swoich słów Braun, który w latach

najwcześniejszej młodości poważnie zastanawiał się, czy studia językoznawcze nie są bardziej pasjonujące od analizowania zagadnień sztuki kryminalistycznej.

– Czy ma pan jakieś wiersze Johanna? – powiedział po chwili przerwy.
– Dostałem zbiorok od łaskawej matki zamordowanego, ale być może nie miała ona wszystkiego, co napisał syn.

Profesor zamyślił się.

–”Cały pień drzewa” mam w swojej szufladzie i chętnie go panu inspektorowi wręcę, natomiast w domu posiadam teczkę z jego wierszami. Jest tego ponad trzydzieści kart, czyli około dwudziestu wierszy. Nie wiem oczywiście, czy dublują się z poezjami należącymi do pani Wenders. Z tego, co pan mówi o tamtych wierszach, wynika, że „moje” muszą być nieco bardziej konwencjonalne, chociaż i z nich przebija nuta zagadki i cierpienia. Jutro zaniosę teczkę na komisariat i, jeśli pana inspektora nie zastanę, poproszę o pozostawienie jej do pańskiej wyłącznej dyspozycji. Mają przecież na komisariacie jakiś sejf.

– Dziękuję i wyrażam podziw dla pańskiej gotowości do współpracy. Pragnę zadać jeszcze jedno krótkie pytanie. Zdziwił się pan, dowiedziawszy o zaginięciu i śmierci Wendersa?

– To chyba oczywiste – zdumiał się profesor i dmuchnął z hałasem w chusteczkę.

Kilka minut po głośnym wytarciu nosa Wilhelm März wylewnie pożegnał inspektora. Braun niespiesznie zszedł po szerokich schodach na parter. Tam czekał już na niego podekscytowany Anton. Rolą posterunkowego było w pierwszej kolejności cierpliwe wysłuchanie, co miał do powiedzenia funkcjonariusz wyższy stopniem. Kiedy Anton usłyszał o ostatnim dniu Johanna w murach szkoły, pokiwał znacząco głową i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– A dzień wcześniej nauczyciel, kompletnie pijany, odgrażał się spotkanemu na ulicy woźnemu, że zabije Johanna!

– Profesor März? – z niedowierzaniem, tak rzadko okazywanym, zapytał inspektor.

– Rozmawiałem dłuższą chwilę z woźnym. Woźny należy do miejscowej sekty, wiedziałem o tym od dawna.

Oni nie piją alkoholu, nie zażywają tabaki, nie palą cygar i papierosów. Czy to nie dziwactwo? No i stoję z nim, i pytam, bo pomyślałem sobie, że taki woźny to chodząca skarbnica wiedzy. Wspomniałem, że rozmawia pan właśnie z profesorem Märzem, wychowawcą Wendersa. Żadnej reakcji, kamienna twarz, zdziwiłem się, ale postanowiłem drążyć temat. Ile ja się musiałem naprosić, żeby usłyszeć cokolwiek o tym człowieku! Wreszcie zacząłem podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Zagroziłem woźnemu, że policja poważnie przyjrzy się rachunkom jego zboru i zbada sprawę potajemnego wielożeństwa, uprawianego podobno przez starszych gminy. Biedak wystraszył się nie na żarty – zaśmiał się posterunkowy. – Okazało się, że pan woźny jest kopalnią wiedzy. Coś wiedziałem już wcześniej, ale Albert rozjaśnił mi niejedną sprawę.

Mężczyzna zatrudniony na stanowisku szkolnego woźnego lubił dużo wiedzieć. Z racji wykonywanej profesji stykał się z wieloma ludźmi. Rozmawiał z uczniami i ich rodzicami, profesorowie wykorzystywali jego umiejętne podejście do młodzieży i niejednokrotnie woźny pomagał im zaprowadzić porządek w środowisku, gdzie nieraz zdarzały się drobne konflikty. Alberta cechowała punktualność i sumienność, a także końskie zdrowie. Przez trzydzieści osiem lat pracy w charakterze woźnego mężczyzna ani razu nie zachorował i prędzej mogłoby dojść do inwazji Francuzów na Alzację niż do jego nieobecności w szkole.

Żona woźnego, pani Alberta, od najmłodszych lat obracała się w środowisku dysydentów religijnych. Kiedy miała osiemnaście lat, została członkinią niewielkiego Kościoła Wiernych Chrystusowych, czerpiącego obficie z tradycji kwakrów i mennonitów. Zauroczony rezolutną panienką przysłyły mąż porzucił wyznanie rzymskokatolickie i z czasem stał się jednym z najbardziej szanowanych starszych swojej gminy wyznaniowej. W Wejherowie różnie mówiono o trzystuosobowej, w skali powiatu, wspólnoty. Niektórzy wspominali o nieuczciwych interesach i ukrywaniu prawdziwych dochodów, inni opowiadali o wielożeństwie i przypadkach sodomii. Prawdy trudno było dociec; grupa należała do wyjątkowo hermetycznych i pilnie strzegła swoich praw do autonomii. Starostwo sprzyjało, niekiedy nawet materialnie, Kościołowi Wiernych Chrystusowych, widząc w nim możliwą przeciwwagę dla ciągle niemałych wpływów katolickich.

Albert znał profesora Marza od trzydziestu lat. Widywał go codziennie w szkole, chociaż bliżej zetknęli się z sobą w Kościele. Było to bezpośrednio po ogłoszeniu dogmatu o nieomyślności papieża. W tamtym czasie woźny Albert sympatyzował z grupą późniejszych starokatolików, chociaż podburzany przez ukochaną, nawet w nich zaczynał dostrzegać zbyt wiele cech konserwatywnych i dalekich od wzorców pozostawionych przez pierwszych chrześcijan.

Profesor przekonywał woźnego, że racja jest po stronie organizujących się starokatolików. Kiedy grupa skłóconych wzajemnie działaczy rozpadła się po kilku latach, März nie potrafił z dnia na dzień powrócić na łono Kościoła rzymskiego. Codziennie spotykał w szkole woźnego, wtedy już nawróconego przez żonę, z którym jeszcze nie tak dawno łączyły go wyznawane religijne ideały. Zagubiony profesor uległ wreszcie namowom znajomego, raz i drugi odwiedził zbor, w którym pani Alberta i jej mąż

śpiewali w kilkunastoosobowym chórze, zaś po roku od przekroczenia progów zboru został wyznawcą Kościoła Wiernych Chrystusowych.

W małej grupie rządzącej się swoistym i rygorystycznie przestrzegany kodeksem moralnym niewiele potrafiło się ukryć. Profesor März wielokrotnie napominany był przez starszych gminy z uwagi na problemy alkoholowe, z którymi nie mógł sobie poradzić. Niestety, choroba okazała się silniejsza. Rozstanie ze współwyznawcami było nieuniknione. Zakaz styczności z jakimikolwiek używkami był jednym z najważniejszych wyróżników wspólnoty.

Wyrzucony poza nawias wiernych profesor zdołał jakoś powrócić na łono Kościoła katolickiego, zachowując przy tym żal do starszych swojej niedawnej gminy za bezlitosne odrzucenie. Wielokrotnie opowiadał znajomym i przygodnie spotkanym mieszkańcom Wejherowa o zgorzeniu i nieprawidłowościach dziejących się w sekcie (tak teraz nazywał Kościół Wiernych Chrystusowych). Nieprzyjazne stosunki woźnego i jego żony z profesorem stały się przysłowiowe.

Czas jednak leczył rany. Woźny, zmuszony w szkole do okazywania szacunku profesorowi, przywykł jakoś do widoku odstępcy i kłaniał mu się przykładnie. März zaś z biegiem lat zaprzestał dokładnego opisywania porządków panujących w sekcie. Obaj mężczyźni rozmawiali z sobą zdawkowo, aż wreszcie pewnego lutowego wieczoru 1901 roku woźny natknął się na idącego ulicą Lęborską profesora. März przywitał się z Albertem. Potrząsnął jego dłonią, chwycił kurczowo za ramię.

– Woźny zorientował się, że profesor jest na rauszu.

Chciał oddalić się jak najprędzej, ale nauczyciel zaczął uważać się na uczniów. Mówił, że nie może dać sobie z nimi rady. Odgrażał się, że zabije Wendersa.

– Za co? – dziwił się Ignaz.

– A tego dokładnie nie wiadomo. Nie chciał powiedzieć, chociaż woźny wystraszył się nie na żarty, pytał raz i drugi. Wreszcie profesor ni stąd, ni zowąd odszedł w swoją stronę. Rażący brak konsekwencji, jakby powiedział komisarz Rensch. Najpierw sam zaczepia człowieka, mówi mu takie rzeczy, a potem ucieka. Może przestraszył się, że powiedział za dużo? Swoją drogą, woźny nie powiadomił policji o groźbie profesora. Życie policjanta wyglądałoby inaczej, gdyby świadkowie postępowali zgodnie z prawem.

– No cóż, drogi Antonie, co do profesora, osoby o wyższym od przeciętnego zasobie wiedzy często zachowują się w sposób odbiegający od normy. Mnie oczywiście to nie dotyczy. Swoją drogą, wzruszająca była opowieść o ostatnim spotkaniu z Johannem... Jeśli prawdą jest to, co mówi jeden z dwóch naszych rozmówców, drugi z nich kłamie. Albo profesor tak bardzo cenił Johanna, albo nie jest do końca szczery. Z kolei woźny może być prawdomówny, ale nie wykluczone, że z jakichś przyczyn pragnie skierować podejrzenie w stronę nauczyciela.

– Zawsze mówiłem, że nadmiar kontaktów ze szkołą może człowiekowi zaszkodzić – filozoficznie podsumował posterunkowy.



Mała pocztówka i wielki cesarz

Dwaj policjanci szli właśnie ulicą Lęborską w stronę Rynku, gdy ich oczom ukazał się kondukt pogrzebowy. Wielki stary karawan ciągnięty przez czarnego konia sunął dostojnie środkiem ulicy, a miejskie życie tętniące energią i pośpiechem usypiało na moment, kiedy kondukt mijał sklepy, stragany, rozmawiających ludzi.

– Ciekawe, jak będzie wyglądał pogrzeb Johanna, kiedy z Gdańska przywiozą to, co z niego zostało – szepnął Anton. – Na pewno będzie bogato. Ten zmarły też musiał być bogaty. Biedniejszych prowadzą na cmentarz skromniej, ulicą Pętkowicką.

– Tak, nawet po śmierci w oczach świata nie jesteśmy równi. Rodzina będzie miała smutną Wielkanoc. Pamiętam taką Wielkanoc, kiedy umarł mój dziadek. Chodźmy, komisarz Rensch czeka – uciął Ignaz.

W całym komisariacie pachniało świeżo sparzoną kawą. Jej odurzający aromat, obiecujący wytchnienie i odpoczynek, nie pasował do surowych wnętrz i krzątaniny ogniskującej się wokół gabinetu Rüdigerera Renscha.

Ignaz zastał komisarza pochylonego nad biurkiem.

Po prawej ręce przełożonego stał posterunkowy Kandzorra. Obaj wpatrywali się w pocztówkę leżącą na środku biurka. Pojawienie się inspektora poruszyło tę malowniczą grupę.

– Tak. Niech pan spojrzy. Duże kłopoty. Wielkie zmartwienie i wstyd przed władzami rejencji. Łajdaki i sępy.

Nie władze rejencji, oczywiście. Tak. Niesłychane. W naszym mieście jeszcze nie było czegoś takiego – wściekły komisarz wymachiwał sztywną kartką.

– Może mi pan pokazać...

– Ach tak, przepraszam – Rensch zorientował się, że trzymał kartkę tylną stroną w kierunku Brauna.

Najzwyklejsza w świecie byłaby to pocztówka, tyle że można było na niej, zamiast widoku ulicy, kościoła lub parku, podziwiać Josepha Lewinsky’ego i Wolfa Konitzera podcinających gardło Johannowi Wendersowi.

Posępne, mroczne wnętrze, dwóch mężczyzn z nożami schylonych nad ofiarą niepróbującą się bronić, zwiotczałą już i zrezygnowaną. Na podłodze pełno krwi wypływającej z szyi gimnazjalisty.

– Pełno tego na mieście – kontynuował komisarz – w sklepach, na ulicach rozdają pocztówki czeladnicy, starsi ludzie i nawet dzieci. Tak. Ktoś podrzucił to świństwo do komisariatu. Od samego rana przychodzą obywatele i pytają, co teraz zrobimy. Nie zwlekałem, o nie! Jeden z roznosicieli, trochę opóźniony umysłowo, powiedział, że pocztówki dostarczył do siedziby komitetu na ręce Paula

Bruhna Ernst Boschke. Tak. Pan inspektor nie zna go.

Miejscowy fotograf, znajomy Richtera. Sprawdziłem, wszystko się zgadza. Boschke został przesłuchany, ale pocztówki żyją już własnym życiem.

– Presja na policję... – wyszeptał Ignaz.

– Otóż to, drogi panie. Nie damy się zastraszyć. Będą aresztowania, będą następne przesłuchania. Choćbym miał zapłacić głową, będę

nieugięty!

Inspektor nie zgodził się z Renschem:

– Gniew jest złym doradcą, panie komisarzu. Przede wszystkim należy poinformować władze rejencji. O żadnej samowoli nie może być mowy. Puszczona w ruch machina może przynieść panu i prestiżowi tutejszej policji olbrzymie szkody. Oni tylko czekają na nasz gwałtowny ruch. Chcą być męczennikami ponoszącymi koszty dla obrony prawa i potęgi „czystych” Niemiec. Jeszcze kilka dni zwłoki, proszę w imieniu swoim i tych, którzy nie uczestniczą w nagonce na policję.

– Czy pan nie zdaje sobie sprawy z siły tych wariatów?! Im wcześniej zabiorę się za nich, tym lepiej. Ciągłe ustępstwa... Ja nie kocham Żydów, sam byłem zadowolony, kiedy jeden z poprzednich burmistrzów mniej lub bardziej oficjalnie wysiedlił ich z Rynku na podrzędą ulicę.

A było to niełatwe, naszym Żydom podporządkowane są wspólnoty z powiatu puckiego, Sopotu i Gdyni. Od razu upomniały się o swoich braci. Było, minęło, tak. No, ale brak ładu społecznego a prześladowania to zupełnie inna materia. Państwo niemieckie musi być praworządne.

Autorytet władzy, tego nam potrzeba!

– Nie mogę wkraczać w kompetencje pana komisarza – stwierdził oschle inspektor Braun. – Moim obowiązkiem jest jednak zwrócić panu uwagę, że pojawienie się pocztówki nie wprowadza niczego nowego. Ci, którzy przeświadczeni są o winie Richtera, nie zmieniają zdania.

Przeciwnie, utwierdzą się w przekonaniu, że tak drastyczne metody obrony są aktem rozpaczony ze strony Komitetu Obrony Wejherowa. Natomiast mniej radykalni zwolennicy Richtera, patrząc na dzieło pana Boschkego, mogą dostać odruchów wymiotnych i nieco zweryfikować swoje wcześniejsze sądy.

Rensch wstał zza biurka i zaczął nerwowo chodzić po całym gabinecie. Wreszcie podszedł do szafy, wyjął z niej pękata butelkę i nalał sobie kieliszek koniaku.

– Radzi pan ograniczenie się do rutynowych przesłuchań? – zapytał z lekką niechęcią w głosie.

– Jak najbardziej – ucieszył się Ignaz, widząc, że zapał komisarza zdaje się powoli gasnąć. – Mała pocztówka nie wywróci cesarstwa, a może w rezultacie ośmieszyć komitet. Część, niewielka mam nadzieję, jego zwolenników ucieszy się i zradykałizuje, ale większość będzie zniesmaczona. Radykałowie odsuną się nieco od reszty społeczeństwa, co doprowadzi do ich marginalizowania i narazi na pewien ostracyzm.

Dla komisarza racje inspektora były nie do końca przekonywujące. Jednakże fakt, że Braun był przysłanym ze stolicy pracownikiem prestiżowego wydziału, stanowił dla prowincjonalnego policjanta argument decydujący.

Za drzwiami gabinetu rozległo się pukanie. Komisarz ruchem głowy nakazał jednemu z posterunkowych otworzenie drzwi. Oczom obecnych ukazał się pan Wilibald

Wild, urzędnik starostwa. Był to człowiek średniego wzrostu, średniej tuszy, w średnim wieku, wprost stworzony na stanowisko urzędnika powiatowego średniego szczebla.

Komisarz i posterunkowi zdziwili się, widząc odmienionego pana Wilibalda. Zawsze spokojny i opanowany, a nawet, jakby powiedziała pani Irmgarda Wenders, „niepasujący na mężczyznę”, urzędnik jaśniał tym razem jakąś nadnaturalną łuną. Wyprostowany i wzruszony, obdarzył zgromadzonych subtelnym uśmiechem niepozbawionym wdzięku, zadziwiającym u pruskiego urzędnika wykonującego właśnie obowiązki służbowe. Zaczerpnął olbrzymi haust powietrza i rozpoczął przemowę.

– Mam niekłamany zaszczyt i niewypowiedziane szczęście przedstawić panu komisarzowi i jego znakomitemu gościowi, a za ich pośrednictwem całej społeczności miasta Wejherowa, list nadesłany z samego cesarskiego dworu.

Dzisiejszego dnia spadła na nas łaska Majestatu Najjaśniejszego Pana. Jego wysokość Wilhelm II – pan Wilibald Wild wziął głęboki oddech – dowiedział się o niesłychanej zbrodni, która miała miejsce w naszym mieście. Jak dobry i troskliwy ojciec, głęboko poruszony losem swoich dzieci, wyciąga do nas swoją mocną i pewną dłoń.

– Niechże pan wreszcie przejdzie do sedna... – wyrwało się przejętemu komisarzowi, który nie lubił długich mów.

Urządник przychylił się do prośby Renscha.

– Ma pan słuszość, komisarzu. Sam byłbym niecierpliwy w takiej sytuacji. Otóż Najjaśniejszy Pan wystosował do mieszkańców Wejherowa apel i zachętę do mężnego wytrwania pośród ciemności.

– Ma pan ten list? – Rensch odruchowo wyciągnął rękę w kierunku urzędnika.

– Oczywiście. Pan burmistrz Trauthan i starosta, pan hrabia Keyserlingk, jako pierwsi zapoznali się z treścią zaszczytnego pisma. Pan i jego gość poznają je jako trzeci.

Policjanci z napiętą uwagą śledzili powolne, majestatyczne gesty pana Wilda wyciągającego z solidnej czarnej teczki dużą kopertę. List napisany w kancelarii dworu cesarskiego godny był miejsca, z którego wyszedł. Czerpany papier, piękna kaligrafia, sucha pieczęć z dumnym orłem.

Taki oto skarb okazał zebranym urzędnik i tylko Ignaz ze spokojem przyjął widok owej relikwii. Inspektor widział w siedzibie stołecznej policji kilka pism sygnowanych przez kancelarię dworu i zawsze zastanawiała go

nabożna cześć, z jaką powszechnie traktowano cenne myśli cesarskich urzędników przelane na papier.

*Wielce Czcigodny Burmistrz Stawnego Miasta Wejherowa
Jaśnie Wielmożny Pan Starosta Powiatu Wejherowskiego*

My, Cesarz Niemiecki, pozdrawiamy z miłością społeczność prześwietnego miasta Wejherowa i szlachejnych ziem jego powiatu. Pamiętamy nieustająco o uczczeniu naszej osoby pomnikiem, pierwszym, jeśli nas pamięć nie zawodzi, w całych Prusach Zachodnich. Oddanie i wierność domowi panującemu i całemu państwu, okazywane przez miasto każdego dnia, znane są władzom i wysoko przez nie cenione.

Z tym większym bólem przyjmujemy wiadomość o niesłychanej potworności, jaka zaciążyła nad Wejherowem.

Państwo nasze nie może sobie pozwolić na tolerowanie zbrodni. Konieczne jest pokazanie zarówno przestępcy, jak i całej szlachejnej społeczności Prus Zachodnich, że prawo zawsze zwycięża. Niemcy są najbardziej światłym i cywilizowanym krajem Europy i dbać należy, aby takim pozostały.

Zbrodnia nie może paść cieniem na osiągnięcia naszego zjednoczonego Narodu. Pałace i zamki, huty, fabryki, szkoły i urzędy, domy handlowe, kościoły i łany zbóż, wszystko to jest pięknem niemieckiej ziemi. Występek i jego bezkarność nie mogą dłużej kazić tego skarbu, jaki dał nam dobrotliwy i łaskawy Stwórca.

Wiemy dobrze o podziw godnych usiłowaniach mających na celu dojście do prawdy. Praca znakomitych przedstawicieli policji, ofiarność społeczeństwa i w rezultacie współdziałanie obu

czynników godne są najwyższego szacunku. Z miłości do ładu społecznego, z miłości do obywateli obejmujemy niniejszym, wspólnie z panem ministrem sprawiedliwości, patronat nad mieszkańcami Wejherowa.

Ustanowiliśmy nagrodę w wysokości 20 tysięcy marek dla obywatela, który przyczyni się do wykrycia sprawcy okrutnej zbrodni popełnionej na niewinnym gimnazjaliście, młodej nadziei narodu niemieckiego. Nie wnikamy, kim będzie ów obywatel. Może nim być mężczyzna, kobieta, bogaty lub ubogi, policjant lub przedsiębiorca, rzemieślnik lub chłop. Każdy jest równy wobec prawa i każdy powinien mieć sumienie wrażliwe na ludzką krzywdę. Ufamy, że społeczeństwo miasta Wejherowa poradzi sobie z niebezpieczeństwem, jakie zawisło nad piękną i gospodarną pruską krainą.

My, z Bożej Łaski Cesarz Niemiecki, ślemy swemu ludowi pozdrowienia i zapewnienie o naszej stałej trosce i modlitwie. Myślimy nieustannie o losie swoich poddanych i Bogu Najwyższemu polecamy całe rozległe i potężne państwo, któremu mamy szczęście przewodzić w drodze ku ziemskiej pomyślności i wiecznej szczęśliwości.

Wilhelm von Hohenzollern, Cesarz Niemiecki

Pan Wild zakończył czytanie. Jeszcze tylko westchnienie komisarza i nastąpiła kilkusekundowa cisza. Pierwszy odezwał się posterunkowy Myszk:

- Dwadzieścia tysięcy marek! Przecież za to można kupić duży dom!
- Antonie! – oburzył się Rensch. – Najjaśniejszy Pan zaszczycił nas listem z odręcznym podpisem, a ty myślisz o pieniądzach...
- Przepraszam, panie komisarzu – posterunkowy spuścił głowę.

Ignaz wziął w obronę swojego współpracownika.

– Niech pan nie ocenia surowo podwładnego – zaproponował – skoro cesarz wspomniał o nagrodzie, jego słowa dotyczące sumy są tak samo święte i godne szacunku, jak pozostałe. To wynika z definicji monarszego majestatu – dokończył, przypuszczając słusznie, że tego rodzaju argumentacja najlepiej przemówi do komisarza.

– No tak, ale pieniądze nie są najważniejsze, liczy się praworzędność.

– Niech pan wytłumaczy to biedniejszej części społeczeństwa. Albo bogatszej, ona uważa się za jeszcze biedniejszą. Kiedy w okolicach Brühl zaczął grasować „Hans z Pałacu”, tak go nazywano, cesarz również przysłał pismo oznajmiające o nagrodzie. Tyle, że tam w grę wchodziła suma dziesięciu tysięcy marek, którą też uważano za zawrotną. Sprawcę wykryto. Wejherowo stanowczo zostało wyróżnione; jest to, według mojej wiedzy, największa nagroda w historii cesarskich Niemiec.

Komisarz, szybko zapominając o poprzedniej bezinteresowności, napuszył się jak paw. Spojrzał triumfalnie po obecnych i zaproponował panu Wildowi mały koniaczek.

– W tej sytuacji nie potrafię odmówić – odpowiedział uśmiechnięty urzędnik.

Po chwili każdy z obecnych trzymał w dłoni kieliszek z aromatycznym trunkiem szlachetnej barwy.

Wielkie byłoby szczęście komisarza Renscha, lecz mąciło je widmo pocztówek obrazujących zamordowanie Johanna przez Żydów. Wytrawnego policjanta martwiło też, że wysokość sumy wyasygnowanej przez ministra sprawiedliwości może przyciągnąć na komisariat tłumy fałszywych świadków gotowych do opowiedzenia niestworzonych historii w nadziei na przypadkowe odkrycie sprawcy. Taka fala żądnych atrakcji wejherowian ruszyła na komisariat już raz, w dniach zaginięcia Johanna i

znalezienia jego tułowia. Znowu będą się mnożyły donosy, niezrównoważeni obywatele nie dadzą spokoju i tak już zapracowanym policjantom. W dodatku ta przedłużająca się nieobecność chorego podkomisarza Makuratha, który potrafił jak nikt inny odciążyć komisarza swoją energią i entuzjazmem!

Z wolna na twarzy komisarza pojawiało się coraz bardziej widoczne zafrasowanie. Wkrótce pan Wild, przypomniawszy Renschowi o cotygodniowym posiedzeniu Towarzystwa Upiększania Miasta, opuścił gabinet i wtedy pan Rüdiger, co prawda po wypiciu piątego koniaczku, rozkleił się.

Mówił o zaszczycie, który może okazać się sporym utrudnieniem, o komitecie terroryzującym przyzwoitych obywateli, o obłożnie chorym podkomisarzu, o tym wreszcie, że sprawa Wendersa może być początkiem końca wieloletniej kariery jego, policjanta z dwudziestodziewięcioletnim doświadczeniem udokumentowanym wieloma imponującymi sukcesami. Wszyscy wiedzieli o sprawie gimnazjalisty. Wiedział sam cesarz, wiedział cały kraj.

Wreszcie zapłakany komisarz zasnął z głową na twardym biurku. Nikt już nie liczył koniaczków wypitych przez nieszczęśnika, obecni zdawali sobie jednak sprawę, że Rensch wypił za dużo. Posterunkowy Kandzorra został ze swoim przełożonym, natomiast Ignaz z Antonem wyszli na palcach z gabinetu.

– Biedny komisarz – zaczął Ignaz, kiedy świeże powietrze owiało obu mężczyzn. – Za bardzo cieszył się z listu, nie myśląc przez chwilę o pocztówce i konsekwencjach nagrody. Musiało wrócić do niego całe niebezpieczeństwo i wszystkie komplikacje nabrały demonicznych rozmiarów. Policjant powinien wystrzegać się emocji. Uleganie im zawsze prowadzi do kłopotów.

– Ja też byłem porażony listem – przyznał posterunkowy. – O mało nie zapomnielibym o bardzo ważnej sprawie. Kandzorra zdążył szepnąć mi, zanim komisarz pokazał pocztówkę z Lewinskym, że dzisiaj rano stawiała się w komisariacie panna Richter. Dopiero teraz została jej okazana chusteczka odesłana z Gdańska. Obejrzała ją dokładnie, nawet nie brzydziła się wziąć do rąk tego paskudztwa, ale powiedziała, że chusteczka nie jest jej własnością.

Braun nie odpowiedział.

Obaj policjanci udali się przez Rynek w stronę hotelu pana Alslebena. Tam rozdzielili się, ponieważ Anton spieszył w okolice Bramy Oliwskiej na oględziny domostwa pewnego grabarza oskarżanego przez sąsiadkę o kradzież trzech niosek, natomiast inspektor o godzinie piątej po południu oczekiwany był w pałacu. Hrabia Keyserlingk, starosta wejherowski, za pośrednictwem komisarza Renscha zaprosił Brauna na pogawędkę.



Z wizytą u hrabiego

Ignaz starannie zawiązał na szyi swój najlepszy krawat.

Żył w hierarchicznym społeczeństwie już ładnych parę lat i zdawał sobie sprawę, że wrażenie, jakie uda mu się zrobić na wpływowym przedstawicielu elity miasta, może mieć niezwykle doniosłe znaczenie dla przyszłości śledztwa. Graf Keyserlingk był nie tylko starostą, ale również właścicielem ziemskim. Jego przodkowie nie byli co prawda tak wrośnięci w tę ziemię, jak chociażby Krockowowie czy liczne rody osiadłe na zachód od Wejherowa, w stronę Lęborka i Słupska, niemniej dla mieszkańców okolicy prawne i zwyczajowe przywództwo Keyserlingków nad miastem i powiatem było od kilkadziesiąt lat czymś tak oczywistym, jak codzienny wschód i zachód słońca. Szły w powszechne zapomnienie czasy, kiedy po Jakubie Wejherze Radziwiłłowie i Sobiescy, na końcu Przebendowscy, patronowali kalwaryjskiemu miastu.

Dla inspektora, nawykłego podczas prowadzenia rozmaitych spraw do obcowania z przedstawicielami lokalnych elit towarzyskich i władz szczebla powiatowego, spotkanie nie zdawało się zapowiadać krępującym. Ignaz był ciekaw, co pruski szlachcic myśli o ludziach, których reprezentuje; starosta, dzięki piastowanej godności i z racji swojego pochodzenia, stał ponad wszystkimi piekarzami, rzeźnikami, lekarzami i

hotelarzami. Rozmowy z takim właśnie człowiekiem potrzebował berliński policjant.

Kiedy inspektor skręcił z Rynku w ulicę Klasztorną, jego oczom ukazał się pałac. Jasna elewacja ścian i ceglasta barwa dachówki pośród drzew i krzewów parkowych sprawiały korzystne wrażenie. Im bardziej Ignaz przybliżał się do pałacu, tym więcej rosła jego ochota na kilkugodzinny pobyt w murach posiadłości. Policjant z wielkiego miasta miał słabość do wiejskich i podmiejskich rezydencji, a pasjonująca lektura powieści pana Conan Doyle'a pogłębiła to zamiłowanie.

Po lewej stronie ulicy znajdował się dawny kościół klasztorny Św. Anny i Braun obiecał sobie, że w ciągu najbliższych dni odwiedzi świątynię. Tuż za kościołem stała Wyższa Szkoła dla Dziewcząt. Co do pensjonarek, Ignaz przyznał się sam przed sobą, że płonął się na widok dziewcząt wkraczających w dorosłość. Nie wiedział, jak traktować istoty niebędące już dziećmi, natomiast za młode, by okazywać im uwagę należną damom z towarzystwa.

Po tej samej stronie ulicy, w bezpośredniej bliskości majątku Keyserlingków, mieścił się browar. Myśli o zwiewnych dziewczętach i złocistym napoju nie zajmowały jednak w tej chwili głowy inspektora. Podziwiał pałac, z każdym krokiem bliższy i większy.

Mimo szarego przedwiośnia zabudowania pałacowe zdawały się w zachodzącym słońcu wesołe i Ignaz uśmiechnął się do siebie na myśl, jak miło byłoby mieszkać w takiej rezydencji. Zdawał sobie sprawę, że osoby należące do określonej sfery wcale nie są pozbawione kłopotów i trosk, był jednak przekonany, że są posiadaczami pewnego rodzaju rzadkiego szczęścia, którego prawdopodobnie nie potrafią docenić.

Lokaj w liberii ukłonił się przybyłemu z należnym szacunkiem. Zabrał kapelusz oraz rękawiczki Ignaza, po czym grzecznie poprosił, aby gość

spoczął w wygodnym fotelu stojącym w korytarzu przed gabinetem hrabiego. Na dworze szarzało. Kinkiety oświetlane gazem rozjaśniły korytarz. Wnętrze nie sprawiało zbyt imponującego wrażenia. Wzorzysta tapeta, kilka miniatur ukazujących scenki rodzajowe, skromna sztukateria z motywami roślinnymi.

W drzwiach rozgraniczających korytarz od gabinetu ukazał się gospodarz. Jego doskonale skrojony czarny surdut pozbawiony najmniejszej ozdoby znamionował prawdziwą elegancję. Szpakowaty starosta, odziany godnie i bez nuwoiyszowego zadęcia, sprawiał wrażenie człowieka sztywnego i pełnego zasad rządzących każdą chwilą życia jego i najbliższej rodziny.

Hrabia Henryk Keyserlingk z grzecznością, okazaną w stosownych do sytuacji proporcjach, przywitał gościa i zaprosił do gabinetu. Wnętrze zrobiło na Ignazu duże wrażenie. Ciężkie, ciemne regały wypełnione grubymi woluminami miały świadczyć o intelektualnych ambicjach rodu. Skórzane fotele i kolekcja cygar w misternie rzeźbionych pudełkach dopełniały całości.

Po wymianie grzeczności panowie zapalili wonne cygara. Kiedy kłęby dymu uniosły się w powietrze, inspektor mógł wreszcie dokładniej przyjrzeć się hrabiemu. Keyserlingk zdawał się nieprzenikniony. Zdawkowe zwroty wypowiedane przez gospodarza mogły być specjalnością domu podawaną każdemu gościowi.

– Dziękuję, zaaklimatyzowałem się w Wejherowie znakomicie – odpowiedział inspektor. – Podziwiam to miasto. Rozumie pan, drogi hrabio, u nas, w Berlinie, traktuje się z dystansem wszystko, co leży na wschód od stolicy. Łoży się na te ziemie niemałe fundusze, ale Niemiec z głębi kraju nie bardzo wierzy, że tutaj toczy się normalne, cywilizowane życie.

Tymczasem z dnia na dzień jestem pod coraz większym wrażeniem ludzi i całkiem przyzwoitej infrastruktury cywilizacyjnej.

– Miałem okazję obserwować ów berlinocentryzm – przytaknął hrabia.
– Wierzę jednak, że nasza praca zmieni pochopne sądy Zachodu o Prusach. Niestety, historia Wendersa „uczy” stolicę i resztę kraju, że tutaj panuje dzikość i zbrodnia. Zabójca przyniósł nam szczególny rodzaj rozgłosu, list otrzymany dzisiejszego przedpołudnia jest tego najlepszym dowodem.

Ignaz żywo zaoponował.

– Zbrodnie zdarzają się wszędzie. A nonszalancja stolicy? Problem leży w nieznamości specyfiki tej ziemi. Historia inaczej tutaj sobie poczyniała. Ludzie z zewnątrz dostrzegają odmienności i stąd wynika ich nieufność.

Z kolei bywa ona odwzajemniana przez mieszkańców Prus. Niewiedza również robi swoje. Ja sam, choć urodziłem się pod Poznaniem, niewiele wiedziałem o Prusach Zachodnich, a przecież obie krainy sąsiadują ze sobą; najczęściej miały wspólną historię.

Na twarzy Keyserlingka pojawił się cień. Starosta pokiwał głową i odezwał się z irytacją w głosie:

– Drogi inspektorze, pan również odróżnił wyraźnie Prusy Zachodnie od Niemiec. Fatalne pęknięcie. A ja nie życzę sobie, żeby Prusy odstawały od reszty kraju. Tutaj również są szkoły, poczty i pałace. Są fabryki, jest rzemiosło, są Niemcy! Ale ilekroć przyjeżdża ktoś z Zachodu, od razu mówi o różnicy. Na dodatek powiem panu szczerze, że Prusy Zachodnie rzeczywiście są odrębne. Czy sądzi pan, że w przeciwnym razie potrzebna byłaby działalność

Komisji Kolonizacyjnej? Tak samo na Śląsku i w okolicach Poznania. Są powiaty, w których działalność Ostmarkenverein jest absolutnie niezbędna. Ona i takie na przykład Dni Niemieckie to być albo nie być dla rozwoju świadomości narodowej wielu obywateli.

– Ogromnie współczuję panu hrabiemu. Zauważyłem jednak, że tutejsi Polacy boją się odezwać w swoim języku, muszę więc docenić ogrom starań, jakie władze wkładają w umacnianie niemczyzny.

Hrabia nie dosłyszał w słowach gościa nutki sarkazmu.

– Staramy się, a Bóg pozwoli, że zwyciężymy. Oni to nazywają Hakatą. Wiem, że w samym Berlinie nie wszyscy są zachwyceni działalnością związku. A przecież tyle pracy i tyle pożytku rodzi się każdego dnia. Stypendia dla młodzieży, akcje oświatowe, subwencje rolne! Najlepsi obywatele, energiczni i wykształceni. Adwokat Nowoczyn, doktor medycyny Liebert, redaktor Brandenburg. Pozna ich pan z pewnością.

Ignaz z coraz większym zainteresowaniem wpatrywał się w rozmówcę. Gospodarz zdawał się głęboko zaangażowany emocjonalnie w temat rozmowy. Pierwsze wrażenie okazało się więc mylne. Powłoka dostojnego chłodu opadła z twarzy Keyserlingka zadziwiająco szybko.

– Czy tutejsi Polacy są mocni?

– Z pozoru nie. Czytają sobie „Pielgrzyma” wydawanego w Pelplinie przez Kościół katolicki, „Gazetę Gdańską” i „Gazetę Grudziądzką”. Dwa ostatnie tytuły są jawnie antypaństwowe. Ale to nie wszystko. Pojawił się Związek Kółek Zarobkowych i Gospodarczych z Poznania, który otwarcie walczy z niemieckimi przedsiębiorcami. Wydarzeniem ostatnich miesięcy jest skład i bazar Merkury. Duży, dwupiętrowy dom niemal na tyłach ratusza! Otóż jest to towarzystwo handlowe z ograniczoną poręką, prowadzone przez panów Alfonsa Chmielewskiego i Leona Szulca. Czysto polska inicjatywa; handlują sobie towarami żelaznymi, przemysłowymi i kolonialnymi. Fundusze idą na podejrzane, antypaństwowe cele. Wolność gospodarcza panująca w naszym państwie jest stanowczo za daleko posunięta. Polacy trzymają się razem, co stwarza realne niebezpieczeństwo. Czy pan zdaje sobie sprawę, kto od kilkunastu lat wybierany jest w naszym

okręgu do parlamentu? Polak, Janta– Połczyński. Okręg czwarty, obejmujący powiaty wejherowski, pucki i kartuski wybiera Polaka! Z kolei nasz Arbeitsverein, prowadzony przez katolickich księży, ma niewielką siłę oddziaływania. Niech pan spojrzy na robotników. To niewielkie miasto, ale szczególnie robotników przybywa z każdym rokiem. I nic.

Niemiecki drobny przemysł? Nie tylko niemiecki... Przyjechał taki Paweł Pokora, założył fabrykę cygar i papierosów, zatrudnił ludzi. Przy okazji, smakuje panu cygaro?

Uśmiech na twarzy inspektora powiedział więcej niż wyszukana pochwała.

– A właśnie. To od pana Pokory. Pan Pokora dba o swoich robotników, a jakże. Samodzielna kasa oszczędnościowa i kasa chorych, sam pochwalam podobne inicjatywy. Niech pan jednak sobie wyobrazi, że właściciel założył dla nich bibliotekę i towarzystwo śpiewacze. Pieśni, które tam się śpiewa, jeżą włos na głowie. Książki w bibliotece należącej do fabryki są autorstwa takich ludzi, których nazwisk normalny człowiek nie potrafi wymówić.

– Mickiewicz, Kraszewski, Sienkiewicz... – odpowiedział Ignaz.

– Dziękuję! – ucieszył się hrabia, ale zaraz badawczo spojrzął na inspektora i dopiero po chwili uśmiechnął się. Przypomniał sobie, co o policjancie opowiadał mu komisarz Rensch.

„Pana hrabiego męczą te same myśli, co dyrektora Koenigsbecka – pomyślał Braun – tyle, że tamten jest urodzonym optymistą”.

– Mówiono mi, że zna pan język polski – zauważył Keyserlingk. – Słusznie, dobry policjant powinien operować jak najszerszym warsztatem.

– Staram się – Ignaz zgasił w popielniczce resztkę cygara. – Chciałbym teraz poprosić pana hrabiego o łaskawe podzielenie się ze mną swoimi cennymi spostrzeżeniami i przemyśleniami dotyczącymi zbrodni. Zdaje

sobie sprawę, że pan hrabia może nie znać szczegółów, ale wnikliwe naświetlenie sytuacji panującej w mieście może się okazać bezcenne dla śledztwa.

Słowa wypowiedziane nadzwyczaj poważnie i z niejakim namaszczeniem zrobiły na Keyserlingku dobre wrażenie. Hrabia zaniepokoił się chwilę wcześniej, że przybysz z Berlina może być w jakiś sposób związany z polskością.

Obawa gospodarza została zauważona i Braun zastosował jeden z wypróbowanych sposobów wzbudzania zaufania.

Subtelne pochlebstwo z reguły otwierało serce rozmówcy.

– Byłem wstrząśnięty zbrodnią – zaczął hrabia, który przedtem nalał gościowi i sobie kieliszeczek porto. – W Wejherowie takie sprawy jednak się nie zdarzały. Nasza rodzina od ponad stu lat żyje w tym pałacu i nie pamiętam, żeby ojciec czy dziad opowiadali o podobnym zdarzeniu. Mam problem, kiedy mój kilkuletni syn Archibald pyta o zabójstwo Wendersa. Jak mu wytłumaczyć...? Upadek obyczajów staje się widoczny. Przeczytam panu coś interesującego.

Starosta podszedł do regału i, szukając przez chwilę w pamięci, sięgnął po grubą, choć niewielkich rozmiarów książkę oprawioną w skórę. Usiadł w fotelu i dźwięcznym, metalicznym głosem przeczytał:

– Śmierć jest czymś pewnym, niepewny jest dzień jej przyjścia, a godzina nieznana nikomu. W roku 1649 Jakub Wejher, wojewoda malborski, i Anna Elżbieta, żona. Z pomocą Bożą odlał mnie Gerthard Benningk z Gdańska”. To jest napis na płaszczu dzwonu zawieszzonego kiedyś w kościele św. Anny. Dzisiaj dzwon wisi w farze. Wie pan, dlaczego przeczytałem ten stary tekst? Stosunek do nieuniknionej śmierci. Spokojny i godny. Nutka zrozumiałego napięcia, ale i pogodzenie się z

rzeczywistością ostateczną. Jak daleką drogę przeszliśmy od tamtych czasów?!

– Ale przecież jest druga strona medalu. Kraj rozkwita – zauważył zdziwiony pesymizmem grafa Ignaz i dotknął ustami rżniętego w kryształe kieliszka zawierającego gęste, czerwone wino.

– Ma pan rację, drogi inspektorze. Niemcy, a z nimi i Wejherowo, są u szczytu potęgi. Miasto pięknieje, unowocześnia się na chwałę Bożą. Siły patriotyczne mimo wszystko zdobywają przewagę. Na Rynku stoi pomnik

Najjaśniejszego Pana, a jego imieniem nazwano najurokliwszą ulicę miasta. Aleja Wilhelma, gdybym nie mieszkał w pałacu, chciałbym, aby właśnie tam stał mój dom. Ale widzi pan, ja lubię wyzwania. Kiedy wszystko układa się zbyt dobrze, zaczyna panoszyć się w mojej duszy niepokój. Co stanie się, gdy z Bożą pomocą wyplenimy stąd resztki odmienności i pozostałości po polskim panowaniu?

Kiedy produkt krajowy wzrośnie w dwójnasób, a to nastąpi w przeciągu dziesięciu lat? Jakie nowe wyzwania staną przed nami? Ludzie zaczynają się psuć, sprawa Johanna Wendersa może być pierwszym sygnałem. Społeczeństwo ma zbyt dobre warunki życia. Lękam się, że na własne życzenie, z poczucia nieskończonego w czasie dobrobytu, zaczniemy podcinać gałąź, na której siedzimy.

Zaczyna kwitnąć rozpusta, pleni się zbrodnia, nie szanuje się życia. Boimy się śmierci, a jednocześnie bagatelizujemy ją. Dowiedziałem się, że pan inspektor rozwiązał kilkanaście dużych spraw. Wspaniale, ale niech mi wolno będzie wyrazić zaniepokojenie, że ma pan tyle pracy. Kiedy naród dopiero wykuwał swój los i walczył z wrogami, nikt nie myślał o popełnianiu zbrodni. Teraz dostatek i stabilizacja produkują potworów. Kiedy lepiej się żyje, gwałtownie wzrasta liczba zbrodni. Niech pan zapamięta moje słowa.

– Pan hrabia nie utracił chyba miłości do ojczyzny i ludzi zamieszkujących tutejszy powiat?

– Nie, skądże. Wewnętrzne obawy i rozterki nie mogą mieć wpływu na służbę cesarzowi i jego poddanym.

Obowiązki starosty zajmują wiele mojego czasu. Dochodzi dbanie o parafię katolicką, ponieważ jako opiekunowie jesteśmy zobowiązani do pewnych działań. Fakt przynależności Keyserlingków do kościoła augsburskiego nie ma w tej sprawie większego znaczenia. Katolików jest więcej i nic na to nie poradzę. Zawsze byliśmy w mniejszości. Przecież świątynię ewangelicką mamy w Wejherowie dopiero od 1823 roku. Przy tym nie pochwalam tego, co władze zrobiły przed laty z nową siedzibą reformatów.

Dwadzieścia pięć lat temu konwent zamknięto, a zakonników przepędzono do lasu. Wolałbym, żeby katolicy dobrowolnie przekonywali się do prawdziwej wiary. Przymus jest dobry w sprawach politycznych, z religią bywa inaczej. Za to naszą dumą jest szkoła dla dzieci pracowników majątku; taka placówka kosztuje sporo zachodu i środków, ale satysfakcja jest wielka. Ja nie oddzielam losów mojej rodziny od losów tej ziemi. Gdyby pan chciał kiedyś zajść na rodowy cmentarzyk, zrozumiałby mnie pan doskonale. Leżą tutaj moi przodkowie. Na przykład Otto Henryk – jemu zawdzięczamy rozbudowę pałacu i wygląd w obecnym kształcie. Zbyt daleko odszedłem jednak od istoty naszej rozmowy. Ma pan słuszość mówiąc, że nie znam wszystkich szczegółów zbrodni. Czytałem jednak sprawozdania policyjne, rozmawiałem dwa dni temu z komisarzem Renschem. Muszę panu powiedzieć, że moje przypuszczenia wykraczają poza Richtera i Lewinsky’ego. To byłoby zbyt oczywiste i prostackie.

– A może po prostu pan hrabia przeczytał zbyt wiele powieści kryminalnych, jeśli wolno mi będzie posądzić łaskawego pana o takie

zamiłowania, i podświadomie odczuwa potrzebę rozwikłania tajemnicy wyrafinowanej zbrodni wykraczającej poza tradycyjne pojęcia i wyobraźnię powiatowej społeczności?

Na ustach Keyserlingka zagościł uśmiech. Napięcie opadło z gospodarza tak szybko, jak szybko pojawiło się przed kwadransem.

– Przypomniałem sobie anegdotę dotyczącą pewnego włoskiego księcia. Biedaczysko uwielbiał dźwięki mandoliny, a przed swoimi krewnymi od najmłodszych lat musiał popisywać się grą na violi da gamba. Uciekał od wysublimowanego instrumentu, zaszywał się na najwyższym piętrze wieży rodowego pałacu i grał, grał, grał.

Plebejskie dźwięki mandoliny sprowadzały porywczego ojca, który od nowa zmuszał młodego księcia do znienawidzonych ćwiczeń. Może rzeczywiście jestem takim ojcem dla wejherowian? Stanowczo uważam jednak, że przypuszczenia i oczekiwania mieszkańców powiatu są zbyt szablonowe i pozbawione wyobraźni. Gdzie tutaj zmysł analityczny? Gdzie synteza? Gdzie odrobina wysiłku?

– Wobec tego, jakie są pana podejrzenia? – zapytał

Braun, bacznie wpatrując się w twarz hrabiego, kryjącą się za gęstymi kłębam dymu.

Uśmiech ponownie pojawił się na twarzy gospodarza.

Graf wstał i podszedł do okna. Zaczął wpatrywać się w ciemności otaczające pałac.

– Mój umysł brodzi w ciemnościach. Nie usłyszy pan inspektor ode mnie żadnych osądów i przypuszczeń. Nie mam skądinąd prawa do wygłaszania takich sądów. Myślę jednak, że Richter prędzej wysłałby córkę do jakichś krewnych w głąb Rzeszy niż zabił winowajcę. Rzeźnik miał za dużo do stracenia. Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że jego wina zostanie dowiedziona. Pan nie wie, jak ciężko ten człowiek pracował przez

kilkadziesiąt lat, aby dojść do dzisiejszego znaczenia. Nie, potem w konsekwencji musiałby zabić Annę, ponieważ kochają i nie zniósłby, aby do końca życia słyszała za plecami, że jest córką mordercy! Cierpiałaby ona, ucierpiałby też jego prestiż. Jest o nią zazdrosny, ale duma z osobistych osiągnięć i miłość własna są dla Richtera najważniejsze. Zabójstwo Johanna byłoby zbyt nieopłacalne.

Trwająca kilka sekund cisza została przerwana pytaniem inspektora o podejrzenia dotyczące Lewinsky'ego i Konitzera.

– Skłamałbym, mówiąc, że pałam jakąś nadmierną sympatią do Żydów, ale bajki o macy, w której znalazła się krew Wendersa, powinny być poniżej godności mieszkańców Wejherowa. Natomiast słyszałem, że plotkuje się w mieście na temat romansu gimnazjalisty z żoną lub którąś z synowych starego Lewinsky'ego. Odpowiem tak samo, jak przed chwilą, gdy rozpatrywałem problem winy Richtera. Zbyt wiele do stracenia! Żydówka, w dodatku bogata Żydówka, mogłaby zrujnować sobie całe życie, wiążąc się z młodzieniaszkiem, w dodatku gojem. Takich grzechów Żydzi nie wybaczą. Stracona pozycja społeczna – tak, ale i ostracyzm w obrębie rodziny, prawdopodobnie wygnanie z domu. Taki romans nie mógłby się utrzymać w tajemnicy. Wenders prędzej niż później pochwaliby się komuś tak szczególną zdobyczą. Na temat chusteczki z inicjałami Johanna wiem tyle, co każdy obywatel. Chusteczka stanowi wyzwanie dla pana inspektora.

Ignaz z pewną sympatią spojrział na rozmówcę.

– Gratuluję przenikliwości, panie hrabio. Pańska analiza charakteryzuje się podziwu godną logiką. Niestety słabością naszą jest, że obaj nie do końca tkwimy w środowisku, o którym mowa. Pan hrabia jest starostą, dziedzicem znakomitego nazwiska, ja jestem przybyszem z dalekiego świata.

Jakie emocje kłębią się w głowach kupców i ich służących, klientów tychże kupców i wszystkich, którzy chodzą tutejszymi ulicami? Muszę szukać po omacku i mam świadomość, że wiele tropów może okazać się fałszywymi.

Niespodziewanie dla samego siebie gospodarz podszedł do Brauna i uściskał go serdecznie. Po raz drugi napełnił kieliszki.

– Przepraszam za niestosowną wylewność, ale tak bardzo chciałbym, żeby pan inspektor odkrył mordercę!

Męczy mnie cała ta sytuacja. Jestem starostą i odpowiadam za każdy problem zajmujący tutejszą społeczność.

Niech mi pan powie, jest pan zadowolony z warunków, jakie stworzono mu w naszym mieście?

– Znajduję się pod nieustannym wrażeniem gościnności. Hotel, jaki mi zaproponowano, spełniałby najbardziej wyrafinowane zachcianki. Na szczęście – Ignaz uśmiechnął się – nie mam takowych. Kuchnia wyborna, w pokoju ciepło. A ja uwielbiam ciepło. Mam wrażenie, że komisarz Rensch zrobiłby wszystko, aby ułatwić mi wykonywanie obowiązków. Muszę też pochwalić posterunkowego przydzielonego mi jako asystenta. To bystry młody człowiek.

– Jakże on się nazywa? – zainteresował się hrabia.

– Anton Myszk.

– Jego żona jest, zdaje się, Polką? – brzmienie głosu

Keyserlingka zdradzało pewne napięcie.

– Nie jestem zainteresowany żoną posterunkowego – uśmiechnął się inspektor. – Najważniejsze, że Myszk służy mi nieocenioną pomocą.

– No tak, ma pan rację, to jest ważne.

Ignaz zdawał sobie sprawę, że wizyta u hrabiego nie może trwać dłużej niż półtorej godziny. Staroście, który lubił wiedzieć wiele, rozmowa z

berlińskim gościem dostarczyła niemałej wiedzy na temat postaci śledczego i jego spostrzeżeń. Kiedy Braun opuścił pałac, graf pospieszył do żony, aby czym prędzej zrelacjonować spotkanie z wysłannikiem stołecznego Wydziału Zabójstw. Leżąca na szezlongu hrabina z niecierpliwością oczekiwała odwiedzin męża.

W saloniku hotelu pana Alslebena siedział posterunkowy Myszk. Na widok Ignaza podniósł się energicznie z fotela. Obaj panowie udali się na piętro do pokoju inspektora.

– Muszę się przyznać, drogi Antonie, że zamieniłem z panem hrabią kilka słów na twój temat.

Na twarzy posterunkowego odmalowało się pełne napięcia oczekiwanie.

– W samych superlatywach odmalowałem staroście twoją postawę. Lojalnie informuję cię, że wielce szanowny graf wyraził zaniepokojenie świadomością narodową twojej żony, chociaż nie przewidywałem żadnych reperkusji.

– Matko Boska! – przeraził się Myszk.

– Posterunkowy, przywołuję was do porządku – zagrzemiał Braun. – Zapewniłem hrabiego, że nie dostrzegam problemu.

– Chwała Bogu, panie inspektorze... Tak bardzo nie chciałbym stracić pracy. Polak na stanowisku policyjnym nie jest pożądany i często boję się o swój etat. Gdyby nie komisarz Rensch... Wiele mu zawdzięczam.

– Proszę zachować spokój. Przecież i ja mam jakieś stosunki w Berlinie. Ufajmy zresztą, że pan hrabia bezwiednie wspomniał o twojej żonie. Swoją drogą, gdzie on usłyszał o pani Anastazji?

Anton nie odpowiedział, ale nieco się uspokoił. Wziął głębszy oddech i zapytał o rezultaty rozmowy z Keyserlingiem. Kilkanaście minut relacji ze spotkania pozwoliło Myszkowi na ukojenie skołatanych nerwów.

– Drogi panie posterunkowy – zakończył oficjalnie Ignaz – niniejszym pragnę pana uroczyście poinformować, że jutrzejszy dzień spędzę w siedzibie policji rejencji gdańskiej. Muszę prześledzić tamtejsze archiwa. Nie opuszcza mnie poczucie, że usłyszałem dzisiaj coś bardzo ważnego. Opasłe tomy akt, teoria statystyczna, która niespodziewanie przechodzi w praktykę, analogia, która odkrywa nam naszą własną prawdę. Tego właśnie potrzebuję.

Kiedy prowadziłem sprawę diakonisy z Drezna, lektura akt dotyczących zupełnie innych zbrodni naprowadziła mnie na właściwy trop, chociaż już przedtem mglisty zarys prawdy kołatał się po mojej głowie.

– Spotkamy się więc w czwartek? – upewnił się Anton.

– O tak. Jutro przyjadę do Wejherowa ostatnim pociągiem i nie przypuszczam, żeby mój umysł gotowy był jeszcze do wykonania jakiegokolwiek merytorycznej czynności.



Konkurencja.

Kiedy posterunkowy Myszcz z nieco lżejszym sercem opuścił pokój inspektora, ten sięgnął po niewielkich rozmiarów skoroszyt w skórzanej oprawie.

Przez chwilę wertował zapisane wcześniej kartki. Podniósł ze stolika pióro, umoczył je w kałamarzu, umieścił na niezapisanej przestrzeni skoroszytu kilka uwag. Potem odsunął firankę, spojrzął przez okno w granatowe niebo ozdobione gwiazdami i szybkim ruchem nałożył płaszcz.

Starannie opatulił się szalikiem, spojrzął w lustro na kapelusz nasunięty zbyt nisko na czoło, poprawił go, po czym szybko wyszedł z hotelowego pokoju.

Z zimnym powietrzem i wieczornym mrokiem osobliwie kontrastowała emanująca ciepłem, jasno oświetlona wystawa piekarni Wenera Langego, prosperującej nieopodal firmy Wendersa. Zdawało się, że sklep jest jeszcze otwarty. Na kryształowych paterach zdobionych wymyślnymi motywami roślinnymi pyszniły się, tak jak u konkurenta, rozmaitych kształtów precelki, rumiane lub jasne bułeczki oraz apetyczne ciasteczka. Dookoła nie brakowało dużych, okrągłych bochnów i prostokątnych razowych chlebków. Nad owymi cudami sztuki piekarniczej wisiała beżowa tabliczka, na której brązowe litery ułożone w napis „Guten Appetit!” zachęcały

klientów do odwiedzenia sklepu. Ignaz z nieukrywaną sympatią obejrzał firmowe wypieki pana Langego, otworzył kopertę zegarka, przetaił okulary, wreszcie uchylił drzwi prowadzące na podwórko.

– A czegoż to pan winszuje sobie o tak późnej porze? – zapytała starsza, korpulentna kobieta z burzą siwych włosów na wielkiej głowie.

– Proszę o wybaczenie jakże niestosownego najścia – nieśmiało odparł Ignaz. – Inspektor Braun ze stołecznego Wydziału Zabójstw. Zastałem pana Langego?

– Boże drogi! – kobieta załamała ręce. – Mówiłam mężowi, żeby nie mieszał się do sprawy Wendersa. Trudno, stało się, może tak musiało być. Proszę, proszę do środka. Werner jest u siebie. Ma gościa. Proszę na górę.

Skrzypiące schody zaprowadziły Ignaza na obszerny strych, będący, według słów gospodyni, królestwem pana domu.

– Werner bardzo lubi swój pokój, przesiaduje tam wieczorami, oczywiście wtedy, gdy dopilnuje już przygotowań do nocnego wypieku.

Kiedy pani Lange zapukała delikatnie do drzwi i z wewnątrz usłyszała ciche „wejdz”, uśmiechnęła się, nacisnęła klamkę i wprowadziła inspektora do środka. W półmroku Ignaz zdążył dojrzeć niemal ascetyczne wnętrze pomieszczenia. Na widok Brauna od stołu jak na zawołanie poderwało się dwóch mężczyzn. Jeden z nich, niski, krępy, łysiejący mieszczanin z krótkim wąsikiem, mający około sześćdziesięciu lat, ubrany bardzo skromnie, spojrział na intruza pytającym wzrokiem. Potem obrócił głowę w stronę swojego towarzysza i nie potrafił powściągnąć zdumienia.

Patriarchalna broda gościa zatrzęsała się bowiem, drżąca ręka upuściła na gruby dywan kielich z resztką wina.

– Pozwoli pan, że się przedstawię. Obecny tu pan Lewinsky poznał już moją skromną osobę...

– Inspektor Braun – wyszeptał rzeźnik.

– We własnej osobie. Mam nadzieję, że liczył się pan – Ignaz zwrócił się do Langego – z nieuchronnością mojej wizyty, chociaż pora, przyznaję, nieco niestosowna.

Pojmuje pan jednak wybornie, że praca policjanta nie polega na siedzeniu za biurkiem w określonych godzinach.

Skoro jednak nie ubrał pan jeszcze koszuli nocnej i szlafmycy, w dodatku przyjmuje gości, ufam z pokorą, że zostanie mi wybaczone niespodziewane najście.

– Ależ drogi panie, jak pan może mieć jakiegokolwiek obiekcje! Jestem zaszczycony! – powiedział otrzeźwiający już piekarz. – Niech pan raczy spocząć. Wina? Może kawy lub filiżankę kakao? Nie jesteśmy zbyt bogaci, ale skromny poczęstunek zawsze się znajdzie. Żona chętnie przyniesie coś pokrzepiającego. Wieczory są jeszcze takie zimne...

– Dziękuję, w hotelu dbają o mnie – Ignaz uśmiechnął się do stojącej w drzwiach pani Lange.

Kobieta oddała przybyszowi życzliwy uśmiech i cicho wyszła z pokoju, zamykając za sobą skrzypiące drzwi.

– Drogi panie Lewinsky, dlaczego przeraził się pan na mój widok? Jest pan tu przecież gościem. Może pan, a nawet powinien, pozostać z nami. Nie jestem wiceprzewodniczącym komitetu Paula Bruhna ani nikim równie drapieżnym. Nie należy się mnie obawiać.

– Niespodziewany gość zawsze przynosi chłód i niepewność, obojętnie, kto on jest – sentencjonalnie odparł rzeźnik i pogładził się dłonią po wydatnym brzuchu. – Ale ja wiem, pan inspektor jest dobry człowiek, pan inspektor nie zrobi krzywdy staremu Żydowi.

– Jeśli tylko on sam nie będzie zachowywał się podejrzanie – Ignaz spojrzał badawczo w małe oczy starego Żyda.

Lewinsky wzniósł niemą skargę do nieba. Potem usiadł wygodnie na krześle i czekał na rozwój sytuacji. Gospodarz zachowywał się zgoła inaczej.

– Stanowczo nalegam, może pan inspektor jednak życzy sobie filiżankę czegoś gorącego...?

– Przejdźmy od razu do konkretów. Pora późna; panowie, jako ludzie czynu, z pewnością od najwcześniejszych godzin na nogach.

– Prawda, człowiek uwija się cały boży dzień – skwapliwie potwierdził pan Lange. – Rozumiem, że będzie pan chciał zapytać o wiadomą sprawę. Były między mną a starym Johannesem, to znaczy panem Wendersem, pewne nieporozumienia, całkiem naturalne, jeżeli weźmie się pod uwagę, że nasze firmy prawie sąsiadują ze sobą...

– Proszę się nie tłumaczyć – przerwał piekarzowi rozbawiony inspektor. – Konkurencja w zasadzie nie jest niczym nagannym.

– Przepraszam stukrotnie – skulił się Lange. – Musiałem o tym wspomnieć.

– Wiem mniej więcej, jak mogą wyglądać stosunki między dwoma piekarzami o ustalonej renomie w niewielkim mieście. Walka na śmierć i życie, choć wydawałoby się, że stabilny rynek jest od dawna podzielony.

Werner Lange pobladł. Sięgnął do stojącej na dębowym stoliku staromodnej karafki, nalał wody do niewielkiej szklaneczki i szybkim ruchem wychylił zawartość.

Twarz rzeźnika pozostawała nieruchoma.

– Na śmieć i życie?! Co pan inspektor sugeruje, na Boga! Ja miałbym zabić biednego Johanna?

– Skąd takie przypuszczenie? – świętym oburzeniem zareagował inspektor. – Sugeruję coś przeciwnego. Wyrażam swój głęboki podziw dla pana postawy moralnej. Chciałem właśnie przejść do jawnej pochwały,

choć jako policjant powinienem powstrzymać się przed wyrażaniem osobistych opinii. Nie każdy konkurent zdecydowałby się na zawieszenie broni, nawet w sytuacji tak ostatecznej. Zachował się pan wielkodusznie, a ja z czystej ludzkiej ciekawości chciałbym się dowiedzieć, jak dochodzi się do takiej doskonałości duchowej...

– Nie wiem teraz – odpowiedział po namyśle zdezorientowany piekarz – czy pan żartuje sobie ze mnie, czy też mówi poważnie. Wiem jednak, że muszę odpowiedzieć na pytanie.

– Ponad wszelką wątpliwość – Ignaz ucieszył się z domyślności rozmówcy.

– Czy ja, jako osoba bezstronna, mógłbym wtrącić słówko w rzeczonyj sprawie? – odezwał się Lewinsky.

– Nieco cierpliwości, porozmawiamy za chwilę. Skoro niespodziewany los zdarzył, że zastałem tu pana, proszę być spokojnym, nie mógłbym zapomnieć o tak szacownym obywatelu. Tymczasem, drogi panie Lange, proszę o odpowiedź. Śmiało, jestem tu w jak najlepszych intencjach.

– Sam nie wiem, kiedy odczułem potrzebę dopomożenia Wendersowi. Może wtedy, gdy wpadłem na niego w połowie drogi między naszymi piekarniami – Lange nerwowo przygryzł rzadkiego wąsa – i zmartwiałem. Stał z rozwianym włosiem i błędnym spojrzeniem. Dziki uśmiech rozpaczy wędrował między kącikami ust. „Nie ma go, Werner – powiedział – Nie ma mojego syna!”. Dzień po zaginięciu zacząłem towarzyszyć Wendersowi. Wie pan inspektor zapewne, że schodziliśmy całe Wejherowo.

Ignaz wyjął z teczki cygaretkę. Błyskawiczne, mimo tuszy i wieku, sięgnięcie rzeźnika do własnej kieszeni uprzedziło gest policjanta; Lewinsky usłużył Braunowi zapaloną zapalką.

– I to pan znalazł w rozlewisku nad młynem fragmenty ciała gimnazjalisty – powiedział Ignaz do Langego, zaciągając się wonnym

dymem.

– Całe szczęście, że wpadłem na pomysł przeszukania tego miejsca. Johannes odchodził już od zmysłów. Taka niepewność jest gorsza od rozpacz. Był też wyczerpany fizycznie. Nic nie jadł, nie pił, nie spał prawie wcale. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie cieszyłem się, że znaleźliśmy zwłoki, ale takie napięcie było już nie do zniesienia.

Musiało wydarzyć się coś rozstrzygającego.

– Wydarzyło się więc jak na zawołanie; jakby niebiosa ulitowały się nad zmęczonymi poszukiwaczami. Zawsze należy ufać Opatrzności... Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy poprzednie nie najlepsze stosunki między panami miały podłoże wyłącznie ekonomiczne?

– W zasadzie tak – odparł coraz bardziej zdezorientowany zachowaniem inspektora Lange i spojrzął na zakurzoną szafę stojącą w kącie. – Chociaż moja niechęć do niego wzięła swój początek z czegoś innego. Poślubił przed laty kobietę, na której mi zależało. Zmarła zresztą wkrótce potem, a ja jestem do dzisiaj szczęśliwy z moją żoną. Szybko zapomniałem o pierwszej przyczynie naszej rywalizacji. Tamte wspomnienia zostały wyparte przez zwyczajną walkę o chleb.

– W sensie dosłownym – uśmiechnął się Ignaz.

– Tak. Ma pan rację – melancholijnie potwierdził Lange. – Musiałem stosować różne sposoby, aby ludzie kupowali u mnie, tak samo robił Wenders. Trzeba zresztą przyznać, że nasze wyroby były porównywalnej jakości.

Niektórzy klienci wyraźnie podzielili się na zwolenników Wendersa, inni przychodzili tylko do mnie. Trzeciej grupie, chyba największej, było obojętne, u kogo kupują pieczywo. O wszystkie grupy należało stale walczyć. To prowokowało nas do ciągłej konkurencji. Niech pan zauważy, że obaj jesteśmy ludźmi o takim samym pochodzeniu.

Przyjechaliśmy z głębi Niemiec, jesteśmy ewangelikami i patriotami, linia podziału nie przebiegała więc wzdłuż jakichś spraw politycznych i narodowych. Zwykła sympatia i gusta kulinarne, często osobiste znajomości powodowały, że ludzie decydowali się na kupowanie w mojej lub jego piekarni. Powiem jeszcze, że zaopatrywaliśmy się w mąkę najczęściej w tym samym młynie.

– Którym?

– U pana Biangi. To najlepszy młyn w całym mieście.

Żaden z nas nie pozwoliłby sobie na korzystanie z surowca gorszej jakości.

– Konkurencja... – szepnął Ignaz.

– Konkurencja – potwierdził piekarz.

Inspektor nie zastanawiał się długo nad słowami pana Langego. Odwrócił głowę w stronę siedzącego spokojnie rzeźnika.

– A pan, panie Lewinsky, raczy się smacznym, jak sądzę, winem w domu konkurenta Johannes Wendersa.

– Pan mówi, że się raczę. Ja nie mogę zaprzeczyć, że się raczę, ale czy to jest grzech? Czy to jest zabronione?

– Chciałbym tylko zauważyć, że Wenders mógłby odebrać ten fakt jako opowiedzenie się po stronie konkurenta. Kupuje pan pieczywo u pana Langego?

Rzeźnik swoim zwyczajem wniósł oczy pełne skargi do nieba, po czym z wyrzutem odpowiedział:

– Jak można zadawać takie pytanie? Jeśli odpowiem, że kupuję u pana Langego, będę od razu posądzony o nieprzyjaźń wobec biednego Johannes. Jeśli powiem, że kupuję u Wendersa, powie pan, że mi nie wierzy, a poza tym zrobiłbym przykrość drogiemu panu Langemu.

– Najlepiej powiedzieć prawdę. Takie niewinne pytanie...

– Ale odpowiedź nie jest łatwa. W mojej rodzinie występuje podział. Część z nas korzysta z usług jednej, część z drugiej piekarni.

Rozumiem – beznamiętnie podsumował Ignaz. – Czy panowie się przyjaźnią?

Zalękniony piekarz i skupiony rzeźnik wymienili krótkie spojrzenia. Nie bardzo wiedzieli, jak odpowiedzieć na pytanie Brauna.

– Śmiało, proszę mówić.

– Panie inspektorze, panie inspektorze! – odezwał się wreszcie Lewinsky. – Czy wszystko trzeba od razu nazywać? W Wejherowie wszyscy się znają, Żydzi i goje, z przeproszeniem pana inspektora. Ja sam byłem kilka razy w domu Wendersa. Konkretnie dwa razy. Obaj z panem Lange jesteśmy przedsiębiorcami, obaj solidnymi przedsiębiorcami, mamy wspólne tematy, ważne i mniej ważne tematy, czasami spotykamy się na filiżance kawy.

– Nie mam nic więcej do dodania – potwierdził piekarz. – Zwyczajna znajomość, zwyczajne rozmowy.

– Mówicie panowie często o zabójstwie Johanna?

Proszę nie zaprzeczać.

– Tak – potwierdzili obydwaj równocześnie.

– Jakże się cieszę. Poproszę o szczegóły.

– Muszę rozczarować pana inspektora – zaczął Werner Lange. – Wymieniamy powszechnie znane wiadomości, niezbyt przecież konkretne. Nie przeczę, nie unikamy ploteczek, bo i one pojawiają się na poczekaniu każdego dnia. Myślę, że takich samych rozmów można posłuchać w każdym domu.

Ignaz zaoponował.

– Nie w każdym domu mieszka ten, który znalazł fragmenty ciała gimnazjalisty i całe życie kłócił się z jego ojcem. Nie w każdym z kolei

domu mieszka człowiek, którego pewne środowisko oskarża o zabójstwo. Dlatego tak bardzo ciekawią mnie rozmowy łaskawych panów.

– Opowiadałem panu Lewinsky’emu o poszukiwaniu i znalezieniu ciała; to wszystko, jeśli chodzi o konkrety.

– Dziękuję i za taką odpowiedź – słodkim głosem odpowiedział inspektor. Zamyślony Lewinsky przyjrzał się upuszczonemu na początku rozmowy kieliszkowi. Przetarł go dłonią, napełnił resztką wody z karafki i podniósł do ust.

– Może pan wyświadczyć mi tę łaskę i zostawić sam na sam z panem Lange? – zwrócił się Braun do rzeźnika.

Zaskoczony obrotem sprawy Lewinsky z wahaniem podniósł się z krzesła, którego sprężyna odezwała się cichym jękiem. Uścisnął serdecznie dłoń gospodarza i ledwie dostrzegalnie skłonił się inspektorowi.

Po wyjściu gościa Lange lekko spojrzał na rozmówcę.

– Pan Lewinsky, jak sędzę, obraził się na mnie. Cóż, taka widać niewdzięczna rola policjanta. Skoro zostaliśmy sami, proszę mi łaskawie powiedzieć, co robił pan w dniu zaginięcia Johanna?

– Ja? – zapytał zdziwiony piekarz.

– Pytania nie skierowałem do siebie, ponieważ ja akurat byłem wtedy w okolicach Frankfurtu i nie wiedziałem jeszcze o istnieniu młodego Wendersa.

– Przepraszam, tak rzadko rozmawiam z przedstawicielami policji – usprawiedliwił się Lange. – Jestem przejęty. Oczywiście dokładnie nie mogę sobie przypomnieć godziny po godzinie. Czas biegnie szybko. My z żoną prowadzimy bardzo spokojne życie. Każdego dnia, jeszcze przed świtem, jestem na nogach. Biegam do piekarni, pilnuję dwóch czeladników i sprzedawczynie. Rozmawiam ze stałymi klientami, bo są najlepszym kapitałem i warto w ich inwestować swój czas. Co dwa, trzy dni zaglądam

do młyna, o godzinie piętnastej pozwalam sobie na skromny obiad. Po obiedzie wypalam małe cygaro i idę na spacer. Chodzę ulicą Lęborską, zaglądam na Rynek, wracam i ucinam sobie małą drzemkę. Muszę pospać, bo potem o dwudziestej drugiej schodzę do piekarni i przez dwie godziny pilnuję wypieku przeznaczonego do sprzedaży na godziny poranne.

– I tak od poniedziałku do soboty?

– Nie tylko, ponieważ w niedzielny wieczór powtarza się pilnowanie nocnego wypieku na poniedziałek. W niedzielę idę z żoną na nabożeństwo, potem czytam gazetę i jem obiad. Po obiedzie mała drzemka.

– A Johann? Naprawdę nic pan nie pamięta?

– Dzień jak co dzień, sam pan inspektor rozumie. Żona, czeladnicy i młynarz mogą potwierdzić, że mój czas wypełniony był tym, czym zawsze. Pierwsze od lat zakłócenie zwykłego trybu życia dokonało się w czasie poszukiwań.

– Żyją państwo bardzo skromnie – powiedział Ignaz, starając się nie patrzeć na mniej niż skromne umeblowanie i wyposażenie pokoju.

– Oczywiście – chętnie potwierdził piekarz, z ulgą przyjmując zmianę tematu rozmowy. – Nie lubimy afiszować się niewielkimi oszczędnościami, jakie przez lata pracy udało się nam zgromadzić. To zgorszenie, kiedy człowiek co dziesięć lat „musi” zmieniać meble albo zatrudniać droższą pokojówkę. Zdrowe ręce dwojga ludzi mogą wiele i my nie widzimy potrzeby zatrudniania osoby do pomocy w domu. Taka pani Wenders, na przykład, stroi się ciągle, a mąż musi za wszystko płacić. W dodatku młoda służąca! Za moich czasów kobiety były skromniejsze.

– Nigdy nie odczuwają państwo tęsknoty za odrobiną zbytku?

– Nie... Jeśli człowiek od najmłodszych lat nawykł do dyscypliny i oszczędności, do końca swoich dni pozostanie wolny od nowomodnych dziwactw.

Ignaz nie mógł nie przyznać racji gospodarzowi. Piekarz i jego żona dobrali się jak w korcu maku i widać było, że przez całe życie ich umiłowanie oszczędności pogłębiało się. Pokój Langego tak znacznie różnił się od pokoju pani Irmgardy, że postronny obserwator miałby kłopot z uwierzeniem, że obydwa pomieszczenia są fragmentami domów piekarzy o podobnym statusie materialnym.

– Czy skromność tego pokoju jest charakterystyczna również dla pozostałych pomieszczeń pańskiego domu?

– Oczywiście – powtórzył z zadowoleniem piekarz.

– Jakże mogłoby być inaczej?

– I to nie pan zamordował Johanna Wendersa? – od niechcienia rzucił inspektor.

– Co za pytanie! – gwałtownie odparł Lange. – Chciał pan, żebym w zamyśleniu powiedział coś nierozsądnego? Mógłbym tak zrobić, gdybym był winny, ale przecież pan inspektor chyba nie podejrzewa... Dlatego tylko, że Wenders jest moim konkurentem, miałbym zabić jego jedyne syna? Sam jestem bezdzietny i dlatego lepiej niż inni wiem, jaki to skarb: posiadać spadkobiercę. To nie był dobry chłopak, wie pan inspektor o tych pogłoskach na jego temat, ale zabić? Nigdy!

– Idąc tokiem takiego rozumowania, zapytam, czy w takim razie pan Lewinsky, który ma wiele dzieci, łatwiej mógłby dokonać zabójstwa?

– Josef? – zaśmiał się piekarz. – On też nie. Kocha dzieci, nie tylko swoje. Rozpieszcza pociechy klientów i często daje jakiemuś malcowi cielecą paróweczkę albo leberkę. Mógłby zabić muchę albo tucznika, ale rzeźnik nie musi być od razu mordercą. Gdzie tu zresztą powód?

Pan Lange nachylił się w kierunku Ignaza.

– Proszę mnie uważnie posłuchać...



Przygotowania do świąt

Niezwyczajny ruch panował czwartkowego poranka w całym mieście. Ignaz, chociaż niewyspany, wstał o godzinie szóstej. Nigdy nie rozumiał ludzi wylegujących się w łóżku dłużej niż wymagało tego niezbędne minimum snu. Wyjrzawszy przez okno, zobaczył grupki ludzi i pojedynczych przechodniów idących w stronę Rynku. Kobiety z dziećmi, mężczyźni częstujący się papierosami, wszyscy zdążali na przedświąteczne zakupy.

Nie mieli świadomości, że burmistrz Trauthan o mało nie wprowadził w mieście stanu wyjątkowego.

W gdańskiej siedzibie policji Ignaz dowiedział się poprzedniego dnia, że po ekscesach pod domem Lewinsky'ego, sprowokowanych przez członków komitetu, i próbie podpalenia synagogi burmistrz konsultował się z władzami rejencji w sprawie wyprowadzenia na ulice patroli wojskowych.

Stacjonująca na terenie Wejherowa landwehra, w ramach królewskiego okręgu obrony krajowej zorganizowana w dwie kompanie 1. batalionu 8. Pomorskiego Regimentu, znajdowała się już w fazie mobilizacji. Przewidziane były kilkusobowe patrole czuwające na większych ulicach miasta, planowano rygorystyczne sprawdzanie dokumentów osób

niepewnych oraz rewizje w podejrzanych mieszkaniach i lokalach. Bezpośrednie niebezpieczeństwo dla porządku publicznego minęło, ale sztab jednostki nadal utrzymywał pogotowie.

Burmistrz bez żadnego problemu uzyskał zgodę władz rejencji i lokalnego kierownictwa wojskowego na ewentualną akcję. Oficerowie z Gdańska wręcz ucieszyli się z możliwości wykazania się energią i stanowczością. Mówili, że żołnierz w czasach pokoju rdzewieje i najwyższy już czas, aby jego umiejętności sprawdzić w praktyce.

„Tymczasem stare, dobre Prusy mogą świętować jak co roku” – pomyślał Ignaz i nie bez sympatii patrzył na ludzi spieszących w okolice Rynku.

Kiedy twarz policjanta pozbywała się całodobowego zarostu, jej właściciel dostrzegł w lustrze zaczerwienione oczy. Trzydzieści godzin ślęczenia nad drobnym, kaligraficznym pismem zawartym w policyjnych aktach nie pozostało bez śladu. Krótka rozmowa z urzędnikiem policyjnym stanowiła jedyne urozmaicenie deszczowej środy. Ignaz, wbrew zmęczeniu, uśmiechnął się do siebie. Był zadowolony z wyników żmudnego wertowania tysięcy stron. Zapoznał się z dokumentacją kilkunastu spraw. Uświadomił sobie, że mgliste przypuszczenia, które całkiem niedawno pojawiły się w jego umyśle, nie muszą być tak fantastyczne, aby nie mogły okazać się ponurą rzeczywistością. Zbyt wiele faktów nakładało się na siebie; motyw zdawał się zadziwiający, ale po namyśle można było go uznać za logiczny. Należało jednak zbadać wszelkie możliwe okoliczności i zająć się najdrobniejszymi nawet faktami, które mogłyby wykluczyć przypuszczenie inspektora. Jeżeli choć jeden z takich faktów obróciłby wniwecz śmiałą hipotezę, należało od niej, Ignaz miał tego świadomość, odejść.

Hotel pustoszał. Goście, przybyli do miasta w interesach, spieszyli na Wielkanoc do swoich domów. Pan Alsleben, nauczony kilkuletnim doświadczeniem, nie załamywał rąk. Wiedział, że po świętach znowu pojawią się przybysze z najróżniejszych stron kraju.

Ignaz, po zjedzeniu obfitego śniadania i wypiciu mocnej kawy, wyruszył na Rynek. Od dzieciństwa lubił przedświąteczny rozgardiasz i tęsknił do niego przez cały rok.

Smutkiem napawało go Boże Narodzenie, niby pełne ciepła i nastroju przypominającego szczęśliwe lata, kiedy rodzina zasiadała do wigilijnej wieczerzy. Dawno już minęły czasy dzieciństwa. Był samotny i przygniatało go poczucie pustki ogarniającej każdy zakątek duszy pozbawionej wsparcia w tak szczególnym okresie.

Wielkanoc była inna. Triduum Paschalne pozwalało zapomnieć o dokuczliwej samotności. Emocje związane ze wspomnieniem ostatnich dni Chrystusa w Jerozolimie brały górę nad osobistymi problemami.

Na Rynku panował gwar. Dziesiątki prowizorycznych kramów oblegane były przez ludzi oceniających towar i kupujących większe niż zazwyczaj ilości dóbr potrzebnych do godnego uczczenia świąt. Kury, perliczki, mąka, słodycze, pieczywo, tabaka, lemoniada, każdy mógł nabyć wszystko, czego tylko zapragnął. Ignaz chciał zanurzyć się w tłum i posłuchać, o czym mówi wejherowska ulica, ale niespodziewanie stanął oko w oko z komisarzem Renschem.

– Witam serdecznie drogiego inspektora! Tak, nie było pana wczoraj w mieście, a tymczasem nadeszły wielce interesujące opinie. Z Gdańska właśnie, w którym pan miał okazję bawić. Już mówię o konkretach, tymczasem przejdźmy w stronę ratusza – na twarzy komisarza nie było nawet śladu przedwczorajszej troski.

– Słucham z niecierpliwością – bardzo poważnym głosem odpowiedział Braun.

– Około godziny szesnastej nadszedł telegram z zakładu medycyny sądowej. Wcześniej powędrowały tam, o czym pan wie, kończyny i korpus Wendersa, teraz natomiast głowa. Jako lokalny patriota muszę z zadowoleniem przyznać, że diagnoza doktora Gesslera znalazła potwierdzenie w analizie doktora Puppe.

– A co doktor Puppe robi w Gdańsku? – zdziwił się Ignaz. – Przecież to berliński lekarz, dwa razy stykałem się z wynikami sekcji zwłok przeprowadzanych przez niego w stolicy.

Policjanci weszli do gabinetu Rüdigerera Renscha. Komisarz z zadowoleniem odpowiedział na zadane pytanie.

– Przypuszczałem, że nazwisko doktora jest panu nieobce. Tak. Profesor Puppe bawi obecnie na wywczasach świątecznych w Sopocie. Jego przyjaciel, doktor van Aalst z Gdańska, zaprosił gościa do wzięcia udziału w interesującej z zawodowego punktu widzenia sekcji zwłok. Obaj lekarze orzekli, że Wendersa zabił fachowiec. Precyzja cięć, najpierw poderżnięcie gardła. Tak. Nasz doktor Gessler powiedział to samo. No i udo rzeczywiście leżało w Cedronie tylko tydzień. Jestem zadowolony z tej zgody fachowców. Rozstrzyga ona o paru szczegółach i ułatwia dalsze prowadzenie śledztwa. Koniaczku?

– Dziękuję, stanowczo za wcześniej... – grzecznie podziękował Ignaz, obserwując Renscha sięgającego po pękatą butelkę. – Niech mi pan jeszcze powie, drogi komisarzu, czy zwłoki Wendersa były pokawałkowane od razu po zabiciu, czy też przetrzymywane jakiś czas w całości. Jeśli natomiast przetrzymywane, to gdzie?

Komisarz podał gościowi pismo. Na twarzy inspektora malowało się wielkie skupienie; skulił się w fotelu, zamknął w sobie i nie zareagowałby

nawet na grom spadający z nieba; uważnie analizował fakty upostaciowione w czarnych literkach.

Zwłoki Wendersa prezentowały różny stopień rozkładu. Ich fragmenty były znajdowane w różnych miejscach, w dodatku lewe udo po pewnym czasie wyniesiono z suchego, zimnego pomieszczenia. Brak było konsekwencji w zachowaniu mordercy. Musiał działać, jak zgadywali policjanci, pod wpływem impulsów. Metodyczność widoczna w sposobie ćwiartowania nie pasowała do niezdecydowania w sposobie podrzucania elementów zwłok. Dlaczego sprawca wynosił fragmenty ciała w nieregularnych odstępach czasu? A przecież brakowało jeszcze prawej ręki i prawej nogi. Czy leżą wśród podmiejskich chaszczki lub na podmokłych gruntach? Może zostały spalone? Niewykluczone, że morderca przechowuje je nadal...

„W braku metody tkwi wytłumaczenie” – Ignaz przypomniał sobie zdanie profesora Górskiego z berlińskiego uniwersytetu. Zakończył czytanie, oddał pismo zadowolonemu komisarzowi.

Policjanci rozmawiali jeszcze kilkanaście minut.

Po godzinie ósmej do drzwi gabinetu przełożonego zapukał posterunkowy. Przed dziewiątą Anton przepuścił inspektora w drzwiach wychodzących prosto na Rynek.

– Co cię trapi, drogi kolego? – zapytał Ignaz, widząc, że nastrój Myszka aż nazbyt wyraźnie kontrastuje z entuzjazmem obserwowanym u szefa wejherowskiej policji.

– Martwię się jeszcze tym, co usłyszałem od pana inspektora przedwczoraj. Święta za pasem, a ja nie mogę się uspokoić. Chodzi o moją żonę. Czy nie zdziwiło pana, że taki starosta zna żonę skromnego posterunkowego?

– Zdziwiło, ale to małe miasto.

– Pan starosta czynił kiedyś Anastazji dwuznaczne propozycje. Ona była młodziutką panną, on nie miał jeszcze żony i odczuwał potrzebę kontaktów z kobietami. Takie pańskie fanaberie. Od tamtego czasu, mimo stanowczej odmowy Anastazji, zachowywał się poprawnie i nie obawiam się teraz zalecania hrabiego do mojej żony. Jednak skoro przedwczoraj przypomniał sobie o całej sprawie, może będzie chciał nam zaszkodzić? On tak nie lubi Polaków i często powtarza, że na stanowiskach państwowych powinni być sami dobrzy Niemcy. Jeżeli połączyć te dwie rzeczy, mamy niemały ambaras.

Ignaz uśmiechnął się. Czuł coraz większą sympatię dla człowieka rzuconego na żer historycznym uwarunkowaniom.

– Twoje obawy, mam nadzieję, pozbawione są jakichkolwiek podstaw. Swoją drogą, musicie być tutaj pod nieustanną presją. A teraz, posterunkowy, do roboty!

– Postaram się nie myśleć o panu staroście, chociaż nie będzie to łatwe. Skoro jednak pan przedwczoraj obiecał...

– I dotrzymani słowa – podsumował inspektor.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle niespodziewane zjawisko zwróciło na siebie jego uwagę.

Oto obaj mężczyźni w jednej chwili ujrzeli panią Irmgardę Wenders. Cała w czerni, zwiewnym krokiem chodziła między straganami w towarzystwie służącej. Ignaz wprawnym okiem dostrzegł, że piekarczowa ubrana jest wytwornie. Żałobna suknia i narzucona na rozłożyste plecy pelerynka uszyte były z najlepszych materiałów. Kapelusz, wykwintny w swej prostocie, przyciągał oczy niejednego przechodnia.

– Pan inspektor! Jaka przemiła niespodzianka – uśmiechnęła się pani Irmgarda, ale natychmiast spoważniała.

– Łaskawa pani pozwoli, że wyrażę jej swój szacunek – powiedział Ignaz i delikatnie ucałował dłoń kobiety.

– Cieszę się, że mogłam pana spotkać. Ostatnie dni przyniosły mi tyle bólu i udręczenia – nieszczęśliwa matka uśmiechnęła się rozbijając – że nie myślałam nawet o Wielkanocy...

– I tak podziwiam siłę, jaką potrafi pani wykrzesać z siebie w tak trudnych chwilach. Jak znosi nieszczęście pani mąż?

Kobieta wzruszyła ramionami i zawahała się przez moment. Musiała przypomnieć sobie, jak zachowuje się Johannes.

– Mąż jest człowiekiem bardzo zamkniętym. Siedzi w piekarni, biega od dostawcy do odbiorcy, sam bierze się do formowania ciasta. Nie mówi z nikim o naszej tragedii.

Jedyna pociecha, która spotkała mnie z jego strony, dotyczyła wyboru miejsca na grób dla Johannka.

– Wybrali już państwo...

– Tak – smutny uśmiech przebiegł po zaróżowionej od porannego chłodu twarzy kobiety. – Nasz cmentarz ewangelicki jest piękny. Był pan inspektor na naszym cmentarzu? Nie? Koniecznie trzeba go odwiedzić. Johannek będzie leżał przy brzozowej alei biegnącej pośrodku cmentarza. Niedaleko szumi fontanna. Mój syn będzie czekał na zmartwychwstanie w pięknym miejscu...

– Kiedy odbędzie się pogrzeb?

– W połowie poświętecznego tygodnia. Ciało zostanie już jutro przewiezione z Gdańska. Pastor mówił o wtorku lub środzie. Przygotowania do świąt i pogrzebu zajmują mi wiele czasu, na szczęście. Gdyby jeszcze mąż częściej bywał w domu! Czuję się taka samotna – pani Irmgarda rzuciła prosto w oczy Ignaza znaczące spojrzenie.

Policjant zmieszał się i pochylił zaczerwienioną twarz.

Kobieta spojrzała na posterunkowego. Myszki odwrócony był w stronę kramu z artykułami tytoniowymi, przed którym stali obaj policjanci.

– Wyświadczyłby mi pan inspektor zaszczyt i zaszedł do mnie na kawę i ciasteczka? Niech pan nie odmawia zbolącej matce...

– Chciałem właśnie porozmawiać z łaskawą panią.

Czy jutrzejsze przedpołudnie będzie odpowiednie?

– Oczywiście. Chociaż święta za pasem, zawsze znajdę czas dla pana inspektora.

Delikatna koronkowa rękawiczka, którą osłonięta była pulchna dłoń pani Irmgardy, musnęła ramię Ignaza.

Policjant wystraszył się nie na żarty i przyrzekł sobie, że progi kamienicy Wendersów przekroczy koniecznie w towarzystwie Antona.

– Nie chciałbym mieć takiej matki – z dezaprobatą zauważył posterunkowy, kiedy tylko imponująca postać kobiety znikła wśród tłumu.

– Myślę, że na swój sposób kochała syna – odparł melancholijnie Braun, nie mogąc jeszcze ochłonąć z wrażenia. – Kochała jego szkolne sukcesy, jego inteligencję i miłą aparycję. Nie potrafi kochać nieboszczyka. Szczątki, z zasady milczące, są poza sferą jej zainteresowań.

– Ceni tylko życie doczesne – mruknął Anton.

– Nie tylko ceni. Kocha! Ze wszystkich sił chce żyć i pragnie, by zajmowano się nią nieustannie. Nie mam zamiaru schlebiać oczekiwaniom pani Irmgardy, ale muszę odbyć z nią ponowną rozmowę. Mam nadzieję, że nie opuścisz mnie w tych ciężkich chwilach?

Anton rozchmurzył się.

– Mam pilnować, żeby ta kobieta nie zrobiła panu inspektorowi niczego złego? W porządku.

– Doceniam twoje poświęcenie. Służba wymaga od nas poświęceń, przekonałem się o tym jeszcze wtedy, kiedy byłem początkującym aspirantem kryminalnym. Czy masz jakieś plany związane z przygotowaniem do świąt?

Jestem gotowy do rozpoczęcia rzeczowych negocjacji...

– Muszę stać na posterunku, to znaczy być do pańskiej dyspozycji. Chciałbym jednak uczestniczyć w uroczystościach do poniedziałku włącznie, ale to zależy od pana inspektora.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj chciałbym być na wieczornej mszy w klasztorze. Ostatnia Wieczerza... Zajrzałbym też na kalwarię.

Za to w Wielki Piątek jest droga krzyżowa. Można dostąpić odpustu częściowego. Trzeba tylko nawiedzić kaplice Biczowania, Cierniem Ukoronowania, kaplice Krzyża i Grobu Świętego, no i odmówić siedem Ojcze Nasz, siedem Zdrowaś Mario i jedno Wierzę w Boga. Zależy mi, co tu kryć!

Ignaz uściśnął ramię posterunkowego.

– Sam będę chciał brać udział w wielkanocnych uroczystościach. Widzisz, oprócz potrzeby religijnej pcha mnie do tego świadomość, że w tłumie można dowiedzieć się czegoś ciekawego. Lubię słuchać ludzi, wiem z doświadczenia, że jedno słówko może zaważyć na dalszym prowadzeniu śledztwa. Przypadek i łut szczęścia są nieodłącznymi towarzyszami policjanta. Nie powinienem tego mówić, ale odrobina szczęścia pozwala niekiedy na uruchomienie szarych komórek w stopniu przedtem nieosiągalnym.

– Cieszę się, że pan inspektor będzie w klasztorze i na kalwarii.

Oczy posterunkowego umknęły w stronę wąskiej torby przewieszanej przez ramię. Po sekundzie wahania Anton sięgnął do środka, wyjął czarną

książeczkę z obtartymi rogami i podał ją Ignazowi.

– Panie inspektorze... Jeśli to nie uraziłoby pana, chcielibyśmy, moja żona i ja... w dowód życzliwości podarować panu wejherowski modlitewnik. Mamy dwa takie same modlitewniki. Może pan inspektor chciałby mieć jakąś pamiątkę, kiedy już odjedzie do Berlina.

Pośród gwaru dobiegającego z tętniących życiem kramów Ignaz z namaszczaniem otworzył książkę. „Droga krzyżowa czyli obchód Stacyj w kościołach Braci Mniejszych św. Franciszka Reformatów...” – przeczytał szeptem, – Wydano prawie czterdzieści lat temu w Wejherowie – dopowiedział Myszk, widząc, jak inspektor, zaskoczony darem, nie potrafił ukryć wzruszenia.

Tego ranka obu policjantom dane było spotkać jeszcze jednego człowieka związanego z Johannem Wendersem.

Paul Bruhn zetknął się z gimnazjalistą już po śmierci tego ostatniego, ale, według swoich słów, przez krótki okres pobytu w Wejherowie zdążył zżyć się mocno z zamordowanym.

Dziennikarz uśmiechnął się szeroko i bez chwili wahania podszedł do inspektora i posterunkowego.

– Nieklamana radość ogarnia mnie na widok znakomitego gdańskiego pióra – powiedział Braun.

– Cieszę się z życzliwości okazywanej przez równie znakomitego berlińskiego policjanta – odparł żurnalista i spojrzał Ignazowi prosto w oczy. – Robią panowie świąteczne zakupy?

– Nie całkiem. Śledziliśmy pana. Zachowaliśmy się w sposób tak perfidny, żeby pan myślał, że pierwszy nas zauważył.

Bralin roześmiał się mocnym, metalicznym głosem.

– Zawsze cenilem u naszych funkcjonariuszy wyborne poczucie humoru. Czy postępy w śledztwie są znaczące?

– A jaka odpowiedź satysfakcjonowałaby pana? – pytaniem odpowiedział inspektor.

– Doskonale pan wie, inspektorze. Tymczasem, jeśli łaska, mam do pana kilka pytań...

– Od zadawania pytań jest tu zupełnie kto inny.

– Ależ ja doskonale zdaję sobie sprawę z ról, jakie wyznaczyła nam Opatrzność. Chciałem jedynie po przyjacielsku, jako zatroskany obywatel...

– Zatroskany obywatel z pewnością będzie miał okazję zetknąć się z przedstawicielami policji, być może już w najbliższym czasie. Nie zapomnimy o panu. Okoliczności będą jednak bardziej oficjalne.

Z twarzy Brahna znikł bezczelny uśmiech. Dziennikarz przeszył policjanta lodowatym spojrzeniem.

– Pan mi grozi? Proszę się dobrze zastanowić. Grozi pan sumieniu wolnych obywateli uosobionemu w mojej osobie.

– Nie żartujmy. Pan przecenia swoją rolę. Do widzenia! – zakończył Ignaz, skinął na Antona i obaj zostawili Brahna samemu sobie.

– On pana znienawidzi – zauważył posterunkowy.

– Ma pana, chociaż nie wiem, dlaczego, za przeciwnika Richtera. Teraz została urażona jego duma.

– Popęlni jakiś błąd. Nie jestem zwolennikiem działań komisarza, który najchętniej zamknąłby Brahna i jego kolegów w magdeburskiej twierdzy. Następstwem byłyby zamieszki. Ja niejako zachęciłem dziennikarza do nierozsądnych działań. Dotychczas Brahn uderzał z właściwą sobie bezczelnością, ale i metodycznie. Eskalacja napięcia... Niedługo ujawni swój, nazwijmy to delikatnie, brak umiaru i społeczeństwo samo oceni jego zachowanie. Mówiąc poetycznie, „Wacht am Rhein” skamienieje w jego ustach, jak o przeciwnikach politycznych mówił profesor Luft z Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma w Berlinie.

– To bardzo niebezpieczny człowiek. Nie boi się pan inspektor zadzierać z takim wariatem?

– Nie narodził się jeszcze człowiek, który wygrałby z Ignazem Braunem
– padła „skromna” odpowiedź.



Pamiętka ostatniej wieczerzy

Ignaz przywiązywał dużą wagę do swojego wyglądu.

Nie był modnisiem goniącym za wszelkimi nowościami pojawiającymi się w największych berlińskich domach mody, starał się jednak wyglądać zawsze elegancko.

Garnitury sprawiał sobie rzadko, wyłącznie w zakładzie pana Kotkowsky'ego przy Kielergasse 69. Chociaż młody, nie uznawał nowoczesnego obyczaju kupowania gotowych ubrań. Materiał musiał być idealnie dopasowany do linii ramion, tułowia i nóg. Taki komfort zapewniał jedynie żmudny proces przymiarek i osobisty kontakt z krawcem.

Nie zdarzyło się nigdy, by szyję berlińskiego policjanta okalał nieświeży kołnierzyk. Koszula z olśniewająco białym kołnierzykiem i wyglansowane, świecące buty sprawiały, że postać inspektora odbierano korzystnie. Nikt na pierwszy rzut oka nie zauważał tego rodzaju schludności; jej brak zostałby natychmiast fatalnie oceniony i spowodowałby na Ignaza jak najgorsze konsekwencje.

Niemożność zdobycia zaufania rozmówcy była czynnikiem, który mógł zadecydować o niepowodzeniu śledztwa.

Mężczyzna stojący przed lustrem długo zastanawiał się nad doбором odpowiedniego krawata. Wreszcie wyciągnął z walizki czarno–bordowy w

delikatne wzorki.

„Decyzja jak najzupełniej trafna” – pomyślał. Czerni stanowiła zapowiedź zbliżającej się Męki Pańskiej, kolor bordowy zdawał się niezwykle twarzowy i uroczysty, mógł też być nawiązaniem do czerwonego koloru liturgicznego kapłańskich ornatów przewidzianych na Wielki Czwartek.

Okulary przetarte cieniutką skórką nadawały się do założenia. Jeszcze tylko płaszcz, aksamitny szary szalik i kapelusz. Inspektor Braun, delikatnie skropiony oryginalną wodą kolońską, opuścił swój pokój.

Droga do klasztoru zajęła zaledwie sześć minut niespiesznego marszu. Policjant z zawodowego przyzwyczajenia obserwował ludzi idących do kościoła. Kwadrans dzielił wiernych do rozpoczęcia nabożeństwa. Braun stanął przed wejściem do świątyni i przyjrzał się barokowej fasadzie. Kontrastowała ona osobliwie z surowymi murami bocznych partii budowli. Przewodnik przeczytany przed kilkoma dniami wyjaśniał, że kościół pamięta początki miasta.

Ileż wydarzeń przeorało od tamtego czasu świadomość kolejnych pokoleń przychodzących na świat w murach grodu, żyjących w cieniu lokacji Jaśnie Wielmożnego Pana Jakuba Wejhera, odchodzących tu do wieczności...

Można władca zakładał kalwarię i miasto jako obywatel Rzeczypospolitej, której nie ma już od stu z górą lat. Potem przyszły wojska pruskie, napoleońskie, rosyjskie i ponownie pruskie. Czy to już koniec historii? Wiele przesłanek zdawało się świadczyć, że cesarstwo jest wieczne. Ignaz uśmiechnął się z sarkazmem. W Berlinie myśli się właśnie w ten sposób. A jeśli nie? Jeśli kiedyś wróci tu Polska? Co stałoby się z tą armią przyjezdnych urzędników? Lęk przed Nieznanym zmieszany z dziecięcą ciekawością przeszył Ignaza tajemnym dreszczem. Nie, to zbyt

fantasmagoryczne. Przecież nawet klasztoru już nie ma. Pozostały mury i kult sprawowany każdego dnia w starych wnętrzach, ale gdzie podzieli się franciszkanie? Kasata, wygnanie. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze brązowi zakonnicy zawitają do miasta.

Ustawy rządowe rzadko bywały uchylane.

Przybysz z Berlina lubił podziwiać zabytki. W dzieciństwie ojciec zabierał go na wycieczki do pobliskiego Gniezna, do Strzelna i Mogilna. Mówił wiele o historii tamtych miast i ziem. Gdyby przełożeni inspektora stołecznego Wydziału Zabójstw usłyszeli, co przed laty mówił synowi Jan Braun, baczniej przyjrzeliby się postaci podwładnego. Może nawet zdecydowałiby się na nieformalne śledztwo? Od czasu tamtych wycieczek Ignaz umiał cenić pomniki starej architektury. Świadectwo dawnych czasów obrosłych legendą wprawiało go w nastrój przyjemnej zadumy.

Stało się to, do czego nawykł w ciągu kilku lat prowadzenia spraw kryminalnych. W małych miastach wieści rozchodziły się niezwykle szybko i obrastały fantastycznymi detalami. Przybywający do takich skupisk ludzkich policjant stawał się obiektem powszechnego zainteresowania. Wejherowo nie stanowiło wyjątku. Wierni zdążający do kościoła, przechodząc obok inspektora, porozumiewawczo patrzyli na siebie, delikatnymi ruchami głowy wskazywali na przybysza ze stolicy, szeptali między sobą. Ignaz uśmiechnął się do siebie. Tak było zawsze, ilekroć wkraczał w życie zwartych społeczności. Tajemniczy intruz, który miał przywrócić porządek. Nie czuł skrępowania. Jego nieśmiałość objawiała się jedynie w kontaktach z kobietami, które mogły wzbudzić zainteresowanie mężczyzny.

Wreszcie przed dawnym klasztorem pojawił się Anton w towarzystwie żony i gromadki dzieci. Posterunkowy powiedział z entuzjazmem, że lubi uczestniczyć w uroczystościach wielkotygodniowych właśnie w klasztorze.

Związek franciszkanów z obchodami Wielkiego Tygodnia, kalwarią i drogą krzyżową nawet po wysiedleniu zakonników obecny był silnie w świadomości katolików. Przypadek Myszka świadczył o tym najlepiej.

Nie było czasu na długie rozmowy. Msza miała zacząć się za kilka minut.

W kościele panował nieopisany tłok. Atmosfera oczekiwania na wielkie święto przeplatała się z szeptami i szelestem czynionym przez ostatnich wchodzących. Niektórzy próbowali przepychać się w stronę ołtarza, wiele kobiet odmawiało różaniec.

Ignaz stał obok Myszków. Przed ołtarz wyszło trzech księży. Z chóru zabrzmiały organy. Rozległ się śpiew. Jeden wielki głos z setek gardeł przeszył powietrze. Rozpoczęła się pamiątka Ostatniej Wieczerzy. Dym kadzidła napełnił wnętrze kościoła oszałamiającym zapachem i przywiódł Ignazowi na myśl atmosferę Świątyni w Jerozolimie wyobrażanej na starych rycinach.

W stole ołtarzowym domu Bożego umieszczone były, jak powiedział przed kilkoma godzinami Anton, relikwie trzech starożytnych świętych: Fausta, Leontego i Marcelina. Inspektor westchnął do świętych o opiekę nad prowadzonym przez siebie śledztwem. Nie wiedział wprawdzie, opiekunami jakich spraw byli owi święci, wierzył jednak, że wstawią się do Stwórcy w tak zbożnej intencji. Na prawo od ołtarza, w którego centrum na krzyżu rozpięty był umęczony Chrystus, obok ambony wisiał obraz Matki Boskiej Wejherowskiej. Ignaz wpatrywał się w pogodne oblicze zadowolonej z życia kobiety, która jednak jutro miała stracić Syna. Maria z obrazu nie wie jeszcze, co stanie się z Jezusem. Każdego ranka obserwuje, jak Jej Syn, trzymany teraz na ramieniu, zaczyna chodzić i wymawiać pierwsze słowa. Jeszcze nie opuścił rodzinnego domu. Jeszcze nie było połowu na jeziorze Genezaret, Kazania na Górze ani uzdrowienia córki

Jaira. Czas spłaszczył się. Pierzchno gdzieś dziewiętnaście stuleci. Betlejem, Nazaret i Jerozolima pulsowały napięciem, chłoneły obecność Boga, żyły na ołtarzu wejherowskiego kościoła.

Ofiara. Czy (Ignazowi zrobiło się wstyd na myśl o porównaniu) zabójstwo Wendersa nie było ofiarą? Wiele na to wskazywało. Bezmyślne morderstwo z okrucieństwa albo zawiści wydawało się policjantowi raczej nielogiczne.

Nie w ten sposób. Johanna zabito z pasją, z jakimś oczyszczającym umysł mordercy okrucieństwem. Twarz Ignaza rozjaśniła się. Motyw, o którym myślał już wcześniej, nabrał nowego znaczenia.

Starsza kobieta siedząca w drugiej ławce od ołtarza zemdliała. Stojąca obok dziewczyna ocuciła ją. Zamieszanie znikło równie szybko, jak się pojawiło. Dobiegło końca długie kazanie. Wielu ludzi miało w oczach łzy. Wysoki mężczyzna, klęczący cały czas na posadzce tuż obok Ignaza, bił się pięściami po głowie i szlochał. Pasja pokutnika udzielała się stojącym i siedzącym obok niego.

Dźwięk kołatek towarzyszący przeniesieniu monstrancji do ciemnicy poraził Ignaza. Rytmiczny odgłos przywodził na myśl szczęśliwe chwile dzieciństwa, kiedy mały Ignasz z rodzicami i dziadkami patrzył na barwne misterium odbywające się w kościółku pod Poznaniem. Tęsknota za bytującą już w innym świecie rodziną i wspomnienie dziecięcych uniesień przepełniły serce śledczego bolesną rozkoszą. Pragnął, aby iluminacja trwała wiecznie.

Tłumy wychodzące z kościołaomal nie rozdzieliły Ignaza z Myszkami.

– Jak pan inspektor znalazł naszą uroczystość?

– Wstyd przyznać, ale dokonałem w czasie mszy, kto wie, może ważnego odkrycia dotyczącego Wendersa. Odkrycie to mogłoby tłumaczyć moje wcześniejsze podejrzenia. Porozmawiamy na ten temat w swoim

czasie. A same uroczystości przypomniały mi najszcześniejsze lata bez troski i rodzinnego ciepła. To chyba niemało.

– A widział pan Annę Richter? – podzielił się swoim zdziwieniem Anton. – Przecież to luteranka!

– Annę? W kościele? Przepraszam, muszę się z nią zobaczyć. Może uda mi się dostrzec naszą pannę wśród tłumu. Zobaczymy się rano. Do widzenia łaskawej pani, pokornie proszę o wybaczenie – powiedział Ignaz i, pospiesznie skłoniwszy się żonie posterunkowego, ruszył z powrotem w kierunku kościelnych drzwi.

Zafrapowani Myszkowie wolnym krokiem udali się w stronę domu. Oboje wiedzieli, że inspektor Braun musiał mieć ważny powód, aby postąpić wbrew zasadom dobrego wychowania.

Ignaz miał szczęście. Tracił powoli nadzieję, że zobaczy tego wieczoru pannę Richter. Większość ludzi wyszła już z kościoła i pomyślał z żalem, że młoda kobieta musiała opuścić świątynię od razu po zakończeniu mszy. Nagle na jego twarzy pojawiło się uczucie ulgi. Pod obrazem Matki Bożej stała córka rzeźnika.

Inspektorowi zależało, aby porozmawiać z dziewczyną właśnie teraz. Mógł w każdej chwili poprosić o spotkanie na komisariacie albo w domu Richterów, ale odkrycie poczynione dzień wcześniej podczas przeglądania gdańskich akt policyjnych oraz myśl z ostatniej godziny spędzonej w kościele powodowały, że obecność Anny w istocie wydała się Ignazowi darem z nieba.

Widok inspektora nie zaskoczył panny Richter. Przywitała się z Ignazem i powiedziała, że zauważyła go rozmawiającego przed mszą z posterunkowym. Nieco nieśmiałym głosem wytłumaczyła swoją obecność w klasztorze.

– Mówiłam już panu, że lubię kalwarię. Te uroczystości łączą się z kalwarią i wszystkim, co dokona się jutro.

Widzi pan, w naszym kościele brakuje takiej obecności eucharystii. Nie ma nasycenia świętością i tajemnicą.

– Johann także bardzo lubił kalwarię, pani wspominała już podczas naszej pierwszej rozmowy... – Anna spuściła oczy.

– Tak, mówiłam. Rzeczywiście, spędziliśmy niejedną godzinę na dróżkach. Kapliczki nie miały przed Johannem żadnych tajemnic. Pamiętam o nim, zwłaszcza w czasie

Wielkiego Tygodnia. Panie inspektorze... Muszę to powiedzieć... Wydaje mi się, że mój ojciec zabił tego biedaka.

Boże, co ja opowiadam!

– Niech pani łaskawie nie traktuje naszej rozmowy jako przesłuchania – na pozór obojętnym głosem powiedział inspektor. Kamienny wyraz jego twarzy uspokoił Annę.

– Widziałam ojca rozmawiającego z Masslofem. Nie wiedzieli, że podsłuchiwałam. Nie wstydzę się, zważywszy, że usłyszałam coś tak wstrętnego... Tak wstrętnego!

Braun spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

– Niech pani teraz zaprowadzi mnie na spacer. Porozmawiamy spokojnie. Proszę, żeby nie było to odludzie, gdyż droga mi jest pani reputacja. Nie chciałbym też, aby nasz spacer przebiegał głównymi ulicami miasta. Policja ceni dyskrecję – uśmiechnął się półgębkiem.

– Zabiorę pana do Alei Wilhelma. Przechodziliśmy tamtędy w drodze na kalwaryjskie wzgórze. Elegancka ulica, i taka zaciszna. Ojciec nie ma tam znajomych.

– Znakomicie – odparł Ignaz i przepuścił pannę Richter do furki prowadzącej na zewnątrz murku oddzielającego klasztor od miasta.

Nie było w Wejherowie przyjemniejszej ulicy. Aleja miejscami przypominała najładniejsze zakątki Sopotu czy gdańskiego Wrzeszcza. Domy z wieżyczkami, ogrody na tyłach posesji, wykwintnie ubrani nieliczni o tej porze przechodnie, wszystko świadczyło o prestiżu urokliwego zakątka.

Anna milczała. Po pierwszym wybuchu emocji, jeszcze przed klasztorem, starała się teraz zachowywać spokojnie. Zdawało się, jakby już nie chciała pogrążyć ojca, nie chciała też ośmieszyć samej siebie przed przybyszem z Berlina, wycofując się z poprzednich słów. Powiedziała inspektorowi o swoich wątpliwościach.

– Proszę mi wierzyć, wysłuchałem w mojej karierze wielu zwierzeń i zeznań. Żadnych z nich nie traktowałem z przymrużeniem oka ani też nie wyciągałem ostatecznych wniosków z najbardziej nawet wiarygodnych spostrzeżeń.

Proszę potraktować mnie jak studnię, do której można wykrzyczeć swój ból. Pani, jako ewangeliczka, nie spowiada się. A to duża zaleta katolicyzmu. Może policjant potrafi choć trochę zastąpić księdza...

Anna pokazała Braunowi kilka willi należących do znanych wejherowskich przedsiębiorców i ludzi wolnych zawodów. Przed domem Pawła Pokory zatrzymała się i, nie patrząc Ignazowi w oczy, zaczęła opowiadać.

– Ten okropny Masslof! Nie rozumiałam, dlaczego ojciec przyjmuje go w domu. Zatrudnił pomocnika, nic mi do tego. Ale od kiedy Masslof zaczął być u nas niemal domownikiem, poczułam do niego instynktowny wstręt. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale był zbyt miły. Oplatał mnie jak żmija, która chce ukąsić, i sączył do ucha tanie komplementy.

– Wiedziała pani, że miał na swoim koncie kilka przestępstw i że nie wszyscy darzyli go sympatią?

– Nie. W ogóle do czasu pojawienia się tego człowieka w naszym domu nie wiedziałam o jego istnieniu. Dopiero nasza gospodyni opowiedziała mi o reputacji Masslofa.

On musi mieć wiele na sumieniu, bo ilekroć mnie widzi, uśmiecha się jak służący, który chce dostać podwyżkę.

Unizony do granic możliwości. Gwiazdkę z nieba ściągnąłby, gdybym tylko chciała. Mówiłam już, nie lubię takich ludzi, chociaż wiem, że podobają się wielu bliźnim.

Wysłuchany w słowa nagle ożywionej panny Ignaz ze zrozumieniem pokiwał głową i zapytał:

– Przecież nie tylko z cech charakteru Herberta Masslofa wynikała pani niechęć do niego? Od nich, jak rozumiem, tylko się zaczęło.

– Ma pan rację – zgodziła się Anna. – Wiele razy słyszałam rozmowy Masslofa z moim ojcem. On ma jakiś tajemniczy wpływ na ojca. Dotąd, chyba pan rozumie, nie było żadnego człowieka, który miałby jakikolwiek wpływ na Augusta Richtera. Trudno uwierzyć, ale ojciec jest jak gdyby zależny od swojego pomocnika. A przecież przez całe życie nie słuchał nikogo.

– Z wyjątkiem cesarza – uśmiechnął się Ignaz.

– Z wyjątkiem cesarza – potwierdziła poważnie córka rzeźnika. – Gdyby pan słyszał ich rozmowy! Zaczynam podejrzewać, że ojciec zachęcony przez Masslofa zamordował Johanna, może dokonali zbrodni wspólnie... Zacznę od początku. Dwa dni temu podsłuchałam rozmowę, która mnie poraziła.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Anna szła na górę do swojego pokoju. Nie wiedziała, że ojciec nie był sam, chciała wejść i zapytać o jakiś drobiazg. Głosy dochodzące ze środka były przytłumione, ale Anna, stojąc o metr od niedomkniętych drzwi, mogła usłyszeć prawie wszystko. Nie

zamierzała podsłuchiwać, ale kiedy usłyszała imię „Johann” wymówione przez ojca, wstrzymała oddech i przysunęła się jeszcze bliżej.

– Będzie dobrze. Bralin robi dla pana dobrą robotę.

Niech tylko oskarżą pana o zabójstwo Johanna, podniesie się taki hałas...

– A jeśli policja nie ulęknie się?

– Co to nas obchodzi! – uniósł się Masslof. – Przecież nie my zamordowaliśmy biednego gimnazjalistę.

Obaj zaśmieli się.

– Gdyby nie ty, nie wiem, jak poradziłbym sobie z tą całą awanturą. Obecność Bralina jest ryzykownym ruchem, ale kto wie? Może wyjdzie nam na dobre. Najważniejsze, że Wenders nie żyje. Opatrzność czuwała nad nami i naszymi bliskimi. Żeby tylko nie wydało się to, co mogłoby nas...

– Niech pan mówi ciszej, do diabła! – mitygował pryncypała zirytowany Masslof. – Ściany mają uszy, nie wie pan?

Dwa, trzy szybkie kroki skierowane w stronę drzwi i suchy trzask zniweczył dalsze podsłuchiwanie rozmowy.

Anna z bijącym sercem ruszyła na górę.

– Ciekawe – szepnął Ignaz i zaraz pomyślał o swojej koncepcji, nie całkiem pasującej do wniosków, jakie nasuwały się po zakończeniu przez Annę opowiadania. – Może mi pani powiedzieć, czy podejrzewała ojca o popełnienie zbrodni już wtedy, gdy stało się jasne, że Johann nie żyje?

Anna zastanowiła się. Na jej czole mignęła zmarszczka świadcząca o skupieniu. Odpowiedziała z pewnym wahaniem:

– Często odgrażał się, że zabije Johanna. Tak przyzwyczaiałam się do słów ojca, że przestałam zwracać na nie uwagę. Dopiero kiedy tu i ówdzie zaczęto mówić o podejrzaniach skierowanych w stronę ojca, pomyślałam o

najgorszym. Nie zauważyłam jednak w tamtych dniach nic, co mogłoby świadczyć o winie jego i Masslofa. Dopiero ta rozmowa... Dręczy mnie niepewność.

– I dręczą wpływy Masslofa.

– Niech pan sobie wyobrazi, że on mówi ojcu, w którym miejscu powiesić portret cesarzowej Augusty, albo przypomina, że czas na wielkanocne trzepanie dywanów.

Czy spotkał się pan z czymś równie strasznym?

Ignaz uśmiechnął się łagodnie.

– Życzymy sobie, aby dane nam było wyjaśnić wszystkie niejasności związane z postępowaniem pani ojca.



Pani Irmgarda

Dobry nastrój nie opuszczał Ignaza podczas oczekiwania na przybycie posterunkowego Myszka. Wielkoczwartkowe uroczystości i rozmowa z Anną dostarczyły inspektorowi dużej satysfakcji. Zszedł do hotelowej restauracji lekkim i sprężystym krokiem. Tutaj czyhał już na gościa pan Alsleben, pragnąc dowiedzieć się czegoś nowego na temat postępów śledztwa. Rozmowy hotelarza z komisarzem Renschem od kilku dni nie dawały ciekawskiemu przedsiębiorcy oczekiwanej satysfakcji. Szef wejherowskiej policji, powodowany delikatną sugestią inspektora, zaprzestał dzielenia się ze swoimi znajomymi informacjami uważanymi za operacyjne. W dodatku patronat cesarza i jego urzędników sprawiał, że każde posunięcie przed wykonaniem należało dobrze przemyśleć.

Kto wie, być może jakiś urzędnik ministerialny zainteresowałby się, czy informacje dotyczące śledztwa zbyt łatwo nie przedostają się do szerokiej opinii publicznej. Jakże byłoby wtedy trudno znaleźć odpowiedzialnego za karygodne zaniedbanie.

Niezmordowany w dążeniu do poszerzenia swej wiedzy hotelarz, potraktowany przez Ignaza uprzejmie, lecz zdawkowo, odszedł niepokieszony, a berliński policjant zabrał się do zjedzenia niewielkiego

solonego śledzia z cebulką i wypicia filiżanki czarnej kawy zbożowej. Posiłek przerwał posterunkowy Myszk; inspektor w szczegółach opowiedział Antonowi o rozmowie z Anną.

– Widzisz, jestem przekonany, że panna Richter nieprzypadkowo pojawiła się w klasztorze. Musiała dowiedzieć się, że będę na mszy. Zauważyła was, pokazała się...

– To nie było trudne. W małym mieście wszyscy wiedzą wszystko – zgodził się posterunkowy. – Do południa o pana planach wiedziało kilka osób. Wystarczy. Sądzi pan inspektor, że chciała, aby spotkanie wyglądało na przypadkowe? Dlaczego?

– Jest bardzo czarującą młodą osobą. Potrafi sprawić dobre wrażenie. Może nawet podobać się mężczyznom, jeśli tylko zechce. Ma swój rozum, wczoraj jednak popełniła błąd. Zbyt nachalnie skierowała rozmowę na określone tory. Przypadkowo spotyka śledczego i od razu opowiada mu takie rzeczy, których nie zdradziłaby lojalna córka.

Wahanie i wstyd, trochę niezdecydowania były zagrane po mistrzowsku, ale Anna nie wzięła pod uwagę, że ma do czynienia z Ignazem Braunem. Dobra córka, zatroskana o ojca znajdującego się pod zgubnym wpływem typa spod ciemnej gwiazdy, zachowuje się inaczej. Siedzi, bada, ewentualnie próbuje oczernić owego typa. Anna obwinia także ojca. Naprowadza mnie na określone fakty– Ja wierzę, że ona podsłuchiwała treść rozmowy ojca z Masslofem, ale robi z niej użytek w celu nie do końca dla mnie jasnym, może zresztą jej intencje są szlachetne? Tak, zbyt łatwo przyszły jej owe zwierzenia.

– Sądzi pan, że Richter rzeczywiście mógł zabić Wendersa?

– Mógł, ale nie będzie jedynym podejrzanym. Wie wiele, może także o morderstwie. Anna wykorzystuje znane sobie fakty, podaje nam je jak na tacy, ale trzeba wziąć pod uwagę, że nie słyszała całej dwuznaczej

rozmowy, coś istotnego mogło ujść jej uwadze w czasie podsłuchiwania. Nie widziała mimiki, gestów obydwóch mężczyzn.

O ile oczywiście była świadkiem rozmowy, a należy założyć, że była. Ale ja, drogi przyjacielu, nazywam się Ignaz Braun – dodał skromnie. – Pogromca słynnego „Lemura z Duisburga” radził sobie nie z takimi sytuacjami.

– Wierzę mocno w pana inspektora. Chciałbym teraz zadać trudne pytanie, z góry za nie przepraszam.

– Śmiało!

– Czy moja dzisiejsza obecność u pani Wenders będzie konieczna? – zapytał z nutą odrazy w głosie Anton.

Twarz pogromcy „Lemura z Duisburga” pokryła się cieniem. Ignaz lepiej radził sobie z przestępcami niż spragnionymi męskiego zainteresowania kobietami.

– Ja nie chcę znaleźć się sam na sam z tą kobietą. Rozumiesz mnie?

– Jak nikt na świecie – posterunkowy z rezygnacją pokiwał głową. – Nie opuszczę pana inspektora w potrzebie.

Uzyskawszy zapewnienie towarzysza, Braun rozpoczął wyjaśnianie swojej teorii dotyczącej domniemanych motywów zbrodni. Posterunkowy, słuchając kolejnych słów oficera, dziwił się coraz bardziej. Chłonał każde zdanie pełen oburzenia i zdumienia nad przewrotnością natury ludzkiej. Czas mijał niepostrzeżenie. Zbliżała się godzina jedenasta. Ignaz sięgnął po zegarek, otworzył go i gestem zachęcił Antona do wspólnego opuszczenia hotelowej sali.

W tejże chwili do restauracji wpadł posterunkowy Bochentin. Rozejrzał się po sali, zauważył dwóch policjantów i szybko ruszył w ich stronę.

– Anton, jesteś potrzebny panu komisarzowi! Stara Hohstein znowu rzuciła się na męża z siekierą. Ranny został odniesiony do szpitala, ale ta

piekielnica nie daje nikomu podejść do siebie. Trzyma siekierę i straszy, że zabije każdego, kto zechce ją obezwładnić. Pamiętasz, ile ona waży? Jest silniejsza od niejednego mężczyzny. Taka jak przyłoży... Anton, jesteś jej sąsiadem! Tylko ty możesz sobie poradzić z taką babą! Komisarz zawsze wysyłał właśnie ciebie, ilekroć stara Hohstein wszczyniała burdy. Sam mówiłeś, że ona cię lubi.

– Poszedłbym, Bochentin, wiesz dobrze. Ale pan inspektor... Zobowiązałem się wobec pana inspektora.

– Sam pan komisarz kazał poprosić pana inspektora.

Panie inspektorze – Bochentin zwrócił się do Ignaza – proszę pozwolić posterunkowemu Myszkowi na udanie się do miejsca objętego bezpośrednim zagrożeniem, bardzo proszę!

Zrezygnowany Braun machnął ręką. Minęło kilka sekund i po obu policjantach nie pozostał najmniejszy ślad.

Zegarek był bezlitosny. Pani Irmgarda z pewnością poprawiała już kwiaty w wazonie z chińskiej porcelany albo przyglądała jasne włosy.

Johannes Wenders przebywał w swoim królestwie.

Piekarnia w dniach poprzedzających Wielkanoc przeżywała oblężenie. Większym niż zazwyczaj powodzeniem cieszyło się pieczywo pszenne. Baby wielkanocne sprzedawały się znakomicie, przyjmowano też od stałych klientek gotowe do pieczenia ciasta drożdżowe przynoszone po to, aby w warunkach najbardziej sprzyjających mogły wyrosnąć na prawdziwą ozdobę świątecznego stołu. Ciasta i ciasteczka ku uciesze dzieci i dorosłych napępniały spiżarnie wejherowskich domów. Piekarz dwoił się i troił, rozmawiał z klientami, strofował dwie bliźniaczki uwijające się za ladą. Potężna wola zdawała się wlewać od nowa w krwiobieg Johanna niespożyte siły.

Dla pani Irmgardy przygotowania do Wielkanocy nie były zbyt męczące. Dama zrobiła już ostatnie zakupy. Służąca do południa jak wielbłąd dźwiżyła kosze pełne codziennych i świątecznych wiktuałów oraz artykułów kolonialnych. Ta sama młoda kobieta, będąca nieocenioną kucharką, przygotowywała właśnie w dużej kuchni pasztety, pieczenie, smakowała z rozmysłem zeszłoroczne żurawiny i aromatyczne marynaty. Panna Kornelia stanowiła dla pani domu nabytek bezcenny. Przyćmiewała panią świeżością i urodą, ale Irmgarda nie zauważyła nigdy, aby jej podwładna w sposób ostentacyjny manifestowała swoje wdzięki. Dumna żona piekarza nie przypuszczała nawet, aby biedna i stanowczo za chuda dziewczyna mogła komukolwiek podobać się bardziej niż dorodna i doświadczona dama o ugruntowanej pozycji społecznej.

Ignaz zapukał do drzwi domu Wendersów. Otworzyła mu panna Kornelia. Spuściła oczy i już miała prowadzić inspektora do pokoju swojej pani.

– Panienko, proszę chwilę zaczekać. Muszę porozmawiać z panienką na temat zbrodni, która stała się udziałem tego domu.

– Teraz? – z pokorą w głosie zapytała Kornelia.

– Nie. Widzi panienka, idę teraz do pani Irmgardy, potem zejdę do kuchni, gdzie z pewnością panienka ma mnóstwo zajęć. Porozmawiamy sobie.

– Skąd pan wie, że właśnie w tej chwili pracuję w kuchni? – zdziwiła się rezolutna Kornelia i dłużej zatrzymała spojrzenie na postaci berlińskiego policjanta.

– Cukier puder na włosach panienki. Nad lewym uchem – uśmiechnął się Ignaz z pewnym zakłopotaniem.

Dziewczyna roześmiała się.

– Będę czekała.

– Proszę w takim razie o późniejsze zachowanie dyskrecji pożądanej w sytuacjach, kiedy poruszane są tematy dotyczące zabójstwa i wrażeń odniesionych przez konkretną osobę.

– Mam rozumieć, że pani nie powinna dowiedzieć się o naszej rozmowie?

Ignaz przytaknął. Zaraz też został wprowadzony przez pannę Kornelię na piętro. Lekkie pukanie w drzwi i oto oczom inspektora ukazała się pani Irmgarda. Pokojówka zniknęła niepostrzeżenie, tymczasem w oku zasmuconej matki biednego Johanna pojawiła się śliczna łąka. Miękką dłoń po raz drugi w przeciągu doby oplótła dłoń Ignaza.

Wzruszona pani Irmgarda zachęciła gościa do zagłębienia się w fotelu.

Tak jak podczas pierwszej wizyty, zanim na dobre zaczęła się rozmowa, weszła Kornelia z tacą. Filigranowy serwis zdobiony malowanymi ręcznie berberysami spoczął na stoliku. Przed Ignazem dymiła filiżanka, z której dobywał się czarowny aromat. Pani domu nalała śmietanki do kawy gościa i swojej. Srebrną łyżeczką, unosząc mały palec, nasypała sobie trzy porcje cukru. Uśmiechnęła się przy tym jak pensjonarka, na co Ignaz odpowiedział skłonieniem głowy.

– Szanowna pani – zaczął, zdając sobie sprawę, że pełne napięcia milczenie staje się wielce niezręczne. – Przyszedłem, ponieważ sprawa morderstwa nie zakończyła się jeszcze schwytaniem sprawcy. Potrzebne są nowe zeznania, każdy szczegół może okazać się nieoceniony.

– Ach tak – westchnęła Irmgarda, odsuwając się lekko do tyłu. Nadal jednak jej fotel przysunięty był do fotela gościa tak, że nogi mebli niemal się stykały.

– Proszę zrozumieć, jestem w pierwszym rzędzie funkcjonariuszem państwowym, chociaż, nie przeczę, rozmowa z tak czarującą osobą dostarcza mi wielu niezapomnianych wrażeń.

Policjant wiedział, że nie powinien ostentacyjnie zniechęcać kobiety, która może powiedzieć coś istotnego, musiał jednak uważać, by komplementów nie odczytała opacznie.

Jak linoskoczek, balansował na cienkiej linii.

– Doceniam fachowość pana inspektora – udobruchała się pani Irmgarda – za to właśnie ogromnie pana cenię. Muszę zaznaczyć, że w całym mieście rozmawia się prawie wyłącznie o panu. Wiele domysłów i fantastycznych opowieści, ale wszystkie bardzo pochlebne. Społeczeństwo Wejherowa wierzy gorąco, że pan inspektor poradzi sobie i wyjaśni tę straszną sprawę. Pamięć Johanna zostanie wtedy uczczona w najlepszy sposób, a ja będę mogła spokojnie umrzeć. Życie straciło dla mnie sens i nic nie będzie w stanie przywrócić mi radości i spokoju. A tak piękny mógł być każdy poranek i wieczór...

Ignaz, zdziwiony, podniósł wzrok na kobietę. Ostatnią rzeczą, o jaką mógłby posądzić tę matkę, była chęć ostatecznego odejścia po śmierci syna. Jeszcze uważniej spojrzął na panią Irmgardę. Wyglądała urokliwie w czarnym bolerku i jedwabnej bluzce. Dwie wstążki spływające z kokardy zdobiącej piersi pasowałyby raczej do dorastającej panienki; dostrzeżone u statecznej damy mogły budzić uśmiech, ale niewykluczone, że wielu mężczyzn doceniłoby odmładniający zabieg. Zaróżowione policzki, wydatne usta i burza jasnych włosów, wszystko pęczyło przemożną chęcią życia.

– Jest pani pełną energii kobietą. Silną i odważną.

Kiedy zakończy się śledztwo, a sprawiedliwość zatriumfuje nad złem, będzie pani mogła, z czasem, zająć się sobą.

„Co ja mówię – pomyślał – przecież ona cały czas zajmuje się sobą. I, w tej chwili, niestety mną”.

– Ale ja nie mogę czekać – zaproponowała Irmgarda, a jej bujna pierś falowała i niemal wypływała z ciasno opiętego stroju. – Usycham straszliwie. Pan, inspektorze, jest moim przyjacielem, czuję to niezawodnie. Mój mąż, człowiek twardy jak skała, zajął się tą przeklętą piekarnią i zupełnie mnie nie zauważa. Sposób na odzyskanie równowagi ducha doprawdy wyśmienity, ale gdzie miejsce na potrzeby bliźnich? Proszę gorąco, niech pan powie, że jest pan moim przyjacielem!

Zachęcony do dwuznacznej deklaracji Braun wystraszył się nie na żarty, tymczasem kobieta nachyliła się ku niemu. Czuł ciepło bijące od jej ciała, czuł gorący oddech, widział przy sobie namiętne usta i zapłakane błękitne oczy.

– Nie wiem doprawdy, jak mógłbym najlepiej okazać moją uwagę dla łaskawej pani, ale sądzę, że dowodem mojej szczerzej przyjaźni będzie jak najszybsze schwytanie mordercy Johanna.

– Nie wątpię, że osiągnie pan swój cel – głęboko westchnęła Irmgarda. – Zrobię wszystko, żeby panu pomóc. Odślonię przed panem moje najtajniejsze myśli, powiem o wszystkim, co zapamiętałam. Będzie pan moim powiernikiem. Proszę podać mi dłoń...

Delikatne pukanie do drzwi zabrzmiało jak ogłuszający grzmot przewalających się kamieni. Irmgarda odskoczyła od Ignaza i drżącym głosem powiedziała „proszę”.

Do pokoju weszła panna Kornelia, niosąc tacę z talerzem wypełnionym kruchymi ciasteczkami anyżowymi.

Z dyskretnym uśmiechem postawiła talerz na stoliku, dygnęła przed panią, potem przed gościem, i wyszła, poruszając się z wdziękiem. Pani domu ze źle ukrywanym gniewem obejrzała się na drzwi, za którymi znikła pokojówka.

„Co za szczęście! Trzeba przejąć inicjatywę” – pomyślał Ignaz i natychmiast przystąpił do kontrnatarcia.

– Łaskawa pani doskonale wie, że żywię do niej uczucia jak najbardziej przyjacielskie. Dlatego też pozwoli pani, że jak przyjaciela zapytam o kilka spraw, w największej trosce o pani dobro.

– Słucham – padła wyczekująca odpowiedź.

– Czy mogłaby sobie łaskawa pani przypomnieć, jak wyglądała ostatnia doba przed zaginięciem Johanna? – grzecznie zapytał inspektor i zaraz dostrzegł w oczach Irmgardy rozczarowanie.

– No tak. Śmierć mojego syna rzeczywiście trzeba wyjaśnić. W przeciwnym razie on ciągle będzie się zza grobu dopominał sprawiedliwości i nie da nam spokoju.

Kobieta, mimo przykrego dla niej rozpoczęcia rozmowy na temat morderstwa, delikatnie przysunęła się w stronę Ignaza i inspektor dałby głowę, że ponownie czuł ciepło bijące od czarnej bluzki i długiej spódnicy uwydatniającej obfitą talię. Rząd perłowych guzików iskrzył się poruszany rytmicznym falowaniem piersi.

– Zachowywał się inaczej niż zwykle. Chodził oczywiście do szkoły... Ale już do tej małej Richterówny zaglądał nieco rzadziej. No i nie opowiadał tak często, jaka ona inteligentna i utalentowana. Nie żeby się z nią pokłócił, on po prostu zamknął się w sobie. Swoją drogą, jak córka prostego rzeźnika może być inteligentna? Jej ojciec to wariat. Czy da pan wiarę, że on ledwie ukloni się na ulicy?

Ani się nie uśmiechnie, ani nie powie dobrego słowa biednej matce. Spotkałam go niedawno na ulicy, zachowywał się tak, jakby mnie nie znał.

– Rzeczywiście, oburzające – zgodził się Braun. – A wracając do Johanna...

– Johann – powiedziała pani Irmgarda i tym razem starała się wysilić pamięć – był przygaszony, tak jak poprzednich dni. Przyszedł ze szkoły, oczywiście na dzień przed zaginięciem. Rzucił w kąt teczkę, ledwie tknął pieczeń, a Kornelii przypadkowo udała się pieczeń. Dziwiłam się, że Johann, bo on miał przedtem dobry apetyt, z niesmakiem żuł kawałek mięsa i szybko poprosił o pozwolenie pójścia do siebie. Zapytałam, czy stało się coś złego.

Tylko uśmiechnął się blado i powiedział: „Nic, mamusiu”.

Mąż patrzył na niego surowo, a przecież na ogół nie okazuje zdenerwowania. Jest ciągle taki sam, dość uprzejmy i poważny. Powtarza, że ułatwia w taki sposób życie sobie i bliźnim. Nie uznaje żadnej słabości. Prawda, ostatnio było inaczej, irytowały go nastroje Johanna, wyrzucał mu chimeryczne zachowanie. „W twoim wieku powinno się kształtować umysł i siłę woli poprzez naukę, sport i pracę oraz czerpanie doświadczeń z postępowania starszych” – często tak mówił, a chłopiec zachowywał się wtedy, jakby nie słyszał słów ojca. Z kolacją było tak samo jak z obiadem. Johann pojawił się w jadalni, siadł za stołem, spojrzał na jedzenie i czekał tylko, aż będzie mógł wrócić do siebie.

– Nie próbowała pani porozmawiać z synem?

– Oczywiście, i to nie raz. Kiedyś Johann chętnie dzielił się ze mną swoimi problemami. Tym razem milczał jak zakłęty. Uśmiechał się smutno i powtarzał, że rozmawiał już z ojcem. Nie wiedziałam, co miał na myśli. Próbowałam zapytać Johannes'a tuż przed zaśnięciem, ale mąż leżał jak zabity. Przyrzekłam sobie, że z samego rana wymogę na Johannesie zdradzenie mi prawdy. Kiedy obudziłam się, mąż od dawna był w piekarni. Zajrzałam do pokoju Johanna, pakował się właśnie do szkoły. Był ubrany starannie, dostrzegłam, że przypiął do koszuli swój najlepszy kołnierzyk. Zdziwiłam się, bo to był zwyczajny, powszedni dzień. Podeszłam,

pogłaskałam syna po głowie, on nawet się nie opierał, choć od kilku lat uważał, że głaskanie jest dobre dla małego dziecka.

Ignaz czuł, że rozmówczyni straciła na chwilę ochotę do nawiązywania przyjacielskich stosunków. Uspokoił się; jego umysł pracował wreszcie na zadowalającym poziomie.

– Pani przeczuwała, że tamten dzień jest szczególny, prawda?

– Tak – odpowiedziała pani Irmgarda zdecydowanie, jakby spodziewała się pytania. – Wiedziałam, że coś się wydarzy. Ale niepokój mieszał się z ciekawością. Byłam... – szukała odpowiedniego słowa – zaintrygowana i nie sądziłam, że stanie się coś złego. Kto mógł przypuszczać, że dojdzie do porwania?! Gdybym wiedziała wcześniej!

– Powiedział coś, co mogło wzbudzić pani zaciekawienie?

– Nie, chyba nie. Zdziwiło mnie tylko, kiedy szepnął:

„Nie martw się, mamó, wszystko będzie dobrze”. Poszedł do szkoły, a ja zajęłam się drobnymi przyjemnościami. Odwiedziłam krawcową i sklep bławatny, przyjełam gościa i przeglądałam magazyn mód. Zdrzemnęłam się trochę.

Potem czekałam już na syna. Raz czy dwa zaglądał do domu Johannes. Tych kilka godzin uspokoiło mnie. Zapomniałam o przeczuciu czegoś wyjątkowego. Niestety, nie na długo. Mijały godziny i wieczorem wiedziałam już, że musiało wydarzyć się coś strasznego. Około godziny dwudziestej Johannes zabrał ze sobą kilku znajomych i całą noc szukał naszego syna. Przez te kilkadziesiąt godzin, akurat wtedy, choć nie widywałam męża prawie wcale, wiedziałam, że sercem jest przy mnie nieustannie. To dobry człowiek, tylko oschły.

– Jak dowiedziałem się z zeznań, wielką pomoc w poszukiwaniach syna okazał największy konkurent państwa piekarni. To rzadki przypadek, żeby ktoś bezinteresownie pomagał rywalowi.

Twarz pani Irmgardy rozjaśniła się. Ignaz dostrzegł, że kobieta musiała odczuwać wielką wdzięczność dla człowieka, o którym przez lata miała niezbyt pochlebne zdanie.

– Czas próby zmienił mój stosunek do pana Wenera Langego. Tyle lat walczył z nami, stosując niższe, niż należało, ceny pieczywa, mąż nie pozostawał mu dłużny i też starał się zdobyć klientów kosztem konkurenta. Ale kiedy pan Lange dowiedział się, co nas spotkało, w kąć poszły dawne urazy. Prawda, przez lata żyliśmy z Langem jak pies z kotem. W dodatku jego żona jest straszliwie skąpa...

– No cóż, obowiązki wzywają – wysłuchawszy opinii nadobnej kobiety na temat kilku osób z sąsiedztwa, Braun podniósł się z miękkiego fotela. – Mam jeszcze przed sobą, zanim na dobre zaczną się święta, wiele pracy. Bardzo dziękuję szanownej pani za łaskawe przyjęcie. Pozostaję nieopisanie zobowiązany za życzliwość i nieoszacowaną pomoc.

Zdezorientowana Irmgarda pobladła. Usta wygięły się w podkówkę, a oczy, zaszkłone wilgocią, z bezbrzeżnym zdumieniem i wyrzutem wbiły się w Ignaza. Okrągły wachlarz, do tej pory zwinięty w pulchnej dłoni, otworzył się i chłodził zaróżowioną od przemożnej chęci płaczu twarz.

– Jak pan może odchodzić! Zostanę sama w pustym domu, biedna i dotknięta nieszczęściem...

– Nikt nie jest do końca panem swojego czasu – sentencjonalnie odparł mężczyzna, rozłożywszy bezradnie ręce.

– Proszę mi wierzyć, że z największą ochotą zostałbym dłużej w pani przytulnym gniazdku, ale ojczyzna wymaga ode mnie ofiary.

– Niech pan tylko obieca, że odwiedzi mnie jeszcze.

Może tuż po świętach? Rozumiem, że byłoby niestosowne zaproszenie pana na wielkanocny obiad?

– To rzeczywiście nie jest możliwe, droga pani – przeraził się Ignaz. – Etyka zawodowa...

– Do widzenia, przyjacielu – uścisk na moment oplótł ramię policjanta. Kobieta była wyraźnie rozbita rezultatem wizyty. Kiedy została sama, wytarła jedwabną chusteczką zapłakane oczy i spojrzała tęsknie w okno wychodzące na Rynek, ale nie dostrzegła mężczyzny, który mógł dać jej wiele radości i pociechy. „Życie mogłoby być takie cudowne, gdyby ludzie nie byli ślepi na jego dary” – pomyślała pani Irmgarda i sięgnęła po „Modenwelt”.



Świat widziany z drugiej strony

Rozżalenie pani domu byłoby znacznie większe, gdyby wiedziała, że jej gość przemknął do kuchni i właśnie siedział na taborecie, wpatrzony w smukłe i zręczne palce panny Kornelii, nieustannie przebierające w konfiturach, rybich tuskach i mięsnych przetworach.

Czarna sukienka pokojówki i kucharki w jednej osobie osłonięta była białym fartuszkim, który w niewyjaśniony sposób zachowywał nieskazitelną czystość. Głowę panny osłaniał płócienny czepek, spod którego uciekały niesforne kosmyki brunatnych włosów. Jeden z takich kosmyków dwie godziny wcześniej ozdobiony był cukrem pudrem.

Dziewczyna szybkim ruchem zdjęła z przymocowanej do ściany drewnianej półeczki lampę naftową i zapaliła ją.

W kuchni zrobiło się wesoło i przytulnie. Dla tęskniącego za własnym domem mężczyzny widok kuchni tętniącej życiem zdawał się szczególnie piękny. Ignaz przyjrzał się mosiężnej maszynie do parzenia kawy, kolekcji tasaków, których trzonki zakończone były z jednej strony ostrzem, z drugiej wyobrażeniami konia albo krowy, uśmiechnął się na widok kamionkowych form na baby i znanych z dzieciństwa foremek do czekoladek w kształcie zajaczków.

O mało nie strącił garnka ustawionego na brzegu stołu.

– Nawet gdyby pan zbił, nic by się nie stało, po świętach będzie trzeba zanieść kilka rzeczy do druciarza – uśmiechnęła się panna Kornelia.

– Niech panienka sobie nie przeszkadza, chętnie popatrzę na przygotowywanie takich smakołyków. Przy okazji, ma się rozumieć, zadam kilka pytań...

– Pan komisarz pyta, ja się nie krępuję – dziewczyna sięgnęła po młynek do pieprzu. – Nie mam czasu nawet na kwadrans spokoju, nie usiądę z panem inspektorem przy stole, ale jestem do dyspozycji.

– Panienka podała bardzo smaczne ciasteczka anyżowe. Równie pyszne robiła tylko moja babcia – błogo uśmiechnął się Ignaz. – Nawet nie wie panienka, jaką radość mi sprawiła.

– Przeszkodziłam państwu w rozmowie, przepraszam – powiedziała skromnie bystra służąca.

Nić porozumienia między policjantem a służącą została nawiązana.

– Muszę panienkę uprzedzić, że oczekuję informacji prawdziwych. Nie sądzę oczywiście, że panienka mówiłaby rzeczy niezgodne z prawdą. Myślę o źle pojętej lojalności w stosunku do chlebodawcy, który, niekoniecznie winny, mógł zapomnieć o czymś, może krępuje się, może ma do ukrycia coś niezwiązanego ze sprawą. Lojalność wobec sprawiedliwości jest największym obowiązkiem praworządnego obywatela. Panienka to rozumie, jest przecież bystrą osobą.

Ignazowi wydawało się, że pochlebstwo podparte żywotnym interesem państwa najlepiej podziela na pannę Kornelię. Tymczasem dziewczyna spojrzała uważnie na Brauna i zareagowała wyraźnym rozbawieniem.

– Niech pan inspektor nie traktuje mnie jak dziecka.

Mamusia nauczyła mnie, żeby każdemu urzędnikowi powiedzieć prawdę, bez względu na konsekwencje. Kto powie prawdę, ma spokojne

sumienie. Przesłuchiwał mnie któryś z posterunkowych, miły chłopak, i jakoś przeżyłam.

Jak Bóg na niebie, nie powiedziałam niczego nieprawdziwego. A państwo Wendersowie? Mogę zeznać wszystko, co wiem, ale nie będzie tego wiele.

– Co w takim razie mogłaby panienska powiedzieć o Johannie, tym sprzed roku i tym sprzed zaginięcia?

Dziewczyna zamyśliła się.

– Co ja wiem o Johannie? Trochę wiem. Może nawet więcej niż jego rodzice? Oni mogą panu inspektorowi powiedzieć o wcześniejszych latach, wychowali go, ja znam sprawy, o których oni nie mają pojęcia. Chłopak traktował mnie jak koleżankę albo starszą siostrę. Orientował się, że wiem o jego drobnych grzeszkach, znałam kilka tajemnic, które są normalne w jego wieku. Dzięki temu liczył się ze mną i nie pomyślał nawet o traktowaniu mnie bez szacunku właściwego pracownikowi swoich rodziców – Kornelia dumnie podniosła kształną główkę.

– Nigdy nie próbował, proszę mi wybaczyć, zalecać się do panienki?

– A niechby się odważył! – uśmiechnęła się pokojówka. – Jestem uczciwą dziewczyną, a chociaż nie wszystkich zniechęca to do niewłaściwego zachowania, Johann wiedział, jakie są granice poufałości. Jak już powiedziałam, zdawał sobie sprawę, że mogę powiedzieć rodzicom o tym i owym...

– Na ten właśnie temat chciałbym porozmawiać – ucieszył się inspektor.
– Co miał do ukrycia przed rodzicami nasz zamordowany?

– W większości drobnostki, nic niezwykłego, ale pan

Johannes, a zwłaszcza pani Irmgarda, mogliby być zdziwieni. To był chłopak inny niż jego rówieśnicy. Lubiłam go na swój sposób, ale...

– Koniecznie z tym dopowiedzeniem: „na swój sposób” – melancholijnie uśmiechnął się Ignaz. Dziewczyna przytaknęła.

– Zżyłam się z tą rodziną przez dwa lata. Człowiek przyzwyczaja się do innych ludzi. Johann lubił mnie, może trochę mu się podobałam. A, miałam opowiedzieć o tajemnicach.

Pracująca cały czas Kornelia skończyła właśnie układać na półmisku dorodnego lina i starannie oblała go gęstą śmietaną. Zmęczona usiadła na wąskim taborecie i spojrzała w oczy gościa. Poderwała się nagle, zakrzętnęła i przed Ignazem pojawił się dymiący talerz z pożywną zupą.

– Ja będę mówić, a pan inspektor posili się.

Uśmiech na twarzy poczęstowanego wyrażał najwyższą wdzięczność. Panna Kornelia, urodzona gospodyni, z satysfakcją patrzyła na zjadającego zupę policjanta. Teraz mogła zacząć swoje opowiadanie.

– Panu inspektorowi smakuje zupa, to dobrze. Postna dzisiaj, bo ja jestem katoliczką i wolę na wszelki wypadek nie podawać mięsnych potraw ludziom, o których nie wiem, jakiego są wyznania. Moi państwo są ewangelikami, w dodatku pani bardzo nie lubi katolików. Jeżeli jest pan inspektor katolikiem, to lepiej nie przyznawać się. Zatnie się w sobie i już, po przesłuchaniu. No więc wracamy do Johanna. Uczył się dobrze, czasami uderzył jakiegoś kolegę, ale to jeszcze wcześniej, jak był mniejszy, słyszałam o tym od niego samego. Oberwał raz czy drugi, zwyczajna rzecz między chłopakami. A potem już nie bił się z nikim, tylko uczył się i spacerował po kalwarii. Nie miał zresztą żadnych przyjaciół, to dziwne, prawda? Ale chodził do panny Richter. Pary chyba nigdy by z nich nie było, bo moja pani bardzo nie lubi starego Augusta, to znaczy pana Richtera. Podobno miała na pieńku z nieboszczką rzeźnikową, a po jej śmierci przeszło na męża. Zresztą pan Richter nie lubił Johanna. Te plotki o synu państwa i Annie narobiły wiele złego. Johann był młody, jeszcze miał czas

na szukanie sobie żony, pewnie wybierał się do jakichś szkół w dużym mieście. Bóg zrządził inaczej.

– A tajemnice, o których panienka wspomniała? – upomniał się Ignaz.

– Właśnie do nich zmierzam, ale trzeba opowiedzieć wszystko od początku, jak się należy – pouczyła inspektora pokojówka. – Tak się przecież rozmawia z policjantami. Wiem, jak się robi przesłuchania, boja lubię powieści kryminalne. Czytam sobie kryminały przed snem, bo romansów czytać nie lubię. Wszystkie kończą się tak samo i to nie jest ciekawe. No więc gdzieś tak przed rokiem Johann zmienił się i ja pierwsza, nie chwaląc się, zauważyłam, że coś jest nie tak. Te jego wiersze stały się bardziej ponure, wcześniej zdarzyło mu się napisać o chmurkach i słończku, a tu nagle jakieś nietoperze, koty, krew, bukowe lasy. Dawał mi te swoje wiersze do przeczytania, bo był ciekaw, jak ludzie najrozmaitszych profesji reagują na jego wymysły. Tak przynajmniej mówił, ale ja myślę, że chciał w ten sposób zdobyć moje zaufanie. Czytałam kiedyś kryminał, w którym groźny przestępca zwierzał się pewnej osobie z części swoich tajemnic, żeby tamta nabrała do niego zaufania. Rozumie pan?

– Staram się, zresztą jestem policjantem – wesoło odparł inspektor. Zaczął coraz bardziej doceniać rozmowę z dziewczyną.

– Wie pan inspektor o zaginięciu, to znaczy o porwaniu tamtej dziewczynki z Sopotu przed rokiem?

Ignaz otarł serwetką usta. Napętnienie żołądka smaczną zupą wzmogło ciekawość zawodową.

– Czytałem akta w Wejherowie i Gdańsku. Przeprowadziłem ze dwie rozmowy. Tyle mogę zdradzić wielbicielce powieści kryminalnej.

– Więc nie muszę wprowadzać pana inspektora w sprawę. To dobrze, bo pan inspektor, jak każdy policjant, na pewno nie lubi długich mów. Johann napisał kilka wierszy o dziewczynkach, takich dziewczynkach

zmieniających się w dorosłe panny, spacerujących po kalwaryjskich drózkach. Czytałam te dziwne rzeczy, ale nie spodobały mi się.

Ja lubię wiersze o lesie, nawet o czymś tajemniczym, bo to i owo się przeczytało, i wiem, że trochę strachu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Ale w tych wierszach było coś obrzydliwego. Nie wprost, ale to ociekało jakąś lubieżnością. Ja jej nie widziałam, tej lubieżności, w literkach, ale czułam ją doskonale. A to czasami jeszcze gorsze. Matka nie czytała tych wierszy. Takie „W bukowym lesie” jest jeszcze grzeczne. Tytuł zapamiętałam, bo spodobał mi się.

Ciepły i tajemniczy równocześnie. Ten wiersz powstał właśnie w dniach, kiedy zaginęła Elza Hoffmanówna. Pani Wenders ciągle pokazuje ten wiersz każdemu, kto pojawi się w domu. O zaginięciu dziewczynki z Sopotu dowiedziałam się jeszcze tego samego wieczoru, bo jej krewny był znajomym pana Johannesesa. Johanna całe popołudnie nie było w domu. U panny Anny gościł krótko, wiem to od niej samej, bo potem miałam wychodne i szłam odwiedzić babcię, a ona, to znaczy panna Anna, spacerowała sobie i wdychała świeże powietrze na astmę. Martwiłam się o Johanna, no to zapytałam panienkę. Zresztą dwa wiersze o dziewczynkach już znałam, od razu pomyślałam o Johannie, że zrobił jakieś bezbożne głupstwo. Jak usłyszałam, że Johann przyszedł do panny Anny rozczochrany i roztargniony, przestraszyłam się nie na żarty. On i Elza!

Przeczytałam za dużo kryminałów, żeby nie mieć podejrzeń. Johann w końcu przyszedł do domu. Był jakby nieobecny duchem, ale nie rozpoznałam na jego twarzy okrucieństwa ani podniecenia. A jeśli ktoś porwał kogoś, to musi się zachowywać, jakby był zdenerwowany, prawda? Jeszcze później przyszedł pan Johannes, on często przychodzi z piekarni dopiero wieczorem. Pani Irmgarda zapytała męża, czy słyszał coś nowego o

zaginięciu, ale on odburknął i poszedł się umyć. Potem położył się do łóżka.

Klął cały wieczór, to znaczy w tych momentach, jak nikt nie słyszał. Tymczasem Johann zaprosił mnie na pogawędkę. Oczywiście, pani Irmgarda nie wiedziała o tych naszych pogawędkach, inaczej od razu zwolniłaby mnie bez żadnych referencji.

–”W bukowym lesie” naprawdę było grzeczne w porównaniu z innymi wierszami, tymi o panienkach?

Dla panny Kornelii pytanie było zadziwiająco naiwne.

Sądziła, że wytrawny policjant wiedział już o rzeczy tak oczywistej.

– Te dwa wiersze, które znałam wcześniej, i kilka późniejszych, były naprawdę podejrzane. Sądziłam, że pan je czytał. Wszystkie dotyczyły tego samego. Dziewczynki, krew, bukowy las, kalwaria, mówiłam już o tym. Ja się tam na wierszach nie znam, twardo chodzę po ziemi, ale jak się czyta któryś raz to samo, tylko opowiedziane innymi słowami, i tak mocno napisane, to wreszcie można się wystraszyć. Potem Johann już nie pisał takich wierszy.

Wszystkich razem było z pięć, może sześć. Były przechowywane razem. Te, które ma pani Wenders, są podobne, ale dużo przyzwoitsze. A dziewczynka się znalazła, podobno cała i zdrowa. No i chwała Bogu.

– Zgadza się – odparł Ignaz. – Niech panienka powie mi jeszcze, co stało się z tamtymi sześcioma wierszami?

Nie widziałem ich. Pani Wenders i nauczyciel Johanna udostępnili mi poezje chłopca. Rzeczywiście, pełno w nich odwołań do kalwarii i jakichś tajemniczych przeżyć, ale „obrzydliwości” znaleźć nie sposób.

Panna Kornelia pokiwała głową ze zrozumieniem, jakby oczekiwała takiego pytania.

– Kiedy Johann zaginął, starszy pan zaczął przeszukiwać pokój syna. Chciał odnaleźć jakiś ślad, który mógłby doprowadzić go do Johanna. Wywrócił pokój do góry nogami, czasami zaklął, zaglądał do szaf. Patrzyłam jak starszy pan znalazł zeszyt, bo przyszłam akurat z pytaniem od pani. Wiedziałam, co to za zeszyt, bo normalne wiersze Johann przechowywał w takim granatowym skoroszycie.

Pan inspektor ma właśnie ten granatowy, prawda? Tamten, trzymany przez starszego pana, był w bordowym kolorze. Ucieszony pan zaczął gorączkowo wertować zeszyt, a potem jak szalony mszył na dół. Trzasnęły drzwi prowadzące na zaplecze piekarni. Zeszyt wziął ze sobą, nie odpowiedział nawet na pytanie, które przekazałam. Byłam zdziwiona zachowaniem pana i nawet opowiedziałam o wszystkim starszej pani. Ale ona była jakaś nieobecna.

To znaczy, raz była nieobecna, a raz załamywała ręce i mówiła: „Dlaczego nie zdążyłam z nim porozmawiać, o ja nieszczęśliwa!”. Chciała zająć się czymś pożytecznym, zapełnić jakoś czas, ale nie bardzo jej wychodziło. Zajrzała do kuchni, przestawiła garnek, potem wróciła do siebie i przymierzyła taki piękny naszyjnik z ametystami, perłami i zielonymi granatami. Dostała go od pana na ostatnie Boże Narodzenie i podobał się jej bardzo. No więc ledwo założyła naszyjnik, zdjęła go i z płaczem rzuciła w kąt. Taki drogi naszyjnik! Szukała po całym domu rękawów do sukni, potem, za przeproszeniem pana inspektora, spódnicomajtek i ciągle pytała mnie, czy ich nie widziałam. Znowu załamywała ręce i powtarzała, że nie zdążyła z nim porozmawiać. Chodziła po domu w cieniutkiej, koronkowej lizesce i ostrzegałam ją, że przemarznie, bo na dworze wiało, jakby ktoś miał się powiesić, ale biedaczka była w takim stanie, że nie zwracała na chłód najmniejszej uwagi.

Spostrzegawczy policjant, wbrew swoim najlepszym intencjom, uśmiechnął się półgębkiem. Co stałoby się z pokojówką, gdyby Irmgarda Wenders usłyszała, że jest „starszą panią”?

– Czy potem w zachowaniu rodziców Johanna zauważyła pani coś, hm... niekonwencjonalnego?

– Nie, zachowywali się jak zawsze, nic szczególnego – bez namysłu odpowiedziała dziewczyna. – Spodziewałam się podobnego pytania i kiedy był pan na górze, dokładnie prześledziłam w pamięci wszystko, co warte było uwagi. Przy obowiązkach kuchennych myśli mi się najlepiej. Ale nie, nic osobliwego nie zauważyłam. Same okoliczności były niezwykle, ale ja z powieści kryminalnych wiem, jak zachowują się rodzice porwanego. Zachowywali się tak, jak należało. Szukający syna ojciec, czasami warczący, ale na ogół z kamiennym wyrazem twarzy, matka rozpaczająca i wylewająca z siebie litry, też wymagająca ciągłej opieki i zainteresowania. Przepraszam, że tak mówię, ale nic złego nie ma w tym, że ktoś potrzebuje opieki większej niż taka na przykład służąca. Potem były te makabryczne znaleziska. Ojciec obojętniał za każdym razem; może każdego dnia coraz bardziej przyzwyczajał się do myśli, że Johann nie żyje, a może coraz mocniej zacinał się w sobie. A pani Irmgarda głośno płakała. Dochodzi do siebie dzięki gościom. Lubi przyjmować znajome z Towarzystwa Biblijnego, przychodzi do niej taki asesor notarialny od pana Nowoczyna. Mnie się nie podoba, bo przypomina ledwie gimnazjalistę. Przynosi kwiaty i czekoladki, a starsza pani lubi kwiaty i czekoladki. Często siada w swoim fotelu bujanym i zajada się czekoladkami.

W dzień, kiedy zagiął Johann, ten asesor też był u pani.

Niepowstrzymany już teraz uśmiech rozjaśnił twarz Ignaza. Inspektor był zadowolony. Wiedział, że wszystko, co pannie Kornelii wydało się

ważne, usłyszał przed chwilą. Sprawy zakryte przed pokojówką należało odsłonić za pomocą innych źródeł oraz intuicji.

– Jestem pod wrażeniem rozmowy z panienką – powiedział szczerze – a i zupa była doskonała. Nie spodziewałem się, że w ten postny dzień zjem coś równie doskonałego.

– Pani uwielbia jeść i ma wymagające podniebienie.

Zresztą lubię kuchnię i staram się, żeby gościom smakowało.

– Panienka jest prawdziwym skarbem – ponownie szczerze powiedział Ignaz.

Oboje znajdowali się przy wyjściu. Inspektor nie wykluczył, że policja może jeszcze potrzebować zeznań osoby tak blisko związanej z domem, który dotknęła tragedia.

Przygotowana na takie stwierdzenie pokojówka posłusznie skinęła głową. Na chwilę przed swoim wyjściem policjant z szacunkiem ucałował dłoń dziewczyny pachnącą migdałami i śmietaną. Dla panny Kornelii był to wstrząs.

Dotychczas nikt poważny nie potraktował jej z takim szacunkiem. Czeladnik fryzjerski Eryk i rymarz Józef, mili chłopcy wkraczający dopiero w dorosłe życie, zapraszali ją na potańcówki i nawet niezgrabnie porywali śniadą i smukłą dłoń do swoich ust wilgotnych od piwa, ale pożegnanie inspektora Brauna uświadomiło dziewczynie jaskrawiej niż cokolwiek innego, że istnieje świat lepszy od tego, jaki na co dzień oblepia zwyczajnością każdą minutę jej życia.

W powieściach kryminalnych czytanych w łóżku po całodniowym znoju pojawiały się postaci z tamtego, lepszego świata, ale były tak odległe i nierzeczywiste, że panna Kornelia nie sądziła, że kiedykolwiek spotka człowieka jakby przeniesionego jakąś tajemną siłą z książki do realnego życia. Pokojówkę otaczali ludzie pragnący uchodzić za przedstawicieli

lepszego świata. Pani Irmgarda dbała o wielkomiejski wystrój salonu, kupowała stroje mogące spodobać się w Sopocie albo nawet w Kaltenleutgeben, ale niekiedy ujawniała się druga twarz chlebobawczym, wyrosłej pośród drobnych handlarzy starzyzną i najemnych robotników rolnych. Wniwecz obracały się wtedy żmudne starania i codzienne, mozolne budowanie wizerunku istoty stworzonej do brylowania w dobrym towarzystwie. Przed godziną dziewczyna uchroniła inspektora przed niestosownymi zalotami pani Irmgardy. Zrobiła to instynktownie, może dla siebie samej, choć wiedziała, że policjant z Berlina nigdy nie zainteresuje się prostą służącą.

Niepoczyszona Kornelia wyraziła wobec samej siebie żal, że była jedynie pokojówką. Jakże przyjemnie byłoby pójść z podniesioną głową na spacer w towarzystwie takiego dystyngowanego pana... Ile ciekawych historii kryminalnych mógłby opowiedzieć inspektor Braun! Może nawet zdecydowałby się zaprosić ją na karnawałowy bal, taki prawdziwy, z loterią fantową i walczykami? Stanowczo świat jest urządony niesprawiedliwie, pomyślała. Nie sympatyzowała oczywiście z ruchem socjalistycznym, mierzyły ją hasła o równości i powszechnym dzieleniu bogactw.

Umysł dziewczyny dręczyły tęsknoty zgoła odmienne. Marzyła o wejściu do klasy zajmującej wyższy szczebel drabiny społecznej. Socjaliści przeszkadzali jej jako osobie ubogiej, chcąc zlikwidować klasę, o której marzyła; gdyby była bogata, socjaliści przeszkadzaliby Jaśnie Paniencie Kornelii jeszcze bardziej.

Przepełniona refleksjami natury społecznej i obyczajowej pokojówka w melancholijnym nastroju poszła na górę i zapytała swojej pani, czy nie podać już lekkostrawnego bulionu.



Droga krzyżowa

Przed domem Wendersów czekał na Ignaza skruszony posterunkowy Myszk. Podszedł nieśmiało i zaczął przeproszać za, co prawda niezawinione, pozostawienie inspektora samemu sobie w rękach pani Irmgardy. Dowiedział się, że Braun nie pojawił się ani w hotelu, ani w komisariacie, musiał więc przebywać jeszcze w domu niebezpiecznej kobiety.

– Anioł stróż czuwał nade mną. Tymczasowo przybrał wdzięczną postać panny Kornelii, służącej Wendersów.

Dziewczyna weszła w najbardziej pożądanym momencie.

Zostałem uratowany...

Ignaz szczegółowo opowiedział Antonowi o zeznaniach pani Irmgardy i pokojówki. Kiedy zakończył, obaj policjanci uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo i równocześnie pokiwali głowami.

Tymczasem miasto zaczynało już żyć zbliżającymi się uroczystościami wielkopiątkowymi. Nikt nie spacerował, wszyscy spieszyli w najrozmaitszych kierunkach. Kobiety dźwigały wielkie torby pełne produktów niezbędnych do przyrządzania wielkanocnych smakołyków, mężczyźni natomiast, zawsze tak chętni do ulicznych pogawędek ze znajomymi, uchylali tylko w pośpiechu kapelusze i meloniki, obdarzali się

wzajemnymi ukłonami pełnymi zdawkowego szacunku i czym prędzej ruszali do domów. Dzieci patrzyły z radosnym oczekiwaniem na ten niepowtarzalny rozgardiasz, marząc już zapewne o szukaniu w wielkanocny poranek słodczy ukrytych w ogrodzie. Szczęśliwa godzina znalezienia czekoladek, cukierków i wielkich kawałów marcepanu zbliżała się wielkimi krokami.

Policjanci od momentu spotkania pod domem piekarza rozmawiali około dwóch kwadransów.

– W każdym razie będziemy mogli spokojnie pójść na drogę krzyżową – z ukontentowaniem westchnął posterunkowy. – Wszystko dobrze się skończyło. Stara Hohstein uspokojona, a pan inspektor uratowany w ten święty dzień. Bóg czuwał, widać to jak na dłoni. Pozwoli pan, że odmelduję się, zgodnie z wcześniejszą prośbą. Muszę jeszcze pójść do komisariatu i spisać protokół z akcji, no a potem pędzę do domu, zjem kawałek suchego chleba i ruszam z żoną i dziećmi na kalwarię. Może zobaczymy się, jak Bóg da, przy którejś z kapliczek? Chociaż znaleźć kogoś na kalwarii w Wielki Piątek, to jak dokopać się do igły w stogu siana.

– Zobaczymy się na pewno jutro o ósmej – przypomniał Ignaz. – Plany na sobotę zostają utrzymane, wiedza dzisiaj uzyskana potwierdza jedynie potrzebę wcielenia ich w życie. Do widzenia, Antonie. Pozdrów ode mnie serdecznie swoją rodzinę.

Mężczyźni ruszyli w przeciwne strony.

Dochodziła godzina piętnasta. Braun, ubrany równie odświętnie jak dzień wcześniej, pojawił się przed kościołem Świętej Anny. Tłumy ludzi, znacznie większe niż w Wielki Czwartek, próbowały dostać się do wnętrza świątyni, ale dla wielu było to już niemożliwe. Przepuszczano panie w podeszłym wieku i inwalidów, młodszy i zdrowi musieli znaleźć miejsce na zewnątrz, w obrębie murów przed kościołem. Nad tłumem zgromadzonym

przed świątynią czuwały na fasadzie, zamknięte w starym fresku, Matka Boska i święta Anna.

Przybyły na ostatnią chwilę Ignaz nie znalazł się w gronie szczęśliwców uczestniczących w wielkopiątkowym nabożeństwie przed ołtarzem. Stał w odległości kilku metrów od wejścia do kościoła. Kiedy kończyły się gorzkie żale, płaszczami i kapeluszami zgromadzonych na zewnątrz targnął porywisty wiatr, taki sam, jaki przeszedł nad miastem w Niedzielę Palmową. Godzinę wcześniej na dachy, ulice i nagie konary drzew spadł ciężkimi kroplami krótki, dotkliwy deszcz. Czarne chmury pojawiły się nagle i nagle zniknęły. Wiatr pozostał w okolicy i co parę minut przypominał o sobie wściekłymi podmuchami. „Rozdarła się zasłona w świątyni, było trzęsienie ziemi i umarli wstawali z grobów” – pomyślał Ignaz i wsłuchał się w dźwięk kołatek dobiegający z wnętrza kościoła. Nie zważał na nieustanne popychanie przez ludzi spragnionych zbliżenia się choć o metr czy dwa do misterium ofiarnego rozgrywającego się przed ołtarzem. Skupił się na treści słów ledwie dochodzących do uszu i łączył w myślach całą tajemnicę odkupienia, której stał się uczestnikiem, z morderstwem dokonany niedawno. Oba światy nachodziły na siebie i, krańcowo odmienne, uzupełniały się w zadziwiający sposób. Nim nastąpiło przeniesienie Najświętszego Sakramentu do grobu, wewnątrz kościoła odbyło się odsłanianie krzyża. Na placu przed świątynią dochodziły powtarzane słowa: „Oto drzewo krzyża, na którym zawisło zbawienie świata”.

„Oto drzewo krzyża, na którym zawisło zbawienie świata”.

„Oto drzewo krzyża...”

Dźwięk kołatek znów przeszył powietrze. Tłum zafalował. Od strony drzwi zaczął rosnać pomruk dziesiątek butów szorstko głaszczących posadzkę. Wierni stojący najdalej od ołtarza zaczęli wychodzić z kościoła.

Ludzie stojący przed świątynią rozstąpili się na boki. Wreszcie pojawił się orszak księży, z setek gardeł rozległo się pod niebo

„Adi, mój Jezu”. W zebranych uderzył podmuch lodowatego wiatru, ale zaraz zaświeciło silnym blaskiem słońce, coraz śmielej wyglądające zza sinych kłębow chmur.

Formującemu się w pochód potokowi ludzkiemu przyglądali się z okien pobliskich kamieniczek gapie. Ignaz nie myślał, czy to chorzy niemogący uczestniczyć w drodze krzyżowej, czy też miejscowi luteranie. Przyczyny pozostania ich w domach zdawały się nieistotne. Widok głów, okolonych białymi ramami okien, wydał się policjantowi obcy i nierzeczywisty. Tamci ludzie, wykluczeni poza nawias misterium, zdawali się należeć do innej rasy, innego porządku, innej rzeczywistości. Zdziwiony dysonansem Braun nieraz jeszcze obejrzał się za siebie, potem już tłum wiernych porwał go w stronę kalwarii. Nurt, spokojny, lecz stanowczy, miarowym pulsem płynął w stronę bukowych wzgórz.

W oddali zamajaczyła wyrazistą bielą kaplica Pałacu Piłata. Ignaz razem z tysiącami ludzi wszedł po stromej skarpie na wzgórze, ale nie mógł zobaczyć kaplicy z bliska. Wierni z czoła procesji szczelnie obiegli pierwszą napotkaną, widomą oznakę obecności Chrystusa na drodze krzyżowej i, zatopieni w modlitwie, zagradzali pozostałym dostęp do wnętrza. Zdawało się, że pragną zmyć z siebie obojętność i sceptycyzm Piłata, będący ich własną obojętnością i własnym sceptycyzmem, nagromadzonymi przez cały rok, przez całe życie.

Ruszono do następnej kaplicy. W dole od niepamiętnych czasów stała budowla poświęcona spotkaniu Chrystusa z Matką. Barokowe dostojęstwo i równocześnie ciepło budowli spodobało się Ignazowi, który przeszedł pod dachem kaplicy razem z dziesiątkami wiernych, dla których wcześniej nie znalazło się miejsce w siedzibie rzymskiego dostojnika. Procesja księży i

skupionych wokół nich ludzi zbliżała się dopiero do kaplicy Spotkania, Braun miał więc nieco czasu na dokładniejsze obejrzenie ścian i detali architektonicznych. Wreszcie odszedł kilka metrów dalej i patrzył na spływający w dół niekończący się tłum otaczający postacie w fioletowych ornatach i białych komżach.

Żywa wstęga, szepcząca „Zdrowaś Mario...”, porwała Ignaza w stronę następnych kaplic. Na kalwaryjskich wzgórzach nie było porywistego wiatru. Szumiały cicho korony olbrzymich buków, niekiedy przechylały się chwiejnie na różne strony, ale w dole panował spokój. Ludzie wędrujący po drózkach okryci byli niewidzialnym płaszczem ciszy i pokoju. W ich duszach narastało napięcie; zbliżali się do miejsca i czasu, w którym ukrzyżowany zostanie Chrystus. Nad wewnętrznym niepokojem rozpościerała się bezpieczna przestrzeń losu, wyłączona spod władzy praw ludzkich i osobliwie kontrastująca z nastrojem Wielkiego Piątku.

Kolejne pokolenia szły każdego roku tą samą drogą przykrytą dywanem szarobrazowych zeszłorocznych liści i każdego roku czas ulegał zawieszeniu. Nie istniało stulecie siedemnaste, osiemnaste i dziewiętnaste. Największa Tajemnica przekazywana młodym przez starych świeciła odsłoniętym i coraz wyrazistszym blaskiem, uobecniona w jaskrawej rzeczywistości drogi na Golgotę.

Kontemplacja drogi krzyżowej nie stępiła zmysłów Ignaza. Słyszał modlitewne szepty, widział kapliczki, omijał ciemnoszare korzenie wyciągające pokręcone szpony w kierunku tłumy wiernych, dotykał przez tkaninę płaszcza i zamsz rękawiczek koniuszki gałązek ciekawych przechodzącego tłumy.

Widział biedę odzianą w poszarzałe łachmany i bogactwo pyszniące się wytwornymi paltami, kapeluszami z pękami owoców i koronkami z najlepszych składów. Tak musiała wyglądać pierwsza droga na Golgotę.

Nędzarze i bogaci kupcy, przez chwilę nieróżniący się od siebie niczym, zespoleni w trwodze i oczekiwaniu.

Tłumy wchodziły na szczyty pagórków i stromiznami spływały w dolinki wypełnione brunatną masą zwiędłych liści. Przed Ignazem zamajaczyła niewielka z początku, potem coraz wyrazistsza kaplica wyniesiona nad wysokie wzgórze. Obok szła niewysoka staruszka prowadząca za rękę kilkuletniego chłopczyka w wielkim kaszkiecie. Opowiadała dziecku o kaplicy. Słuchając staruszki, Ignaz dowiedział się, że ma przed sobą „Bramę łez”, symbolizującą drugi upadek Jezusa.

Nagle znieruchomiał. Kilka metrów przed nim szła kobieta, której postać widywał ostatnio często, kiedy zamykał zmęczone trudami całego dnia oczy. Jakiś mężczyzna popchnął go delikatnie do przodu. Ignaz ruszył bezwiednie, ale nie spuszczał wzroku z szarobłękitnego płaszcza i gustownego kapelusza, które zapamiętał z pociągu.

Minięcie kilku osób okazało się niełatwe. Panująca wokół ciasnota pozwalała jedynie na mimowolne poruszanie się w tempie płynącego jednostajnie tłumy. W Ignaza wstąpiła niezwykła determinacja. Ruszył do przodu, deptając buty sąsiadów. Czuł, że spotkanie nieznajomej z pociągu nie mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności. Wiedział już, że to właśnie ją dostrzegł w farze podczas obchodów Niedzieli Palmowej. Wszystko wydało się nagle oczywiste, łatwe i nieuniknione. Kobieta szła przed nim i jej obecność zdawała się całkiem naturalna. Z każdą chwilą w sercu Ignaza rosła radość. Mógłby przenosić góry, schwytać mordercę Johanna i jeszcze kilku innych przestępców, wszystko dla nieznajomej, która idzie tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

Płaszcz Ignaza musnął płaszcz nieznajomej, ten sam, który policjant pomógł założyć towarzyszce podróży przed stacją w Lęborku. Przez chwilę

szli obok siebie. Kobieta, tknięta przecuciem, obróciła głowę w kierunku Ignaza.

Zdumienie na jej twarzy szybko ustąpiło uśmiechowi. Skłoniła lekko głowę na przywitanie, mężczyzna zdjął kapelusz. Nieznajoma chciała podać dłoń do ucałowania, ale jej ręka uwięzła między dwoma chłopcami idącymi z przodu. Chłopcy obejrżeli się i roześmiali. Uwolniona dłoń powędrowała w kierunku wniebowziętego Ignaza.

– Był pan bardzo miły, kiedy wysiadałam z pociągu – szepnęła nieznajoma. – Niech pan powie, czy świat nie jest mały?

– Na szczęście jest mniejszy niż można by przypuszczać – odpowiedział przejęty. – Łaskawa pani pozwoli, że się przedstawię. Ignaz Braun, inspektor policji. Przebywam w Wejherowie służbowo, prowadzę śledztwo. Mieszkam w Berlinie, stąd nasze spotkanie w pociągu.

Słowom mężczyzny towarzyszyło zdumienie rozmówczyni.

– Pan Braun?! Słyszałam o panu od cioci. To znaczy – młoda dama poprawiła się – w całym mieście mówi się o panu. Bernadeta Sychowska. Nie ciocia, oczywiście.

Moje nazwisko tak brzmi.

– Jakże mi miło – powiedział Ignaz. – Pozwoli pani, że będę jej towarzyszył na drózkach?

Tak oto przeplatają się w ludzkim życiu chwile zadumy z chwilami radości, a sprawy ostateczne z przyziemnymi. Pobożny inspektor szedł na drogę krzyżową pełen uniesienia pasyjnego, natomiast po godzinie od wejścia na kalwaryjskie wzgórze jak w obraz wpatrzony był w pannę Bernadetę. Widział wszystkie kapliczki, które dane mu było nawiedzać w towarzystwie młodej damy, i potrafiłby przypomnieć sobie po kilku tygodniach wiele szczegółów architektonicznych poszczególnych kaplic, ale skupienie i modlitewna powaga ustąpiły przed zainteresowaniem

kobietą, której jeszcze do południa nie spodziewał się zobaczyć już nigdy. Oczywiście, zapytany przez wnikliwego spowiednika, przysięgłby natychmiast, że nadal jego myśli koncentrowały się na modlitwie i zadumie, ale zaraz przy szłaby refleksja weryfikująca solenne zapewnienie.

Może było też tak, że Ignaz nie mógł odróżnić radości z uczestnictwa w nabożeństwie od radości, jaką dawała mu obecność panny Bernadety. Nie definiował stanu swojego ducha, nie roztrząsał, jak doktor Gessler, każdego elementu składającego się na obraz człowieka. Żył chwilą i oddychał pełną piersią.

Procesja minęła stację XI, kapliczkę „Przybicie do krzyża”. Oczom wiernych ukazał się kościół Trzech Krzyży.

Świątynia wielkością i bogactwem odbiegała od perełek stworzonych niegdyś ludzką ręką i rozrzuconych po całej kalwarii; piątkowego popołudnia stanowiła centrum wszechświata. Słońce, blade i nieśmiałe, zamierzało już chować się za nagie konary drzew, ale pieściło jeszcze ostatkiem nadwątlonych przez długą zimę sił ściany kościoła. W dole majaczyły nikłe światelka miasta, coraz wyraźniej widoczne w szarzącym powietrzu. Panna Bernadeta wskazała Ignazowi te iskierki majaczące u podnóża kalwaryjskich wzgórz.

– Niech pan spojrzy, trochę w lewo od tej zakrzywionej grubej gałęzi mieszka moja ciocia. Jestem u niej od kilku dni i będę przez całe święta.

– Wybacz pani, ale czy jest możliwe, że widziałem panią na niedzielnej sumie w tutejszej farze?

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny.

– Zauważył mnie pan? Przebywam w Wejherowie od niedzielnego poranka. Biedna ciocia ma problemy z sercem i rodzice przykazali mi zaopiekować się nią. Natomiast ja dostrzegłam pana we wtorek, szedł pan Lęborską z jakimś policjantem, zdaje się rumianym blondynem.

Rozmowa przerywana była stanowczymi napomnieniami ze strony zgorszonych ludzi stojących obok policjanta i jego rozmówcy. Ignaz pragnął dowiedzieć się jak najwięcej o panie Bernadecie, ale nie zamierzał stosować technik używanych przy prowadzeniu przesłuchań.

Nie mógłby potem spojrzeć sobie w oczy. Na szczęście okazało się, że młoda dama należała do osób lubiących mówić.

Najwcześniejsze lata panna Sychowska spędziła w Wejherowie. Potem ojciec, urzędnik kolejowy, otrzymał awans na naczelnika stacji w Lęborku. W mieście swojego dzieciństwa panna zostawiła wielu krewnych i pierwsze przyjaciółki. Wracając do Wejherowa często, spotykała się z bliskimi, przemieszkiwała wtedy u cioci. Panna Bernadeta miała kilkuletnią siostrzyczkę, tę samą, którą Ignaz widział podczas pamiętnej podróży koleją żelazną. Wtedy to córka naczelnika lęborskiej stacji wracała ze Słupska, gdzie gościła z siostrą u przyjaciółki, córki słupskiego urzędnika kolejowego. Ignaz zapytał żartobliwym tonem, czy panna zechce nadal rozmawiać z człowiekiem, który nie jest kolejarzem. Odpowiedzią był śmiech cichy na tyle, aby nie obudzić w stojących obok wiernych większego, niż dotychczas, zgorszenia.

– Pan raczy żartować. Ależ ja od dziecka chciałam poznać prawdziwego policjanta. Nie wiem, czy ma pan świadomość, że miasto rozmawia nie tylko o nadchodzących świętach, dewaluacji marki, zabójstwie młodego Wendersa, ale również, w jego kontekście, o panu. Wspominałam na samym początku... Gość z Berlina to nie byle kto! W dodatku ta odezwa cesarza! Mówi się, że właśnie pan, dzięki osobistym kontaktom z monarchą... Pan się śmieje, ale tak sądzą wszyscy.

– Proszę się uciszyć, tu się modli – zasyczał ktoś po niemiecku.

Młoda dama i Braun spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Rozmowę należało wstrzymać na kilkanaście minut. Nad obojgiem wisiała na długiej

szyi głowa starszej kobiety w ogromnym kapeluszu ozdobionym różnymi owocami południowymi.

Słońce nad kościołem Trzech Krzyży wbrew prawom przyrody jeszcze raz zaświeciło silniejszym blaskiem. Stojący przed świątynią księża, zatopieni w skupieniu, wyglądali jak posągi wykute za czasów Jakuba Wejhera i ozdobione żywymi roślinnymi farbami przez siedemnastowiecznego mistrza. Kiedy było się przybyszem z dalekiego miasta, właśnie w takim momencie przychodziła świadomość, że dzięki Kalwarii nawiązuje się nienazwana więź z miejscem, które jeszcze nie tak dawno istniało jedynie w wyobraźni. Urzeczony Ignaz patrzył na białe ściany kościoła; obok stała panna. Pragnął, aby ta chwila trwała jak najdłużej.

Barokowa, wykuta w piaskowcu kaplica „Grób Pana Jezusa” stanowiła zakończenie drogi krzyżowej. Ignaz nie spotkał posterunkowego Myszka ani jego rodziny, nie zobaczył też żadnej znanej sobie postaci. Tamten wieczór należał do jednej osoby.

Ze wzgórza spływała fala wiernych. Tłumione przedtem rozmowy wybuchły z nadzwyczajną siłą. Panna Bernadeta, podtrzymywana przez mężczyznę, zeszła wolnym krokiem po brunatnej stromiźnie i przystanąła u podnóża lesistego wzniesienia. Jej złocone okulary zaparowały, od zarumienionej twarzy biło ciepło. Z kieszeni płaszcza

Ignaz wydobył zamszową ściereczkę. Młoda dama z uśmiechem zdjęła okulary i podała je do przetarcia.

– Nie przypuszczałam, że mogę spotkać pana akurat na kalwarii. Właściwszym miejscem dla inspektora Brauna byłby komisariat. W tle portret cesarza, powaga urzędu poraża przestępcę gnębionego ogniem krzyżowych pytań...

– Policjant też jest człowiekiem – znacząco odparł inspektor Braun. – Widzi pani, ja rzadko siedzę za biurkiem. Metoda jest kluczem do osiągnięcia celu. Moją metodą jest rozmowa z przesłuchiwanym w miejscu, które stanowi dla niego naturalne środowisko. Niektóre podręczniki mówią, że świadek pod wpływem właśnie powagi urzędu i obecności w obcym dla siebie komisariacie zaczyna się gubić i łatwo wydobyć z niego istotne fakty, które przemilczałby w innej sytuacji. Ja sądzę inaczej.

Uśpić świadka, oto jest metoda. W naturalnym otoczeniu niemal każdy czuje się bezpieczniej i w pewnym momencie zaczyna bezwiednie zwierzać się ze spraw co najmniej nieoficjalnych. Przemierzam więc okoliczne zaułki, odwiedzam domy i rozmawiam z ludźmi. Jestem uczciwy, ponieważ przesłuchiwany wie, że jestem policjantem.

– Mnie też pan właśnie przesłuchuje? To straszne! – z udaną trwogą zapytała panna Bernadeta.

– Ależ łaskawa pani! – odparł Ignaz.

Rozmawiając wesoło i idąc wolnym krokiem, dotarli wreszcie na ulicę Kalwaryjską. Tutaj mieścił się niewielki, ładny dom, w którym zatrzymała się u cioci młoda dama.

Pomalowane niedawno białe ramy okienne, wtopione w czerwony ceglany mur, zapraszały do ogrzania się we wnętrzu domostwa. W jednym z okiem paliło się blade światło.

– Oto królestwo mojej cioci. Mimo słabego zdrowia jest bardzo pracowita. Pewnie siedzi teraz przy stole, trzymając w ręku igłę i nici. Wykonuje określone prace dla tutejszego mistrza kapeluszniczego, chociaż czy już nie te, co dawniej. Wygodnie mi u niej, no i mogę trochę odpocząć od siostrzyczki. To bardzo dobre dziecko, ale nie wyobraża pan sobie, jak ciekawe życia... Mój ojciec powtarza, że w jej wieku zachowywał się tak

samo. Nie ma chwili, żeby Rozalki nie należało pilnować. W przeciwnym razie może wydarzyć się coś niedobrego.

– Zdawała się grzecznym dzieckiem. Miałem już przyjemność poznać pośrednio tę przemiłą istotę.

– Prawda, w pociągu. Ale Rozalka w miejscu publicznym jest o wiele spokojniejsza. Kiedy znajdzie się wśród osób sobie znanych, zachowuje się nieco inaczej.

– Tak jak moi przesłuchiwni – roześmiał się Ignaz.

Nagle panna Bernadeta spoważniała. Nie uszło jej uwagi, że spojrzenia inspektora raz za razem pieszczą jej twarz. Ponownie zdjęła okulary i przetarła je zamszową skórką.

– Jak zamierza pan spędzić święta? Przypuszczam, że miejscowa śmietanka towarzyska nie dopuści, aby gość z Berlina miał przesiedzieć Wielkanoc w hotelowej restauracji.

– Nie, nie mam żadnych planów – zaprzeczył żywo.

– Nikt, z jednym wyjątkiem, nie chciał narazić siebie i rodziny na znalezienie się w dwuznacznej sytuacji. Moi „podopieczni”, to znaczy przesłuchiwni, należą do tejże śmietanki i nie odważyliby się zaproponować mi spotkania towarzyskiego. Ich znajomi wolą wystrzegać się kontaktów z osobą, która pełni w Wejherowie tak szczególną misję. Być może trafię na godzinkę lub dwie do posterunkowego Myszka. Rumiany blondyn, o którym łaskawa pani wspomniała. Ma sympatyczną rodzinę.

Zadziwienie nie opuszczało Ignaza. Sądził przedtem, że nieśmiałość unieruchomi całkowicie jego umysł. Obawiał się drżenia rąk, mówienia rzeczy niestosownych czy mało sensownych, przerażenie ogarniało go na myśl o rozmowie z kobietą, na której mogło mu zależeć. Tymczasem obecność panny Bernadety nie wywoływała zakłopotania.

Szybsze bicie serca spowodowane było radością.

– A może zaszczyliłaby mnie pani swoim towarzystwem w któryś ze świątecznych dni? Proszę nie odmawiać...

Młoda dama, która poniekąd wywołała propozycję inspektora, spodziewała się takiego pytania i taktownie udała lekkie zaskoczenie.

– Muszę pomyśleć. Mama i ojciec przyjadą z Rozalką jutro o osiemnastej trzydzieści cztery (proszę się nie dziwić mojej dokładności w oznaczaniu godzin przybycia pociągu, wychowałam się na kolei), sobota to dzień ostatnich przygotowań do świąt. Rodzice wyjeżdżają w poniedziałkowe popołudnie... Może w niedzielę? O szesnastej? Niech pan czeka na mnie przed farą. Muszę już iść, obiecałam cioci, że pójdę z nią do kościoła na adorację. Ciocia nie wyobraża sobie, żeby chociaż na chwilę nie uklęknąć dzisiaj przed Grobem Pańskim.

Przejęty Ignaz długo patrzył na zamknięte za panną

Bernadetą drzwi. Nie czuł wieczornego chłodu. Dobę wcześniej spacerował po zasnutych mrokiem uliczkach w towarzystwie Anny Richter. Córka rzeźnika była piękną młodą kobietą, powinna podobać się Ignazowi. Zawsze doceniał urok takich istot. Inteligentnych i nieco melancholijnych. W panie Richter było jednak coś, co sprawiało, że inspektor bałby się otworzyć przed nią serce. Była zresztą świadkiem, który wiedział znacznie więcej niż mówił.

Szczególny był to dzień. Rozpoczęty spotkaniem z panią Irmgardą czyhającą na niewinność policjanta. Kulminacyjnym momentem miała być droga krzyżowa. Golgota stanowiła początek centrum i przedostatni etap dotychczasowej historii zbawienia, była dramatycznym preludium do radosnego święta. Ignaz pojął to dopiero w piątkowy wieczór w Wejherowie. Przez lata spędzone w protestanckim Berlinie przyzwyczyił się, że dla kolegów z Wydziału

Zabójstw, urzędników, robotników i sklepikarzy Wielki Piątek był najważniejszym dniem uroczystości wielkanocnych; wartość ofiary przewyższała jej rezultat. Podskórnie czuł, że wśród katolików dominowała radość oczekiwania na największe święto, na zresurekcję. Dla niego samego, tak jak dla wiernych z kalwarii, droga krzyżowa zakończyła się kiełkującą na dzień serca nadzieją i stanowiła zapowiedź wielu cudów.



Wyznanie murarza

Bradość na twarzy Ignaza widoczna była dla każdego, kto w sobotni rano napotkał elegancko ubraego funkcjonariusza spieszącego na posterunek.

Inspektor próbował nucić pod nosem „Ogrodzie oliwny”, ale pieśń w niepojęty sposób zmieniała linię melodyczną.

Przechodziła we fragment arii Donizettiego.

– Witam szanownego komisarza, czy przygotowania do świąt idą pełną parą? – wesoło zapytał Ignaz.

– Tak. To znaczy musiałbym zapytać żony. Ja z zasady rzadko przed świętami bywam w domu. Wolę wtedy pograć sobie w faraona z dobranym gronem przyjaciół.

Dom dzisiejszego dnia to jak szkoła policyjna pod Hamburgiem, wiadomo, że efekt jest pozytywny, natomiast dojście do tego efektu wiąże się ze znojem i trudem. Ale święta świętami, a ja mam dla pana inspektora ciekawą informację. Za pół godziny przybędzie do nas niejaki Andreas Scholl, murarz. Wczorajszego popołudnia zgłosił posterunkowemu gotowość złożenia zeznań w sprawie Johanna Wendersa. Uznałem za nieodzowne, aby pan inspektor uczestniczył w przesłuchaniu.

– A któż to jest?

– Chodząca skarbnica wiedzy o mieście. Interesują go wszyscy. Każdy drobiazg potrafi rozebrać na części pierwsze. Tak, bezcenny przypadek, aż dziw, że wcześniej nie zgłosił się na policję. To znaczy do nas.

Progi gabinetu komisarza przekroczył człowiek z nieproporcjonalnie dużą głową. Wąskie ramiona i cienka szyja podtrzymywały bezcenny ciężar z niemałym trudem.

Mimo to głowa pana Andreasa Scholla była niezwykle ruchliwa. Świadek, zanim grzecznie usiadł na krześle, obejrzał dokładnie gabinet i obecnych w nim oficerów. Bezwstydna ciekawość połączona z unізonością zdała się Ignazowi nad wyraz komiczna. Co prawda nie było tego dnia rzeczy, która mogłaby wprowadzić inspektora w zły nastrój.

– Cieszę się, panie Scholl, że wreszcie zaszczyił nas pan swoją wizytą. Szkoda, że tak późno.

– Nie lubię pośpiechu, panie komisarzu. Pośpiech jest zmorą świata. Przez uciekający czas dochodzi do wypadków na kolei żelaznej, przez niego wynaleziono automobilizm i ludzie coraz częściej giną pod kołami rozpędzonych mechanicznych diabłów. Ja lubię spokojnie posiedzieć, pomyśleć, popytać, a wnioski nasuwają się same; może nie szybko, może nawet zbyt wolno, ale przecież nic nie ucieknie. Co ma się zrobić, to się zrobi. Jak stawia się dom, o, wtedy inna sprawa. Termin święta rzecz, zwlekać nie należy; przykładowo mróz przyjdzie i przerwa w pracy gwarantowana. A klient będzie zmartwiony. Ale morderstwo?

Morderca zabił dlatego, żeby nie uciekać z miasta. Inaczej by uciekł, a nie zabił. Zabił, żeby wszystko było po staremu. No i nie ma znaczenia, ile tygodni ja myślę. Jak mam coś do powiedzenia, to przecież nie zapomnę. Ludziom się wydaje...

– Na miłość boską, kochany panie Scholl, ja to wszystko rozumiem, niech pan zaczeka na konkretne pytania! – jęknął komisarz. Zdziwiony

murarz rozłożył bezradnie ręce.

– Ja przecież nic nie mówię. A to zapewne inspektor Braun, prawda? Panie inspektorze, niech pan nie przejmuję się gadaniną starego Andreasa. Stary Andreas nie jest taki wykształcony, jak pan, do szkół nie chodził, ale swoje wie i niejedno widział. Zdziwiło go parę rzeczy, a potem przywykł. Na świecie są różne przypadki. Pamiętam jak dziś, wiele lat temu spotkałem urzędnika pocztowego bardzo do pana inspektora podobnego...

– I ten urzędnik szybko umarł. Pomodlimy się za niego – uciął wesoło Ignaz – tymczasem oddajmy głos panu komisarzowi.

Tracący już cierpliwość Rensch podziękował Braunowi spojrzeniem. Wciągnął głęboko powietrze i zwrócił się do milczącego od dobrych dwóch sekund świadka.

– Panie Scholl, pan nie będzie więcej opowiadał o wszystkim i o niczym. Ja bardzo pana proszę, interesuje nas sprawa Wendersa, sam pan powiedział, że może udzielić istotnych informacji. Ja zwariuję albo zamknę pana w areszcie. Albo pójdzie pan po rozum do głowy. Tak, to najlepsze rozwiązanie. Krótko i zwięźle, bardzo proszę.

Niech pan zaczyna.

– Przepraszam – z nutką pretensji w głosie odparł mistrz murarski. – Wenders, no tak. Wiedziałem oczywiście, że chłopak zaginął. Nie mogłem nie wiedzieć, bo całe miasto mówiło o zaginięciu, a ja lubię sobie z ludźmi porozmawiać, człowiek wtedy wie, na czym stoi. Plotek się nasłucham, czasami aż głowa boli, takie rzeczy się wygaduje, ale i pożytku dużo można wynieść. Tym razem to nie o gadanie chodzi. Niedaleko pałacu starosty Keyserlingka, tuż za jego ogrodem, mam piwnicę wykopaną w ziemi. Lód się tam trzyma i inne rzeczy w kuchni potrzebne, panowie wiedzą, o co chodzi. Żona wysyła mnie do piwnicy kilka razy w tygodniu, więc chodzę,

co robić? Żony słuchać rzecz zbożna, chociaż w Piśmie Świętym napisano jakoś odwrotnie. Żona jest uciążliwa, ale bez niej jeszcze gorzej.

Jak to zmyślnie świat jest skonstruowany!

– Idzie pan do piwnicy i...? – profilaktycznie przerwał komisarz.

– I idę. Wolno idę, bo ślisko. Nogi nie te, co dawniej, ale żona czeka na kapustę. Zatrzymałem się, żeby zapalić papierosa. Wiatr był duży, jak na drugą połowę zimy przystało. Późne popołudnie, ciemno. Zapałki się nie paliły, znaczy się gasły jedna za drugą. Zapalałem już czwartą, teraz robią takie cieńsze zapałki, za moich młodszych lat były lepsze i na wietrze paliły się jak wściekle. Byłem kilkanaście metrów od naszej piwnicy. Stałem, więc nie skrzypiał śnieg. W lasku cicho jak makiem zasiał, las zimą jest bardzo cichy. Słyszę jakieś głosy, jakby spod ziemi.

Nie wychyliłem tamtego dnia ani jednego piwa, nawet sznapsa nie łyknąłem, a słuch mam jeszcze dobry. Na początku pomyślałem, że jakiś omam mnie zmylił. Zapalam piątą zapałkę, zawzięłem się, że muszę tego papierosa zapalić, i nagle znowu! Głosy, męskie głosy, trochę donośniejsze niż poprzednio. Żona śmieje się ze mnie, że jestem zanadto ciekawy. No, ale kogo nie zainteresowałaby taka gratka.

Braun przerwał świadkowi.

– Zgaduję, że przestał pan zapalać kolejne zapałki.

– Ma pan inspektor rację – ucieszył się Scholl. – Skuliłem się i podkradłem w stronę głosów. Przypomniałem sobie, że niedaleko mojej piwnicy znajdowała się kiedyś mniejsza piwniczka. Jej właściciele umarli już dawno, potem ktoś przejął walące się pomieszczenie, ale, jak to w życiu, nic nie jest wieczne. Strop walił się, nikt nie miał głowy do naprawiania, piwniczka była mała i podobno tak zawilgocona, że nie opłacało się jej remontować. Drzwiczki ktoś wyłamał, ziemia przykryła resztę. Zapomniano o zapadłej w ziemię ruinie. Tymczasem idę skulony w

tamtą stronę i myślę, że głosy nie mogły pochodzić z innego miejsca. Wiele głosów w życiu słyszałem, ale takich jeszcze nigdy. Człowiek niejedno przeżył i na niejedno się napatrzył. W czasie wojny walczyło się z Francuzami w Alzacji i nieraz słyszałem jęki rannych, ale tutaj było coś jeszcze innego. To nie był ból, ale zwyczajny strach. Tak musi czuć się zwierzę, kiedy przeczuwa, że prowadzą je do jatki. Miałem kuzyna, który pracował w rzeźni. Opowiadał nieraz, jak...

– Sądził pan, że mógł to być głos Johanna?

– A skąd?! Jeszcze tego samego dnia poszedłbym na komisariat. Ja lubię chodzić na komisariat. Kiedyś zeznawałem w sprawie pobicia murarza z Bolszewa. Bardzo pouczające przeżycie, to znaczy przesłuchanie, a nie pobicie. Ze trzydzieści lat będzie, pan komisarz, zdaje się, nie pracował jeszcze wtedy w Wejherowie, zapamiętałbym.

Mam pamięć do twarzy. Moja żona mówi nawet, że... no dobrze, wracam do głosu z piwnicy. Nie pomyślałem, że chodzi o Johanna. Myślałem, że chłopak zwyczajnie gdzieś się zawieruszył. A tam? Może jakieś podejrzone interesy?

Jakaś zemsta? No więc słów nie słyszałem. Głosy wyraźnie, słów żadnych. Mówili krótkimi zdaniami, tak więcej nerwowo. Dwa głosy oprócz tego przestraszonego, jeden jakby młodszy, z tym że ochrypły, więc co do wieku, głowy nie daję. Jak ktoś jest zachrypnięty, nie wiadomo, ile może mieć lat. Urywane zdania, to już mówiłem.

Komisarz nerwowo zapalił cygaro i spojrzał na świadka. Wstał, rozprostował się i znowu runął na fotel.

– Nie wyłowił pan ani jednego słowa? Nie rozpoznał pan żadnego z trzech głosów? Skąd w takim razie pewność, że było ich trzy?

Spokój na twarzy świadka zdawał się niezmacony.

– Pan komisarz, za pozwoleniem, nigdy nie pracował na budowie. A murarz od razu wiedziałby, o czym mówię.

Dla pana komisarza ściana nie istnieje. Rozmawia pan z człowiekiem twarzą w twarz. Przepraszam za śmiałość, ale tak właśnie jest. Tymczasem mur, ściana, luźna warstwa cegieł czy nawet hałda ziemi potrafią sprawić uszom różne niespodzianki. Ile razy przekrzykiwałem się z kamratami w czasie budowy domu! Piwnice są jeszcze ciekawsze. Słyszysz się coś, czego nie powinno się słyszeć, bo niby za daleko. Nie słyszysz się kolegi będącego tuż obok, albo, tak jak właśnie wtedy, jedno głośnie można od innych odróżnić, a ze słowami ma się kłopoty. Akustyka, że użyję uczonego słowa, to rzecz niesłychana. Gdyby pan komisarz, i pan inspektor oczywiście też, pracowali kiedyś na budowie, zrozumieliby, o czym mówię. Las, ostre, przezroczyste powietrze, warstwa ziemi, ceglany zatęchły mur ze szczelinami, takie miejsca mogą człowieka zaskoczyć.

– Czekał pan na wyjście mężczyzn z piwnicy? – zapytał Ignaz.

– A jak pan sądzi? Rzecz jasna. Przemarzłem straszliwie, ale człowiek nie takie zimy przeżył pod gołym niebem. Ciężki fach się wybrało. Czekam więc i czekam, minęło może dwadzieścia minut. Myślę sobie: żona będzie krzyczała, ale trudno, nie pierwszy raz, pewnie i nieostatni. Wreszcie usłyszałem jakiś szelest. Przywarłem jeszcze bardziej do ziemi. Zaskrzypiały drzwi, wynurzyła się postać. Szczupły musiał być, zauważyłem to mimo szerokiego płaszcza. Na głowie kapelusz. Widziałem postać, na tle jasnego śniegu zobaczyłem jeszcze ten kapelusz, ale więcej nic. Twarzy nie mogłem dostrzec. Wyprostował się, musiał być długo skrzywiony, widać pochylał się nad tamtym, trzecim. Potem, dopiero po minucie czy dwóch, wylazł drugi. Mówię: wylazł, bo ciężko mu było. Zmęczony strasznie. Zamknął drzwiczki, zamienił z tamtym chudszy

kilka słów i odeszli w kierunku miasta. Coś trzeba było robić. Zacząłem myśleć.

– Odczekał pan i zbliżył się do piwniczki, prawda? – pokiwał głową Braun i pytająco spojrział na Scholla.

– Skąd pan inspektor wie, że się odważyłem? – zdziwił się murarz.

– W przeciwnym razie nie byłoby pana tutaj.

– No tak, święta prawda. Oczekałem, aż tamci sobie pójda. Potem stałem za drzewem jeszcze kilka minut, bo przecież mogli zawrócić. A wtedy byłbym w opałach.

Rozsądek ponad wszystko. Ale nie, nie wrócili. Podszedłem ostrożnie do piwniczki, chwilę posłuchałem, czy z wnętrza nie dochodzą jakieś odgłosy. Nie dochodziły.

Zapukałem. I nagle odskoczyłem. Odpowiedział mi przytłumiony głos: „Dajcie mi już spokój. Zabijcie albo wypuście”. Zapytałem cicho, kto jest w środku. „Idźcie do diabła” – odpowiedział głos. Spróbowałem otworzyć drzwiczki, ale tam był nowo wstawiony zamek, solidny, nie do wyłamania. Krzyknąłem, żeby ten ktoś zaczekał.

Obiecałem sprowadzić pomoc. Odpowiedział, że ma dosyć głupich żartów.

– Czyli myślał, że należy pan do szajki, która go zamknęła?

– No tak, tak tłumaczyłem sobie jego zachowanie. Był zły; strach minął, pojawiła się wściekłość. Widziałem kiedyś wściekłego murarza zamkniętego dla żartu w piwnicy, tamten miał taki sam głos. Może Wenders, jeśli to był on, sądził, że go zabiją? A jak go zostawili, na chwilę pozbył się strachu, za to rozeźlił się strasznie. Posłał mnie do diabła – zaperzył się Scholl – a ja naprawdę chciałem mu pomóc. Biegłem na posterunek i skręciłem nogę. Leżałem w śniegu, krzyczałem, ale nikt nie mógł mnie usłyszeć. Kto w lutowy wieczór łązi po lesie? Chyba tylko ktoś

wysłany przez żonę do piwnicy. Dopiero po dwóch godzinach Aniela, zaniepokojona moją nieobecnością, ruszyła do lasu i znalazła mnie zemdlonego na dróżce. Musiała wezwać dwóch sąsiadów, bo nie dawałem znaku życia. Przenieśli mnie do domu. Groziło odmrożenie, czasami wybudzałem się na chwilę i majaczyłem coś o człowieku ukrytym w piwnicy. Tydzień leżałem bez świadomości, wreszcie powoli wydobrałem. Poszedłem do piwniczki, ale po więźniu nie zostało ani śladu. Śnieg odtajał i odciski butów dawno wyparowały. Drzwiczki zamknięte na ten solidny zamek.

W mieście pojawiły się jakieś szczątki, okazało się, że to młody Wenders, ale jaki sens miało pójście na posterunek policji? Jeśli w piwniczce przetrzymywano chłopaka, ślady musiały zostać zatarte; nie wiedziałem, kto go zamknął i czy to w ogóle był on. Zgłosiłem się teraz, bo wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju. No i odezwa cesarska mówi, żeby każdy, kto wie cokolwiek, zgłosił się i pomógł panom policjantom.

– Lepiej późno niż wcale – refleksyjnie dopowiedział inspektor i z pewną sympatią spojrział na Scholla.

Po raz pierwszy od momentu rozpoczęcia śledztwa spotkał człowieka, który wspomniał o wyrzutach sumienia.

– Myślałem sobie: „No, Andreas, przez twoją cholerną nogę on zginął, bo to na pewno był Wenders, tylko nie mam żadnych dowodów”. Prosiłbym tylko szanownych panów o dyskrecję, żona nie wie, że tutaj przyszedłem.

Ona upiera się, że cała historia przyśniła mi się, kiedy leżałem nieprzytomny w śniegu.

Ignaz widział, jak Scholl zmienił sposób mówienia.

Kiedy opowiadał o zdarzeniu pod piwniczką, z wolna zaczął wychodzić ze skóry domorosłego filozofa. Zapalił się, odmłodniał, ulga przebijała z

każdego jego słowa. Zrzucił cały ciężar przygniatający go przez kilka tygodni.

Po wyjściu świadka komisarz Rensch nalał sobie koniaczku. Zapytał Ignaza o wrażenia.

– Mamy więc trzy pary podejrzanych. Richter i Masslof, Lewinsky i Konitzer, człowiek spod piwniczki i jego kompan. Nie można zapominać o dziwnym zachowaniu profesora Marża. Może być tak, że ci spod piwniczki to jedna z dwóch pierwszych par. Morderca nie był sam, tak wynikałoby z zeznań świadków. Nie wszystkie zeznania są wiarygodne, ale można przyjąć, że rzeczywiście dwie osoby przeprowadziłyby całą akcję sprawniej niż jedna. Para jest punktem zbieżnym wszystkich zeznań. Zastanawiające.

Komisarz spojrział na duży zegar stojący w kącie.

Wstał i uściskał mocno Ignaza. Ruchy atletycznej postaci dawały złudzenie, jakby jej właściciel szykował się do walki zapaśniczej.

– Za kwadrans mam spotkanie świąteczne z urzędnikami państwowymi i miejskimi u pana burmistrza Trauthana. Pan inspektor wybaczy... Wrócimy do owych par we wtorek. Tak. Bardzo intrygujące. Przyznam się, że nie pomyślałem o owej zbieżności. No, no... Jeżeli nie spotkamy się przed nastaniem świąt, życzę panu wszystkiego, co najlepsze. Przed wszystkim złapania mordercy!

W komisariacie panował świąteczny nastrój. Rüdiger Rensch czesał się dokładnie przed wyjściem na uroczystość organizowaną przez burmistrza, posterunkowi biegali jak w ukropie z pokoju do pokoju, dyżurni omawiali ostatnie szczegóły dotyczące pracy podczas świąt. Dla Antona rozpoczynał się właśnie dyżur, który miał trwać do sobotniego wieczora, natomiast dwa świąteczne dni posterunkowy mógł spędzić na łonie rodziny. Braun i jego towarzysz wpadli na siebie w korytarzu.

– Chciałem właśnie szukać pana inspektora – ucieszył się Anton. – Moja żona i ja pragniemy zaprosić pana na poniedziałkowy obiad. Wspominałem już panu inspektorowi przedwczoraj. Pierwszy dzień świąt spędzimy z liczną rodziną, drugi zawsze jest spokojniejszy. Jeśli pan nie miałby nic przeciwko temu...

– Od początku, kiedy tylko przyjechałem do Wejherowa, jakiś tajemniczy duch, który opiekuje się ogniem domowym, dba o mnie jak nigdy dotąd – pompatycznie odpowiedział Ignaz. – Możliwość spędzenia drugiego dnia świąt w rodzinnej atmosferze! Aż za wiele szczęścia, jak na jednego berlińskiego inspektora. Z największą ochotą! Postaram się nie robić twojej żonie i tobie kłopotu, chociaż zapewne nie będzie to do końca możliwe.

– Panie inspektorze – odpowiedział rozpromieniony

Anton – nawet pan nie wie, jak jesteśmy zaszczyceni.

Lekki jak piórko Ignaz wychodził z komisariatu w doskonałym nastroju. Miał przed sobą dwa świąteczne dni.

Nie mógł przewidywać przeprowadzenia podczas Wielkanocy żadnych przesłuchań. Z punktu widzenia dobra śledztwa miał to być czas stracony, ale policjant po raz pierwszy w życiu nie martwił się takim obrotem sprawy. Zamierzał cieszyć się życiem. Drżał na myśl o spotkaniu z panną Bernadeta i odczuwał wdzięczność dla Myszków za zaproszenie w tak ważny dzień. Sobotnie popołudnie zamierzał jednak spędzić nad pierwszymi punktami raportu z prowadzonego śledztwa. W stołecznym Wydziale Zabójstw panował kult sprawnie napisanych i jak najobszerniejszych raportów. Ignaz zdawał sobie sprawę, że praca nad dokumentem zabierze mnóstwo czasu.



Czas paschalny

Rynek w niewielkich miasteczkach od zawsze stanowił miejsce, w którym ogniskowało się codzienne i świąteczne życie mieszkańców. W Wielką Sobotę nie mogło być inaczej. Po wyjściu z budynku ratusza inspektora oślepiło jaskrawe słońce padające na każdy zakamarek Rynku. Rozgorączkowani ludzie podążali żwawo w rozmaitych kierunkach, handel kwitł jeszcze w wielu kramach. Gwar zdawał się narastać z każdą minutą. Tuż nad tłumem kłębił się wir kapeluszy, meloników i kaszkietów. Jak wodne kwiaty nad szarą tonią, z owej powodzi wykwiwały rozmaitych barw kapelusze kobiece; niektóre pyszniące się niewinnością świeżych płatków i z nich czerpiące radość, inne przepełnione zmysłowymi barwami i zmuszające śmiałością do niemego podziwu.

Do fary i kościoła św. Anny ciągnęły z koszykami pełnymi wielkanocnych wiktuałów grupki małych i dużych wiernych. Niektóre dzieci podskakiwały wesoło, inne z dumą dźwigały koszyki, nie brakowało też takich, które zaglądały co chwila do wnętrza w tęsknocie za smakołykami.

Sobota była dniem postnym i dla dzieci wielką ofiarę stanowiło powstrzymanie się od uszczknięcia chociażby kawałeczka babki lub smakowicie pachnącej wędliny.

Uśmiechnięty Ignaz wszedł do kościoła Św. Trójcy.

Przystanął pod organami i przypatrywał się obrzędowi poświęcenia potraw. Przed oczami policjanta jak żywe stały obrazy z dzieciństwa, kiedy dziadkowie prowadzili go do świątyni. Dźwigali wtedy wielki kosz wypełniony wielkanocnymi skarbami – szynką, babami i barwionymi jajkami. Zachowywał się wtedy tak samo, jak po latach wejherowskie dzieci siedzące w ławkach fary. Wiercił się niecierpliwie, rozglądał na boki i zaglądał do kosza.

Z góry, z dzwonnicy pokrytej miedzianą blachą, dobiegał wesoły dźwięk dzwonów. Trójca Przenajświętsza, patrząca na wiernych od strony ołtarza, zdawała się błogosławić twarzom rozjaśnionym wyjątkowością sobotniego święta. Barwne witraże przepuszczały nadspodziewanie wiele światła; tęczowe refleksy igrały jak żywe, pobudzone siłą bijącą od stęsknionego wiosny słońca. Ambona i chrzcielnica, pyszniące się barokowym szczęściem i dostatkiem, zdawały się obiecywać, że oto, po wielkopostnej biedzie, nadchodzi czas świątecznych darów i świątecznej sytości.

Wkrótce wesoły i pulchny ksiądz obficie pokropił wodą święconą koszyczek trzymany przez Ignaza. Poważny berliński policjant kupił kwadrans wcześniej na straganie pilnowanym przez zgarbioną ze starości przekupkę mały koszyk i cukrowego baranka. Wystarczyło dodać mocno przywędzaną kiełbaskę i słodką babeczkę. Święconka była skromna, ale wystarczyła za pretekst do wzięcia udziału w uroczystości.

Königlicher Hof opustoszał niemal zupełnie. Goście, którzy mieli wrócić do domu na święta, opuścili hotel najpóźniej poprzedniego dnia. Dwie osoby, nie licząc Ignaza, pozostały na okres Wielkanocy w murach domu prowadzonego przez pana Alslebena. Hotelarz w dwójnasób zaopiekował się najwierniejszymi klientami. Odświętny wystrój holu i

restauracji mógł zadowolić najbardziej wybrednego dekoratora wnętrz. Kelner wydawał się jeszcze bardziej dystyngowany; nacechowane szlachetną skromnością potrawy przyjemnie głaskały podniebienia trzech gości.

Ignaz zjadł lekki obiad. Szczupak na maśle ozdobiony pietruszką i plasterkiem cytryny sam prosił się, aby siedzący przy stole gość pana Alslebena łaskawie zechciał skosztować choćby kęs delikatnego mięsa. Dyskretny tego dnia hotelarz, odczekawszy, aż przybysz z Berlina zje obiad, poprosił o możliwość krótkiej rozmowy. Zapytał o plany gościa na najbliższe dwa dni, opowiedział, jak sam zamierza spędzić Wielkanoc, wreszcie z wyszukaną galanterią złożył życzenia, skłonił się i odszedł w stronę kuchni.

Godzina pozostała inspektorowi na krótki odpoczynek w pokoju. Wybierał się do fary na wielkosobotnie uroczystości, które miały się rozpocząć o godzinie osiemnastej.

Senność dopadła go nagle. W nocy sypiał mało i w ciągu dnia potrzebował kilkunastominutowej drzemki. Budził się po niej nieco ospały, ale już po chwili umysł nabierał świeżości i zaczynał pracować ze zdwojoną intensywnością.

Przed wyjściem z hotelu Ignaz, jak zawsze, starannie obejrzał swoją postać w lustrze. Nie wyobrażał sobie, aby mógł pojawić się w miejscu publicznym ze źle ułożonym szalem lub niedbale zawiązanym krawatem. Miał tylko dwa kapelusze, przy czym do Wejherowa zabrał jeden.

Wolał mieć mniej rzeczy, za to wszystkie w najlepszym gatunku. Jego odzieży nie można było nic zarzucić. Płaszcz i garnitur szyte na miarę, rękawiczki z cieniutkiej skórki, nieustannie czyszczone okulary, wszystko to świadczyło o jakże potrzebnym policjantowi zamiłowaniu do ładu i porządku. Poglądził jeszcze delikatnie twarz dłonią, zastanowił się,

powtórzył czynność, bacznie spojrzął w lustro, zawahał się na moment, i wreszcie, ze spokojnym sumieniem, wyszedł z pokoju.

W drodze do kościoła inspektor dostrzegł pana Johanna zamykającego drzwi piekarni. Nie mógł nie wykorzystać nadarzającej się okazji.

– Witam szanownego pana. Choć okoliczności ostatnich dni i tygodni są nad wyraz smutne, cieszę się, że mogę pana zobaczyć.

– Dzień dobry, inspektorze. Żona mówiła mi o pańskiej wizycie. Może mi pan powiedzieć, kiedy to wszystko się skończy? Nie chcę, żeby całe miasto żyło naszym nieszczęściem.

W głosie piekarza nie było gniewu czy złośliwości.

Przez znękanego ojca przemawiały raczej rezygnacja i zmęczenie.

– Nie wiem – łagodnie odpowiedział policjant – ale mogę pana zapewnić, że nie podejrzewam, aby po pogrzebie długo musieli państwo czekać na wyjaśnienie zagadki.

Morderca zostanie ujęty. Może zabrzmi to nieskromnie, ale żaden łajdak nie uszedł nigdy przed Ignazem Braunem.

– Jest pan bardzo pewnym siebie młodym człowiekiem – odparł Wenders. – Nasi policjanci byli bezradni.

Może dzięki pana zdecydowaniu wszystko potoczy się inaczej. Nasze czyny zależą od pewności siebie i siły woli.

– Właśnie. Morderca zabił, licząc, że ujdzie przed sprawiedliwością. Inaczej może nie zabijałby człowieka.

Jeśli stróż prawa będzie słabszy psychicznie od zbrodniarza, tamten, nie robiąc już nic, uzyska przewagę, która z każdym dniem będzie coraz bardziej utrudniała śledztwo. Przepraszam, zatrzymuję szanownego pana...

– Ignaz zauważył, że piekarz spogląda w jedno z okien swojego domu.

– Nie będę ukrywał. Żona czeka na mnie. Pozwoli pan, że się pożegnam.

– Tak, tak, niech pan nie ma żadnych obiekcji. Ja również nie wybrałem się na spacer, mam pewne plany.

Wenders pokiwał głową.

– Idzie pan do kościoła na mszę. Jest pan katolikiem.

Johann też czasami chodził do katolickiego kościoła i czym się to dla niego skończyło?

– Zginął dlatego, że bywał w kościele? – pytaniem odpowiedział zaskoczony policjant.

– Nic nie jest proste. Ogarniają mnie czasami dziwne myśli. Gdyby nie dochodziło do pewnych zdarzeń, w człowieka nie uderzałyby ich konsekwencje. Gdyby Johann był taki, jak wszyscy... Ale on pisał wiersze, chodził na kalwarię, zbyt dużo czytał. Może wkroczył na teren, gdzie nie było dla niego miejsca? Nie wiem nic, próbuję tylko domyślać się, zestawiać fakty. Może zadarł z jakimś szaleńcem poznanym tam, gdzie syn piekarza bywać nie powinien? Taka kalwaria. Kręci się na niej wielu dziwaków. To nie są oczywiście żadne zeznania. Błądzą, szukam, rozumie mnie pan. Do widzenia, inspektorze.

Zamyślony Braun obserwował zwałistą postać piekarza znikającą w drzwiach kamieniczki. Mrok, jaki musiał panować w duszy pana Johannesesa, na moment ogarnął radosnego tego dnia inspektora.

Spóźnienie nie było znaczne, ale uniemożliwiło Ignazowi podejście blisko ołtarza. Pod chórem było tłoczno i wierni co raz następowali bliźnim na nogę, szturchali się nawzajem niechcący, wielu ocierało mokre od wzruszenia oczy.

Nabożeństwo wielkosobotnie nie było nigdy dla Ignaza tym samym, co misterium dwóch dni je poprzedzających. Wielki Czwartek, kiedy to

nastąpiło ustanowienie eucharystii, od najwcześniejszych lat napawał go przejmującą trwogą wynikającą z kontemplacji ostatnich godzin przed uwięzieniem Chrystusa. Trwanie w wieczerniku nie zapowiadało niczego złego. Uczniowie radowali się nadchodzącą paschą, jedynie ich mistrz wiedział o zbliżającej się męce. Na małym chłopcu z podpoznańskiego miasteczka, potem młodym człowieku, wrażenie robiła właśnie ta nieświadomość zebranych. Kontrast między uroczystością a późniejszym trwaniem Chrystusa w Ogrójcu był aż nazbyt wyrazisty.

Wielki Piątek – kołatki, „Gorzkie żale” ulatujące pod sklepienie świątyni za przyczyną matowego, głuchego, jednobrzmiącego głosu wydobywającego się z setek gardeł ludzi zgromadzonych w kościele, cała atmosfera rozdarcia porządku świata – był dniem, na który czekało się z trwożliwą tęsknotą już od Środy Popielcowej.

Tymczasem Wielka Sobota niosła ze sobą zawieszenie, nieznośne oczekiwanie i niepewność. Starotestamentowe czytania, celebrowanie historii zbawienia i obecności Boga w dziejach Izraela, potem przejście do czasu Herodów i Tyberiusza, nie przystawały do oczekiwań Ignaza. Z upływem lat nie pozbył się wrażenia dysonansu pomiędzy dwoma pierwszymi dniami a Wielką Sobotą.

Począwszy od liturgii światła i poświęcenia ognia oraz paschału rozpoczynała się najdłuższa w roku kościelnym msza. Stojąc pod chórem wejherowskiej fary, inspektor starał się nabożnie uczestniczyć w obrzędach. W jego umyśle kłębiły się jednak myśli zgoła nieprzystające do atmosfery panującej w kościele. Słowa Johanneses Wendersa dźwięczały na przemian ze słowami panny Anny.

Kornelia zlewała się w jedno ze swoją chlebodawczynią, a Herbert Masslof krążył wokół starosty Keyserlingka, próbując dotknąć jego ramienia. Przesłuchani i nieprzesłuchani tworzyli chaotyczny krąg, scalony

ledwie dostrzegalnymi więzami hipotez. Co raz z owej pajęczej sieci uwalniała się panna Bernadeta. Jej postać, ozdobiona gustownym kapeluszem, wyróżniała się wśród pozostałych.

Zaokrąglone lekko kształty młodej damy kołysły oczy wyobraźni Ignaza.

Inspektor wyszedł z kościoła pogrążony w myślach dotyczących śledztwa. Kiedy leżał już w swojej pachnącej pościeli, z kartką i ołówkiem w ręku próbował budować misterną konstrukcję pierwszych stron raportu. Przypuszczenia mieszały się z dowodami. Co chwila w uszach dźwięczały nowe słówka, przed oczami jak żywe stawały fakty i pozornie niewiele znaczące drobiazgi.

Msza rezurekcyjna rozpoczęła się pośród szarości panujących na zewnątrz poklasztornego kościoła. Ignaz uznał, że właśnie w tej świątyni chciałby doczekać obwieszczenia całemu światu zmartwychwstania Chrystusa.

Bezsenna noc sprawiła, że Braun, nie chcąc w nieskończoność przewracać się z boku na bok, wstał przed godziną czwartą. O wpół do szóstej pojawił się w kościele.

Kiedy zabrzmiały pierwsze tony pieśni „Wesoły nam dzień dziś nastał”, zaśpiewał pełnym głosem razem ze starszą panią w brązowym kapeluszu z winogronami i tęgim rzemieślnikiem, stojącymi najbliżej. Poczuli się zjednoczeni z małą społecznością, pośród której przyszło mu spędzić najważniejszy w roku liturgicznym okres.

Ład rządzący mikroświatem Wejherowa warunkowany był cyklicznością. Rok kościelny, wybory do parlamentu i lokalnych instytucji, niedzielne odwiedziny u krewnych, hierarchia społeczna ustalona w niepamiętnych czasach, wszystko to sprawiało, że mieszkaniec miasta czuł się bezpiecznie. Wiedział, co przyniesie następny dzień, wiedział, że nie spotka go ani wielkie szczęście, ani wielka rozpacz. Od chrzcin, poprzez

dzieciństwo, młodość i wiek średni mieszkaniec Wejherowa zmierzał na cmentarz, gdzie miał oczekiwać na zmartwychwstanie ciała. Ów ład wynikał z faktu zmartwychwstania Chrystusa. Spokojna nadzieja, przeplatana troskami i przyjemnościami, prowadziła pojedynczego człowieka i całą społeczność do jednego celu.

Chorałowe „Alleluja” zakończyło mszę rezurekcyjną.

Ignaz był przejęty swoim odkryciem. Zbrodnia na gimnazjaliście burzyła ład miasteczka w o wiele dotkliwszy sposób niż można było sądzić na początku. Jakże wielka musiała być wina Johanna lub jak szaleńcza determinacja błędzącego zabójcy – może oba elementy zlały się w jedno? Zburzono ład religijny i społeczny. Zakłócono nawet

Wielkanoc, która przyszła niedługo po odkryciu fragmentów ciała. Całość postaci miasta i jedność porządku świata ktoś pokawałkował jak ciało młodego Wendersa; może sądził zresztą, że zbrodnia jest aktem oczyszczenia? Rezurekcja stanowiła nieświadomą próbę przewyciężenia tragedii i zwycięstwa nad złem. Głośny śpiew, kadzidło, przepych ornatów wyczuwalnie świadczyły o pragnieniu przywrócenia wszystkiego, co było dotąd. Gdyby nie zabito Johanna, oprawa uroczystości byłaby taka sama, ale wtedy nie można by w niej odnaleźć niczego niezwykłego.

Teraz, Braun wiedział to, stanowiła instynktowną, nienazwaną zapowiedź powrotu do ładu.

Nad kościołem unosiło się słońce. Ogrzewało wejherowian i ich domy. Ludzie wychodzili ze świątyni i spieszyli na wielkanocne śniadanie.



Na spacerze i u cioci

Bardzo romantyczna historia – z pogodną zadumą zaczęła panna Bernadeta. – Adela była uważana przez rodzinę Keyserlingków za osobę co najmniej nieodpowiedzialną. Miała odwagę przejść na katolicyzm. Wspominał pan, że pochodzi z Wielkopolski. Nie wiem, jakie tam panują stosunki, ale nasza szlachta niemal w całości oddana jest wierze luterskiej. Tak jak cesarz, Keyserlingkowie nie przepadają za katolikami, chociaż są, na pewno wbrew sobie, opiekunami fary. Biedaczka odważyła się zerwać z wiekową tradycją rodziny. Zapłaciła za życia, zapłaciła po śmierci.

Ignaz pochylił się nad skromną mogiłą. Niedaleko stał kościół Trzech Krzyży, nad kalwarią szumiały drzewa z nabrzmiałymi pragnieniem życia zawiązkami liści.

– Piękne miejsce wybrano dla panny Adeli – zauważył.

– Bo rodzina wyrzekła się jej. Najpierw przeszła na katolicyzm, a potem jeszcze poślubiła katolika, w dodatku chyba niezbyt szlachetnie urodzonego. Być może wybaczone by jej mezalians, ale zmiana wyznania? Podobno rodzina nie wyraziła zgody na pochowanie zmarłej na rodzowym cmentarzyku. No i leży na kalwarii, tam, gdzie chodziła z narzeczonym na spacer. W kilka miesięcy po ślubie umarła. Miała dziewiętnaście lat.

– Rzeczywiście bardzo romantyczna historia. Wspominała pani, że minęło już sto lat...

– Niespełna. Zmarła w 1811 roku. Z czasem miejsce obrosło legendą i spotykają się tutaj zakochani – panna Bernadeta z odrobiną zakłopotania odwróciła głowę w stronę kościółka.

Ignaz pomyślał, że każde miejsce na ziemi ma swoją romantyczną historię. Niektóre miejsca mają dodatkowo historie straszne.

Pod stopami dwojga ludzi leżało miasto, senne i świętujące.

– Rodzina pani przyjechała, jak rozumiem, do Wejherowa? – zapytał po chwili milczenia.

– Tak! – z entuzjazmem odpowiedziała młoda dama.

– W domu cioci ruch jak na dworcu w Gdańsku. Moja siostra hałasuje jak zawsze, ojciec pali swoje długie cygara, mama z ciocią rozmawiają właściwie bez przerwy i usta im się nie zamykają. Chwile milczenia zdarzają się jedynie przy jedzeniu, ale to tylko na moment. Kiedy któraś z nich przełknie większy kęs, znowu zaczyna mówić.

A właśnie! Ile godzin trzeba było spędzić w kuchni! Rozalia jest od rana szczęśliwa. Kazaliśmy jej, po raz pierwszy, szukać upominków w ciocinym ogródku.

– Znalazła?

– Właściwie to nie takie proste, ojciec posiada wieloletnie doświadczenie w ukrywaniu wielkanocnych prezentów, ale moja siostra ma niespożytą energię i jest bystra.

Z początku złościła się, nie mogła niczego znaleźć. Z niecierpliwości zrodziła się determinacja. Podobno w jej wieku byłam spokojniejsza i nie upierałam się tak przy swoim.

Rozalka jest inna. Ocierała łzy, szukała dalej i wreszcie pod świerczkiem znalazła czekoladowego zająca z czerwoną wstążką na szyi.

Nie zjadła go od razu, zapytała tylko, czy na tym koniec. Ojciec otwartymi dłońmi wskazał na ogród, zrozumiała, że może szukać dalej. Po chwili znalazła dwie obtoczone w lukrze drożdżowe kurki siedzące obok siebie. Nie minęła minuta, a niedaleko starego lamusa odkryła drewniane kółko i kijek, którym można to kółko toczyć. Z początku kółko nie chciało poddać się Rozalce, ale gdy wychodziłam na spotkanie z panem, umiejętności mojej siostry były już, jak na jej wiek, imponujące.

– Rodzina nie miała pani za złe, że opuściła ją pani w takie święto?

– Nie, są przyzwyczajeni, że chadzam własnymi ścieżkami. Ojciec poza koleją żelazną świata nie widzi, a mama musi cały czas pilnować Rozalkę. Zresztą oboje lubują się w długich rozmowach z ciocią. Mówiłam im o spotkaniu z panem i byli nadzwyczaj zaintrygowani. Musiałam obiecać, że kiedy odprowadzi mnie pan do domu, przedstawię im przybysza z Berlina. Mam nadzieję, że inspektor ze stołecznego Wydziału Zabójstw nie obrazi się i przyjmie zaproszenie...

– Ja miałbym się obrazić? Ależ skąd! – gwałtownie zaprzeczył Ignaz, chociaż nie uśmiechała mu się myśl stanięcia przed państwem Sychowskimi. Nieśmiałość zbyt często odzywała się w inspektorze Braunie.



grafika1

– Być może zdziwiło pana, że pod farę przyszedłam sama. W większości domów takie obyczaje są niemile widziane, ale u nas jest inaczej. Każdy zajęty jest sobą, zwłaszcza mój ojciec. Godzinami mógłby opowiadać o kolei. Obchodzi go los córki, ale konwenanse nie są tym, co szczególnie zaprzęta jego umysł. Niech pan przygotuje się na długą opowieść o dziejach kolejnictwa w Prusach.

Dworce, główne linie, szczegóły techniczne lokomotyw, zwrotnice, sam pan rozumie. Co innego mama i ciocia.

One będą chciały, jako pierwsze, dowiedzieć się, kto zabił tego gimnazjalistę.

Ignaz roześmiał się.

– Sam nie mam jeszcze pewności, ale staram się ze wszystkich sił.

Po kalwaryjskim wzgórzu przeszedł chłodny wiatr. Zaczęło zmierzchać. W dole świeciły już miejskie latarnie, matowa łuna światła płynęła, jak dym, w ciemniejące niebo wczesnej wiosny. Panna Bernadeta zamyśliła się.

– Czasami myślę, że jestem z nich wszystkich najbardziej odpowiedzialna. Ojciec pasjonat, mama bywa roztargniona i jej świat kończy się na Rozalce oraz ploteczkach, a ja... jestem po prostu uosobieniem przewidywalności.

– To bardzo ładna cecha – zauważył Ignaz. – W dzisiejszych czasach tak trudno o zaufanie i pewność. Dodatkowo obracam się w środowisku, które skazane jest na nieustanne spotkania z ludźmi nieprzewidywalnymi.

Młoda dama lekko przechyliła głowę i obdarzyła mężczyznę wesołym spojrzeniem. Poprawiła kosmyk czarnych włosów umykających spod kapelusza.

– Cieszę się, że w porównaniu z przestępcami wypadam korzystnie. Odtąd z zadowoleniem będę oglądała w lustrze swoją twarz osoby niemal doskonałej.

Oboje roześmieli się i popatrzyli sobie w oczy odrobinę za długo. Nie wiedzieli, co do siebie powiedzieć. Wreszcie panna Bernadeta głosem niemal uroczystym zaczęła:

– Gdyby kilka dni temu ktoś powiedział mi, że w pierwszy dzień świąt stanę pod kościołem Trzech Krzyży w towarzystwie inspektora Brauna badającego sprawę największej zbrodni w historii Wejherowa, uznałabym,

że są to słowa osoby wysoce nieodpowiedzialnej. Kiedy ciocia opowiadała mi o panu i o śledztwie, zastanawiałam się, jak pan wygląda, kim pan jest. Ciocia zna jednego z tutejszych posterunkowych. Wejherowo jest małe... Śladowe informacje docierały i do nas. Pamiętałam oczywiście, że pewien dobrze wychowany młody człowiek wyniósł moje bagaże na dworcu w Lęborku, ale jak mogłam przypuszczać, że w kolejowym przedziale spotkałam pana Brauna?

– A ja... – głos Ignaza załamał się – myślałem często o pani. Tak ładnie opiekowała się pani swoją siostrzyczką, przyglądałem się tamtej scenie z przyjemnością.

Na myśl przychodziła mi scenka mitologiczna namalowana przez Tomasoniego. „Wenus i Amor”, ten obraz znajduje się w Gandawie. Byłem tam konsultantem podczas śledztwa przeciwko pewnemu rysownikowi z Aalst.

Bardzo niebezpieczny przypadek. Swoje ofiary najpierw szczegółowo kopiował cieniutkim węglem... Przepraszam, ja znowu o pracy!

– Dotąd nie lubiłam kryminalnych historii, ale może zmienię zdanie – odparła panna Bernadeta. – Byłam aż tak podobna do Wenus z Gandawy...? Bardzo chciałabym zobaczyć ją kiedyś na reprodukcji.

– Tak, podobieństwo jest uderzające – zdecydowanie potwierdził Ignaz.

Spacer w ciemnościach miał się ku końcowi. Ciepły dzień zmienił się w chłodny wieczór; Ignaz z troską właściwą osobom znajdującym się w stanie zauroczenia przyjrzał się drżącej co chwila panie Bernadecie.

– Sądzę, że powinniśmy już wracać. Rodzina może się o panią niepokoić, znajduje się pani przecież w towarzystwie osoby, dla której przestępstwo to chleb powszedni... Zimne powietrze, pani nie powinna marznąć – dodał miękkiem głosem.

– Ufam, że nie porwie mnie pan. Rodzice też mają tę ufność. A zmarłam rzeczywiście, wracajmy już.

Młoda dama w towarzystwie Brauna ruszyła nieco szybszym niż spacerowy krokiem w stronę domu cioci.

Urzędnika cesarskiej policji ogarniała trema. Czekало go spotkanie z rodziną kobiety, na której mu zależało. Nie odczuwał już żadnego onieśmienia podczas spaceru.

Panna Bernadeta okazała się osobą bezpośrednią i pogodną. W jej towarzystwie odpoczął od codziennych trosk i obowiązków. Miał wrażenie, jakby od dawna łączyło go z tą kobietą jakieś pokrewieństwo myśli i wspomnień. Wyobrażał sobie każdą historię opowiadaną przez pannę, z plastycznością konstruował wizerunki opisywanych ludzi i krajobrazów.

Tymczasem już za moment miał znaleźć się przed rodziną panny Bernadety. Od pierwszego spotkania zależało wiele. Policjant jak ryba w wodzie czuł się wśród przestępców i świadków. Jego pozycja pozwalała wtedy na absolutną dominację nad „podopiecznym”. Tutaj właśnie Ignaz miał być przesłuchiwany. Nie wiedział, jak odnajdzie się w nowej roli. Przed domem cioci przeżegnał się w myślach, zdecydowanym mchem otworzył furtkę i z beztroskim uśmiechem podążył obok młodej damy do lśniących świeżą bielą drzwi wejściowych.

Z przedpokoju uderzyło na zewnątrz domu światło.

W drzwiach stała ciocia. Osoba niska, szczupła, siwiejąca, z rozpromienioną uśmiechem twarzą, odniosła się do gościa z bezpośredniością rzadką pod tą szerokością geograficzną.

– Miałam nadzieję, że pan przyjdzie – powiedziała, kiedy Ignaz z wyszukaną galanterią ucałował jej dłoń i przedstawił się z należną dystynkcją, choć nie bez pewnej dozy serdeczności.

– Jestem nieskończenie wdzięczny i nad wyraz zaszczycony – powiedział, stosując formułę znaną z podręcznika dobrych manier. – Panna Bernadeta zapraszała mnie w pani i swoim imieniu tak miło, że nie sposób było odmówić, chociaż doskonale zdaję sobie sprawę, że bezlitosne z mojej strony jest zakłócanie spokoju państwa w tak szczególny i uroczysty dzień.

– Niech pan nie będzie taki skromny – wesoło odpowiedziała ciocia. – Wszyscy czekamy tutaj na pana. Niemałym wydarzeniem towarzyskim jest sposobność goszczenia u siebie inspektora Brauna. Musi pan opowiedzieć nam jak najwięcej o wszystkim, co odkrył pan w Wejherowie!

– Ależ ciociu! – jęknęła panna Bernadeta, ale starsza dama zdawała się nie słyszeć bratanicy.

– Nie uwierzy pan, ale właśnie rozmawialiśmy o panu. Jak w dobrej powieści kryminalnej; pośród ciemności wiosennego wieczora pojawia się detektyw, mąż opatrnościowy ziemskiej sprawiedliwości, przyprowadzony przez niewinne dziecko. Pan wybaczy, wzruszyłam się. Proszę do środka, czekają tam wszyscy, zmarzliście pewnie, na stole jest imbryk z herbatą, dzbanek kawy i dużo smakołyków. Przejdzie pan przodem, proszę bardzo.

Przejęty sytuacją gość zawiesił kapelusz na wieszaku, którego centralny punkt stanowiło lustro obramowane rzeźbioną koroną zdobioną roślinnymi ornamentami.

Oddał pannie Bernadecie płaszcz i skierował się w głąb mieszkania.

W dużym pokoju przy suto zastawionym stole siedziało dwoje ludzi, obok nich na dywanie baraszkowała dziewczynka. Na widok Ignaza z krzesła podniósł się mężczyzna.

Wysoki, barczysty, o żołnierskich gestach, podszedł szybko do gościa stojącego w drzwiach. Uwagę przybysza zwróciła całkowicie łysa głowa pana Sychowskiego; monokl w prawym oku i sumiaste wąsy dopełniały całości wizerunku ojca panny Bernadety. Żelaznym uściskiem niemal

zmiądzzył dłoń Ignaza, potem skierował w jego stronę palec wskazujący i odezwał się tubalnym głosem:

– Pan, młody człowieku, jest inspektorem policji. Dobrze, że pan przyszedł. Jestem Brunon Sychowski, urzędnik państwowy, kierownik stacji kolejowej w Lęborku.

Marto, pozwól, pan Ignaz Braun.

Dopiero wtedy z krzesła podniosła się matka panny Bernadety. Była znacznie niższa i młodsza od męża.

Szczupła blondynka, o której nikt obcy nie powiedziałby, że jest matką brunetki o niemal pełnych kształtach.

Ignaz uruchomił cały swój takt i polor towarzyski, zdobyty na kilkunastu przyjęciach dla policjantów i ich rodzin, aby jak najlepiej zaprezentować się pani Marcie. Kobieta, trzymając w dłoniach rąbki muślinowej chusty okrywającej plecy, dystygowanym, choć jednocześnie badawczym spojrzeniem potraktowała postać gościa. Z początku starała się okazać kobietą stateczną i cierpliwą; zwyciężyła jednak ciekawość i gdy inspektor zasiadł za suto zastawionym stołem, razem z siostrą męża przeszła do kwestii dla nich najważniejszej.

– Nie będzie pan aż tak bezlitosny, proszę opowiedzieć nam o morderstwie. Czego nie napisano w gazetach? Przecież nie o wszystkim napisano?

– Jak prowadzi się śledztwo? Kogo najpierw należało przesłuchać?

– Czy praca w takim zawodzie jest niebezpieczna?

Czy ktoś w Wejherowie próbował na pana inspektora napaść?

Obie kobiety, zajęte zadawaniem pytań, zapomniały o ciągłym zachęcaniu gościa do próbowania kolejnych potraw. Honor domu uratowała panna Bernadeta, która, sama lubiąc jeść, dbała, aby i inni mogli się nasycić. Kształtne palce dziewczyny uwijały się wokół talerza Ignaza, a

policjant, w krótkich przerwach między kolejnymi odpowiedziami wzbudzającymi wypieki na twarzach kobiet i jednocześnie niedosyt, delektował się wielkanocnymi smakołykami.

Na białym obrusie wdzięczył się olbrzymi półmisek pełen czerwonych i niebieskich pisanek. Jajek było chyba z pół kopy, jedno większe od drugiego. Rozbawiony Ignaz przypomniał sobie, jak kilka lat temu założył się z kolegą z Frankfurtu nad Menem, inspektorem Thauem, kto zje więcej jajek na twardo. Ignaz przegrał, zjadł jedenaście i pół, o dwa mniej niż kolega. Takie były szaleństwa najwcześniejszej młodości berlińskiego policjanta. Tymczasem obok półmiska z kolorowymi jajkami honorowe miejsce zajmował cukrowy baranek z chorągiewką, symbol niewinnie umęczonego Chrystusa. W podziwienie wprawiły Ignaza pasztety, szynki, salcesony, pieczone mięsa podane na zimno. Bigos pachnący suszonymi grzybami, zapamiętany z dzieciństwa, wzbudził w gościu cieszącym się dobrym apetytem nieklamany zachwyty.

Dwie baby drożdżowe oblane grubą warstwą lukru podkreślały wyjątkowość wielkanocnego stołu. Gospodyni, razem z bratanicą, dwa dni wcześniej zanosila baby do piekarni pana Wenera Langego, który ongiś tak ofiarnie wspomógł nieszczęsnego Johanna Wendersa. Ryzyko, że ciasto z olbrzymią liczbą żółtek, delikatne i chimeryczne, siądzie w domowym piecu i zamieni się w haniebny zakalec, było zbyt wielkie. Piec w firmie cieszącej się szacunkiem wymagającej klienteli był miejscem stanowczo odpowiednim dla drożdżowej baby mającej wystąpić w roli królowej wielkanocnego stołu. Nie zabrakło też mazurka, który przeszczepiła z południa podzielonego kraju na grunt rodzinnego domu pani Marta, podróżująca z mężem po najrozmaitszych regionach i poznająca różnorakie, także i staropolskie, obyczaje kulinarne. Sernik z bakaliami mógł pieścić

najdelikatniejsze nawet podniebienie, a wyrósł jak marzenie wiedeńskiego kucharza nadwornego.

Pan Brunon zjadał się wędzonymi kiełbasami, specjałem, który przywiózł z Lęborka; znajomy rzeźnik kilkanaście godzin wcześniej obdarzył kierownika stacji takim oto prezentem wielkanocnym. Nie mógł wybrać lepiej.

Karafka z nalewką tarninową, dumą cioci młodej damy, dzieliła się swoją zawartością z kieliszkami, te zaś wędrowały z ochotą do ust biesiadników. Ignaz nie próbował nawet pytać o przepis na rozgrzewający nektar. Po pierwsze, musiał opowiadać o śledztwie, po drugie – takich tajemnic żadna dobra gospodyni nie zdradzała. Owoce tarniny, suszone śliwki, rodzynki, goździki, suszony głóg, wszystko znane, ale proporcje! One decydowały o królewskości nalewki.

Panie, które już wcześniej nasyciły świątecznymi wiktuałami umęczone postem ciała, z nieustającą energią przepytywały Ignaza. Policjant musiał nagłowić się, aby nie zdradzić ciekawym pracy detektywistycznej damom szczegółów utajnionych, a równocześnie usatysfakcjonować naturalną ciekawość kobiet, które życzliwie przyjęły go pod swoim dachem. Na dodatek Ignazem zainteresowała się mała Rozalka. Dziewczynka nie pamiętała pana spotkanego kilkanaście dni wcześniej w pociągu, ale zajęła się nim z wielką poufałością. Przyniosła bazie i kazała zjeść je natychmiast. Gość nie miał wyboru, słyszał zresztą wcześniej o obyczaju jedzenia bazi, co miało zapewnić zdrowie i pomyślność na cały najbliższy rok. Jedyny problem stanowiła liczba aksamitnych kotków przeznaczonych do przełknięcia. Z wesołą miną zjadł dwa, a wtedy dziewczynka z jeszcze weselszą miną doniosła następne.

Sytuacja powtórzyła się trzy razy. Starsza siostra próbowała wytłumaczyć młodszej, że liczba zjedzonych przez gościa bazi jest

stanowczo wystarczająca, jednak Rozalka nie przyjmowała tego faktu do wiadomości. Ignaza uratowało dopiero ponowne zainteresowanie latorośli państwa Sychowskich okazane drewnianemu kółku i kijkowi, prezentom wielkanocnym, o które potknęła się, niosąc gościowi kolejne bazie.

– A co pan, młody człowieku, wie o kolei żelaznej? – zapytał nagle pan Brunon, powtórnie wskazując w Ignaza palcem.

– Ależ tato! – błagalnie jęknęła panna Bernadeta.

– O kolei żelaznej? – odpowiedział gość głosem niepewnym i pełnym wątpliwości. – No cóż, ze wstydem muszę przyznać, że moja wiedza ogranicza się do poziomu zwykłego użytkownika. Lubię atmosferę dworca, lubię sapanie lokomotywy i miarowy, regularny stukot kół.

– Bo widzi pan, młody człowieku, kolej ma przed sobą kolosalną przyszłość. Całe dorosłe życie oddałem temu szlachetnemu środkowi komunikacji i, Bóg mi świadkiem, sądzę, że nie poświęciłem się martwej idei. Kolej jest krwiobiegiem współczesnego organizmu państwa. Dzięki niej krew, to znaczy towary i wiadomości, dochodzą do ludzi szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Ludzie przemieszczają się w zawrotnym tempie z jednej miejscowości do drugiej. Mają większe możliwości zarobkowania i spotykają się z najbliższymi. Przepływ dóbr materialnych i niematerialnych urealnia się w zawrotnym tempie. Dzięki temu społeczeństwo może rozwijać się coraz szybciej! Czy pan, młody człowieku, wie cokolwiek o historii kolejnictwa na tych ziemiach? Przypuszczam, że nie. Tymczasem pierwszy tor kolejowy w obrębie stacji Wejherowo położono już trzydzieści cztery lata temu. Czy to nie piękne?!

Ponad dwadzieścia lat mają zabudowania dworcowe, a ruch kolejowy rozpoczął się niewiele później. Przez miasto, nie największe przecież, przejeżdża codziennie kilkanaście renomowanych pociągów pasażerskich, a ponad sześćdziesiąt tutaj zaczyna i kończy swój bieg. Dziwi się pan?

Słusznie! Świat legł u stóp mieszkańców Wejherowa, i Lęborka, ma się rozumieć – przy ostatnim zdaniu pan Brunon uśmiechnął się błogo, niczym Rozalka na widok czekoladowego budynku.

– Z przyjemnością zgodzę się z pana opinią na temat kolei – grzecznie przytaknął Ignaz.

– Ależ nie oczekuję niczego innego – władczo odpowiedział pan Sychowski – ale pan, proszę mi darować, traktuje kolej jako zwykłą normalność. Wsiada pan do pięknego przedziału pociągu, czyta pan sobie spokojnie „Berliner Morgenpost” i ewentualnie rozmawia z jakąś miłą pasażerką. No, niech pan się nie czerwieni. Tymczasem wiedza teoretyczna dotycząca kolei jest nie mniej fascynująca. Pajęczyna dworców, sieć torowisk, najnowsze typy przekładni! Nie ma niczego ciekawszego. Architektura miast korzysta z dobrodziejstw kolei. Widział pan powstający właśnie dworzec w Gdańsku? Ile piękna w tak monumentalnym kompleksie! Dawniej dyliżanse zaprzężone w konie telepały się po dziurawych lub grząskich traktach. Odpadały koła, pękały zawieszania, nie każdy z pasażerów miał ochotę na masaż wątroby. Cóż, nie było innego wyjścia. Teraz jest inaczej. Dzięki rozwojowi nowych linii i masowości podróży kolejowych staniały bilety, więc na przemieszczenie się do najdalszych zakątków kraju, ba, całej Europy może pozwolić sobie właściwie każdy. My osiągnęliśmy to, czego nie mogli terrorem i zbrodnią zbudować mordercy spod znaku rewolucji francuskiej.

Zarząd Dróg Żelaznych jest skuteczniejszy od jakichś dyrektoriatów sprzed stu z górą lat. Oto demokracja i równość. Rewolucja? Proszę bardzo, ale technologiczna.

A gdyby miał pan kiedyś okazję przyjrzeć się codziennej pracy zawiadowców, dróżników, konduktorów, kelnerów!

Nie przyjmujemy osób o lekkim stosunku do moralności, skazanych, alkoholików i morfinistów. Elita przykładnych obywateli pracuje właśnie na kolei. Kiedy jakaś gałązka usycha, odcinamy ją dla dobra ogółu, nie bacząc na koneksje rodzinne i towarzyskie. Ta zasada powinna obowiązywać w każdej dziedzinie życia. Codzienna, nieefektowna praca zdrowych moralnie ludzi w służbie społeczeństwa. Niech pan przygotuje się, młody człowieku; jeśli moja córka zdecyduje się na następne spotkanie z panem w mojej obecności, na wylot pozna pan ogólne idee i szczegóły obowiązujące na kolei. Nie nazywam się Sychowski, jeżeli rzucam słowa na wiatr!

– Będę zaszczycony, łaskawy panie – cicho odpowiedział Ignaz, który uznał, że dla panny Bernadety gotów jest na najwyższe poświęcenie.

Natchniony pan Brunon, kiedy już raz wywalczył prawo głosu, nie dopuszczał siostry i pani Marty do zadawania gościowi kolejnych pytań. Obie kobiety szeptały między sobą i zdawały się coraz bardziej poirytowane. Wreszcie w sukurs paniom przyszła Rozalka, która umościła sobie wygodne gniazdko na kolanach uśmiechniętego ojca, mając szczególny dar absorbowania najbliższych swoją osobą i nie pozwoliła kierownikowi stacji w Lęborku na kontynuowanie rozpoczętego ledwie pół godziny wcześniej wykładu. Ciocia panny Bernadety wykorzystała sprzyjającą okoliczność i Ignaz musiał wrócić do odpowiedzi na pytania dręczące ciekawe tajemników śledztwa damy.

Przed drzwiami gościnnego domu stało dwoje ludzi.

Otuleni ciszą panującą na zewnątrz, patrzyli na siebie tak, jakby nie widzieli się od dłuższego czasu. W ciągu ostatnich godzin cztery osoby bezwiednie rozdzieliły tę parę.

Niewiele słów zamienił Ignaz z panną Bernadetą w przytulnym salonie. Chłód spływający teraz z rozgwieżdżonego nieba kontrastował z

pastelowymi tapetami, którymi wyklejony był pokój – wesołe miejsce świętowania. Oleodruki obrazujące sceny mitologiczne z udziałem pulchnych boginek zostały zastąpione przez kontury pobliskich zabudowań. Gwar wyniesiony z domu rozlał się gdzieś w niezmierzonej przestrzeni, przestrzeń wchłonęła go i zabrała.

– Jak spodobała się panu moja rodzina? – zapytała młoda dama.

– Jestem pod wrażeniem olbrzymiej wiedzy pani ojca – szczerze odpowiedział Ignaz. – Nie będę ukrywał, pan Brunon zrobił na mnie wrażenie osoby władczej. Widzi pani, jest coś jeszcze. Pani ojciec jest człowiekiem prostolinijnym. Zbyt wiele osób kluczących i mijających się z prawdą spotkałem w swojej pracy, żeby nie docenić takiej cechy. Mam nadzieję, że dowiem się jeszcze niejednego na temat kolei żelaznej.

– Największy komplement dla mojego ojca, jaki kiedykolwiek słyszałam – zaśmiała się panna Bernadeta. – Cieszę się, że ciocia jest znacznie zdrowsza. Ona i mama męczyły pana straszliwie...

– Od dziesięciu lat dokonuję przesłuchań – odparł inspektor Braun. – Zwyczajna sprawiedliwość wymagała, żeby i mnie spotkał taki sam los. Muszę przyznać, że moje rozmówczynie wykazały się nadzwyczajną znajomością policyjnego rzemiosła.

– Nie dziwi mnie to. Obie czytają wiele powieści kryminalnych. Orientuje się pan z pewnością, wydawane są tanie serie na papierze gazetowym. Mama i ciocia wymieniają się najnowszymi historiami mrozącymi krew w żyłach. Przeczytałam kiedyś książkę z takiej serii. Dzieło nazywało się „Krew Justusa Landaua na białym śniegu”.

Moje domowniczki mają więc solidną praktykę.

Dawno minął już czas przewidziany na grzeczne odprowadzenie gościa wychodzącego z domu. Tymczasem panna Bernadeta rozmawiała z Ignazem nadal i oboje nie mieli ochoty na rozstanie. Wreszcie po dwóch

kwadransach przyzwoitość nakazała młodej damie pożegnać gościa. Zasmucony Ignaz przywarł ustami do białej dłoni panny. Upewnił się po raz kolejny, że przyjęła zaproszenie do Cafe Putzig i w radosnym nastroju poszybował lekkim krokiem do hotelu pana Alslebena.



Kontrasty Wielkanocnego Poniedziałku

Wesoło zaczął się poranek dnia następnego. Słońce wzeszło nadspodziewanie wysoko. Tak jak w niedzielę, pogoda była wspaniała. Ignaza nie zdziwiła rzadka na przełomie marca i kwietnia stałość aury.

Wiedział, że szczęścia i nieszczęścia idą parami. A że czuł się najszcześniejszym i najważniejszym człowiekiem na ziemi, pomyślał skromnie, że Bóg zesłał niemal letnie słońce specjalnie dla niego. Poranek godny wczorajszego wieczoru.

Idąc do kościoła farnego, mógł usłyszeć głośne komentarze dziewcząt i kobiet opowiadających sobie o smaganiu witkami przez mężów, braci i adoratorów. Z ciekawością chłonał wesołe rozmowy. Dowiedział się, w jakie specjały obfitowały świąteczne stoły, co znalazł w ogródku synek lub braciszek, jak odebrane było niedzielne kazanie księdza proboszcza Dąbrowskiego.

Nie dane było Ignazowi spędzić wielkanocnego poniedziałku w spokoju. Cieszył się na popołudniowe spotkanie z rodziną Myszków, tymczasem kilka minut po godzinie dwunastej zapukał do pokoju ubrany w granatowy uniform chłopiec hotelowy. Za jego plecami czekał posterunkowy Kandzorra. Wystarczyło rzucić okiem na posterunkowego,

aby zorientować się, że zaszło coś osobliwego. Kiedy chłopiec wyszedł, Braun gestem dłoni zaprosił gościa do stolika. Kandzorra ciężko usiadł na krześle i, zadyszany jeszcze, zaczął opowiadać:

– No więc to było tak. Siedzimy sobie rano w komisariacie, pijemy kawę i jemy ciasto przyniesione z domu, przykrzy się nam strasznie. Żal, że musimy niepotrzebnie siedzieć w pracy, kiedy rodziny siadają do śniadania, a potem idą na spacer albo w gościnę. Ja przepraszam pana inspektora, że tak niesumienne podchodzę do służby, ale święta...

– Rozumiem was doskonale, posterunkowy. Kto byłby zadowolony z dyżuru w drugi dzień świąt?! Przecież życie jest takie piękne.

– Pozwoli pan, panie inspektorze: nie zawsze. Bo ja właśnie przychodzę po pana, bo znaleziono spodnie i marynarkę. Z zeznań rodziców wynikało, że Wenders był ubrany właśnie w te rzeczy. Dobrze, że usiadłem, zadyszałem się piekielnie.

– Dam wam kieliszeczek taminówki, dostałem wczoraj całą butelkę. Drogocenny eliksir, gwarantuje powrót sił. A potem proszę jak najprędzej zaprowadzić mnie na miejsce znalezienia ubrania. Gdzie to było?

– Jest taka kaplica nad Cedronem, ufundowana przez ojca obecnego pana starosty – powiedział posterunkowy i, ożywiony cudownym działaniem nalewki, odruchowo podsunął pusty kieliszek w stronę pękatej flaszki.

Ignaz nalał policjantowi jeszcze jedną pięćdziesiątkę.

– No więc ta kaplica, całkiem nowa, ma kilkadziesiąt lat. Ludzie spacerują tam ciągle, zwłaszcza wiosną i latem. W święta też, bo człowiek naje się smacznych rzeczy i potrzeba mu krótkiej przechadzki.

Wychylił drugi kieliszek nalewki i obaj policjanci ruszyli do kapliczki.

Na miejscu spotkali już komisarza Renscha i dwóch niższych stopniem funkcjonariuszy. Obok nich stał Johannes Wenders.

– Witam pana inspektora. Tak. Spotkaliśmy się w święta, jak widać. Życie jest jedną wielką niespodzianką.

– Jak doszło do znalezienia ubrania? – zapytał Braun, chociaż posterunkowy opowiedział po drodze o wszystkim, co poprzedziło jego przybycie do hotelu.

– Młode małżeństwo spacerowało sobie po mszy i śniadaniu – zaczął komisarz. – A gdzie jest najładniej?

Oczywiście tutaj. Tak, niech pan spojrzy na tę okolicę.

Wszystko się zgadza, tutaj niedaleko w rozlewisku znaleziono, pan wybaczy, panie Wenders, część ciała biednego Johanna.

Skupiony Ignaz rozejrzał się dookoła. Musiał przyznać, że otoczenie starego młyna było wyjątkowo urokliwe. Osobliwie kontrastowało z tym, co leżało u stóp policjantów.

Posterunkowy znacznie uprościł opis znaleziska, mówiąc, że przy kaplicy odkryto marynarkę i spodnie. Na ledwie kiełkującej trawie leżały strzępy. Niemal czarne, mokre, pokryte mułem i poszarpane kawałki materii miały być kiedyś wełnianym kompletem, tak przynajmniej twierdził pan Johannes.

Naszywka na wewnętrznej stronie kieszeni świadczyła, że marynarka kupiona została w gdańskim zakładzie krawieckim Hermanna Katschmarka przy Hundegasse 27. W kieszonce znaleziono ołówek i mały nieoszlifowany bursztyn przypominający kształtem serce; rzeczy, według ojca, niewątpliwie należące do Johanna.

– Tak. Spacerowali sobie po tym śniadaniu. Ciekawe, co jedli? Jak zwykle na wiosnę, woda zrobiła swoje. Wypłukała skądś trzymające się na jednym włosku strzępy, strzępy zaczepiły o jakąś złamaną gałąź. Dawniej nikt nie przejmowałby się takim znaleziskiem, ale mieszkańcy Wejherowa od miesiąca są uczuleni na podobne okoliczności.

– Pan Wenders potwierdził znajomość przedmiotów znalezionych w marynarce? – upewnił się inspektor.

– Potwierdziłem – wtrącił piekarz. – Nikt nie mógłby mieć równocześnie takiego samego ołówka i bursztynu. Ołówek pochodził aż z Królewca, tu jest nazwa firmy, u nas takich się nie sprzedaje, proszę spojrzeć na napis.

Znajomy przywiózł kiedyś Johannowi kilka sztuk. Bursztyn był czymś w rodzaju talizmanu. Adres zakładu pana Katschmarka przesądza sprawę. Tak, potwierdzam własność mojego syna.

– Oczywiście po zakończeniu śledztwa otrzyma pan wyżej opisane przedmioty – ciepłym głosem zapewnił komisarz.

Wenders odchylił się, jakby chciał uciec wzrokiem od smutnego znaleziska.

– Proszę oddać żonie. Ja nie chcę... Nie mogę...

– Dziękujemy już panu, panie Johannesie – odparł nieco zaskoczony komisarz. – Może pan wracać do domu. My też zaraz stąd pójdziemy. Tak. Zabieramy fragmenty odzieży i wracamy na komisariat. Posterunkowy, zabezpieczyć dowód.

Krótką rozmowa Ignaza z Renschem dopełniła służbowego obowiązku. Następnego dnia obaj policjanci mieli spotkać się na posterunku, ograniczyli się więc do ustalenia ostatnich szczegółów wtorkowych zajęć. Minął kwadrans i Ignaz został sam na kamiennym mostku, spod którego wesołym nurtem wypływał Cedron. Po drugiej stronie rozpościerało się rozlewisko. Kapliczka zbudowana była według kanonów obowiązujących w architekturze od dobrych kilkadziesiąt lat. Strzelista i surowa budowla z brunatnej cegły przywodziła na myśl liczne kościoły stawiane za czasów największego rozkwitu niemieckiej państwowości. Neogotycka kaplica osobliwie kontrastowała z sielskim krajobrazem rozlewiska. Napęczniałe

chęcią życia drzewa, pogodne i skromne krzaki, srebrzystoszare zazwyczaj lustro wody rozjaśnione błękitnym refleksiem nieba, pogodziły się dawno z obecnością kaplicy, ale dla przybysza pierwszy raz odwiedzającego ten zakątek zjawisko musiało być wyjątkowe.

Na frontonie widniał herb rodziny Keyserlingków, palma, natomiast wewnątrz kaplicy znajdował się obraz pojmanego Jezusa przeprowadzanego przez Cedron. Cofając się ubitym duktem kilkanaście metrów na wschód, Ignaz dostrzegł młyn Biangów. Niedaleko budynku usadowionego nad rozlewiskiem znaleziono fragmenty ciała gimnazjalisty; przy kaplicy jego ubranie. Miejsce ulubione przez mordercę Johanna? Dlaczego właśnie tutaj zbrodniarz podrzucił część ciała i przedmioty związane z ofiarą? Inspektor przyrzekł sobie, że odwiedzi to miejsce w ciągu najbliższych dni. Musiał porozmawiać z właścicielem młyna.

Wracając do miasta, Braun miał przed oczami melancholijny i czarujący jednocześnie obraz rozlewiska. Ignazowi przypomniała się babcia, która przed laty przychodziła usypiać wnuka opowieściami o tajemniczym młynie nad groźną i bystrą wodą.

Minęło kilkanaście minut. Po Rynku i ulicach go okalających chodzili mieszkańcy Wejherowa. Miasto tętniło wesołością i sytym zadowoleniem z drugiego dnia świąt, tymczasem dorosły już człowiek zagłębiał się w opowieści dawno zmarłej babci. Nie słyszał ludzkich głosów, nie widział wystrojonych mężczyzn i zalotnie spoglądających kobiet. Szedł machinalnie, jego myśli wróciły do czasów dzieciństwa.

Ignaz przysiadł na ławeczce nieopodal pomnika Wilhelma II. Nie musiał zamykać oczu. Babcia stała przed nim jak żywa. Pochyliła się nad wnukiem i zaczęła snuć swoją opowieść.

Młynarz miał córkę, piękną, jasnowłosą. Diabeł, mieszkający w pobliskim lesie, zakochał się w dziewczynie i postanowił ją zdobyć. Ale

jak?! Ojciec nie mógł przecież oddać córki piekielnikowi. Długo myślał diabeł nad sposobem pozyskania serca pięknej młynarzówny, aż w końcu przybrał postać zbłąkanego myśliwego. Z podrapaną gałązkami twarzą, zalękniony i głodny przybył do młyna, wzbudzając od razu litość i sympatię domowników.

Minął dzień i drugi, młynarz zorientował się, że myśliwy posiada niepospolitą siłę. Wdzięczny za gościnę przybysz, wydobrząwszy, nosił ciężkie worki z mąką, pomagał gospodarzowi w pracy, od rana do nocy nie usiadł chociażby na chwilę. Z czasem młynarz przywiązał się do gościa, a jego córka zakochała się bez pamięci w przystojnym myśliwym. Diabeł za to rozsmakował się w nowym życiu.

Miał spokój, polubił pracę, cały dzień tęsknił do wieczornego spaceru z młynarzówną. Ptaki wtedy śpiewały, drzewa szumiały, a dróżka wiła się tajemniczo przed dwojgiem młodych. Pomocnik młynarza nie musiał już jadać surowych nietoperzy, zamiast nich dostawał codziennie kaszę ze skwarkami i dzban zsiadłego mleka. Nie musiał sypiać w używanej trumnie na opuszczonym cmentarzu, miał swoje łóżko z czystą pościelą tuż pod izbą młynarzówny.

Pewnego dnia zjawił się Futrzastiusz, nadzorca z trzeciego kręgu piekielnego. Był kimś na kształt poborcy podatkowego; zbierał od diabłów bytujących na zapadłej prowincji świeże duszyczki. Rozgniewał się mocno na pomocnika młynarskiego, zażądał natychmiastowej poprawy. Ten zaś, okrutnie zdesperowany, nie bacząc na ustaloną od tysiącleci hierarchię, huknął na Futrzastiusza i posłał go do diabła.

W piekle zrobiło się gorąco. Rada Nadzwyczajna ogłosiła wykluczenie zdrajcy z własnego grona. Karą miało być sprowadzenie pomocnika młynarskiego do podziemi i umieszczenie w kotle z gorącą smołą. Tymczasem młynarczyk jakimś sposobem dowiedział się o decyzji rady i

szybko poszedł do księdza proboszcza. Wyznał wszystko, dał się potajemnie ochrzcić, przyjął komunię. Od tego czasu został zwyczajnym człowiekiem. Utracił moc czynienia czarów i stosowania różnych diabelskich sztuczek, przestał też jednak podlegać władzy piekła – diabły nie mogły porwać go do swojego podziemnego królestwa. Kusiły nawróconego, jak każdego innego człowieka; kto jak kto, ale młynarczyk wiedział wszystko o sztuczkiach swoich dawnych kamratów i miał się na baczności.

Nie minął rok, a piękna młynarzówna została żoną dawnego diabła. Ciężkiej pracy zawdzięczali swoje bogactwo, opiekowali się coraz starszym ojcem. Dochowali się czwórki dzieci, które wychowali na dobrych chrześcijan.

Piekło było bezsilne, a niebo triumfowało. Nieraz, gdy młody młynarz z żoną i teściem wychodził przed młyn i wsłuchiwał się w stukot koła obracanego przez wartki nurt rzeczki, gorąco dziękował Bogu za spokojne i pracowite życie, jakie przyniosła mu miłość.

„W życiu nie bywa tak łatwo” – pomyślał Ignaz. Bajka skończyła się pomyślnie. Człowiek (w tym wypadku diabeł) odważył się zerwać ze swoim światem i wygrał. Co zrobił Johann Wenders, że musiał przegrać? Miał bystry umysł i otwartą głowę, nie wahał się przekraczać barier religijnych, które dla pokolenia jego rodziców stanowiły pewną świętość i wyznacznik tożsamości. Z drugiej strony mroczne zakamarki jego duszy mieściły w sobie wiele tajemnic. Johann zabierał swoje znajome na kalwarię, pokazywał im cieniste zakątki porośnięte bukami. Wybujala cielesność niewątpliwie towarzyszyła zamiłowaniu gimnazjalisty. Wielu ludzi miało powód do zabicia Johanna.

Młody Wenders, jak diabeł z młyna, wykroczył przeciwko utartym regułom panującym w małej społeczności. Prawdopodobnie, w odróżnieniu

od tamtego diabła, czynił zło, a równocześnie tęsknił za dobrem, które dla jego najbliższych było zabobnem. Ktoś zdeterminowany postanowił przeciąć wrzód i, chcąc przywrócić swoiście pojęty ład, stał się jego ostatecznym burzycielem. Paradoks godny wykładu profesora Milcha z uniwersytetu we Fryburgu.

Inspektora Brauna powitano w domu Myszków z prawdziwą radością. Dla posterunkowego i jego rodziny wizyta wyższego stopniem stołecznego oficera stanowiła powód do wielkiej dumy. Zwłaszcza że była to już druga wizyta, a więc życzliwość inspektora w stosunku do domowników nie mogła budzić wątpliwości.

Stęskniony rodzinnej atmosfery Ignaz cieszył się możliwością spędzenia drugiego dnia świąt wśród osób tak sympatycznych. Pokrótce opowiedział Antonowi o porannym znalezisku, potem zaś nie rozmawiano już o niczym, co mogło mieć jakikolwiek związek z policyjnym rzemiosłem. Wspominano świąteczne obyczaje, mówiono o codziennym życiu w małym mieście i stolicy wielkiego cesarstwa, o sklepach i spacerach, o burmistrzu i księdzu dziekanie Dąbrowskim, proboszczu wejherowskiej fary.

Pani Anastazja nieustannie podsuwała Ignazowi co smakowitsze kąski, a Anton z kryształowej karafki nalewał wiśniówkę do również kryształowych kieliszków.

Dzień wcześniej Braun, z uwagi na stosunek do panny

Bernadety, musiał zważać na każde wypowiedane słowo; teraz mógł cieszyć się bardziej niezobowiązującą atmosferą. Dzieci Myszków, pouczone przez rodziców, nie męczyły zbytnio pana inspektora, chociaż on sam zagadywał je, pytając o różne sprawy. Nie zapomniał też o drobnych upominkach dla całej gromadki.

Na pytanie, jak spędził pierwszy dzień świąt, nie odpowiedział zbyt wyraźnie. Mruknął coś wymijającego, a doświadczone oko pani Anastazji dostrzegło w zachowaniu zapytanego coś zagadkowego. „Nic, tylko kobieta” – pomyślała.

Było dobrze po godzinie dziesiątej, kiedy Ignaz opuścił gościnny domek posterunkowego i jego żony. Wyszedł z ulicy Nanickiej, znalazł się na Lęborskiej. Przechód niów, mimo późnej pory, nie brakowało. Niektórzy, jak wskazywały głośnie zachowanie i wyśmienity humor, znajdowali się pod czarującym wpływem napojów podawanych wcześniej przy stole. Większość wracających szła jednak godnie i z należną okolicznościom powagą. Ignaz dochodził już do Rynku, kiedy gwałtowne szarpnięcie za rękaw przerwało spokojny rytm kroków.

– Pan inspektor! – ucieszył się mężczyzna trzymający w dłoni rękaw płaszcza Brauna.

– Profesor März? – odparł policjant, widząc nauczyciela w nie najlepszym stanie.

– A ja. Myślał pan, że ja nie chodzę po ulicach? Drogi panie, o zdrowie cielesne trzeba dbać. Ha! Spaceruj, jeszcze raz spaceruj. Szybko chodzić, przedtem mały kieliszeczek na poprawę krążenia i człowiek czuje się jak nowo narodzony. W moim wieku najgorsza rzecz to siedzenie w książkach i mapach. Zastój męczy, ja muszę spacerować...

– Daruje pan, po prostu nie spodziewałem się takiego spotkania – wymamrotał zdezorientowany Ignaz, widząc, jak Wilhelm März zachwiał się na ułamek sekundy.

Profesor wyprostował się szybko i kontynuował.

– Myślałem, że spotkam pana inspektora dopiero na pogrzebie Johanna, a tu niespodzianka. Dlaczego pan nic nie mówi? Nie lubi mnie pan... kto lubi starego, łysego nauczyciela? Chyba tylko cesarz, bo cesarz kocha

wszystkich swoich poddanych. Nieszczęsny, zużyty nauczyciel języka niemieckiego! Nie cesarz, ma się rozumieć, tylko ja.

Nastroje profesora Marza zmieniały się jak w kalejdoskopie. Łysa czaszka, pozbawiona kapelusza i otoczona wąskim wianuszkiem zmierzwionych włosów, świeciła w świetle gazowej latarni pełnym blaskiem. Wystające zęby upodabniały nauczyciela do chińskiego sprzedawcy ryżu z Mandżurii, którego fotografię Ignaz obejrzał kiedyś w czasopiśmie geograficznym.

– Niewiele życia przede mną, emerytura zbliża się wielkimi krokami. Taki cios pod sam koniec kariery...

Od momentu uzyskania *facultato docendi* przyrzekłem sobie, że będę dobrym wychowawcą. Nie zrozumie tego pan, policjant o stalowych nerwach i twardym sercu, jak ja kocham młodzież! Patrząc na kwiaty dojrzewające w słońcu nauki i ciesząc się na samą myśl, jak bardzo przyda się im każda godzina spędzona w naszym gimnazjum. Zostaną urzędnikami, może lekarzami, niektórzy wojskowymi albo policjantami. Tylko Johann będzie leżał w grobie. Mój poeta, tak mówiłem o nim do dyrektora. Kochał życie i chciał tworzyć. Zabrały go...

– Kto go zabrał? Niech pan powie – ponaglał Ignaz, widząc, że profesor pochylił głowę i zamilkł.

– Kto? Żądze i namiętności. One sprawiają, że w ludziach ujawniają się demony. W katach i ofiarach. Albo odwrotnie, w ofiarach i katach. Wszystko jedno, efekty są aż nazbyt widoczne. Co za ciepły wieczór, musiałem gdzieś zgubić melonik! Zbyt mocno zanurzyłem się w życie duchowe, w naukę chrześcijańską, aby nie poznać na wylot ludzkiej duszy. Żądze i namiętności! Jak to pięknie brzmi w naszym języku i jak groźne jest dla młodego człowieka... Ciągną za sobą zemstę, a zemsta jest złowroga i czarna, wcale nie zwodnicza ani piękna. Zemsta nie kłamie, nie

ubiera się w elegancki surdut. Zemsta jest odważna. Siostra i córka żądzą i namiętności!

Profesor rozplakał się i wtulił w płaszcz Ignaza.

– Czy pan coś wie? Panie profesorze, bardzo pana proszę...W imię miłości do Najjaśniejszego Pana!

– Co? A, tak. Czasami sny mówią wiele. Niech pan da mi spokój! Nic nie wiem i nie powiem panu, chociaż bardzo bym chciał. Przecież przyniosłem wiersze. Proszę odprowadzić mnie do domu, chce mi się spać.

– W której kamienicy pan mieszka? – z rezygnacją zapytał Braun. Nigdy nie lubił rozmów z osobami nietrzeźwymi.

– Jaki pan ciekawy! – profesorowi na moment wrócił dobry nastrój.

– Chciał pan, żebym odprowadził go do domu.

– Nic podobnego! Co pan sobie myśli? Jestem trzeźwy i nikt nie będzie mnie targał po ulicy jak jakiegoś pijaka. Mam tyle siły, że potrafiłbym wspiąć się choćby na Diabelną Górę. Żegnam pana.

Wymawiając ostatnie słowa, profesor März obrócił się lekko na pięcie i prostym krokiem podążył ulicą Lęborską w kierunku dworca. Gdyby chciał iść do domu, ruszyłby w przeciwną stronę. Raz tylko zachwiał się, ale szybko wrócił do właściwego stanu. Wpatrzony w znikającą postać Ignaz żałował, że nauczyciel upił się w sposób tak niekorzystny dla przebiegu śledztwa. Wilhelm März musiał o czymś wiedzieć, jednakże wolał zachować fakty dla siebie. Rausz prowokował do gadatliwości, ale nauczyciel ostatkiem sił powściągnął potrzebę pijackiej szczerości.

Tak niewiele brakowało. Zaczął już mówić i nagle zaciął się, jakby stał nad nim, niczym duch, morderca Johanna. Kto wie, może gdyby profesor wypił odrobinę więcej, inaczej potoczyłaby się rozmowa?

Ignaz nie zasypiał spokojnie. Cieszył się przedtem, że jego sny wypełni postać panny Bernadety, tymczasem Johannes Wenders, komisarz Rensch i

profesor März pojawili się z całą wyrazistością, całkowicie zapełnili sobą świadomość inspektora i w żaden sposób nie chcieli odejść.

Każdy z nich wypowiadał raz jeszcze słowa, które Ignaz usłyszał w ciągu ostatnich godzin.

Jeszcze jedna postać. Pan Brunon Sychowski. Jego opowieści o kolei żelaznej krzyżowały się ze wszystkim, o czym mówili tamci.



Młyn

Zkońcem drugiego dnia świąt umknęła dokądś słoneczna pogoda. Nad miastem i okolicą zawisły ciężkie, ołowiane chmury, z których jednak nie chciała spaść na ziemię ani kropla deszczu. Po niespokojnej nocy Ignaz wstał, jak zawsze, rześki i pogodny. Potrzebował niewiele snu, a świadomość, że niemal od świtu należy przystąpić do pracy, dodawała mu jeszcze sił.

Po krótkiej naradzie z komisarzem inspektor poszedł na spóźnione śniadanie do Kóniglicher Hof. Nie znosił odstępstw od regularnego trybu życia i zawsze musiał zacząć dzień od obfitego śniadania. W czasie rozmowy z Renschem, dostępnym tego dnia tylko o najwcześniejszej porze, nabrał apetytu i posiłek w hotelowej restauracji przyjął jako błogosławieństwo losu. O godzinie ósmej trzydzieści przybył posterunkowy Myszk, który z nieskrywaną przyjemnością dał zaprosić się na filiżankę gorącej kawy.

Wzmocnieni aromatycznym napojem policjanci ruszyli w kierunku młyna. Obeszli wielkim kołem ziemię należącą do rodu Keyserlingków i, idąc drogą nad Cedronem, dotarli do miejsca, gdzie poprzedniego dnia znaleziono ubranie Johanna.

– Wie pan, inspektorze, przyprowadzałem tu często moją Anastazję. Znaliśmy się wtedy od niedawna, a ja patrzyłem na nią tak, że do dzisiaj nie mogę pojąć, dlaczego się nie wystraszyła. Trochę tylko wstydziła się dla porządku. Szczęśliwe czasy, chociaż i dzisiaj, Bogu dzięki, nie narzekam. Tyle, żeby zdrowie dopisywało, reszta sama przyjdzie.

– Zazdroszczę ci, Anton, spokoju, chociaż boję się go.

Mnie gna coś do przodu, ciągle myślę o przyszłości, nawet jeżeli sięga ona tylko dzień naprzód. – Posterunkowy zamyślił się.

– Widzi pan inspektor, są duchy spokojne i niespokojne. Pan należy do tych ostatnich, one zmieniają świat.

– Na lepsze czy na gorsze? – uśmiechnął się Ignaz.

– Pan? Na lepsze. Ale są i inni. Życie toczy się za szybko. Nie nadążani za nim. Z jednej strony jakieś próby z maszynami, które jeżdżą bez pomocy koni, szczepionki przeciwko nieuleczalnym chorobom, a z drugiej strony ktoś ćwiartuje osiemnastoletniego chłopaka. Do czego to doprowadzi?

– Zło zawsze było na świecie, tylko ty nie dostrzegałeś go tak wyraźnie. Patrzyłeś w oczy swojej Anastazji i łapałeś pospolitych rozrabiaków. Z upływem lat wzrok wyostrza się, a pamięć zaczyna pielegnować złe chwile, co niestety nie wpływa dobrze na samopoczucie.

– To prawda – zauważył Anton. – Kiedyś bardzo lubiłem okolice młyna, a od czasów pierwszego odkrycia...

– Ja natomiast widzę tu znakomity materiał do prowadzenia śledztwa. No, panie posterunkowy, rozchmurz się natychmiast. Przypomnij sobie romantyczne spacerzy z panną Anastazją!

Myszk zgasił butem rzuconego na ziemię niedopalonego papierosa i różnym krokiem ruszył za inspektorem. Po kilku minutach obaj znaleźli się przed młynem wodnym.

Obok okazałego budynku mieszkalnego z lekko spadzistym dachem usadowił się zbudowany z muru szachulcowego młyn z olbrzymim kołem obracającym się siłą niepozornej, choć rwącej rzeczki. Młyńskie koło zwawo obsługiwało dwa kamienie – nieruchomy „leżak” i obracający się „biegacz”.

Posterunkowy zapukał do drzwi wejściowych domu.

Po dłuższej chwili otworzyła je starsza kobieta z groźnym wyrazem twarzy, ubrana w czarną suknię przepasaną białym fartuchem. Nieufnie spojrzała na stojącego przed nią Ignaza, ale kiedy zza jego pleców wyłonił się Myszk, uśmiech rozjaśnił twarz staruszki.

– Anton? Tyle czasu nie było cię w młynie! A kogo to przyprowadziłeś?

– Inspektora Brauna z Berlina. Zastaliśmy pana Jana?

– A pewnie, pewnie... Gdzie miałyby być o takiej porze, jak nie u siebie w młynie? Panowie wstąpią do środka. Mam świąteczne ciasto, a i kawałeczek szyneczki z tłuszczkiem też się znajdzie. Pan ze stolicy mizernie jakoś wygląda. Wiadomo, człowiek z podróży, żona daleko, a bez domowej kuchni nie można długo wyżyć. Sam pan inspektor do nas zawitał, no, no...

Anton zaśmiał się.

– Dziękujemy, pani Leokadio, ale obowiązki wzywają. Musimy porozmawiać z panem Janem.

– Nie jest chyba oskarżony o morderstwo?

Anton zaśmiał się po raz drugi.

– Bez obawy! Pan inspektor chciałby tylko przesłuchać pani wnuka. W młynie bywa tyle interesujących osób, no i w pobliżu znaleziono to i owo. Może pani coś zauważyła?

– Przecież wiesz, moje dziecko, że nie wychodzę z domu od lat. Chyba że do kościoła. Jan będzie wiedział więcej. A pan inspektor taki młody i już

zajmuje się łapaniem morderców? – pani Leokadia z niedowierzaniem i niejakim podziwem obejrzała Ignaza od stóp do głowy.

– Niezbadane są wyroki boże – skromnie skłonił głowę funkcjonariusz stołecznego Wydziału Zabójstw.

Jan Bianga, mężczyzna imponującej postawy, serdecznie uścisnął dłoń Antona i z należnym szacunkiem przywitał się z inspektorem. Pasował jak ulał do wizerunku zamożnego i statecznego młynarza. Olbrzymi wzrost i zwalistą sylwetkę znakomicie uzupełniała szeroka, rumiana twarz. Krzaczaste brwi mogły sprawiać wrażenie, że ich właściciel jest człowiekiem o nieposkromionym i porywczym charakterze, jednak łagodne niebieskie oczy świadczyły o czymś zgoła przeciwnym.

Policjanci zostali zaprowadzeni na piętro, gdzie dwaj pomocnicy młynarscy ustawiali obok siebie worki ze zmielonym ziarnem. W całym pomieszczeniu unosił się biały pył. Osiadał na ścianach i drewnianej podłodze, ulatywał przez otwarte okienko. Pan Bianga przeprosił inspektora, że przyjmuje go w takich okolicznościach, ten zaś powiedział zgodnie z prawdą, że od dziecka pragnął znaleźć się w środku prawdziwego młyna. Widział co prawda wiele takich budowli, ale nigdy dotąd nie miał sposobności podziwiać samego wnętrza, w którym mieliło się zboże.

– A co niezwykłego jest w młynie? Ja od dziecka tutaj siedzę, więc wszystko, co można znaleźć w tych ścianach, znam jak własną kieszeń.

– Dla człowieka z wielkiego miasta sprawa ma się inaczej. Mówi pan: od dziecka? Mnie w dzieciństwie karmiono baśniami o młynie, w którym usadowił się diabeł.

– Każdy zna takie bajki! – ucieszył się pan Bianga. – Ale widzi pan, na mnie nie sprawiały one żadnego wrażenia. Wiedziałem, że tutaj nie ma żadnego diabła. Zbyt dobrze znałem każdy kąt. O, diabeł mieszkający w lesie, takiego rzeczywiście bałbym się nie na żarty.

– Diabeł pojawił się, jak pan wie, i to właśnie w pobliżu pańskiego młyna.

Nieme pytanie olbrzyma uświadomiło Ignazowi, że tutejsi ludzie operują wyłącznie pojęciowymi konkretami.

– Mam na myśli zabójstwo młodego Wendersa.

Ośmieliłem się przeszkodzić panu w pracy, aby zasięgnąć kilku opinii właśnie w tej sprawie. Ale niech pan najpierw opowie o samym młynie. Z przyjemnością posłucham.

Biangę, który na wzmiankę o Johannie zasepił się, wyraźnie ucieszyły ostatnie słowa. Był człowiekiem oddanym swojemu powołaniu i o młynie mógłby opowiadać całymi dniami. Huknął na czeladników przysłuchujących się rozmowie z policjantami i zaczął z miłością mówić o rodzinnym powołaniu.

– Ja musiałem zostać młynarzem. Mój dziad zbudował ten młyn pięćdziesiąt sześć lat temu. Aleksander Bianga był przedsiębiorczym człowiekiem. Zaczynał od niczego, a doszedł do wielkich rzeczy. Młyn to nie byle co! Dom pobudował, a nasze koło było i jest nadal największe w całej okolicy. Nie pamiętam zbyt dobrze dziadka, ale ojciec wiele opowiadał mi o początkach młyna. Miałem dwa lata, kiedy ojciec pokazywał mi, jak mieli się mąkę. W wieku dziesięciu lat miałem już wiedzę o niebo przewyższającą wszystko, co wie przeciętny czeladnik.

– Zna pan z racji profesji wielu ludzi, prawda? – zapytał Braun.

– Myśli pan inspektor o zabójstwie Wendersa? Patrzyłem, odkąd pamiętam, na interesantów przychodzących do ojca. Grubi, chudzi, łysi, kudłaci, biedni i zamożni. Twarze smutne i wesołe, policzki nalane i zapadnięte. Młynarz jest jak lekarz, spotyka na swojej drodze wielu ludzi i wie o nich więcej niż ktokolwiek inny. Niech pan inspektor pyta.

Pobielony mąką Ignaz zawahał się, jakby rozstrzygał, które pytanie zadać w pierwszej kolejności. Wreszcie jego twarz rozjaśniła się.

– Kilka osób mówiło mi, że droga nad Cedronem i okolice młyna należą do miejsc spacerowych cieszących się szczególnym powodzeniem.

– No tak! – potwierdził z entuzjazmem pan Bianga.

– Przychodzą tutaj tłumy, zwłaszcza wiosną i latem. Ale jesienią też nie brakuje amatorów przechadzek. Mogłoby się zdawać, że młyn leży na odludziu, ale to nieprawda. Ruch tu czasami większy niż na którejś z bocznych uliczek miasta.

Panie w białych sukniach, panowie w odświętnych surdutach, służące na wychodnym, niańki z dziećmi, zakochani i staruszkowie. Czy coś stało się panu inspektorowi?

Młynarz z niepokojem obserwował bolesny grymas na twarzy Ignaza. Tymczasem gość, nieprzyzwyczajony do pyłu unoszącego się w całym pomieszczeniu, kichnął potężnie. Pan Bianga ucieszył się, krzyknął „Na zdrowie!” i wyjaśnił, że niektórzy ludzie, znajdujący się pierwszy raz w młynie, kichają z zadziwiającą mocą.

– Klientów zapamiętuję – kontynuował gospodarz.

– Ludzie oczekują rozmowy z młynarzem i ja nie sprawiam im zawodu. Nie jestem w stanie opowiedzieć panu, kto w jakim celu kręci się przy kaplicy Keyserlingków, ale wiem, kto kiedy przyszedł po mąkę, czy dopisuje mu zdrowie i czym martwi się lub cieszy.

– Nie wymagam, przynajmniej na razie, żeby opowiadał mi pan o stanie zdrowia poszczególnych klientów – żartobliwie odparł Ignaz – ale niewątpliwie pańska wiedza może okazać się bezcenna. Proszę mi powiedzieć, czy nie zauważył pan w tamtych dniach czegoś podejrzanego?

Nie podgląda pan ludzi, ale niekiedy można przypadkowo zauważyć coś, co zastanawia.

Na czole młynarza pojawiła się zmarszczka.

– Rzadko o tej porze roku spoglądam na okolicę.

Przygnębia mnie śnieg, źle znoszę zimno. Jako młynarz, najbardziej lubię dojrzałe lato. Okres żniw, łany zboża, drzewa szumiące nad głową. Zima jest czymś bardzo złym, chociaż w karnawale można najeść się do syta. Pan inspektor też lubi się najeść? Babcia Leokadia patrzy czasami przez okno i opowiada mi o wszystkim, co zauważy.

Ale ja nie słucham jej ploteczek, po prostu mnie to nie interesuje. Niedługo się żenię i plotek do końca życia mi nie zabraknie. Pan inspektor będzie musiał porozmawiać z babcią.

– Nie omieszkam – odparł Braun. – Tymczasem niech pan zdradzi, jak układają się stosunki między największymi wejherowskimi piekarzami. Są przecież pańskimi klientami.

Pan Bianga zdjął białą czapkę i oparł się o poprzeczną belkę będącą fragmentem konstrukcji podtrzymującej strop.

– Mówi pan inspektor o wejherowskich piekarzach.

Naprawdę liczą się tylko dwaj: Werner Lange i Johannes Wenders. Pozostali, a jest ich czterech, są drobnymi rzemieślnikami. Zamawiają nieco gorszą mąkę, jej ilości też nie są wielkie; sądzą, że takie piekarenki nie przeżyją swoich właścicieli. Z Langem i Wendersem jest inaczej. Kilkadziesiąt lat pracowali na swoje nazwiska, obaj usadowili się w najlepszych punktach handlowych miasta.

– Ceni pan obydwu piekarzy, prawda? – zauważył Ignaz.

– Owszem. Przecież każdy chciałby współpracować z ludźmi poważnymi i uczciwymi. Nie zdarzyło się, i to od czasów, kiedy mój ojciec był jeszcze zdrowy jak dąb, żeby Lange i Wenders zalegali z opłatami albo nie odebrali mąki przygotowanej na zamówienie. Innym to się zdarzało, na przykład wtedy, gdy zbyt wypieków był mniejszy niż szacowali. Rok w rok

przed Bożym Narodzeniem obaj dają babci Leokadii i mnie upominki. Wiedzą – młynarz wyprostował się – że moja mąka jest najlepsza. Nie mogą pozwolić sobie na słabszą jakość wypieków.

– Similis simili gaudet – szepnął Braun.

– Słucham? – równocześnie zapytali młynarz i posterunkowy.

– Podobne podobnemu raduje się. Łacina.

– Nie znam łaciny – melancholijnie zauważył pan Jan.

– Wenders i Lange nie darzyli się sympatią? – wrócił do tematu inspektor. Tubalny śmiech rozniósł się pod sam sufit.

– Jest pan inspektor łagodny! Oni się nienawidzili. Stosowali wobec siebie coś, co można by uznać za szpiegostwo.

Próbowali, jeden przez drugiego, zachwycać klientów nowymi wypiekami. Kiedy jeden wymyślił coś wyjątkowego, drugi wypytywał obsługę konkurenta o recepturę. Zaniżanie cen było na porządku dziennym.

– Między młynarzami również panują takie stosunki?

– Różnie bywa, ale pewne reguły powinny być przestrzegane. Rzemieślnicy nie muszą się lubić, można walczyć z konkurentem na różne sposoby, ale oni nie znosili się z przyczyn osobistych. Johannes Wenders odbił niegdyś narzeczoną Langemu i ożenił się z nią.

– Niewiele słyszałem na ten temat.

– Chodzi o pierwszą żonę pana Johannesesa. Była katoliczką. Umarła przy porodzie. Ich córka została potem zakonnica, co najbliżsi przeżyli bardzo ciężko. Dla ewangelików katolicy są jak poganie. Ale przepraszam – zmieszał się – pan inspektor pewnie ewangelik...

– Niech pan kontynuuje.

– Lange miał żal do Wendersa. Kochał swoją narzeczoną, mieli już nawet brać ślub. Panna zerwała zaręczyny, wkrótce odbył się jej ślub z

panem Johannesem. Odrzucony Lange nie przyszedł na ślub, upił się tamtego dnia w knajpie i zrobił na Rynku awanturę. Potem zaciął się w sobie, nie wspominał nikomu o doznanym zawodzie. Obydwaj piekarze mieli już swoje firmy, zaczęli konkurować. Miary dopełniła śmierć żony pana Wendersa. Lange odezwał się ponownie. Oskarżał konkurenta o pośrednie doprowadzenie do zgonu, mówił o zaniedbaniach po porodzie, bo ona właśnie wtedy zmarła, o braku troski... Nikt nie traktował tych słów poważnie, ale też rozumiano wypowiedziane niemądrze żale. Miasto przywykło, że obaj piekarze zostali wrogami. Z czasem zaczęto mówić o ludziach, którzy się nie lubią: „Jak Wenders z Langem”. Cenię ich solidność, ale też często zachowywali się jak dzieci.

– I stan ten trwał aż do zabójstwa Johanna?

Młynarz nie od razu odpowiedział.

– Wie pan, inspektorze, że nie zwracałem na to uwagi? Przywykłem do ich nieprzyjaźni i nie pytałem ciągle jednego ani drugiego, czy coś zmieniło się między nimi.

Ale sądzę, że niechęć trwała cały czas i że dopiero kiedy zaginął syn Wendersa, w Langem zaszła przemiana. Faktem jest, że pan Werner bardzo ofiarnie włączył się w poszukiwania. Stał się gościem we własnym domu. Nie jadł, nie spał, chodził z panem Johannesem po lesie, po górkach, i nie liczyło się dla niego nic innego. Podobno ojciec

Johanna pierwszego dnia poszukiwań podał rękę dawnemu wrogowi.

Może obaj mieli dość waśni trwającej od nie wiadomo kiedy?

– Komentowano w mieście tę nagłą przemianę?

– Komentowano, komentowano, i to głośno! Małe miasto, wszyscy się znają, w dodatku takie nieszczęście...

Mówiono przecież ciągle o zaginięciu chłopaka i potem o znalezieniu korpusu. Ludzie wiedzą swoje, czasami myślą rozsądnie, czasami nie.

Mówiono, że Lange bał się posądzenia o porwanie. Niektórzy podejrzewali Richtera, inni Lewinsky'ego, w związku z Richterem padało nazwisko Masslofa, rozgłaszano plotki o wędrownym szaleńcu.

Wiem jedno – pan Johannes, przychodząc do młyna, nie oskarżał nikogo. Może podejrzewa Żydów, to pasowałoby do jego poglądów, ale to tylko moje przypuszczenia. Widziałem, że w każdej chwili mógł wybuchnąć, zdawał się w środku napięty i wzburzony, ale znam go i wiem, że nie pozwoliłby sobie na okazywanie żalu czy gniewu przy obcych. To twardy człowiek. Nie pojawił się przez kilka dni po porwaniu syna, ale kiedy przyjechał wreszcie po mąkę, zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Tyle, że widziało się jego rozpacz. Co innego Lange. Gadał jak najęty, opowiadał o niedawnych poszukiwaniach, pytał o moje podejrzenia. Jest bardzo żywiołowy, zupełnie jakby nie był Niemcem, ale na przykład Francuzem. Mój wuj walczył z Francuzami trzydzieści lat temu i opowiadał, że oni są bardzo impulsywni. Niestety, nie wiem nic więcej.

– Dziękuję. Odniosłem wrażenie, że pan Lange jest zupełnie inny. Dobrze czasem porozmawiać z kimś na temat bliźnich.

– A chciałby pan zwiedzić młyn? – zapytał pan Bianga, widząc, że Ignaz, pomyślawszy przez chwilę nad usłyszczanymi słowami, tęsknym okiem spogląda na skomplikowane urządzenia sprawiające, że zboże zamienia się w mąkę.

Po upływie dwóch kwadransów, kiedy to młynarz cierpliwie wyjaśniał Braunowi zasady funkcjonowania swojego królestwa, obaj policjanci raz jeszcze zapukali do drzwi domostwa. Pani Leokadia nie zdziwiła się, że goście ponownie pojawili się w progu. Ich obecność przypisała tęsknocie za wielkanocną babą.

– Niech pan policjant je, ja dokroję. Janek lubi ciasto, ale jeszcze nie zdołał zjeść wszystkiego, co upiekłam.

Chudy pan, jak z przeproszeniem siódme dziecko stróża.

Niech pan pamięta, policjant powinien być słusznej postawy. Ludzie nie mają zaufania do chudych urzędników.

Wiem, co mówię. Żyję na tym świecie ładnych kilka lat.

Niech pan spojrzy na Janka. Wzbudza zaufanie, a młynarzowi to się bardzo przydaje. Tęgi, wielki chłop. Niech pan policjant je, ile dusza zapagnie, ja dokroję.

Ignaz kończył trzeci kawałek olbrzymiej babki, a pani Leokadia brała już do ręki nóż. W krótkiej, aczkolwiek intensywnej karierze inspektora nie zdarzyło się do tej pory, aby przez kilkanaście minut nie zadał świadkowi ani jednego pytania. Posterunkowy Myszk także pogrążył się w nieokiełznanej konsumpcji, chociaż z pewnością w ostatnich dniach jego Anastazja dbała o należyłą obfitość świątecznego stołu.

Wreszcie gościnną kobieta zauważyła, że możliwości dietetyczne człowieka bywają ograniczone. Postawiła na stole pękaty dzbanek z wyborną, gatunkową kawą i świeżą śmietankę. Pani Leokadia nie tylko lubiła karmić gości; jej prawdziwą miłością była rozmowa. Mówić i słuchać – wyważone proporcje między obydwoma czynnościami były złotą zasadą starszej pani.

– Dawno nie jadłem tak delikatnej babki – szczerze powiedział Ignaz – i jestem nieopisanie wdzięczny za tak łaskawe przyjęcie chudego policjanta. Teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym zapytać o coś, co może okazać się dla mnie, i w efekcie dla całego społeczeństwa, niezwykle ważne.

– A co ja, stara kobieta, mogę panu powiedzieć? – z niedowierzaniem zapytała gospodyni.

– Wnuk zdradził mi, że lubi pani kontemplować przyrodę...

– Słucham?

– Świeże powietrze, otwarte okno, szumiące drzewa.

A zimą szron na chwiejących się gałęziach. W wolnych chwilach patrzy pani na okolice młyna – wyjaśnił.

– Aaa, o to chodzi. Sądzi pan, że zauważyłam coś podejrzanego? Nie wiem... Wiem, że biedaczek Johann był miłym chłopcem. Kiedy był mały, przychodził z ojcem do młyna. Patrzył wielkimi oczami na koło młyńskie, próbował podnosić ciężkie worki z mąką. Dawałam mu bonbonki, brał chętnie do sznupki i nawet nie był zawstydzony.

Mój Boże, leży teraz w zimnej kaplicy. Luteranie, ale porządni ludzie. Stary Johann musi bardzo cierpieć. Pytał pan o jakieś podejrzone rzeczy? Janek nie interesuje się niczym oprócz młyna, no i chwała Bogu. Nie mógł więc pewnie panu policjantowi pomóc. Ja widzę za dużo i dlatego nie wiem, czy moje słowa na coś się przydadzą. Za dużo ludzi i obrazów. Bywam zmęczona długim życiem.

– Okolice młyna są aż tak chętnie odwiedzane?

– Tak. To urokliwe miejsce. Kiedy tylko pogoda sprzyja, wszyscy tu przychodzą. Spacerują sobie drózkami, modlą się przy grafowskiej kaplicy i często siadają z koszem na trawie. Wyjmują rogaliki i słoiczki z konfiturami, turlają z dziećmi piłkę. Jeżdżą na welocypedach, hałasują, a młodszy nawet się całują. Lubię na nich wszystkich patrzeć. Przywracają mi młodość, kiedy sama siadałam z rodziną na trawie, piłam zimną lemoniadę i jadłam ciasteczka anyżowe.

– Zimą chyba łatwiej zauważyć coś niezwykłego...? – z nadzieją w głosie zapytał Ignaz.

– Niby ma pan rację. W tamtych dniach słońce podnosiło się coraz wyżej i świeciło nadszpiewanie mocno.

Ludzie rozprostowywali kości w krótkim cieple, a musi pan wiedzieć, jak pięknie jest tutaj, kiedy śnieg leży nie za duży, ot, taki po kostki.

Drzewa są wtedy oszronione, tak jak pan policjant powiedział, a kruki i kawki odlatują w stronę miasta. Cisza i spokój. Ile można siedzieć w zadymionym od pracujących kominów zbiorowisku murów?

Chętnie wtedy patrzyłam na ludzi, ale to byli sami spacerujący. Nie widziałam mężczyzn z workiem wypełnionym pościartowanym ciałem. Nie widziałam, żeby ktoś oglądał się ze strachem za siebie. A w nocy śpię. Mimo wieku sypiam jak zabita. Przecież to musiało wydarzyć się w nocy. Ale jedno panu policjantowi powiem – Johannek musiał dobrze znać swojego zabójcę. To był greczny i wymuskany chłopak, ale widziałam kiedyś, jak na jakichś szkolnych zawodach (Janek z innymi rzemieślnikami ufundował wtedy dla zwycięzcy pamiątkowy zegarek) chłopak skakał i biegał, jak łatwo podnosił ciężką sztangę. Jego ojciec w młodości też nie był ułomkiem. Zdolny do książek Johannek może i był, ale siły mu nie brakowało. Nie wierzę, żeby jakiś włóczęga zdołał go zabić. Bo plotkuje się o jakimś obcym, który morduje młodych chłopców. Nie dałby rady młodemu Wendersowi. Chłopaczek ufał zabójcy, tego jestem pewna, i dał się zaskoczyć.

Ignaz porozumiewawczo spojrzał na posterunkowego. Obaj wstali od kuchennego stołu.

– Serdecznie szanownej pani dziękujemy. Ciasto było wspaniałe, a i przyjemnie się rozmawiało.

– Nie, panie policjancie, ja pana tak nie wypuszczę.

Przygotuję na drogę trochę makowca. Zje pan policjant na zdrowie, to i przypomni sobie swój dom, gdzie żona pewnie czeka z ciastem na powrót męża z Wejherowa.

– Ale ja nie mam...

– Nie ma pan śmiałości? – przerwała z dezaprobatą gospodyni. – Niech pan nie kryguje się więcej niż trzeba.

Ciasto poprawia humor, a jeszcze do tego pachnąca kawka... Dobry makowiec zawsze się przyda. Tobie Anton, też dam, chociaż wiem, że Anastazja cię nie ukrzywdzi.



Gospodarstwo Heinricha Berga

Wizyta w młynie zakończyła się około południa.

Braun i posterunkowy Myszk planowali wcześniej, że przed następną wizytą zjedzą obiad w hotelowej restauracji. Tymczasem nasączona mocną wódką babka pani Leokadii tak nasyciła policjantów, że zgodnie zdecydowali o przełożeniu posiłku na godziny wieczorne.

Funkcjonariuszy czekała długa droga. Traktem biegnącym na Szemud udali się do gospodarstwa pana Heinricha Berga. Gospodarz mieszkał o dwie mile od granic miasta, w połowie drogi do Gniewowa. Szybki spacer stanowił najlepsze lekarstwo na przejedzenie. Krętą, otuloną bukowym lasem drogą policjanci szli, rozmawiając wesoło o wszystkim i o niczym. Przecięli szlak kalwajjski, minęli siedzibę bractwa strzeleckiego i zanurzyli się w przestrzenie odwiecznej przyrody. Drzewa, jak posągi, stały wzdłuż ubitego traktu, strzeliste i niewzruszone widokiem dwóch ludzi. Ignaz i Anton podobni byli do mrówek pracowicie uwijających się w cieniu rozłożystych koron. Mali i nic nieznaczący wobec tysiącletniego lasu.

Z wolna drzewa zaczęły się przeredzać. Wreszcie ustąpiły miejsca szarobrunatnym, z lekka pofałdowanym połaciom. Gdzieniedzie majaczyły w oddali czerwone zabudowania otoczone wianuszkami

owocowych drzew. Dymy ulatujące z kominów ożywiały uśpiony krajobraz, sprawiały, że cieplej robiło się na sercu wędrowcom podążającym do celu w mroźny dzień. Po ciepłych dobach Triduum

Paschalnego i Wielkanocy nastąpił nawrót zimna i przymrozki przywitały wstających o wtorkowym świcie.

Po trzech kwadransach policjanci doszli do odchodzącej od głównego traktu dróżki, przy której rosły brzozy i klony. Trafił się i kasztanowiec, a kasztanowce wypuszczają stęsknione życia listki wcześniej niż inne drzewa.

Ignaz dotknął chciwie pnia młodego kasztanowca, jakby chciał zaczerpnąć z niego garść zachłanności życia. Spróbował dosięgnąć narodzonych przed kilkoma dniami zawiązków liści, ale drzewo było na tyle wysokie, że nie dał rady.

Nad domem z czerwonej cegły unosił się dym, jasny i rozbijany podmuchami wiatru. Kiedy obaj mężczyźni widzieli już dobrze poszczególne zabudowania, z nieba zaczęły zlatywać drobinki śniegu. Spadały leniwie, ale z chwili na chwilę było ich coraz więcej. Dotykały ciemnych pól i wysepek świeżej trawy, wnet otulając białym płaszczem budzącą się z zimowego snu ziemię.

– Pan inspektor lubi podziwiać krajobrazy, prawda? – powiedział Anton.

– W czasach gimnazjalnych, jeszcze w Chojnicach, pragnąłem zostać przyrodnikiem – odrzekł Ignaz niemal szeptem, jakby nie chciał niepokoić majestatu natury.

Dach domostwa nie usłuchał ostatniego wołania odchodzącej zimy. Miękkie płatki uparcie opadały na szare dachówki, ale ciepło bijące z wnętrza budynku z jeszcze większym uporem topiło śnieżne drobiazgi. W oknie zabłysło światło. Stojąc pod niebem, nie odczuwało się cienia

padającego na świat z szarych chmur. Przez niewielkie okna dochodziło do wnętrza mało jasności i lampa naftowa stanowiła ratunek domowników przed kapryсами pogody.

Budynek mieszkalny, stajnia, obora i chlew tworzyły jakby cztery filary i skrzydła królestwa nie-królestwa, warowni nie-warowni. Postawiono je pośród dzikich lasów i nieużytków, z latami oswojono naturę i wprzęgnięto ją do służby człowiekowi. W oddali stała czarna ściana lasu, tam trwało jeszcze nieznanne; nocami nad moczarami unosiły się gęste opary, hukały nocne ptaki i przemykały trwożliwie zające. Wokół domu nie należało obawiać się niczego.

Wszystko tu było oswojone i zagospodarowane – nawet wiosenny śnieg nie mógł zrobić domownikom żadnej krzywdy.

Brązowe, solidne i świeżo wymalowane drzwi wejściowe mówiły o zapobiegliwości i solidności gospodarza.

Drzwi były bardzo ważne; świadczyły o domu tak, jak słowa i buty o człowieku. Anton zapukał zgrabiętymi od zimna palcami. Głośne kroki odpowiedziały natychmiast.

Drzwi otworzyły się niemal na oścież. Obaj policjanci musieli unieść nieco głowy, aby spojrzeć w oczy gospodarza. Heinrich Berg mierzył dwa metry i ledwie mieścił się pod framugą. Kruczoczarne włosy, przerzedzone na czole, i śniada cera uczyniły na przybyszach niemałe wrażenie.

Pan Berg wyraźnie odróżniał się od rumianych i jasnowłosych Kaszubów mieszkających w okolicznych wsiach. Przypominał nieco Paula Bruhna, chociaż tamten miał w sobie coś z przedstawiciela miejskiego półświatka; Heinrich Berg był uosobieniem surowości i prostych zasad.

- Kim panowie są? – zapytał niezbyt grzecznie.
- Pan pozwoli, że się przedstawię – nad wyraz urzędowo zaczął Ignaz.
- Inspektor Braun ze stołecznego Wydziału Zabójstw...

Nie musiał kończyć. Pan Berg gwizdnął bezwiednie.

Spodziewał się, że dwaj przybysze są domokrażcami oferującymi brzytwy albo szczotki do rozczesywania końskiego włosia. Kręcili się tacy bezustannie, a w czasach, kiedy siła nabywczą społeczeństwa rosła z nieznaną uprzednio prędkością, przybywało również domokrażców liczących na łatwą zdobycz.

– Przepraszam – z rezerwą, ale znacznie uprzejmiej niż poprzednio odezwał się gospodarz – proszę do środka.

W przestronnej izbie siedziało na podłodze dwoje dzieci, które nie zwróciły zbyt dużej uwagi na wchodzących mężczyzn. Wokół porozstawiane były zabawki. Drewniany pociąg wiozł kolorowe klocki, mała puszysta małpka bawiła się z mocno już sfatygowanym misiem, a ołowiane żołnierzyki, poustawiane w regularne tyraliery, gotowały się do bitwy pod Lipskiem. Skulone postacie dzieci z pszennymi główkami stanowiły osobliwy kontrast dla Heinricha Berga, odzianego w czarne spodnie i czarną kamizelkę.

Biała koszula ze stójką podkreślała jedynie powagę, jaką odznaczał się gospodarz.

– Panowie wybaczą, moi synowie są jeszcze w wieku, kiedy nie okazuje się należytego szacunku obcym.

– Nic nie szkodzi, nie jesteśmy specjalnie wymagający, jeśli chodzi o uprzejmość – grzecznie odpowiedział Ignaz. – Zapewne zastanawia się pan, czemu zawdzięcza naszą wizytę?

– Domyślam się, że chodzi o Masslofa? W mieście mówi się o nim. Jestem gotowy odpowiedzieć na każde pytanie.

Inspektor ucieszył się.

– Nie wyobrażałem sobie, aby mogło być inaczej.

– Proszę usiąść – odrzekł pan Berg. – Zawołam żonę, należy się, aby panowie ją poznali. Greta!

Z kuchni, w której znajdowała się gospodyni, uszu przybyłych doszedł dźwięk pospiesznie kładzionych na stół talerzy. Po chwili w drzwiach ukazała się niewysoka, szczupła kobieta o jasnych włosach. Cichym głosem powiedziała „Dzień dobry”, skłoniła się lekko i, zachęcona gestem męża, usiadła na najbliższym krześle.

– Nigdy nie uczestniczyłem w przesłuchaniu, nie znam się na procedurach, ale myślę, że Greta, skoro też zna Masslofa, może powiedzieć coś, na co ja nie zwróciłem wcześniej uwagi.

– Ma pan absolutną celność – powiedział Braun, który niekiedy uznawał za dopuszczalne przesłuchiwanie dwóch świadków naraz, a lubił przy tym obserwować ich wzajemne reakcje.

Uśmiechnął się do pani Grety.

– To zaoszczędzi obojgu państwu czasu, a śledztwu może wyjść na dobre. Mają państwo bardzo grzeczne dzieci. Nie chwytają mnie za nogawkę ani nie próbują przywiązać mojego buta do nogi od stołu. Kiedy byłem w Padebom, gdzie poszukiwałem ukrywającego się „Maszynisty z Padeborn” oskarżonego o...

Zaprawiony w walce z przestępczością inspektor przerwał. Zorientował się, że niewinny żart, mający na celu rozładowanie napięcia wiszącego w powietrzu, rozbił się o górę lodową. Oboje Bergowie siedzieli w milczeniu, szklanym wzrokiem wpatrzeni w gościa. Ignaz sądził, że uśmiechną się chociażby przez grzeczność. Nigdy nie spotkał się z taką reakcją na próbę nawiązania nici porozumienia. W ułamku sekundy rozejrzał się po pokoju. Wystrój reprezentacyjnego pomieszczenia domu pasował do osobowości Heinricha Berga w sposób doskonały. Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, aby zorientować się, że małżonkowie są ewangelikami.

Żadnego świętego obrazu, za to na stoliku przy szerokim małżeńskim łożu leżała sfatygowana od codziennego wertowania czarna bryła Biblii.

Stół, krzesła i komoda musiały pochodzić od całkiem porządnego stolarza, chociaż zamierzona asceza mebli mogła razić przybysza obytego z wyrafinowanymi wzorami przełomu wieków.

Uwagę Ignaza zwróciła niewielkich rozmiarów pamiątkowa banderka z krążownika „Winrich von Kniprode” cesarskiej marynarki wojennej. Pan Berg musiał służyć kiedyś na jednostce, bo banderka ozdobiona była zamaszystymi podpisami. Kiedy kończyła się służba, towarzysze broni podpisywali sobie wzajemnie takie pamiątki z macierzystego okrętu i przechowywali potem jak największą świętość. Znad rozwieszonego na ścianie dowodu spełnienia patriotycznego obowiązku bił w oczy przybyłych najjaśniejszym majestatem sam Wilhelm II.

Dzieci nie wychylały się poza raz ustalone ramy domowego współżycia. Cicho, nie absorbując rodziców ani gości, bawiły się swoimi zabawkami, których mógł pozazdrościć im niejeden rówieśnik. Bergowie nie żalowali niczego swoim synkom, w zamian żądając jedynie posłuszeństwa należnego rodzicom.

– Przejdźmy zatem niezwłocznie do tematu, który stał się powodem naszej u państwa wizyty – chłodno zaczął Ignaz. – Pracował u pana Herbert Masslof. Nie będę tracił czasu na wyjaśnianie, o co oskarżany jest przez wielu mieszkańców Wejherowa państwa były pracownik, bo jest to wiedza publiczna. Wiem, że nadal utrzymuje pan kontakty z Masslofem...

– A czy to zabronione? – pytaniem odpowiedział Heinrich Berg i uśmiechnął się po raz pierwszy od przybycia gości.

– Gdyby było zabronione, przyszedłbym po pana z nakazem doprowadzenia na komisariat policji. Niech pan wybaczy, ale pytania będę zadawał ja.

Heinrich Berg i jego żona spojrzeli na siebie. Gospodarz, nie odezwawszy się ani słowem, przyjął postawę wyczekującą. Dla Antona czymś niepojętym było zachowanie Berga. Posterunkowy przyzwyczał się, że na widok jego munduru rozmówca niemalże stawał na baczność. Co dopiero, kiedy przybywa postać tak szanowana, jak inspektor z elitarnego wydziału w Berlinie! Tymczasem ten oto człowiek, jakby nie zdawał sobie sprawy z niestosowności swojego postępowania, od początku epatował gości nieuprzejmością. „Świat schodzi na psy i tylko patrzeć, jak nasz kraj upadnie pod ciężarem nowych czasów” – pomyślał zgorszony.

– Od jak dawna zna pan Masslofa? – suchy głos inspektora przerwał rozmyślenia Antona.

– Czas nie ma przecież znaczenia – bez chwili namysłu odpowiedział Berg. – Można znać kogoś cały wiek i nie poznać go do końca. Znam Herberta od trzech lat.

Przyznaję, słyszałem wcześniej różne opinie na jego temat.

Siedział za jakiś rozbój, ale okazało się, że padł ofiarą nieporozumienia. Policyjna fuszerka.

– Przemawia przez pana podziwu godna lojalność.

Czy Masslof zasłużył się panu czymś szczególnym?

– Oczywiście, że się zasłużył. Jest bardzo pogodnym i pracowitym człowiekiem. Jak pan może zauważył, nie jestem wesołkiem, ale cenię ludzi otwartych. Herbert wiedział, gdzie jest jego miejsce, a równocześnie umiał przypodobać się mnie i Grecie. Przypodobać się w dobrym znaczeniu.

Kiedy w gospodarstwie było wiele pracy, na przykład przy żniwach, zostawał u nas, spał w stodole i wstawał jako pierwszy, grubo przed świtem. Pracował do nocy, jadł niewiele, kątem oka potrafił zauważyć, jeżeli któreś z dzieci zbliżało się do pozostawionej kosy. Jest

praktykującym ewangelikiem, co w dzisiejszych czasach chaosu moralnego jest nie do przecenienia.

Ignaz nie dawał za wygraną.

– Rzadko zdarza się, żeby ktoś tak bardzo chwalił robotnika rolnego...

– Zgadzam się z panem inspektorem. Znam wielu ludzi zajmujących się podobnym rzemiosłem, ale żaden z nich nie potrafił zrobić wszystkiego. Herbert potrafił, i to jest jego walor. Na pracy w polu zna się jak mało kto, naprawi koło u wozu, a jak krowa się cieli i jest zagrożenie jej życia – tylko po Herberta.

– Oprawi świnie też jak mało kto? Pracuje u Augusta Richtera.

Śmiałe spojrzenie Berga skrzyżowało się ze wzrokiem Brauna.

– Jestem człowiekiem, który w swoim życiu oprawił niejedną świnie. Nie będę jednak udawał, że sprawia mi to przyjemność. Nie lubię widoku krwi. Dla Herberta była to praca, jak każda inna. Podchodził do zwierzęcia, rozmawiał z nim wesoło (on jest bardzo rozmowny) i Świnia przeżywała swoje ostatnie chwile w pogodnym nastroju.

– Szczęśliwa... – szepnął Ignaz.

– Właśnie. Dobry chrześcijanin nie napawa się cierpieniem, nawet tym koniecznym dla istnienia porządku na świecie. Zresztą Herbert dobrze czuje się u Augusta

Richtera. Każdą pracę zawsze wykonuje sumiennie i czerpie z tego satysfakcję.

– Dlaczego Masslof nie pracuje już u pana?

– To proste. Bogaty rzeźnik mógł zapłacić Herbertowi więcej niż gospodarz. Żona i teściowa Herberta chorowały.

Lekarze i medykamenty kosztują. Były i inne potrzeby, kobiety z miasta lubią się modnie ubrać. Ale rozstaliśmy się w przyjaźni, spotykamy się raz na jakiś czas. Nie mam do niego pretensji, sam wybrałbym lepsze warunki.

– Jak przyjął pan plotki i oskarżenia kierowane w stronę Masslofa? Musiały przecież pana obejść...

Heinrich Berg wyprostował się na krześle.

– Pogardzam plotkami. Nie wiem, kto zabił dzieciaka

Wendersów. Nie interesuje mnie to, bo nie mam wpływu na wykrycie sprawcy. Wierzę w państwo, któremu oddałem kilka lat życia, służąc na flagowym okręcie naszej floty; wierzę, że państwo wykryje mordercę i jestem spokojny.

Zdaję sobie sprawę, że przy takich okazjach podejrzani bywają również uczciwi obywatele.

– Jest dla pana zupełnie obojętne, kto zabił Johanna Wendersa?

– Jeśli nie mam na coś wpływu, wolę iść do obory albo, jeszcze lepiej, poczytać Biblię. Dzięki temu wiem, jak wiele ode mnie zależy – jestem władny zrobić wszystko, co tylko zaplanuję, chociażby były to rzeczy z pozoru błahe. Kiedy wiem, że coś leży poza zasięgiem moich sił lub obowiązków, powtarzam, daję sobie spokój.

– Nie zauważył pan niczego niepokojącego w zachowaniu Masslofa? Czy był człowiekiem przewidywalnym i zrównoważonym?

– Niekiedy działał pod wpływem niespotykanego entuzjazmu. Miał olbrzymią chęć działania. Kiedy obrządek był już zakończony, zachodził do chlewu albo obory i jeszcze raz wszystko sprawdzał. Takie cechy nie są chyba czymś złym, prawda?

– Przepraszam – wtrąciła niespodziewanie pani Greta, kiedy zegar stojący w rogu pokoju wybił godzinę czternastą. – Muszę wyjść z domu. Chora sąsiadka prosiła mnie, żebym pomogła jej w gospodarstwie. Heinrich? – spojrzała na męża.

– Idź – rzucił krótko Berg.

Zdziwiony Ignaz chciał skomentować zamiar samowolnego oddalenia się żony gospodarza, ale zmitygował się w ułamku sekundy. Postanowił okazać świadkowi nieco życzliwości zawartej w rozsądnych ramach.

Kobieta wstała cicho i, skłoniwszy się grzecznie gościom, wyszła z pokoju. Zapadła chwila milczenia.

– Czy mógłbym poprosić pana o dalszą rozmowę na zewnątrz? Mam kłopoty z układem oddechowym i lekarz zalecił mi długie przebywanie na świeżym powietrzu – przepraszająco napomknął Braun, wywołując swoją prośbą zdziwienie posterunkowego.

– Oczywiście. Wie pan, inspektorze, będąc w wojsku, zainteresowałem się medycyną, rzecz jasna na poziomie rozmów z sanitariuszami. Może chciałby pan zażyć jakichś kropli na udrożnienie układu oddechowego? Mam coś w domu...

– Dziękuję serdecznie, posiadam własne medykamenty, które aplikuję sobie trzy razy dziennie. Po prostu chciałbym odetchnąć chłodnym powietrzem – odparł Ignaz rozbawiony nagłym przejawem serdeczności ze strony gospodarza.

Najbardziej oschły i nieprzyjazny otoczeniu człowiek potrafi zmienić się nie do poznania, kiedy ktoś przypadkiem nawiąże do jego pasji. Mówił o tym profesor psychologii, Wilfried Stompke, na (często wspomnianym przez absolwentów) letnim obozie szkoły policyjnej w Recklinghausen.

Królestwo Heinricha Berga mogło stanowić wzór dla wszystkich miejscowych gospodarzy. Ceglany dom z białymi ramami okiennymi zbudowany był nad wyraz solidnie. Chlew i obora podmurowane były na wysokość metra dużymi kamieniami. Wyrastały z nich jasnobrunatne ściany z małymi okienkami. Placyk w obrębie zabudowań otoczony był szczelnie budynkami, tak że stojący pośrodku niego mieli wrażenie, że znajdują się na dziedzińcu jakiejś warownej budowli.

– Oto moje gospodarstwo – z dumą powiedział pan Berg. – Nie przesadzę, jeśli powiem, że oddaję tej ziemi każdą godzinę życia. Roczny dochód ze sprzedaży zboża i hodowli zwierząt wynosi cztery tysiące marek. Wystarczy na zabezpieczenie przyszłości moich dzieci.

– Stara się pan śledzić na bieżąco najnowsze osiągnięcia w dziedzinie rolnictwa, prawda? Podziwu godny dochód, o którym pan wspomniał, jednoznacznie wskazuje na takie zainteresowanie.

Twarz gospodarza na moment rozjaśnił uśmiech.

– Widzę, że pan inspektor potrafi rozmawiać nie tylko o Herbercie Masslofie. Jako pierwszy w okolicy zastosowałem młocamię, siewnik i żniwiarkę. Poczyniłem pewne próby związane z nawożeniem. Sąsiedzi pukali się w czoło, ale po roku, dwóch, mieli bardzo nietęgą miny.

Okazało się, że nawożenie przyniosło zadziwiająco dobre efekty. Wydajność była i jest nieporównywalna ze stanem poprzednim.

– Pozwoli pan, że zapytam, skąd czerpie pan tak imponującą wiedzę o sztuce agronomicznej?

– Oczywiście prenumeruję „Der Deutsche Ackerbauer”. Bardzo dobre czasopismo.

– A „Neustadter Kreis-Zeitung”? Wprawdzie nie jest to gazeta poświęcona sprawom rolniczym...

– Dlaczego interesuje pana inspektora prasa, którą czytam?

– A „Neustadter Kreis-Zeitung”? – powtórzył pytanie Ignaz.

– Prenumeruję. Czy to coś złego?

Inspektor spojrzał znacząco na gospodarza.

– Niezbyt popularna gazeta. Urzędowa, więc większość czytających sięga po nią z konieczności. Około stu egzemplarzy nakładu. Urzędy miejskie i firmy należące do miasta prenumerują „Neustadter...”, co wynika z obowiązku na nie nałożonego. Procedura mówi, że pismo, będące

oficjalnym organem władz powiatowych, zobowiązane jest do publikowania wszelkich zarządzeń wychodzących z gmachu starostwa. Organy użyteczności publicznej prenumerujące gazetę muszą zachowywać każdy egzemplarz, potem oprawiają go, i tak powstają opasłe roczniki.

Dzięki owemu mądrymu rozwiązaniu łatwiej znaleźć konkretny przepis, jeśli tylko zajdzie potrzeba. Oczywiście każdy obywatel może kupować lub prenumerować „Neustadter...”, czego jest pan najlepszym przykładem. Wystarczy wystąpić do stosownego wydziału. Tylko dwie osoby prywatne, oprócz pana, prenumerują gazetę. Pozostali mieszkańcy powiatu nie kupują pisma – ani w prenumeracie, ani w sprzedaży bieżącej.

Znudzenie na twarzy Heinricha Berga było aż nazbyt widoczne.

– Dlaczego pan inspektor opowiada mi o zasadach kolportażu?

– Odpowiedź jest prosta, chociaż wnioski z niej wypływające sprawiają, że całość jawi się nad wyraz skomplikowanie. Zadałem sobie niewielki trud i oto okazało się, że jednym z prenumeratorów jest profesor prawa z Berlina, Anselmus Hochbauer, drugim emerytowany pracownik Królewskiego Nadleśnictwa Wejherowo, osiemdziesięcioletni Alfred Wolf, natomiast trzecim właśnie pan. Sam fakt prenumeraty urzędowego pisma jest czymś chwalebny i godnym naśladowania. Problem tkwi gdzie indziej...

– Niech pan wreszcie powie, o co chodzi – zniecierpliwił się gospodarz.

– Z największą przyjemnością. W jeden z lutowych egzemplarzy „Neustadter Kreis-Zeitung” zawinięta była głowa Johanna Wendersa znaleziona obok budynku bractwa strzeleckiego – od niechcenia wyjaśnił inspektor ze stołecznego Wydziału Zabójstw.

Pan Berg przez ułamek sekundy stracił panowanie nad sobą. Westchnął głęboko, skrzywił usta, odchylił głowę do tyłu i natarł na Brauna.

– A czy pomyślał pan, że takie rozumowanie jest psu na budę? Przecież każdy z urzędników mógł zabrać gazetę z miejsca, gdzie była przechowywana?

– Nie – wtrącił posterunkowy. – Na polecenie pana inspektora sprawdziłem zasady ewidencjonowania gazety. Nie jest to wprowadzie druk ścisłego zarachowania, ale jednak gromadzenie „Neustadter...” należy do obowiązków konkretnych osób odpowiedzialnych za konkretne sprawy.

– Ale jak można sprawdzić, czy żaden egzemplarz nie zaginął? Daruje pan, ponad stu prenumeratorów...

– Nie sądzi pan chyba, że chodziliśmy do każdego urzędu i każdej firmy... – z dezaprobatą odpowiedział inspektor. – Ślęczenie w zakładowych archiwach rzeczywiście zajęłoby nam niewyobrażalnie wiele czasu. Na szczęście istnieje telegraf, dodatkowo dwaj posterunkowi odwiedzili po kilkanaście instytucji, zostawiając krótkie i jasno brzmiące zalecenia. Każdej placówce lub firmie sprawdzenie stanu posiadania zajęło mniej niż godzinę. W ciągu jednego dnia uzyskałem interesujące mnie informacje.

– Domyślam się, że nikomu nie brakowało ani jednego egzemplarza – złośliwy uśmiech towarzyszył słowom Berga.

– Nie brakowało nawet jednej strony – życzliwie odparł Ignaz.

– Aresztuje mnie pan?

– Ależ pan niecierpliwy! Oczekuję jedynie odpowiedzi na pytanie, co z reguły dzieje się z egzemplarzami gazety, kiedy już przeczyta pan wszystko, co może wzbudzić zainteresowanie. Widzi pan, na przykład Alfred Wolf przechowuje, tak jak urzędy i spółki, każdy egzemplarz. Prawdziwy pasjonat.

– Jestem zakłopotany – odrzekł Heinrich Berg. – Nie zwracam uwagi na dalsze dzieje gazety. Wycinam niektóre artykuły i przechowuję w specjalnej

teczce, część jako podpałka kończy w piecu, nawet trzy moje kozy, gdyby mówiły, mogłyby zaświadczyć, że nieraz jadły „Neustadter...”

Jestem pedantyczny wtedy, gdy to czemuś służy. Przechowywanie gazet w całości nie przynosi mi niczego pożytecznego.

– Czy Herbert Masslof mógł wynieść starą gazetę z pana domu?

– Tak. Nie czytał tego pisma, ale mógł zawinąć w papier chleb albo kielbasę. Nie jestem w stanie zaprzeczyć.

– A ktoś inny mógł zabrać gazetę?

– Gość albo interesant nie wynosi z domu żadnych przedmiotów. Herbert był niemal domownikiem, więc czuł się swobodnie. Ale gdyby nawet zabił Wendersa, w co nie wierzę, po co mu była właśnie moja gazeta? Nie widzę żadnego wytłumaczenia.

Gospodarz zaczął opowiadać o zwyczajach panujących w jego królestwie. Dla Ignaza stało się jasne, że Masslof zachowywał się na wsi tak samo, jak obecnie w firmie Augusta Richtera. Był przymilny, wszędzie było go pełno, zaczynał stopniowo zdobywać coraz większy wpływ na domowników. Widoczne było, że Heinrich Berg zmienił taktykę. Nie bronił już z taką pasją Masslofa.

W słowach Berga Ignaz nie znalazł jednak chociażby śladu chęci przypodobania się stróżowi prawa, tak widocznej podczas większości przesłuchań. Gospodarz stał się bardziej uprzejmy, ale godność osobista nie pozwalała mu na całkowitą zmianę zachowania. Opowiadał o pracach, jakie w swoim czasie wykonywał podejrzany, rzucił nawet kilka słów na temat swojej rodziny, co policjanci uznali za zbytek łaskawości. Przez cały czas mężczyźni spacerowali wokół zabudowań, weszli nawet do chlewu, gdzie przywitało ich kwiczenie dorodnych świń. Braun, chociaż nie miał zbyt rozległych koneksji w światku rolniczym, musiał stwierdzić, że tak czystego i zadbanego gospodarstwa jeszcze nie widział.

– Rok temu otrzymałem nagrodę dla najlepszego gospodarza powiatu – pochwalił się Berg. – Zamierzam utrzymać tę pozycję. Jeszcze jakieś pytania?

– Niech pan powie, czy stykał się pan z rodziną zamordowanego oraz rodziną Augusta Richtera i Josepha Lewinsky’ego?

– Widuję ich czasami, oczywiście poza Żydem, w zborze przy Lęborskiej, jesteśmy w radzie kościelnej, zamieniamy ze sobą kilka słów, grzecznościowych albo związanych ze sprawami zboru. Lewinsky’ego nie widziałem od dawna, oczywiście żona nie robiła u niego zakupów.

– Kupowała u Richtera? – ożywił się Ignaz.

– Nie przypuszczam. Na ogół jesteśmy samowystarczalni. Chociaż, jeżeli już czegoś potrzeba, ważne jest, żeby kupowała u chrześcijanina. Żona omija sklepy Żydów i katolików. Rozumie pan, inspektorze, ustaliliśmy raz na zawsze, że będziemy wspomagać najwartościowszych obywateli. Swoje produkty mięsne sprzedaję zazwyczaj do miejskiej rzeźni, więc kontaktów handlowych z obydwoma rzeźnikami nie utrzymuję. W swoim czasie zastanawiałem się nad współpracą z panem Richterem, ale to już nieaktualne; rozmawiałem z nim w sumie kilkanaście razy.

Ignaz pokiwał głową. Przeciągle spojrział na Berga i obrócił się w stronę drogi prowadzącej do Wejherowa.

Pożegnanie było chłodne, chociaż, zważywszy na poprzednie zachowanie gospodarza, dosyć uprzejme. Podanie ręki nie wchodziło jednak w rachubę.

Kiedy obaj policjanci weszli na główną drogę, posterunkowy słabym głosem powiedział:

– Czy panu inspektorowi też kiszki marsza grają?



Dzień pogrzebu

Środa przywitała mieszkańców Wejherowa rześmistym deszczem. Padało przez całą poprzednią noc. Ci, którzy nie mogli spać, powtarzali z nadzieją, że ulewne opady miną z nastaniem świtu; najgorsze są przecież deszczyki delikatne i niezdecydowane, padają najdłużej i oblepiają przechodniów nieprzyjemną wilgocią. Tymczasem wściekłość bijąca z nieba wzmagала się z każdą chwilą, Rüdiger Rensch przybył po Ignaza punktualnie o godzinie dziesiątej. Parasol szefa wejherowskiej policji został nadwerężony przez porywisty wiatr i komisarz wyglądał jak kot żyjący na dachach. Elegancki płaszcz, spodnie i melonik nadawały się do kilkudniowego suszenia. Możliwe, że melonik był już nie do uratowania.

– Nie ma pan czegoś mocniejszego? Potworne zimno. Tak. Wiosna stroi fochy jak panienka na wydaniu. Swoją drogą młody Wenders zemścił się na mordercy, zapewnił mu zimną kąpiel od stóp do głów. Sądzi pan, że morderca przyjdzie na pogrzeb? Zazwyczaj tak się dzieje, nie tylko w książkach kryminalnych.

– Istotnie, jest to prawdopodobne. Mam pewne podejrzenia, wspominałem już o nich. Nadal jednak proszę o dyskrecję.

– Ma się rozumieć – z przekonaniem odpowiedział komisarz, zapalił papierosa i powtórzył pytanie: – Ma pan coś mocniejszego?

Ignaz uderzył się dłonią po czole. Sięgnął do sekretarzyka stojącego naprzeciwko łóżka i wydobył na światło dzienne pękatą butelkę.

Ulica Lęborska na wysokości zboru zapełniona była tłumem. Szmer rozmów wzrastał się z każdą minutą. Rodzina i znajomi Wendersów zniknęli wewnątrz budynku, tymczasem gapie zgromadzeni dookoła czekali na widowisko. Plotki latały jak oszalałe, wirując nad ludzkimi głowami. Kiedy Braun i komisarz pojawili się na miejscu, tłum oplótł ich ciasno, nie pozwalając na swobodny oddech. Uszu policjantów dobiegły szepty. Niektórzy milkli na widok Renscha i przybysza z Berlina, inni nie przestawali komentować okoliczności, jakie zgromadziły ich przed zborem.

Nastrojony refleksyjnie inspektor pomyślał, że dawniej taką ciekawość mieszczan wzbudzały uliczne egzekucje. Odkąd oświecone prawo pruskie zrezygnowało z dydaktycznych walorów ścinania złoczyńców na oczach gawiedzi, funkcję widowiska spraw ostatecznych zachowały już tylko pogrzeby. Ta sama stęskniona widowisk zbiorowa dusza oddawała się teraz z lubością obserwacji cudzego nieszczęścia. Berliński policjant wierzył jednak, że w sercach mieszkańców Wejherowa tli się dodatkowo współczucie dla nieszczęsnej ofiary i jej rodziców. Odkąd przybył do miasteczka, odczuwał olbrzymie ciśnienie spowodowane wyjątkowością zbrodni. Mimo obcowania na co dzień z najciemniejszymi zakamarkami ludzkiej duszy wierzył, że nie wszyscy potencjalni świadkowie są bezduszni; miał nadzieję, że ciekawość przeplata się z litością nad cudzą tragedią. Rzeczywiście, wielu ze zgromadzonych miało twarze przejęte powagą i grozą.

Po upływie pół godziny od pojawienia się przed zborem obu policjantów u wejścia zaczął się ruch. Tłum zafalował, bo oto w drzwiach

ukazała się obłożona czarną materią trumna niesiona przez czterech mężczyzn ubranych w płaskie trójgraniaste kapelusze. Widzowie jak na komendę rozstąpili się, a wtedy inspektor i komisarz dojrzeli Johanna Wendersa i jego żonę kroczących obok superintendenta. Niebiosa uszanowały podniosłą chwilę.

Na żałobników przestały lecieć olbrzymie i ciężkie krople, mżawka na dobre zapanowała nad miastem.

Odziany na czarno pastor, ze śnieżnobiałym kołnierzykiem rozpostartym na dwie spływające wzdłuż piersi wstęgi, zaintonował psalm, który jak jeden mąż podchwycili zgromadzeni wokół niego wierni. Katolicy zamilkli, nie chcąc przeszkadzać ewangelikom.

*Łaskawym się okazałeś, Panie,
dla Twej ziemi: odmieniłeś los Jakuba,
odpuściłeś winę swojemu ludowi;
zakryłeś wszystkie ich grzechy.
Powściągnąłeś całe zagniewanie Twoje,
zaniechałeś zapalczywości Twojego gniewu.
Odnów nas, Boże, nasz Zbawco,
i zaniechaj Twego oburzenia na nas.
Czyż będziesz na nas gniewał się na wieki,
czy gniew Twój rozciągniesz na wszystkie pokolenia?
Czyż to nie Ty przywrócisz nam życie,
aby Twój lud weselił się w Tobie?
Okaż nam, Panie, swoją łaskawość
i daj nam swoje zbawienie!
Chciałbym słuchać tego, co mówi Pan Bóg:
oto ogłasza pokój ludowi swemu i świętym swoim;*

*niech się nie stają znów nierozsądni.
Zaiste, bliskie jest Jego zbawienie dla tych,
którzy się Go boją, tak,
iż chwała zamieszka w naszej ziemi.
Łaskawość i wierność spotkają się z sobą,
ucalają się sprawiedliwość i pokój.
Wierność z ziemi wyrośnie,
a sprawiedliwość wychyli się z nieba.
Pan sam obdarzy szczęściem
a nasza ziemia wyda swój owoc.
Sprawiedliwość pójdzie przed Nim,
po śladach Jego kroków – zbawienie.*

Od ścian piętrowych i dwupiętrowych kamieniczek odbijały się żałośliwym echem słowa psalmu śpiewanego przez wiernych. Do Boga zanoszono skargę na zbrodnię, która wryła się bezlitosnym ostrzem w serca spokojnych mieszkańców Wejherowa.

Stojący obok Ignaza komisarz nie bardzo wiedział, jak zachować się w nowej dla siebie sytuacji. Praktykujący ewangelik, nucił psalm wspólnie z tłumem, a przecież zazwyczaj stawiał się, niemal jak burmistrz, ponad mieszkańcami swojego miasta. Czuł, że musi śpiewać, a równocześnie wstydził się bezpośredniego zaangażowania w uroczystość. Ignaz wpatrywał się w trumnę i tych, którzy za nią kroczyli.

Rodzice Johanna starali się zachować powściągliwą godność. Na twarzy pani Irmgardy, twarzy niepozbawionej melancholijnego uroku, zasłoniętej przezroczystą woalką, nade wszystko malowało się olbrzymie zmęczenie. Kobieta miała napuchnięte od łez oczy, zaróżowione policzki drżały, jakby ich właścicielka miała za chwilę zanieść się od rozpaczliwego płaczu.

Ramię żony podtrzymywał pan Johannes. Jego zwalista postać, jak cokolwiek cesarza Wilhelma stojący na pobliskim Rynku, trwała w swej potężnej niewzruszona burzą znowu wściekle bijącą ze wszystkich stron. Śmiertelnie blady, tulił w swoich mocnych ramionach słabość pani Irmgardy. Psalm zrobił na nim wielkie wrażenie. Mimo bólu chłonał każde słowo pieśni napisanej przed dziesiątkami wieków jakby na ten właśnie dzień. Nie otworzył ust, ale całym sercem śpiewał bezdźwięcznie poszczególne zdania i wersy. Wiersze psalmu niosły pocieszenie, były skargą i wołaniem o pomstę i sprawiedliwość, a jednocześnie błaganiem o łaskę miłosierdzia i szczęśliwą nieśmiertelność.

Za panem Wendersem i jego żoną kroczyli przedstawiciele cechu piekarskiego z Wernerem Lange na czele. Wznosił się nad nimi bogato haftowany sztandar korporacji. Za piekarzami maszerowali przedstawiciele innych cechów działających w mieście. Nie zabrakło rzeźników, kowali, rymarzy i bednarzy. Na piersiach dostojników cechowych złociły się grube łańcuchy, oznaki władzy nad współbraćmi. Szli przedstawiciele wolnych zawodów, rentierzy i wszyscy ci, którzy z ciekawości i współczucia przybyli pożegnać zamordowanego gimnazjalistę. Nie zabrakło dyrektora Koenigsbecka i profesora Marza w asyście młodzieży ubranej w gimnazjalne mundury. W tłumie Ignaz wyłowił nawet kilku Żydów, przypadkowo idących w bezpośredniej bliskości Paula Bruhna.

Droga na cmentarz ewangelicki nie była długa. Za ledwie kilkaset metrów dzieliło zbór od miejsca pochówku wiernych naukom doktora Marcina Lutra.

– Wielki jest ból rodziców – zaczął przemowę superintendent, kiedy trumna zawisała na dwóch szerokich deskach nad wykopanym uprzednio dołem – i wielki jest ból wszystkich, którzy kochali nieodżałowanej pamięci Johanna. Wielki jest ból miłujących pokój i sprawiedliwość

mieszkańców naszego miasta. Ugodzono boleśnie w rodziców Johanna, ale i we wszystkich, którzy go znali i kochali. Ugodzono także w przykazanie miłości, jakie pozostawił nam nasz mistrz i nauczyciel Jezus Chrystus.

Kim jest sprawca zamachu na życie Bożego dziecięcia? Jest wilkiem w owczej skórze, który zaczął się wśród nas i uderzył podstępnie we wszystko, co drogie jest owieczkom Pańskim.

Płaczcie rodzice i płaczcie najbliżsi nieodżałowanej pamięci Johanna. Płaczcie jednak nad sobą, bo oto zostaliście w smutku i strapieniu, on zaś pasie się już na łąkach Pana. Pan zaś, dobry Pasterz, ma pieczę nad swoim stadem. Płaczcie wy, czcigodni profesorowie i drodzy uczniowie naszego gimnazjum, bo oto straciliście kwiat i nadzieję narodowej nauki, wyrastający na bujnej glebie tak znakomitej szkoły. Płaczcie, drzewa i wzgórza, których nie odwiedzi już nigdy Johann na szlakach poszukiwań poetyckiego natchnienia. Zaprawdę, wielka i nieodżałowana jest wasza strata.

Pani Irmgarda zalała się łzami. Znosząca do tej pory nadspodziewanie mężnie śmierć syna i pamiętająca niemal wyłącznie o sobie kobieta doświadczyła wreszcie wzruszenia, które przerosło jej siły. Mąż i dwie stojące najbliżej starsze panie zaczęły pocieszać nieszczęsną matkę, ona zaś zachwiała się i na krótki moment straciła świadomość. Sole trzeźwiące, podane z tłumu, ocuciły szybko panią Irmgardę. Roztrzęsiona, wpiła swój pełen niedowierzania wzrok w pastora, który, poruszony zdarzeniem, wznosił do nieba obie ręce i zawołał donośnym głosem:

– Tak! Płaczcie wszystkie ziemskie stworzenia, rozumne i nieożywione, bo tak się godzi! Ale płacz po stracie najbliższego nie jest wszystkim, co zostanie po Johannie. Bo oto nad naszą rozpaczą czuwa Pan i Stwórca wszechrzeczy. U Niego wszystkie myśli i czyny są policzone przed wiekami. On raduje się, razem z aniołami i wszystkimi zbawionymi, że

czysta dusza naszego brata trafiła do nieba. Wierzimy gorąco w obcowanie Johanna z łaskawością Bożą, bo takie jest przeznaczenie człowieka na mocy przywileju darowanego ludziom na krzyżu. Pociesz się ojcze i pociesz się matko, bo wielka jest radość w niebie, tam chóry anielskie śpiewają waszemu synowi psalm radosny i piękny, psalm, jakiego nie sposób usłyszeć na grzesznej ziemi. Kiedyś spotkamy naszego brata, siedzącego po prawicy Pana, otoczonego blaskiem świętej chwały. Przejdźmy przez, życie mając na względzie Bożą łaskawość i radując się darami Pańskimi. Są one zaprawdę wielkie, a Johann poznał już ich wspaniałość, ufajmy w to mocno!

Płacz i entuzjazm zapanował wśród zgromadzonych. Pastor przemawiał jak natchniony i tłum dawał się nieść jego słowom. Johannes Wenders stał jak wryty, a jego twarz mieniła się na przemian purpurą i kredową bielą. Podtrzymywał osłabioną emocjami żonę, ona zaś słuchała chciwie mowy superintendenta i ze zdumiewającą prędkością wracała do życia. Z wdzięcznością patrzyła na wszystkich, którzy przybyli pożegnać jej syna.

Kiedy pastor odmówił ostatnie modlitwy, głos zabrał dyrektor Koenigsbeck. We wzniosłych słowach opowiedział o sukcesach szkolnych Johanna i przedstawił rozliczne zasługi młodego gimnazjalisty. Przemówienie zakończył fragmentem wiersza zmarłego podopiecznego opisującym potęgę cesarskich Niemiec.

W krótkich słowach pożegnali młodego Wendersa przedstawiciele cechów, wreszcie niespodziewanie głos zabrał Paul Bruhn.

– Jestem przybyszem. Nigdy wcześniej nie byłem w Wejherowie. Moje serce przytuliło się jednak do miasta i jego obywateli. Płaczę razem z wami i obiecuję, że nie opuszczę Wejherowa, dopóki nie zapanuje tu sprawiedliwość. Niech Bóg ma w swojej opiece rodzinę nieodżałowanego Johanna.

Przywódca Komitetu Obrony Wejherowa skromnie skłonił głowę i wycofał się. Jego słowa zrobiły wielkie wrażenie na wszystkich zgromadzonych. Gdyby zachował się jak krzykacz i wznosił buńczuczne hasła, po jego mowie pozostałby jedynie niesmak. Takt i troska emanujące z krótkich zdań i głęboki smutek malujący się na obliczu gdańskiego dziennikarza wzbudziły powszechną sympatię. Ignaz pomyślał, że nie docenił przeciwnika. Odtąd postępowanie wobec Paula Bruhna musiało cechować się daleko idącym zdecydowaniem. Należało działać w sposób przemyślany, lecz, inspektor wiedział już, skończył się czas wyczekiwania.

Uroczystości pogrzebowe miały się ku końcowi. Do rodziców gimnazjalisty podchodzili bliżsi i dalsi znajomi. Przyjmowane kondolencje ożywiły panią Irmgardę, która uśmiechała się smutno do zatroskanych o jej zdrowie przyjaciół. Mąż natomiast sprawiał wrażenie zirytowanego przedłużającymi się kondolencjami. Nie należał do osób wylewnych, wyraźnie męczyło go okazywane przez bliźnich współczucie.

– Tak. Piękny pogrzeb i bardzo udany – powiedział komisarz Rensch, kiedy obaj policjanci wyszli z cmentarza.

– Ma pan rację, cokolwiek to oznacza – potwierdził Ignaz. – Wie pan, ilekroć kończy się pogrzeb, mam wrażenie, że nie mam co robić z czasem. Następuje zawieszenie zwykłego rytmu życia, brakuje mi głowy do logicznego myślenia. A przecież praca jest dla mnie na co dzień wszystkim. Rejestruję oczywiście jak najwięcej w pamięci, ale dopiero następnego dnia pozwalam sobie na powrót do świata żywych.

– Ja nigdy nie miałem czasu na takie refleksje – zauważył Rensch. – Na pogrzebach, w których uczestniczyłem służbowo, z reguły znajdowałem się blisko rozmaitych przedstawicieli władz. Ledwie wychodziło się z cmentarza, trzeba było brać udział w grzecznościowych rozmowach. Tak. Potem znów na komisariat i do roboty.

– A pogrzeby rodzinne?

– Nie zna pan mojej żony, inspektorze – smętnie pokiwał głową, komisarz. – Należy do kobiet pełnych życiowej energii i niezwykle towarzyskich. Nie zamyka właściwie ust i w jej umyśle raz po raz zakwitają pomysły, które owocują obowiązkami spadającymi na mnie z olbrzymią siłą. Tak. Pańska myśl, którą przed chwilą usłyszałem, brzmi dla mnie zgoła fantastycznie. Mamy inne doświadczenia życiowe i powiem panu, że zazdroścę ludziom, którzy mogą pozwolić sobie na odrobinę filozoficznej refleksji. Jestem przywiązany do swojej żony, ale każdy potrzebuje odrobiny wytchnienia. Pan je ma, ja nie. Tak. Za dużo powiedziałem, żona byłaby niepokieszona.

Ignaz uśmiechnął się do komisarza. Doceni! szczerść rozmówcy. Dwaj mężczyźni pod czarnymi parasolami krokiem ani pospiesznym, ani powolnym ruszyli w stronę siedziby policji.

– Pogrzeb, nawet kogoś obcego, jest jak nasze umieranie – mówi! Braun. – Nie mam na myśli jakichś apokaliptycznych nastrojów, poczucia beznadziei i bezmiernej rozpacz. Myślę o czymś innym. Przechodzi mnie wtedy dreszcz. Nie jest przyjemny, ale nie jest też zbyt przykry. Uświadamiam sobie, że nic nie będzie już takie, jak do tej pory. Umarł nie tylko ten, którego odprowadzałem na cmentarz, ale i ja sam, a raczej częśćka mnie. Ta częśćka, która była myślą i sądem o zmarłym człowieku. I chociaż nadal będę o nim myślał, będę już kimś innym, bo i tamten jest już kimś innym.

– Kiedy przychodzą panu do głowy takie rzeczy? – zdziwił się komisarz – przecież śmierć to najprostszą konsekwencją życia. Tak. Przybywa i już. Naszego losu nie odmienimy, więc po co zajmować się rozbieraniem na części wszystkiego, co nam przyjdzie do głowy? Tak. Uważam, że rozsądek nakazuje myśleć o sprawach ostatecznych w takim zakresie, aby nie

przeszkadzały nam w codziennym życiu. Podziwiam oczywiście zacięcie filozoficzne pana inspektora, bez dwóch zdań, ale nie sądzę, żeby mogło wyniknąć z tego coś dobrego. Radzę panu, warto myśleć o sprawach najprostszych, a wszystko jakoś się ułoży. Wie pan, kiedyś przy lustrze podczas woskowania wąsów spojrzałem sobie głęboko w oczy. Mimo że nie mam sobie zbyt wiele do zarzucenia, doznałem bardzo nieprzyjemnego wrażenia. Od tamtego czasu moje myśli krążą niezbyt wysoko. Może mi pan wierzyć, to bardzo zdrowe.

Braun zaśmiał się i spojrzał na zdziwionego Renscha.

– Ależ drogi komisarzu, ja nie popadnę w obłąd, proszę się nie martwić. Nie mam ambicji rozwikłania zagadki życia i śmierci, mówię tylko o moich wrażeniach. Przecież teraz, po pogrzebie Johanna, naprawdę wszystko będzie inne. Gwarantuję panu, że mieszkańcy Wejherowa poczują ulgę. Co prawda, do pełnego szczęścia brakuje im jeszcze (mnie również) schwytania sprawcy, nadal będą zgłaszać się świadkowie z urojenia, nie zabraknie świadków zarobkowych (zwyczajna kolej rzeczy w przypadku takiej nagrody), ale przecież jeden element, długotrwałe przebywanie nieboszczyka poza cmentarzem, został właśnie wyeliminowany. Sporej części ciała nie odnaleziono, ale i zwyczajnie zmarli wejherowianie nie zawsze bywają grzebani w całości. Z wolna powraca ład, chociaż już nieco inaczej skonstruowany. Ze śmiercią człowieka umarł stary świat i rodzi się nowy, jak powiedział pewien aptekarz z Merzenich, który otrął żonę bromowodorkiem skopolaminy.

– Rozumiem pana – powiedział komisarz i szarpnął parasolem, który właśnie zawadził o nagą gałązkę krzewu. – Nawet rodzice Johanna będą spokojniejsi, choć ich smutek czasowo być może się powiększy. Każdy powinien jakoś sobie radzić. Wenders na pewno od rana do nocy będzie

przesiadawał w swojej piekarni, a jego żona ma tylu znajomych, że jakoś się w końcu pozbiera.

Słowa Ignaza o szczególności dnia pogrzebu potwierdziły się na komisariacie. Policjanci przez całe południe nie mieli żadnych wezwań do przestępstw ani próśb o interwencję, nikomu nie zginął pugilares ani nawet pojedyncza marka. Komisarz, przybywszy w towarzystwie inspektora na posterunek, zastał sennych podwładnych grających w skata. Zabrał Ignaza do swojego gabinetu, polecił Heinzowi przynieść dwie mocne kawy i sięgnął do przepastnej szafy, w której trzymał napój przeznaczony na szczególne dni – nalewkę na żmii przywiezioną z wywczasów spędzonych u rodziny w dalekiej Kłajpedzie.

Za oknem znowu rozszalał się deszcz. Wiatr targał konarami drzew, ciemność ogarnęła niebo wiszące nad Rynkiem i całym miastem, a policjanci, pijąc aromatyczną kawę, rozmawiali o sprawach służbowych i egzystencjalnych, choć te ostatnie zazwyczaj napawały komisarza zabobonnym lękiem. Zmijówka, Ignaz musiał to przyznać, była napojem o cudownych właściwościach – rozgrzewała duszę i ciało, sprawiając, że złe myśli pierzchały gdzieś w niebyt.



Asesor

Rozleniwiony spokojem Rüdiger Rensch pozostał jeszcze w komisariacie. Był święcie przekonany, że jego młodszy kolega, na swój sposób celebrujący dzień pogrzebu i przeświadczony dziecinnie o jego wyjątkowości, udał się prosto do hotelu.

Przypuszczenie komisarza okazało się mylne. Lekkim krokiem, niespiesznie, inspektor Braun podążył w stronę kancelarii notarialnej Gustawa Augusta Nowoczyna. Przystanął nieopodal notariatu i otworzył kopertę zegarka. Do godziny siedemnastej brakowało dwóch minut.

– Prawnicy należą do osób punktualnych – mruknął – ale też nie brak im dokładności. Notariusz zostanie oczywiście dłużej, przejrzy jeszcze parę sporządzonych dzisiaj dokumentów. Może na koniec zapali cygaro i z zadowoleniem będzie patrzył na sprzęty biurowe. Tak, asesor wyjdzie jako pierwszy.

Minęło siedem minut. Na parterze urokliwej kamieniczki otworzyły się drzwi i z biura, które zajmowało całą dolną kondygnację, wyszedł młody mężczyzna. Ignaz nie wahał się ani chwili. To nie mógł być klient, ponieważ nikt z mieszkańców Wejherowa, ludzi praktycznych i lubiących załatwiać sprawy urzędowe wczesnym rankiem (a najdalej w południe), nie przyszedłby do notariatu na ostatnią chwilę. Wychodzić z publicznej

instytucji w kilka minut po jej zamknięciu? Nikt oprócz pracownika kancelarii nie zachowałby się w taki sposób.

– Najmocniej przepraszam, czy pan Christian Meier?

– O co chodzi? Co się stało? – pytaniami odpowiedział zalekniony młody człowiek o twarzy przypominającej pyszczek pinczera.

– Czy pan Christian Meier? – powtórzył inspektor.

– Tak. Zdaje się, że nie miałem dotąd przyjemności poznać pana.

– Inspektor Braun ze stołecznego Wydziału Zabójstw. Nie chcę okazać się zarozumiały, ale przypuszczam, że słyszał pan o mnie... Wydaje mi się, tak, teraz poznaję, był pan na pogrzebie Wendersa.

Młody człowiek zmieszał się, co, mimo mroku panującego dokoła, nie uszło uwadze Ignaza.

– Możliwe. Jak wiele osób postronnych, byłem na pogrzebie. Wydarzenie, przyzna pan, niezwykle smutne. Oczywiście, znam pana inspektora ze słyszenia.

Ostatnie słowa wypowiedziane były cicho i niemal ze smutkiem. Ignaz wiedział, że nadeszła pora oswojenia zaleknionego asesora notarialnego.

– Może zaskakiwać pana moja obecność przed kancelarią, ale widzi pan, policjant, kiedy przesłuchał już wiele osób, powinien spojrzeć na całość z pewnego dystansu. Pan, jak mi wiadomo, jest przyjacielem domu państwa Wendersów. Młody, wykształcony człowiek może wnieść do sprawy wiele świeżości. Przenikliwość sądów i spostrzeżeń... Sam pan rozumie.

– Doprawdy? – upewniał się niespokojny jeszcze Christian Meier.

– Oczywiście – potwierdził Braun. – Proszę mnie dobrze zrozumieć, zależy mi na naszej rozmowie, chociaż nie chciałbym, aby traktował ją pan jak przesłuchanie.

– Ja nigdy nie rozmawiałem z żadnym policjantem, stąd moje zdenerwowanie – odparł asesor – ale postaram się ze wszystkich sił, aby pan był ze mnie zadowolony. Nie wiem tylko, jaką wiedzą mógłbym podzielić się z policją...

„On nie umie nie ulegać silniejszym od siebie” – pomyślał Ignaz i razem z Meierem ruszył w kierunku ulicy Lęborskiej.

– Dokąd idziemy? – niepewnie zapytał młody człowiek, kiedy weszli na główną ulicę miasta.

– Jest takie miejsce, w którym rozmowa przebiegnie w sposób zgoła wymarzony. Czy jest pan ewangelikiem?

Meier zdziwiony spojrział na inspektora.

– Tak.

– Dobrze się składa, wejdziemy do zboru.

Meier z jeszcze większym zdziwieniem spojrział na inspektora.

Po kilku minutach obaj mężczyźni siedli w jednej z ławek ustawionych pod chórem. Ignaz nie zaszczycił wnętrza kościoła szczególną uwagą. Zbory z zasady wyposażane były skromnie, brakowało też w nich nieokreślonej tajemnicy, której katolicy doświadczali w swoich świątyniach podczas każdej modlitwy przed ołtarzem. Białe, puste ściany, blask farby olejnej, dojmująca pustka upodobały wejherowski zbór do dziesiątków podobnych budowli rozsianych po całych Prusach. Dla inspektora ważne było, że kilka godzin wcześniej w tych samych murach leżała na katafalku trumna z ciałem Johanna Wendersa. Młody asesor widział ją tutaj, widział dramat rodziców i ciekawość zgromadzonych.

– Myślę o pogrzebie – powiedział do Brauna – stąd moje zdenerwowanie. Przecież to wydarzyło się dzisiaj...

– Cenię sobie pańską wrażliwość – odparł inspektor.

– Tym bardziej liczę na spostrzeżenia osoby o tak subtelnej osobowości.

Milczenie Meiera stanowiło zgodę na rozpoczęcie przesłuchania. Ignaz upewnił się, że we wnętrzu zboru oprócz nich znajduje się jedynie staruszka, siedząca pod samym krzyżem wiszącym w ołtarzu.

– Od kiedy zna pan Wendersów?

– Wybacz pan, ale pytanie jest nieścisle – odparł prawnik. – Wendersów jest, przepraszam, było troje. Pana Johannesesa znam od zawsze. Jako mały chłopiec chodziłem do jego piekarni. Lubiłem patrzeć na drożdżowe ciastka i maślane bułki. Rodzice wiedzieli o moich upodobaniach i wysyłali mnie po pieczywo do pana Wendersa. Oczywiście, nie zawsze obsługiwał mnie on sam, przez lata pracowała za ladą pani Meier. Nazywała się tak samo jak ja, ale zbieżność była przypadkowa.

– W jakich relacjach znajduje się pan z piekarzem? – szepnął policjant i poczuł się jak ksiądz podczas spowiedzi.

– Bardzo dobrych – bez zastanowienia odpowiedział świadek. – Kiedy byliśmy sami, albo w gronie znajomych, pan Johannes mówił do mnie po imieniu. W bardziej oficjalnych okolicznościach nazywał mnie „panem asesorem”.

– To zrozumiałe. Bywał pan w domu Wendersów?

– Tak. W Wejherowie wszyscy się znają.

– I wszyscy bywają we wszystkich domach?

– Nie to miałem na myśli – żywo odparł Meier. – Nie potrafię powiedzieć, kiedy doszło do pewnego zacieśnienia więzów towarzyskich. Jeżeli zna się kogoś od urodzenia, trudno odpowiedzieć na tak zadane pytanie.

– Ma pan rację – ze skruchą przyznał Ignaz. – Jeśli zadawałem zbyt trudne pytania, teraz zadam łatwiejsze. Jaki stopień zażyłości łączy pana z panią Irmgardą?

– Z kim?! – asesor omal nie krzyknął.

– Z panią Irmgardą Wenders. Jeśli mnie pamięć nie myli, tak nazywa się prawowita żona Johanna Wendersa.

– Przepraszam, po prostu nie dosłyszałem – opanował się młody prawnik. – Mówił pan cicho, jesteśmy przecież w domu Bożym. Muszę namyśleć się, aby nie zostać źle zrozumianym. Siłą rzeczy nasze relacje są inne niż moje z panem Johannesem. Mężczyzna ma inne zainteresowania niż kobieta, w dodatku mąż pani Irmgardy traktuje mnie jak dziecko, co wynika z rodzaju znajomości. Ona jest młodsza od męża, interesuje się modą, sztuką, lubi więc rozmawiać z kimś, kto ukończył studia w samym Berlinie. Rozumie pan, co mam na myśli?

– O tak... – westchnął ciężko Ignaz.

– Właśnie. Od mniej więcej roku bywałem w domu państwa Wendersów – kontynuował asesor. – Gawędziliśmy z panią Irmgardą o tym i owym.

– Jej mężowi nie przeszkadzały pana wizyty?

– Dlaczego? – obruszył się młody człowiek. – Czasami uczestniczył w naszych rozmowach. Zazwyczaj zatrzymywał się w pokoju żony na kilka minut i zaraz wracał do piekarni albo zamykał się w swoim pokoju.

– Sądzi pan, że zdawał sobie sprawę ze stopnia zażyłości łączącej żonę z tak częstym gościem?

– Jakiej zażyłości?! – wykrzyknął Meier.

– Ciszej. Jesteśmy, jak pan to ładnie określił, w domu Bożym.

Asesor patrzył niewidzącymi oczami na krzyż wiszący w prezbiterium i zdawał się zanurzać myślami w niedaleką przeszłość.

– Czego pan właściwie ode mnie chce?

– Proszę mi opowiedzieć – urzędowym tonem odrzekł inspektor – jakie relacje panowały między panem a rodziną Wendersów, kiedy już został pan kochankiem pani Irmgardy.

– Mój Boże, wie pan o wszystkim... Kto panu powiedział?

– Pytania, wybaczy pan, zadaję ja. I proszę o szczerłość. Nie mam w zwyczaju znęcać się nad świadkiem ani tym bardziej rozpowiadać na prawo i lewo o sekretach alkowy, w zamian wymagam jednak bezwzględnej uległości wobec przedstawiciela prawa. Jest pan inteligentnym człowiekiem i sądzę, że zrozumieliśmy się wybornie.

– Dobrze, będę mówił – powiedział znękany Meier.

– Bardzo ładnie. W razie, gdyby próbował pan zataić cokolwiek, proszę pamiętać, że znajdujemy się w szczególnym miejscu. Jeśli nawet oszuka pan mnie, jest nad panem sędzia, który wie wszystko i policzy każdy grzech temu, który już dopuścił się cudzołóstwa – zakończył Ignaz i przez moment pożałował, że nie zdecydował się przed laty na obranie profesji duchownego.

Splecione dłonie Meiera zacisnęły się tak, że zatrzeszczały stawy. Krople potu zrosiły czoło.

– Nigdy przedtem nie miałem śmiałości do kobiet. Byłem skromnym chłopcem i kiedy wyjechałem na studia do Berlina, nie miałem pojęcia o flirtowaniu. Stolica, rozumie pan, zachęcała młodych ludzi do ożywionego życia towarzyskiego. Opera, teatr, kabarety, parki i majówki. Koledzy próbowali wyciągać mnie do miasta, ale ja pamiętałem, że rodzice cały swój skromny majątek włożyli w moje wykształcenie. Uczyłem się więc całymi dniami, do późnego wieczora siedziałem w bibliotece, a rano jako pierwszy pojawiałem się w auli i słuchałem wykładów. Raz wprowadziła mnie pewna skromna i miła panienska, ale okazała się być córką majora von Orsseln. Oczywiście nie miałem żadnych szans na mariaż, a i panna, przywołana do porządku przez rodziców, wyszła w końcu za kapitana von Altenbach und zu Schanzberg.

– I od tamtej pory jeszcze bardziej zagłębił się pan w pokładach szlachetnej wiedzy prawniczej.

– Tak. W końcu koledzy uwzięli się i postanowili zaprowadzić mnie do domu publicznego. Okazałem się niezłomny. Tak dotrwałem do końca studiów i ze znakomitym dyplomem przybyłem do Wejherowa.

Gustaw August Nowoczyn był osobą o ustalonej w mieście pozycji. Adwokat i notariusz, znany z sumienności i uczciwości, oddany cesarzowi jak nikt inny. Przyjął świeżo upieczonego prawnika z otwartymi rękami, o co wcześniej zabiegali rodzice Christiana Meiera. Jednak i bez tej niewinnej skądinąd protekcji wykształcenie i zdolności młodzieńca stanowiły najlepsze referencje. Notariusz zadowolony był z pracy swojego asesora i wróżył mu chwalebłą przyszłość (na doświadczonym prawniku wielkie wrażenie zrobiła dyskusja, podczas której Meier wnikliwie zanalizował Ustawę o sądownictwie niespornym z 1898 roku). Zaprzagnął nawet wciągnąć go w pracę Ostmarkenvereinu, zwanego przez niecnym przeciwników politycznych Hakatą, ale podwładny odmówił, tłumacząc, że pragnie skoncentrować się na jak najlepszej pracy w kancelarii. Zmartwiony odmową pryncypał docenił jednak oddanie pracownika i przyznał mu niemałą podwyżkę.

– Kiedyś pan Nowoczyn, zaniepokojony moim stanem zdrowia, polecił mi bywać po pracy w towarzystwie i oddawać się niedzielnym spacerom po lesie. Rzeczywiście, mój kręgosłup zdawał się odmawiać posłuszeństwa, oczy słabły gwałtownie, kilkunastogodzinne w ciągu doby ślęczenie nad zagadnieniami prawniczymi, bo wieczorami pochłaniałem bieżącą literaturę, zrobiło swoje. Poszedłem do lekarza i dostałem ostrą reprimendę. W tak młodym wieku zaniedbać się zdrowotnie! Przejąłem się ostrzeżeniami doktora i zacząłem chodzić na długie spacery.

– Całkiem rozsądna decyzja – zauważył Braun – a trzeba przyznać, że tereny tutaj nad wyraz urokliwe.

– Właśnie – ze skrucną w głosie potwierdził asesor i jego wzrok znów powędrował w stronę krzyża. – Wszystko zaczęło się od tych spacerów. Znałem oczywiście, jak pan inspektor już wie, starszego pana. Johanna widywałem czasami, ale wymienialiśmy tylko pozdrowienia. Na początku tak samo zachowywałem się wobec Irm..., przepraszam, wobec pani Irmgardy. Do czasu spacerów. Lubiła spacerować, nawet zimą, i tak zagadnęła mnie raz i drugi. Rodzice wychowali mnie na grzecznego i, mam nadzieję, kulturalnego człowieka, więc starałem się dostosować do towarzyskich potrzeb pani Irmgardy. Nie minęły ze trzy tygodnie, a zaczęła dopytywać się, kiedy znowu zobaczy mnie na spacerze. Wreszcie zostałem zaproszony na kawę do domu państwa Wendersów.

– Nie wiedział pan, do czego może prowadzić taka znajomość? – zapytał Ignaz, który przypomniał sobie własną wizytę u spragnionej ciepła kobiety.

Meier zdawał sobie sprawę z konsekwencji coraz częstszych spotkań z panią piekarsową. Było już jednak za późno. Nie, nie czuł się przymuszany do czegokolwiek. Odkąd zobowiązany został surowym ostrzeżeniem doktora Szymańskiego do częstych spacerów, ku swojemu zdziwieniu zaczął dostrzegać uroki życia. Kiedyś nabrał w obie dłonie garść śniegu i ścisnął, jak tylko potrafił najmocniej. Wtedy zmysły młodego asesora obudziły się do życia. Rozkisła od topniejącego śniegu droga pachniała obietnicą wiosny, kruki i gawrony odlatywały gdzieś na północ, pączki drzew nabrzmiewały dziką siłą.

Od czasu zauroczenia panną Margaretą von Orsseln Meier nie oglądał się za kobietami. Owszem, potrafił ocenić, czy kobieta spotkana na ulicy lub obecna przy stole jest atrakcyjna, bez zająknięcia wymieniał zalety

towarzyskie poznanej co dopiero osoby. W spostrzeżeniach młodego człowieka nie było jednak pasji i fascynacji.

Przyszła wiosna. Pani Irmgarda potrafiła obudzić w Meierze zainteresowanie. Lubił przypatrywać się jej pięknym, gęstym, jasnym włosom, zaczął marzyć, że będzie mógł zanurzyć w nich dłonie. Z uwagą chwycił każde spojrzenie kobiety, śmiał się z zabawnych historii, których towarzyska wiosennych spacerów znała wiele.

– Wiedziałem, że robię źle. Tak, wiedziałem, ale całe życie tłumiliem w sobie porywy serca. Ona była dla mnie jak matka i jak przyjaciółka. Nie muszę panu opowiadać, jak doszło do...?

– Nie ma takiej potrzeby – kostycznie zaśmiał się Ignaz. – Zapewniam pana, że jest wiele osób, które chętnie, z wypiekami na twarzy, wysłuchałyby szczegółowej relacji. Ja do nich nie należę. Proszę mi natomiast wybaczyć powtórzenie naiwnego pytania: czy pan Johannes i Johann wiedzieli o romansie?

Bolesny grymas pojawił się na twarzy asesora.

– Boże, to ostatnie słowo! Proszę, niech pan tak nie mówi. Ja... jestem tak przywiązany do Irmgardy... Romans... Złe słowo...

– Widzi pan, na przykład odprowadzenie uroczej pensjonarki na niedzielne nabożeństwo nazwałbym odprowadzeniem uroczej pensjonarki na niedzielne nabożeństwo – od niechcienia powiedział inspektor.

– No tak, nie mogę być szczęśliwym i jednocześnie stosować się do przyjętych w świecie norm, w które na dodatek sam wierzę. Przekłeta sprzeczność – ciche łkanie dopełniło odpowiedzi.

– Wracając do mojego pytania o wiedzę ojca i syna...

– Nie wiem. Irmgarda nigdy nie dała mi odczuć, aby ktokolwiek dowiedział się o nas. Może nasza czujność została uspijona? Ale nie sądzę, żeby istniało jakiegokolwiek zagrożenie. Mówiłem już, że pan Wenders

rzadko z nami przesiadywał. Miałem wrażenie, że nudzą go nasze rozmowy.

– A Johann? Czy on coś podejrzewał?

– Johann? – cicho zaśmiał się asesor. – Bywał w domu jeszcze rzadziej niż jego ojciec. Jeśli już pojawiał się, pisał wiersze i uczył się niemieckiego. Nie zauważał mnie wcale. Zresztą nie przypuszcza pan, że w czasie jego obecności my...

– Nie przypuszczam, mimo niemałej wyobraźni. Czy państwa znajomość po zaginięciu Johanna i potem, po znalezieniu jego zwłok, uległa jakimkolwiek zmianom, nazwijmy je, jakościowym?

– Tak!

Śmierć gimnazjalisty zmieniła życie wielu osób. Pani Irmgarda nie zamierzała wprawdzie zrywać związków z asesorem, ograniczyła jednak w znaczący sposób natężenie spotkań i ich rodzaj. W przeszłość odeszły namiętne uniesienia. Kiedy rozpoczęło się śledztwo, piekarczowa postanowiła, według Meiera, naprawić niedawne błędy i nie pozwalała sobie więcej na dawną beztroskę.

– Słyszałem od osób niezwiązanych bezpośrednio z Wendersami, że Irmgarda zainteresowała się kimś innym, ale nie mogę w to uwierzyć. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie uważam siebie za osobę niezastąpioną, ale sądzę, że kobieta w tym stanie powinna dokonać pewnych przewartościowań. Dla mnie smutnych, chociaż być może zbawiennych.

„Ten człowiek wcale nie zna kobiet” – pomyślał Ignaz.

On sam nie był ekspertem w dziedzinie psychiki kobiecej, w swojej karierze policyjnej zetknął się jednak z tak zadziwiającymi przypadkami, że nie potrafił już wyrokować tak pochopnie jak Christian Meier.

– Czy może pan powiedzieć, co działo się w domu Wendersów przed zaginięciem Johanna i tuż po fakcie?

– Nie bywałem tam przecież codziennie...

– Niech pan nie wykręca się od odpowiedzi.

– Mówię szczerze. Spotykaliśmy się mniej więcej dwa razy w tygodniu. Johann zaginął w dniu, który poprzedzał schadzkę, chociaż feralnego dnia wpadłem na chwilę. Drobną, nic nieznaczącą pogawędkę, trwającą może piętnaście minut. To było w południe. Pan Nowoczyn wysłał mnie do sądu, miałem chwilę czasu.... Wieczór spędziłem w domu. Potem widzieliśmy się trzy, może cztery razy.

– Czy pani Irmgarda wcześniej wspominała coś o dziwnym zachowaniu syna?

Asesor wyraził zdziwienie.

– Może miewał gorsze dni, ot i wszystko. Więcej nie wiem. Gdy ma się kilkanaście lat, gorszy nastrój może pojawić się bez powodu.

– Nie wie pan nic o wierszach, o spacerach z panienkami?

Spokój wrócił na oblicze młodego człowieka.

– Wiele osób wiedziało, że Johann jest dziwakiem. Ale nie widzę punktów stycznych między tym, o czym pan inspektor wspomniał, a jakąkolwiek depresją. Po prostu o niej nie wiedziałem.

– No właśnie – błysk w oczach inspektora przestraszył Meiera.

– Naprawdę niczego nie ukrywam, proszę mi wierzyć!

– Ciszej, proszę pamiętać, gdzie się znajdujemy... Czy mógłbym się jeszcze dowiedzieć, jak odnosiła się do pana panna Kornelia?

– Panna Kornelia? – powtórzył zamyślony asesor.

– Służąca Wendersów. Proszę się skupić i nie analizować odpowiedzi na poprzednie pytania.

– Przepraszam. Kornelia jest ideałem służącej. Może nieco ograniczona, ale dyskretna i powściągliwa. Z pewnością nie wiedziała o Irmgardzie i o

mnie. Gdyby nawet wiedziała, nie rozpowiadałaby na mieście. Sądzę, że traktowała mnie tak, jak każdego innego. Z właściwym dystansem.

Ignaz uśmiechnął się na wspomnienie „ograniczonej” panny; zaraz też zauważył, że wewnątrz zboru zaczyna wypełniać się ludźmi. Spojrzał pytająco na rozmówcę.

– Za chwilę rozpocznie się nabożeństwo. Chyba powinniśmy stąd wyjść.

– Panu, drogi asesorze – odparł inspektor – przydałoby się zostać w środku. Odrobina modlitwy jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Spuszczona głowa Meiera poruszyła się w taki sposób, jakby ktoś sznureczkami, jak głowę lalki, wprowadził ją w ruch. Młody człowiek wyszeptał coś, co przy odrobinie wysiłku można było odszyfrować jako wypowiedzianą w kierunku nieokreślonego adresata skruchę.

– Do widzenia – szepnął Braun i zostawił w ławce samotnego wśród współwyznawców człowieka, który miał już świadomość, że życie nie jest tak proste, jak sądził w czasach nauki w gimnazjum i studiów prawniczych w Berlinie.

Na wychodzącego ze zboru Ignaza spadł ulewny deszcz. Pastor powiedziałby, że niebiosy płaczą po niewinnej śmierci chrześcijanina i zakłóceniu ładu Bożego.



Pouczająca rozmowa z zanedbywaną żoną

Głos, wysoki i na wskroś przeszywający słuchającego, pasował do szczupłej i kościstej sylwetki. Wydatny nos i czarne oczy upodobały panią Masslof do wschodniej sprzedawczynie daktyli albo sezamu. Ignaz widział podobne do swojej rozmówczynie przekupki w Stambule, gdzie dwa lata wcześniej odbywał się prestiżowy kongres poświęcony wynalazkom technicznym w służbie kryminalistyki. Kontrast między ciemnobrązową spódnicą a białą bluzką doskonale uzupełniał smukłą postać. Kobieta musiała być wyższa od swojego męża o dobre dziesięć centymetrów.

– Naprawdę nie gniewa się pan, że nachodzę go o takiej porze i w dodatku w miejscu prywatnym?

– Praca w policji jest służbą, droga pani. Powinienem być na każde zawołanie osoby mogącej wnieść coś pożytecznego do badanej sprawy. Policjant nie powinien mieć życia prywatnego, jak mawiał nadinspektor Natzke, mój mistrz i wykładowca.

Pani Masslof ucieszyła się, choć ze skrupułami obserwowwała, jak Ignaz ścieli łożko. Zapewniła raz jeszcze, że jest jej przykro i jedyną pociechę stanowi fakt, że inspektor Braun, jak sam powiedział, od kwadransa był już na nogach.

– Mamy dwadzieścia minut do godziny ósmej. O tej porze mój umysł pracuje najlepiej. Proszę mówić.

– Wie pan, inspektorze, długo wahałam się, zanim zdecydowałam o potrzebie wyjawienia niektórych faktów. Jestem – pani Masslof skromnie spuściła oczy i zarumieniła się lekko – kobietą uczciwą i bogobojną, tymczasem to, o czym chcę opowiedzieć, wykracza poza ramy, w których poruszam się na co dzień.

Doświadczony, mimo młodego wieku, policjant, widząc ciągle wahanie kobiety, posunął w jej kierunku talerzyk z czekoladkami o nadzieniu pomarańczowym. Praktyka uczyła, że siedemdziesiąt pięć procent świadków pod wpływem słodczy rozluźnia się znacząco.

– Ja już powiem, co mam do powiedzenia – niepewny uśmiech zagościł na twarzy pani Masslof – bo widzi pan, byłam wczoraj na pogrzebie, stałam w deszczu przed zborem i myślałam o wszystkim, co widziałam i przeżyłam. Zacznę od początku, ale czy mógłby pan inspektor poczęstować mnie jeszcze jedną czekoladką? O, dziękuję stukrotnie. No więc mój mąż jest człowiekiem, który umie zrobić wszystko.

– Nie wątpię... – zgodził się Ignaz.

– Właśnie. Herbert jest ceniony w najrozmaitszych sferach. Rzemieślnicy, właściciele ziemscy i handlowcy zabiegają o jego przyjaźń. Nikt tak szybko nie naprawi dyszla ani nie zbije stołu potrzebnego w sklepie rzeźnickim. Złote ręce, mówię panu. Tyle, że dzięki wzięciu Herberta nigdy nie ma go w domu. Ciągłe wzywają go do jakichś napraw. A on, biedaczek, nie potrafi odmówić. I wykorzystują go niemiłosiernie. Pan Richter, porządny człowiek i dobry chrześcijanin, tyle że pracy u niego zawsze zatręśienie. Dobrze zapłaci, ale od rana do nocy trzeba mu pomagać. Z matką mam wieczne utrapienie, bo chęć życia u niej wielka nad wszelki podziw. Mówiłam, żeby nie pracowała u Żyda, ale ona nie chciała

słuchać. Nie chodziło o pieniądze, mama lubi po prostu dużo wiedzieć. No i zostawałam w domu całkiem sama. Gotowałam obiad, sprzątałam dom, czyściłam celuloidowe rękawy Herberta i nudziłam się przeraźliwie.

Ignaz czekał na jedno słowo: Johann. Musiało w końcu paść, bo kobieta rozpędziła się, zwierzenia wylatywały z jej ust z coraz większą łatwością i otwartością.

– Pan inspektor domyśla się, skoro zaczęłam od tego, że byłam na pogrzebie. Johann przyszedł wtedy od razu po szkole. Zapamiętałam mundur, leżał na nim jak ulał. Mama trochę szyje, ja odziedziczyłam po niej talent, lubię stroje, więc wiem, jak ważne jest, aby krój był dobrze dopasowany do ciała. No więc przyszedł Johann, a ja nie byłam zdziwiona. Do Herberta przychodzili w interesach najrozmaitsi ludzie, niekiedy przysyłali służbę bądź dzieci. Johann uklonił się grzecznie i zapytał o mojego męża. Byłam sama, wydawał się zakłopotany. Powiedział, że jego ojciec chciał poprosić Herberta o wklejenie kilku kafelków do starego pieca. Zdunowie są bardzo kosztowni, a pan Wenders korzystał już kiedyś z usług mojego męża.

– Nie odesłała pani Johanna do pana Masslofa? Gdzie mąż wtedy pracował?

– Cztery miesiące temu? Już u pana Richtera, chociaż zdarzało mu się bywać sporadycznie u tego wariata, Heinricha Berga. O Bergu opowiem za chwilę.

– Mogę poprosić, żeby od razu zajęła się pani Bergiem? – przerwał Ignaz. – Skoro pani zaczęła...

Kobieta nie wahała się ani chwili.

– Dobrze, skoro pan inspektor sobie życzy. Wariat i tyle, jak już wspomniałam. Mąż nawet go lubi. Mawia, że na takich ludziach opiera się niemiecka potęga. Może się opiera, ale ja wiem swoje. Heinrich Berg jest

na pewno dobrym ojcem, bardzo kocha swoje dzieci; nie pozwala im na wiele, ale ptasiego mleka nie pożałuje dla małych marynarzy. Tak o nich mówi. Myślę, że są dla niego przedłużeniem jego własnej młodości. Chociaż skąpy do nieprzyzwoitości, kupuje im w mieście bonbony i zabawki, prowadzi na spacer i opowiada o lesie, zwierzętach i czarownicy, która w domku stojącym na kurzej łapie mieszka z dala od ludzkich siedzib. Nie chciałabym jednak znaleźć się w skórze jego żony. Prawda, jest w niego wpatrzona i los, jaki ją spotkał, uważa za największe szczęście. Zrobi wszystko, co Heinrich każe. Pracuje jak wół, od rana do nocy, a potem zdarza się, że sypia w chlewie, jeżeli któraś z prac nie zostanie wykonana tak, jak życzyłby sobie mąż.

– Wie pani coś na temat rękoczynów pana Berga?

– Nie, on nie potrzebuje bić żony. Wystarczy, że na nią spojrzy, a już strach pomieszany z uwielbieniem przebiega po jej twarzy. Ja nie narzekam na Heinricha, Herbert wiele skorzystał na pracy w jego gospodarstwie, a i nauczyć można się tam było wiele, bo Berg jest światłym człowiekiem. Gazety czyta. Ale pan inspektor rozumie, instynktownie boję się przebywać blisko niego, no i wiem, jak traktuje żonę. Władza, jaką ma nad tą biedną kobietą, przeraża mnie. Lepiej już, gdyby bił. Ale nie, on nie musi bić, jest zbyt silny, żeby osiągać swoje takimi zwyczajnymi metodami. Jakie ma spojrzenie! Niby oszczędny w słowach, opanowany, a widać, że lichy w nim siedzi.

– Wróćmy teraz do nieodżałowanej pamięci Johanna – Braun uciął dywagacje zapalającej się coraz bardziej kobiety.

Pani Masslof przechyliła głowę na bok, jak mała dziewczynka, która nie wie, czy dobrze robi, powierzając swoją tajemnicę komuś dorosłemu. Zawahała się i z tęsknotą spojrzała na czekoladki. Przez moment nieśmiałość z początku rozmowy zdawała się powracać.

– Pan inspektor będzie się ze mnie śmiał. Bo ja jestem bardzo porządną kobietą i nie wyobrażałam sobie, abym mogła kiedykolwiek zdradzić Herberta. Tymczasem chłopak, kiedy zorientował się, że jesteśmy w domu sami, bez żenady usiadł w fotelu Herberta i zaczął rozmawiać ze mną jakby nigdy nic o rozmaitych sprawach. Zapytał o ogród, ciekawiło go, jak pracuje się mojej matce u Lewinsky’ego, był miły i uśmiechał się życzliwie. Pomyślałam, że nie ma nic złego w tym, że poczęstuję go filiżanką herbaty.

– Nie odmówił... – odpowiedział Ignaz.

– A jakże! Widziałam, jak ucieszył się na widok dymiącego dzbanka. Miałam w domu ciasteczka karmelowe, Herbert upiekł je poprzedniego dnia. Zapomniałam powiedzieć panu inspektorowi, że mój mąż lubi gotować i piec. Prawdę mówiąc, Herbert zna się na kuchni lepiej niż ja. No więc mija pół godziny, a Wenders patrzy na mnie tak, jakby chciał mnie zjeść. Zmieszałam się, udałam, że muszę znaleźć haczyki do przetykania guziczków na butach, i poszłam do korytarza. On za mną i od razu znalazł te haczyki, chociaż w szafie był bałagan. Dotknął wtedy mojej dłoni.

Twarz pani Masslof nabrała wyraźnych oznak rozanielenia.

– Boja słyszałam wcześniej, że Johann lubi kobiety. Chodził do biednej chorej Richterówny, widywano go podobno z jakimiś młodymi panienkami na kalwaryjskich drózkach, tej jaskini papistowskiego zabobonu. Po co on chodził w takie szatańskie miejsce? Przecież jego ojciec jest porządnym chrześcijaninem. Wie pan, w każdym siedzi diabeł. Czasem wystarczy drobiazg i nieszczęście gotowe. Nie powiedziałam tego nikomu innemu, ale panu muszę, bo nasza policja powinna wszystko wiedzieć, wtedy łatwiej zaprowadzić porządek.

– Cieszy mnie obywatelska postawa łaskawej pani – Braun skłonił przed kobietą głowę w geście najszczerzego szacunku.

– O czym ja mówiłam? Ze w każdym siedzi diabeł. Najszczęsza prawda. Johann wyraźnie zalecał się do mnie. A ja, po raz pierwszy w niezbyt, co prawda, długim życiu – pani Masslof poprawiła niesfornego loczka uciekającego na skroń – uległam nastrojowi. Przyjemnie było czuć się adorowaną przez młodego człowieka, który przecież, mając pozycję i odpowiedni wygląd, mógł zalecać się do pierwszych partii w naszym mieście. Wciągał mnie w rozmowę coraz bardziej, chłonełam jego uczone słowa.

Nie zauważyła, jak minęła jedna i druga godzina. Wreszcie Johann, spojrzawszy na zegarek, zerwał się z miękkiego fotela i przeprosił za zabranie pani domu tak wiele cennego czasu.

Potem wrócił Herbert i żona podała mu obiad; patrzyła, jak je, ale cały czas myślała o Johannie. Przez trzy dni gimnazjalista nie pojawił się. Trzy długie doby, podczas których kobieta niecierpliwie czekała na ponowną wizytę.

Kiedy w drzwiach stanął Johann, pani Masslof nie ukrywała radości. Młody Wenders nie ukrywał z kolei, że przyszedł właśnie do niej, a nie do męża, którego ciągle nie było w domu.

Pierwszy raz pocałowali się w szopie. Kobieta poprosiła Johanna, żeby pomógł jej wydobyć z wnętrza lamusa starą łopatę potrzebną do przekopania grządek. Ona podtrzymywała część narzędzi, on starał się dosięgnąć łopaty schowanej za innymi sprzętami. Przytulili się do siebie niechcący, a może właśnie ona chciała poczuć się jak dorastająca panienska, której ukradkiem ktoś zabierze buziaka w tak mało, zdawałoby się, romantycznym miejscu.

Nie mogli się oderwać jedno od drugiego. Nie przerywali pocałunku zbędnymi słowami.

– Niech tylko pan inspektor nie myśli, że doszło do czegoś grzesznego. Chociaż prawda, zamroczyło mnie wtedy. Nie wiedziałam, co robię. Od tamtego dnia spotykałam się z Johannem często. Wiedziałam, że szedł potem do Anny, ale chciałam wierzyć, że tylko pomaga jej w nauce.

– Skoro już pani obdarzyła mnie tak wielką szczerością, muszę zadać niesympatyczne pytanie: na pewno nic doszło do pełnej zdrady?

– Nie – mocno powiedziała kobieta. – Bóg mi świadkiem, czasami chciałam tego, ale nie zdecydowałam się na ostatni krok. Przysięgam panu inspektorowi jak przed sądem. Na miesiąc przed śmiercią Johann zaczął mnie unikać. Był jakiś nieobecny duchem, potem przestał przychodzić. Przedtem też zdarzało mu się zamyślić, ale ostatnio... Z początku byłam smutna i rozżalona, jednak z wolna pogodziłam się z tym, że piękny flirt skończył się szybciej niż pragnęłam.

– Dlaczego właściwie zdecydowała się pani na poinformowanie mnie o swoich relacjach z zamordowanym? Dlaczego sądzi pani, że jej zeznanie może pomóc w wyjaśnieniu zagadki śmierci Johanna?

Pani Masslof zamyśliła się. Jej duże, czarne oczy powędrowały w górę, czoło zmarszczyło się nieprzyjemnym grymasem. Zaczęła skubać niepasujące do bluzki ażurowe, ceglaste mitynki, które, wcześniej już sfatygowane takimi gestami, opadały na szczupłe dłonie. Suchy, nerwowy kaszel na chwilę odroczył odpowiedź.

– Śmiało – zachęcił Ignaz.

– Bo ta sprawa miała nieprzyjemny dla mnie finał. Jeszcze zanim Johann przestał mnie unikać, zobaczyłam go kiedyś na ulicy, rozmawiał z jakimś kolegą. Oczywiście nie mogłam podejść i przywitać się. Ale przystanąłam na tyle blisko, że usłyszałam, co do Johanna mówił tamten gimnazjalista. Nogi ugięły się pode mną. „Słuchaj, stary, przestań tak szaleć, bo to się źle skończy. Ojcowie w końcu dadzą ci popalić. A brać się

za starsze panie? Ty się Boga nie boisz!”. Brzmiało to tak samo, albo bardzo podobnie. Sens słów oddałam wiernie. Johann, okropnie zdenerwowany, zaczął gestykulować. Bałam się, że mnie dostrzeże, i wycofałam się.

– Pytała pani chłopaka o tę rozmowę? – przerwał zaciekawiony Braun.

– Boże uchowaj! – odparła nieszczęsna kobieta. – Próbowałam okrężnymi drogami wydusić z Johanna jakieś fakty z jego życia, ale był zbyt sprytny. Zawsze wtedy zamykał mi usta gorącymi pocałunkami, a jak on całował! Pan inspektor nie potrafi sobie wyobrazić...

– Rzeczywiście, nie potrafię – wstrząsnął się Ignaz.

– No właśnie. Ale z dnia na dzień było gorzej. Biedak stawał się coraz smutniejszy, zresztą mówią tak wszyscy, którzy go znali. Na dwa tygodnie przed śmiercią Johanna przestaliśmy się widywać, bez wyraźnych przyczyn, bez słów o rozstaniu. Pogodziłam się z tym, wspominałam już. Nie myślałam, że tak szybko zapomnę. Resztę szanowny pan inspektor zna.

Ignaz zdecydował, że nadszedł najwyższy czas, aby ponownie poczęstować panią Masslof pomarańczową czekoladką. Kobieta chciwie sięgnęła do kryształowego talerza.

– Zapytam o rzecz fundamentalną. Czy pan Masslof dowiedział się o pani flircie z młodym Wendersem?

– Nie, jestem przekonana, że nie. Jego zachowanie w stosunku do mnie nie zmieniło się ani trochę. Mój mąż jest dobrym człowiekiem, chociaż życie, zwłaszcza na początku dorosłości, nie rozpieszczało go wcale. Najczęściej bywa łagodny, ale nie chciałabym dożyć chwili, kiedy odkryłby moją znajomość z Johannem. Zabiłby mnie, a przynajmniej wygnałby z domu. Kocha (choć rzadko to okazuje), jest lojalny i ofiarny, więc żąda takiej samej lojalności. Jego świat, gdyby prawda wyszła na jaw, runąłby w gruzach. Znam męża lepiej niż samą siebie.

Braun pokiwał głową.

– Chciała więc pani poinformować mnie, że Johann, chociaż w gruncie rzeczy dobry chłopak, miał problemy z sobą samym i z kimś, kto mógł chcieć zemścić się za dwuznaczne kontakty z dorastającymi dziewczętami i w ogóle płcią piękną...

– Tak – szepnęła pani Masslof. – Niby wszyscy o tym mówią, ale pomyślałam sobie, że moje zeznanie, jako osoby, która znajdowała się pod urokiem Johanna, może przydać się policji.

Kiedy posterunkowy Myszk, po uprzednim zastukaniu do drzwi, nacisnął klamkę, niemal zderzył się z wychodzącą właśnie panią Masslof. Zdziwiony, przepuścił speszoną spotkaniem kobietę i przekroczył próg hotelowego pokoju.

– Przyznała się do zamordowania młodego Wendersa? – zapytał wesoło.

– Z czego wysnuwasz taki wniosek? Choć rozumiem, że jest on żartobliwy...

– Sądzę, panie inspektorze, że gdyby żona Masslofa nie miała nic do ukrycia, przyszłaby po prostu na komisariat. A jeżeli jej wizyta nie miałaby związku z Johannem, rozmawiałaby z którymś z wejherowskich policjantów.

Ignaz z uznaniem spojrział na posterunkowego. Zaraz jednak zamyślił się nad wszystkim, co usłyszał od pani Masslof. Pokrótce opowiedział Myszkowi o celu wizyty zakończonej przed paroma minutami, prosząc na koniec o absolutną dyskrecję.

– Kobiety bywają nieprzewidywalne – refleksyjnie zauważył Anton, kiedy inspektor zakończył relację.

– Nie narzekaj...

– Pan inspektor nie ma żony, więc nie musi być zazdrosny. Ja właściwie też nie muszę, nie mam powodu, ale czy człowiek wie, jakie licho w babie siedzi?

– A ja nauczyłem się z każdej rozmowy wyciągnąć jakiś pouczający albo odkrywczy wniosek. Nie po raz pierwszy okazało się, że nasz Johann należał do osób niekonwencjonalnych. Z jednej strony starał się uwodzić dorastające panienki, z drugiej nie pogardził charakterystyczną panią Masslof, która mogłaby być jego matką. Nie zapominajmy o tajemniczym związku z Anną. Jeszcze kilka takich zeznań i pochwałę mordercę!

– Pan inspektor wierzy pani Masslof? Może chciała, żeby o jej względy starał się gimnazjalista i za rzeczywistość wzięła swoje pragnienia?

– Nie widziałeś jej twarzy. Nie jest paranoiczką ani mitomanką. Schwytałem kiedyś mitomankę z Wysp Fryzyjskich, nazywano ją „Amelią z obory”. Opowiadała o licznych romansach, a potem mordowała kogoś z bliskich osoby, z którą rzekomo coś ją łączyło. Mniejsza w tej chwili o morderstwa. Pamiętam do dziś gorączkowy blask jej oczu. W oczach żony Masslofa nie zauważyłem ani razu błysku szaleństwa. Była trzeźwa, chociaż zawstydzona, chwilami próżna i kokieteryjna, nawet wyuzdana. Jest niezbyt inteligentna i nieco rozchwiana duchowo, ale mimo wszystko rozsądna w ocenie faktów. Bez wątpienia wiele kosztowało ją przyjście do mnie i odsłonięcie niezbyt wygodnych zdarzeń. Mimo wszystko pani Masslof jest mniej skomplikowaną osobą niż jej niedoszły kochanek. Zauważyłeś już chyba, jak wielu ludzi miało powód, żeby zabić naszego gimnazjalistę?

– Ja mimo wszystko dołączyłbym do nich żonę Masslofa. A może to jednak on? Lojalność wobec Richtera jest niewystarczającym motywem, zemsta na kochanku żony pasuje jak ulał.

– Sądziś, że mąż dowiedział się o flircie? – z powątpiewaniem zapytał Ignaz.

– Kto wie? – powiedział przekonany do własnych racji posterunkowy.

Inspektor Braun spojrział znacząco na prowincjonalnego policjanta i poklepał go po ramieniu.

– Masz inne zdanie niż ja. To się chwali. Widzisz, Anton, poruszamy się jak we mgle. Mamy wprawdzie olbrzymią dokumentację, rozmawialiśmy z najważniejszymi dla sprawy osobami. Mamy sporo dowodów materialnych. Ślady rozchodzą się jednak w rozmaitych kierunkach. Ludzie zachęteni cesarskim listem zaśmiecają akta bzdurnymi zeznaniami. Moja ostrożna teoria, którą znasz, niemal wyklucza dojście do prawdy bez dobrowolnego przyznania się mordercy do winy. Pułapka? Prowokacja? Widzę, że byłoby to jakieś wyjście.

Anton zasepił się, ale po chwili na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech.

– Wierzę w pana inspektora.

– Ja też wierzę w siebie, ale dziękuję za słowa otuchy. Mam do ciebie prośbę. Czy – Ignaz zawahał się i niepewnie spojrział na posterunkowego – pannę stateczną i godną szacunku można zaprosić na coś słodkiego do Cafe Putzig? Bo muszę ci powiedzieć, że Alsleben wspominał mi o tym miejscu, zaproszenie zostało już przyjęte, ale liczę jeszcze na twoją opinię...



Cafe Putzig

Popołudniowe słońce rozlało się nad całą okolicą. Poprzedni dzień, deszczowy i mglisty, znakomicie oddawał nastrój mieszkańców Wejherowa. Tymczasem doba, która minęła od pogrzebu Johanna, zmieniła miasto nie do poznania. Każdy z budynków stał tam, gdzie dnia poprzedniego, ale ludzie uśmiechali się do siebie, rozmawiali o chorobach, postępach dzieci w nauce, o obiedzie.

Oczekiwano jeszcze na finał, na schwytanie mordercy. Skoro jednak Johann został pochowany, wszyscy poczuli, że w jakimś sensie zbliżyli się do zakończenia gorszącej sprawy.

Kiedy wielkanocne świętowanie dobiegło końca, każdy, jeśli tylko miał odrobinę czasu, wybierał się na spacer w towarzystwie rodziny i bliższych lub dalszych znajomych. Ignaz, trzymający pod rękę pannę Bernadetę, czuł się bardzo szczęśliwy. Przechodzili oto obok ostatnich miejskich zabudowań, ich oczom ukazała się w górze, wśród nagich jeszcze buków, kaplica Pałacu Piłata. Spojrzeli na siebie i zaczęli wspinać się po dróżce na wzniesienie, gdzie postawiono pierwszą stację drogi krzyżowej. W dłoni panny pyszniła się nowa, powleczone jedwabiem i koronkami kremowa parasolka, podarowana przez rodziców przy okazji świąt wielkanocnych.

– Lubię chodzić z panią po kalwarii – proste zdanie wypowiedziane przez Ignaza zabrzmiało ładniej niż najbardziej wyszukane komplementy zalecane przez poradnik towarzyski pani de Chantal.

– Znam tutaj każdą dróżkę – odpowiedziała zaróżowiona od rześkiego powietrza i wspinaczki panna Bernadeta – a jednak za każdym razem widzę wszystko inaczej niż poprzednio. Nie wie pan przypadkiem, dlaczego tak się dzieje?

– To proste, przynajmniej w odniesieniu do ostatnich dni. Rzadko zdarza się spacer w towarzystwie inspektora ze stołecznego Wydziału Zabójstw. Może dlatego dzisiaj patrzy pani na wszystko z innej perspektywy? Co do wcześniejszych przypadków, nie jestem w stanie dociec przyczyn.

– Pan żartuje, a ja pomyślałam właśnie, że znane wcześniej rzeczy widzimy inaczej pod wpływem doświadczeń i przeżyć niezwiązanych bezpośrednio z daną rzeczą. Nigdy pan się nad tym nie zastanawiał?

– Nigdy – przyznał – ale to bardzo intrygujące spostrzeżenie. Cieszę się, że panią poznałem – dodał po chwili.

Panna Bernadeta zaśmiała się, wzięła Ignaza za rękę, i oboje zbiegli do samej drogi prowadzącej gdzieś na Szemud i Kartuzy.

Słuchali ptaków, które jako pierwsze zdecydowały się na wiosenny powrót do domu. Młoda dama pokazywała adoratorowi drzewa i krzewy, których nazw pytany nie potrafił wymieniwać. Dotykali ledwie wyrosłych pączków, gładzili korę wiekowych drzew i patrzyli w błękitne niebo pełne kłębiastych obłoczków.

Piaszczysta dróżka zaprowadziła pannę Bernadetę i Ignaza pod urokliwy drewniany budynek. Z komina unosiły się wielkie kłęby dymu. Brzozy stojące dookoła domu sprawiały, że każdy gość musiał się tam czuć jak w rodzinnym obejściu. Droga do Cafe Putzig, którą przebyli, pełna była

spacerowiczów stęsknionych wiosennego powietrza. Od ciemnej ściany drzew odbijały się białą suknie elegantek i ich kapelusze. Panowie nadskakiwali swoim damom, opowiadali im dykteryjki i wdychali świeże powietrze w płuca, pełne jeszcze gęstego dymu z namiętnie palonych cygar. Dookoła dorosłych biegały dzieci ubrane w białobłękitne marynarskie kaftaniki. Któreś z nich krzyknęło tuż za plecami młodej damy i Ignaza: „Mamo, mammo, znalazłem pięciofenigówkę!”.

– Widziałam w którymś ze sklepów kartkę widokową przedstawiającą okolice Cafe Putzig. Muszę ją kupić i podarować panu. Często oglądam pocztówki, ponieważ mój ojciec jest ich wielkim pasjonatem i posiada kilkanaście albumów pełnych widoków rozmaitych miast. Mawia zawsze, że to zainteresowanie godne prawdziwego kolejarza. Pan, młody człowieku, bywający w różnych miastach, stanowczo powinien kolekcjonować karty pocztowe – tak powiedziała by ojciec.

Roześmiali się oboje.

– Zapraszam panią do środka. Nie byłem jeszcze nigdy gościem Cafe Putzig, ale słyszałem, że dobrze tutaj podają... – zachęcająco powiedział Ignaz. Młoda dama nie dała się długo prosić.

– Nie uwierzy pan, ale nie odwiedzałam Cafe Putzig przez kilka lat. Rodzice, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Wejherowie, zabierali mnie tutaj na szarlotkę i lemoniadę. Zawsze zatrzymywałam się nad stawem, który widzieliśmy przed chwilą, i mogłam wpatrywać się w wodę bez końca. Wydawało mi się, że staw jest niewyobrażalnie głęboki, a na jego dnie żyją jakieś potwory czyhające na nieostrożnych ludzi. A widział pan wysokie, zalesione wzgórze, które wskazałam parasolką? Zamkowa Góra to podobno najwyższe wzniesienie w okolicach Wejherowa. Ludzie różnie o niej mówią. Niektórzy boją się zaglądać w jej pobliże. Na szczycie porozmieszczane są kopczyki. Niedawno w tutejszej gazecie pojawiła się

informacja, że to groby dawnych mieszkańców tych ziem. Dosyć gadania, z przyjemnością zjadłabym coś słodkiego. Zauważył pan, jak spacer zaostrza apetyt?

Ignazowi nie chciało się jeść. Wystarczyło mu, że może pochłaniać wzrokiem pannę Bernadetę. Cieszył się, że za chwilę będzie patrzeć, jak dziewczyna apetycznie zajada jakieś ciastko. Stała przed nim, ubrana w jasnoblękitny płaszcz, w kapeluszu, który dostała od cioci na Wielkanoc, i właśnie wtedy Ignaz po raz pierwszy pomyślał, że chciałby spędzić z nią resztę życia. Zaraz zawstydził się, bo przecież prawie nie znał panny Bernadety i takie pragnienie musiało być oznaką niedojrzałości. A jednak rozgrzało jego serce, uśmiechnął się do swojej myśli i postanowił odtąd pielęgnować ją w tajemnicy przed światem.

Stolik pod oknem jakby czekał na przybycie panny Bernadety i Ignaza. Kelner, puciołowaty i zadowolony z życia, zdawał się uszczęśliwiony na widok nowych gości. Natychmiast podszedł do zajętego właśnie stolika i z entuzjazmem przyjął zamówienie. Po chwili przed młodą damą i jej towarzyszem pojawił się wykwintny dwuosobowy serwis z dymiącą kawą. Torcik orzechowy sam prosił się o skosztowanie.

Panna Bernadeta zajadała się torcikiem z niesłychanym zajęciem, a Ignaz, tak jak postanowił, przyglądał się jej jak kot misce mleka. Nagle poczuł na plecach czyjś wzrok. Nauczony policyjnym doświadczeniem, powstrzymał się od gwałtownego obrotu mogącego od razu wyjaśnić przyczynę uporczywego odczucia. Jakby nic się nie stało, szeptał pannie różne miłe słowa.

W pewnym momencie, z uśmiechem na ustach, poprosił rozmówczynię o niewielką przysługę.

– Jeśli pani taka łaskawa, proszę spojrzeć, kto siedzi przy stoliku umieszczonym za moimi plecami. Sądzę, że jestem obserwowany.

– Nie zauważyłam wcześniej, zajęta byłam rozmową z panem i kosztowaniem ciastka... – szepnęła panna Bernadeta. – Trzy stoliki dzielą nas od samego Augusta Richtera. Jak pan odkrył...?

– Nic wielkiego, szósty zmysł to chleb powszedni oficera policji – uśmiechnął się inspektor. – Nabiera się go już po kilku latach służby. Czuję uporczywy wzrok kogoś, z kim zetknąłem się już przedtem.

Dziewczyna spoważniała.

– Sądzi pan, że był śledzony przez tego człowieka?

– Nie wiem. Możliwe, że jego obecność w Cafe Putzig jest czystym przypadkiem. Przecież musiał tu być, zanim weszliśmy do restauracji. Chyba że wiedział, dokąd idziemy, i wyprzedził nas. Jeśli chciał spotkać się ze mną, mógł to zrobić w wielu innych okolicznościach. Przecież Cafe Putzig nie jest miejscem odosobnionym, bywają tu liczni goście, większość zna rzeźnika, wiele osób kojarzy moją twarz. Za wcześnie, żeby tę sprawę rozstrzygnąć. Poczekajmy. Tymczasem może zamówię drugi kawałek torcika orzechowego?

Dla panny Bernadety uspokajające słowa Ignaza okazały się niewystarczające. Postanowiła dyskretnie obserwować Augusta Richtera. Na propozycję dotyczącą galanterii cukierniczej odpowiedziała jednak z pełną życzliwością.

– Jeśli pan taki miły, zjadłabym jeszcze coś równie smacznego. Kiedyś rodzice zamówili tutaj olbrzymi suflet. Nigdy potem nie jadłam równie niebiańskiego sufletu.

– Poproszę o duży suflet. Chwileczkę... Dwa duże suflety – powiedział Ignaz do przechodzącego właśnie kelnera.

Twarc panny Bernadety, rozjaśniona wspomnieniem smakołyku z dzieciństwa, nagle pokryła się bladością. Dziewczyna zapatrzyła się w

kościstą postać wstającą od jednego ze stolików. Nie zdążyła uprzedzić Brauna. Za jego plecami rozległ się mocny, zdecydowany głos.

– Najmocniej przepraszam pana inspektora. Zdaję sobie sprawę, jak niestosowne jest przeszkadzanie w takiej chwili, ale nalegam, muszę z panem porozmawiać.

Inspektor wstał i podał rękę rzeźnikowi.

– Cieszę się, że staje się pan rozmowniejszy.

– Czy wieczorem – rzeźnik udał, że nie dosłyszał kaśliwości – załóżmy o dwudziestej, zechciałby pan inspektor spotkać się ze mną?

– Wybornie. Zaszczyci mnie pan swoją obecnością w hotelu, czy też ja mam odwiedzić pana?

– Nie, nie! – przestraszył się Richter. – Nie chciałbym, aby ktoś dowiedział się o naszej rozmowie. Mówię o tym przy szanownej pani, bo zakładam, że jest pani osobą zaufaną. Chodzi mi o moich znajomych i osoby postronne. Nikt nie powinien wiedzieć. Proponuję okolice szpitala psychiatrycznego. Droga na Lębork, na lewo budynki szpitalne, kiedy pan inspektor je minie, na pewno mnie zobaczy. Będę punktualny. Zawsze jestem punktualny. Wieczorem rzadko kto zagląda w tamto miejsce.

– Jesteśmy więc umówieni – padła krótka odpowiedź. Richter skłonił się po wojskowemu, krótko i zdecydowanie. Wrócił do swojego stolika, zapłacił za kawę i wyszedł z restauracji.

– Zagadka sama się rozwiązała – niefrasobliwy głos Brauna zaskoczył pannę Bernadetę.

– Sądzi pan, że intencje Richtera są szczerze?

– Nie dowiem się, póki nie dojdzie do spotkania...

– Jest dziwnym człowiekiem. Już jako dziecko bałam się zaglądać do jego sklepu. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale kobiety mają intuicję.

– Czyżby martwiła się pani o mnie? Przez całe lata nikt nie okazał mi takich względów.

– Pan żartuje – cicho odpowiedziała panna Bernadeta – a ja naprawdę się boję. Proszę mi obiecać, że jutro przyjdzie pan powiedzieć, że nic się nie stało.

– Z prawdziwą przyjemnością. A teraz niech łaskawie dokończy pani suflet, bo ostygnie.

Młoda dama ponownie sięgnęła po łyżeczkę, jednak nie jadła już deseru z taką przyjemnością jak przedtem. Jej rozmówca nie mógł napatrzeć się na zgrabne ruchy aksamitnych dłoni. Podziwiał bujne, niemal czarne włosy panny upięte w mały koczek.

W jasnym świetle pochodzącym po części z ozdobnych lamp zawieszonych pod sufitem, po części zaś z niewielkich okien, zza których docierały jeszcze o tej porze dnia promienie słoneczne, twarz dziewczyny wydawała się jakby wyrzeźbiona ze szlachetnego marmuru. Ciemne oczy błyszczały niepewnością i troską, pełne policzki zdawały się lekko drżeć pod wpływem doznanych emocji. Małe druczane okulary, pozłacane i niekiedy spadające na nos, dodawały Bernadecie osobliwego uroku, który Ignaz odkrył już przy pierwszym spotkaniu. Od niepamiętnych czasów lubił przypatrywać się kobietom kryjącym oczy pod okularami. Gdyby psycholog ze szkoły policyjnej, profesor Schwandt, chciał wyjaśnić tę zagadkę, prawdopodobnie nie znalazłby odpowiedzi. Braun sam jej nie znał.

Restauracja nie mogła narzekać na brak klienteli. Amatorzy wiosennych przechadzek uważali za oczywiste zatrzymanie się w Cafe Putzig. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Ściany wyłożone jasną boazerią dodawały wnętrzu elegancji kojarzącej się z atmosferą starych angielskich rezydencji widywanych na fotografiach zamieszczanych w tygodniowej prasie.

Żyrandole, trzykondygnacyjne i pełne małych lampek, dodawały całości prawdziwego splendoru. Dwaj kelnerzy poruszali się z właściwą dystynkcją, jedynie trzeci, który obsługiwał pannę Bernadetę i Ignaza, sprawiał wrażenie, jakby rozpierała go jakaś olbrzymia siła. Poruszał się szybciej niż jego koledzy i uśmiechał się do każdego gościa z podziwu godną wylewnością. „Oto szczęśliwy człowiek” – pomyślał inspektor Braun ze stołecznego Wydziału Zabójstw. „Może i do mnie uśmiechnie się szczęście...?”.

– Zamyślił się pan. Nad czym, jeśli wolno mi zapytać?

– Pani wszystko wolno, panno Bernadetko. Myślałem o szczęściu. Zawsze sądziłem, że radość może mi sprawić jedynie wykrycie tajemnicy jakiejś zbrodni. Nie mówię, żeby miał to być od razu „Niedźwiedź z Osterburga”, tacy ludzie i ich czyny zdarzają się raz na sto lat. Przyjemnie było dostać pochwałę od przełożonych. Kiedyś nawet cesarz uścisnął moją dłoń. Byłem wtedy dumny jak paw. Wydawało mi się, że to jest prawdziwe szczęście. Tymczasem odkąd znalazłem się w małym miasteczku na obrzeżach cesarstwa, zacząłem doceniać uroki spokojnego życia.

– Ale przecież nie brakuje tu panu zajęć? Czy przesłuchiwanie świadków i ewentualnych zbrodniarzy można uznać za spokojną pracę?

– Nie o tym myślałem. Wiele przeżyłem podczas uroczystości wielkanocnych. We własnym wnętrzu odnalazłem tęsknotę za czymś innym, nienazwanym. A przecież w Berlinie nazywają mnie łowcą morderców z małych miasteczek, bywałem w wielu takich miejscach. Przyjeżdżałem do hotelu, przesłuchiwałem dziesiątki ludzi, chodziłem po ulicach i uważnie chłonałem szept, ulotne zapachy. Nawet milczenie mówiło do mnie wielkim głosem. Widzi pani, tutaj spotkałem ludzi, którzy zaprosili mnie do świątecznego stołu. Zapraszano mnie przedtem na kawę i pogawędkę, ale świąteczny stół jest czymś nieporównywalnym.

W oczach panny Bernadety pojawiły się figlarne błyski. Dziewczyna udała zmieszanie i zapytała o rzecz oczywistą.

– Nie żałuje pan, że spotkaliśmy się w pociągu? Miałam jechać do Wejherowa poprzedniego dnia, ale Rozalkę okropnie bolało gardło i w ostatniej chwili zdecydowaliśmy z rodzicami o przełożeniu wyjazdu.

– A ja marzyłem o zasłużonym urlopie, który zamierzałem przeznaczyć na wędrowanie po górach Harzu – zaśmiał się Ignaz. – Wełniane skarpety, w rękę laseczka, skórzany kapelusik, świeże powietrze. Czy pani wie, że na górze Brocken tańczą w Noc Walpurgii czarownice? W dni powszednie nad górą pojawia się olbrzymi cień widma. Ustalono, że tworzy je gra światła, ale mieszkańcy okolicznych wiosek wiedzą swoje.

– Więc jednak pan żałuje...?

Szept Ignaza był ledwie słyszalny. Przytłumiły go dźwięki melodii. Nawet nie zauważyli, kiedy do pianina zasiadł niewysoki, szczupły muzyk. Grał cicho, spod jego dłoni ulatywały dźwięki pieśni Schuberta i walczyków Chopina. Gwar dochodzący od stolików urwał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wszyscy zasłuchali się w poszczególne takty i złożone z nich wdzięczne ornamenty.

– Pani towarzystwo jest czymś, czego nie mogłem spodziewać się w najśmielszych marzeniach – odparł Ignaz, kiedy pianista na chwilę przerwał koncert.

Dziewczyna spuściła wzrok, przetarła jedwabną chusteczką okulary i uśmiechnęła się tak, że inspektorowi serce zaczęło bić jak szalone.

Spacerowali tego popołudnia po alejkach, nad którymi jak sklepienie starej katedry wisiały konary buków i grabów. Słuchali szumu Cedronu i zachwycali się pierwszymi wiosennymi kwiatkami. Gdyby ktoś opowiedział Ignazowi o przebiegu takiego spaceru, inspektor uznałby relację za infantylną. Tymczasem sam interesował się nieśmiały

poczynaniami budzącej się do życia przyrody, słuchał opowieści panny Bernadety, śmiał się z przygód małej Rozalki i jej ojca, pasjonata kolei żelaznej.

Przed znanym już sobie domem z czerwonej cegły mężczyzna przywarł ustami do dłoni panny.

– Może zdąży pan wstąpić na herbatę. Ciocia ucieszyłaby się bardzo...

– Z przyjemnością zostałbym chociaż na moment. Tymczasem – Ignaz spojrział na zegarek – jest już dwadzieścia po siódmej. Pozwoli pani, że w drzwiach złożę uszanowanie czcigodnej cioci. August Richter obiecał być punktualny.

– Zanim zapukam do drzwi, chciałabym jeszcze raz prosić o ostrożność. Niech pan uważa na siebie, błagam.

Spojrzenie młodej damy mówiło wiele. W jej oczach malowała się troska, a Ignaz dostrzegł w nich coś jeszcze.



Wieczór, noc i poranek

Ciocia panny Bernadety była niepokieszona. Uradowała się wielce na widok gościa, lecz zadowolenie zgasło tak szybko, jak zagościło na wesołej twarzy. Mile połechtany Ignaz musiał obiecać, że wkrótce pojawi się w gościnnych progach domu, gdzie spędził tak miłe świąteczne popołudnie.

Na pożegnanie młoda dama mocno ścisnęła ramię inspektora.

– Obiecuję, panno Bernadetko, będę na siebie uważał.

Kiedy za obiema kobietami zamknęły się drzwi, Braun stał jeszcze chwilę przed progiem, jakby chciał przebić wzrokiem masywne drzwi i zobaczyć, co będzie robić osoba, do której zdążył już zatęsknić. Niechętnie przywiązywał się do ludzi; zdawał sobie sprawę, że jeżeli tak smutno mu bez panny, sprawy zaszły daleko. I cieszył się swoim spostrzeżeniem.

Wiosenny wieczór na wskroś przeszył dreszczem wrażliwego na chłód inspektora. Wokół nie było żywego ducha. W oddali przemknął jakiś otyły jegomość w meloniku; było to na wysokości gimnazjum. Im dalej od Rynku, tym widoczniejsze było powolne zasypianie miasta. Z okien domostw przebijał się jeszcze w ciemność wieczoru nikły blask pochodzący od palących się lamp. Zabudowania stawały się coraz rzadsze. Chłodny

wiatr nie pozwalał drzewom na uśnięcie. Poruszał konarami, syczał między pniami, oplatał czarną postać przechodnia.

Oczom Ignaza ukazał się kompleks budynków Zakładu dla Obłąkanych. W ciemnościach założenie przypominało pradawne zamczysko zbudowane u krańców państwa zakonnego przez rycerzy z czarnym krzyżem na białych płaszczach.

Te same budynki oglądane w dzień sprawiały zupełnie inne wrażenie. Emanacja pruskiego świata, upostaciowiona w regularnych, ciężkich bryłach i grubych ścianach zdominowanych brunatnymi pasami solidnych cegieł, z jednej strony budziła w mieszkańcach miasta, z uwagi na swoje przeznaczenie, niejaki lęk, z drugiej strony moc i potęga bijące od budynków napawały dumą całe Wejherowo. Wieża dominująca nad całością, zakończona ozdobnym hełmem, dodawała zakładowi królewskiej dostojności. Dobrze działało się w rozległym państwie Wilhelma II.

Tymczasem mrok zniekształca zarysy budowli, sprawia, że przed oczami pojawiają się nierzeczywiste kontury, wyobraźnia przynosi fantastyczne sny na jawie.

Ignaz spojrzął na zegarek. Pięciu minut brakowało do godziny dwudziestej. Akurat tyle, żeby zwolnić kroku i dokładniej przyjrzeć się imponującemu uosobieniu pruskiej troski o zdrowie każdego obywatela cywilizowanego państwa.

Tyle zmieniło się w ostatnich czasach! Rewolucyjne wynalazki, rozwój medycyny, budowa nowych linii kolejowych (inspektor uśmiechnął się na wspomnienie pana Brunona), ogólny wzrost zamożności społeczeństwa. Tymczasem ludzie wciąż zapadają na choroby psychiczne. Doktor Gessler nie miał racji. Świat nigdy nie będzie lepszy. Życie staje się łatwiejsze, ludzie są coraz lepiej wykształceni, ale pułapki czyhające na skażoną grzechem pierwotnym duszę będą takie jak przedtem. Pycha, nad-

wrażliwość, nieszczęścia. Odwiecznych przypadłości nie da się zlikwidować. Dusza ludzka, wbrew nadziejom oświeconych, zawsze będzie skazana na błędzenie.

Filozoficzne rozważania zostały nagle przerwane. Za plecami Braun usłyszał ciche kroki, których rytm narastał z każdą sekundą. Odwrócił się szybko i dojrzał starszą kobietę, energicznie idącą w tę samą, co i on, stronę. Kobieta minęła Ignaza i po chwili znikła w ciemnościach.

Kolejny stukot zdawał się mniej regularny. Szum drzew, targanych coraz silniejszym wiatrem, zagłuszył kroki. Policjant do końca nie był pewny, czy rzeczywiście ktoś za nim idzie. Kiedy obejrzał się, drugi raz w ciągu kilku minut, poczuł silne szarpnięcie za ramię. Zdażył jeszcze zauważyć czarną postać i w tym momencie ukłucie pod sercem sprawiło, że odruchowo spojrział w dół.

– Miał pan wiele szczęścia, drogi inspektorze. Nóż ześlizgnął się na zegarku. Rana jest powierzchowna, żadne organy wewnętrzne nie zostały uszkodzone.

Ignazowi wydawało się, że zobaczył doktora Gesslera we śnie. Otworzył szerzej oczy i lekarz nie zniknął. Biały fartuch jaskrawo odbijał się od szarych ścian wysoko sklepionego pomieszczenia.

– Dlaczego ja leżę, a pan stoi? Tak nie powinno być – odezwał się zdezorientowany ranny.

– Aha, widać, że nie jest pan jeszcze w pełni władz. Kiedy pan odpocznie, dopiero wtedy doceni, chociaż nie znoszę tego słowa, cud, jaki się zdarzył. Nie pamięta pan, że próbowano go zabić?

Przed oczami inspektora stanęły jak żywe ostatnie wydarzenia. Czarna postać napastnika, łaskotanie pod żebrami. Nigdy nie przypuszczał, że cios

zadany w tak wrażliwe miejsce nie sprawia w pierwszej chwili żadnego bólu.

– Czy jestem w szpitalu?

– Ponad wszelką wątpliwość – pogodnie odpowiedział doktor Gessler. – Znalazł się pan szczęśliwie w Szpitalu Cesarzowej Augusty. Porządna instytucja, chociaż wyznaniowa. Pan nie jest ewangelikiem, diakonisa zauważyła medalik na pana szyi, ale nie grozi tu panu zamach ze strony miejscowego superintendenta. Chociaż...

Gessler zachichotał.

– Która godzina? I jaki dzień? – zapytał Ignaz i uśmiechnął się lekko. Wracał powoli do życia.

– Czwarta po północy. Piątek. Ciemno jeszcze, za oknem obrzydliwa mżawka, ale dla pana rozpoczyna się piękny poranek.

– Straciłem przytomność, prawda? Kto mnie znalazł?

Śmiech doktora, tym razem głośny, zdziwił Ignaza.

Jednak w miarę wyjaśnień chory zaczynał rozumieć reakcję Gesslera.

– Niech pan żałuje, inspektorze, że nie widział akcji ratunkowej. Starsza pani, która kilka minut wcześniej wyprzedziła pana, każdego wieczoru chodziła na godzinny spacer ulicami naszego miasta. Kiedy nużył ją codzienny widok tych samych okolic, zapuszczała się w mniej uczęszczane zakątki. Bardzo oryginalna osoba. Zauważyła pana, wracając w stronę miasta. Z początku chciała krzyknąć, ale pomyślała rozsądnie, że nikt jej nie usłyszy. Niewiele się namyślając, wzięła pana za rękę i jakoś dowlokła do centrum miasta. Tam już łatwiej było o pomoc.

– Jak nazywa się ta kobieta?

Doktor z zakłopotaniem podkręcił czarnego jak smoła wąsa.

– Nie podała nazwiska. Opuściła szpital, nim ktokolwiek zdążył zapytać ją o personalia. Podejrzewam jednak, że w realiach małego miasta łatwo

będzie ustalić taki szczegół. Gdyby nie owa miłosierna samarytanka, mimo powierzchowności rany umarłby pan zapewne z powodu wykrwawienia. Przy okazji – czy zapisał pan swoje ciało jakiejś instytucji medycznej? Ja dawno poczyniłem stosowny zapis i uważam, że obowiązkiem każdego wykształconego człowieka...

– Niech pan zamilknie, doktorze! – za plecami Gesslera rozległ się suchy, matowy głos.

Ignaz z zaciekawieniem spojrział na kobietę, która wynurzyła się przed nim jak spod ziemi. Chuda, energiczna, o żółtej cerze, podobna była do woskowej figurki. Schludny fartuszek na wąłym ciele wisiał jak uszyty na bajkowego olbrzyma. Głowę diakonisy zwieńczał czarny czepek zakończony welonem opadającym na plecy.

– Ładnie opowiadać choremu głupoty o nieboszczykach? Wstydziłby się pan, taki mądry człowiek i wygaduje niestworzone historie. A co do tej dzielnej pani, zdobędę jej personalia w ciągu godziny, jeżeli naszego pacjenta aż tak zainteresowały. Jak coś trzeba zrobić, to się zrobi! Proszę teraz pana doktora o opuszczenie sali, chory musi dużo odpoczywać.

Ranny z szeroko otwartymi oczami obserwował, jak doktor Gessler potulnie skłonił głowę i zabierał się do wyjścia.

– Dziękuję za wszystko, panie doktorze – rzucił na pocieszenie do wyraźnie speszonego lekarza.

Gessler milcząco podziękował w drzwiach.

– Chory ma niebezpieczny zawód – powiedziała diakonisa, kiedy zostali sami. – Rozumiem, że policjanci muszą być na świecie, ale dobry chrześcijanin nie powinien narażać swojego życia. Chory pozwoli, zwilżę mu usta. Wprawdzie chory jest katolikiem, ale fakt ten nie zwalnia mnie z konieczności aplikowania umoralniających nauk. Katolicy są dziwni i chory na pewno też jest pełen dziwactw. Życzę udanego odpoczynku.

Po wypowiedzeniu ostatnich słów diakonisa podniosła się znad łóżka Ignaza i wyszła z sali energicznym krokiem.

Oslabiony pacjent szybko zasnął. Nie miał siły na rozmyślanie o wszystkim, co przytrafiło się w ciągu ostatnich godzin. Spał mocno, ale krótko. Prawie świtało, kiedy z okropnym bólem poniżej klatki piersiowej obudził się. Otworzył oczy i zobaczył pochylone nad sobą twarze komisarza i posterunkowego Myszka. Obaj mieli nietęgę minę. Rensch trzymał w ustach niezapalone cygaro.

– Żyję – słabym głosem powiedział Ignaz.

– Żyje pan, Bogu niech będą dzięki. Tak! Zaopiekujemy się panem!

– Niech pan nie krzyczy, komisarzu, i pozwoli, żeby chorym opiekowały się osoby powołane do fachowej posługi bliźniemu – odezwał się znajomy głos.

– Dobrze, dobrze, przecież nic nie mówię. Niech siostra da spokój. Wie pan, inspektorze, ile my się namartwiliśmy? Posterunkowy Myszk, jako katolik, nakazał całej rodzinie odmawianie różańca i w tej chwili matka z czwórką dzieci klęczą przed obrazem i odmawiają za pana zdrowaśki.

– Zgroza – zasyczała diakonisa.

– Panie komisarzu, bardzo proszę... – ozwał się zawstydzony Anton.

– A czy ja mówię coś niestosownego? Tak, cieszymy się, że pan żyje. Czy może pan powiedzieć, kto dokonał napadu?

Sprawa okazała się trudna. Ignaz nie zdążył zobaczyć twarzy, a może wymazał podświadomie z pamięci obraz człowieka chcącego dokonać zbrodni. Następnej zbrodni, bo żaden z obecnych nie miał wątpliwości, że ugodzenia inspektora nożem dokonał zabójca młodego Wendersa lub jego wspólnik.

– W zaistniałej sytuacji czułem się zwolniony z zobowiązania do zachowania dyskrecji – zakończył Ignaz swoją relację. – Nie da się ukryć,

że Richter, jako może jedyny, wiedział, gdzie znaję się o godzinie dwudziestej.

– Nie ma chyba żadnych wątpliwości, że właśnie rzeźnik próbował pana zabić – powiedział komisarz.

– Możliwe, ale bez przeprowadzenia z nim rozmowy nie można wyrokować zbyt stanowczo. Musimy jak najszybciej go przesłuchać, znaleźć dowód.

– „Jak najszybciej” chory powinien otrzymać zastrzyk. Najpóźniej za pięć, sześć minut – z przekąsem wtrąciła diakonisa.

Komisarz, który przyzwyczajony był do kobiet nieznoszących sprzeciwu, a nawet nauczył się bagatelizować ich humory, nie przejął się zachowaniem pielęgniarki. Jak sam mówił, w ciągu długiego życia wykształcił w sobie mocny pancerz ochronny.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy pan inspektor będzie mógł opuścić szpital?

– Dlaczego osoba zapytała o to właśnie mnie? – padła sucha odpowiedź. – Doktor Gessler zadecyduje. Moim zdaniem dwa dni wystarczą, chociaż do zwykłych obowiązków chory będzie musiał dochodzić stopniowo.

– Czyli w niedzielę nasz kochany inspektor zostanie wypisany – ucieszył się Rensch i uderzył posterunkowego w ramię.

– Jeżeli Bóg pozwoli. Osoba i ta druga osoba mają jeszcze trzy minuty. Potem choremu będzie trzeba zrobić zastrzyk i zmienić opatrunek. Proszę o subordynację, tu jest szpital. Czy osoba musi trzymać w ustach to zwinięte w rulonik diabelskie ziele?

– Wracając do naszej rozmowy – zaczął komisarz, kiedy diakonisa wyszła z pokoju – mam nadzieję, że ta diabliska pozwoli mi również pozaregulaminowo przychodzić do pana. Wiem od posterunkowego

Myszka o planach dotyczących wykrycia sprawcy zabójstwa. Dopilnuję, żeby wszystko przebiegało według zaleceń. Tak. Ma pan jakieś życzenia?

Ignaz uśmiechnął się, ale zaraz przez jego twarz przebiegi cień bólu. Podniósł głowę i szepnął:

– Znajdźcie napastnika.

– Tak. Zrobimy wszystko – rozjuszonemu szefowi wejherowskiej policji wypadło z ust cygaro – wszystko! A... życzenia prywatne? Może płaska buteleczka?

– Chyba nie wolno, panie komisarzu... – cichy głos Antona zabrzmiał bez przekonania.

– Co? Nie wolno? Posterunkowy, najpierw zostańcie komisarzem, a potem będziecie decydowali, co wolno, a co nie. Więc może jednak coś przynieść? – Ostatnie słowa dosłyszała powracająca diakonisa.

– Niech osoba nie myśli, że chory jest źle traktowany. Nie potrzeba nam żadnej czekolady, pomarańczy i tym podobnych artykułów. Skądinąd nie zdziwiłabym się, gdyby osoby przyprowadziły tutaj ku uciechu chorego jakichś wędrownych sztukmistrzów parających się żonglerką zapalonymi pochodniami albo chodzeniem po linie. Z Bożą pomocą, chorym niczego tutaj nie brakuje. Odwiedziny w określonych godzinach, tak jak wspominałam. Zegnam osoby i zachęcam do modlitwy o zdrowie chorego i pomyślność naszego szpitala.

Obaj funkcjonariusze zdawali sobie sprawę, że dyskusja z diakonisą pozbawiona jest najmniejszego sensu. Podali dłonie Ignazowi.

– Jeśli pan komisarz zapytał... Chciałbym jakąś książkę, byle nie kryminalną. Może być rozprawka historyczna albo pamiętnik z wyprawy geograficznej.

– Załatwione! Niech pan szybko wraca do zdrowia, inspektorze – tubalnym głosem pożegnał chorego Rensch.

– Z Bogiem – cicho dodał posterunkowy.

Po zrobieniu zastrzyku i zmianie opatrunku, które to czynności diakonisa przeprowadziła nadspodziewanie delikatnie, Ignaz zasnął. W godzinę od zakończenia wizyty komisarz osobiście przybył do szpitala. Przyniósł wydobytą z domowej biblioteczki książkę poświęconą obyczajom czarnych ludów skolonizowanego niedawno Kamerunu. Rensch wiedział, że dzieło, barwnie i dowcipnie napisane, szczęśliwie pozbawione jest jakichkolwiek konotacji kryminalnych. Diakonisa odebrała książkę, nieufnie obejrzała okładkę i kilka pierwszych stron, na koniec pokręciła głową z wyraźną dezaprobatą. Położyła jednak wolumin na stoliku obok łóżka. Po chwili książka przykryta została broszurą zatytułowaną „Pewna droga do zbawienia zbudowana na potęgze Łaski Bożej. Podług cytatów z dzieł nabożnych doktora Marcina Lutra”.

Po godzinie dziewiątej Ignaz ponownie obudził się z krótkiego, niespokojnego snu. Obok niego siedziała panna Bernadeta. Z początku sądził, że postać młodej damy jest wynikiem działania jakiegoś medykamentu albo efektem osłabienia. Zamknął oczy, otworzył je ponownie i ze zdumieniem skonstatował, że obraz panny nie rozmył się.

Delikatnie trzymała w swojej dłoni dłoń chorego. Kiedy Ignaz dostrzegł to, panna Bernadeta zmieszała się i chciała w pierwszym odruchu cofnąć rękę, lecz było to niemożliwe. Ignaz mocno uściskał dłoń zawstydzonej dziewczyny.

– Skąd pani dowiedziała się...?

– Zona posterunkowego Myszka, wie pan, Wejherowo jest małe...

– Mówiła pani, żebym na siebie uważał. Nie posłuchałem, chociaż nie miałem innego wyjścia.

– Niech pan nigdy nie lekceważy kobiecej intuicji – odpowiedziała panna Bernadeta. – Martwi mnie, że trafił pan właśnie tutaj. Może udałoby

się pana przenieść na ulicę Pętkowicką do sióstr wincentek? Moja ciocia jest dobrą znajomą siostry przełożonej, siostra Eugenia Fukas to święta osoba. Tutaj wieje przenikliwym chłodem.

Pannę przeszył dreszcz na wspomnienie diakonisy.

– Niech się pani nie martwi, bardzo proszę. Podobno mam opuścić szpital za dwie doby. Muszę przyznać, że diakonisa jest osobą bardzo fachową. Brak jej ciepła, ale jest odpowiedzialna i doświadczona.

– Mimo wszystko nie miałabym zaufania do tej kobiety. Wie pan, jak ona mnie nazwała? Osobą! Zresztą to akurat było zabawne. Myślałam, że nie będę potrafiła opanować śmiechu. „Niech osoba nie męczy zanadto chorego. Wiem, że takie osoby jak osoba potrafią absorbować młodych mężczyzn”...

– Diakonisa miała rację – zaśmiał się Ignaz. – Absorbuję mnie pani w zastanawiający sposób, od razu czuję się zdrowszy.

Na stoliku pojawiła się butelka soku malinowego i okazały kawał sernika własnego wypieku. Rozmowa, chociaż dla chorego ozdrowieńcza, nie mogła toczyć się w nieskończoność. Osłabienie zaczęło zwyciężać dzielnego dotychczas Ignaza. Panna Bernadeta zauważyła, że głos chorego staje się coraz słabszy. Obiecała przyjść jeszcze tego samego dnia. Na pożegnanie pocałowała Ignaza w policzek. Nim ranny zdołał pojąć, co zaszło, drzwi za dziewczyną zamknęły się.

– Młoda osoba, która przed chwilą wyszła, stanowczo nie ma umiaru. Chorego powinna izolować od świata zasłona spokoju, a ta osoba wyraźnie działa na chorego ożywiająco. Niezdrowe wzruszenia! Jak w takiej sytuacji ma chory wyzdrowieć... Ale niech się chory nie martwi, doktor Gessler i ja doprowadzimy nadwerżone ciało do należytej formy. Na początek kataplazm, o, tak, ładnie, teraz długi, krzepiący sen. Doktor jest wybornym fachowcem, chociaż jego światopogląd pozostawia wiele do życzenia.

Podobno doktor należy do tutejszej loży masońskiej. Jak ona się nazywa? Borussia! Zagubione owieczki opanowane przez zgubny racjonalizm i pseudoszlachetne hasła. Może gdyby jego żona była bardziej religijna? Od kobiety wiele zależy. Dosyć, niech chory więcej mnie nie zagaduje. Życzę udanego odpoczynku.

Kiedy diakonisa opuściła salę, Ignazowi wydawało się, że szybko zaśnie. Tymczasem myśli kłębiące się w głowie, nie mogły ulecieć w niebyt i pozwolić osłabionemu organizmowi na kojący odpoczynek. Pół sen, pół jawa. Napastnik odsłonił wreszcie swoją twarz i okazało się, że niedoszłym mordercą był komisarz Rensch. Posterunkowy Myszk przyniósł butelkę soku malinowego, a panna Bernadeta paradowała po ewangelickim szpitalu w czarnym welonie, jaki noszą diakonisy. Braunowi przydarzały się takie fantastyczne wizje, czasami śmieszyły go, teraz jednak pragnął jak najszybciej pozbyć się półsennych omamów. Dopiero po godzinie z okładem chory zasnął na dobre i spał długo.



Pamiętnik

Wbrew przewidywaniom diakonisy doktor Gessler nie zezwolił Ignazowi na opuszczenie szpitala w niedzielę. Rana, stosunkowo powierzchowna, goiła się szybko, jednak lekarz wyznawał zasadę dmuchania na zimne. Diakonisa nie kryła swojego zadowolenia, lubiła bowiem opiekować się chorymi i na swój sposób przywiązała się do przybysza z Berlina. Podejrzliwie patrzyła na jego gości, natomiast sam inspektor stanowił przykład idealnego podopiecznego. Nie narzekał na nic, nie podnosił głosu, potulnie poddawał się zastrzykom i zabiegom opatrunkowym.

Panna Bernadeta nie przekonała się do pielęgniarki, ta zaś podświadomie traktowała młodą damę jako rywalkę wkraczającą w nie swoje kompetencje. Zatroškani komisarz i posterunkowy kilka razy odwiedzili chorego. W kieszeni surduta Rüdigera Renscha znalazła się nawet przemycona piersiówka wypełniona nalewką z pigwy, ale Ignaz nie miał apetytu na tego rodzaju medykament.

Poniedziałkowy ranek przywitał miasto deszczem. Rekonwalescent nie zważał na opady i chłodny wiatr, cieszył się, że będzie mógł wrócić do świata zdrowych. Nie chciał przebywać w szpitalu ani godziny dłużej. Młody organizm nie znosił bezczynności i całodobowe leżenie w łóżku wy-

dawało się najgorszą męczarnią, jaką można było zadać pełnemu życia inspektorowi.

Zdezorientowany komisarz, zdumiony posterunkowy i czujna panna Bernadeta w towarzystwie swojej cioci, wszyscy patrzyli z niedowierzaniem, jak budząca zazwyczaj postrach otoczenia diakonisa szeroko uśmiecha się do opuszczającego jej królestwo Ignaza.

– Niech chory uważa na siebie i pamięta, żeby za szybko do nas nie wracać. Wyłączając zdjęcie szwów, oczywiście. Swoją drogą, zadziwiający brak poczucia odpowiedzialności za siebie i innych. Bycie policjantem nie powinno jawić się podstawowym zajęciem statecznego mężczyzny, mówiłam to już choremu sto razy. Chory zastanowi się nad tym, co powiedziałam; usilnie nalegam! No, niech Bóg chorego prowadzi...

Kiedy diakonisa zakończyła swoją przemowę, ozwał się doktor Gessler:

– Nie odpowiedział mi pan na zadane wcześniej pytanie. Czy przepisałby pan ewentualne zwłoki na cele naukowe?

– Przyznam ze wstydem, że zapomniałem o tej kwestii. Obiecuję jednak, że jeszcze przed wyjazdem z Wejherowa powiadomię mego dobroczyńcę o stosownych przemyśleniach. O ile, rzecz jasna, wyjadę stąd żywy. Teraz jednak pozwoli pan doktor, że podziękuję jemu oraz przeuroczej i ofiarnej siostrze Elfridzie za opiekę i serce okazane mi podczas leczenia...

Po upływie mniej więcej pół godziny w domu należącym do cioci panny Bernadety przy okrągłym, dębowym stole zasiadło towarzystwo znajdujące się w wybornych humorach. Ciasto drożdżowe i mocna kawa nie miały szans w zetknięciu z łapczywymi funkcjonariuszami cesarskiej policji. Nawet Ignaz zjadł kawałek ciasta, chociaż od czasu napadu nie miał apetytu. Panna Bernadeta zaparzyła swojemu najważniejszemu gościowi

herbatę miętową. Wiedziała, że Ignaz jest szczególnym amatorem mięty i pragnęła w ten sposób sprawić rekonwalescentowi przyjemność.

Coś niewypowiedziane uroczego jest w porannych powrotach z dalekiej drogi. Zapach świeżej kawy, przytulne kąty, których tak brakowało, perspektywa całego dnia, czyli kilkunastu godzin, które mogą przynieść tyle dobrego.

Miła pogawędka na tematy niezwiązane bezpośrednio ze śledztwem zajęła policjantom nieco więcej czasu niż wcześniej przypuszczali. Ignaz opuścił gościnny dom razem z obydwoma funkcjonariuszami.

– Witam szanownego pana. Lepiej spotkać się późno niż dopiero na tamtym świecie – powiedział Braun do osłupiałego Augusta Richtera.

– Bardzo się cieszę, że widzę pana inspektora w dobrym zdrowiu – odpowiedział rzeźnik, który stracił zupełnie dawną butę i irytującą otoczenie pewność siebie.

– Ja z kolei cieszę się, że widzę pana – wtrącił komisarz Rensch, który za Braunem wszedł do sklepu. – Tak. Mamy sobie dużo do opowiedzenia, nieprawdaż?

Rzeźnik spojrzał na Ignaza z wyrzutem.

– Wybacz pan – odparł inspektor – ale wszystko, co stało się czwartkowego wieczoru, zwolniło mnie z dyskrekcji, do której się wobec pana zobowiązałem. Nie ja jestem winien zaistnieniu wiadomych okoliczności.

– Ja też nie jestem winien – zaperzył się Richter. Jego kościste dłonie, splecione w mocnym uścisku, zatrzeszczały przejmująco. – Chciałem tylko spotkać się z panem inspektorem i porozmawiać.

– Teraz porozmawiamy sobie tak, że oko panu zbieleje – zapowiedział rozjuszony komisarz.

Zbity z tropu rzeźnik zaproponował udanie się na zaplecze. Usiadł na małym krzeselku, gościom oferując krzesła większe i wygodniejsze.

– Nim zapytamy pana o okoliczności wieczornego napadu, pozwoli pan, że zażądamy wyjaśnień co do powodu chęci pańskiej rozmowy ze mną. Być może przejście do pierwszej kwestii okaże się wtedy zbędne – zaczął Ignaz.

Richter nie zauważył uszczypliwości bądź udał, że jej nie zauważył.

– Chodzi o córkę. Anna jest celem mojego życia i nie wyobrażam sobie, żeby fakty, które odkryłem, mogły wyjść na światło dzienne. Byłem, muszę przyznać, wściekły na pana inspektora, że ośmielił się niepokoić moją córkę rozmową na temat młodego Wendersa. Chciałem uchronić ją przed stycznością ze zbrodnią i śledztwem. Nie jestem człowiekiem strachliwym, nie boję się niczego, walczyłem jak lew z żabojadami trzydzieści lat temu, nie dbam o własne życie. Jeżeli już przejmuję się plotkami i złem panującym dokoła, dzieje się tak wyłącznie z troski o Annę.

– Znalazł pan jakieś dowody świadczące o winie panny Anny? – zniecierpliwiony długim wstępem Rensch z premedytacją zapragnął wyprowadzić Richtera z równowagi.

– Panie komisarzu! – wykrzyknął rzeźnik.

– Proszę kontynuować. Słuchamy pana – inspektor uznał uwagę kolegi za zbyt ryzykowną. Świadek wyprowadzony z równowagi nie był im potrzebny, w dodatku August Richter nie należał do ludzi łatwych.

– Wiele dziewcząt prowadziło pamiętniki. Anna, być może pod wpływem zamiłowań literackich wyniesionych z kontaktów z młodym Wendersem, od mniej więcej roku sporządzała zapiski. Pokazała mi zeszyt jeszcze tego samego dnia, kiedy go kupiła.

W dzień lub dwa po Wielkanocy rozchorowała się służąca. Zapalenie oskrzeli wykluczyło kobietę z codziennych obowiązków. August Richter, człowiek o niezłomnych zasadach moralnych, nie zmusił panny Himiltrudy do pracy w tak niesprzyjających okolicznościach. Był mężczyzną zaradnym, postanowił więc, że przy pomocy Anny zajmie się domowymi obowiązkami. Jeszcze o świcie polecił służącej udanie się do łóżka.

Musiał napalić w piecu. Wśród drewniek i bryłek węgla znalazł kilka kartek. Postanowił sprawdzić, czy służąca nie wrzuciła ich do pieca przez pomyłkę. W jego dłoniach znalazły się stronice zapisane przez córkę.

– Panna Anna chciała oddać do spalenia fragment swoich wspomnień, nie przewidziała tylko, że Himiltruda się rozchoruje – dopowiedział komisarz.

– Ale przecież służąca mogłaby przeczytać kartki, a osobom tejże profesji, czasami, niechcący, zdarza się wynosić na zewnątrz rozmaite historie. Pańska córka zachowała się nielogicznie – zdziwienie Ignaza sięgało zenitu.

Richter zwrócił się do inspektora.

– Zachowanie mojej córki było całkiem zrozumiałe. Panna Himiltruda jest analfabatką. Kiedy była mała, jej ojciec zginął na wojnie. Matka z jakimś handlarzem detalami pasmanteryjnymi wyjechała do Lubeki i więcej nie interesowała się ośmioletnim dzieckiem. Dziewczynkę przygarnął na pół dziki drwal spod Lęborka i tak oto nasza Himiltruda nie została objęta obowiązkowym nauczaniem. Potem, dzięki szczęśliwym okolicznościom, zyskała ogładę i w mieście czuje się jak ryba w wodzie. Na naukę czytania i pisania było już niestety za późno. Potrafi się jedynie podpisać, zna na pamięć te kilka zawijasów. Anna musiała założyć, że Himiltruda potraktuje kartki jak zwyczajną podpałkę. Tyle razy ja sam wrzucałem do pieca stare papierzyska.

– Ma pan ten tekst?

– Oczywiście, zaraz mogę przynieść...

– Doskonale, najpierw jednak niech pan opowie, co spowodowało decyzję dotyczącą poinformowania mnie o znalezisku.

Richter przez moment zbierał myśli.

– Wiedzą panowie, że pogoniłem kiedyś młodego Wendersa polującego na niewinne panienki. Z chęcią zabiłbym go wtedy. A i dzisiaj, gdyby żył, i wpadł w moje ręce... Anna wiedziała o jego kłopotach. Z tych kartek wynika, że chłopak tłumaczył swoje zachowanie szukaniem natchnienia poetyckiego. Mówił, że nie robi nic złego. Spacery, spacery i jeszcze raz spacery. Czasami trzymał taką panienkę za rękę, ot i wszystko. A przecież mała Hoffmanówna z Sopotu zaginęła na całą noc! Moja córka chyba wierzyła Johannowi. Nie rozumiem jej naiwności.

– Mówił pan przedtem, że chciałby ochronić córkę przed złymi opiniami – przypomniał Ignaz.

– Właśnie. Nie myślę już o głupich plotkach dotyczących jej związku z tym wariatem. Na prostowanie takich niedorzeczności jest już za późno. Przechodzę do rzeczy. Otóż młody Wenders zaczął opowiadać Annie, że ktoś „przywołuje go do porządku”. Chodzi o tajemnicze listy pisane lewą ręką, żeby nie można było rozpoznać prawdziwego charakteru pisma. Nadawca groził, że zabije chłopaka, jeżeli ten nie zaprzestanie uwodzenia młodych panienek i cudzych żon. Podobno Johann romansował z jakąś dużo starszą od siebie kobietą, żoną rzemieślnika czy kogoś takiego; słyszałem o tym, ale nie wiem już, od kogo. Nie powiedział Annie, o kim myślał nadawca. Okazało się, że nasz chłopaczek wystraszył się nie na żarty, bo zerwał z kobietą, przynajmniej tak wynikało z jego słów. Stawał się coraz bardziej smutny, wciąż się bał. No właśnie, bał się, ale nadal zapraszał jakieś piętnastoletnie dziewczęta na kalwarię i nadal przychodziły

listy. Z kobietą potrafił skończyć, z panienkami nie umiał. Nadawca pisał, że dziewczęta wracały z takich spacerów przestraszone i zapłakane, że on, to znaczy nadawca, wie o wszystkim, i to, że Johann odciął się od jednego grzechu, nie usprawiedliwia go wcale. Chłopak mówił Annie, że ten ktoś wie o wielu rzeczach, o których on sam już zapomniał. Strach ogarniał tego młodego grzesznika, ale nałóg nie dawał spokoju. Oprócz jednego wyjątku nie było poprawy. A listy przychodziły coraz częściej.

Komisarz zapytał sam siebie, czy rodzice gimnazjalisty nie zauważyli nasilenia się korespondencji nadchodzącej do syna.

– Johann otrzymywał wiele listów – odparł Ignaz. – Korespondował z towarzystwami literackimi, wydawnictwami, miał znajomych z obozu młodzieżowego pod Tybingą, gdzie spędził niecały rok temu wakacje. Pani Irmgarda mówiła z dumą o rozległych znajomościach syna. Kilka listów mniej czy więcej...

– Niektóre podrzucano do domu Wendersów, ale tak, aby znalazł je właśnie winowajca. Anna nie wspomniała nic o reakcji rodziców – zauważył rzeźnik. – Tymczasem Johann gasł w oczach. Moja córka, już po porwaniu, zadreślała się myślą, że nie zrobiła nic, aby pomóc chłopakowi. Nienawidziłem go, ale staram się na chłodno analizować całą sytuację i przyznaję, że Anna ma trochę racji. Powinna, nawet wbrew niemu, zawiadomić policję. Chyba nie do końca uwierzyła w powagę tych anonimów. Dlatego pragnąłem dyskrecji. Zdają sobie panowie sprawę, że niekiedy odpowiedzialność moralna jest dla ludzkiej opinii większa od odpowiedzialności karnej. Zaniedbanie bywa uważane za grzech. A ludzie bywają bezlitośni. Uważają, że Annę łączyło coś z Johannem. I nagle okazuje się, że nie pomogła chłopakowi. Musiałem poinformować o anonimach, a nie chciałem, żeby cały komisariat wiedział o kartkach i,

przede wszystkim, o samooskarżeniu Anny dotyczącym jej bezczynności. Pisze o niej wyraźnie kilka razy.

– Tak. Teraz niech pan opowie nam, jak doszło do napadu na inspektora Brauna – groźnym głosem powiedział komisarz.

Przesłuchiwany bezradnie spojrział na policjantów. Wiedział, że jego sytuacja jest nie najlepsza.

– Jak mam udowodnić, że nie ja napadłem na pana inspektora?! Widzą chyba panowie, że staram się mówić o wszystkim, co wiem w sprawie morderstwa.

– Widzimy, a raczej słyszymy tyle, ile pan chce nam powiedzieć – sucho odparł Rensch.

– Załóżmy na chwilę, że jest pan niewinny – uprzejmy głos Ignaza spowodował, że przez plecy rzeźnika przeszedł dreszcz. – Czy mówił pan komuś o naszym spotkaniu? Może ktoś podsłuchał, może śledził pana?

Na obliczu Richtera pojawiła się determinacja.

– Mam świadomość, że to, co powiem, nie przyczyni się do oczyszczenia mnie z podejrzeń. Nie, nikomu nie powiedziałem o naszym spotkaniu. Przecież taki czyn byłby nielogiczny. Kwadrans brakował do godziny dwudziestej, kiedy wyszedłem z domu. Ubrałem płaszcz, nałożyłem kapelusz, Anna była świadkiem mojego wyjścia. Uprzedziłem, że wrócę za godzinę, mniej więcej oczywiście. Waham się, czy opowiedzieć o tym, co mi się przytrafiło. Panowie mogą nie uwierzyć.

– Śmiało – zachęcił Ignaz. – W pańskiej sytuacji...

– Kilkadziesiąt metrów za gimnazjum i sądem usłyszałem za sobą szybkie kroki. Nim zdążyłem obejrzeć się, poczułem dotkliwy ból. Tępe narzędzie, jak okazało się później. O, niech panowie zobaczą.

Richter nachylił się do obu policjantów. Nad lewą skronią czerwieniła się kilkucentymetrowa, z trudem gojąca się rana.

– Nie doniosłem o napadzie, ponieważ wiedziałem, że prędzej czy później panowie zgłoszą się do mnie.

– Są dwie możliwości – zauważył inspektor – albo ktoś śledził pana i napadł, aby uniemożliwić spotkanie, a mógł lękać się rezultatów naszej rozmowy, albo sprawcą napadu na inspektora jest niejaki August Richter, szanowany obywatel naszego miasta. Może też ktoś nasłany przez niego? Ranę można zrobić sobie samemu. Wystarczy trochę silnej woli.

– Czy zostanę aresztowany? – spokojny głos rzeźnika zaskoczył policjantów.

– Skądże – odparł Braun. – Gdyby nawet był pan sprawcą, w tej chwili nie odważy się na ponowny atak, w dodatku wątpię, aby zdecydował się pan na ucieczkę z miasta. Natomiast komisarz Rensch i ja z przyjemnością obejrzymy wspomniane kartki.

– Idę na górę – odpowiedział Richter i wstał ciężko.

Policjanci wymienili między sobą kilka uwag i spokojnie oczekiwali na powrót gospodarza. Minęło kilkanaście minut, a Richter nie nadchodził. Po upływie pół godziny drzwi otworzyły się gwałtownie. W progu ukazał się oblany potem rzeźnik. Włosy na jego czaszce zdawały się jeszcze bardziej rozwiane niż zazwyczaj.

– Schowałem je. Myślałem, że przez te parę dni leżały na miejscu. Szukałem wszędzie, gdzie tylko mogłem. Znikły! Przeklęte kartki!



Uczciwi obywatele

Nie wiem, jak mogło dojść do zaginięcia. Panowie nie uwierzą teraz, że mówiłem prawdę.

– Niestety, ma pan absolutną trafność.

Rzeźnik nic zdążył odpowiedzieć, gdy oto na zaplecze sklepu wkroczył Herbert Masslof. Policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenie i nim gospodarz oraz jego pomocnik zdążyli wypowiedzieć choćby słowo, Masslof został wyprowadzony przez wnętrze sklepu na świeże powietrze.

– Pozwoli pan, że zaprosimy go na sympatyczny spacer? Rozmowy z bliźnimi nigdy dość – uśmiech Ignaza był rozbajający.

Pomocnik rzeźnika milczał jak zakłębty, co było w jawnej sprzeczności z jego charakterem.

Trzej mężczyźni szli w stronę Zakładu dla Obłąkanych. Policjanci nie odzywali się do Masslofa, co raz patrzyli na niego spod oka i czekali. Idący między inspektorem a komisarzem mężczyzna sprawiał wrażenie spokojnego. Niektórzy przechodnie pozdrawiali Masslofa, ale on zdawał się tego nie zauważać.

– Czy mogę poznać przyczynę niespodziewanego zainteresowania mną szanownych panów policjantów? – zapytał wreszcie niewinnym głosem. Uśmiechnął się beztrasko, chociaż wiele go to kosztowało.

– Jest pan szczególnym przypadkiem człowieka, który, obcując z funkcjonariuszami będącymi na służbie, zazwyczaj sprawia wrażenie uszczęśliwionego spotkaniem.

– Bo jestem dobrym przykładem praworządnego obywatela i bardzo lubię ludzi – odpowiedział Masslof i uśmiechnął się radośnie.

Mimo powagi sytuacji policjanci zdawali się rozbawieni, inspektor zatrzymał się, w ślad za nim przystanęli komisarz i pomocnik rzeźnika. Znaleźli się przed szpitalem psychiatrycznym.

– Czy wie pan, z czym kojarzy mi się ta okolica? – z oczu Ignaza znikły żywe błyski.

– Naturalnie – odpowiedział Masslof z uroczystą powagą. – Gdzieś tutaj bardzo zły człowiek próbował zabić pana inspektora. Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, nieczne zamiary spełzły na niczym.

– Porozmawiajmy poważnie – zirytowany komisarz napuszył się jak indor. – Wyjaśni pan teraz, co robił w czwartkowy wieczór. Tylko pana pracodawca wiedział, gdzie inspektor Braun będzie przebywać o godzinie dwudziestej.

– A co ja mogę mieć z tym wspólnego?

– Richter nie może się bez pana obejść, poza tym...

– Ignaz zawahał się, ale po chwili namysłu kontynuował

– miał pan motyw dokonania zabójstwa Johanna Wendersa.

Masslof ze zdziwieniem spojrział na inspektora.

– Jaki motyw?

– Pan już wie najlepiej! Tak! Bardzo osobisty motyw! Dla mężczyzny nie ma ważniejszego! – krzyknął prosto do ucha przesłuchiwanego komisarz Rensch.

Skurczona nagle postać pomocnika rzeźnickiego osobiwie kontrastowała z wizerunkiem, do jakiego mieszkańcy Wejherowa zdążyli się przyzwyczaić. Trzęsące się ręce, pulsujące skronie, rozbiegane oczy Masslofa świadczyły o skuteczności postępowania policjantów.

– Miał pan w dłoniach „Neustädter Kreis–Zeitung” czytany przez pana Berga? W gazetę zawinięta była głowa młodego Wendersa – pytanie Ignaza ostatecznie pognębiło Herberta.

– Czytałem sobie w wolnych chwilach gazetę pana Heinricha – Masslof zorientował się, że zaprzeczenie może mu jedynie zaszkodzić. – Ale jaki motyw...? Ja nie mam żadnego wytłumaczenia, ale też nie wiem, dlaczego miałbym zabić Johanna? – odpowiedział cicho. – A czwartek? Niestety, nikt nie potwierdzi, gdzie byłem w czwartkowy wieczór. Nie mogę powiedzieć, co wtedy robiłem, po prostu nie mogę, uwierzcie mi.

– Nie uspokoił nas pan – pokiwał głową zatroskany Braun, ale zaraz ożywił się. – Słyszał pan, komisarzu, o nowej metodzie identyfikowania przestępcy po śladach pozostawionych na miejscu zbrodni?

– Nie – odparł z rozbrajającą szczerością Rensch.

– Otóż – ciągnął przejęty inspektor – przed ośmioma laty w Anglii ukazało się dzieło niejakiego Sir Francisa Galtona, poświęcone liniom papilarnym. Pan Galton dowodzi niezbicie, że badanie kształtów, konturów, typów, liczby i konfiguracji linii papilarnych na opuszkach palców prowadzi do potwierdzenia tożsamości osoby, na której identyfikacji nam zależy.

– Aaa! – ucieszył się komisarz. – Jeżeli ktoś zostawi podczas kradzieży ślady swoich palców, można potem grzecznie poprosić delikwenta o odcisk, na przykład tuszem, co potwierdzi lub zaneguje podejrzenia policji, czy dobrze pojmuję?

Ignaz spojrział na domyślnego kolegę z uznaniem.

– Oczywiście. Niech pan zauważy, jest następna korzyść: ślady zachowane na miejscu przestępstwa to jedno, ale ślady można przecież zostawić na rewolwerze. Albo na nożu. Albo na tępym przedmiocie. Nawet na gazecie.

Uwaga Masslofa, skoncentrowana na słowach inspektora i komisarza, nie uszła z kolei uwadze obydwóch policjantów. Braun uznał za stosowne dodać kolejną, ważną dla przesłuchiwanego, ciekawostkę.

– Szkoda, że w naszym kraju nie przyjęto jeszcze daktyloskopii, bo tak nazywa się wynalazek Sir Galtona, jako oficjalnej metody wykrywania przestępstw. W Wielkiej Brytanii Scotland Yard wprowadził daktyloskopię już ubiegłego lata. Z kolei nasi laboranci ze stołecznego Wydziału Zabójstw gromadzą na przyszłość podejrzane przedmioty i wprowadzają kartoteki groźnych przestępców wraz z ich liniami papilarnymi. Sądzę, że daktyloskopia za rok czy dwa na stałe wejdzie do kanonów policyjnej pracy. Gromadzone już teraz dowody będą wtedy jak znalazł.

Masslof zakrzuszył się.

– Panowie nie mają nade mną litości – zaczął się żalić. – Straszy się mnie jak groźnego przestępcę. Zabiłem Wendersa, napadłem na pana inspektora, unieszkodliwiłem pana Richtera. Czego jeszcze dokonałem według panów? Czy przeszłość zawsze będzie wlec się za mną i szkodzić do końca życia? Czy dlatego, że byłem kiedyś karany, od razu muszę być głównym podejrzanym?

– Na dodatek jest pan członkiem awanturniczego komitetu – dodał komisarz. – Powtórzę: miał pan motyw, wziął pan gazetę, w którą potem zawinięto głowę, nie chce pan powiedzieć, co robił w wieczór napadu. Musimy porozmawiać o tym czwartku, i nie tylko o czwartku. Pozwoli pan, dość stania na powietrzu. Tak, zapraszamy do komisariatu.

Herbert Masslof stał przed biurkiem, za którym zasiadł w całym swoim majestacie komisarz Rensch. Po gabinecie chodził Braun. Jak wytrawny myśliwy, krążył dokoła podejrzanego.

Znajomość z Heinrichem Bergiem, stosunki z Richterem i pożycie z żoną, wszystko interesowało policjantów. Podejrzany odpowiadał wymijająco i mętnie. Nie chciał mówić otwarcie i nie czynił z tego żadnej tajemnicy. Kiedy dowiedział się, że w czwartkowy wieczór widziano go w okolicy Zakładu dla Obłąkanych, milczał nadal. Zdawał się pogodzony z faktem nieuchronnego zatrzymania.

Po dwóch godzinach przesłuchania Ignaz i komisarz wyszli na korytarz. Rozmawiali kilka minut, żywo gestykulowali, wreszcie doszli do porozumienia. Nie minął kwadrans, a Herbert Masslof powędrował do aresztu.

Kwestią czasu była reakcja Paula Bruhna i jego towarzyszy. Po dwóch godzinach, które upłynęły od aresztowania, do komisariatu przybyła delegacja, jak sama siebie nazwała, obywateli miasta. Na ich czele stał gdański dziennikarz. Grupę kilkunastu osób przyjął komisarz Rensch. Nie miał obowiązku rozmawiania ze zdenerwowanymi mężczyznami, ale, wyłączając chwile, w których lubił sprawiać wrażenie groźnego, był zwolennikiem dogadywania się z każdym, byle tylko zachować upragniony porządek społeczny.

Delegacja składała się ze zdeterminowanych rzemieślników i sklepikarzy. Paul Bruhn znacząco odstawał od reszty; w jego zachowaniu nie można było znaleźć śladu zapalczywości. Mówił spokojnie i rzeczowo.

– Mają panowie szczęście, że pojawiłem się w Wejherowie. Trudno sobie wyobrazić, jak wielkie jest rozżalenie tych uczciwych ludzi, do głębi przejętych jawną niesprawiedliwością. Wiem, jaką wartość mają perswazja i dialog. Ale wszyscy oni myślą prostymi kategoriami. Dobro jest dobrem,

a zło złem. Rozum przed siłą, tak, ale bezsilność ma swoje granice. Wstrzymuję ich, ale jak długo można? Jak długo?

Braun wtrącił się w przemowę Paula Bruhna.

– Czy we wczesnej młodości nie chciał pan przypadkiem zostać pastorem? Cóż za talent oratorski!

Pomruk delegacji stanowił aż nadto czytelną reakcję na słowa inspektora. Czterej żandarmi, stojący między oficerami a delegacją, wyprężyli się i mocniej ścisnęli kolby karabinów.

– Na szczęście dla mieszkańców Wejherowa zostałem publicystą – uprzejmie odpowiedział Bruhn.

– Na szczęście dla mieszkańców Wejherowa żyje pan na stałe w Gdańsku – komisarz wtrącił swoje trzy grosze.

– Dobrze, zostawmy nasze wzajemne stosunki – głos żurnalisty zabrzmiał pojednawczo. – Przyszliśmy na komisariat w konkretnym celu. Jesteśmy dorosłymi, odpowiedzialnymi obywatelami, nie będziemy się przecież kłócić. Różnie bywało, ale od początku łączy nas wspólny cel. Jest nim dojście do prawdy. Panowie pozwolą, że przedstawię nasze stanowisko?

– Śmiało, Bruhn. Masz pan jedyną może okazję, dzisiaj chcę pana wysłuchać. Byle szybko. Mamy niewiele czasu – energicznie przytaknął komisarz Rensch.

Starął się zawsze, aby jego wizerunek zapracowanego urzędnika należącego sercem i duszą do króla Prus i cesarza Rzeszy Niemieckiej nie doznał uszczerbku nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach.

– Dziękuję – Bruhn skłonił się grzecznie.

– Bo my mamy prośbę do policji i nie chcemy więcej niesprawiedliwości. Policja musi zrozumieć... – ozwał się nagle Franz Winter, rudawy dekarz mieszkający w okolicach dawnego klasztoru.

Od czasu, kiedy jego dzieci zaczęły uczęszczać do szkoły elementarnej i osiągały nie najgorsze wyniki w nauce, Franz Winter stał się, w swoim mniemaniu, niezwykle ważny. Sam nie ukończył żadnej szkoły, ale dzięki dzieciom od niedawna miał wrażenie, że on i jego rodzina zaczynają wiele znaczyć. Chętnie zabierał głos w każdej sprawie.

Ostre spojrzenie Bruhna przywołało Wintera do porządku.

– Przepraszam pana komisarza. U tych ludzi serce złote, chociaż brak doświadczenia może poczynić wiele szkód. Otóż wyjaśnię nasz punkt widzenia. Nie jesteśmy jakimiś obrzydłymi anarchistami, którzy chcieliby wyrzucić do góry nogami porządek panujący w państwie. Wręcz przeciwnie. Każdy z nas, jak tu stoi, kocha najmiłościwiej nam panującego cesarza Wilhelma i cesarzową Augustę, a także pragnie, by sprawiedliwość zatriumfowała.

– Podpalenie synagogi, krzykliwe zebrania pod domem Lewinsky'ego, makabryczna pocztówka, pięknie! Tak, cesarz byłby szczęśliwy – wtrącił komisarz.

Bruhn chwycił się za głowę i trwał w tej pozie dobrych kilka sekund. Wreszcie z trudem zdobył się na słowa:

– Boże drogi! Pan komisarz nazywa tak brzydko nasze czyny... My staramy się jedynie, na ile pozwalają skromne możliwości, pomóc policji w wyjaśnieniu tajemnicy śmierci nieodżałowanej pamięci Johanna. Stwarzamy, nie da się ukryć, presję społeczną. Dotyczy ona jednak problemu szerszego. Szanowani obywatele mają prawo, żeby ktoś ujął się za nimi wtedy, gdy dzieje się jawna niesprawiedliwość. Podejrzane elementy chodzą spokojnie po ziemi i drwią sobie z prawa i niemieckiej cywilizacji, tymczasem policja zajmuje się przesłuchiowaniem Augusta Richtera, lojalnego obywatela, który przelewał swą krew na ołtarzu ojczyzny! Teoretycznie to tylko przesłuchanie, ale po co przesłuchuje się takiego

człowieka? Mało było plotek? Jeśli połączyć je z przesłuchaniem, społeczeństwo mogło pomyśleć, że pan Richter... Boję się dokończyć. Dokąd dojdzie nasz wielki kraj! Jego potęga zacznie się chwiać, jeśli najmniejsza cegiełka, wyjęta z misternej struktury, rzucona zostanie w błoto. Żydzi, katolicy, Polacy będą śmiali się z wymiaru sprawiedliwości, który, ślepy na fakty, może zawyrokować wbrew interesowi uczciwych obywateli.

– Do rzeczy. Tak. Mów pan, Bruhn, o co wam wszystkim chodzi.

– Cały czas zmierzam do sedna, panie komisarzu. Otóż nie można posądzać nas o złą wolę ani obłudę. Przyznaję, postanowiliśmy, jako opinia społeczna, wymóc na policji zajęcie się prawdziwymi sprawcami. Po pierwszym przesłuchaniu pana Augusta Richtera przedsięwzięliśmy pewne kroki... mniejsza o szczegóły. Synagogi nie podpalił nikt z członków komitetu, mogę przysiąc na Biblię. Może jakiś szaleniec? Nikt go do tego nie zachęcał, nikt mu nie kazał i my odcinamy się od takich metod. A zgromadzenie pod domem Lewinsky'ego i pocztówka? Cóż, każdy może niechcący popełnić błąd. Nasze metody były kontrowersyjne, nie spodobały się panu komisarzowi, a i pan inspektor był niezadowolony. Jak się jednak okazało, nacisk ze strony szanowanych obywateli przyniósł na pewien czas pozytywne skutki. Pan Richter nie był więcej niepokojony. Zdecydowaliśmy wtedy o powstrzymaniu się od radykalnych działań.

– Aż do dzisiaj – zauważył Ignaz z przekąsem.

– Przecież rozmawiamy spokojnie – odparł Bruhn.

– Ubolewamy wszyscy nad wypadkiem, który przydarzył się panu inspektorowi, jesteśmy wręcz oburzeni owym bezprawiem i przemocą, ale żeby ciągać od razu po aresztach pana Masslofa? Czemu z kolei miało służyć przesłuchanie pana Richtera? Powiem wprost – domagamy się

zaprzestania szykan w stosunku do dwóch porządných obywateli. W przeciwnym razie...

Słowom Bruhna towarzyszył szmer delegacji. Rudawy dekarz Franz Winter wystąpił o krok, zacisnął pięści, to samo zrobili stojący za nim mężczyźni. Żandarmi z kolei wyprężyli się, gotowi do obrony przełożonych. Braun wystąpił na czoło swojego obozu. Porozumiewawcze spojrzenie wymienione z komisarzem upewniło go co do metody przeciwdziałania zapędom dziennikarza.

– Nie chciałem z panem zadzierać, Bruhn. Bóg mi świadkiem, a pan komisarz słyszał nieraz, że sprzeciwiałem się administracyjnym posunięciom skierowanym przeciwko panu. Sądziłem, że porządek społeczny nie ucierpi zanadto z powodu pańskiej działalności. Przebaczyliśmy pojawienie się kartki pocztowej, nie mieliśmy dowodów w sprawie próby podpalenia synagogi. Pan, jak się teraz okazuje, uznał naszą ostrożność za przejaw słabości i przystępuje do kolejnego natarcia. Sądziłem, że kontrolowane niezadowolenie osób o radykalnym nastawieniu może okazać się przydatne i zapobiec jeszcze gorszym poczynaniom. Jednak każda pobłażliwość ma swoje granice. Groźba to już za wiele.

– Teraz z kolei pan inspektor używa groźby – uprzejmie zauważył Bruhn.

– Nic podobnego. Nie zamierzamy pana przesłuchiwać, aresztować ani wydalać karnie z miasta. Pragnąłbym tylko, aby obecni tutaj obywatele Wejherowa zastanowili się, co robią. Czy Augustowi Richterowi został przedstawiony jakikolwiek zarzut? Czy siedział choćby godzinę w areszcie? Czy wreszcie znają panowie motyw zatrzymania Herberta Masslofa?

Zbiorowy adresat pytania, ustami kowala Hermana Tiedemanna, odpowiedział cichym „nie”.

– Czy Masslofowi stała się krzywda? – kontynuował inspektor. – Czy któryś z policjantów popchnął go lub uderzył? Czy prokurator zdążył przedstawić waszemu znajomemu zarzut dotyczący morderstwa?

Wypowiedziane szeptem ponowne „nie” stanowiło jedyny odzew.

– A co dopiero mówić o ferowaniu przez organa państwowe wyroku?!

Milczenie stanowiło najlepszą odpowiedź. Franz Winter nerwowo miętosił szary kaszkiet trzymany w różowych dłoniach. Spod białych rzęs spojrzął na równie jak on zakłopotanych kamratów.

– Tymczasem nikt z was, szanowni obywatele miasta, nie zadał sobie najmniejszego trudu, aby zorientować się, kogo słuchaliście i słuchacie nadal. Co wiecie o panu Paulu Bruhnie?

Dziennikarz skamieniał. Dotychczas z lekceważącym uśmiechem słuchał argumentów inspektora i dziwił się tylko, że ludzie, przyproawdzeni na komisariat w jasno określonym celu, potulnie przyjmowali słowa policjanta. Był przekonany, że kilka zręcznych zwrotów przywróci zdecydowanie i wolę walki ludziom twardym przeciw i zawziętym. Tymczasem Braun kontynuował.

– Oto pan Paul Bruhn – w stronę dziennikarza powędrował wskazujący palec – wasz przywódca i autorytet. Jestem z natury dociekliwy i podczas pobytu w Gdańsku zadałem sobie trud przejrzenia kartoteki człowieka, który chce odegrać znaczącą rolę w dojściu do prawdy. Ktoś taki, jak inicjator akcji społecznej, musi być przeciw poza wszelkim podejrzeniem.

– Ten człowiek jest stroną w sprawie i na pewno zechce mnie oczernić – zawołał wyprowadzony z równowagi żurnalista. Kosmyki czarnych włosów zaczesane dotąd za uszy spadły na jego czoło.

W gabinecie można by usłyszeć przelatującą pod sufitem muchę. Wreszcie komisarz sięgnął do szuflady, wyjął z niej kilka kartek i wręczył je inspektorowi.

– Pan Bruhn, mam rozumieć, nie jest stroną? Wolne żarty... Stoją za mną fakty zgromadzone w gdańskich kartotekach policyjnych i sądowych – odparł Ignaz i zerknął do pierwszego z odpisów. – Przejdźmy do tychże faktów.

Rok 1889. Na kilka tygodni przed maturą gimnazjalista Paul Bruhn zastrasza profesora mającego go egzaminować i uzyskuje zapewnienie łagodnego potraktowania podczas egzaminu. Profesor przyznał się do swojej słabości na miesiąc przed swoją śmiercią, która nastąpiła półtora roku temu. Śledztwa nie rozpoczęto z uwagi na przedawnienie.

Rok 1892. Paul Bruhn podczas studiów germanistycznych kradnie kilkanaście podręczników do gramatyki niemieckiej pochodzących z XVII stulecia. Woluminy zostają odnalezione w pewnym mogunckim antykwariacie. Bruhn nie kończy studiów i wędruje na rok do więzienia.

Rok 1896. Pracujący jako dziennikarz Paul Bruhn przeprowadza kampanię oskarżającą niejaką Sarę Schumacher o zabójstwo swojego dziecka. Oskarżona była Żydówką. Po jej osądzeniu i straceniu wydało się, dzięki przypadkowi, że w posiadaniu Bruhna były dowody świadczące o jej niewinności. Nie powędrował do więzienia tylko dlatego, że prokurator nie chciał wracać do sprawy, przy której prowadzeniu dopuścił się zaniedbań lub nawet stronniczości. Niedawno na jego miejsce przyszedł nowy prokurator. Podobno wymiar sprawiedliwości zamierza powtórnie zająć się bulwersującą sprawą. Akta policyjne bez niedomówień traktują o całym skandalu.

Rok 1899. Paul Bruhn dopuszcza się plagiatów. Przepisuje felietony ukazujące się w zachodniemieckich magazynach tygodniowych i w ten sposób staje się opiniotwórczym i poczytnym dziennikarzem. Kilka procesów wytoczonych przez prawdziwych autorów trwa w najlepsze i nic nie zapowiada, aby pan Bruhn wyszedł z nich obronną ręką.

Jeszcze przez chwilę w gabinecie komisarza panowała śmiertelna cisza. Z wolna mężczyźni, stojący dotychczas za plecami Bruhna, jeden po drugim zaczęli wycofywać się chyłkiem przez otwarte przez pierwszego z nich drzwi. Kłaniali się przy tym z lękiem i odrobiną wstydu, jak uczniowie przyłapani na drobnym występku przez nauczyciela i zatroskani zapowiedzią kary. Dziennikarz nie potrzebował obracać się za siebie, aby wiedzieć, co dzieje się tuż za nim. Rudawy dekarz i inni opuścili niedawnego przywódcę. Po minucie naprzeciwko komisarza, inspektora i żandarmów stał samotny Paul Bruhn.

- Panowie pozwolą, że się pożegnam – powiedział cicho.
- Czas najwyższy, tak – odparł Rüdiger Rensch.



Nóż i tępe narzędzie

Jeszcze tego samego dnia Paul Bruhn opuścił Wejherowo. Po cichu, bez niedawnych przyjaciół, siedł w stronę dworca. Kilkanaście metrów za nim podążał posterunkowy Kandzorra. Policjant widział, jak dziennikarz kupuje bilet na pociąg kolei żelaznej. Stał później nieopodal Bruhna, gdy od strony Lęborka nadjeżdżał skład wagonów zaprzężonych do wielkiego, czarnego, dymiącego potwora.

– Panie komisarzu, panie komisarzu! – zawołał posterunkowy na widok Renscha zapalającego w korytarzu wonne cygaro. – Odjechał!

– Do Gdańska? – szef wejherowskiej policji nie krył zadowolenia.

– Jak najzupełniej. Kupił bilet. Kiedy wyszedł na peron, zapytałem kasjera o cel podróży Bruhna. Kasjer, widząc, że ma do czynienia z przedstawicielem policji – posterunkowy wyprężył się dumnie – od razu wyjawiał prawdę. Zgodnie z poleceniem pana komisarza, czekałem do samego odjazdu pociągu.

– Chwała Bogu – odetchnął z ulgą Rensch.

Poniedziałkowy wieczór zapowiadał się niezwykle miło. Ignaz zaproszony był do domu cioci panny Bernadety na ciasto i kawę. Trudy pierwszego dnia pobytu poza szpitalem wyczerpały Brauna i marzył on wyłącznie o chwili wytchnienia w towarzystwie młodej damy. Do późnych

godzin popołudniowych trwało przesłuchiwanie Herberta Masslofa. Zgodnie ze swoimi wcześniejszymi zamierzeniami, inspektor i komisarz zdecydowali się zatrzymać podejrzanego w areszcie co najmniej do wtorku.

Rensch wyszedł właśnie z komisariatu. Żegnając się z Ignazem, wyraził obawę o reakcję żony na dłuższy, niż przewidywał, pobyt w pracy. Tłumaczył, że jego stoicki spokój i metoda polegająca na niesłuchaniu narzekań żony narażone bywają w określonych sytuacjach na ciężką próbę. Zdarzało się bowiem, że szef wejherowskiej policji po wyjściu z komisariatu, zamiast do domu, wędrował do hotelarza Alslebena na partyjkę skata. Stąd właśnie pani Katarzyna Rensch uczulona była na późniejsze powroty męża. Nie pomagały wtedy żadne metody; gniew i święte oburzenie statecznej kobiety spadały na komisarza jak burza.

– W takim razie szczerze życzę panu powodzenia. W razie potrzeby mogę zaświadczyć, że cały czas przebywał pan na komisariacie – powiedział Ignaz, ściskając dłoń Renscha.

Nie minęło kilka minut i wychodzącego z posterunku Brauna dopadł zdyszany Myszk.

– Komisarza już nie ma?

– Wyszedł przed momentem...

– Najważniejsze, że zastałem właśnie pana, panie inspektorze. Przepraszam, muszę odsapnąć.

– Co się stało? – zapytał Ignaz, wpatrując się w łapiącego oddech Antona.

– Posterunkowy Kandzorra pilnuje dwóch narzędzi zbrodni. To znaczy niedoszłych zbrodni.

– Czy chodzi o...

– Tak, wszystko się zgadza. Nóż i tępe narzędzie. Wszystko się zgadza. No i list, bardzo dziwny list. Jeśli łaska, proszę za mną.

Ignaz pomyślał o panie Bernadecie. Nie można było pozwolić, aby młoda dama i jej ciocia nadaremnie czekały z kawą i ciastem. Dla Antona każda minuta zwłoki stanowiła stratę czasu, ale jako człowiek odpowiedzialny zdawał sobie sprawę, że odwołanie wizyty inspektora jest koniecznością. Przestrzeni między komisariatem a domem cioci policjanci nie pokonali w imponującym tempie, ponieważ Ignaz musiał jeszcze oszczędzać swoje nadwątlone siły.

Podwórko nie wyróżniało się niczym szczególnym. Już po przekroczeniu bramy można było zauważyć dwie postaci stojące w mikrym świetle przed drzwiczkami prowadzącymi do chlewika. Posterunkowy głęboko westchnął. Za chwilę ujrzy przedmioty, którymi prawdopodobnie dokonano próby zamordowania inspektora Brauna i Augusta Richtera!

Oslabienie Ignaza okazało się większe niż przypuszczał on sam. Musiał odsapnąć, zanim trzeźwość umysłu powróciła na dobre. Powoli znikwały fioletowe i złociste punkciki, wirujące dotąd przed oczami.

– Pozwoli pan, inspektorze, że wyjaśnię, dlaczego znaleźliśmy się tutaj – zaczął posterunkowy Kandzorra.

– Oto Konrad Joschke, do którego należy chlewik. Kamieniczka jest w części jego własnością. Po zameldowaniu o wyjeździe Bruhna patrolowałem okolice Rynku i boczne uliczki go otaczające, kiedy podbiegł do mnie pan Joschke i poprosił o niezwłoczne pójście za nim.

– Tak było – pociągnął nosem mały człowieczek o zapadłych policzkach.

– Kiedy po drodze opowiedział, w czym rzecz, przyśpieszyłem kroku. Chlewik był otwarty, zamek wyłamany. Wyjścia pilnował syn pana Joschkego.

– Było tak, jak mówi posterunkowy – potwierdził gospodarz.

– Okazało się – ciągnął Kandzorra – że świnki miały gościa. W chlewiku podrzucone zostały: nóż rzeźnicki, ćwiartka trzonka do grabi bez odłamanych zębów, z samą żelazną nasadą, no i list. Wszystko jest w środku.

– Wszystko jest w środku – powtórzył mały człowieczek i zgasił papierosa.

W chlewie panował ład i porządek. Świnie od czutisn do czasu pochrząkiwały z zadowoleniem, zapach nie zdawał się zbyt dokuczliwy, a na klepisku nie można było do patrzeć się śladów błota. Pod ścianą, nieopodal wejść stał szerniały ze starości taboret. W położonej na nim rozchylonej ścierce spoczywały nóż, fragment trzonka i niezaadresowana koperta.

Gospodarz skierował światło lampy naftowej na taboret. Trzy głowy nachyliły się nad znaleziskiem. Ignaz wziął do ręki nóż i obejrzał go dokładnie. Na pytanie, czy któryś z obecnych przeczytał list, Kandzorra i Joschke szybko potwierdzili.

– Pan przeczyta. Jest tam też o panu – powiedział właściciel chlewiku.

– Proszę przysunąć lampę. Cień przeszkadza – szepnął Ignaz i poprawił zsuwające się z nosa okulary. Wyjął z koperty wygniecioną kartkę.

To jest nóż. A to jest trzonek. Oba były użyte, bo były potrzebne. Ręka na plecach. Za dużo interesują się różnymi rzeczami. Ten inspektor i ten Richter. Po co to komu. Zostawić wszystko i po kłopotcie.

– Przenajświętsza Panienko... – westchnął posterunkowy Myszk. – Co to jest?

– Czytelny komunikat – odparł Ignaz i uśmiechnął się do obecnych. – Spotkałem się już kiedyś z tak osobliwie wyłuszczonego stanowiskiem.

„Czarodziej z Gliwic” zastosował podobną metodę. Czy któryś z panów słyszał o „Czarodzieju z Gliwic”?

– Niedawno widziałem jednego sztukmistrza – odpowiedział Konrad Joschke. – Połykał ogień, tańczył wraz z pajakami i rzucał nożami o centymetry od dziewicy przywiązanej do szerokiej deski. Bardzo ciekawy człowiek.

Spojrzenie Myszka mogło wystraszyć niejednego.

– Daj pan spokój, panie Joschke. Swoją drogą, nie słyszałem o tej historii z Gliwic. Po co sprawca oddaje narzędzia zbrodni? Po co głupawy list?

– Spróbuj postawić się w jego sytuacji. Wie, że jest kilku podejrzanych. Śledztwo trwa już jakiś czas i zbrodniarz może czuć się wyczerpany niepewnością. Może, skoro nie zdołał mnie zabić, zapragnął zakomunikować, że on tu jest panem.

– Zastraszenie, groźba? – zastanawiał się posterunkowy Kandzorra.

– Przekazanie narzędzi zbrodni może być zapowiedzią następnych prób. Za wcześnie jednak na stanowczą ocenę.

– Sposób, w jaki on układał te słowa, wskazuje na kogoś niespełna rozumu – dziwił się Anton.

– Naprawdę sądzisz, że list został napisany przez kogoś upośledzonego?

– Ja też tak myślę – odezwał się pan Joschke. – Bratanek mojej żony od kilku lat siedzi w naszym szpitalu dla wariatów i wysyła czasami do rodziny listy. Jest opóźniony i pisze mniej więcej tak samo. Nie znam się na pisaniu, ale nawet ja widzę, że to jakieś wierutne bzdury.

Ignaz uśmiechnął się wyrozumiale do obecnych i pokręcił głową.

– Nadawca jest sprytniejszy niż sądzicie. Nie chciał, żeby jakaś indywidualna cecha jego osobowości wyszła na jaw. Każdy może tak napisać i nikt nie zgadnie, czy autorem jest profesor, starosta, rzeźnik czy

nocny stróż. W dodatku charakter pisma jest celowo zniekształcony. Tak pisze osoba, która ostatnio z alfabetem miała do czynienia trzydzieści lat wcześniej w szkole elementarnej, to prawda; ale równie łatwo ja i każdy z tutaj obecnych, przy odrobinie dobrych chęci, możemy bazgrać w ten sposób i efekt będzie podobny. Proszę zobaczyć, autor hamuje się, aby nie pisać gotykiem, miejscami odruchowo zaczyna lub kończy literkę charakterystycznym zagięciem. Nie, przecież osoba upośledzona nie zważa na to, aby wystrzegać się gotyku. Styl jest idiotyczny, ale przecież zrozumieliśmy, w czym rzecz,

– Sprytny bandyta – przytaknął posterunkowy Myszk.

– Co dalej zrobicie? – z pogodną melancholią w głosie zapytał Konrad Joschke.

– Nieważne – odpowiedział Kandzorra i zwrócił się do Ignaza. – Mówi pan inspektor, że wszystko ma tu swój sens? Jak w takim razie rozumie pan słowa: „Ręka na plecach”?

– Zapomniałem dodać – uśmiechnął się Ignaz – że na wypadek, gdybym pomyślał, że ktoś robi sobie nierozsądne żarty, nadawca udowodnił, że właśnie on mnie zaatakował. Na chwilę przed zdarzeniem podrapałem się po plecach, a zrobiłem to w sposób widoczny, ponieważ chodziło o prawą łopatkę. Nawet ślepy zauważyłby tak znaczący gest.

– A niech to diabli... – wyszeptał posterunkowy Kandzorra i spojrział na podekscytowanego Antona.

Braun zwrócił się do właśnie zażywającego tabakę gospodarza:

– Odkrycia dokonał pan przed mniej więcej godziną, prawda?

– Tak – odparł pan Joschke i potężnie kichnął.

Odpowiedziało mu kwiczenie przestraszonego warchlaka.

– Dwa razy dziennie przychodzę oporządzić moje świnie. Skończyłem je karmić, rozprostowałem kości, a tutaj nagle...

– Gdzie leżały te przedmioty?

– Pod sklepieniem jest poprzeczna belka, widzi pan inspektor? Wystarczyło spojrzeć w górę. To wystawało znad belki. No tak, ale czy człowiek zawsze patrzy do góry wtedy, kiedy jest w chlewie? Dlatego nie wiem, kiedy to zostało podrzucone.

– Zapewne już wyłamany zamek wzbudził u pana podejrzenie, że ktoś obcy przebywał w środku?

– A nie... – zaśmiał się gospodarz. – Od tygodnia zamek się zacinał, ale tutaj spokojna okolica, kto wchodziłby do mojego chlewika? Tak sobie myślałem, a okazało się, że nie miałem racji. Przedwczoraj sam wyłamałem zamek, bo już się wcale nie zamykał, a wcześniej dwa razy zaciął się tak, że musiałem się napocić, żeby znowu otworzyć drzwi. Ale, Bogiem a prawdą, żadnej świni nie brakuje. Patrzcie panowie, taki grzesznik, a swoje sumienie ma i porządnego człowieka nie okradnie.

Ignaz obawiał się, że nie powstrzyma śmiechu; w sukurs przyszło mu ponowne kichnięcie właściciela trzody chlewnej.

– Ma pan jakieś podejrzenia? Kto mógł zakraść się do chlewika?

– Nie mam pojęcia. Znam prawie każdego w naszym mieście i musiałbym każdego posadzać. Odwiedzają mnie dziesiątki osób.

– Czym się pan zajmuje? – zapytał Braun.

– Jestem woźnicą, ale też naprawiam wozy i wózki, sam pan rozumie. Chyba nikt podejrzany nie kręcił się wokół domu, a jeśli nawet obcy zajrzałyby tutaj, sądziłbym, że to jakiś interesant. Nie pamiętam, żeby ktoś, o kim mówi się przy okazji zabójstwa Johanna, był tu w ostatnich dniach.

Inspektor zbliżył się do pana Joschke i powiedział:

– Dziękujemy panu za obywatelską postawę i niezwłoczne zawiadomienie nas o swoim odkryciu. Sam pan rozumie, że wszystko, co tu zostało wypowiedziane, powinno zostać między nami...

– A czyja mam pstro w głowie, żeby jak baba rozpowiadać na prawo i lewo o rozmowie z panami policjantami? – obruszył się gospodarz.

– Widzę, że rozumiemy się doskonale – ucieszył się posterunkowy Myszk.

– Oczywiście zabieramy nóż, trzonek i list – dodał Ignaz. – Mam nadzieję, że nie zdążył się pan do nich przywiązać?

Zamiast odpowiedzi rozległo się kichnięcie o wiele mocniejsze od poprzednich. Świnie zakwiczały zgodnym chórem.

Na ulicach było już całkiem pusto. Praworządni obywatele od dawna grzali przy piecach wymarznęte podczas dnia kości, a ich żony słały dzieciom łóżka. Herbert Masslof zasypiał w swojej celi, nie wiedząc, że komitet mający bronić Augusta Richtera i w konsekwencji jego samego rozpadł się jak garnek strącony na podłogę. Dla komisarza Renscha dzień kończył się z pozoru tak, jak zawsze. Zona opowiadała mu w najdrobniejszych szczegółach o wszystkich wydarzeniach ostatnich kilkunastu godzin, on natomiast udawał, że słucha z zajęciem. Rozmowa z Ignazem napełniła umysł komisarza czymś zgoła innym.

Dzieci Antona wypytywały ojca o przygody dzielnego inspektora Brauna, a pani Anastazja miała niemałe kłopoty, aby nakłonić latorośle do zaśnięcia.

Gdy osłabiony jeszcze po ostatnich przeżyciach Ignaz przekroczył gościnne progi Königlicher Hof, jak prawie zawsze wpadł na czyhającego nań Alslebena. Hotelarz tym razem nie zadawał z początku żadnych pytań.

– Niepokoiłem się, panie inspektorze, że znowu doszło do jakiegoś nieszczęśliwego zdarzenia. Rzadko wracał pan tak późno...

– Dziękuję za troskę. Na szczęście okazała się zbędna, ale jestem wdzięczny panu i wszystkim, którzy dodają mi otuchy.

Alsleben uśmiechnął się szeroko i uściśnął dłoń Ignaza z wylewnością, jakiej nie można było doświadczyć u żadnego niemieckiego hotelarza od Kolonii po Kłajpedę.

– Tak się cieszę, że widzę pana w dobrym zdrowiu! Wie pan inspektorze, że jest moim dobroczyńcą? Ile zdrowia kosztuje mnie konkurencja na rynku hotelarskim... Jakie to szczęście, że Paul Bruhn zatrzymał się u Wodtkego! Przecież o hotelarzu świadczy najlepiej to, jakich gości przyjmuje. A Bruhn był awanturnikiem i kryminalistą. Pan odkrył jego przeszłość i tym samym Wodtke musiał pluć sobie w brodę. Szkoda, że nie mogłem być świadkiem tak wzruszającej sceny! Postawił na typa spod ciemnej gwiazdy. Rozumiem, że nie miał powodów, aby nie wpuszczać Bruhna do swojego hotelu, ale doszły mnie słuchy, że sympatyzował z poglądami owego naprawiacza Niemiec. Mój hotel jawi się teraz jako oaza sprawiedliwości i ładu. Wszystko dzięki panu, drogi inspektorze!

Głośny śmiech gościa nie zbił z tropu wesołego jak nigdy Alslebena.

– Ja rozumiem, że nie działa pan w celu dopomożenia mojemu interesowi, ale przy okazji skorzystałem ze śledztwa.

– Cieszę się, chociaż podpisuję się pod pierwszą częścią ostatniego zdania łaskawego pana – odparł rozbawiony inspektor.

– Czy ma pan jakieś szczególne życzenia? Może dieta zbyt obfita jak na rekonwalescenta? Pościel zmieniamy co trzy dni, ale odtąd każdego poranka Berta przyniesie świeżutką, wykrochmaloną, twardą pościel z wyszywanym herbem miasta. Mamy trzy komplety dla wyjątkowych odwiedzających. Pańscy goście mogą u mnie zamawiać kawę i desery na koszt firmy, a wystarczy tylko powiedzieć, ja jestem na usługi o każdej porze. Znam tutaj wielu ludzi, może oni zauważą coś, co pomoże panu inspektorowi w prowadzeniu dochodzenia...

Ignaz uważnie spojrział na hotelarza.

– Dziękuję za wszystko. Rzeczywiście, przydatna będzie pomoc łaskawego pana. Rano poinformuję o szczegółach. Tymczasem czuję się znużony. Pozwoli pan, że pójdę do siebie.

Dystyngowany ukłon Alslebena pożegnał inspektora. W pierwszej chwili hotelarz chciał odprowadzić gościa na górę, ale pomyślał, że zbyt duża zażyłość może nie spodobać się człowiekowi, którego reakcje tak trudno było przewidzieć.

Po zanurzeniu się w miękką pościel Ignaz zamierzał poukładać w myślach pewne detale dotyczące następnego dnia, tymczasem panna Bernadeta, jak już często bywało w ostatnich dniach, stanęła przed oczami wyobraźni policjanta, skutecznie uniemożliwiając logiczne procesy myślowe. Inspektor Braun, tak konsekwentny zazwyczaj i obowiązkowy, pomyślał, że wystarczy obudzić się następnego ranka pół godziny wcześniej, a myśli dotyczące śledztwa będą wtedy znacznie świeższe niż pod koniec tak męczącego dnia. Wychylił się z łóżka i przesunął pokrętło lampy naftowej. W pokoju zapadła ciemność.

Panna Bernadeta sprawiła, że rekonwalescent zasnął z uśmiechem na ustach, a jego sny nie miały nic wspólnego z zabójstwem Johanna Wendersa.



Dwa dni do odjazdu

Ktoś niezorientowany w specyfice pracy pruskiej policji nie zauważyłby w zachowaniu funkcjonariuszy niczego szczególnego.

Komisariat o poranku lśnił, jak zawsze, czystością. Świeżo ogoleni policjanci poruszali się między poszczególnymi pokojami nie za szybko, nie za wolno, akurat tak, jak należało. Niewyczuwalne zrazu napięcie mógłby poczuć jedynie ktoś, kto znał komisariat lepiej niż własny dom. Dwie godziny wcześniej nastąpił przełom. Herbert Masslof zdecydował się mówić. Jego zeznania zachowano w ścisłej tajemnicy.

W salce przesłuchań posterunkowy Kandzorra zamęczał pytaniami siwiutkiego jak gołąbek Fryderyka Koschnika twierdzącego, że tylko fatalny w skutkach lunatyzm jest przyczyną kilku kradzieży, jakich staruszek dokonał w ciągu trzech poprzednich nocy. Niewiele znaczące błyskotki znalazła w szafie Koschnika synowa, która bez wahania doniosła o wszystkim policji.

Posterunkowy Myszki niespiesznie wykonywał swoje obowiązki. Uzupełniał jakieś niewiele znaczące akta, rozmawiał przez chwilę z jednym z żandarmów, wreszcie zapalił mocnego papierosa. Potem spojrzął na zegarek, jakby zdawał się czekać z utęsknieniem na przewidywaną odmianę.

Stawiany ciężkim ruchem na blacie biurka kieliszek zadźwięczał żałośnie, jakby chciał zaprotestować przeciwko tak brutalnemu traktowaniu. Komisarz z zadowoleniem ugryzł gorącą parówkę i poklepał się po wydatnym brzuchu. Musztarda z niezmielonymi ziarnkami gorczycy była bardzo ostra. Parówka pochodziła z zakładu Josepha Lewinsky'ego.

Do gabinetu komisarza wszedł pan Alsleben. Przywitał się serdecznie z Renschem i, nie siadając, z zapalem powiadomił gospodarza:

– Rozumiem, że inspektor Braun był tu o świcie? Sala zostanie przygotowana według wskazań pana inspektora. Muszę przyznać, że dałbym wiele, aby dowiedzieć się, co nasz gość zamierza zrobić. Pan oczywiście nie zdradzi mi tajemnicy?

– Nie – krótko odparł komisarz. I dodał: – Oczywiście mamy do pana zaufanie, w przeciwnym razie nie zaangażowalibyśmy go w całe przedsięwzięcie. Tak. Ale procedury to procedury. Koniaczkę?

– Dziękuję – tęsknie uśmiechnął się hotelarz. – Obowiązki wzywają mnie, jak zresztą codziennie. Przyszedłem tylko powiedzieć, że na czas spełnię wszystkie panów oczekiwania. Do widzenia!

Kiedy za Alslebenem zamknęły się drzwi, komisarz sięgnął po kolejną parówkę.

Ignaz wracał z dworca kolei żelaznej. Zamówił właśnie bilet drugiej klasy na pociąg do Berlina. Przyspieszył kroku, pragnął jak najprędzej spotkać się z panną Bernadetą. Jedynie kilkadziesiąt godzin dzieliło go od rozstania z Wejherowem.

Przed domem cioci jaśniał już płaszcz panny Bernadety. Dziewczyna właśnie domykała drzwi.

– Już myślałem, że pani chce wymknąć się niepostrzeżenie – jęknął Ignaz.

– Ależ ja tylko wierzę w pana punktualność. Droga od dworca nie jest zbyt długa, byliśmy umówieni na dziewiątą, pogoda wiosenna, postanowiłam poczekać na pana przed domem.

– A więc idziemy na zakupy? – zapytał Ignaz.

– Idziemy!

Rozmowa z początku była wesoła. Policjant i jego rozmówcy, jak dzieci, komentowali zachowanie przechodniów, żartowali i wchodzili do sklepów po rozmaite sprawunki. Młodą damę zainteresował słomkowy canotier ozdobiony kremową wstążką i małą różą herbacianą. Lato miało nadejść szybko i być wyjątkowo upalne; panna Bernadeta nie była jedyną osobą, która w składzie mody zainteresowała się letnią galanterią. Elegantka oglądała w owalnym lustrze wdzięczny kapelusik nałożony na misternie ułożoną fryzurę i uśmiechała się do towarzysza stojącego za nią i wpatrzonego w lustro jak w tęczę. Wreszcie zadowolona modystka zapakowała canotier do pudła. Ignaz w sklepie jubilerskim pana Meissnera oglądał z zainteresowaniem szylkretowe pudełko na cygara zdobione srebrem, ale, z uwagi na wygórowaną cenę, nie zdecydował się na zakup.

Dopiero po opuszczeniu składu towarów kolonialnych pani Hoffbauer nastąpiło kłopotliwe milczenie.

– O czym pan myśli? – zapytała panna Bernadeta, widząc, że Ignaz posmutniał.

– Właśnie kupiliśmy ćwierć funta kolumbijskiej kawy. O ile sobie przypominam, był to ostatni sprawunek, jaki dostrzegłem na karteczce trzymanej przez panią w dłoni.

– Każde zakupy mają swój koniec – zauważyła młoda kobieta i poprawiła zsuwające się okulary.

– I o tym właśnie myślę. Pójdziemy jeszcze na kalwarię?

– Przecież o wpół do jedenastej spodziewa się pana komisarz Rensch?

– Jestem na nogach od wpół do piątej rano. Komisarz uda, że nie zauważył spóźnienia. Nigdy nie zdarzyło mi się spóźnić dokądkolwiek. Tym razem będzie inaczej.

Kalwaria czekała na wiosnę. Słońce głaskało drzewa, uśmiechało się do białych kapliczek i obiecywało nadejście dłuższych dni. Para młodych ludzi nie znajdowała jednak ukojenia w widokach, jakich nie sposób znaleźć w żadnym innym miejscu na świecie.

– Jeszcze tylko niecałe dwa dni – smutnie zauważył Ignaz.

– Naprawdę dzisiaj dojdzie do ujęcia sprawcy? Powinien pan być zadowolony.

– Jestem, tylko... wspomniała pani, że ta kaplica nazywa się „Ogrójec”?

– Zdziwiona dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy i uważnie spojrzała na smutnego mężczyznę.

– Chrystus bardzo cierpiał w Ogrójcu. Wiedział, że zostanie ujęty i ukrzyżowany. Wiedział też, że zmartwychwstanie i dlatego, mimo samotności i lęku, potrafił znieść mękę oczekiwania. Mój Ogrójec jest piękny i radosny. Stoję obok pani, przyglądam się, jak poprawia pani zsuwające się okulary, drzewa szumią i opowiadają sobie o wiosnie. Pod nami miasto, czyli właściwie cały świat. Mnie także czeka zwycięstwo, ponieważ jeszcze żaden przestępca nie wyprowadził w pole inspektora Brauna. Wrócę do stolicy opromieniony chwałą. Dostanę długi urlop, niemałą premię i może wreszcie wynajmę większe mieszkanie z lojalnym i małomównym służącym.

– Ale nie będzie pan szczęśliwy – wyszeptała panna Bernadeta.

– Nie będę. Zostałem ukarany za zbytnią pewność siebie. Przyjechałem tutaj z mocnym postanowieniem zdemaskowania zbrodniarza. Zaplanowałem sobie, w jakich godzinach będę spać, gdzie będę spędzał wolny czas, jak będę się zachowywał w stosunku do świadków i zwyczaj-

nych przechodniów. Czy uwierzy pani, że nie znosiłem żadnej improwizacji? Tam, gdzie pracuję i mieszkam, metoda i porządek są największymi cnotami. Człowiek nawet nie wie, kiedy przyjmuje te wartości jako swoje; zaczyna sądzić, że od dziecka marzył wyłącznie o dyscyplinie i przewidywalności. Pokochałem ład i opanowanie. Kontrolowałem swoje uczucia i było mi z tym dobrze. Porządek jest przecież stworzony przez Boga. W dniu śmierci będziemy rozliczeni z każdego zachwiania ładu bożego. A bez ładu świat nie mógłby istnieć. Oto moja filozofia, z którą wsiadłem do pociągu na berlińskim dworcu.

– Tymczasem zaszło coś niespodziewanego – Ignaz ledwie usłyszał słowa zarumienionej dziewczyny.

Spojrzał na pannę Bernadetę i skamieniał.

Zza okularów spadały dwie ciężkie łzy. Ignaz z ulgą stracił resztki dawnego rozsądku. Delikatnie zdjął okulary z twarzy zapłakanej Bernadety i przetarł dłońmi wilgotne powieki. Oboje nie zauważyli, kiedy ich usta przywarły do siebie mocno i bez zawstydenia. Gorzkie łzy mieszały się ze smakiem odkrywanej radości. Stali tak objęci, zachwyceni sobą i pragnący zapamiętać tę chwilę do końca życia.

Pan Alsleben biegał jak oparzony. Z cygarem w zębach poganiał trzech bojów hotelowych, którzy z zakasnymi rękawami wnosili do sali szafy, szafki, i krzesła. Dla hotelarza, człowieka żywiołowego i rozpieranego energią, zastój, trwający od świąt wielkanocnych aż do poniedziałku, stawał się nie do zniesienia. Gości, Bogu dzięki, nie brakowało, ale, oprócz inspektora Brauna, w hotelu nie bawił nikt interesujący. Sami drobni przedsiębiorcy i dwie starsze panie, które zamierzały przenieść się do miasta i pędzić w nim spokojne życie rentierek.

Długi prostokątny stół, złożony z dwóch krótszych, umieszczony został na środku sali. Pod ścianami rozłokowano komody i kredensiki z

niezliczoną liczbą szuflad. Gustowna sofa w stylu biedermeierowskim dodała pomieszczeniu, zapełnionemu ciężkimi, solidnymi meblami, swoistej lekkości i wdzięku.

Na parkiecie rozłożył się leniwie puszysty dywan zdobiony perskimi wzorami, prezent od pewnego przedsiębiorcy z okolic Sopronu w monarchii austro-węgierskiej. Dywan stanowił powód do dumy hotelarza i rozkładany bywał jedynie z okazji najbardziej podniosłych uroczystości.

Alsleben palił cygaro za cygarem. Osobiście przeproszał zdziwionych gości, którzy zamierzali w sali restauracyjnej zjeść obiad. Prowadził ich do salki znajdującej się tuż obok kuchni, gdzie amatorzy hotelowego menu odkrywali, że pomieszczenie zastępcze wcale nie jest brzydsze od reprezentacyjnego salonu. Niektórzy próbowali wypytywać hotelarza o przyczynę zamieszania; odpowiedź zawsze była taka sama:

– Ee, małe przemeblowanie. Stukrotnie przeproszam łaskawych państwa.

Doktor Leo Gessler, kradnąc swojemu szlachetnemu powołaniu małą godzinę, przeglądał właśnie najnowszy numer „Der Danziger Witz” i wśród wybuchów śmiechu trzepał się dłonią po kolanach, kiedy w drzwiach biblioteki stanął, posępny jak zawsze, Maksymilian Paschinski.

– Znakomite! Przychodzi starozakonny do lekarza. Lekarz pyta, w czym rzecz? A tamten odpowiada, że już sześćdziesiąt lat czeka na Mesjasza! Dlaczego się nie śmiejesz?

– Panie doktorze, przed chwilą był tu posłaniec. Pismo z komisariatu.

Dla pani Irmgardy Wenders przybycie posterunkowego z listem od inspektora Brauna było zapowiedzią jakiegoś wzruszającego przeżycia.

Podkscytowana odczekała, aż policjant opuści salonik i, zostawszy sama, niecierpliwym ruchem rozcięła kopertę. Zamknęła wielkie oczy i powąchała kartkę. List pachniał dymem tytoniowym. Przez alabastrowe, pełne krągłości ciało kobiety przeszedł dreszcz.

Z każdym przeczytanym słowem pani Irmgarda smutniała coraz bardziej. Kiedy dotarła do ostatniego zdania, powstała i jej imponujące piersi zafalowały spazmem płaczu. Zadzwoiła na pannę Kornelię.

– Zejdź do sklepu i powiedz panu, żeby zarezerwował sobie godzinę lub dwie na wieczór. O dwudziestej w Königlicher Hof odbędzie się spotkanie z inspektorem Braunem. Ty... ty też masz się stawić.

Panna Kornelia starała się nie okazać zdziwienia. Dygnęła i wyszła, zostawiając swoją panią leżącą na posłaniu z perskich poduszek.

August Richter nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wyglądził pomiętą kartkę i przeczytał jeszcze raz:

Obecność Pana podczas tak ważnego spotkania jawi się koniecznością. Dążenie do prawdy jest świętym obowiązkiem cywilizowanej społeczności. Prawda zaś, bez pańskiego udziału, nie zostanie w pełni wyświetlona. Czekamy więc niecierpliwie. Z wyrazami szacunku...

– Diabli nadali tego berlińskiego elegancika – szepnął Richter i zagłębił nóż w świńskim ryju, aby wydłubać ostatni ząb.

List zawisł nieruchomo w ręku panny Anny. Dziewczyna stała przed wystawą domu handlowego Augustyna Ellwarta, kiedy podbiegł do niej uradowany szczęśliwym spotkaniem posterunkowy. Przekazał pannie kopertę i zniknął za rogiem.

Anna Richter odkładała chwilę otworzenia listu. Bała się treści. Wreszcie, wbrew sobie, szybkim ruchem przedarła bok koperty. Przeczytała kilka zdań zapisanych równym, nieco zaokrąglonym pismem i bez namysłu ruszyła w stronę domu.

Na obliczu Anny malowało się zdecydowanie. Nie gniew, nie radość, jedynie zdecydowanie. W głowie jak carillon potężnych dzwonów huczało kilka słów: *Ład zostanie przywrócony miastu dotkniętemu zbrodnią.*

– Widzisz ty, Hanno, co tu napisał ten policjant, ten inspektor?

– Same prawdy, Joseph – odpowiedziała spokojnie kobieta. – To dobry człowiek i nie skrzywdzi biednego Żyda.

– Ty myślisz jak naiwna! Ja wiem, że ja jestem niewinny, ale czy on tak uważa? On się może mylić, chociaż on jest z Berlina! On może być cztery razy z Berlina, a on jest tylko dziecko grzechu pierworodnego i ma prawo się mylić.

Joseph Lewinsky pociągnął za dwa sznurki ukryte pod surdudem i spojrzał na Hanne.

– Uważasz ty, że mam ja iść?

– Musisz. Jeśli jesteś winny – odpowiedziała kobieta, utkwivszy wzrok w zegarze zawieszonym niemal pod sufitem – Bóg i tak nie pozwoli uniknąć kary. Jeśli jesteś niewinny, o czym wiem ja i o czym wiesz ty, Bóg nie dopuści do niesprawiedliwości. Ten inspektor, ten Braun, to nie jest pierwszy lepszy goj. Gdyby cię podejrzewał, inaczej by napisał to, co tu jest piórem napisane. A tu jest napisane: *Dzielę się z panem radosną wiadomością.*

Edeltraut Masslof leżała na kanapie. Skronie pulsowały jak oszalałe. Napady migreny zdarzały się jej często; dodatkowo list, który przyniosła matka, poraził chorą. Nie wiedziała, czy mąż jest winny śmierci Johanna. Jeśli tak, w krótkim czasie ona sama może zostać wdową. Jeśli okaże się niewinny, a z pewnością dowie się o jej flircie z zamordowanym, zamieni dom w piekło.

Nie mogła nie donieść inspektorowi o swoich spostrzeżeniach, nie mogła przemilczeć wstydliwych pragnień i drobnych grzeszków; a przecież obawiała się teraz, że będzie musiała ponieść koszty swoich błędów. Podczas takiego spotkania dojdzie do prania brudów. Co wtedy?

– Mamo, przynieś mi kompres!

Biurko dyrektora Koenigsbecka było uosobieniem pruskiego ładu. Porządek i powaga emanowały z blatu szlachetnego mebla. W lewym górnym rogu, obok kałamarza, starannie wypielegnowane ręce położyły kopertę, do której sekundę wcześniej wsunęły złożoną na czworo kartkę.

Wąska dłoń oszczędnym ruchem przycisnęła guziczek wbudowany w biurko.

– Słucham, panie dyrektorze.

– Proszę zapowiedzieć profesorowi Marzowi, żeby pojawił się u mnie za piętnaście minut, tuż po ostatniej lekcji.

– Tak jest!

Sterczące wąsiki Maksa Koenigsbecka lekko drżały. Ich właściciel okazywał swoją radość w sposób dla siebie charakterystyczny – trudno było ją zauważyć.

Pół godziny później z gabinetu dyrektora wyszedł Wilhelm März. Powtarzał bezwiednie:

– Zaproszenie do piekła, zaproszenie do piekła...

– Nie czytaj po ciemku. Zmrok już zapada – troskliwa pani Lange przekręciła guziczek lampy naftowej.

– Lubię czytać przy dziennym świetle – cicho odpowiedział Werner.

– Denerwujesz się?

– Nie wiem, chyba tak. Urządza sobie przedstawienie! To wariat. Myśli, że jest bohaterem kryminałów, jakimś panem Holmesem.

– Ty się boisz? Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Werner Lange pogłaskał żonę po policzku. Kiedy kobieta wyszła, zapalił papierosa, zgasił lampę, rzucił w kąt gazetę i raz jeszcze sięgnął po list przyniesiony z komisariatu.

Greta Berg rozprostowała przygarbione plecy. Co chwila spoglądała na męża przenoszącego widłami gnój. Zawsze lubiła patrzeć na roslą postać Heinricha zapamiętałego w pracy. Podziwiała go za niezmacony spokój, z jakim podchodził do każdego wyzwania. Przed trzema kwadransami przeczytał pismo dostarczone mu z wejherowskiego komisariatu. Z kamienną twarzą powiedział żonie o potrzebie stawienia się na wieczorne spotkanie. Poleciał, żeby Greta na godzinę przed dwudziestą przygotowała najlepszy garnitur i wyprasowała nową koszulę. Sam postanowił dobrać później spinki do mankietów, pocałował żonę w sam środek czoła i poszedł do obory.

Heinrich nie zauważył przeciągłego spojrzenia Greta. Miarowe, dokładne ruchy ramion i dłoni, skupienie malujące się na surowej twarzy, wszystko to bardzo podobało się żonie. Nie zastanawiała się nad faktem wezwania męża do hotelu pana Alslebena. To były jego sprawy. Podziwiała

go jednak za zimną krew i opanowanie. Gdyby ona sama otrzymała takie zaproszenie, umarłaby ze strachu.

– Heinrich?

– Co? – mężczyzna ledwie podniósł głowę.

– Kocham cię.

Na twarzy pana Nowoczyna odmalowała się troska.

– Co się stało, Christianie? Czego chciał od ciebie ten posterunkowy?

Meier ciężko usiadł na swoim krześle i sięgnął po chusteczkę. Otarł zroszone potem czoło i powiedział słabym głosem;

– Zostałem wezwany na spotkanie z inspektorem Braunem.

– Ty? Dlaczego?

– Nie wiem – zawahał się. – Naprawdę nie wiem – powtórzył głośniej.

– Powiedz mi, jaka jest przyczyna... Przecież on bada sprawę młodego Wendersa. Czy wiesz o czymś, co ma związek ze zbrodnią? Widziałeś coś? Może kogoś?

– Ależ skąd!

Notariusz zachnął się.

– Nie chcesz, nie mów.

Zaraz jednak rozchmurzył się.

– Chcesz wyjść wcześniej? Prawie wszyscy interesanci są już obsłużeni. Został tylko pan Lehmann, przyjdzie o szesnastej, ale zajmę się nim osobiście.

– Nie, dziękuję. Swoje obowiązki trzeba wykonywać do ostatniej minuty.



W bukowym lesie

Zadowolony z ukończonych przygotowań hotelarz dostojnym krokiem chodził po swoim królestwie. Königlicher Hof czekał na mającą rozpocząć się za pół godziny „uroczystość”, jak Alsleben nazywał w myślach spotkanie policjantów ze świadkami. Posterunkowy Myszk od dobrych paru minut spoglądał na drzwi i wreszcie uśmiechnął się porozumiewawczo do właściciela hotelu.

Po schodach wyłożonych czerwonym chodnikiem zeszli komisarz Rensch i inspektor Braun.

Szef wejherowskiej policji, zgodnie z sugestiami żony, ubrany był w staromodny surdut. Czarna materia pierwszorzędnego gatunku, dobrze skrojona i, mimo upływu czasu, zachowująca pierwotną świeżość, osobliwie kontrastowała ze zwalistą sylwetką Renscha. Idąc obok szczupłego i wyższego inspektora, komisarz jeszcze bardziej niż zazwyczaj przypominał zapaśnika, jakiegoś cyrkowego siłacza, którego siłą wepchnięto w wytworne ubranie i umieszczono w eleganckich wnętrzach.

Wzrok Alslebena i posterunkowego przykuła jednak postać inspektora Brauna. Przybysz z Berlina na pozór nie wyróżniał się niczym szczególnym. Renscha rozpieierała energia i wola walki, instynkt policyjny odezwał się w komisarzu może po raz ostatni z tak wielką siłą; Ignaz scho-

dził regularnymi, oszczędnymi krokami, rzucał krótkie, spokojne spojrzenia, a na jego obliczu nie malowało się żadne uczucie.

Nie było zwyczajem Ignaza okazywanie w podobnych okolicznościach uczuć osobom postronnym. Lubił komisarza, szczególną sympatią, darzył Antona, bawił go Alsleben. Jednak wtorkowy wieczór miał być niepodobny do innych. Na serdeczności można było pozwolić sobie następnego dnia.

Milczący, skupiony inspektor zdawkowo odpowiadał na pytania, rzucał ostatnie, krótkie polecenia i dwa razy spojrzął na tarczę zegarka. Do godziny dwudziestej brakowało kwadransa.

Pierwszy wszedł Herbert Masslof. Przyrowadzony z komisariatu przez rosłego posterunkowego Bochentina, rozglądał się zdziwiony po wnętrzu sali. Podczas porannego przesłuchania dowiedział się o mającym nastąpić spotkaniu, ale wyobrażał je sobie inaczej. Nie spodziewał się przykrytego kremowym obrusem stołu, serwisu z cienkiej porcelany i dziesiątek świec czekających w mosiężnych kandelabrach na zapalenie.

Nikt z zaproszonych do Kóniglicher Hof gości nie zamierzał pojawić się zbyt wcześnie. Dopiero wtedy, gdy do godziny dwudziestej brakowało już tylko dziesięciu minut, sala restauracyjna zaczęła ożywać.

Pojawił się Wilhelm März. Profesor, trzymając w ręku wielką chusteczkę, którą co chwila przykładał do nosa, stanął za stołem i zalekzionymi oczami patrzył na rozmawiających nieopodal komisarza i inspektora. Kelner wskazał mu miejsce, ale nauczyciel podziękował i tylko oparł dłonie o poręcz krzesła.

Zaraz za profesorem weszła Edeltraut Masslof. Spojrzała na siedzącego w towarzystwie posterunkowego Bochentina męża; Herbert chciał wstać, ale policjant przytrzymał go silnym ruchem kościstej dłoni. Pani Edeltraut i jej mąż patrzyli na siebie, chcąc wzajemnie wyczytać z twarzy możliwie

najwięcej, ale milcząca rozmowa skazana była z góry na niepowodzenie. Nieopodal usiadła pani Helena, która weszła zaraz za córką.

Joseph Lewinsky usiadł wygodnie przy stole i wypił od razu pół kieliszka wina. Uśmiechnął się szeroko do Brauna, który udał, że tego nie zauważył.

Szybkim, zdecydowanym krokiem na salę wszedł doktor Leo Gessler. Przywitał się ze wszystkimi obecnymi, nie wyłączając Masslofa. Zapytał panią Edeltraut o migrenę, zauważył, że nadwaga starozakonnego rzeźnika jest stanowczo zbyt duża, na koniec podkręcił wąsy.

O parze, która weszła zaraz po doktorze, nie można było powiedzieć nic ponad to, że powiększyła liczbę osób zgromadzonych na sali. Anna i jej ojciec, nieprzeniknieni i jakby obojętni na wszystko, usiedli przy stole. Unikali wzroku wcześniej przybyłych, nie zamienili ze sobą ani słowa i czekali, aż olbrzymi, misternie rzeźbiony zegar stojący w kącie wybiję godzinę dwudziestą.

Cicho i pokornie wsunął się Christian Meier. Miał wrażenie, że wszyscy z napiętą uwagą śledzą każdy jego ruch. Asesor notarialny byłby znacznie spokojniejszy, gdyby zdołał dostrzec, że jego pojawienie się niemal nie zostało zauważone.

Zdziwienie towarzyszyło przybyciu Heinricha Berga. Większość zgromadzonych nie mogła odgadnąć, dlaczego ten sztywny, kostyczny gospodarz spod Wejherowa znalazł się wśród osób, które mogły powiedzieć cokolwiek na temat Johanna Wendersa. Berg, niezrażony zainteresowaniem, jakie wywołał, stanął na środku sali i otwarcie spoglądał na obecnych. Przez dłuższą chwilę jego wzrok zatrzymał się na dawnym pracowniku.

Kiedy Werner Large przystanął w kącie, uwaga zaproszonych skupiona była jeszcze na ubranym w czarny, ascetyczny garnitur Bergu. Piekarz

spoczął obok Lewinsky'ego, przywitał się z nim i zamienił parę słów. Po chwili, tak jak wszyscy, obrócił głowę w stronę drzwi, w których stała pani Irmgarda w towarzystwie męża i służącej.

Matka zamordowanego pojawiła się dwie minuty po wyznaczonym czasie. Mroczna postać pana Johannesesa stanowiła jaskrawy kontrast dla rozgorączkowanej, zaróżowionej i zadyszanej kobiety. Nawet Anton musiał przyznać, że nieszczęśliwa matka wyglądała uroczo. Rzuciła smutny uśmiech inspektorowi i skinęła głową każdemu z obecnych, nie wyłączając asesora notarialnego, który z lękiem odwrócił wzrok. Panna Kornelia, przejęta swoim udziałem w tak szczególnym przedsięwzięciu, jak za hipnotyzowana wpatrywała się w postać inspektora.

Na środek sali wystąpił Braun; za nim przystanął komisarz Rensch. Ci, którzy dotąd siedzieli, powstali jak na komendę.

– Witam szanownych państwa na uroczystości, która stanowi ukoronowanie wielu starań mających na celu wyjaśnienie smutnej prawdy dotyczącej zabójstwa Johanna Wendersa. Zapytają państwo, dlaczego używam słowa „uroczystość”. Oczywiście nie chodzi mi o samą oprawę. Pięknie przystrojony stół, sala, której nie powstydziliby się niejeden pałac, miśnieńska porcelana, kelnerzy podający dobre wino, wszystko to stanowi jedynie dowód wspaniałomyślności naszego drogiego gospodarza.

Pan Alsleben uśmiechnął się szeroko i omal nie upuścił na parkiet monokla.

– Spotkanie dzisiejsze – kontynuował inspektor – nazywam uroczystością z innego powodu. Nadeszła godzina sprawiedliwości. Miasto i ludzie w nim żyjący od dzisiejszego wieczoru będą mogli powiedzieć, że tajemnica zbrodni została wyjaśniona. Nikt odtąd nie będzie mógł głosić, że zło nadal triumfuje i cieszy się bezkarnością. Czyż to nie powód, aby dzisiejszy dzień nazwać uroczystym? Zaprosiłem tu państwa, aby w tak

szacownym gronie ogłosić wyniki śledztwa. Prowadzono je już przed moim przybyciem, co później okazało się dla mnie wielkim ułatwieniem.

Komisarz Rensch udawał zażenowanego. Kiedy jednak Ignaz obrócił się i uściskał jego dłoń, szef wejherowskiej policji popatrzył triumfująco po całej sali.

– Wielkie jest znaczenie rozmów, wielki pożytek płynie z gromadzenia w umyśle i na papierze zasłyszanych szczegółów – Braun skupił się znowu.

– W swojej praktyce policyjnej wielokrotnie doświadczyłem błogosławieństwa rozmowy z ludźmi mogącymi przekazać coś interesującego. Drodzy państwo, praca policyjna wymaga od człowieka pokory i umiejętności słuchania. Wymaga też grzeczności, dlatego serdecznie proszę państwa o zajęcie miejsc przy stole. Nie godzi się, żebym traktował zgromadzonych lub szanownych obywateli miasta jak podsądnych.

Lekki szmer przeszedł po sali. Wszyscy, nie wyłączając komisarza oraz posterunkowych Myszka i Bochentina, zajęli miejsca przy stole. Zgromadzeni zaczęli ponownie spoglądać po sobie nawzajem.

Ignaz poprawił zsuwające się okulary.

– Kiedy otrzymałem od nadinspektora von Marburga ze stołecznego Wydziału Zabójstw polecenie udania się do Wejherowa, liczyłem się z wieloma trudnościami. Wcześniej brałem już udział w kilku śledztwach prowadzonych w niewielkich ośrodkach miejskich. Kiedy na przykład w bawarskim Ergoldsbach grasował „Chudy Willi”... Ale może opowiem o nim państwu innym razem. Tak więc zdawałem sobie sprawę, że tutejsza społeczność, stosunkowo hermetyczna i sparaliżowana potwornością zbrodni, będzie trudnym zbiorowym świadkiem. Nie omyliłem się, muszę jednak przyznać z radością, że wiele osób pomogło mi w prowadzeniu śledztwa. Nieoceniony komisarz Rensch, posterunkowy Myszk i inni.

Chciałbym niniejszym podziękować im gorąco, zwłaszcza że dzisiejszy wieczór jest niejako wieczorem pożegnalnym.

– Ma pan już tego sprawcę za kratkami? – nie wytrzymał Lewinsky.

– Błagam o nieco cierpliwości. Uznałem, że skoro niepokoiłem państwa swoimi pytaniami i stałem się niejako częścią tutejszego świata, zobowiązany jestem do przedstawienia głównym zainteresowanym moich wniosków, które znajdą się w oficjalnym raporcie opracowanym dla przełożonych. Zresztą od jutra cała sprawa przestanie być tajemnicą. Sprawca zostanie ujęty już dzisiaj. Państwo mieli prawo być pierwszymi...

– A jednak ujęty! – słaby okrzyk wydarł się z bujnej piersi pani Irmgardy.

– A jednak! – potwierdził inspektor Braun. – Jeżeli państwo pozwolą, cofniemy się teraz do niedalekiej przeszłości. Jej przypomnienie wyjaśni nam wiele.

Porozumiewawcze spojrzenie między inspektorem a Alslebenem wystarczyło, aby na środek wystąpił hotelarz.

– Niech państwo czują się jak u siebie w domu. Kelner! – nieco podniósł głos. – Kawa dla szanownych państwa. Wina będą donoszone. Sądzę, że wybrałem odpowiednie gatunki.

Po chwili przed czternastoma osobami siedzącymi przy stole stało czternaście filiżanek kuszących intensywnym aromatem. Obok nich pojawiło się kilka nowych butelek. Kelner czekał na najmniejsze nawet skinienie. Na zdezorientowanych gości wykwinтна oprawa działała deprimująco.

Inspektor Braun kontynuował.

– Od samego początku zdawałem sobie sprawę, że Johann Wenders nie był zwyczajnym młodym człowiekiem. Sama groza dokonanej na nim zbrodni nie była jeszcze argumentem; o szczególności charakteru i

zdolnościach Johanna przekonałem się, rozmawiając z jego rodzicami, potem ze znajomymi i pedagogami. Charakterystyczne, że zamordowany nie miał żadnych przyjaciół wśród gimnazjalistów. W żadnej rozmowie nie padło imię i nazwisko młodego człowieka, z którym mógłbym porozmawiać. Panna Kornelia powiedziała wprost, że Johann z nikim się nie przyjaźnił.

– Rozmawiałaś z inspektorem Braunem? – syknęła do służącej pani Wenders. Kornelia udała, że nie dosłyszała pytania.

– To także świadczyło o oryginalności charakteru Johanna. Gimnazjalista, który nie prowadzi życia właściwego osiemnastolatki? Nieczęsto zdarza się spotkać kogoś równie zagadkowego. Żadnego przyjaciela! Jak powiedziałem, już podczas rozmowy z rodzicami ofiary doświadczyłem pewności, że Johann był człowiekiem niezwykłym. Nie myślę tutaj o sukcesach szkolnych; te miewają również osoby o bardzo prostym charakterze. Mnie zafrapowało coś zupełnie innego.

– Poezje... – szepnęła z rozczuleniem pani Irmgarda, zapominając na moment o uwadze Ignaza na temat zeznania pokojówki.

– Ale po co opowiada nam pan o tym wszystkim?! – August Richter nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Proszę o nieco cierpliwości – odparł Braun. – Nic nie dzieje się bez przyczyny, a spostrzeżenia, o których opowiadam, doprowadzą mnie zaraz do faktów interesujących państwa najbardziej. Johann dość wcześnie zajął się poezją. Nieważne, kiedy; istotne jest, że mniej więcej rok temu zaczęły powstawać wiersze pełne tajemniczości. Panna Anna tłumaczyła mi, że inspiracją mogły być okoliczne wzgórza, atmosfera kalwarii, zainteresowanie cierpieniem ukrzyżowanego Chrystusa. Pamięta pani? Gimnazjalista miał być zafascynowany chustą św. Weroniki.

– Oczywiście, pamiętam – przytaknęła panna Richter.

– Właśnie. Johann czuł na sobie piętno osoby dźwigającej wizerunek męki. Nie miał żadnej chusty, za to w jego umysł wrył się głęboko obraz cierpienia, jakiego kiedyś musiał być świadkiem w okolicach kalwarii. Mógł to być napad, gwałt, kłótnia, podczas której ktoś wypowiedział bolesne słowa. Słowa niekiedy zabijają.

– Skąd pan to wszystko wie? – z podziwem w głosie zapytał Werner Lange.

– Intuicja, ale nie tylko. Przede wszystkim metodologia i dedukcja. Podczas wizyty w siedzibie gdańskiej policji zadałem sobie trud przejrzenia statystyk dotyczących przypadków łamania prawa w Wejherowie. Szukałem czegoś innego, ale właśnie owa statystyka wzbudziła moje zainteresowanie. Akta policji wejherowskiej mówiły to samo. Zapewniam państwa, że okolice kalwarii wcale nie są bezpieczne. Zresztą, w odróżnieniu od łaskawego pana, czytałem prawie wszystkie poezje Johanna. Wynika z nich jasno, że musiał doznać jakiegoś wstrząsu, jego psychika nie była przygotowana na coś, czego doświadczył. Stał się żywą, czującą chustą św. Weroniki. Nie potrafił poradzić sobie z duchowym cierpieniem. Chodził na kalwarię, pragnął odczarować miejsce, które kojarzył sobie z bólem. Wreszcie doszedł do wniosku, który dla jego przyszłości miał okazać się, w sensie dosłownym, zabójczy. Johann, aby oswoić się z przejmującym doświadczeniem, uznał je w końcu za najzupełniej nieodwołalne i oczywiste. Było to na swój sposób logiczne i ułatwiało egzystowanie pośród ludzi. Zło miało być czymś zwykłym i przyporządkowanym ludzkości. Ale nasz gimnazjalista musiał udowodnić sobie przyjętą właśnie prawdę.

– Czego jeszcze dowiemy się od pana inspektora?! – zawołał wzburzony Johannes Wenders. Zona lekko ucisnęła jego ramię.

– Z kilku rozmów wyniosłem pewność, że mniej więcej przed rokiem Johann się zmienił. Najlepiej dostrzegły to panna Anna i panna Kornelia, z którymi miewał kontakty wolne od zależności rodzinnej. Ale i pan profesor März zauważył niekorzystną zmianę. Johann, dźwigający ciężar tajemnicy, dotąd niejako poświęcał się dla ogółu. Chodził uśmiechnięty, uczył się dobrze, dusił w sobie to, czego doświadczył. Rok temu zaczął być skryty. Zdarzyło się coś, co musiał ukryć jak najgłębiej. Zrzucił z siebie jeden ciężar i przyjmował drugi. Złą chorobę wygonił chorobą jeszcze gorszą.

– Panienki, te zerwane kwiatki niewinności? – z wrodzoną szczerością zapytał Lewinsky.

Matka zamordowanego posłała rzeźnikowi groźne spojrzenie.

Ignaz udał, że nie słyszał pytania.

– Jeszcze przez kilkanaście dni Johann chwalił w domu pannę Annę, nadal uczył się dobrze, udając beztruskę, rozmawiał z panną Kornelią. Pod tą powłoką kryła się jednak narastająca determinacja prowadząca do bardzo oryginalnych czynów. Z czasem swoiście pojęta uczciwość doprowadziła do zmiany dotychczasowego zachowania. Nie mógł już żyć tak, jak dawniej. Zamykał się na otaczający go świat. Panna Kornelia zeznała, że już przed marcem 1900 roku Johann pisywał wiersze obrazujące jakieś tajemnicze zdarzenia z udziałem dziewcząt.

– Konkretnie dwa wiersze – podchwyciła nieśmiało służąca. – Były niestosowne. Potem napisał ich jeszcze ze trzy lub cztery. Te ostatnie były jeszcze bardziej konkretne.

– Otóż to! Nie miałem ich w ręce, ale wierzę panie Kornelii. Jest to osoba, która w wolnych chwilach czytuje kryminały i potrafiła uchwycić nastrój, który mniej lub bardziej świadomie skojarzył się jej z czymś niepokojącym, znanym z wyżej wymienionego rodzaju literatury. Nasza ofiara już wcześniej musiała czynić pewne zabiegi; zakładam, że

stosunkowo nieśmiało. Zatrzymajmy się teraz na 2 marca 1900 roku, albowiem dzień ów okazał się brzemenny w skutki. Od tamtego piątku udział państwa w całej sprawie, uświadomiony lub bezwiedny, właściwie się rozpoczyna.

Heinrich Berg obruszył się i po raz pierwszy zabrał głos.

– A co na przykład ja mogę mieć wspólnego z młodym Wendersem i jego dziewczętami?

– Każdy z państwa otrzymał jakąś rolę w przedstawieniu, w którym główną rolę grał Johann. Jego już nie ma, państwo grają dalej. Główne postacie i statysci. Odpowiedzialność podzielona jest oczywiście nierówno. Są winni, mniej winni i tacy, którzy przemknęli jak cień nad ostatnim rokiem życia nieszczęsnego Johanna. Ich rola też jest istotna. Wróćmy jednak do tamtego piątku. Czternastoletnia Elza, córka Arnolda Hoffmana, przyjechała z ojcem do Wejherowa. Mieszkał tu z rodziną brat jej ojca. Był Wielki Post. Hoffmanowie wraz z krewnymi z Sopotu pragnęli uczestniczyć w drodze krzyżowej.

– No cóż... – pobłażliwie wtrącił doktor Gessler.

– Elza i jej kuzynka postanowiły jeszcze przed uroczystością pójść na spacer. Dziewczęta mają swoje tajemnice, chciały być same. Wybrały się na kalwarię. Mogło być trochę po trzynastej. Na jednej z drózek spotkały Johanna. Młody człowiek, wysoki, przystojny, starszy od pańienek, wyraźnie im zaimponował. Z dużym znanstwem oprowadzał je po kapliczkach, pytał o rozmaite rzeczy, którymi interesują się czternastoletnie panny. Te obrazy odtwarzam z wyobraźni, ale tak mniej więcej mogły wyglądać scenki, które zza drzew łaskawie obserwował pan Richter – Ignaz z nieznacznym uśmiechem skłonił się w kierunku zamyślonego rzeźnika.

August Richter wzruszył ramionami i teatralnym gestem odrzucił w tył rozwianą siwą czuprynę.

– Niech pan się nie obraża – odparł Braun. – Tymczasem Johann zaczął faworyzować Elzę. Była ładna: czarne włosy, śniada cera, błyszczące oczy. Kuzynka, niezgrabna i pozbawiona zalotności, wreszcie zorientowała się, że tamtym dwojgu nie jest do niczego potrzebna. Najpierw próbowała odciągnąć Elzę od gimnazjalisty, tłumacząc, że rodzice i wujostwo na pewno zaczynają się martwić. Potem, rozłoszczona, pobiegła do domu. Elza i Johann zostali sami. Minął kwadrans, może dwa. Nasz młodzieniec dotknął dłoni panienki; nie protestowała. Może czytała przed snem jakieś romanse, może zaczynała budzić się w niej kobieta... Szczęście nie trwało zbyt długo. Na drózkę wyskoczył pan Richter, który, podejrzewając Johanna o romans z Anną, nienawidząc go za to i śledząc nieustannie, pragnął zneutralizować demoralizujące skłonności gimnazjalisty. Niewiele się namyślając, zdzielił Johanna swą suchą, kościstą dłonią. Ofiara upadła, pan Richter dopadł do niej, przytrzymał leżącego i zaczął opowiadać Elzie o wyssanych z palca i rzeczywistych poczynaniach Johanna. Tych pierwszych było więcej, w chłopcu dopiero rodziła się obsesja.

– Pan jest potworem! – krzyknęła pani Irmgarda w stronę rzeźnika, który, zdenerwowany, odwrócił się do niej plecami.

– Paradoksem jest – zauważył inspektor – że Johanna z Anną nic nie łączyło. Sądzę, że każdy młody człowiek, który pojawiłby się w domu państwa Richterów, stanowiłby zagrożenie dla pozycji gospodarza. Kiedy zmarła matka pani Anny, dziewczynka miała dwanaście lat. Żadnych krewnych, żadnej starszej ciotki, która mogłaby w jakimś sensie zastąpić zmarłą. Pochodzą państwo z Bremy, prawda? Samotność bywa straszna. Pan Richter całą swoją duszę zamknął w duszy córki. Kiedy panna Anna zaczęła chorować, jeszcze bardziej zaczął żyć jej życiem. Pojawił się Johann. Zatraskany o los córki ojciec śledził gimnazjalistę, kilka razy widział go spacerującego po kalwarii w towarzystwie dziewcząt.

Wyobraźnia zaczęła pracować. W końcu pan August doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem na usunięcie Johanna z życia panny Anny będzie wyrobienie mu w mieście złej opinii. Skąd to wiem? Wiedziałem, że napadł pan na Johanna przy Elzie. Był pan wtedy bardzo rozmowny. Kto śledził chłopca, musiał wiedzieć o różnych sytuacjach, które wcześniej zaistniały – ktoś widział Johanna w czyimś towarzystwie określonego dnia o określonej porze, inny potwierdził, że czyjaś córka interesuje się Johannem. Pan Richter przypadkiem widział taką parę. Przy osobach zainteresowanych bezpośrednio i postronnych wypowiadał kilka znaczących słów i w ten sposób realizował swój plan. Był też u państwa Hoffmanów, o czym dowiedziałem się podczas telefonicznej rozmowy z ojcem Elzy. Z przyczyn honorowych nie padło nazwisko pana Richtera, ale, zważywszy na jego postępowanie w samym Wejherowie, nie można mieć żadnych wątpliwości co do tożsamości donosiciela sprzed roku. W samym Wejherowie była to broń obosieczna, ponieważ Johanna rzeczywiście zaczęto uważać za młodzieńca rozpustnego. Skoro przychodził do panny Anny, jej opinia traciła wskutek zabiegów ojca. Pan August niechcący zaszkodził własnej córce. Pojawiły się plotki. Wracając do tamtego dnia...

– Sądzi pan, że on nie skrzywdził Elzy? – z mściwą ironią zapytał Richter.

– Tego nie powiedziałem. Wiem jednak, że nie skrzywdził jej w taki sposób, o jakim pan myśli.

Ignaz opowiedział zebrany o późniejszym milczeniu Elzy, jej wpatrywaniu się w lustro, wreszcie o robotniku Johannie wymieniającym klepki parkietowe, który został pogłaskany przez zahipnotyzowaną brzmieniem imienia Elzę.

– Nie zgwałcił jej. Badania lekarskie są jednoznaczne. Z pewnością zaraził ją jakimś złem; powiedział coś strasznego, może zwierzył się z

rozterek swojej duszy? Człowiek potrafi zgorszyć i przerazić również słowem. Misterną konstrukcję ludzkiej psychiki łatwo zamienić w gruzowisko. Może dał jej do przeczytania jakiś wiersz? Nie wiem, gdzie Johann ukrył Elżę; sugerowałbym którąś z komórek na lód, w okolicy kalwarii jest ich kilka. Po południu ani wieczorem policja nie znalazła dziewczynki. Wnoszę, że gdyby chciała zostać oswobodzona, odpowiedziałaby na nawoływania i szczekanie mopsów. Przecież już wcześniej nie chciała wracać z panem Richterem. Johann mógł przebywać z nią całą noc, kilkunastolatki niekiedy wymykają się z domu pod osłoną mroku. Pod koniec dnia nasz gimnazjalista był smutny, może targały nim jakieś wyrzuty sumienia, może bał się, że ktoś odkryje jego tajemnicę. Ale wcześniej przybiegł do panny Anny. Był podekscytowany, przeczytał jej „W bukowym lesie”. Właśnie rzucił z siebie chustę świętej Weroniki, a raczej owinął nią kogoś innego. Pozbył się na krótko ciężaru. Prawdopodobnie, tak jak chciał, zło, którego dokonał, przyniosło mu ulgę. Równocześnie zrobił to w taki sposób, że dziewczynka była zafascynowana osobą sprawcy i atmosferą towarzyszącą zdarzeniu. Zło niekiedy wydaje się piękne. Niech państwo zwrócą uwagę, że nigdy potem żadna z dziewcząt, które chodziły z Johannem na kalwarię, nie zdradziła nikomu swojego sekretu.

Inspektor sięgnął do kieszeni, wyjął z niej kartkę i odczytał zebrany wiersz Johanna.

– Cisza, samotność, las bez sumienia, mamy otoczenie wymarzone dla kogoś opanowanego obsesjami. Cień brunatny może oznaczać krew, ale raczej starą, zaschniętą, może dalekie wspomnienie tamtego pierwszego wstrząsu? Biel. Sukienka, niewinność. Połączenie dwóch barw, dwóch faktów, dwóch czasoprzestrzeni. Urok i jego odczarowanie. Dla panny Anny wiersz i zagadkowe okoliczności jego powstania musiały wydać się ważne, skoro zapamiętała je tak dokładnie. Johann tylko przez chwilę był

szczęśliwy. Powiedziałem już, że wieczorem, w domu, zdawał się przygnębiony i smutny. Wiedział, że wkroczył na grząski grunt, a jednocześnie pragnął dalej brnąć w zakamarki swojej duszy. Nie potrafił już żyć inaczej. Pojawiały się następne dziewczęta, chociaż one wracały na noc do domu. Strach przed odpowiedzialnością był na tyle duży, że Johann już nigdy nie odważył się na nocne ukrywanie panien. Jednak ani Johann, ani pan, panie Augustie, nie zdawaliście sobie sprawy, że był tam ktoś jeszcze. Ten ktoś śledził każdy ruch przyszłej ofiary i modlił się, aby Bóg oszczędził światu zgorszenia.

– Kto? – równocześnie zapytali Werner Lange i Joseph Lewinsky.

Wzrok inspektora popłynął po wszystkich zebranych. Na nikim nie zatrzymał się dłużej.

– Pozwolą państwo, że przejdę do innego wątku. Od kilku miesięcy Herbert Masslof pracował u Augusta Richtera. Z pozoru nie łączyło ich wiele. Pozycja społeczna, przeszłość, perspektywy, wszystko przemawiało za tym, że stosunki między pracodawcą a Masslofem oparte będą na zasadach zwyczajnej hierarchiczności. Tymczasem ze słów panny Anny, jak również z innych zeznań, wynikało, że pomocnik rzeźnicki uzyskał niemały wpływ na pryncypała. Zauważmy, że pan Richter nie jest osobą, która pozwoliłaby manipulować sobą każdemu. Jakie pytanie mogłem zadać sobie, kiedy dowiedziałem się o osobliwych stosunkach panujących w sklepie pana Augusta i w jego domu?

– Czy pan Masslof nie szantażuje pana Richtera – nieśmiały głos panny Kornelii przerwał ciszę. – Drugie pytanie: może łączy ich coś innego? Coś z przeszłości?

– Brawo, panienko! Takie właśnie pytania nurtowały mnie od pierwszych dni pobytu w Wejherowie. Nie znajdowałem na nie odpowiedzi. Wreszcie trafiłem do pana Heinricha Berga. Nie był on postacią, o której

mówiło się w kontekście zabójstwa, niemniej kilka wątków łączyło wzorowego gospodarza z całą sprawą. Jak z pewnością państwo wiedzą, głowa Johanna zawinięta była w „Neustädter Kreis–Zeitung”. Pan Berg prenumerował tę gazetę, wydawaną w określonym nakładzie. Szczegóły techniczne dotyczące prenumeraty są w tej chwili nieistotne, wyjaśniłem je głównemu zainteresowanemu (pamięta pan o zarachowaniu i jedyń, poza panem, indywidualnych prenumeratorach, panach Hohbauerze i Wolfie); ważne, że głowa Johanna zawinięta była właśnie w ten egzemplarz, który musiał pochodzić z domu pana Berga.

– I to ma być dowód mojej winy? – beznamiętnie zapytał Berg.

– Pozwoli pan, że będę kontynuował. Zapytałem pana Berga, czy nadal utrzymuje kontakty z Herbertem Masslofem. Pan Berg, człowiek przecież dumny i małomówny, ochoczo potwierdził. Zorientował się, że jego sytuacja, z uwagi na gazetę, stała się dwuznaczna. Nie zawahał się naznaczyć pośrednio Herberta Masslofa jako podejrzanego. Czymże innym była poprzedzona moim pytaniem sugestia wskazująca, że pomocnik mógł zabrać z domu niedawnego chlebodawcy nieszczęsny egzemplarz „Neustädter Kreis–Zeitung”.

– Serdecznie panu dziękuję! – powiedział Masslof i wzrokiem człowieka skrzywdzonego obrzucił Heinricha Berga.

– Tymczasem ja zadałem sobie jeszcze jedno pytanie. Czy Herbert Masslof jest zwornikiem? Czy nie jest tak, że coś łączy pana Augusta i pana Heinricha? Pomocnik rolny i pomocnik rzeźnicki, ta sama osoba, zachowuje się tak samo wobec obu pracodawców. Wtrąca się w ich sprawy, obaj poważają go jak równego sobie, w dodatku obaj są nim zachwyceni. Dlaczego? I czy jest to zachwyt szczery? Dopiero dzisiejszego ranka pan Masslof opowiedział komisarzowi Renschowi i mnie, na czym polegał jego fenomen. Sprytny pomocnik, pracując jeszcze u pana Berga, znał

oczywiście Augusta Richtera. Wszyscy w Wejherowie znają sklep mięsny i jego właściciela, Masslof podsłuchał gdzieś, że pan Richter podejrzewał jego pracodawcę o dostarczenie do sklepu mięsa zarażonego jakąś chorobą.

O podejzeniach dowiedziały się dwie, może trzy osoby. Pytałem pana Berga, czy zaopatruje się w sklepie pana Richtera. Odpowiedział, że nie, że jego gospodarstwo jest samowystarczalne. Nie dopowiedział jednak, że sam również nie dostarcza rzeźnikowi mięsa. Wspomniał jedynie, że plany współpracy upadły, zanim zaczęły przybierać bardziej konkretne kształty. Pojemne stwierdzenie, prawda? W perspektywie zeznania Herberta Masslofa ta asekuracja wiele wyjaśnia. Okazało się, że sprawa chorego bydła nie miała żadnych konsekwencji, pan Richter spalił rzeczoną sztukę i pragnął, aby sprawa przycichła. Tyle, że zaprzestał kupowania trzody i bydła u Heinricha Berga. Tymczasem mąż pani Edeltraut i zięć pani Heleny potrzebowali pieniędzy. Obie kobiety lubią dobrze się ubrać, dodatkowo pani Helena lubi dobrze zjeść, w czym akurat dobrze ją rozumiem.

Matka i córka z niedowierzaniem słuchały inspektora. Kiedy wypowiedział ich imiona, zdumienie sięgnęło zenitu. Nie podejrzewały siebie o wygórowane skłonności konsumpcyjne i nie czuły się winne postępowania męża i zięcia. Zaczynały się bowiem domyślać, do czego zmierza Braun.

– Herbert Masslof, przez lata bombardowany przez żonę i teściową narzekaniami dotyczącymi zarobków, zdecydował się na szantaż. Jako lojalny pracownik, uprzedził pana Berga o „niecnych zamiarach” rzeźnika. August Richter miał zagrozić, że jeżeli gospodarz nie wypłaci mu odszkodowania, policja i instytucje sanitarne dowiedzą się o zarażonych zwierzętach. On, lojalny Herbert, zagadnięty przez mściwego rzeźnika, poświęcił się i zgodził odegrać niewdzięczną rolę pośrednika. Pan Berg uwierzył. Nie wyobrażał sobie, aby Masslof chciał go oszukać. Sam nie

umie kłamać i nie podejrzewa o kłamstwo innych. Zresztą wzorowy gospodarz, starający się o ponowne przyznanie nagrody rolniczej, nie mógł sobie pozwolić, aby zła opinia wlokła się za nim nie wiadomo, jak długo. Wolał zapłacić. Niestety, pracownik rozzuchwalił się. W imieniu fikcyjnego szantażysty żądał kolejnych wypłat. W tym samym czasie zaczął zachodzić do Augusta Richtera. Ostrzegał, jako dobry chrześcijanin i prawy człowiek, że jego pracodawca planuje zemstę na rzeźniku, który ośmielił się szargać jego dobre imię. Rzeczywiście w dzień lub dwa po tym fakcie przed panem Augustem idącym ulicą spadła ciężka cegła. Następnego dnia sytuacja powtórzyła się. Pan Richter przeraził się nie na żarty i z wdzięczności za ostrzeżenie wypłacił Masslofowi niemałą sumę pieniędzy. Zdaje się dwieście marek, prawda?

– Prawda – Masslof zarumienił się jak pensjonarka.

– Nasz bohater bardzo szybko wkradł się w łaski pana Augusta. Wreszcie ten zaoferował Masslofowi pracę. Wiedział, że Herbert ma stosowne kwalifikacje, w dodatku cieszył się na myśl o posiadaniu pracownika zaufanego i oddanego. Wiedzą państwo, jak miły i przekonujący potrafi być obecny tu delikwent...

Tymczasem Heinrich Berg uprzedzony został przez dotychczasowego pomocnika, że ten, w charakterze szpiega, przebywać będzie na stałe w towarzystwie pana Richtera. Pan Berg boleśnie doświadczał trwającej w nieskończoność pazerności „Richtera”, tym chętniej zgodził się na oddelegowanie Masslofa do przeciwnika. Wszyscy byli zadowoleni, ponieważ po kilkunastu dniach Masslof doszedł do wniosku, że dalsze szantażowanie byłoby niebezpieczne. A nuż obaj oszukiwani spotkają się przypadkowo (lub celowo) i prawda wyjdzie na jaw? Mieli ku temu okazje. Pan Berg przestał być szantażowany, a pan Richter nie doświadczał więcej prób nastawiania na swoje życie.

– Módl się, żebyś szybko nie wyszedł z więzienia – krzyknął do Masslofa August Richter.

Masslof skulił się i odruchowo próbował ukryć twarz za plecami posterunkowego.

– Nasz błąd, nasze niedopatrzenie. Trzeba było wcześniej zrobić z nim porządek – odparł Berg, wyjął z kieszeni grzebień i przeczesał rzadkie, czarne włosy. Winowajcę, znajomego dawnego pracodawcę, zmroziła ta reakcja.

– Wróćmy jednak do Johanna. W ciągu ostatniego roku chłopiec zżerany był przez swoje obsesje. Również do niego docierały plotki o swoich prawdziwych i domniemanych romansach i przedziwnych spacerach po kalwarii. Pan Richter w swojej nadgorliwości rozpuścił informację, że jedną z ofiar zgubnych skłonności gimnazjalisty jest Żydówka. Wśród małej społeczności starozakonnych zawrzało. Cios w Johanna był skuteczny. Jak zawsze w takich wypadkach, ludzie doszli do przekonania, że wiedzą, kogo uwiódł Johann. Padło na dom Josepha Lewinsky'ego. Dlaczego? Sam pan Richter chciał w ten sposób dokuczyć konkurentowi, na dodatek mieszkającemu dwa domy dalej. Sześć zamężnych córek, w tym dwie nadal mieszkające w domu ojca; wygodny łup. Pan Lewinsky szczerze znienawidził Johanna. Taka hańba! Mniej już istotne, czy rzeczywista. Cień rzucony na którąś z córek jest czymś strasznym, zwłaszcza dla pobożnego Żyda. Pani Helena wspominała, że w domu pracodawcy odbywały się jakieś narady otoczone aurą tajemniczości. W styczniu i na początku lutego przychodził do pana aptekarz, Wolf Konitzer, prawda?

– Co znaczy, że przychodził? Przychodził.

– Dwa razy pojawił się Abraham, syn pana Josepha. Radzili, jak odwrócić od rodziny niekorzystne wrażenie wywołane przez plotkę. W

jednym miejscu, w jednej linijce raportu policyjnego znalazłem zdanie dotyczące pogłosek obciążających Margaritę Herzen z domu Lewinsky o romans z Johannem. Do spisku dwóch zatroskanych Żydów w sposób naturalny dołączył zaproszony przez nich Werner Lange. Miał na pieńku z panem Johannesem. Konkurencja, w dodatku sprawa odbitej przed laty narzeczonej... Stosunki między dwoma piekarzami dla nikogo nie były tajemnicą. Na przykład młynarz Jan Bianga opowiadał mi o relacjach między panami – Ignaz skłonił się Wendersowi i Langemu – a zna on panów, od strony zawodowej, jak mało kto. W domu pana Josepha uradzono, aby nastraszyć gimnazjalistę, i w ten prosty sposób skłonić go do zaprzestania gorszących praktyk. „Spiskowcy” nie mogli zrobić nic więcej. Nieco wcześniej Johann zaczął flirtować z pewną kobietą, zaniechaną, jej zdaniem, przez zapracowanego męża.

Pani Masslof zaczerwieniła się i spuściła głowę. Nikt nie zauważył jej zmieszania.

– Od niej pierwszej dowiedziałem się, że Johann mógł czuć się zagrożony. Owa kobieta opowiadała, że niechcący stała się świadkiem rozmowy gimnazjalisty z jakimś kolegą. Kolega miał ostrzegać Johanna przed rozpustnym trybem życia. Znam trochę ludzi, miałem kiedyś osiemnaście lat, nie spotkałem się nigdy z przestroga udzielaną jednemu gimnazjaliście przez drugiego w sprawie sercowych podbojów. Wierzę, że moja rozmówczyni mówiła prawdę, zakładam więc, że nie usłyszała pierwszej części rozmowy. Johann musiał zwierzyć się koledze, że otrzymuje anonimy, że ktoś straszy go śmiercią, dopiero wtedy tamten doradził wstrzeźliwość. Przyszła ofiara musiała być przerażona; Johann nie miał przecież żadnych serdecznych przyjaciół i skoro zwierzył się koledze... Sami państwo rozumieją. Na wątek listów naprowadziło mnie zeznanie pana Richtera dotyczące kartek z pamiętnika córki, co w połączeniu z

relacją kobiety, o której wspomniałem, daje nam pewien obraz tego zagadnienia. Listy pisane były lewą ręką, aby nikt nie mógł rozpoznać nadawcy. Mowa w nich była o panienkach i kobietach, o jakiejś żonie rzemieślnika. Również to wyczytał pan August z zaginionych kartek panny Anny, która o wszystkim usłyszała od samego Johanna. Już druga osoba, której zwierzał się gimnazjalista. Czy potwierdza pani zgodność moich słów z tym, co mówił do pani adresat anonimów?

Anna spojrzała prosto w oczy inspektora.

– Tak.

– Dziękuję. Johann rzeczywiście zerwał z kobietą, chociaż nie mógł przewyciężyć najbardziej wyniszczającej skłonności. Nadal prowadził ufne dziewczęta na spacer po kalwarii. Systematycznie, co kilka dni, nadchodziły anonimy, nasz gimnazjalista czuł się coraz bardziej zaszczuły. Smutniał. Tymczasem panowie Lewinsky, Konitzer i Lange ufali, że działają w dobrej wierze. Metoda nieszczególna, ale cel szczytny! Listy dostarczano tak, aby rodzice nie zauważyli wzmożonej korespondencji napływającej do syna; dlatego tylko niektóre z anonimów, których „nadawcą” były towarzystwa naukowe lub koledzy, przychodziły pocztą. Lepiej dmuchać na zimne. Przed spiskowcami już na początku pojawił się techniczny problem. Pozostałe listy trzeba było jakoś podrzucać. W bezpośredniej bliskości domu państwa Wendersów nie mógł pojawiać się Joseph Lewinsky; jest zbyt charakterystyczny. Pan Konitzer zdawałby się odpowiedniejszy, ale nie grzeszył zbytnim sprytem. Gdyby natomiast pod dom Richtarów zachodził pan Lange, konkurent i właściwie wróg pana Johanna, jego tajemnicze zachowanie zostałoby zauważone w ciągu kwadransa. Niech państwo zgadną, kto pomógł naszym stróżom moralności?

– Może pan Masslof? – zatarł ręce Leo Gessler i podkreślił sztywnego wąsa.

– Ma pan trafność, doktorze. Nasz Herbert znany był w Wejherowie jako człowiek, który potrafi pomóc w każdej sytuacji. Nie przeszkadzało mu, że został zaangażowany przez konkurenta swojego pracodawcy. W końcu nie tak dawno działał na dwa fronty (myślę o sprawie pana Richtera i pana Berga). Zresztą jego teściowa pracowała już wtedy u pana Lewinsky’ego i z jej opowiadań Masslof przekonał się, że Żydzi są normalnymi ludźmi. Pan Joseph dotarł do Herberta właśnie przez jego teściową. Ciąg dalszy był już prosty; Masslof miał wytrychy, potrafił dostać się do mieszkania państwa Wendersów i robił to wielokrotnie. Listy podrzucał w pokoju Johanna, co powodowało, że gimnazjalista czuł się coraz bardziej osaczony. Dom często pozostawał pusty. Johann w szkole, pan Johannes w sklepie, pani Irmgarda w towarzystwie panny Kornelii na zakupach. Masslof mógł wychodzić z pracy, kiedy tylko chciał, pod warunkiem że wcześniej wykonał swoje obowiązki. A pracował sprawnie i szybko... Dzisiaj rano poznałem szczegóły tej sprawy. Zrozumiałem, dlaczego szanowny pan Masslof tak bardzo przeraził się, gdy opowiadałem w jego obecności o postępach daktyloskopii.

– Tylko taki człowiek mógł zabić Johanna – powiedziała pani Irmgarda.
– Niech pan wreszcie powie, czy to on zabił mojego syna!

– Cały czas zmierzam do finału, łaskawa pani. Otóż atmosfera wokół Johanna zagęszczała się. Czuł, że jest śledzony, dostawał coraz groźniejsze listy. Nadal jednak widywano go oprowadzającego panienki po kalwaryjskich wzgórzach. Były osoby, którym próbował wmówić, że nie robi nic złego. Córka pana Augusta uważała, że nasz gimnazjalista spaceruje w towarzystwie dziewcząt wyłącznie w celu uzyskania poetyckiego natchnienia i co najwyżej trzyma je za rękę. Mówiłem już, że

nie tylko pan Richter śledził Johanna. Biedak czuł, że coś musi się wydarzyć. Na dzień przed porwaniem musiał otrzymać zapowiedź zobowiązującą go pod groźbą do stawienia się w jakimś odludnym miejscu. Pani Irmgarda powiedziała mi, że jej syn był niezwykle przygnębiony, nie zjadł obiadu ani kolacji, szukał pretekstu, żeby nie rozmawiać z matką. Jedyne, czego pragnął, to iść na górę do swojego pokoju. Rano natomiast wystroił się, jakby szedł do sądu, i powiedział do pani Irmgardy: „Nie martw się mamó, wszystko będzie dobrze”. Niezwykła sytuacja. Wiedział, że czeka go rozprawa z prześladowcą. Co ciekawe, chyba do końca nie podejrzewał, kto jest jego prawdziwym wrogiem. Jego myśli kierowały się w stronę sekty, o której istnieniu dowiedziałem się od posterunkowego Myszka. Profesorze März, czy był pan kiedyś członkiem Kościoła Wiernych Chrystusowych?

Nauczyciel zamrugnął oczami i sięgnął po chusteczkę.

– Ale...

– Był pan. Dziękuję. Podczas lekcji języka niemieckiego pan profesor, dbający o wszechstronne wykształcenie swoich uczniów, niejednokrotnie nawiązywał do kwestii wyznaniowych. Miał własne, stosunkowo bogate doświadczenia. W młodości zaangażował się w ruch kontestujący decyzje Soboru Watykańskiego, ciążył w stronę starokatolików. Potem związał się właśnie z owym Kościołem Wiernych Chrystusowych. Sekta, jak na sektę przystało, bardzo pryncypialnie podchodziła do spraw cielesności. Profesor, całe życie zainteresowany kwestiami wyznaniowymi, opowiadał uczniom również o tamtej wspólnotce. Johann, słysząc o nieczystości, grzechu, karze piekielnej dla zatwardziałych jawnochrześcijan, brał wszystko do siebie. Zachował się jak pies, który błyskawicę spadającą z nieba traktuje jako osobisty atak na siebie. Sądził, że jego nauczyciel, owładnięty manią walki z grzechem, go prześladowuje. Muszę przyznać, że opowiada pan o takich

rzeczach w sposób niezwykle sugestywny. Kiedy spotkałem pana w wielkanocny poniedziałek, powiedział pan, że Johanna zabiły żądze i namiętności. Było też coś o diabłach... Dzień przed zaginięciem Johann mówił swojemu nauczycielowi, że go zabije. Woźny, pan Albert, który razem z żoną należy do Kościoła Wiernych Chrystusowych, usłyszał od pana, że to pan zabije Johanna. Niestety, profesor März, skarżąc się swojemu dawnemu współwyznawcy, był niedysponowany, stąd jego relacja była nieco chaotyczna i woźny opatrnie zrozumiał słowa rozmówcy. Sam przekonałem się, że pan profesor pod wpływem... środków uspokajających mówi niejasno i miesza różne rzeczy.

– Pan Wilhelm lubi sobie wypić, wszyscy o tym wiedzą – zaśmiał się Masslof zadowolony, że uwaga zebranych odwróciła się od niego samego. Wilhelm März skulił się i rozbieganymi oczami rzucał na prawo i lewo.

– Johann, po raz kolejny usłyszawszy o ujęciu grzechu w rozmaitych wyznaniach chrześcijańskich, nie wytrzymał i po ostatniej lekcji poszedł do profesora. Zapowiedział, że jeżeli nauczyciel nie da mu spokoju, zabije go. Zwykła reakcja obronna zaszczutego młodego człowieka, podejrzewającego nauczyciela o autorstwo anonimów, prawdopodobnie zwrot retoryczny, ale pan profesor jest nadwrażliwym człowiekiem i każdą przykrość przyjmuje głęboko do serca. Napił się pan, niestety, i w przyпіlywie szczerości oraz rozpaczcy opowiedział woźnemu o doznanej przykrości. Doszło do nieporozumienia, o którym już wspomniałem.

– Tak było! – zapłakał Wilhelm März. – Johann był moim najlepszym uczniem i mówiąc o rzeczach skomplikowanych, zawsze patrzyłem głównie na niego. Robiłem to odruchowo. A on pomyślał... Zaraz, jak pan odtworzył...?

– Pomogło mi pana roztargnienie, profesorze. Pamięta pan teczkę zawierającą dwadzieścia wierszy, o którą poprosiłem podczas rozmowy w

gimnazjum?

– O mój Boże! –jęknął pan März.

– Wspominał pan, że było w niej trzydzieści kart. Rzeczywiście, w tym przypadku pamięć nie zawiodła pana profesora. Jednak teczka zawierała coś jeszcze. Jedną dodatkową kartkę, którą zamierzał pan przekazać Johannowi razem z wierszami. Johann musiał poprosić pana o oddanie wierszy. Wiersze miały być jego alibi, ponieważ zawierały coś w rodzaju skruchy. Jeśli pan okazałby się nadawcą anonimów i wyznaczył Johannowi spotkanie z jakimiś przedstawicielami sekty, liczył, że przeczyta pan te wiersze zanim dojdzie do spotkania. Jeśli doszłoby jednak do spotkania z kimś innym, kogo wcześniej nie brał pod uwagę, chciał mieć wiersze przy sobie. Słabe alibi, ale człowiek zagrożony chwyta się nawet mglistych przesłanek mogących mu pomóc. W dzień poprzedzający porwanie pragnący oczyścić się z zarzutów wysuwanych przez ucznia nauczyciel napisał swoją, jeśli można tak powiedzieć, obronę. Pan, profesorze, nie chciał już rozmawiać z Johannem na temat jego podejrzeń. Jest pan, mimo całej swojej oryginalności, pruskim pedagogiem i duma nie pozwalała panu stanąć twarzą w twarz z uczniem i usprawiedliwiać się przed nim z czegoś, co w ogóle nie zagościło w pańskim umyśle. Alkohol także zrobił swoje. Tak więc w dwa dni po naszym spotkaniu przeczytałem o pańskiej rozmowie z Johannem. List pisany pod wpływem zamroczenia włożony został do teczki i pan zwyczajnie o nim zapomniał. Musiał pan znajdować się w fatalnym stanie...

– Tak! – ucieszył się nauczyciel, wytarł nos i spojrzał w stronę rodziców zamordowanego. – Wierzą mi państwo, że nie zabiłem Johanna?

Kamienna twarz Wendersa wyraźnie kontrastowała z roztrzęsieniem malującym się na obliczu pani Irmgardy.

– Pozostaje mi jeszcze zapytać, dlaczego Johann ostatniego dnia pytał pana o starokatolików. Czy dlatego, że zamierzał pana czymś szantażować?

– Możliwe – odpowiedział Wilhelm März uradowany, że uniknął posądzenia o zabójstwo. – Ja kiedyś poniekąd zdradziłem swoich współwyznawców. Johann musiał się dowiedzieć, że opowiadałem różnym osobom o szczegółach dotyczących starokatolików i sekty. Osobom niezycliwym. Takie rzeczy zawsze wychodzą na wierzch i ciągną się za człowiekiem. Może powiedział mu o tym woźny, który do końca nie wybaczył mi późniejszego odejścia od Kościoła Wiernych Chrystusowych? Czy Johann sądził, jeśli wierzył w moje autorstwo anonimów, że będzie mógł mnie szantażować, gdyby przyszło mi do głowy zaostrzyć walkę z jego przypadłościami? Mógł tak kalkulować! Teraz wszystko staje się jasne.

– Ze słów pana profesora wynikało, że Johann również ostatniego dnia był smutny. Zgadza się to z zeznaniem pani Irmgardy. Zajęcia jego klasy w dniu 15 lutego trwały do czternastej piętnaście, prawda?

– Tak – potwierdził März.

– Dlaczego nie przekazał pan Johannowi wierszy jeszcze tego samego dnia, kiedy o to prosił, czyli na dzień przed porwaniem? Z pańskiego listu wynikało, że Johannowi bardzo na tym zależało.

– Przedtem próbowałem zabić czas przewracaniem do góry nogami księgarni pana Gehrmana na Lęborskiej. Potem piłem, pisałem ten list, wtedy pamiętałem o wierszach, następnego dnia rano zorientowałem się, że teczka gdzieś się zawieruszyła. Znalazłem ją, kiedy już biedaczek zaginął.

– Ja mam tę teczkę. Mam również kartki z dziennika panny Anny. Z obu dokumentów wynika, że Johann mógł być niewinny. Gdyby morderca znał treść obu dokumentów, może nie zrealizowałby swojego zamiaru. W tej oto sali znajdują się, schowane bezpiecznie, dwie teuczki. Wiersze i fragmenty dziennika.

Krzesło upadło z wielkim hukiem. Johannes zerwał się na równe nogi, a potem jak oszalały rzucił się w kierunku komódek, szafek i kredensików. Otwierał je, wyciągał szuflady i bezsilnym wzrokiem szukał dowodów niewinności syna. Dwaj posterunkowi rzucili się w jego kierunku, ale inspektor w ostatniej chwili powstrzymał ich.

– Gdzie to jest?! Powiedz, draniu, gdzie to jest! Nie baw się ze mną, dosyć się nacierpiałem... Chodź tutaj – obrócił się w stronę Christiana Meiera – i pomóż mi! Potrafiłeś tylko spuścić głowę i słuchać starego osła! Chodź tutaj, muszę uratować moje dziecko. Dlaczego mu nie wierzyłem?! Boże, dlaczego?!

Skronie mordercy nabrzmiały krwią i pulsowały, jakby chciały wytoczyć na wierzch nadmiar krwi. Asesor poderwał się, przez moment walczył ze sobą, wreszcie ruszył w stronę Wendersa.

– Ty chciałeś być Bogiem?! Chciałeś wymierzyć sprawiedliwość?! Zgubiłeś jego, mnie i samego siebie!

Oczy Johanna pociemniały. Stał z rozwianymi włosami, zwałisty, potężny, nagle chwycił się za serce, potem wyciągnął olbrzymią, rozczapierzoną dłoń w kierunku Meiera i runął na podłogę.

– Doktorze, szybko! – krzyknął Ignaz.

Gessler dopadł do leżącego, próbował go reanimować, ale po chwili wstał i rozłożył ręce. Potem bez zbytecznych słów dotknął okolicy swojego serca. Stojąca przy nim pani Irmgarda zanosła się szlochem.



Drzewo, które nie wydało dobrego owocu

Na sali panowała cisza. W pierwszym odruchu wszyscy, przekrzykując się, komentowali zdarzenie, które poraziło ich niczym piorun. Wreszcie umilkli jak na zawołanie. Kiedy już wyniesiono ciało zmarłego, a pani Irmgarda po zaaplikowaniu przez Gesslera soli trzeźwiących dochodziła do siebie, natomiast Christian Meier z nałożonymi przez posterunkowego Myszka kajdankami usiadł na krześle oddalonym nieco od stołu, inspektor, hamując wzburzenie, rozpoczął ostatni wątek swojej relacji.

– Przykro mi, że tak się to wszystko skończyło. Przewidywałem, że obecność pana doktora może być niezbędna, szkoda tylko, że okoliczności od nas niezależne nie pozwoliły uratować tego człowieka. Winien jestem państwu ostateczne wyjaśnienie. Wspominałem już, że Johann przez cały czas czuł się śledzony. Nie tylko August Richter śledził gimnazjalistę. Johannes Wenders, ojciec, którego córka została katolicką zakonnica, wiązał wielkie nadzieje ze swoją jedyną pociechą, uwielbianym synem. Pani Irmgarda i jej mąż żyli ze sobą na stopie raczej przyjacielskiej; on kochał wyłącznie syna, w nim ulokował wszystkie swoje nadzieje i uczucia. Śledził postępy Johanna w nauce, starał się rozmawiać z nim na wszystkie tematy, które mogły zainteresować kilkunastoletniego chłopca. Niestety,

ojciec nie dostrzegł czegoś, co spowodowało, że Johann zaczął odróżniać się od swoich rówieśników. Piekarz był człowiekiem prostolinijnym; tak jak większość jego znajomych, gardził słabością, kłamstwem i tchórzostwem. Swoiste poczucie honoru i odpowiedzialności pozwala ludziom tego rodzaju dokonać zbrodni, byle nie doszło do pojawienia się jakiegokolwiek rysy na obrazie świata, który ich ukształtował i który pragnęliby przekazać następnym pokoleniom.

Ignaz ze współczuciem spojrział na panią Irmgardę.

– Przejdę teraz do bardzo drażliwej kwestii, która dla zainteresowanych będzie z pewnością bolesna i niewygodna. Od początku, kiedy tylko zapoznałem się z aktami sprawy, podejrzewałem, że sprawca w pojedynkę nie zdołałby uprowadzić i zabić Johanna. Z zeznania pani Leokadii Biangi wynikało, że Johann był okazem zdrowia. Silny, zręczny, często brał udział w zawodach sportowych. Dobrze skakał na odległość, szybko biegał, z łatwością dźwigał ciężką sztangę. Można założyć, że dałby sobie radę z jednym napastnikiem, chociażby takim, który działał przez zaskoczenie i również nie był ułomkiem. Determinacja ofiary częstokroć bywa większa niż wściekłość mordercy. Tak więc sprawca raczej nie mógł działać sam. Z tych samych zeznań wynikało, że Johann w momencie spotkania musiał rozpoznać napastników. Wiedział przecież, ponieważ sam nie był święty, czym grozi oddalanie się w towarzystwie nieznanym. Kto mógł pomagać panu Johannesowi w tak ohydnych przedsięwzięciach? Christian Meier nie wygląda na mordercę, ale kroniki policyjne mówią nie o takich przypadkach.

Zebrani zwrócili głowy w kierunku asesora notarialnego. Meier skulił się, wlepił wzrok w ciemny kąt i drżał jak osika. Chłopiec hotelowy w granatowym uniformie, który uśmiechał się drwiąco na widok oskarżonego, dostał od pana Alslebena lekkiego kuksańca pod żebro.

– Mówiłem, że Johannes Wenders żył z żoną na stopie przyjacielskiej. Pani Irmgarda, kobieta piękna i podchodząca do ludzi z pasją i ciekawością, nie znajdowała u męża tego, czego kobieta pragnie najbardziej: ciepła i zrozumienia swoich marzeń, tęsknot i ambicji. Próbowwała zabić czas, działając w Towarzystwie Biblijnym, chodząc na zakupy i przyjmując gości. Wreszcie w jej życiu pojawił się Christian Meier.

– Pan jest wstrętny! A ja tak panu ufałam! – krzyknęła Irmgarda i zemdląła. Panna Kornelia, która cały czas trzymała swoją panią za rękę, zabrała się do cucenia. Pomagał jej doktor Gessler.

– Przykro mi, ja tylko wykonuję swoje obowiązki – powiedział zakłopotany Braun. – Asesor zatrudniony u pana Gustawa Augusta Nowoczyna został, hm... bliskim przyjacielem pani Irmgardy. Młody, wrażliwy, inteligentny człowiek bardzo przeżywał każde spotkanie z ponętą mężatką. Nie potrafił zacierać śladów, zdradzał się mimiką, gestami, niekiedy wypowiedział jakieś nieopatrzne słowo. Zwróciłem na niego szczególną uwagę, kiedy powiedział, że nie wiedział o „dziwactwach” Johanna. Całe miasto, dzięki panu Richterowi, wiedziało o zamięłowaniach gimnazjalisty, a pan Meier, regularnie odwiedzający dom Wendersów, nie wie nic! W dodatku ani Johann, ani jego ojciec mieli nie zdawać sobie sprawy ze szczególnej pozycji pana Meiera w ich domu... Zupełnie niewiarygodne zeznanie! Z półsłówek i niedokończonych zdań zawartych w kilku zeznaniach przechowywanych w aktach policyjnych zorientowałem się, co łączyło asesora z panią Irmgardą. Meier w dniu porwania był u pani Irmgardy, starał się ją uspokoić (była zmartwiona wcześniejszym zachowaniem syna), nie bardzo mu to wychodziło. Chęć zobaczenia przyjaciółki nie była jednak powodem wizyty. Asesor był u Johanna Wendersa, prawdopodobnie rozmawiał z nim na zapleczu, i musiał mieć jakieś alibi w razie odkrycia jego obecności w domu przyszłej

ofiary, poszedł więc również na górę i rozmawiał z panią domu. Piekarz zwyczajnie zagroził młodemu prawnikowi, że pan Nowoczyn i rodzina Meiera dowiedzą się o romansie z mężatką. Nie ma innego wytłumaczenia. Potrzebował pomocnika i uznał bez skrępowań, że Meier ma wobec niego olbrzymi dług, który należało spłacić. Dla Christiana, żmudnie pnącego się po szczeblach prawniczej kariery, nie było alternatywy.

Nie chciał zawieść rodziny, która przez lata łożyła na jego wykształcenie, był też świadom, ile wyrzeczeń kosztowało go dojście do stanowiska asesora notarialnego. Nie chciał stracić swojej szansy i, chcąc nie chcąc, uznał, że pora na spłatę długu.

– Nie zrobiłem tego z własnej woli! – zapłakał Meier.

– Zmusił mnie. Cały czas miałem wyrzuty sumienia...

– Zapewne – odparł Ignaz – ale to nie zmniejsza pańskiej odpowiedzialności. Przejdźmy teraz do dnia porwania. Johann mówi matce, że rozmawiał z ojcem. Uśmiechał się smutno. Można sobie wyobrazić, ile kosztowałoby przyszłą ofiarę zwierzenie się matce, co jest przyczyną fatalnego nastroju. Pani Irmgarda miała bardzo wyidealizowane wyobrażenie o swoim synu, on zaś kochał ją i nie chciał sprawić bólu nieszczęsnej kobiecie. Nie odważył się powiedzieć o swoich pasjach ani o tym, że ojciec listownie, a potem jeszcze osobiście zapowiedział mu spotkanie za miastem. Tam nikt nie miał im przeszkadzać... Piekarz przestraszył się, że Johann, w obawie przed jakimiś szaleńcami, nie przyjdzie na spotkanie i wieczorem zdecydował się osobiście zapewnić syna, że to on sam zapragnął się z nim rozmówić. Nie wiem, czy to uspokoiło Johanna. Przecież następnego dnia myślał o szantażu wobec profesora Märza. Pomyślał, że anonimy są dziełem ojca. Ale jeżeli to profesor? Należało się ubezpieczyć przed nauczycielem. Kiedy ten w dzień porwania nie zwrócił wierszy,

podejrzenia Johanna znowu zaczęły kierować się w stronę byłego członka sekty.

Meier otępiąłym wzrokiem wpatrywał się w Brauna. Wreszcie szepnął:

– Po co pan tu przyjechał...

– Murarz Scholl, który widział cienie sprawców, twierdzi, że ofiara musiała być wyczerpana czymś na kształt długotrwałego przesłuchania lub sądu. Kiedy świadek podszedł do zamkniętej komórki, w której przetrzymywano Johanna, ten, myśląc, że ojciec i Meier wrócili, żeby znowu go dręczyć, jęknął: „Dajcie mi już spokój. Zabijcie albo wypuśćcie”. Pan Scholl zauważył, że jeden z mężczyzn był znacznie starszy od drugiego, młodszy natomiast miał chrypkę.

– Pamiętam, byłeś wtedy zaziębiony! – krzyknęła pani Irmgarda.

– Nie wiedziałem, że ktoś nas śledził – powiedział Meier z rozpaczą w głosie. – Gdyby się ujawnił, może nie doszłoby do najgorszego. Bylibyśmy zgubieni, ale Johann żyłby do dzisiaj. Wróciliśmy tam nad ranem. Pracę zaczynałem o siódmej, on powiedział Irmgardzie, że wychodzi do piekarni. Poszliśmy do lasu. Johann przestraszył się, ale miał jeszcze nadzieję, że ojciec mu wybaczy. Wenders powiedział, że czuje się jak drzewo, które nie wydało dobrego owocu. Zapłakał nad Johannem i nad sobą, a potem raz jeszcze zażądał, żeby syn opowiedział o tych dziewczętach. Kiedy usłyszał, że wprawdzie panienki poznawały smak bólu i radości, ale tylko w sposób mistyczny traciły niewinność, wpadł w szal. To były sekundy. Sięgnął po nóż i poderżnął synowi gardło. Działał jak w amoku, ale zaraz ochłonął. Nie zaniedbał szczegółów. Poćwiartował ciało, ja trzymałem nogi i ręce. Kiedy zabrał się za głowę, zemdlałem. Miał dużą wprawę, podobno w czasie służby wojskowej przez dwa lata pracował w kuchni. Przedtem i potem powtarzał, że tak musiało się zdarzyć, żeby nie nastąpiły jeszcze większe nieszczęścia.

– Te słowa nie są zaskakujące. Wiele osób tak mówiło, intuicyjnie wyczuwając przyczynę śmierci Johanna. Wspomniany pan Scholl powiedział, że morderstwa dokonano, aby „wszystko było po staremu”. Pewien szanowany człowiek z sąsiedniego Lęborka – Ignaz uśmiechnął się lekko – wypowiedział słowa, które miały dotyczyć firmy, w której pracuje. Brzmiało to mniej więcej tak: „Kiedy jakaś gałąź usycha, odcinamy ją dla dobra ogółu, nie bacząc na koneksje rodzinne i towarzyskie. Ta zasada powinna obowiązywać w każdej dziedzinie życia”. Zapadły mi w pamięć te słowa, wypowiedziane przecież w jak najlepszej wierze. Z wolna dojrzewała we mnie koncepcja ofiary. Ofiary złożonej z własnego syna. Dobro ogółu wymagało absolutnego poświęcenia siebie i całego swojego życia; nie tylko swojego, niestety. Trafiłem do Wejherowa w bardzo specyficznym czasie. Wielkanoc przyniosła mi refleksję na temat tego, co stało się z Johannem. W Wielki Czwartek uświadomiłem sobie, że ofiara z tego, co najcenniejsze, zdarzyła się już kiedyś. W Wielki Piątek analogia stała się dla mnie jeszcze oczywistsza. Nie porównuję Johanna do Chrystusa, interesuje mnie sama zasada. Rezurekcja przywołała poprzednie myśli. Morderca chciał oczyścić miasto, przywrócić poprzedni ład mikrokosmosu. Lepiej, żeby zginął jeden... Psalm śpiewany po wyjściu ze zboru był niezwykle znaczący. Pan powściągnął swoje zagniewanie... Zaniechał oburzenia na swój lud... Nie powinniśmy znów stać się nierozsądni... Sprawiedliwy pójdzie krokami pańskimi... Poszczególne fragmenty psalmu ujęte w całość czynią niezapomniane wrażenie. Johannes zdawał sobie sprawę ze zgorszenia, jakie czyni zachowanie syna. Śledził go, wiedział wiele o spacerach na kalwarii, ale wiedział też o anonimach, to pewne. Dowodziły one, że opinia społeczna wie, jaki wpływ na ludzi ma zachowanie Johanna. Trzeba było z tym skończyć. Niech pan opowiada dalej.

– Dalej? – zdziwił się Meier. – Dalej? Najpierw zawinęliśmy korpus, podzielony na dwie części, w papier pakowy i zanieśliśmy w miejsce, gdzie potem go znaleziono. To było w środę wieczorem, bo rano już nie zdążyliśmy. Odkrycia dokonano w sobotę. Potem na cmentarzu znaleziono ramię, może psy je wygrzebały? Wenders sądził, że zakopał je głęboko. Prawe ramię i prawą nogę wyniósł sam; nie wiem, gdzie leżą. Rozrzucił szczątki, żeby podejrzenie padło na jakiegoś szaleńca.

– Miejsce było stosowne – zauważył inspektor – cmentarz ewangelicki. Niech pan powie jeszcze, dlaczego lewe udo, które odnaleziono nad Cedronem, leżało w wodzie tylko tydzień? Co działo się z nim przez trzy poprzedzające tygodnie?

– Johannes. On zwariował. Opowiadał, że Johann w dzieciństwie doznał jakiegoś skomplikowanego złamania. Sądzono, że nogę trzeba będzie amputować. Kiedy zabierałem się do pakowania, jeszcze w środę, Wenders zabronił. Przytulił swoją twarz do tej nogi, zaczął płakać i powiedział, że się z nią nie rozstanie. Okładał ją lodem i trzymał w komórce. Potem, kiedy zaczęła gnić, odciął psującą się część, a udo wrzucił do rzeczki. Bardzo to przeżył.

– Kilka drobnych faktów zdradzało niezwykły stan, w jakim znajdował się Johannes – dopowiedział Braun.

– Pani Irmgarda powiedziała o mężu, iż nie uznaje on żadnej słabości. Tymczasem w odniesieniu do któregoś z feralnych dni powiedziała: „leżał jak zabity”. Skoro opowiedziała o tym fakcie, zachowanie Wendersa musiało być, tak jak w przypadku wspomnianej przez nią wcześniej pogawędki, czymś wyjątkowym. Kiedy w wielkanocny poniedziałek przy kaplicy nad Cedronem zostały odnalezione spodnie i marynarka...

– Marynarka była z samego Gdańska. Herman Katschmarek, Hundegasse 27 – przerwała pani Irmgarda i zanosła się płaczem. Kornelia

przytuliła ją mocno.

– Właśnie. W kieszeni znajdowały się ołówek i bursztynowe, nieoszlifowane serduszko. Johannes nie chciał przedmiotów należących do syna. Zdecydował, żeby oddać je żonie. Bał się wspomnień, może wyrzutów sumienia? Historia z nogą potwierdzałaby taką hipotezę. A on tak bardzo chciał być silny... Zastanowiła mnie również siła fizyczna Wendersa. Kiedy podał mi swoją dłoń i omal nie zmiądzzył mojej potężnym uściskiem, uświadomiłem sobie, że ktoś taki musi posiadać także silną wolę.

– Niech pan teraz opowie o głowie zawiniętej w gazetę i o całej reszcie – odezwał się komisarz Rensch. – Zadziwiająca historia!

– Właśnie. Przybyłem tutaj w połowie marca i trochę czasu zajęło mi zorientowanie się w plątaninie wzajemnych relacji, sympatii i niechęci. Aż do dzisiejszego południa odkrywałem osobliwe sieci, którymi powiązane były osoby zamieszane w sprawę młodego Wendersa. Mówiłem już o anonimach wysyłanych przez panów Lewinsky’ego, Konitzera i Langego, mówiłem o podwójnej grze Masslofa i podsycanej przez niego wzajemnej antypatii panów Berga i Richtera. Heinrich Berg powiedział mi, że znał Wendersa z posiedzeń rady parafialnej, wrócimy do tego za moment.

– Zgadza się – potwierdził Berg i powoli zapalił papierosa.

– Powiedział pan, że jest możliwe, aby egzemplarz „Neustädter Kreis-Zeitung” mógł zniknąć z domu za sprawą Herberta Masslofa. Słusznie. Właśnie Masslof zabrał z pańskiego gospodarstwa gazetę. Powiem więcej. On zawiązał w nią głowę Johanna.

Z dłoni Berga wypadł papieros. Gospodarz spojrzał ostro na Masslofa.

– Herbert Masslof – kontynuował inspektor – powiedział, że w noc po porwaniu Johanna widział w piwnicy domu pana Lewinsky’ego dwóch mężczyzn w sytuacji pozwalającej się domyślać ich sprawstwa. Cienie

ćwiartujące tuszę za zasłoną, tak ujął to nasz przyjaciel Herbert. Śledził potem panów Lewinsky'ego i Konitzera, którzy nad rzeczką porzucili paczki. O Masslofie da się powiedzieć wiele, tylko nie to, że jest głupi. Po co miałyby ryzykować stosowanie konfabulacji, skoro dokładne przesłuchanie rzeźnika i aptekarza mogło wszystko wyjaśnić. Herbert Masslof mówił prawdę, widział obu mężczyzn w zadziwiających okolicznościach. Nie wiedział jednak, co było w paczkach. Ja już wiem. Tak się składa, że kilka dni temu straż Zarządu Dróg Żelaznych zatrzymała w Gdańsku niejakiego Gottlieba W. pochodzącego z Wejherowa. Znaleziono przy nim rulony fałszywych marek gotowych do pocięcia i wprowadzenia do obiegu. Było tego coś z trzydzieści tysięcy. Zatrzymany zdradził gdański adres drukarni. Powiedział też, gdzie przetrzymywał paczki z fałszywymi banknotami. Trzy adresy, w tym jeden w Wejherowie. Przy okazji wspomniał o niepowodzeniu. Na początku lutego zostawił na przechowanie u znajomego, niejakiego Josepha Lewinsky'ego, paczki z banknotami. Adres miał być bezpieczny, ponieważ znajomy był niekarany i nie wiedział, co otrzymał na przechowanie. Oczywisty błąd fałszerza. Ciekawy wszystkiego rzeźnik otworzył paczki i wpadł w panikę. Prosił pana W. o zabranie depozytu, wreszcie, zniecierpliwiony odmowami, postanowił działać. Wtajemniczył Wolfa Konitzera i razem pocięli banknoty. Masslof widział tę właśnie scenę, ale nie wiedział, co tną dwaj mężczyźni. Śledził ich aż do rozlewiska nieopodal młyna. Pan Konitzer w dwa dni po zaginięciu Johanna niósł w stronę młyna jeszcze jeden pakunek z pieniędzmi. Ani on, ani pan Joseph nie wyrzucili wszystkiego od razu, ponieważ pierwszej nocy nie chcieli wzbudzić zbytniego zainteresowania (iść dwa razy pod rząd z pakunkami w stronę odludzia!), potem natomiast, w związku z poszukiwaniami Johanna, w mieście zrobił się ruch i wszyscy bacznie obserwowali wszystkich. Nasi starozakonni nie chcieli jednak

dłużej przechowywać fałszywych banknotów, nie wytrzymali psychicznie i wbrew rozsądkowi Konitzer poszedł z paczką nad rzekę. Zauważono go. Swoją drogą, panowie, doceniam waszą niechęć do łamania prawa, ale lepiej było o całym zdarzeniu donieść policji.

– Księga Mądrości tyle wieków nam służy, a ilu głupich chodzi po świecie – rozłożył ręce Lewinsky i melancholijnie pokiwał głową.

– Kiedy wyłowiono z wody paczki z korpusem Johanna, Masslof przekonany był o winie Żydów. Nie zgłosił się jednak na policję, ponieważ miał na widoku pewną korzyść. O tym za chwilę. Natomiast pan Lange, który podczas pisania anonimów do Johanna wszedł w zażyłe kontakty z panami Lewinsky i Konitzerem, a zatem wiedział o sprawie fałszywych banknotów, w poczuciu obywatelskiego obowiązku opowiedział mi o wszystkim. Było to wtedy, gdy odwiedziłem go w domu. Zdarzały się panu różne dziwne posunięcia, jak na przykład oskarżenia kierowane pod adresem Wendersa o nieświadome doprowadzenie do śmierci pierwszej żony, o anonimach już nie wspomnę, ale w tym przypadku uczynił pan ze wszech miar słusznie. Należy też pochwalić, że w trudnych chwilach zapomniał pan o dawnych urazach w stosunku do Wendersa i ofiarnie pomagał mu szukać syna. W gruncie rzeczy brzydził się pan tymi anonimami i odczuwał wyrzuty sumienia. Wracając do zeznania na temat fałszywych pieniędzy...

– Werner! Werner Lange! Ty mnie zadziwiasz – wtrącił Lewinsky.

– Fałszerz, rozwścieczony postępkiem pana Lewinsky’ego, sprowokował swojego znajomego, Paula Bruhna, do przyjazdu w newralgiczne miejsce. Czyli do Wejherowa. Znał antyżydowską fobię dziennikarza i postanowił wykorzystać ją dla własnych celów. Bruhn tylko czekał na taką okazję. Pragnął zaprezentować się swojemu środowisku jako nieugięty stróż czystości niemieckiego prawa i zdobyć pożądany rozgłos.

Zwłaszcza że jego opinia była mocno nadszarpnięta, o czym państwo zdążyli się zapewne dowiedzieć. Tutaj zajął się nim Herbert Masslof, który posiada dar odnajdywania się dokładnie tam, gdzie uzna za stosowne.

Ignaz podszedł do stołu i umoczył usta w kieliszku z zimną wodą.

– Wspomniałem o korzyści, jaką pragnął odnieść obecny tu Herbert Masslof. Z jednej strony nie poszedł złożyć doniesienia o rzeczywiście podejrzanym zachowaniu panów starozakonnych, z drugiej stał się ofiarnym współpracownikiem Paula Bruhna. Z pozoru nielogiczne, prawda? Chciał, żeby na panach Lewinskim i Konitzerze skupiła się uwaga mieszkańców Wejherowa, ale liczył się z możliwym brakiem dostatecznej liczby dowodów przeciwko starozakonnym. Jak każdy człowiek, który ma na swoim koncie różne niegodziwości, brał pod uwagę możliwość demaskacji przez policję. Mógłby wtedy choć w części zrehabilitować się w oczach przedstawicieli prawa, składając zeznanie przeciwko, jak sądził, zbrodniarzom. Zamiar zrealizował: powiedział mi o swoim odkryciu wtedy, gdy duża część mieszkańców Wejherowa łączyła go już ze sprawą morderstwa. Wariant niewprowadzony w życie zakładał szantaż Lewinsky’ego i Konitzera. Gdyby nie opinia mieszkańców niebezpieczna dla zainteresowanego, szantaż wobec Żydów byłby kwestią czasu. Masslof postanowił jednak upiec na swoim ogniu jeszcze jedną pieczeń. Otóż pan Berg, wiem o tym z zeznania Masslofa, zaczynał domyślać się, że był oszukiwany przez dawnego pracownika. Działał w radzie parafialnej, spotykał tam nie tylko Wendersa, o czym wspomniał, ale i Richtera. W końcu musiało dojść do rozmowy między dwoma antagonistami. Pan Berg dał to Masslofowi do zrozumienia. Ten wystraszył się nie na żarty, znał charakter byłego pracodawcy. Postanowił czymś go zająć... Nasz Herbert, który od znajomego pracującego w siedzibie bractwa strzeleckiego dowiedział się o znalezieniu głowy, spoił go natychmiast i zajął się głową. Ów

znajomy, człowiek ciemny i lękliwy, w obawie przed przesłuchaniem nie zawiadomił od razu policji, ale nie omieszkał powiedzieć o znalezisku Masslofowi, znanemu ze sprytu i zaradności. Herbert, który z domu pana Berga zabierał „Neustädter Kreis-Zeitung”, postanowił wykorzystać sytuację. Wiedział o specyfice urzędowego pisma. Zawinął głowę w gazetę. Stan papieru przedstawiał się na tyle dobrze, że wzbudził podejrzenia doktora Gesslera i moje. Nie było możliwe, aby papier leżący przez tak długi okres w ziemi nadawał się do identyfikacji. Tymczasem tytuł można było odczytać z łatwością. Potem Masslof zakopał głowę w taki sposób, aby bez trudu została odnaleziona. Już następnego dnia, w poniedziałek, zostaliśmy poinformowani o makabrycznym odkryciu. A chusteczka z literą „A”? Wcale nie dziwię się panie Annie, że nie chciała potwierdzić swojej własności. Osoba niewinna w podobnych okolicznościach zachowuje się w ten właśnie sposób. Masslof, pracując u Augusta Richtera, miał nieprzyjemny zwyczaj dzielenia się z pracodawcą drobnymi przedmiotami należącymi do tego ostatniego. Chusteczka miała być podarunkiem dla pani Edeltraut, ale jej przeznaczenie okazało się inne; podrzucona w tak nachalny sposób sugerowała, że zbrodni nie mógł dokonać August Richter ani jego córka. Wyeliminowanie rzeźnika z grona podejrzanych wzmacniało prawdopodobieństwo winy pana Berga, antagonisty pana Augusta. Gdyby aresztowano pana Heinricha, Masslof uwolniłby się od niego. Zakładał, że pan Berg nie poinformuje policji o podwójnym szantażu, ponieważ nie miałyby to związku ze sprawą Wendersa. Myślenie naiwne, ale nasz Herbert tak zaplątał się w splot rozmaitych intryg, że wyjścia z niego szukał po omacku. Lubił zresztą intrygi i sądził, że stanowią lekarstwo na wszelkie kłopoty. Swoją drogą – inspektor zwrócił się do gospodarza – dlaczego nie opowiedział mi pan o szantażu Masslofa

związanym z chorobą zwierząt i jego podwójnej grze? Przecież w ten sposób oczyściłby się pan z ewentualnych zarzutów?

– Wierzyłem w zdolności umysłowe policji, nie wtrącam się do jej pracy. Wierzę w sprawiedliwość, a w razie ostateczności postanowiłem załatwić moje porachunki z Masslofem osobiście – Heinrich Berg łagodnie wzruszył ramionami.

– Myślałem, że jest pan rozsądniejszy – odparł Ignaz.

– Jak się okazuje, czytelnictwo prasy bywa niebezpieczne, ponieważ kolejny amator gazet, pan Richter, który czyta „Staatsbuergerzeitung”, zetknął się w niej z artykułami Paula Bruhna i potem łatwiej mu zaufał. A Bruhnowi, panie Auguście, wcale nie chodziło o pana dobro.

– Teraz to wiem – zazgrzytał zębami rzeźnik.

– Pozwoliwszy sobie na dowcipny skrót myślowy, przystępuję do dalszych wyjaśnień. Panno Anno, wspomniałem o pani lęku. Dlaczego jednak postanowiła pani spłatać ojcu figła? Opowiedziała mi pani w Wielki Czwartek o rozmowie, która prawdopodobnie w ogóle nie miała miejsca. Świadomie nie mówię przy wszystkich, czego dotyczyło zeznanie, żeby nie narażać pani na nieprzyjemności.

– Ależ ja nie robię żadnej tajemnicy z tego, co wtedy powiedziałam. Kilka dni później powiedziałam ojcu o naszej rozmowie. Byłam rozżalona. Z rozmów ze znajomymi dowiadywałam się o plotkach rozsiewanych przez ojca na temat Johanna. W konsekwencji dotknęły one i mnie, więc pragnęłam dokuczyć ojcu i skierować pańską uwagę w jego stronę. Nie przeczę też, że cieszyłam się, kiedy powstał ten głupi Komitet Obrony Wejherowa. Miałam nadzieję, że jego działalność obróci się przeciwko bronionemu, że ich metody zrażą ludzi do ojca. Nie chciałam oczywiście, żeby go skazano, nie wierzyłam w jego winę, ale pragnęłam, aby choć przez chwilę poczuł strach. Potem przyszły wyrzuty sumienia.

– Tak, Anna powiedziała mi o wszystkim – August Richter pogładził rozwichrzone włosy. – Czyja mógłbym gniewać się na własną córkę? Wbrew pozorom Anna ma w domu o wiele więcej do powiedzenia, niż sama sądzi.

– Ależ tato – panienka uśmiechnęła się nieśmiało.

– Chciałbym teraz przejść do finału. Dlaczego Wenders, nie bacząc na konsekwencje, rzucił się do szaf, szafek i komódek w poszukiwaniu wierszy przechowywanych przez pana Märza i kartek z dziennika panny Anny? Jeszcze w gimnazjalnej sali dostałem od pana profesora „Cały pień drzewa”. Wiersz napisany w konwencji, do której zdążyłem już przywyknąć. Natomiast poezje, owe dwadzieścia utworów zapisanych na trzydziestu kartkach, zdziwiły mnie niepomiernie. Przebijała z nich tęsknota za utraconym dzieciństwem i niewinnością. Tak, jakby Johann pragnął w nich oczyścić się sam przed sobą z rzeczy, które robił. Czy nie dlatego potrzebował owych wierszy? Mówiłem wcześniej o takiej hipotezie, przechodzącej niemal w pewność. Może pragnął pokazać ojcu, że stać go na poprawę, tyle że jeszcze nie teraz? Prawdopodobnie kierowała nim właśnie potrzeba udowodnienia sobie i ojcu, że nie jest stracony i potrafi wyzwolić się z obsesji. Tylko czy Wenders zrozumiałby wymowę tych wierszy? Teraz, kto wie? Mimo wszystko targały nim wyrzuty sumienia. Już w dniu porwania kłął, rzucał się po mieszkaniu, był opryskliwy. Gdyby w dodatku okazało się że Johann zabity został niepotrzebnie, byłby to dla Wendersa kres wszystkiego. Udowodnił nam to w sposób najoczywistszy z możliwych. Moja prowokacja okazała się skuteczna, choć jej skutek, niestety, jest dramatyczny. Zabójca, wbrew pozorom, przywiązywał wagę do wierszy syna, chociaż przy żonie manifestował swoją w tym względzie nonszalancję. Panna Kornelia zeznała, że przeszukiwał gorączkowo pokój Johanna w wieczór po jego

zaginięciu. Znalazł bordowy zeszyt, w którym przechowywane były wiersze, nazwane przez pannę Kornelię obrzydliwymi. Jestem przekonany, że tych wierszy już nie ma. Zapewne zostały spalone jako dowód hańby Johanna. Wenders ucieszył się na ich widok; musiało zależeć mu na tym, aby nikt nie przeczytał takich rzeczy. Po to przecież zabił Johanna, aby jego pamięć pozostała, na ile to możliwe, nieskalana. Bał się, że dalsze życie Johanna mogłoby przynieść wiele nieszczęść. Ich zapowiedzią były czyny syna i wiersze w bordowej okładce...

Płacz pani Irmgardy rozdarł powietrze. Był szczery. Nikt, z wyjątkiem troskliwej panny Kornelii, nie odważył się spojrzeć na nieszczęśliwą matkę i wdowę.

– A dziennik panny Anny? – odezwał się doktor Gessler.

– Dziennik wiąże się ściśle z napadem, którego dokonano w czwartkowy wieczór. Wbrew początkowym podejrzeniom szybko wykluczyłem pana Richtera z grona podejrzanych o napaść na moją skromną osobę. Jest świadek, który mógł potwierdzić, że pan August podszedł do mnie w Cafe Putzig, być może zauważyli to również niektórzy goście lokalu. Panna Anna w rozmowie z posterunkowym Myszkiem potwierdziła, że ojciec wychodził z domu. Pan Richter musiał zresztą założyć, że o naszym spotkaniu wiedzą inni policjanci, może nawet ktoś miał mnie ubezpieczać? Gdyby to on napadł na mnie, musiałby być samobójcą. Dzisiejsze zachowanie Wendersa związane było z fragmentem pamiętnika panny Anny. Zakładam, że Johann mógł mówić ojcu, że znajdzie osobę, która potwierdzi jego czyste intencje. Czy czytała pani Johannowi fragmenty swoich przemyśleń?

– Tak – przyznała Anna. – Pytał kiedyś dla żartu, czy piszę również o nim. Trochę się droczyliśmy, wreszcie przeczytałam na głos. Johann

ucieszył się, że nie wierzyłam w plotki na jego temat. Rzeczywiście, mógł opowiedzieć ojcu o mnie; mógł, gdyby przeżył, szukać u mnie ratunku.

– Panie Meier? – odezwał się Ignaz.

– Tak, ale Wenders był jak zahipnotyzowany, nie chciał słuchać, co mówi syn. Wątpliwości pojawiły się potem.

– Dlaczego chciała pani zniszczyć fragmenty pamiętnika dotyczące Johanna?

Anna spuściła głowę.

– Uświadomiłam sobie, że on mnie oszukiwał. Nie był taki, za którego chciał przede mną uchodzić. Z każdym dniem dowodów na istnienie jego obsesji przybywało. Nie chciałam mieć w domu niczego, co przypominałoby o mojej naiwności. Jest jeszcze jedna przyczyna. Nie reagowałam właściwie, kiedy nasiliły się anonimy, a przecież o nich pisałam. Wiedziałam, że przychodzą, ale nie sądziłam, że są groźne. Wydawało mi się, już po zabójstwie, że to późniejszy sprawca je wysyłał. Nie chciałam, żeby ktokolwiek odkrył kiedyś, że przez moje zaniedbanie Johann nie został uratowany. Być może nie zdołałabym zrobić wiele, ale powinnam była, jak już mówiłam, pójść na komisariat... Podczas naszej pierwszej rozmowy powiedziałam, że Johann nie zwierzał mi się. Wprowadziłam pana w błąd z przyczyn, o których właśnie wspomniałam.

– Pani ojciec z tych samych powodów zapragnął spotkać się ze mną. Koniec końców panna Himiltruda zabrała te kartki – pokiwał głową inspektor. – Musiała znaleźć się w pokoju pana Augusta; po prostu o czymś zapomniała i wpadła na chwilę do pokoju chlebobawcy. Często grzebała w szafach, również wtedy zwietrzyła okazję i z nawyku otworzyła jedna szufladę, potem drugą. Znalazła kartki. Była osobą nielojalną i wścibską, przecież powtarzała w swoim czasie plotki dotyczące panny Anny i Johanna. Nie umiała czytać, ale imię Johanna rozpoznała. Postanowiła

skontaktować się z Wendersem. Wiedziała, że dla ojca kartki mogą być cenne, postanowiła sprzedać mu je. Wenders, którego nie zastała i dla którego zostawiła ustną informację w piekarni, przestraszył się, że zapisane przez pannę Annę strony mogą zawierać coś, co mogłoby naprowadzić policję na jakiś ślad (Johann mógł mówić z przyjaciółką już po rozmowie z ojcem), w ogóle zresztą ciekaw był tego tekstu. Szybko skontaktował się z Himiltrudą. Ona zażądała astronomicznej sumy. Nie potrzebowałyby się spieszyć, liczył, że służąca spuści z tonu i w końcu sprzeda mu bezpieczny teraz (bo zarezerwowany dla niego) dokument, tymczasem uświadomił sobie, że Richter z pewnością znał treść kartek. Pobiegnął do niego. Dowiedział się, że pan August poszedł w stronę kalwarii. Podążył jego śladem. Widział pana idącego za mną i osobą towarzyszącą, domyślił się najgorszego. Założył, że mogłem już coś wiedzieć, postanowił mnie śledzić. Wieczorem najpierw zranił mnie, potem natknął się na idącego w kierunku Zakładu dla Obłąkanych pana Richtera. Liczył się z poważnymi przeszkodami, zabrał aż dwa narzędzia zbrodni. Przydały się... Gdyby w drugim przypadku nóż nie został zastąpiony fragmentem grabi, pan August miałby mniejsze szanse na przeżycie (choć akurat mnie się udało). Ostrze obluźowało się przy ciosie skierowanym we mnie, użycie drugiego narzędzia było wymuszone niesprawnością noża. Efekt jest państwu znany. Potem' ten list i narzędzia zbrodni, próba zwykłego zastraszenia. Panna Himiltruda w końcu nie odsprzedała Wendersowi fragmentów dziennika, ponieważ po czwartkowych napadach domyśliła się, kto jest sprawcą. Nie chciała współdziałać z napastnikiem. On złorzeczył, ale nie mógł nic zrobić. Kolejny napad był niemożliwy, ponieważ Himiltruda zapowiedziała, że po jej śmierci ktoś zaufany powiadomi policję. Została zresztą przesłuchana zaraz po zeznaniu pana Augusta i do wszystkiego się przyznała. Pozostaje jeszcze obecność Herberta Masslofa w okolicy szpitala

psychiatrycznego. Masslof mieszka w pobliżu, mógł więc znaleźć się tam w sposób jak najbardziej naturalny. Jednakże wyjawiał dziś rano, dlaczego nie chciał powiedzieć, co robił w czasie napadu, i choć nie było to nic chwalebne, nie miało nic wspólnego ze sprawą Johanna Wendersa.

– A chusteczka z monogramem „J. W.”, znaleziona przez panią Helenę w praniu pana Lewinsky’ego? – zapytał doktor Gessler.

– Pani Heleno? – zachęcił kobietę inspektor, który domyślał się odpowiedzi.

– Sama ją wyszyłam i podrzuciłam, żeby podejrzenie padło na pana Lewinsky’ego. Nie chciałam, aby został aresztowany pan Richer, który zatrudnił mojego zięcia i był dla niego jak ojciec. Te oskarżenia ze strony konkurenta...

Starozakonny poderwał się na równe nogi.

– Pan Richter też nie był święty – odparł.

Braun gestem ręki uspokoił Lewinsky’ego i ozwał się uroczystym tonem:

– Dziękuję. Powiedziałem już państwu o wszystkim, co można było wyjaśnić. Największą zagadkę, zagadkę swojej duszy, Johann zabrał do grobu.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyli na Ignaza, który usiadł ciężko na krześle i westchnął głęboko.



Pożegnanie

W środowe przedpołudnie do schodzącego po hotelowych schodach Ignaza podbiegła pracująca w Königlicher Hof pokojówka.

– Panie inspektorze, panie inspektorze! – z przejęciem zawołała panna Berta.

– Słucham, drogie dziecko?

– Szanowny pan nie pogniewa się, jak poproszę go o wpisanie paru słów do mojego pamiętnika? Pan inspektor to wielka osoba i wszystkie przyjaciółki będą mi zazdrościły – powiedziała naiwnie i zaraz oblała się rumieńcem.

Ignaz uśmiechnął się i do czerwonego zeszytiku Berty wpisał kilka ciepłych zdań. Świadkiem owej sceny był pan Alsleben, który, widząc dziewczynę wpatrzoną w inspektora, po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie został policjantem.

W reprezentacyjnej sali wejherowskiego ratusza oczekiwali już na inspektora Brauna przedstawiciele miejscowych władz. Na rzeźbionych krzesłach gdańskich stojących pośrodku sali obitej dębową boazerią siedzieli burmistrz Trauthan, starosta Keyserlingk oraz Gustav Rabbes, dyrektor Zakładu dla Obłąkanych i radca sanitarny, pełniący obowiązki

przewodniczącego Rady Miasta. Panowie rozmawiali ze sobą, gdy oto drzwi otworzyły się i pan Wilibald Wild wprowadził komisarza Renscha i inspektora Brauna.

Miejscy dostojnicy powstali. Ignaza powitały brawa. Gość z Berlina uklonił się zgromadzonemu. Burmistrz zachęcił go do zajęcia honorowego miejsca przy prezydialnym stole.

– Nie miałem jeszcze zaszczytu poznać łaskawego pana. Pragnę wyrazić mą niekłamana radość, że widzę przedstawiciela stołecznej policji w tak szczęśliwych okolicznościach. Niech mi wolno będzie pogratulować panu wyjaśnienia tej pożałowania godnej sprawy, zatrauwającej serca i dusze obywateli miasta, którego mam zaszczyt być burmistrzem...

Znowu oklaski przeszły powietrze. Pan Trauthan energicznie potrząsnął obiema dłońmi Ignaza.

Głos zabrał starosta Keyserlingk. Z początku mówił wolno, ważąc każde słowo. Pod koniec przemowy zapalił się, wybuchnął entuzjazmem i, ściskając Ignaza, powiedział:

– Przywrócił mi pan wiarę w oczyszczającą siłę naszego państwa. Jeszcze odrodzą się moralnie nasze Niemcy, a ta ziemia stanie się w pełni oddana Bogu i Jego przykazaniom.

Pan Rabbes nie wygłosił mowy. Jako człowiek konkretny i kochający nade wszystko czyn, w kilku słowach podziękował inspektorowi za sprawne zakończenie śledztwa.

Drzwi otwarły się i ponownie stanął w nich Wilibald Wild. Trzymał w dłoniach wiaderko z lodem, w którym chłodził się szampan. Za panem Wildem podążał portier niosący tacę z kieliszkami.

W oczach komisarza Renscha pojawiły się srebrzyste iskierki. Kiedy wszyscy zgromadzeni czuli już w dłoniach przyjemny chłód napełnionego szampanem szkła, głos zabrał bohater spotkania.

– Byłoby zbyt wielkim uproszczeniem stwierdzenie, że praca policjanta polega na dążeniu do chwil właśnie takich, jak ta – zawiesił głos, aby dostojnicy mogli się uśmiechnąć. – Niemniej czekałem na moment, w którym będę mógł powiedzieć: mordercy Johanna Wendersa zostali oddani w ręce sprawiedliwości. Pierwszy z nich staje przed najdoskonalszym z trybunałów; drugi, ofiara własnej słabości i przemocy silniejszego od siebie, jest nieszczęśnikiem, który, być może, zasłużył na nieco litości. Nigdy już nie będzie w Wejherowie tak, jak przedtem, ale blizny potrafią się zasklepić. Ludzie będą nadal pragnęli życia i szczęścia. Osobliwie pojęte poczucie odpowiedzialności kazało Wendersowi popełnić zbrodnię. Wiem, że tęsknota za życiem pozwoli mieszkańcom Wejherowa odbudować to wszystko, co dotąd decydowało o jego pomyślności. Spotkałem tu dobrych ludzi, oddanych miastu, przyjaciołom i rodzinie, życzliwych także dla przybysza z dalekiego Berlina. Pracowali ze mną, tak jak obecny tu komisarz Rensch, z wielkim poświęceniem. Z żalem opuszczę jutro to miasto, w którym czułem się jak domu. Dziękuję za wszystko.

Oklaski, dłuższe niż dotąd, zakończyły krótką, chociaż podniosłą uroczystość. Najgłośniej bił brawo komisarz Rensch, którego wdzięczność dla Brauna sięgała pod same niebiosy.

W gospodzie Deutches Haus, przy stoliku przygniecionym trzema olbrzymimi kuflami urbocka, siedzieli Ignaz, Rüdiger Rensch i posterunkowy Myszk. Zajadali ze smakiem żytni chleb obłożony grubymi plastrami szynki z tłuszczkiem.

– Jaki jest ten nadinspektor Marburg? – odezwał się syty i zadowolony z życia komisarz.

– Długo by opowiadać. Nie lubi, kiedy jestem na urlopie.

– To dobrze o panu świadczy – zauważył Anton.

– Zrozumcie, panowie, cieszyłem się na wiosenne wspinaczki w górach Harzu...

– Tak. Urlop jest przywilejem, który zbyt często omija dobrych policjantów – ze zrozumieniem dopowiedział komisarz.

Wzniesli toast za pomyślnie zakończone śledztwo.

– Niech mi pan jeszcze raz powie, kochany inspektorze – zaczął Rensch, ścierając pianę z wąsów – czy postawa Wendersa jest, pańskim zdaniem, aż tak zrozumiała z punktu widzenia pruskiej mentalności? Tak, bardzo ciekawa kwestia.

Ignaz zamyślił się.

– Widzi pan, źle pojęty honor i usilna tęsknota za posuniętym do przesady ładem mogą przynieść wiele złego. Gdyby natomiast lekceważenie honoru i ładu stało się w społeczeństwie dominujące, otrzymalibyśmy jakąś absurdalną republikę liberalną, w której każdemu wolno dosłownie wszystko i nikt nie odpowiada za swoje czyny. Z pierwszym zagrożeniem stykamy się dość często, drugie wisi nad nami jak miecz Damoklesa, między innymi wskutek opacznego rozumienia szlachetnych pojęć. Akcja i kontrakcja, rozumie pan?

– Pojmuję wybornie – potwierdził Rensch, który właśnie zagubił się w wywodach Ignaza.

– Dwudzieste stulecie zaczęło się dla mieszkańców rejencji gdańskiej ostrzeżeniem – kontynuował Braun. – Pośród największej potęgi państwa, pośród dobrobytu mieszkańców pojawiła się zbrodnia. W jej sąsiedztwie rozkwitły zawiść, fałszywe świadectwo i rozwiązłość. Natura pcha zwyczajnych ludzi do występku. A przecież powinno być tak pięknie.

Na moment policjanci posmutnieli. Dookoła huczały rozmowy, ostry zapach piwa unosił się pod sklepienie lokalu. „Deutsches Haus” tętnił radosną wolą życia.

– A co z nagrodą? – ozwał się Anton.

– Jestem policjantem, w myśl prawa nie przysługuje mi te dwadzieścia tysięcy marek – spokojnie odpowiedział Braun.

– Tyle pieniędzy! Jaka szkoda – posterunkowy był niepokieszony.

– Wracając do nadkomisarza von Marburga... Bardzo pasuje do wizerunku pruskiego oficera policji. Imponujący wąs, przenikliwe spojrzenie. Nie znosi porażek.

– Może dlatego wysłał do Wejherowa właśnie pana? – komisarz mocno stuknął kuflem w kufel Ignaza.

– Nie wiem. Jednego jestem pewien. Od razu o władnęła mną ta zagadka. A potem? Polubiłem miasto, które przyjęło mnie gościnnie i opiekowało się skromną osobą stołecznego policjanta w sposób nad wyraz serdeczny.

– No, niech pan przyzna się do wszystkiego! Tak. Katarzyna, to znaczy moja żona, mówiła mi o pewnej panience... Niech pan dopowie, proszę!

– W Wejherowie nic się nie ukryje – uśmiechnął się Ignaz – zwłaszcza przed kobietami. Rzeczywiście, poznałem tutaj pewną młodą osobę.

– Tak. Słuchamy, proszę świadka! – zaśmiał się Rüdiger Rensch i skinął na kelnera.

– Raz jeszcze chciałbym wyrazić łaskawej pani serdeczne podziękowania za okazaną mi życzliwość – powiedział Braun, całując w dłoń panią Anastazję.

– Bardzo proszę, niech pan inspektor wejdzie chociaż na chwilę. Anton!

– Anastazja ma rację, prosimy oboje. Przecież ma pan jeszcze trochę czasu – zachęcał Myszk, który do domu przyszedł z Ignazem prosto z gospody.

Na stole pojawiła się gorąca kawa. Dookoła dorosłych przystanęły w niemym zainteresowaniu Anton, Klara, Eliza i Marta.

– Żałujemy, że już nas pan opuszcza – powiedziała gospodyni, nalewając gęstą śmietankę do filiżanki Ignaza.

– Śledztwa w przytłaczającej większości mają tę cechę, że kiedyś się kończą. Jeżeli państwo pozwolą, zatrzymam adres łaskawych państwa nie tylko w pamięci, ale i w notatniku. Żał mi będzie wyjeżdżać z Wejherowa; cóż robić? Życie ma swoje prawa. Gdyby nie ty, Anton, nie wiem, jak poradziłbym sobie po przyjeździe. A i potem...

Posterunkowy spuścił głowę. Nie potrafił przyjmować pochwał.

– Tyle radości dostarczyły mi obie wizyty w państwa...

– Ignaz uśmiechnął się – polskim domu. Czułem się jak przed laty, kiedy życie zdawało się jednym ciągiem szczęśliwych chwil. Dziękuję.

Kiedy pół godziny później w korytarzu przytulnego domku przy ulicy Nanickiej inspektor Braun żegnał się z gospodarzami i gromadką ich dzieci, jego oczy zaszkliły się niebezpiecznie.

– Bernadetka wypatruje przez okno przez całe pół godziny, a pan musi być taki punktualny. Nie można było wcześniej? – zaśmiała się ciocia.

– Ciociu, proszę nie śmiać się ze mnie – powiedziała dziewczyna.

Gość udał zakłopotanie.

– Przepraszam, te berlińskie przyzwyczajenia... Przez dobrych parę lat uczono mnie, że punktualność jest cechą właściwą ludziom poważnym.

Prowadzony do pokoju stołowego Ignaz chciał kontynuować żartobliwe tłumaczenie, ale nagle jego nozdrza napełniły się intensywnym zapachem.

– Szczupak na szaro – skromnie wyjaśniła panna Bernadeta.

Ciocia zaczekała, aż gość naje się do syta, a potem bezlitośnie zaczęła wypytywać go o szczegóły dotyczące zakończonego właśnie śledztwa.

– Bardzo proszę, niech pan mówi jak najwięcej. Opowiem o wszystkim Marcie. Wie pan, my czytamy dużo powieści kryminalnych i dlatego bardzo interesują nas szczegóły pracy policyjnej. Doktor zawyrokował, że ze względu na serce nie powinnam czytać takich książek, ale ja nie mogę żyć bez kryminałów. Kiedy jest ze mną Bernadetka, nie boję się niczego i mogę czytać do późnej nocy. Bernadetka mówiła, że pojedzie do domu za trzy dni. Zostanie mi kapelusznictwo i strach przed samotnym czytaniem powieści z dreszczykiem. Jeszcze kawałek ciasta? Moja bratanica upiekła...

Ciocia zaabsorbowała Ignaza całkowicie. Niska, szczupła, siwiejąca, zdawała się kipieć energią rzadką u większości młodszych od siebie osób.

Smutne oczy panny Bernadety delikatnie głaskały postać inspektora Brauna, który w przeciągu następnej doby miał znaleźć się w swojej berlińskiej garsonierze przy Dürenergasse.

Ignaz w towarzystwie dziewczyny stał przed domkiem na Kalwaryjskiej. Trzymał w dłoniach dłonie Bernadety. Niemal czuł drżenie jej ciała. Panna pokazała gościowi płaskie pudełko obite zielonym pluszem.

– Co to jest?

– Pamięta pan szylkretową cygarniczkę ze sklepu pana Meissnera?

– To... dla mnie?

– Patrzył pan długo na to cacuszko. Chciałam, żeby pozostała po mnie jakaś pamiątka. Przecież już jutro...

– Sądziła pani, że odjadę i nie odezwę się więcej?

– Sama już nie wiem... – odpowiedziała cicho i dwie łzy potoczyły się po jej policzkach. Zaraz jednak podniosła głowę i spojrzała pytająco na Ignaza.

– Po tym, co wczoraj wydarzyło się między nami? Jak mogłaś tak pomyśleć! Pojutrze poproszę nadinspektora von Marburga o wyznaczenie ostatecznego terminu mojego urlopu. Po wyjściu od szefa zaraz wyślę telegram. A potem...

– A potem?

– Przyjadę natychmiast.

– A potem? – powtórzyła panna Bernadeta.

Długo musiała czekać na odpowiedź. Jej usta okryły pocałunki.

Pochmurny świt przywitał miasto deszczykiem. Z upływem minut wiatr przeganiał szare obłoki, wreszcie wesoło zaświeciło słońce. Ciepłe fale rozgrzanego powietrza walczyły z umykającym w nicość chłodem i zwyciężały, głaszcząc przechodniów łagodną wiosenną pieszczotą.

Pogoda, po porannym załamaniu, zdawała się wymarzona na sentymentalny spacer. W świeżym, dziewiczym słońcu Ignaz mijał małe i większe kamieniczki, przyglądał się wystawom sklepowym i przechodniom. Niewielkie kałuże przycupnięte na bruku chowały się wstydliwie przed ciepłym wietrzykiem. Księżyc umykał przed wschodzącym coraz wyżej słońcem, a gołębie pracowicie krzątały się po ulicach, podchodząc ufnie do ludzi w nadziei na okruszynę chleba.

Tak niewiele czasu minęło, odkąd przybysz ze stolicy pierwszy raz szedł tędy w stronę komisariatu. Miał wtedy głowę zapełnioną najnowszym numerem „Berliner Beobachter” i przewodnikiem opisującym Prusy Zachodnie. Patrzył teraz na domy budzące się do życia, chłonał chciwie zapach kawy rozlewający się z otwartych okien i szukał w najświeższej pamięci tych zdarzeń, które okazały się najważniejsze. Wykrył sprawcę, zyskał szacunek, ale nade wszystko pokochał. Chyba pierwszy raz w życiu. Smutek ogarniał Ignaza patrzącego na kościół farny, potem na pocztę i

domy, które przyszło mu odwiedzić. Kończyło się coś ważnego, coś, co pozwoli inspektorowi Braunowi potwierdzić jego renomę niezwyciężonego detektywa.

Koniec niepostrzeżenie przechodził w początek.

Najważniejsza była miłość. Miała rozkwitnąć jeszcze pełniej, kiedy obumrze smutek pożegnania. Ofiarę przewidzianą na słoneczny poranek należało ponieść z pokorą. Po niej miała nastąpić tęsknota nagrodzona niedalekim szczęściem.

Peron zapełniony był oczekującymi na pociąg do Berlina. Na dworzec właśnie wjeżdżał żelazny potwór, sapiąc i dysząc kłębamii gęstej pary. Czterej konduktorzy wypadli z pociągu i rażno zabrali się do otwierania drzwi wagonów. Pierwsi pasażerowie zaczęli wchodzić do wnętrza pociągu. Większość jeszcze żegnała się z bliskimi.

Ignaz otoczony był okazałą grupą osób. Nie brakło zwykłych ciekawskich, ale w bezpośredniej bliskości inspektora znaleźli się ci, którzy mieli okazję zetknąć się z nim osobiście.

– Poszczyściło się nam. Tak. Dobrze, że przyjechał pan do Wejherowa. Do licha, wzruszę się, policjantowi nie wypada się wzruszać – pociągnął nosem komisarz Rensch i uściskał inspektora.

Z kolei Ignaz zwrócił się do doktora Gesslera:

– Zapomniałem o decyzji dotyczącej przekazania moich zwłok na cele naukowe. Przepraszam...

– Nie szkodzi – zaśmiał się doktor i swoim zwyczajem podkręcił sztywnego wąsika. – Maksymilianie, pożegnaj się z panem inspektorem. – Paschinski w milczeniu uściskał dłoń Ignaza. Zza wysokiej postaci asystenta wysunęła się diakonisa Elfrida.

– Niech osoba nie wyobraża sobie, że ulegam jakimś sentymentalnym bzdurom. Przyszłam po prostu sprawdzić, czy osoba w sposób

zadowolający doszła do pełnego zdrowia. Zawodowa etyka zmusza mnie do skrupulatności.

Ignaz ucałował diakonisę w policzki i raz jeszcze podziękował za troskę okazaną podczas swojego pobytu w Szpitalu Cesarzowej Augusty.

Diakonisie pilnie przypatrywała się Bernadeta, której podejrzliwość wzrosła jeszcze, kiedy do Brauna podeszła panna Kornelia.

– Tak się ucieszyłam, kiedy dostałam od pana zaproszenie na wtorkowy wieczór... Mam świadomość, że to dlatego, aby starsza pani miała jakąś opiekę, kiedy dowie się prawdy. Ale i tak dziękuję. Pan inspektor sprawił, że uczestniczyłam w czymś naprawdę ważnym.

Kiedy Ignaz ucałował jej dłoń, popatrzyła na niego rozmarzona.

– Cieszę się, że pani tam była, i to nie tylko ze względu na biedaczkę. Przecież pomogła panienka rozwikłać tę sprawę. Jakże się czuje pani Irmgarda?

– Trzyma się dzielnie. Może nie powinnam tego mówić, ale myślę, że szybko dojdzie do siebie. Mama mówiła, że bym opuściła dom Wendersów, bo nie jest to dom właściwy dla statecznej panienki. Rozumie pan: morderstwo, rozpusta... Ale ja nie zostawię pani Irmgardy w potrzebie.

– Niech panią Bóg błogosławi.

Przed Ignazem stanął pan Wilibald Wild, oddelegowany przez władze miejskie do pożegnania gościa. Złożył inspektorowi uszanowanie w sposób, jaki uznał za najstosowniejszy.

Pragnął na koniec powiedzieć od siebie coś serdecznego, ale ze zdziwieniem skonstatował, że nie potrafi tego dokonać.

Myszkowie z najmłodszą córeczką stali pokornie, czekając wytrwale na swoją kolej. Twarz Ignaza rozjaśniła się, kiedy po taktownym wycofaniu się Wilibalda Wilda zbliżyła się pani Anastazja z Martą na rękach. Obok żony stał Anton, tarmosząc w dłoni niezapalonego papierosa.

Spokojniejsza od męża pani Myszkowa krótko, choć serdecznie, pożegnała się z Ignazem, na pocieszenie powiedziała coś wesołego i poleciła Marcie podać rączkę panu inspektorowi.

Anton milczał.

– Do widzenia, przyjacielu – zaczął wzruszony Braun.

– Pragnąłbym bardzo, żebyśmy się jeszcze spotkali.

– Ludzie zawsze tak mówią na dworcu – zauważył Myszk i wyrzucił pogniecionego papierosa. – Dziękuję za wszystko, panie inspektorze. Był pan dla mnie, jeśli mogę się ośmielić, jak starszy brat. Bardzo bym chciał, żeby pana słowa kiedyś się spełniły.

– Nadzieja jest matką ufających – uroczyście odpowiedział Ignaz.

– Pożegnania zawsze są smutne – zauważyła stojąca obok posterunkowego pani Sychowska. – Proszę pamiętać o nas w Berlinie. Szkoda, że nie zdążyłam zapytać pana o więcej ciekawych rzeczy. Kryminalistyka to takie pasjonujące zagadnienie! Sądzę, że pan, młody człowieku, jeszcze nieraz zawita w nasze strony.

Przy ostatnich słowach uśmiechnęła się znacząco. Bernadeta, żeby ukryć zmieszanie, szybko podeszła do Ignaza. Starsza pani wycofała się taktownie.

– Tyle słów chciałam ci powiedzieć i nie wiem, od czego zacząć.

– Powiedz bez namysłu. Tak chyba najlepiej.

Ich gorące szepty, a dookoła ludzie w nich wpatrzeni. Syrena lokomotywy przeszła powietrze. Pocałunek, ostatnia chwila, tak krótka jak zmrużenie powieki.

Ignaz nie zwracał uwagi, kto siedzi w jego przedziale. Szeroko otworzył okno i wpatrywał się w twarz Bernadety. Panna wbrew sobie próbowała uśmiechać się, ale smutne oczy mówiły wszystko. Wreszcie jakies

przypomnienie rozjaśniło jej myśli. Zachłysnęła się miłością i wszystko inne przestało się liczyć.

Pociąg ruszył. Gęsta para wylatująca z rozgrzanej lokomotywy zakryła oddalający się tłum. Stopniowo znad opadającej pary zaczęły wyłaniać się kapelusze zdobione kwiatami i owocami, przypominające wyspy zagubione pośród bezkresnego oceanu. Obok nich, niczym kruki kołujące pod zimowym niebem, czerniały meloniki wprawione w ruch rękami mężczyzn. Potem ukazały się twarze, uśmiechnięte i zapłakane. Biała mgła rozplątywała się z każdą sekundą, ale i postacie stawały się coraz mniejsze, nikać nieuchronnie w zarysach dworca.

Uśmiechnięty doktor Gessler, melancholijny Paschinski, cisi Myszkowie, zapatrzona w pociąg panna Kornelia, diakonisa Elfrida po kryjomu ocierająca łzę, ciocia tuląca Bernadetę, cały ten świat zastygał w wyobraźni. Ignaz nie widział już Bernadety, nie widział żadnej z postaci stojących na peronie. Serce kołatało mu jak szalone, kołatało radością.

– Przecież wiesz, że wrócę – szepnął w otwarte okno.

KONIEC